
OPINIA

KWARTALNIK SPOŁECZNY I NAUKOWY

Redaguje zespół:

*Marek Albiniaak, Zbigniew Adamczyk, Andrzej Anusz (redaktor naczelny),
Karol Chylak, Andrzej Chytek, Michał Janiszewski (sekretarz redakcji), Adam
Lewandowski (sekretarz naukowy), Krzysztof Lancman, Marek Michalik,
Mariusz Olszewski, Zbigniew Śniadecki, Bohdan Urbankowski, Jerzy
Wawrowski, Kazimierz Wilk*

Artykuły są recenzowane

Wydawca:

Instytut Historyczny NN
im. Andrzeja Ostoja Owsianego
ul. Nowy Świat 48/11
00-363 Warszawa

e-mail: ihoo@o2.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone
Przedruk możliwy za podaniem źródła

Wszystkie dotychczasowe numery pisma dostępne na stronie ihoo.pl

ISSN 2352-5725

Skład, łamanie i druk:
Akces, Warszawa

SPIS TREŚCI

DR ANDRZEJ ANUSZ, MICHAŁ JANISZEWSKI	
Wstęp	4
Krzysztof Turkowski rozmawia z Tadeuszem Żenczyńskim	5
Krzysztof Turkowski rozmawia z Ludwikiem Łubieńskim	103
Krzysztof Turkowski rozmawia ze Stefanem Soboniewskim	146
Ryszard Czarnecki i Krzysztof Turkowski rozmawiają z Generałem Klemensem Rudnickim	157
Krzysztof Turkowski rozmawia ze Zbigniewem Błazyńskim	183
Rozmowa z ostatnim premierem Rządu RP na Uchodźstwie Prof. Edwardem Szczepanikiem	221
DR ANDRZEJ ANUSZ	
W drodze do drugiego obiegu – Wokół Marca 1968: Kuroń, Lawina, Lipski, Lityński, Wujec, Zambrowski	227
Z Leszkiem Moczulskim rozmawia Michał Janiszewski. My byliśmy przygotowani... ..	250
Polityka to jest bardzo racjonalne zajęcie. Z Leszkiem Moczulskim rozmawia Maciej Szumowski	325
Zanim powstał KPN. Z Tadeuszem Stańskim, działaczem niepodległościowym, opozycjonistą w czasach PRL-u, rozmawia Katarzyna Śniadecka	360
Wywiad z Tadeuszem Stańskim, działaczem niepodległościowym, opozycjonistą w czasach PRL-u, cz. II, rozmawiała Katarzyna Śniadecka	376
Z prof. dr hab. Romualdem Szeremietiewem rozmawia Katarzyna Śniadecka ...	394
Rozmowa Macieja Szumowskiego z Romualdem Szeremietiewem z 1985 roku ..	407

SPIS TREŚCI

ŁUKASZ PERZYNA

Rozmowa z Marianem Banasiem, byłym szefem Krajowej Administracji Skarbowej i Ministrem Finansów, prezesem Najwyższej Izby Kontroli, o opozycji lat 70 i 80. 455

KATARZYNA ŚNIADECKA

„Nie cierpię fanatyzmu” – rozmowa z Marią Moczulską 473

Z Księdzem Prałatem Józefem Majem rozmawia Katarzyna Śniadecka. 487

ANDRZEJ ANUSZ, ŁUKASZ PERZYNA

Rozmowa z ks. Jerzym Błaszczakiem 497

ANDRZEJ ANUSZ, ŁUKASZ PERZYNA

Pokazałem legitymację prasową i tyle. Rozmowa z Jerzym Surdykowskim, dziennikarzem niezależnym 507

DR ANDRZEJ ANUSZ, ŁUKASZ PERZYNA

Rozmowa z Antonim Piekalkiewiczem, byłym działaczem Konfederacji Polski Niepodległej, organizatorem marszów szlakiem Pierwszej Kadrowej 520

DR ANDRZEJ ANUSZ

W Polskim Londynie 1988 roku. Z Krzysztofem Turkowskim rozmawia Andrzej Anusz 541

Wyzwanie i spłata długu wdzięczności. Z Janem Józefem Kasprzykiem, Ministrem – szefem Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych rozmawiają Andrzej Anusz i Łukasz Perzyna. 570

WSTĘP

Od niepodległości do niepodległości. Od II RP przez PRL do III RP. Sztafeta pokoleń. Nazwiska osób, które są na okładce specjalnego numeru kwartalnika społecznego i naukowego „Opinia” to ludzie, którzy w sposób szczególny zapisali się w najnowszej historii Polski. Działali w kraju i na emigracji. Rozmowy z nimi przeprowadzili: Krzysztof Turkowski, Ryszard Czarnecki, Andrzej Anusz, Piotr Ciompa, Michał Janiszewski, Maciej Szumowski, Katarzyna Śniadecka i Łukasz Perzyna. Wszystkim autorom bardzo dziękujemy. Za pomoc dziękujemy również Mirosławowi Lewandowskiemu. Numer otwiera rozmowa z Tadeuszem Żenczykowskim najmłodszym posłem Sejmu II Rzeczypospolitej, zaś zamyka rozmowa z Janem Józefem Kasprzykiem jeszcze niedawno jednym z najmłodszych ministrów rządu III Rzeczypospolitej. Jest to swoista klamra tego wydania podkreślająca ciągłość pokoleń w walce o Niepodległą.

Życzymy dobrej lektury

dr Andrzej Anusz – redaktor naczelny

Michał Janiszewski – sekretarz redakcji

KRZYSZTOF TURKOWSKI ROZMAWIA Z TADEUSZEM ŻENCZYKOWSKIM¹

– Urodził się Pan w 1907 roku, a więc na kilka lat przed I wojną światową. Czy w pańskiej pamięci zachowały się wspomnienia z tego odległego okresu?

– Jestem warszawiakiem z urodzenia, przyzwyczajenia i sympatii do tego miasta, które mnie nigdy nie opuściło i nie opuści.

Urodziłem się w czasie, kiedy Moskale byli jeszcze w Królestwie. Pamiętam, mieszkaliśmy przy ulicy Trębackiej, na tyłach gmachów teatralnych i tamtędy przechodziły zawsze, co mnie bardzo cieszyło, rosyjskie pogrzeby wojskowe. Prawdziwą atrakcją była dla mnie orkiestra wojskowa grająca marsze żałobne.

Potem przyszła I wojna światowa. Myśmy wtedy mieszkali w Górze Kalwarii pod Warszawą, ojciec mój był tam rejentem, a często bywaliśmy w Warszawie u moich wujków. Zapamiętałem taki moment. Nad Warszawą pojawił się zeppelin, o którym się mówiło. Byłem tym faktem zachwycony. Nagle usłyszałem jakby sypanie grochu o blachę. Były to próby ostrzeliwania zeppelinów przez, jak to się wtedy mówiło, „pulomioty”. Zapamiętałem widok tego wielkiego cygara, które tak spokojnie krążyło nad miastem.

Kolejny obraz, który utkwiał mi w pamięci z Warszawy w czasie I wojny, to przemarsz rosyjskich oddziałów przez most 3 maja i Alejami Jerozolimskimi na front, który był już dość blisko. Słży olbrzymie, nieprawdopodobne masy piechoty, artylerii, jazdy na małych konikach. Cała Warszawa się wówczas temu przyglądała. Jest jeszcze jedna ciekawostka, która dobrze utkwiała mi w pamięci

¹ Tadeusz Żenczykowski, ps. Kania, Kowalik, Zawadzki (ur. 2 stycznia 1907 w Warszawie, zm. 30 marca 1997 w Londynie) – polski prawnik, działacz polityczny i publicysta. Kawaler Orderu Orła Białego.

to moda na pikielhauby. Gdy tylko ktoś zdobył pikielhaubę, które napływały z frontu, miał natychmiast wielki powód do dumy. Rozpowszechniła się moda na przerabianie na lampy czy świeczniki szrapnele.

W związku z ofensywą niemiecką zorganizowano ewakuację. Myśmy pojechali początkowo do Wilna, a potem na Mińsk, a następnie znalazłem się na Ukrainie, w guberni czernichowskiej. Pamiętam, że było tam bardzo przyjemnie. Panował spokój, wojny się tam jeszcze nie odczuwało. Pamiętam, że wtedy za kopiejkę /a kopiejka wtedy to dla szczeniaka były wielkie pieniądze/ można było kupić kilka dużych słoneczników. Właśnie tam zacząłem czytać „Trylogię”. Książki sprowadzaliśmy z Kijowa, gdzie była stała, przedwojenna polska księgarnia.

W 1916 roku rodzice postanowili, że muszę pójść do polskiej szkoły. Stała szkoła była w Kijowie, ale były także ‘wojenne’ szkoły polskie dla uchodźców w Moskwie i Orle. Ja znalazłem się w polskiej szkole w Orle. Była to duża koedukacyjna szkoła. Lekcje mieliśmy po południu, gdyż z braku gmachów nasze zajęcia odbywały się w żeńskiej rosyjskiej szkole. Nasza klasa miała bardzo dobre dla nas położenie, gdyż okna wychodziły na słynną Okę, na którą można się było gapić. Mieliśmy uciechę gdy przychodziła wiosna i rzeka wylewała, kiedy płynęły kry. Widok był wspaniały. W Orle wstąpiłem do harcerstwa, jeszcze wtedy nazwanego skautingiem. Był już rok 1917, kończyłem II klasę, gdy zjawił się wśród nas imponujący nam facet. Jak się okazało – legionista. Po prostu jak wybuchła rewolucja to niektórych legionistów, którzy byli w niewoli zaczęto zwalniać, a oni przechodzili do pracy konspiracyjnej w Polskiej Organizacji Wojskowej. Został naszym drużynowym. Nauczył nas całej masy rzeczy. Nazywał się Józef Skwarnicki. To jego syn jest od lat redaktorem „Tygodnika Powszechnego”. Skwarnicki wywarł w Orle wielki wpływ na polską młodzież. Tam właśnie przeżywałem pierwszą rewolucję rosyjską. Nie bardzo rozumiałem o co chodzi, ale nagle pojawili się na samochodach marynarze, którzy jeździli ulicami i strzelali. Zapamiętałem scenę zrzucania cesarskich orłów znajdujących się na cerkwi widocznej z naszej szkoły.

Wiosną 1917 roku, po przyznaniu Polsce prawa do niepodległości przez rząd rewolucyjny, po nabożeństwie w polskim kościele, my jako harcerze szliśmy w pochodzie /byłem niesłychanie szczęśliwy, gdyż mój zastępowy zachoro-

wał i ja mogłem nieść kijek, na którym była chorągiewka z flagą zastępu/ przed siedzibę Rady Miejskiej. Tam przemawiali do nas różni działacze. Gorąco witali nas robotnicy.

W więzieniu w Orle, w twierdzy o ciężkim rygorze znajdowali się polscy „bojownicy” – socjaliści z 1905 roku. Siedział tam Aleksander Prystor, którego żona była moją nauczycielką w szkole, oraz słynny później Jan Kwapiński. Prystor szybko wyjechał, a Kwapiński przychodził na nasze zebrania. Cieszył się wśród nas dużą popularnością. Ja co prawda byłem zbyt młody, by wszystko rozumieć, ale polegałem na opiniach moich starszych kolegów, dla których Kwapiński był wielkim autorytetem.

W 1918 roku ojciec, który był wtedy w Mińsku w tzw. „Naczpolu”, zdobył dla nas jakieś przepustki, które umożliwiały nam przejazd do Warszawy. Po drodze przejeżdżaliśmy przez Bobrujsk i tam na stacji zobaczyłem żołnierzy z Korpusu Dowbora-Muśnickiego. Po raz pierwszy widziałem wtedy hełmy z namalowanym Białym Orłem. Było to zdaje się 8 maja, gdy takim rosyjskim wagonem towarowym, taką „tiepluszką” dojechaliśmy do Warszawy. Po paru miesiącach zobaczyłem tam akcję rozbijania Niemców.

– Jak po przybyciu do Warszawy potoczyły się dalej losy Pańskiej rodziny?

– Ojciec powrócił do pracy w Górze Kalwarii, gdzie był rejentem. W Górze Kalwarii były duże koszary rosyjskie, lecz w tym czasie znajdowała się tam tylko nieliczna straż niemiecka pilnująca składów. 11 listopada przed niemiecką komendą ustawiła się nasza ochotnicza straż pożarna, w hełmach na głowach. A z budynku mój ojciec wraz z kierownikiem szkoły powszechnej /o nazwisku Adamiec/ wynosili z budynku karabiny i wręczali je strażakom.

W 1920 roku w „naszych koszarach” stacjonował bodajże I Dywizjon Artylerii Konnej. W tej jednostce służył jako ochotnik mój starszy brat cioteczny, Janek Kamiński wraz ze swoimi kolegami. Oni byli już wtedy po maturze. Pamiętam, że do tego dywizjonu przyjechali z własnymi końmi.

– Pan był wówczas uczniem gimnazjum?

– W gimnazjum zjawiłem się w 1919 roku. Rodzice chcieli, żebym chodził do jakiejś dobrej szkoły w Warszawie; mówiło się wtedy o szkole Kujawskiej-

go, tzw. mazowieckiej. Pojechaliśmy tam z matką, ale dyrektor powiedział, że muszę zdawać egzamin. Mnie się to specjalnie nie podobało, miałem przecież promocję, zaczęliśmy więc szukać. I tak trafiliśmy na słynną wtedy szkołę Kulwiecia. Była to jedna z polskich szkół, które w czasie wojny prowadzone były w Moskwie przez znanego przed wojną geografa, Kazimierza Kulwiecia. Przyjął mnie do swojej szkoły bez żadnych problemów. Wielką jego zasługą było to, że wszystkich przyjeżdżających z Rosji przyjmował bardzo chętnie. Polubiłem tę szkołę. Śpiewaliśmy tam „my Kulwiecia granda z placu Aleksandra”.

– I przyszły wakacje 1920 roku...

– Zaczęły się bardzo emocjonalnie. Przyjechała nasza rodzina z Wilna uciekająca przed bolszewikami. Potem do Kalwarii zaczęła napływać młodzież studencka i gimnazjalna zgłaszająca się do I Dywizjonu Artylerii Konnej. W mieście zorganizowana została Straż Obywatelska.

Pewnego dnia ojciec zabrał mnie do Grójca, gdzie mieliśmy odebrać karabiny i przywieść je do Góry Kalwarii. Miasteczko na szczęście nie było przez bolszewików mocno ostrzeliwane. Spadły tam chyba ze dwa pociski, a jedyna strata to trafiona świnia, która była wtedy na ulicy. I to po tych gorących wakacjach powróciłem do szkoły. W klasie zastałem około pięćdziesięciu młodych ludzi. Straszna to była mieszanina, gdyż obok nas pętaaków, byli ochotnicy z wojska, nadrabiający zaległości szkolne.

Ale muszę się cofnąć do wiosny 1920 roku. Mieszkałem na stacji na Wilczej, zaś nasza szkoła mieściła się nieopodal placu Aleksandra, na którym miało nastąpić powitanie powracającego z Kijowa Piłsudskiego. Kolumny kościoła były bardzo ładnie udekorowane girlandami z kwiatów. Z daleka zobaczyłem jak między kolumnami, po stopniach wchodzi do kościoła Piłsudski. Kiedy już wyszedł i wsiadł do otwartego landa, studenci wyprzęgli konie i wieźli go Alejami do Belwederu. Ten obrazek zapamiętałem na całe życie.

Ale wróć do szkoły. Moja szkoła miała opinię szkoły endeckiej. Taki był nasz dyrektor i wielu naszych nauczycieli. Taki był profesor Tadeusz Uhma, pani Jędkiewiczowa – radna miasta stołecznego Warszawy z ramienia endecji. Zoologii uczył nas lewicowy profesor Jan Dembowski, późniejszy wybitny uczony i znany komunista, był świetnym nauczycielem. Na 1 maja przychodził

zawsze do szkoły z czerwonym goździkiem w butonierce. Historii uczył mnie w ostatnich klasach profesor Włodzimierz Topoliński, człowiek o bardzo demokratycznych przekonaniach. W czasie II wojny światowej był w mojej Akcji „N”, w Biurze Studiów. Jak już wspominałem, moja szkoła była określana jako endecka, choć były wyjątki. Oczywiście żyliśmy wtedy tym wszystkim, co pasjonowało Warszawę.

Pamiętam, gdy w grudniu 1922 roku, po drugiej lekcji, niespodziewanie zadzwonił dzwonek na przerwę. Do klas wpadają uczniowie najstarszych klas i wołają „Wychodzimy na ulicę”. Okazało się, że na Placu Trzech Krzyży zbiera się nasza szkoła i inne oraz korporanci, aby iść w Aleje Ujazdowskie przeciwko prezydentowi Narutowiczowi, by nie dopuścić go do Sejmu. Ja miałem już wtedy dość lewicowe przekonania. Akurat spotykam kolegę o podobnych poglądach, Bohdana Żołądkowskiego /późniejszego komunistę/ i mówię: „Słuchaj, musimy coś zrobić przeciwko temu, co się szykuje”. Poszliśmy w Aleje Jerozolimskie 6, gdzie OKP PPS-u, ale tam nikogo nie było. Poszliśmy wobec tego na Warecką 7, do redakcji „Robotnika”. A tam też pusto, nikogo nie ma. W gmachu zaś wszystko normalnie. W takiej sytuacji postanowiliśmy wrócić na plac. I tam zobaczyłem, że do Sejmu idą posłowie Rajmund Jaworowski z Limanowskim, a przeciwko nim rzuca się cała ta banda z placu. Jaworski z Limanowskim szybko weszli do bramy domu, w którym była apteka mgra Klawe, słynna w Warszawie. Następnie Jaworski starał się przemówić do ludzi. Wyszedł przed bramę sam, ale zaczęli w niego rzucać, chyba kartoflami. On machnął ręką i wrócił do bramy. Tymczasem myśmy czekali, co będzie dalej. Po jakimś czasie przyszła bojówka pepesowska, młodzi chłopcy, którzy wbili się w tłum, doszli do bramy i wyprowadzili posłów. To imponujące jak te szczeniąki endeckie zlekły się robotników.

Miałem wtedy przyjaciela, który mieszkał we Włochach – Janka Żebrowskiego, z którym umówiłem się, że następnego dnia pojedziemy zorientować się co się dzieje w mieście. Zobaczyliśmy duży pochód, w którym dominowali korporanci /od tych czasów bardzo ich nie lubię/, idący na Sejm z protestem przeciwko Narutowiczowi. Bramy Sejmu były zamknięte, więc przed budynkiem pokrzyzczeni i udali się w Aleje Ujazdowskie przed Pałac, gdzie wyszedł do nich Haller i przemawiał. A nas szlak trafiał, że Haller jeszcze ich podzega.

– A zamordowanie Prezydenta?

– Proszę Pana, nie było w tamtych latach bardziej wstrząsającego wydarzenia jak pogrzeb Narutowicza. Sceneria była jak na zamówienie. Wysokie gazowe latarnie były spowite kirem od Belwederu aż do katedry. Stałem wtedy na Nowym Świecie przy Alejach Jerozolimskich. To było coś wstrząsającego – dzień pochmurny, prószący lekki śnieg. A od Belwederu idzie milczący pochód. Na nim ogromna ilość zielonych i czerwonych sztandarów. Socjaliści i ludowcy szli w takim napiętym, groźnym milczeniu. To była potęga. Widać było robotnicze i chłopskie sylwetki. I absolutna cisza. Ciągłe widzę ten obraz jak żywy. Tego nie da się zapomnieć. Tej trumny wysoko na karawanie.

– A czy fakt zamordowania Prezydenta, świadomość popełnienia zbrodni zrobiła wrażenie na tej młodzieży, którą Pan znał.

– Nie, to po nich spłynęło. Szkoła była przecież endecka. Ukazał się wtedy obrzydliwy artykuł Strońskiego, którego nie mogę zapomnieć, „Ciszej nad tą trumną”. Przecież później ciągnęły się te historie z Niewiadomskim, to było oburzające.

– A wracając do okresu szkolnego. Pan wtedy wstąpił do „Strzelca”...

– Tak, w 1923 roku, byłem wtedy w VII klasie, wstąpiłem do „Strzelca”, tj. Związku Strzeleckiego i byłem w nim aż do wojny. Jeszcze na początku II wojny światowej coś tam działałem. W 1924 roku zdałem maturę i dostałem się na prawo. Przeniosłem się wtedy do Pruszkowa. Był tam kiedyś oddział „Strzelca” i dostałem pełnomocnictwa by go odbudować.

Zacząłem od tego, że kupiłem stary bęben i bijąc w ten bęben zawiadamiałem ludzi, by przychodzili na zbiórki, zaś młodzi chłopcy rozlepiali ulotki agitujące. Z czasem powstał dobry oddział. Było to o tyle sympatyczne, że dominowała młodzież robotnicza. Bardzo chciałem by ci młodzi ludzie jakoś się zgrali, żyli. Udało mi się znaleźć stary, opuszczony budynek w parku i tam zrobiliśmy „Strzelca”. Znalazłem w miejscowej Fabryce Stowarzyszenia Mechaników jakiegoś legionistę i starszych robotników. Do pomocy włączyli się miejscowi nauczyciele i tak udało się w Pruszkowie zorganizować grupę młodzieży. Młodzież ze „Strzelca” miała w miejscowym środowisku bardzo dobrą

opinię. Staralem się nie dopuszczać moich strzelców do uczestniczenia w czysto politycznych akcjach. Bardziej koncentrowaliśmy się na działalności sportowej. Chodziło o to, by młodzież wyrobiła się i kształciła. I taka działalność podobała się zarówno władzom miasta jak i środowisku politycznemu. Najlepiej współpracowało nam się wtedy z socjalistami.

W 1925 roku zorganizowałem w Pruszkowie obchody imienin Marszałka Piłsudskiego. Wynajęliśmy salę, a TUR dał mi orkiestrę taką jaką mieli – mandolinistów. Zainteresowanie było tak wielkie, że sala nie mogła pomieścić ludzi. Na uroczystości przyjechał z Warszawy Tytus Czaki, a wiersze deklamował późniejszy wybitny komunista – Roman Zawistowski.

Skoro już jestem przy imieninach Marszałka to warto przypomnieć, że w tamtych latach 19 marca jeździło się do Sulejówka. Po pruszkowskich obchodach pojechaliśmy także do Sulejówka. Z okazji imienin X hektografię jednoaktówkę poświęconą Marszałkowi. Było to fantastyczne. Maszyniści zwykle zatrzymywali pociąg przed stacją, wtedy się zeskakiwało i było bardzo blisko do dworku Piłsudskiego. Stał tam honorowy posterunek – dwóch ułanów na koniach i strzelcy. Przyjechało dużo ludzi i każdy oczywiście wchodził do dworku z życzeniami. Następnie z hallu szło się na górę, ale przy drzwiach stał adiutant, który prosił, aby nie ścisnąć mocno Marszałka. Wszedłem i ja i zameldowałem się z życzeniami. Marszałek podziękował i uściśnął mi rękę.

W następnym roku 1926, manifestacja była olbrzymia. Przyjechaliśmy z Pruszkowa grupą do Warszawy, tam w Cytadeli mieliśmy nocować, by następnie z innymi oddziałami strzelców pojechać do Sulejówka. Dnia poprzedniego zorganizowano wieczór dla Piłsudskiego w Teatrze Wielkim, gdzie i ja przemaszerowałem z moimi „Strzelcami”. Zobaczyłem, że loża w której siedzi Marszałek jest niepilnowana, więc wziąłem swoich żołnierzy i idę z nimi, żeby przynajmniej na razie ich tam postawić. Wychodzi naprzeciw nam generał Rozeń, taki wysoki, chudy i ruga mnie, że to nasza wina i zaniedbanie. I moi chłopcy w ten sposób trzymali straż przy Komendancie. Potem byliśmy w salach reutowych, łączących się z Teatrem. Tam przybył Marszałek. My nadal byliśmy jego eskortą. To było wspaniałe. Marszałek siedział, a przed nim Ordonka zaczęła śpiewać „Jedzie, jedzie na Kasztance”. To robiło duże wrażenie. Były także inne występy i przemówienia. Rano, gdy pojechaliśmy do Sulejów-

ka to już tam się zebrał cały batalion strzelców, którymi dowodziłem i miałem prowadzić defiladę strzelców przed Marszałkiem. W tym roku była to już oczywiście jawna demonstracja. Widać było, że to nie tylko garstka przyjeżdża.

Wcześniej odbywał się zjazd „Strzelca” w Sali Rady Miejskiej. Przybył do nas Marszałek. Na takich imprezach zwykle sekretarzowałem jako student – strzelec. Siedziałem więc przy stole blisko Marszałka. To pojawienie się Marszałka w Warszawie było specjalnie zaaranżowane. Nastroje robiły się coraz bardziej gorące. Któregoś dnia – chyba pod koniec kwietnia lub na początku maja – dostałem wiadomość bym trzymał „Strzelców” przez cały dzień w Pruszkowie i żebym przysłał łącznika do Warszawy łącznik wrócił wieczorem z wiadomością, że zbiórkę można już rozwiązać. Pojechałem więc na drugi dzień do Warszawy, by dowiedzieć się czy będę potrzebny, gdyż muszę zacząć się uczyć do egzaminów. Powiedziano mi, że mogę śmiało wyjechać. Wobec tego pojechałem do mojej rodziny pod Kalisz. Miałem tam idealne warunki do nauki.

– I tak dowiedział się Pan, że w Warszawie wybuchły walki...

– Tak, i tam nagle dowiedziałem się, że w Warszawie mają miejsce walki. Postanowiłem natychmiast wracać. Ale był powszechny strajk. Dojechałem więc do Opatówka, do stacji kolejowej, a ubrany byłem w mundur strzelecki. Poradzono mi bym wyszedł na szosę i szukał samochodu. W końcu zatrzymałem takiego małego fordzika – autobus – gdzie ludzie poupychani byli jak sardynki. Dojechałem do Łodzi. Tam poszedłem do komendy „Strzelca”. Byli tam znani mi komendanci – Piątkowski i Graczyk. Chciałem dostać się do Warszawy. Oni do mnie, że muszę zostać na miejscu jako dowódca uzbrojonej kompanii, gdyż w Łodzi coś szykują monarchiści. I tak zostałem dowódcą kompanii na kilkanaście godzin. I rzeczywiście wtedy w Łodzi monarchiści chcieli zrobić jakiś zamach. Poszliśmy o świcie do Dowództwa Okręgu Korpusu. Tam słyszę rozmowę miejscowego dowódcy z generałem Galicą: „Panie generale, Marszałek jest zdziwiony, że pan tak postępuje”. Chodziło oto, że Galica początkowo szedł z pomocą rządowi.

Na rozkaz pojechaliśmy wysadzić tory kolejowe od strony Poznania, skąd szły oddziały przeciw Marszałkowi. W trójkę, z jakimś oficerem i jednym „Strzelcem”, dostaliśmy samochód i udaliśmy się do Łaska. Wysadziliśmy szy-

ny, a w wyrwę dla pewności wpełniliśmy wagon towarowy. Skończyliśmy a tu leci do nas zawiadowca stacji i macha rękoma. Dobiega i mówi: „W Warszawie wszystko skończone”. To był już koniec wypadków majowych. Postanowiłem wrócić po skrypty i pojechać do Pruszkowa. Jedziemy autobusem, obok siedzi jakiś żołnierz, a tu nagle auto zatrzymują poznaniacy. Jakiś sierżant zagląda do autobusu, gdzie siedzi żołnierz i ja w mundurze strzeleckim, a więc poznaniakom nieznanym. Myślę sobie – teraz będzie ładny bal. Sierżant nie bardzo wiedział jak zareagować na strzelecki mundur, więc wyciągam z kieszeni legitymację studencką i on machnął ręką. Powróciłem nazajutrz szczęśliwie do Warszawy. Tam okazało się, że moimi strzelcami dowodził kto inny i oni brali udział w zamachu majowym na Pradze.

Przez moją działalność społeczną nie miałem już czasu na studia i to się troszkę mściło. Przez trzy lata byłem na trzecim roku prawa. Po prostu zupełnie nie miałem czasu na naukę. Wreszcie jednak dostałem dyplom. W dwa lata po zamachu majowym zainteresowałem się Związkiem Polskiej Młodzieży Demokratycznej, z tym, że przez cały czas pozostawałem działaczem „Strzelca”. Sam jeszcze zaliczyłem dwa obozy strzeleckie p.w. jeden w Zagórzanach w olbrzymim, opuszczonym pałacu hrabiego Skrzyńskiego. Drugi pod Uściługiem.

– Kto był wówczas we władzach ZPMD.

– Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej wywodził się z trzech organizacji – OMN-u, Akademickiego POW i Związku Młodzieży Postępowej. Pierwszym przewodniczącym był Janusz Rakowski, a następnie po paru latach ja go zastąpiłem na tym stanowisku. Przemek Szczekowski był przede mną przewodniczącym Wydziału Wykonawczego.

– ZPMD była organizacją darzoną sympatią przez ówczesne władze?

– Trudno powiedzieć, by w okresie moich studiów akademickich ZPMD cieszyła się nadmiarem sympatii ówczesnych władz państwowych. W latach „przedmajowych” i bezpośrednio po tych wydarzeniach ZPMD było jedyną organizacją młodzieży piłsudczykowskiej, która samotnie prowadziła walkę na wyższych uczelniach z endecką prawicą, wspieraną przez korporantów. Słowo „walka” jest właściwe, gdyż staraliśmy się o wykazanie, że endecja nie ma mo-

napolu i nie może totalnie dysponować życiem akademickim. ZPMD nie było wówczas zbyt liczne, ale działało we wszystkich miastach akademickich. Oczywiście darzyliśmy sympatią pomajowe władze państwowe z Marszałkiem Piłsudskim na czele, lecz ceniliśmy przede wszystkim własną niezależność ideową. Nie zawsze wszystko nam się podobało i zawsze broniliśmy się przed próbami narzucenia linii postępowania w życiu akademickim i ogólno-politycznym. Władze majowe * przynajmniej niektóre ich agendy – uważały, że muszą mieć własną, w pełni dyspozycyjną młodzież studencką. Z tych względów nasza niezależność nie zawsze im się podobała. Doprowadziło to do niezbyt fortunnej w skutkach inspirowanej akcji rozłamowej, w wyniku której powstał „Legion Młodych”, bardzo bezceremonialnie forowany przez czynniki państwowe, „Legion” rozwijał się w warunkach ciepłarnianych. Z czasem zarysowały się w nim wewnętrzne fermenty, które doprowadziły do rozłamu w 1936 r.

– Jacy ludzie dominowali w Związku?

– Dominowała w naszych szeregach młodzież niezamożna; sporo mieliśmy kolegów ze wsi i ze świata robotniczego, byli także wśród nas koledzy pochodzenia żydowskiego. W sumie stanowiliśmy dość zwarty i ideowo jednolity zespół. Spośród najbliższych moich kolegów z ZPMD wielu poległo w walkach wrześniowych. Najboleśniej przeżyłem śmierć mego najserdeczniejszego przyjaciela, Jerzego Szpera, który poległ w obronie Warszawy. W walkach wrześniowych zginął też Jan Grzywaczewski, jeden z czołowych działaczy ZPMD. W latach konspiracji śmierć ponieśli w szeregach AK: Celina Zalewska, Józef Marszałek, Bronisław Budkiewicz, Władysław Zakrzewski.

– Jak wyglądała działalność Związku? Pana wkład był chyba duży?

– Gdy wstępowałem do ZPMD wydawało mi się, że działalność organizacji jest zbyt statyczna, zbyt ślamazarna. Wkrótce jednak udało mi się ożywić nasze środowisko. Przede wszystkim pod względem propagandowym. Nie mieliśmy żadnego pisma studenckiego, toteż powołaliśmy do życia „Głos Akademika”. W okresie rozłamu „Legion Młodych” przywłaszczył sobie to pismo. Wówczas założyłem „Życie Akademickie” i redagowałem je aż do pójścia do podchorążówki.

– Jakie nakłady osiągały ówczesne gazety?

– Nie pamiętam dokładnie jaki był nakład, ale na pewno ok. 500 egzemplarzy. Pismo rozsyłaliśmy do wszystkich okręgów ZPMD w miastach uniwersyteckich. Była to ważna akcja zewnętrzna, propagująca ZPMD i nasze poglądy w rozmaitych sprawach. Jak na ówczesne warunki był to niemały nakład, zważywszy w dodatku, że pism akademickich było bardzo mało. Brakowało nam zawsze funduszy, gdyż kieszenie studenckie były zwykle puste. Pomagali nam w tych kłopotach „seniorzy”, tzn. starsi koledzy, dopingowani do tego przez Tomasza Piskorskiego, a nawet i ludzie związani z OMN-em przed wielu laty. W sumie w polskim życiu akademickim ZPMD zajmowało poważną i powszechnie liczącą się pozycję. Jak już wspomniałem głównymi naszymi agresywnymi przeciwnikami byli endecy i korporanci. Ci ostatni często zamiast argumentów posługiwali się laskami. Za moich czasów w ZPMD podejmowaliśmy na wszystkich zebraniach akademickich prezentowanie naszego stanowiska. Trzeba było również pomyśleć o samoobronie, gdyż przeciwnicy dotychczas napastowali nas fizycznie. Zebraliśmy w Warszawie kilkunastu kolegów, podzieliliśmy na piątki, które pouczał o środkach samoobrony nasz znajomy kapitan z czynnej służby. Poczuliśmy się pewniejsi, a przeciwnicy przekonali się wkrótce, że potrafimy bronić się skutecznie przed napasciami fizycznymi.

Utrzymywaliśmy kontakty z kolegami socjalistami z ZNMS /Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej/ i niezbyt licznymi ludowcami. Kontakty z konserwatywną „Myślą Mocarstwową” i z dywersyjnym wobec nas „Legionem Młodych” miały charakter raczej dyplomatyczny niż przyjacielski.

Stworzyliśmy również własną agencję prasową pod nazwą „Akademicka Centrala Informacyjna” /ACI/, która przynajmniej raz na dwa tygodnie wydawała biuletyny, rozsyłane do wszystkich naszych okręgów i wielu pism codziennych lub tygodniowych.

W 1930 r. postanowiliśmy pojawić się na terenie zagranicznym. Istniała od szeregu lat Międzynarodowa Konferencja Studentów /Confederation Internationale des Etudianta/, w której uczestniczyli wyłącznie endecy. Pojechalśmy więc po raz pierwszy do Brukseli na zjazd tej konferencji i nawiązaliśmy trochę bezpośrednich kontaktów zagranicznych. Dla ułatwienia tej akcji przygo-

towaliśmy w języku francuskim specjalny numer „Głosu Akademika” /który był jeszcze wówczas w naszych rękach/. Rok później pojechaliśmy na bardzo podobny zjazd do Bukaresztu. Bogatsi w pierwsze doświadczenia byliśmy już lepiej przygotowani. Zrobiliśmy tam pierwszą wystawę prasy akademickiej wydawanej w Polsce.

Ostatnią moją akcją wydawniczą przed pójściem do podchorążówki było opracowanie krótkiego przewodnika akademickiego dla nowego rocznika studentów. Dawaliśmy w nim ogólny obraz organizacyjnego życia studenckiego i oczywiście obszernie omawialiśmy działalność ZPMD na wszystkich wyższych uczelniach w Polsce. Ta nasza inicjatywa bardzo się nie podobala młodzieży endeckiej, która reagowała na to w swój normalny sposób: parokrotnie pobito naszych kolegów, a nawet koleżanki, które ten przewodnik rozdawały. Należy tu dodać, że mieliśmy bardzo dobre i bliskie stosunki z Akademickimi Kołami Prowincjonalnymi, które zrzeszały studentów przybyłych na studia z różnych mniejszych miast w Polsce.

Głównym terenem batalii były w tamtych latach walne zebrania „Bratników” /Bratnia Pomoc/, trwające zwykle przez cały dzień i część nocy. Choć nie mieliśmy przewagi to jednak narzuciliśmy pewien styl tym zebraniom przez rzeczowe przygotowanie materiałów do dyskusji i zaskakiwanie przeciwników krytyką opartą na argumentach. Na Uniwersytecie Warszawskim doprowadziliśmy do tego, że postanowiono wybrać tzw. Radę Konstytucyjną, która miała opracować nowy statut i program działalności Bratniaka. Wybory do tej Rady były rzetelne, gdyż w komisjach byli przedstawiciele opozycji. W ten sposób do rady weszło 3-4 naszych przedstawicieli i 2 z ZNMS. Byliśmy wprawdzie w mniejszości, ale nasza obecność w tym zespole miała swoje znaczenie.

Wobec dużego rozproszenia się akademickich grup piłsudczykowskich Adam Skwarczyński – znany ideolog tego kierunku – podjął próbę utworzenia jakiegoś wspólnego porozumienia. Przedstawiciele tych organizacji zaprosił na wspólną rozmowę do Pałacyku pod Blachą, w którym mieszkał. Zjawili się tam przedstawiciele Legionu Młodych ze Zbigniewem Zapasiewiczem na czele, Henryk Dembiński z wileńskiego „Odrodzenia”, przedstawiciele myśli Mocarstwowej /nazwisk nie pamiętam/ i ja wraz z kilkoma kolegami z ZPMD.

Apele Skwarczyńskiego były bardzo gorące, wszyscy odnosili się do niego z szacunkiem. Ale na tym jednym zebraniu cała akcja się skończyła.

– W ZPMD działał wówczas późniejszy minister w rządach komunistycznych, Feliks Widy-Wirski...

– Był wówczas studentem medycyny w Poznaniu i tam działał w naszym środowisku. Był bardzo energiczny i ruchliwy, ale politycznie dość nieopanowany. Przyjechał kiedyś do Warszawy i powiedział nam, że przy ZPMD organizuje grupę roboczą, nazywaną „młodzieżą syndykalistyczną”. Przyjechał by przedstawić nam swój pomysł nadania rozgłosu krajowego tej grupie młodzieżowej. Miał to nastąpić przez wysadzenie w powietrze pomnika Chrystusa Króla w Poznaniu. Musieliśmy mu to skutecznie wybić z głowy. Przypuszczam, że już wtedy rozpoczął współpracę z komunistami. Później wstąpił do „Strzelca”, gdzie był lekarzem Okręgu Poznańskiego. W jakiś czas potem znalazł się w Stronnictwie Pracy, a później w Związku Syndykalistów. Dalsza jego działalność potwierdziła jego udział w ruch komunistycznym.

– Rok 1930-31 to lata w najnowszej historii Polski bardzo ważne. To proces brzeski, który wstrząsnął opinią publiczną.

– U nas w ZPMD toczyły się na ten temat bardzo gorące dyskusje. Trzeba pamiętać, że Centrolew był wtedy już bardzo dobrze zorganizowany i że mógł zmierzać do przewrotu, jego wystąpienia mogły wyraźnie na to wskazywać. Przypominam sobie takie wydarzenia. W Dolinie Szwajcarskiej zorganizowany był wiec. Poszliśmy z moją obecną żoną, a wtedy jeszcze narzeczoną, zobaczyć co się tam dzieje. Zanim doszliśmy, ujrzelśmy wychodzący pochód zmierzający przez Aleje Ujazdowskie w kierunku Nowego Świata. Wiem, że przy rozpraszaniu go padły jakieś strzały, ale myśmy byli już daleko. Wysłuchałem natomiast – jeszcze w Dolinie – jednego przemówienia. Było bardzo ostre, niemal prowokacyjne. To robiło wrażenie wezwań do obalenia władz i ustroju państwa.

Ja, po zastanowieniu, opowiedziałem się wówczas za Piłsudskim. Oczywiście nie wiedzieliśmy co naprawdę robi Kostek-Biernacki, co tam się w Brześciu

dzieje. Zdecydowaliśmy wówczas większością głosów, że nie występujemy przeciwko Brześciowi. I teraz tego nie żałuję, chociaż potępiam metody. W moim pojęciu Piłsudski nie był za zastosowane metody odpowiedzialny. On nie był człowiekiem brutalnym i mściwym. Przecież opozycja miała stosunkowo dużą swobodę, zwłaszcza w wypowiedziach. Uspokojenie sytuacji w Polsce było przeprowadzone brutalnie, ale nie doszło do rzeczy, na które się zanosilo. Przecież mogło dojść do próby przewrotu.

– W tym samym okresie przeprowadzono pacyfikację Małopolski Wschodniej.

– Byłem temu przeciwny. Co prawda ja się specjalnie nie zajmowałem sprawami ukraińskimi, ale to czego się dowiedziałem było oburzające. Podobnie jak późniejsze burzenie cerkwi. Druga strona także była brutalna, wystarczy przypomnieć śmierć Hołówki czy Pierackiego, a więc rzeźników porozumienia z Ukraińcami.

– Ale powróćmy do Pana dalszych losów. Skończył Pan studia...

– Po studiach miałem szczęście, gdyż udało mi się dostać na aplikację sądową w Ministerstwie Sprawiedliwości. Była to dobra sytuacja, gdyż w ministerstwie dostawałem jakieś pieniądze, podczas gdy aplikanci byli bezpłatni.

Do wojska poszedłem na jesieni 1931-go roku. Służbę mogłem mieć skróconą, gdyż miałem za sobą dwa stopnie PW, były to te dwa obozy letnie, o których wspominałem. Poszedłem do podchorążówki piechoty w Śremie. Odbywali tam różni ludzie – tacy jak ja po studiach, świeżo upieczeni maturzyści, a nawet tacy, w 20 roku coś mieli zaliczone, a teraz musieli to uzupełnić. Była to podchorążówka z typowo poznańskim drylem. Udałem się tam z pewną myślą. Doszedłem do wniosku, że co roku przechodzi przez takie szkoły rezerwy i zawodowe ładnie parę tysięcy młodych ludzi. I nikt ich nie wychowuje w duchu ogólnopolitycznym. Wobec tego przed pójściem do szkoły podchorążych zacząłem czynić starania poprzez pułkownika Adama Borkiewicza /to późniejszy autor monografii o Powstaniu Warszawskim/, a także Wacława Lipińskiego, aby stworzyć jakieś pismo dla podchorążych. Celem takiego pisma byłoby udzielanie tym ludziom informacji, wychowywanie ich. Ale ciągle brakowało miarodajnych decyzji. Pojechałem do Śremu razem z moim przyjacielem, któ-

ry wraz ze mną miał to pismo robić – Stefanem Sikorskim, też z ZPMD. Przyjechaliliśmy, a sierżant do nas, że pójdziemy do paki, bo się spóźniliśmy. Do paki jednak nie poszliśmy, bo przyszła depesza z Warszawy, że możemy się spóźnić.

– Jak się robiło pismo w ówczesnym Wojsku Polskim?

– W końcu zaczęliśmy robić to pismo. W Śremie znalazłem świetnych współpracowników i późniejszych przyjaciół – rysownika Adama Siemaszkę i Bohdana Korzeniowskiego, później wybitnego teatrologa, oraz Stefana Putowskiego. I tak zaczęliśmy wydawać gazetkę, na razie na powielaczu. Drukowaliśmy to na powielaczu w miejscowej Fabryce Kawy Zbożowej. Dowódca kompanii był zadowolony, że to się u niego dzieje. Na święta Bożego Narodzenia pojechałem do Warszawy i udało mi się wówczas przeforsować pomysł. Dostaliśmy zezwolenie z Ministerstwa Spraw Wojskowych i trochę pieniędzy.

Po ostatecznej aprobacie skierowano mnie w tej sprawie do ówczesnego wiceministra – generała Felicjana Sławoj-Składkowskiego. Nauczony w Śremie stanąłem w jego gabinecie z czapką w rękę, a że głos mam dość mocny, pełnym głosem zameldowałem się. Od tego momentu można było wszystko szybciej załatwiać.

Mogliśmy w związku z otrzymaniem pieniędzy zacząć drukować „Podchorążego” w drukarni. Było to od numeru piątego, który ukazał się z datą 19 marca 1932 roku. Drukowaliśmy gazetę w Poznaniu, w drukarni Stowarzyszenia Kupców. Nie byliśmy frajerami, więc zawsze wyjeżdżało nas dwóch, trzech, zwłaszcza że było dużo roboty. Mielśmy zresztą taki przywilej, że nie zawsze musieliśmy chodzić na ćwiczenia. Mogliśmy też siedzieć po capstrzyku na górze, w naszej redakcji. I tam sobie w ciszy odpoczywaliśmy, rozmawialiśmy i planowaliśmy. Zawsze jednak na stole leżał rozłożony karabin maszynowy.

Po szkole chcieliśmy być całą naszą czwórką w Warszawie. Tymczasem pewnego razu nasz dowódca podchorążówki kompletnie się załamał i zaczął grozić, że nas porozrzuca po całej Polsce, co uniemożliwiłoby redagowanie pisma. Wróciłem z Poznania i dowiaduje się o awanturze. A było to na ćwiczeniach w Biedrusku. Zdenerwowany natychmiast zadzwoniłem z miejscowej poczty do ministerstwa i poskarżyłem się, gdyż dalszy los pisma zależał od tego, czy nadal pozostaniemy razem. I rzeczywiście telefon pomógł.

Tymczasem pismo chwyciło, gdyż niczego podobnego nie było. Może też dlatego, że nie uprawialiśmy żadnej dydaktyki, to było takie „pogodne” pismo. Później mieliśmy korespondentów za granicą. Pisał do nas m.in. Fajana, który przysyłał swoje reportaże ze świata. Siemaszko świetnie się sprawdził jako rysonnik, a Korzeniewski prowadził dział literacki.

Stopniowo rozszerzaliśmy swój zasięg, ponieważ początkowo pismo skierowane było tylko do podchorążych rezerwy, ale z czasem skierowano je do szkół dla podchorążych zawodowych. Chciałem zmobilizować pracowników i dwa razy do roku organizowałem konferencje redakcyjne w Warszawie. Mówiłem wtedy: Spotkanie trwa do południa, a potem macie czas wolny. Postanowiłem upowszechnić 29 listopada, gdyż dotychczas podchorążowie z jednej tylko szkoły trzymali wartę przed Belwederem. Zaproponowałem zorganizowanie w dniu 29 listopada ogólnego „Dnia Podchorążego”, który byłby centralnie obchodzony w Warszawie. Chciałem to połączyć z występami i popisami wojskowych zespołów artystycznych. Okazało się, że pomysł bardzo się spodobał. Doszło do tego, że zjeżdżały się zespoły i delegacje z całej Polski. Na Placu Piłsudskiego zorganizowana była zawsze defilada. Delegacje przyjmował na Zamku Prezydent. W przeddzień odbywały się występy artystyczne wojskowych zespołów, z początku w Magistracie, a z czasem w Teatrze Polskim.

– A kto kontrolował tę działalność z ministerstwa?

– Nikt. Za całość odpowiadałem sam i ja decydowałem o programie wystąpień. Kiedyś miałem zabawną historię. Wzywa mnie któryś z pułkowników z Wojskowego Instytutu Naukowo – Oświatowego i mówi, że nasz wywiad skarży się, iż ujawniłem na okładce „Podchorążego” tajemnicę: „nowe dzieło i maski gazowe”. Ubawiło mnie to, gdyż było to zdjęcie z agencji fotograficznej zagranicznej, pokazujące angielskie dzieło. I od tego czasu miałem święty spokój.

Chciałem to pismo doprowadzić do dziesiątego roku, bo prowadziłem je przez osiem lat. W ostatnim naszym numerze przed wojną, wydanym 25-go sierpnia, taki młody oficer, chyba Rosen Zawadzki napisał świetny tekst o broni pancernej, omawiając m.in. jakie będą skutki jej zastosowania. Jednocześnie znalazłem artykuł gen. Sikorskiego w „Kurierze Warszawskim”, który stwier-

dzał, by nie przesadzać z wyobrażeniami, o przyszłej wojnie, o wojskach pancernych, bo Niemcy nie mają paliwa. Mam ten artykuł zachowany do dziś! „Podchorąży” miał rację! Nakład chyba wynosił ponad półtora tysiąca.

– Równocześnie prowadził pan jeszcze inną działalność.

– Tak, ale musiałem pilnować swojego zawodu. Byłem aplikantem sądowym i tam zorientowałem się, że związki istniejące w tym prawniczym zawodzie są zdominowane przez endeków. W tej sytuacji trzeba było po prostu zrobić co innego. I tam założyłem Związek Młodych Prawników. Jego członkami byli asesory i aplikanci sądowi oraz adwokacy. Oddziały terenowe działały wszędzie tam, gdzie były sądy apelacyjne – Wilno, Lwów, Kraków, Lublin, Katowice, Poznań i Warszawa. Zacząłem wydawać pismo. Miało tytuł „Współczesna myśl prawnicza”. Już nawet dokładnie nie pamiętam, raz w miesiącu albo raz na kwartał. Pisali tam młodzi bardzo ciekawi autorzy. Zaczęliśmy walkę o prawa aplikantów. Trzeba pamiętać, że aplikanci byli w zasadzie bezpłatni, gdyż było bardzo mało etatów. Prowadziliśmy całą kampanię o prawa tej grupy zawodowej. Jeszcze później, gdy już byłem posłem wygłosiłem w Sejmie przemówienie w sprawie aplikantów.

Jednocześnie zacząłem szukać kontaktów zagranicznych. Wysłaliśmy listy do różnych organizacji prawniczych w Europie. Dostaliśmy dwie pozytywne odpowiedzi, z Budapesztu i Berlina, a mętne z Francji. Zaprośiliśmy więc delegacje z obu krajów. Pierwsi przyjechali do nas hitlerowcy. Rzeczywiście byli dobrze zorganizowani. Jeden z nich przyjechał w mundurze. Zdenerwowało mnie to, jak można przyjeżdżać w mundurze kiedy jest zaplanowane spotkanie z ministrem sprawiedliwości. Doszło w końcu do tego, że ten hitlerowiec musiał przeproszać naszego ministra.

Później miały miejsce rewizyty. W Berlinie zaprosił nas minister sprawiedliwości na lunch, na którym był m.in. prezes Niemieckiej Akademii Prawa – Hans Frank. Powiedziałem wtedy, że uważam, iż nasze sąsiedzkie narody powinny porozumiewać się swoimi językami i mówiłem po polsku w części oficjalnej. Oczywiście w czasie posiłku mówiliśmy też po niemiecku. Chodziło tu o podkreślenie naszej niezależności. Wtedy też mogłem zobaczyć doroczny zjazd hitlerowców w Norymberdze. To był rok 1935.

– Jakie to robiło wrażenie?

– Bardzo groźne. Już wtedy było widać jaka siła została przygotowana. Poza miastem urządzono pierwsze wojskowe pokazy. Wówczas Werhmacht pierwszy raz defilował przed Hitlerem. O tych pokazach mówiłem z pułkownikiem Szymańskim, attache naszej ambasady w Berlinie mówiłem, że bardzo duże niebezpieczeństwo tkwi w podporządkowaniu się Werhmachtu. Szymański bardzo inteligentnie oceniał dalszy rozwój sytuacji i grożące niebezpieczeństwo.

– Jak dalej układała się Pańska kariera zawodowa?

– W tym czasie działały trzy organizacje prawnicze w Polsce. Nasza, endecka, a trzecią zrobił Leon Chajn dla żydowskich prawników. Ja tymczasem awansowałem na asesora, a zaczem na podprokuratora z przydziałem do ministerstwa, gdzie zajmowałem się problemami młodzieży prawniczej. Mogłem wtedy mieć wpływ na poprawę ich warunków bytu.

Prowadziłem wojnę z moim nowym ministrem – Grabowskim /następcą Michałowskiego, także wypłynął po Brześciu/. Przydzielony byłem wtedy do Biura Personalnego, gdzie przyszedł nowy szef – Siewierski /po wojnie był w Sądzie Najwyższym PRL/, był zresztą moim belfrem u Kulwiecia, gdzie wykładał „naukę o Polsce i świecie współczesnym”. Zgłosiłem się do Siewierskiego i mówię, że jestem politycznie związany z „Naprawą” i jeśli to się ministrowi z jakiś względów nie podoba, to mogę odejść. Na co usłyszałem, że minister nie widzi żadnych przeszkód w mojej dalszej pracy. Wkrótce potem nagle dowiaduję się, że muszę odejść. A byłem wtedy podprokuratorem w Piotrkowie z przydziałem do Warszawy. Uzyskałem tylko przeniesienie do Warszawy. Wracam z urlopu i dowiaduję się, że zostałem przeniesiony do Zamościa. Był to po prostu kopniak. Absolutnie nie miałem zamiaru się na to zgodzić, byłem zbyt mocno związany z Warszawą. Zacząłem robić wszystko co można, by ministrowi utrzyć nosa i utrzymać się w Warszawie. Dzięki pomocy przyjaciół udało mi się dostać stanowisko w Ministerstwie Skarbu, jako zastępca rzeczownika dyscyplinarnego. W ten sposób doszedłem do radcostwa. Ministrem był wtedy Kwiatkowski, a ja pracowałem u byłego prezydenta Lwowa, dyrektora personalnego, pana Drojanowskiego. Był to bardzo sympatyczny i dzielny człowiek.

– Jak przyjął Pan śmierć Piłsudskiego, co ona dla Pana oznaczała?

– Mimo młodego wieku byłem „starym piłsudczykiem”. Po prostu moja świadomość zawsze wiązała się z okresem Piłsudskiego. Jego śmierć była dla mnie dużym wstrząsem. Zastanawiałem się co będzie dalej i kto może sprawę Polski dalej poprowadzić. Obawiałem się „sejmowładztwa”, nie chciałem by powrócił okres lat 1923–1926, gdyż mogło by to oznaczać zmarnowanie całego dorobku Polski osiągniętego za czasów Piłsudskiego.

Byłem wówczas przekonany, że obóz piłsudczyków wyłoni jakieś przywództwo, przygotuje jakąś deklarację. Kiedy jednak Koc ogłosił swą deklarację, to nie byłem nią zachwycony, gdyż pisana była bez zrozumienia społeczeństwa. Zbyt wiele tam było elementów wojskowych, nawet w stosowanym słownictwie.

– Więc dlaczego jednak OZN...

– Uznałem jednak, że nie ma innego wyjścia, gdyż OZN jest spadkobiercą polityki Piłsudskiego i dlatego należy zainteresować się OZN-em. Wówczas kuzyn Koca, który zaczął organizować Obóz Zjednoczenia Narodowego, Adam Siemaszko, mój przyjaciel zaproponował mi pracę w propagandzie OZN-u. W OZN-ie diabli mnie brali, gdy Koc zaczął dogadywać się z Piaseckim. Jako działacz ZPMD nie mogłem pogodzić się z tym, że on porozumiewa się z gorszymi od endeków, bo z oenerowcami, i to z tymi „z pod ciemnej gwiazdy”. Był tam też taki major Kruk-Strzelecki, a ja miałem mu coś pomagać. Zobaczyłem wtedy, że jego propaganda to rzecz niepoważna. Nie było żadnej propagandy tylko codziennie ogłaszano kto przystąpił do obozu. Wobec tego wycofałem się z tego stanowiska. Powróciłem kiedy nowym szefem sztabu OZN-u został pułkownik Jan Kowalewski, którego dobrze znałem. To był bardzo inteligentny jegomość. Znałem go gdy poprzednio był attache Wojskowym w Bukareszcie, gdzie nieraz bywałem. I tak zostałem szefem propagandy OZN-u.

– Jakimi środkami pan wówczas dysponował?

– Żadnymi. Właściwie miałem takich dwóch facetów, którzy zupełnie się do tej roboty nie nadawali. Musiałem stworzyć nowy zespół. Później powie-

działem, panie pułkowniku ja muszę pojechać i przedstawić się w redakcji. Byłem w „Robotniku” u Niedziałkowskiego, w prasie endeckiej, pojechałem do „Kuriera Warszawskiego”, do wieczorówek. Uważałem, że niezależnie od poglądów politycznych prasa powinna znać się wzajemnie.

Postanowiłem tworzyć propagandę skuteczną. Dbając o to, by w jak najmniejszym stopniu była totalna, aby nie można było jej o totalizm posądzić. Chciałem docierać do środowisk robotniczych, ale także i ich opinie reprezentować. Gorzej było dotrzeć do wsi, gdzie silne były „Wici”, choć działał i „Siew”. W samym OZN-ie widoczne było, że reprezentowana jest tam nie tylko prawica. Byli tam również „naprawiacze” z Wilna, Lubelszczyzny i Poznania, a więc lewica piłsudczykowska.

Muszę przyznać, że w mojej pracy jako szefa propagandy miałem absolutnie wolną rękę. Tylko ode mnie zależało co zrobić. Dość szybko powstał kryzys. Wycofano Kowalewskiego i przyszedł Wenda.

– Z II Oddziału.

– Równocześnie z otoczenia Śmigłego. Zrobiłem wtedy pewnego rodzaju manifestację. Miałem już 23 pracowników, z tym że większość to byli „dochodzący”. Złożyłem dymisję swoją swoich pracowników na ręce pułkownika Wendy. Nie było to przeciwko Wendzie, tylko w obronie Kowalewskiego. Oczywiście zrobiłem to tak, by zaraz dwie wieczorówki o tym napisały. Wenda natychmiast zaczął mnie przekonywać bym został. I ja się zgodziłem.

– Z jakiego powodu musiał odejść Kowalewski?

– Kryzys, który powstał wówczas w OZN-ie był zmianą pewnej linii. Płk. Kowalewski miał bardzo demokratyczne poglądy, chciał by do OZN-u wprowadzić rozmaite organizacje młodzieżowe, m.in. „Siew” – pro piłsudczykowski, ale wyraźnie demokratyczny, a nawet lewicowy. Znałem tę organizację, bo wielu członków jej kierownictwa było w ZPMD. Kowalewskiemu chodziło o to, by nie zamykać się we własnym gronie. Nie wiedziałem wtedy tego, ale na tym tle doszło do różnic zdań między nim a Kocem. Niespodziewanie dowiedziałem się, że Kowalewski odchodzi. Byłem tym zaniepokojony, gdyż ukazywało to jak Koc się zmienił. To nie był już ten legionowy Koc, o demo-

kratycznych przekonaniach. Zgłaszając dymisję po odejściu Kowalewskiego chciałem przeciw jego dymisji zaprotestować, ponieważ uważałem jego linię za słuszną. Chciałem by to rozeszło się po Warszawie, by następca Kowalewskiego, a już wiedziałem, że to będzie Wenda, prowadził prace OZN-u inaczej niż chciałby Koc. Więc, jak mówiłem, powiedziałem wszystkim moim kolegom, że podaję się do dymisji, gdyż przychodzi nowy szef. Koledzy dołączyli się do mnie. Informacja ukazała się w kilku popołudniówkach, także sprawa odejścia Kowalewskiego stała się głośna. Muszę dodać, że później z Wendą pracowało mi się bardzo dobrze, nabraliśmy do siebie wzajemnego zaufania. Był inteligentny i rzetelny. Dawał mi swobodę inicjatywy i pomagał w jej realizowaniu.

– O pułkowniku Zygmuncie Wendzie mówiło się jako o szarej eminencji Polski, o jego wpływie na marszałka Śmigłego.

– W dużym stopniu to było prawdziwe. Ja spotkałem w życiu trzech pułkowników – nie licząc Grota – których uważałem za wyjątkowo inteligentnych i z którymi można było dobrze pracować. Kowalewski, Wenda, Rzepecki. Wenda był bardzo inteligentny, przyzwoity w postępowaniu z ludźmi, bardzo oddany Piłsudskiemu, ale i Rydzowi. Poza Wendą największy wpływ na Rydza miał Miedziński, który sam mi o tym mówił. Z Wendą dobrze mi się pracowało. Dawał mi zupełną swobodę. A przecież nie zawsze wiedział co ja zrobię. Wiedział natomiast, że ja jestem związany z „Naprawą”. Ja byłem oczywiście lojalny. Zawsze mówiłem gdy chciałem zrobić coś ważniejszego.

– Wróćmy może do pańskiej działalności. Jak Pan tworzył tę nową propagandę.

– Tak, tworzyłem wtedy nową propagandę. A to dlatego, że mnie to zafascynowało. Interesowało mnie to od czasów studenckich. Widziałem jak u nas partolą robotę, jak nie umieją do ludzi podejść i ich przekonać. A zarazem wiedziałem jakim propaganda jest ważnym instrumentem, pod warunkiem, że prowadzi się uczciwą propagandę. Nie wolno w niej oszukiwać. Nie wolno kłamać. To jest zasadniczy warunek dobrej propagandy. I to każdej. Chyba, że jest dywersyjna.

Zgromadziłem młodych ludzi, paru z ZPMD, jednego czy dwóch z „Sie-

wu” i jednego harcerza /nie nadawali się do tego ludzie z Myśli Mocarstwowej/. Budowałem aparat do działania. Mieli pracować tak jak chciałem. Jak ktoś był słaby to go spławiałem. Dostałem nieograniczone możliwości i zupełnie wolną rękę, aby ustawić propagandę. Dotychczasowa propaganda robiła wrażenie, że oddziaływają ale tak naprawdę była bezskuteczna. Na początek postanowiłem stworzyć dobre pisma tygodniowe związane z OZON-em. Wobec tego zlikwidowałem cztery pisma ludowe finansowane przez nasze ośrodki, ale nie prenumerowane. Utworzyłem jedno pismo, tygodnik o tytule „Wieś Polska”. Nie było również żadnego dobrego pisma robotniczego. A ponieważ istniały prorzadowe związki zawodowe – Zjednoczenie Polskich Związków Zawodowych, które było przy OZON-ie, trzeba było coś zrobić dla nich. Podobnie jak z pismami chłopskimi postąpiłem z pismem dla robotników. Redaktorem został Józef Sosnowski, profesor z gimnazjum im. Władysława IV na Pradze.

Uważałem, że pisma nie mogą rozchodzić się za darmo, gdyż będą lekceważone i poniewierane. Zdobycie prenumeratorów nie było łatwe. Ludzie byli zdemoralizowani tym, że dotychczas dostawali gazety za darmo. W związku z tym „Wieś Polska” zacząłem robić tak, by dawać prerogatywy prenumeratorom. Ci, którzy płacili prenumeratę za kwartał mogli uczestniczyć w losowaniu sprzętu rolniczego – pługów, bron, młockarni. Nic mnie to nie kosztowało, gdyż znalazłem firmy, które się u nas ogłaszały i mogły płacić gotówką lub sprzętem. Po losowaniu sprowadzałem zwycięzców do Warszawy, tam otrzymywali wygrany sprzęt a następnie prezentowaliśmy to w gazetach, itd. Dzięki takim sposobom ilość prenumeratorów zwiększyła się do trzydziestu paru tysięcy, co na ówczesne czasy było bardzo dużą liczbą.

Z robotnikami zrobiłem inaczej. Mieliśmy Zjednoczenie Polskich Związków Zawodowych, które było szczególnie silne na Śląsku. Zawarliśmy tam następującą umowę. W składkę związkową wliczona była prenumerata /obniżona zresztą/ za numer „Robotnika Polskiego”. Osiągnęliśmy w ten sposób 103 tysiące płatnych prenumeratorów. Dzięki temu mieliśmy już realnych odbiorców.

Udało mi się również załatwić z Wojskowym Instytutem Naukowo-Wydawniczym następującą transakcję. Oni posiadali ścienną gazetkę to się nazywało „Nowiny”. Jedno wydanie było dla żołnierzy, drugie dla ludności cywilnej było

na rozpaczliwie niskim poziomie. Zaproponowałem, żeby oddali mi te cywilne „Nowiny”, że my to będziemy redagować. Rozwieszaliśmy ją w rozmaitych urzędach, starostwach, tam gdzie gromadzili się ludzie. Kiedy ruszyłem z gazetą ścienną, to bardzo dbałem o dobry materiał ilustracyjny. Olbrzymi nacisk kładłem, by w każdym wydawnictwie były zdjęcia. Miałem jeszcze zaplanowane nowe pismo wzorowane na niemieckich tygodnikach, składających się prawie z samych obrazków. Takie rzeczy częściowo ukazywały się u nas w dawnym zaborze pruskim, ale to było jeszcze za mało. Miało to być tylko przyjemnością do czytania i obejrzenia. Tego jednak już nie zdążyłem zrobić.

– Jak wyglądały Pańskie stosunki z Polskim radiem?

– Stałych audycji nie miałem, natomiast w każdej chwili miałem dostęp do radia. Przeważnie dwa razy w miesiącu robiłem wieczorek takie krótkie pięciominutowki. Po prostu dzwoniłem, że mam coś interesującego i umawiałem się na odpowiednią godzinę. Często poprawki tekstu robiłem jeszcze w taksówce jadąc do radia.

Ale zatrzymajmy się jeszcze przy propagandzie. Zwróciłem uwagę na plakat. Prosiłem różnych moich znajomych. Korespondentów, ludzi jeżdżących w świat, aby przysyłali mi plakaty z różnych stron świata. Chodziło mi o zgromadzenie jak największej ilości plakatów, by służyły jako wzór tego jak nowocześnie robić nasze. Wydałem parę takich plakatów.

– Pańskie doświadczenie zostało spożytkowane w wyborach 1938 roku ...

– To była ważna politycznie sprawa. Uważałem, że wydawanie i rozrzucanie ulotek po ulicach jest szkodliwe. Postanowiłem wydać broszurę w nakładzie miliona egzemplarzy i rozesłać je imiennie przez pocztę. Kiedy to powiedziałem Wendzie, to spojrzał na mnie jak na wariata. „A co pan z tym zrobi?”, spytał mnie Wenda. „Roześlę na adresy domowe”, odparłem. Treść tej broszury była spokojna. Zawierała omówienie sytuacji w kraju, zadania OZON-u, odpowiedź na pytanie dlaczego potrzebne są wybory. Teraz trzeba było zdobyć adres. Zakładałem, że ktoś kto otrzymuje do domu broszurę adresowaną do niego, to ją przeważnie przeczyta – 16 stron drukowanego słowa za darmo, to

warto przeczytać. Zaczęliśmy szukać adresów. Książki telefoniczne częściowo tylko rozwiązały problem. Zacząłem szukać po rozmaitych instytucjach, np. w Banku Rolnym, który posiadał adresy pożyczkobiorców, PKO, Bank Gospodarstwa Krajowego. Dość, że broszurek poszło drogą pocztową ponad 900 tysięcy. Była to olbrzymia praca organizacyjna. Pracowało przy tym kilkadziesiąt osób. Robili to młodzi chłopcy, których wynajmowaliśmy.

Propaganda ta zdała egzamin czego dowodem była frekwencja wyborcza, wyraźnie większa niż w poprzednich wyborach. Oczywiście był to wynik także ogólnej sytuacji politycznej. Wazne były także przemówienia, np. Kwiatkowskiego, Wendy, Miedzińskiego, Skwarczyńskiego, które szły na całą Polskę przez radio.

– To były wybory, w których startował także Pan, wtedy całkiem młody człowiek, który na dodatek dysponuje najpotężniejszym w ówczesnej Polsce aparatem propagandy.

– Przyszedł do mnie kierownik organizacyjny w OZN-ie i zapytał czy chciałbym startować w wyborach do Sejmu. Zgodziłem się. Powiedział mi wtedy, że mamy do wyboru Nowogródek albo powiat warszawski. Nie zgodziłem się w żadnym wypadku na Nowogródek, z powodu opinii na temat tego jak się głosuje na kresach wschodnich. Wybrałem powiat warszawski, w którym przed dziesięć laty pracowałem i działałem. Tam był przecież mój Pruszków, gdzie tworzyłem „Strzelca”.

Miałem wówczas masę roboty z ogólną propagandą i dlatego mogłem jeździć tylko wieczorami na spotkania w terenie. Udało mi się być we wszystkich ważniejszych punktach wyborczych. W czasie swych spotkań przedwyborczych nigdy nie mówiłem o sobie. Mówiłem o konieczności głosowania, dlaczego powinniśmy to robić. Tłumaczyłem, że nie muszą głosować na mnie, ale wysoka frekwencja jest potrzebna by wykazać siłę Polski.

Kiedyś w czasie spotkania miałem taką przygodę. Zebranie odbywało się na przedmieściu Bródna, tam gdzie jest wielki cmentarz, a było to w okolicach 1 listopada. Po spotkaniu jeden z organizatorów wręcza mi doniczki z chryzantemami i prosi bym zabrał je dla małżonki. Takie właśnie doniczki stawiano na grobach.

Moi znajomi z Pruszkowa przygotowali ulotkę apelującą o poparcie dla mnie i rozesłali na różne adresy.

Z całej pracowitej kampanii przedwyborczej miałem bardzo dobre wrażenia. W wyborach zwyciężyłem wyprzedzając o 20 tysięcy głosów następnego na liście /było 5 kandydatów/. Dostałem 70 tysięcy głosów. I tak zostałem posłem na Sejm.

– Najmłodszym posłem Rzeczypospolitej i czekało Pana ślubowanie.

– Zaraz opowiem jak to było. Wcześniej wiedzieliśmy, że marszałkiem Sejmu będzie wybrany Makowski, profesor prawa. Wicemarszałkami byli Wysł Mudyj /Ukrainiec, Wenda, Surzyński Jedynak i Długosz. Ten ostatni był z „Naprawy” z Poznania, no Wenda z OZN-u ponadto było ośmiu sekretarzy. Ja jako najmłodszy byłem także sekretarzem. Zawsze na każdym posiedzeniu siedziało nas dwóch. Po złożeniu przysięgi wyczytywałem kolejnych posłów, którzy mieli składać przysięgi. Sala miała dobrą akustykę, ja zaś dysponowałem niezłym głosem, więc wszystko to dobrze wyszło. Zostałem też członkiem Sądu Marszałkowskiego i czterech komisji sejmowych, starałem się być we wszystkich czynny.

– Pan często występował w komisjach sejmowych?

– Obowiązek poselski traktowałem poważnie i chciałem korzystać z okazji do poruszania rozmaitych spraw. Zawsze bardzo starannie przygotowywałem się do wystąpień, zwłaszcza w Komisji Budżetowej, gdzie należało być bardzo ścisłym w stawianiu spraw. Miałem absolutnie wolność słowa, gdyż w kierownictwie OZN nikt nie wtrącał się do mojej działalności sejmowej, a parokrotnie nawet zlecono mi wystąpienie w imieniu OZN.

W Komisji Budżetowej miałem kilka przemówień, które zmusiły ministrów do uznania mej krytyki za słuszną. Swe wystąpienia zacząłem w styczniu 1939 r. przy rozpatrywaniu budżetu prezydium Rady Ministrów, do którego włączone były sprawy Polskiej Akademii Telegraficznej /PAT/. Szczególnie obrazowo i dotkliwie skrytykowałem niewłaściwy poziom filmowego „Tygodnika Aktualności” tej agencji. Uważam, że nie jest na właściwym poziomie tematycznym, gdyż niezwykle mało mówi o wydarzeniach w całym kraju, a koncentruje się na tzw. galówkach. Opowiadałem m.in. jak przedstawia się społeczeństwu takie

wydarzenia, jak np. budowa nowego mostu. Na ekranie pokazują nam ministrów i dygnitarzy w uroczystych melonikach, a nie wiemy nic na temat kto planował ten most, jak robotnicy pracowali przy jego budowie, czy inżynierowie. To wystąpienie nazwano ogólnie „filmowaniem meloników”. Odpowiadał mi na tę krytykę premier Sławoj-Składkowski. Przyznał mi rację i zapowiedział, że w przyszłości będzie już mniej meloników, a więcej robotników i zdjęć z ich pracy.

Przy rozpatrywaniu budżetu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przedstawiłem ministrowi, czyli Sławojowi, rozmaite potrzeby regionu podstołecznego, mojego okręgu wyborczego. Zabierałem również głos przy rozpatrywaniu budżetu Ministerstwa Oświaty, wzywając by w programach wyższych uczelni uwzględniono także najważniejsze podstawy wiedzy wojskowej. Podkreślając, że zajścia antyżydowskie na uniwersytetach są „plamą na honorze polskiego akademika”, wyraziłem nadzieję, że minister znajdzie właściwe metody, by zapobiec temu i zapewnić spokój na uczelniach.

Również w styczniu zgłosiłem na plenum Sejmu interpelację poselską z powodu długotrwałych opóźnień i nieregularności w węźle warszawskim, na co przez parę tygodni narzekali wszyscy dojeżdżający do Warszawy. Domagałem się od ministra /płk Ulrycha/ wyjaśnień w tej sprawie. Była to pierwsza i chyba jedyna interpelacja posła do ministra świadcząca, że posłowie OZN mają absolutną wolność krytykowania swych ministrów.

W lutym z ramienia OZN przemawiałem na plenum sejmowym w dyskusji nad budżetem Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. Te zagadnienia od dawna bardzo mnie interesowały i miałem okazję, by w imieniu OZN przedstawić pewne wytyczne programowe w stosunku do polityki społecznej Rządu. Jej ogólne założenia miałem przemyślane wcześniej i teraz rozwijałem je obszernie z głębokim przekonaniem, że przyjęcie przez Sejm i Rząd moich propozycji wpłynie istotnie na poprawę sytuacji świata pracy, jak również będzie miało korzystny wpływ na popularność OZN-u. prasowe sprawozdanie z mego wystąpienia były bardzo obszerne. Przed kilkunastu laty w Paryżu znalazłem numery „Gazety Polskiej” z tego okresu. W jednym z numerów była mowa o tym moim wystąpieniu sejmowym z 16 lutego. Przytaczam z niego kilka fragmentów, utrwalonych w tym numerze „Gazety”.

„Robotnik musi mieć świadomość, że swoją pracą przyczynia się do wzmocnienia siły gospodarczej Polski i potencjału jej obronności... Pracodawca musi nauczyć się zasiadać z robotnikami przy wspólnym stole narad. Wyzysk powinien być tępiiony nie tylko przez ustawy, ale piętnowany w opinii publicznej.

Na czoło zagadnień ustawodawczych wysuwa się konieczność powołania Izby Pracy. Dojrzała również do załatwienia sprawa ustawy o instytucji rad zakładowych. Na ustawodawstwo oczekuje również sprawa przymusowego rozjemstwa i obowiązkowego zawierania umów zbiorowych. Państwo musi uregulować politykę władz tak, aby normy zarobkowe zapewniały stałe podnoszenie poziomu życia robotników.

Należy usprawnić i rozszerzyć uprawnienia Inspekcji Pracy. W instytucjach ubezpieczeniowych /w Kasach Chorych/ powinien obowiązywać samorząd”.

Przemówienie moje zostało dobrze przyjęte przez Sejm. Ówczesny minister pracy i opieki społecznej Marian Zyndram-Kościałkowski, człowiek o postępowych przekonaniach, podszedł do mnie, by wyrazić całkowitą aprobatę dla moich postulatów. Zapytał mnie jednak czy zdaję sobie sprawę. Że jeśli przeprowadzimy wybory do władz w Kasach Chorych, to opozycja może uzyskać większość. Odpowiedziałem mu, że liczę się z tym, ale powinny odbyć się wolne wybory, a rzeczą OZN będzie zabiegać o zwycięstwo w nim. Wybory jednak są koniecznością.

– Zgłaszał Pan wówczas problem robotników dniówkowych

– W związku z moimi zainteresowaniami sprawami robotniczymi zwróciłem uwagę na problem robotników dniówkowych, których w Polsce było bardzo wielu. Chodziło o to, że robotnik dniówkowy jest płacony tylko za te dni, które przepracuje. Jest więc społecznie pokrzywdzony w porównaniu z robotnikami stałymi. Poprzez ambasady polskie w innych państwach zbadałem jak wygląda sprawa takich robotników i zgłosiłem projekt specjalnej ustawy w tej sprawie. Zaproponowałem na początek wprowadzenia przymusu wypłacania dniówkowym wynagrodzenia za drugie dni Bożego Narodzenia i Wielkanocy za dzień Święta Niepodległości. Komisja Sejmowa uchwaliła mój projekt i wpłynął on pod obrady plenum Sejmu. Jak się jednak okazało wice minister komunikacji, Julian Piasecki, po niewczasie przeraził się, że jego ministerstwa

zatrudniające wielu pracowników dniówkowych będzie miało kłopoty, gdyż przekroczy swój budżet. Zwrócił się więc do premiera Składkowskiego, by prosił mnie o zgodę na odroczenie głosowania dla ponownego przedyskutowania ustawy w komisji. Zgodziłem się na to, ale niechętnie, wzywając do szybkiego rozważenia mego projektu. Nadchodził jednak gorący okres przedwojenny i moja ustawa nie zdążyła ujrzeć światła dziennego.

Muszę stwierdzić, że dobrze czułem się w Sejmie. Miałem bezpośredni wgląd w szeroki zakres rozmaitych zagadnień państwowych, przekonałem się, że mam pełną swobodę nie tylko krytykowania różnych spraw, ale i projektowania ich rozwiązań, a przede wszystkim nabrałem pewności jak wiele ważnych zagadnień można rzeczywiście w Sejmie załatwić. Oczywiście pochłaniało to dodatkową ilość mego czasu, ale dawało mi wiele satysfakcji.

– Miał Pan również kierować propagandą wojskową na parę miesięcy przed wybuchem wojny?

– W marcu 1939 roku przyszedł do mnie Wenda i powiada: „Panie Tadeuszu, jedziemy do Ministerstwa Spraw Wojskowych, bo prosi o to minister Kasprzycki”. Na miejscu Kasprzycki poprosił mnie bym pokierował propagandą wojskową. Proponowaliśmy to Wańkowiczowi – mówił Kasprzycki – ale on odpowiedział, że dopóki nie będzie miał na to miliona złotych, to się za propagandę wojskową nie weźmie. Powiedziałem wówczas, że miliona nie potrzebuję, lecz nie mogę jednocześnie prowadzić dwóch propagand. Albo OZN, albo wojsko. Dodałem jednocześnie, że w propagandzie OZN-u już siedzę, a wojskową trzeba budować od początku. Niech więc pułkownik Wenda decyduje. Wenda nie wyraził zgody. Teraz, z perspektywy lat, uważam, że dobrze się stało, bo tamtej propagandy nie udałooby się tak szybko uruchomić. Wtedy nie było żadnej propagandy wojskowej. Tam trzeba było ludzi dopiero uczyć. W OZN-ie zgranie i wyszkolenie ludzi trwało około dwóch lat.

Skoro już jestem przy propagandzie wobec zbliżającej się wojny, to w 1939 roku sporo jeździłem jako taki „pyskacz” na rozmaite zebrania. Na jeden z takich wieców pojechałem do Gdyni. Tam dowiedziałem się, że Hitler w Reichstagu zerwał pakt o nieagresji z Polską. Dla mnie jako mówcy był to istny raj na ziemi. Frekwencja była bardzo duża. Mogłem sobie poużywać na Hitlerze i całą

sala dosłownie huczała. Bardzo mnie pochwalił wtedy Kazimierz Rusinek, późniejszy komunista, a wówczas pepesowiec.

– Ale działał Pan nadal w Związku Strzeleckim...

– Tak. W 1933 roku objąłem redakcję tygodnika „Strzelec”, który był organem Związku Strzeleckiego. Czasopismo przejąłem po Wojciechu Stpiczyńskim. On nie miał czasu na prowadzenie tej gazety i dlatego mnie to powierzono. Tygodnik ten miał zasięg ogólnopolski. Trzeba było temu piśmu nadać jakiś charakter, ożywić je. Chodziło o kształtowanie typu żołnierza – obywatela. Była to bardzo przyjemna robota. Pokusiło mnie jednak, aby zrobić jakieś ciekawsze, specjalne numery. W 1934 r. przypadała 20 rocznica wymarszu „kadrówki”, więc z tej okazji zdecydowałem się zrobić numer specjalny. Chciałem zdobyć ciekawe materiały ilustracyjne, wypowiedzi żyjących członków kadrówki i to mi się udało. Bardzo ciekawe relacje historyczne napisali Englert i Pomarański. Była to pierwsza pełna historia kompanii kadrowej.

Potem robiłem specjalny numer poświęcony Strzeleckiej Oficerskiej Szkole w Stróży, koło Limanowej, którą utworzono w 1913 roku. Prowadził ją sam Piłsudski, był tam Sosnkowski. Udało mi się odtworzyć historię tej szkoły, programy wykładów, itd. Teraz chyba nigdzie nie ma pełniejszego obrazu tej szkoły.

Zrobiłem jeszcze kilka takich specjalnych numerów m.in. o POW.

Praca w „Strzelcu” sprawiała mi dużo przyjemności, ale kiedy zająłem się propagandą ozonową, to musiałem się ze „Strzelcem” pożegnać.

– W czyje ręce przekazał Pan „Strzelca”?

– Przyszedł wtedy Roman Goldman, który później był w AK i WIN-e. Był to bardzo solidny i ideowy człowiek.

– Wracając do działalności w OZN-ie, Pan zajmował się problemami środowiska wiejskiego i robotników.

– Do robotników miałem szczególny sentyment, gdyż zetknąłem się z nimi w Pruszkowie. Bardzo chciałem te środowiska postawić wyżej w hierarchii społecznej, aby sami poczuli, że są równorzędnymi partnerami inteligencji.

Włosi wtedy zaczęli organizować akcje spędzania wolnego czasu przez robotników. Wysłałem jednego ze współpracowników by przyjrzał się temu co robią Włosi. Niemcy mieli „Kraft durh Freude”. Denerwowało mnie, że kiedy organizowano rejsy „Batorym” czy „Piłsudskim”, to jadą tylko tzw. burżuje. A robotnik czy chłop, któremu mówiło się, że ma polskie morze nie mógł o tym nawet zamarzyć.

Pod koniec 1938 roku, tj. w parę tygodni po tym, jak wszedłem do Sejmu, marszałek Makowski zrobił takie zebranie w swoich apartamentach dla prezydium Sejmu, do którego ja wchodziłem jako sekretarz oraz dla ministrów. Powiedziałem sobie teraz albo nigdy – trzeba ich „pogolić”. Chciałem po prostu zdobyć pieniądze na zorganizowanie po Bałtyku dla robotników i chłopów. Przecież trzeba takie rejsy dofinansować, by taki robotnik mógł w ogóle pojechać. I tak zacząłem szturmować różnych ministrów o pieniądze na taką akcję. Dopadłem jeszcze dyrektorów PKO i Banku Gospodarstwa Krajowego. W ciągu paru tygodni wiedziałem, że będę miał na to pieniądze. Zebrałem ok. trzydziestu paru tysięcy. Na ówczesne czasy była to niemała kwota. Kiedy już miałem pieniądze trzeba było zastanowić się jak to wszystko zorganizować.

Chciałem zawieźć moich robotników do Szwecji, więc wysłałem jednego z moich [podwładnych, by tam pojechał i zobaczył jak wygląda sytuacja /domy robotnicze itd./, potem zaś wysłałem go do Kopenhagi, aby zorientował się jak tam z kolei wygląda sytuacja chłopów. Mówiło się wtedy dużo o rolnictwie duńskim. Chciałbym, aby ludzie nie tylko płynęli po morzu, ale także zobaczyli jak żyją ich koledzy za granicami Polski.

Ostatecznie ustaliliśmy, że robotniczy rejs odbędzie się do Szwecji, a rolnicy popłyną do Danii.

– Jak liczne były to grupy?

– Statek miał chyba ok. 300 ludzi. Wynająłem „Pułaskiego”. Polegało to na tym, że ja tym statkiem władam, tzn. robię imprezy, lokuję ludzi, a kapitan zajmuje się żegluga. Przygotowaliśmy specjalne wyposażenie statku, by każdy z przybyłych ludzi mógł czuć się dobrze.

Pozostała kwestia werbunku na rejs. Jeśli chodzi o robotników sprawa była o tyle prosta, że na wyjazd kierowały związki zawodowe, gdyby była ich za

dużo zdecydowaliśmy się na losowanie. Rozdzielaliśmy ich w ten sposób, by z każdego większego ośrodka robotniczego byli jacyś ludzie. Wszyscy płacili, ale niewiele. Chodziło o to, żeby to nie była „darmocha”. Z chłopami zrobiłem w ten sposób, że pierwszeństwo mieli prenumeratorzy naszej prasy, a gdy chętnych było zbyt wielu, to robiło się losowanie.

– Czy było dużo chętnych?

– Nadmiar. Mnie jeszcze chodziło oto, żeby ten robotnik czy chłop czuł się pełnoprawnym uczestnikiem wycieczki, więc musi korzystać ze wszystkich udogodnień, z których normalnie nie korzysta. Wobec tego, że na statku były trzy pokłady, postanowiłem, że nie może być takiej sytuacji, by gorsze miejsca zajmowali tylko robotnicy czy chłopci, lecz muszą być przemieszani z zabranymi na rejs notablami. Notabli zabrałem dlatego, żeby robotnicy wiedzieli, że ministrowie jadą z nimi, siedzą przy stole, kontaktują się z robotnikami. Byli tam ministrowie, marszałkowie Sejmu, jak np. Wenda, Tadeusz Lechicki – wiceminister. Nie musiałem ich zresztą do tej idei specjalnie przekonywać.

Pozbierałem artystów, aktorów, organizowaliśmy kabaret. Oczywiście jechały orkiestry – na wyjazd robotniczy ze Śląska i dwie wiejskie. W Sztokholmie i kopenhaskim rejsie organizowaliśmy występy naszych zespołów.

Wyjazdy cechowała duża dyscyplina. W Sztokholmie spóźniła się jedna grupa na statek, postanowiłem więc odpłynąć bez nich. Dogonili nas motorówką. Mocno ich obrugano, gdyż kompromitowali nie nas, lecz Polskę wobec Szwedów.

Kiedy natomiast z chłopami dopłynęliśmy do Kopenhagi, czekał na nas ktoś z ambasady i grupka ludzi. Gdy zszedłem po trapie, by się przywitać z czekającymi ludźmi okazało się, że są to dziennikarze pragnący zadać mi pytania. Było to w czerwcu więc pytano mnie o sprawę Gdańska. Moje odpowiedzi polecały w wieczorówkach na pierwszych stronach. Potem polski ambasador dziękował mi, gdyż od miesięcy starał się zdobyć prasę – bezskutecznie.

Ciekawe jak zmieniły się oceny ludzkie. Początkowo mało kto wierzył w sukces tego pomysłu, ale gdy wróciliśmy Wenda zaczął mnie namawiać bym zrobił kolejny wyjazd. Ale powiedziałem, że w 1939 roku już nie zdążę. No i później też nie zdążyłem.

– Chciałem wrócić do wydarzenia, o którym już Pan wspominał. Do śmierci Komendanta.

– To było w niedzielę wieczorem. Wracaliśmy od przyjaciół Nowym Światem. W niedzielę zawsze był mały ruch i nagle zobaczyłem, że pędzą jakieś dwa czy trzy samochody w kierunku Belwederu. Bardzo się tym zaniepokoiłem. Wiedziałem, że Marszałek jest chory, ale nie wiedziałem w jakim jest stanie. Wróciliśmy do domu i koło dziesiątej wieczorem przysłała wiadomość o śmierci.

Później dwukrotnie byłem jeszcze w Belwederze. Raz z Komendą Główną Związku Strzeleckiego i jeszcze raz z Ministerstwem Sprawiedliwości, by złożyć hołd leżącemu tam na wzniesieniu Marszałkowi. Byłem śmiercią Marszałka bardzo głęboko poruszony i zaniepokojony. Nie wiedziałem co będzie dalej. Nie było nikogo kto mógłby go zastąpić. Potem krytycznie patrzyłem na nominację Śmigłego na Marszałka. Uważałem, że jest to za szybko. U mnie w pokoju w OZN wisiał tylko portret Marszałka Piłsudskiego.

– **Pan spotykał osobiście Rydza?**

– Tak, parokrotnie. To nie był tej miary człowiek. Był bardzo uczciwy i spokojny. Był dobrym dowódcą armii, ale bez dorobku intelektualnego.

– **A ostatni premier Rzeczypospolitej, Sławoj-Składkowski?**

– Spotykałem się z nim. Był to człowiek bardzo energiczny i bardzo dobry jako gospodarz. Przesadzał co prawda z tymi 5 minutami, że nie można się było spóźnić do biura. Ale zrobił sporo porządków. Te jego „sławojki” czy wyasfaltowanie wszystkich podwojek w Warszawie, to były bardzo rozsądne zarządzenia. Żaden magistrat by tego nie wprowadził. To był dobry administrator, ale nie polityk.

– **Innym wybitnym człowiekiem, z którym Pan się stykał był Adam Skwarczyński.**

– To był teoretyk a nie polityk, kiedy przypominam sobie spotkania z nim to pamiętam, że on widział wszystko jakby „przez mgłę”. Może miało wpływ na to jego kalectwo, bo nie miał swobody ruchu. To był bardzo inteligentny człowiek, szlachetny. Gdy go widziałem był już bardzo chory.

– A kogo z polityków ostatnich lat Polski Niepodległej ceni Pan najwyżej?

– Na pewno Kwiatkowski. Drugi Beck. Świetne były koncepcje gospodarcze Kwiatkowskiego. Widać było jak COP rośnie. Jeździłem tam ze dwa razy do roku. To był fenomen gospodarczy. Podobnie Beck. Ukończył Wyższą Szkołę Wojenną i to z dobrą lokatą. Rozumiał dobrze jak wielkie są nasze braki w wyposażeniu wojennym z powodu braku funduszy i zdawał sobie sprawę, że z olbrzymim wysiłkiem finansowym następuje szybko wzrost naszego potencjału wojennego. Stąd wywodzili się te wszystkie jego pozorne ustępstwa, niezrozumiałe właściwie przez znaczną część naszego społeczeństwa.

Jakżeż niesłusznie oskarżono Becka i potępiono za Zaolzie. Zapomniano, że to Czesi po raz pierwszy złamali umowę z Polską o podział ziemi cieszyńskiej z 5 listopada 1918 r. złamali ją zbrojnie w styczniu 1919 r., a nową linię demarkacyjną próbowali naruszyć w miesiąc później. Wbrew umowie z Polską, podpisaną przy udziale Francji, w krytycznym okresie sierpnia 1920 r. odmówili tranzytu transportom z bronią i amunicją idącym do nas z Francji i skorzystali z krytycznej sytuacji pod Warszawą, by wymusić na Polsce krzywdzącą nas nową linię graniczną. Nie pamięta się, że Benesz w 1938 r. kapitulował przed Hitlerem. Odzyskując Zaolzie podtrzymywaliśmy – przynajmniej na pewien czas – zagrożenie ze strony niemieckiej.

Widziałem Becka z bliska w dniu 5 maja 1939 r. gdy wygłaszał swe pamiętne, historyczne przemówienie w Sejmie, mocne i godne, zakończone słowami o polskim honorze. Ilekroć slysze bezpodstawne zarzuty stawiane Beckowi tylekroć mam poczucie krzywdy, jaka pośmiertnie go spotyka. Wszyscy na nim wieszają psy. A nikt nie chce pomyśleć jakby wyglądała sytuacja wojenna gdyby on nie odwlekał początku wojny. To co on zrobił, było dla nas konieczne. Mam dla niego wielkie uznanie. On przecież poniżał się /a był człowiekiem bardzo dumnym/ byle tylko dać Polsce czas na przygotowanie do obrony. Gdybyśmy mieli jeszcze rok czy dwa...

– Jaka panowała atmosfera w tych ostatnich dniach przed wybuchem wojny, co Pan wtedy robił?

– W lipcu 1939 roku zwrócił się do mnie minister komunikacji płk Ulrych z prośbą żeby mu dopomóc w propagandowej części Zjazdu Legionistów w Krakowie. Zjazd miał być duży, atmosfera i stosunki polsko – niemieckie były napięte. Pachniało już trochę prochem. Zwrócił się do mnie, gdyż uznał, że moja propaganda w OZN-ie zdaje egzamin, jest na dobrym poziomie.

Przygotowaliśmy afisze, plakaty, szybką obsługę radiową. Wyszło to zupełnie dobrze. Gdy patrzyłem na uczestników Zjazdu, na mieszkańców Krakowa, to widziało się, że są to ludzie świadomi odpowiedzialności za losy kraju. Powiedzenie Rydza o guziku którego nie oddamy przyjmowano na serio. Czuło się tam tradycję i poczucie obowiązku.

W sierpniu byliśmy już po tajnej mobilizacji kartkowej. Byłem wtedy pod Ciechocinkiem u znajomych. W związku ze zbliżaniem się 15 sierpnia zasugerowałem im zorganizowanie Święta Żołnierza. Z okazji tego święta musiałem obsłużyć parę takich zebrań. Po powrocie do domu musiałem podobne spotkania odbyć w swoim okręgu poselskim we Włochach pod Warszawą. Pamiętam, że mówiłem wtedy – Kiedy zabraknie broni to będziemy się bronić choćby kamieniami z bruku.

Jeden moment bardzo utkwiał mi w pamięci. Byłem wtedy na Matejki, w naszej siedzibie OZN. Poszedłem do pokoju Wendy. A on zmartwiony mówi do mnie: „Panie Tadeuszu /to był akurat 23 sierpnia 39/ to nie dobrze. To jest najgorsza wiadomość, jaka mogła przyjść”. Były to już ostatnie dni przed wojną. Trwały przygotowania do mobilizacji.

– Gdzie się Pan znajdował gdy zaczęła się wojna?

– Mieszkaliśmy nad Wisłą, w pobliżu kolejowego mostu Poniatowskiego. Rano ok. 5 obudziłem się, gdy usłyszałem strzelaninę karabinową. Była to obsada karabinów maszynowych ochrony mostów i gdy na niebie pojawiły się niemieckie samoloty to polska obrona otworzyła do nich ogień.

Włączyłem radio i właśnie powtarzano przemówienie prezydenta Mościckiego o wybuchu wojny.

Ale muszę cofnąć się jeszcze do okresu poprzedzającego wybuch wojny.

Zastanawialiśmy się co będziemy robić w momencie wybuchu wojny. Powiedziałem Wendzie, że chcę iść do wojska. Zanim jednak do tego doszło, dostałem kartę do mego 21-go Warszawskiego Pułku Piechoty, stacjonującego w Cytadeli. Natychmiast tam się zjawiłem. Pełno tam już było moich kolegów, znanych i nieznanymi. Idę do oficera mobilizacyjnego chorążego Dudzika. A on na mój widok mówi: „Proszę pana, pan nie może iść do wojska, bo pan jest posłem”. Starłem się jeszcze go przekonać, ale bezskutecznie. Wobec tego wróciłem do domu. Pojechałem na Matejki i powiedziałem co się dzieje. Tam przygotowaliśmy się na wypadek, co będziemy dalej robić. Trzeba przyznać, że OZN nie był przygotowany politycznie i organizacyjnie.

Ale raz jeszcze muszę się cofnąć. Na wypadek wojny miałem przygotowany w tajemnicy duży plakat Ozonu. To był żołnierz z karabinem w rękę i z okrzykiem „Do broni”. Autorem był mój przyjaciel Adam Siemaszko. Miałem umowę z dużą drukarnią „czerwonaków”, gdzie była przygotowana klisza plakatu, który na mój rozkaz mieli drukować. Około 6-tej zatelefonowałem. O godzinie 12 plakaty już wisiały na mieście.

Pojawił się problem nagłego zwołania Sejmu. Posiedzenie miało miejsce 2 września, w sobotę po południu. Miałem tam osobistą przyjemność, gdyż zostałem wyznaczony przez OZN jako referent ustawy, a właściwie poprawki do ustawy o „Powszechnym obowiązku służby wojskowej”. Normalnie posłowie i senatorowie byli zwolnieni od służby wojskowej, gdyż mieli być w każdej chwili do dyspozycji Sejmu. W związku z tym, abyśmy mogli pójść do wojska, został przygotowany projekt ustawy pozwalający posłom i senatorom na służbę wojskową w czasie wojny. A jednocześnie powoływało się zmniejszone zespoły Sejmu i Senatu. Siedziałem na to posiedzenie mocno zemocjonowany. Zjechali się prawie wszyscy posłowie. Posiedzenie odbywało się po południu. Kopuła Sejmowa była cała oszklona. Siedzieliśmy na sali aż w pewnym momencie dało się słyszeć warkot samolotów. Pomyślałem sobie wtedy, jak by to wyglądało gdyby rąbnęła tutaj taka bombka.

Projekt referowałem krótko i z ogniem. Po moim wystąpieniu deklarowały swoje stanowiska poszczególne kluby poselskie. Bardzo bojowe było wystąpienie posła żydowskiego. Wszystko to było w podniosłym nastroju.

Następnego dnia – 3 września – musiałem być w sztabie OZN-u, aby przy-

gotować moje odejście do wojska. I w poniedziałek rano pojechałem do Cytadeli. Pojechałem wiedząc, że teraz będę przyjęty do wojska.

– **Komu przekazał Pan Wydział Propagandy?**

– Przejmować mieli Staś Smoleński i Ciechomski.

Przyjechałem do swojego pułku w Cytadeli. Podchodzę do Dudzika i mówię „Widzi pan, mogę już iść do wojska”. A on na to, że nie ma żadnej ustawy. Ja nie mam żadnego papierka urzędowego. „Słyszałem pana przemówienie, ale to nie ustawa”. Próbuje dzwonić z pułku do gen. Kasprzyckiego, ale nie mogę się dodzwonić. Na co Dudzik zaproponował mi bym pojechał do swojego RKU. Więc udałem się na Pragę. Tam był wtedy jakiś inteligentny pułkownik, co się pułkownikom też wtedy zdarzało i starałem się przekonać go, że ja muszę być w wojsku. Dobrze mnie zrozumiał. Dałem mu telefon do mojego chorążego, no zadzwonił i mogłem pojechać do mojego pułku. Tak zaczęła się moja wojna z bronią w ręku.

Pojechałem wieczorem do pułku. Ale natychmiast pojawił się problem, gdyż chciałem od razu iść na front. Tymczasem moja jednostka była gdzieś pod Ciechanowem. Dowiedziałem się, że wychodzi z pułku batalion marszowy, taki który uzupełnia pułk w polu. Major Duch, kierujący batalionem początkowo mi odmówił gdyż miał już pełną obsadę. W końcu z pomocą majora Ducha zostałem jako dowódca plutonu i czekałem na ranny wymarsz.

Mieliśmy maszerować w kierunku Ciechanowa. Nad ranem sytuacja się zmieniła. Dostałem wiadomość, że idziemy na obronę Warszawy. Pod Tomaszowem nastąpiło przerwanie frontu i trzeba robić improwizację obrony. W związku z tym cały nasz batalion ruszył na obronę Warszawy. Kierowano nas na Mokotów.

Weszliśmy raniutko z plutonem gdy miasto jeszcze spało. Zmęczeni dochodzimy do Placu Trzech Krzyży i nagle jeden z żołnierzy proponuje: „Panie poruczniku może pojedziemy tramwajem”. Zatrzymałem nadjeżdżającą tramwaj i tak dojechaliśmy na ulicę Puławską do parku Dreszera.

Mój odcinek obrony obejmował Aleje Niepodległości od parku Dreszera do Rakowieckiej. Na razie miałem obserwować i alarmować na wypadek zbliżającego się niebezpieczeństwa. Byliśmy niezbyt dobrze wyposażeni, nie pamiętam

już czy mieliśmy nawet granaty, amunicji było mało. Porozstawiałem drużyny i zacząłem szukać miejsca dowodzenia dla siebie. Na rogu Alei Szustera i Niepodległości zobaczyłem ładny dom z ogrodem, który postanowiłem zająć jako punkt dowodzenia. Siedziałem w zajęтым przez siebie ogrodzie, gdzie składało mi meldunki. Kiedy tak siedziałem czekając na dalsze meldunki, słyszę, że skrzypi furta i widzę, że wchodzi jakiś major. Podrywam się i zaczynam składać meldunek i nagle zaczynam się śmiać, To był Stefan Starzyński. Myśmy się dobrze znali i ze „Strzelca” i Ozon-u: „Chciałem iść do wojska, ale się nie zgodzili i kazali mi pozostać w mieście. Oddaję do pana dyspozycji cały mój dom”. I w ten sposób zaczęła się moja kwatera bojowa w wili Starzyńskiego na ulicy Szustera.

Bardzo byłem wtedy zainteresowany co się dalej dzieje z OZN-em. Więcej już nigdy ludzi z OZN-u nie widziałem. Skwarczyńskiemu dano początkowo dowództwo grupy wypadowej, która miała iść na Gdańsk, ale potem to cofnięto. Wenda był bez przerwy przy Śmigłym. Sztab OZN-u wyewakuował się dość wcześnie w kierunku na Lublin, że gdy przyjechałem na Matejki to już tam nikogo z kierownictwa nie było. Ani szefa Wydziału Politycznego, Delingera, ani Matrasia, szefa Wydziału Organizacyjnego. Byli tylko urzędnicy. Któregoś dnia pojechałem jeszcze raz do OZN-u, ponieważ do mnie zadzwonili. Nie wiedzieli co zrobić z pieniędzmi, które zostały w kasie. Pojechałem na Matejki, zorientowałem się, że jest tego kilka tysięcy złotych. Podjąłem decyzję, by oddać pieniądze w imieniu OZN-u na tworzące się Bataliony Robotnicze. I tak się stało. Nawet Zaremba o tym kiedyś pisał, że bardzo się zdziwił, że OZN dał pieniądze. Widać było wtedy w OZN-ie niedorozwój politycznego myślenia. Skoro jesteśmy dużym obozem politycznym to musimy w okresie wojny działać. Trzeba wspomagać wojsko, występować w Sejmie, robić propagandę. A tu nagle nie ma nic, wszystko to się rozwiało. Właściwie nie ma OZN-u. szef Wydziału Politycznego – Delinger – nie nadawał się w ogóle na to stanowisko, Matraś też nie. To był olbrzymi błąd. Albo było przekonanie, że się przegra, albo brak politycznego myślenia. Pierwsza ewentualność chyba nie była wtedy tak silna. Ale skoro zakładano, że będzie ciężka walka, to trzeba się było do tego przygotować. Do pracy w podziemiu tej części kraju. Która będzie zajęta, a w tej która będzie się broniła, trzeba jawnie działać.

– **Czy można postawić tezę, że OZN był nieprzygotowany na wypadek wojny?**

– OZN nie przewidywał przebiegu wojny.

– **Kto ponosi za to odpowiedzialność?**

– Szef przede wszystkim. Szef obozu. W dużym stopniu także Śmigły, który powinien był zwrócić uwagę, że trzeba mieć jakieś zaplecze polityczne.

– **Jeśli patrzeć na OZN z perspektywy czasu to był to twór sztuczny?**

– Nie, proszę pana. W terenie się to ostało. Sporo tam później działo się, już nie pod firmą OZN-u. ludzie w terenie pozostali i pracowali dalej w czasie okupacji. Nie było jednak planu na wypadek klęski.

– **Często stawiany jest zarzut, że OZN prowadził przed 1 września „propagandę sukcesu”.**

– Nie, myśmy nie robili żadnej propagandy zwycięstwa. Była to tylko propaganda walki. Obrony i walki. Propagowaliśmy obronę. Zresztą nastroje były w społeczeństwie wspaniałe. Widziałem cały czas te nastroje w Warszawie. I jak mówiłem po raz ostatni pojawiłem się w gmachu na Matejki, żeby dać pieniądze na Bataliony Robotnicze. I to była ostatnia moja czynność o Ozonie.

– **A Pana dalsze losy?**

– Musieliśmy się przygotować do obrony przed czołgami niemieckimi. Kiedy Starzyński spytał mnie czy może mi w czymś pomóc, to powiedziałem, że trzeba powstrzymać czołgi, budując przeszkody. Albo rowy przeciwczołgowe, albo przeszkody z osadzonych w ziemi szyn. Poprosiłem Starzyńskiego o odpowiednich ludzi, którzy mieli te szynowe przeszkody wykonać. Także Szustera posiadała odpowiednią obronę przeciwczołgową. Ale miałem wielką pustą przestrzeń od Szustera do Raławickiej, gdzie było wolne pole. Zaradzałem więc, by przysłano mi ludzi do kopania rowów. Przyprowadzili ich policjanci, jedni byli ochotnikami, inni złapani na ulicy, ale wykopali nam bardzo prawidłowy rów zatrzymujący czołgi.

Potem trochę się zagęściło, gdyż przyszły inne plutony. Zaszliśmy się do-

zbierać, gdyż brakowało mi uzbrojenia. Zarekwirowałem będące na moim terenie samochody i motocykle i zacząłem jeździć do pułku w Cytadeli, by dobroić mój pluton. Koszary naszego pułku były już puste. Ale znalazłem u jakiegoś sierżanta trochę broni. W jednym z magazynów znalazłem dwa wielkie karabiny przeciw pancerne. To był wtedy wielki cymes.

Ale muszę się cofnąć. Kiedy wybuchła panika pod Tomaszowem, to myśmy dozbrajali się od żołnierzy, którzy napływali do Warszawy. Zabieraliśmy im karabiny, granaty, amunicję. Na jednym z wozów żołnierze znaleźli skrzynkę z dziwnymi, wielkimi nabojami. Oni nie wiedzieli co to jest. Ja też nie wiedziałem do czego jest ta dziwna amunicja. Ale na wszelki wypadek zatrzymałem.

Wracam więc do Cytadeli. Sierżant mi mówi: „Panie poruczniku, tu mamy takie dwa karabiny przeciwpancerne, ale nie mamy do nich amunicji”. Ucieszyłem się, bo pomyślałem, że to jest ta amunicja. Zabrałem więc karabiny przeciwpancerne, dobroiłem się w inne karabiny. Kiedyś zgłosiłem Starzyńskiemu, że brakuje mi ręcznych karabinów maszynowych. Zaprosił mnie wtedy do magistratu, gdzie przechodzące przez Warszawę oddziały zostawiły broń. Poszedłem do Pałacu Blanka, gdzie oddziały z Pomorza zostawiły rkmy. Skorzystałem z nich i dzięki temu w każdej drużynie były po dwa – trzy rkmy. Byliśmy więc wyjątkowo dobrze uzbrojeni.

Linia frontu była wtedy na Alei Niepodległości. Mnie jako radiowca niepokoiło, że przed nami jest Fort Mokotowski, na którym są anteny radiowe Warszawy II. Pomyślałem, że trzeba by spróbować to zająć i zabezpieczyć. Poszedłem więc do mojego dowódcy batalionu, majora Ducha i mówię, że chcę zrobić nocny wypad, aby zająć Fort, gdyż inaczej stracimy możliwość nadawania z Warszawy przez radio. Była to wtedy jedyna stacja która nadawała.

Nie wiedziałem jak zrobić rozpoznanie. Gdybym w dzień wysłał żołnierzy to Niemcy by ich ukatrupili i nie będą miał wiadomości. Wobec tego wpadłem na następujący pomysł. Sprowadziłem jakieś dwie dzielne babiny, które mieszkają w pobliżu i paru chłopaków, wyrostków, takich gazeciarzy. Powiedziałem im, żeby wzięli motyki i worki i poszli na Pole Fortu pozorując kopanie kartofli. I dzięki temu miałem dobre relacje gdzie byli Niemcy. Jak daleko. Dowiedziałem się, że Fort jest niezajęty, a Niemcy są na zachód od Fortu.

Wobec tego zrobiłem wypad w nocy. Trzeba trafu, że gdy przeprowadza-

łem rozpoznanie zauważyłem jakiegoś majora, który kręcił się w okolicy mojej pozycji. Podchodzę do niego, a tu się okazuje, że to jest major Wacław Lipiński, którego dobrze znałem. On pomagał mi założyć „Podchorążego”. Okazało się, że major jest zaniepokojony losem stacji nadawczej. Trzeba tam było coś naprawić. Przysłał mi dwóch inżynierów, którzy z nami poszli na Fort Mokotowski. Był to stary Fort rosyjski, gdzie do głębokich podziemi sprowadzili się mieszkańcy pobliskich domów. Pomyślałem, że jest tu za mało wojska gdyż miałem tylko 20 ochotników. Zaalarmowałem dowództwo i przysłali w końcu całą kompanię, a myśmy wrócili na swoje pozycje. Antena nadawcza działała do końca obrony Warszawy.

Starzyński co jakiś czas przyjeżdżał do swojej wille, ale stopniowo coraz rzadziej. Ja parokrotnie bywałem u niego w Magistracie. Udało mi się zorganizować mały szpital polowy, gdzie lokowałem rannych. Postarałem się o to, żeby nam przysłali jakiegoś lekarza, gdyż miałem tylko sanitariusza. I w tym szpitaliku miałem zawsze kilkanaście osób rannych, przeważnie cywili. Zrobiłem sobie mały park motorowy bo miałem kilka motocykli i samochodów. Musiałem jeździć do Starzyńskiego albo do Cytadeli po ekwipunek.

Od uciekinierów zdobyłem kuchnię polową, musieliśmy sami się wyżywić. Mogłem wyżywić żołnierzy tylko z tego, co nam chętnie dawała ludność, bo nie było normalnego zaopatrzenia.

Ponadto starałem się uciekinierów nie tylko rozbijać, ale także wciągać do swojego oddziału. Zatrzymuję jednego idącego żołnierza, chcę mu odebrać broń, a on nie chce oddawać, bo szuka swojego pułku. Spytałem go czy chce się bić i wciąłem go do swojego plutonu. I w taki sposób powiększyłem swój pluton o kilkunastu ludzi. W tym także dwóch podchorążaków, którzy się wycofali. Okazało się, że jednym z tych, którzy zostali u mnie był Wincenty Kraśko, późniejszy komunistyczny dygnitarz za czasów Gomułki. Był to wtedy bojowy spokojny żołnierz.

Chcąc umocnić obronę zacząłem szukać min przeciwczołgowych. Kładło się je dość gęsto, to były takie polskie, przeciwpancerne.

Dostałem ponadto pomoc w postaci trzech podoficerów ze straży granicznej sierżanta plutonowego i dwóch kaprali. Wspaniałe wojsko. Byli już w walce

na granicy polsko-niemieckiej i mieli pierwsze starcia za sobą, w początkach września. Przy ich pomocy mogłem wszystko łatwiej zorganizować. Jeden z nich plutonowy, znał się na minach i je pozakładał. Nazywał się Arnszajtis. Był to doskonały żołnierz. Na mój wniosek dostał Krzyż Walecznych za obronę Warszawy. Miny zostały tak rozłożone, że czołg musiał na nie wjechać.

Nagle w nocy budzi mnie jakiś hałas, krzyk jak cholera. Budzę się zły. Wychodząc i patrząc – pośrodku pola minowego stoi samochód osobowy. Jakiś pijaczyna wyrwał się spoza Warszawy i wjechał w środek pola minowego. I nic mu się nie stało. Jak to pijakom szczęście sprzyja.

Przedostatni raz Starzyński przyjechał do swojego domu gdzieś w połowie września. Wtedy powiedziałem mu, że chciałbym przez radio przemówić do mojego powiatu, z którego byłem posłem. Starzyński bardzo chętnie się na to zgodził. Po południu dostałem wiadomość, żebym się stawił na Zielnej. Szybko coś tam napisałem, by zwrócić się do tych, którzy już mają u siebie Niemców i do tych, którzy są jeszcze wolni. Mówiłem, że ci którzy są pod okupacją niemiecką nie skończyli jeszcze wojny, że będą dalej walczyć, choć inaczej. Było to moje pożegnanie z wyborcami.

– Kiedy Pan był na froncie mokotowskim przysła wiadomość o wkroczeniu do Polski wojsk sowieckich. Jak Pan to przyjął?

– Już wtedy wiedziałem jak jest to groźne i niebezpieczne. Wiedziałem, że się już nie obronimy na dwóch frontach. Ostatnie dni były bardzo ciężkie, gdyż olbrzymi ogień artylerii szedł na naszą linię obrony na Mokotowie. Tak naprawdę było ciężko. Pociski zabiły mi dwóch żołnierzy. Szły wtedy na nas czołgi. Przekonałem się jak skuteczna może być obrona przeciwczołgowa. Od Fortu Mokotowskiego szły trzy czołgi. Wówczas okazało się jakiej klasy są nasze karabiny przeciwpancerne. Jeden z naszych żołnierzy wystrzelił dwa pociski. Czołgi się zatrzymały, postąły i zawróciły.

W moim plutonie miałem trzy drużyny. Jedna z drużyn złożona była z samych warszawskich Żydów. Dowódcą tej drużyny był jakiś krawiec z Pragi. Był to doskonały żołnierz. Niemcy otworzyli niespodziewanie ogień. Rąbnęło w dom, gdzie byli na posterunku moi żydowscy żołnierze, którzy mieli pilno-

wać przedpoła. Widzę, że trafiło w ten dom, unosi się kurz i dym. Zaniepokojony tym co się stało z żołnierzami, wpadam na pietro. Pełno dymu i kurzu, nikogo nie widzę. Myślę, Rany Boskie, co się stało. Kurz powoli opadł i widzę, że wszyscy żołnierze – choć obsypani pyłem – dalej tkwią przy oknach i mimo pocisku nikt się z nich nie ruszył. Zachowywali się wspaniale. Bardzo mi imponowali odwagą. Wszystko to byli młodzi robotnicy z żydowskich rodzin.

– Przewaga Niemców była wówczas ogromna.

– Był to już ostatni tydzień obrony Warszawy. W momencie gdy został przerwany ogień i zaczęły się rokowania, pojechałem do Starzyńskiego motocyklem. Urzędował w Magistracie, oficynie, bo front gmachu był zbombardowany. W drodze do Prezydenta Warszawy przejeżdżałem koło zboru ewangelickiego na placu Małachowskiego. Kompletna cisza, pusto i ciemno. Tylko po wielkich drewnianych drzwiach powoli tlił się ogień. Był to jakby grottgerowski obraz. Przyjechałem do Magistratu. Starzyński przeniósł się do małego pokoju. Pytam go, jakie są zasady umowy. Pokazuje mi odpis dokumentu. Była to pierwsza wersja umowy, kiedy ustalono, że linia frontu jest na Wiśle. Wszyscy mieszkańcy Pragi mogli przenieść się na drugą stronę Wisły. Starzyński odczytał mi tekst umowy. Pytam go wtedy: „A co pan ma zamiar robić? Będzie pan narażony”. Na to on mi mówi: „Nie, ja miałem już propozycję, mówiono mi żebym szedł na Litwę. Ja muszę zostać w Warszawie. To jest mój obowiązek”. To były ostatnie słowa, jakie z nim zamieniłem. Później go już nie widziałem, gdyż musiałem szykować się do niewoli.

Potem wyszły zarządzenia. W oddziałach byli żołnierze z Warszawy i z Pragi. Mieli się podzielić na dwie części. Mieszkańcy Pragi mogli wrócić do siebie. A my przeszliśmy z Alei Niepodległości na Powiśle. Tam mieliśmy się uprządkować, żołnierze mieli być zwolnieni poza miastem. Powstał problem, co mamy zrobić. Czy iść z żołnierzami czy od razu zwać. Wiadomo było, że pójdziemy do oflagów. Ale ponieważ zaczęto mówić, że oficerowie dbają o siebie, że zaniedbują żołnierzy to z kolegą Stasiem Smoleńskim postanowiliśmy pójść z żołnierzami. Chcieliśmy być z nimi do końca. Nocą przemaszerowaliśmy przez Pruszków, pod Grodziskiem puszczono żołnierzy i dalej już szliśmy sami.

Skierowano nas do Błonia i zebrano w fabryce zapalek. Czekaliśmy na transport. Byliśmy tam dwa dni. To był już początek października.

Nagle wpędzając do nas na teren fabryki masę żołnierzy. Okazało się, że Hitler miał przyjmować defiladę w Warszawie i Niemcy nie chcieli, by przechodzący żołnierze przebywali wtedy w mieście. Wtedy zaczął nam chodzić po głowie pomysł. Może jednak wrócimy. Idę do majora Ducha i mówię, że musimy zwać. Na to on: "Nie, niech panowie idą do niewoli, to długo nie potrwa, tam też trzeba będzie pracować, podtrzymywać ducha". Myśmy jednak postanowili uciekać. Chcieliśmy uciec z żołnierzami, bo wiadomo było, że oni dostaną przepustki i wrócą. Przeszliśmy na pole, gdzie byli żołnierze, zdjęliśmy odznaki, przybrudziliśmy sobie za Smoleńskim twarz. I stanęliśmy do ogonka po przepustki. Stoję z żołnierzami, a tu podchodzi jakiś oficer, którego znałem z Warszawy i pyta: „Co wy tu robicie?”. Spojrzałem na niego i gdyby wzrok mógł zabijać już by nie żył. Nic nie odpowiedziałem. Dostałem przepustkę, mój przyjaciel także i wychodzimy, podchodzimy do bramy. Przy bramie stoi ten oficer i bardzo mnie przeprasza, nie zorientował się w naszych planach.

I tak zaczęła się dla mnie druga wojna. Ta podziemna.

– Chciałbym się cofnąć o kilka dni. Jakie wrażenie na Panu zrobiło opuszczenie Polski przez Wodza Naczelnego i pułkownika Wendę?

– Byłem tym rzeczywiście zaskoczony. Uważałem, że powinien zostać i bić się do końca. Taki był mój pierwszy odruch. Trudno, trzeba było zachować postawę do końca. Były też inne argumenty. Że wojsko we Francji, że dalsza walka na Zachodzie. Ale przeważała reakcja, że nie powinien być wychodzić.

– A jaka była Warszawa we wrześniu 1939 roku?

– Ja to miasto zawsze kochałem, ale wtedy pokochałem je jeszcze bardziej. Cała ludność była nastawiona na walkę, na pomoc żołnierzom. To było miasto, które bez żadnego patosu traktowało żołnierzy i mieszkańców tak samo. Ludzie wykazywali niezwykły charakter. Były przecież bombardowania, sypały się domy, a duch miasta był nadal nienaruszony. Myślę, że tu swoje zrobiło dwadzieścia lat niepodległej Polski. To odczucie, że to nasz kraj, nasze miasto.

Kiedy później szedłem do niewoli, to miałem przekonanie, że zaraz zacznie się nowa konspiracja, ani przez moment nie miałem co do tego wątpliwości. Stąd brały się moje wahania czy nie zostać. Jak już mówiłem, wtedy zaczęło się mówić, że oficerowie pozostawiają swoich żołnierzy swojemu losowi. Wiele złego wyrządziła owa decyzja Rydza o przejściu do Rumunii. Był wtedy taki moment rozpacz, kiedy żołnierze, słusznie zresztą, zaczęli krytykować, więc trzeba było iść z nimi do niewoli.

– Jak wyglądała ta Pańska ucieczka z niewoli, ten powrót do Warszawy?

– Gdy wracałem z Błonia do Warszawy, a było to na początku października, kiedy została wyznaczona godzina policyjna, szliśmy wieczorem z moim przyjacielem Smoleńskim i zapukaliśmy do pierwszej lepszej zagrody chłopskiej. Pytamy, czy gospodarz może nas przenocować. Przyjął nas chętnie. Trochę porozmawialiśmy i nagle patrzę, a u niego na stole leży „Wiś Polska” – moje pismo. Było to dla mnie przyjemne, zwłaszcza w tych okolicznościach.

Rano chcieliśmy wyjść, żeby jak najszybciej dostać się do miasta. Idziemy sobie szosą i widzimy, że jedzie jakaś furka do Warszawy. Właściciel zgodził się nas podwieźć. Okazało się, że wioził kartofle. Zaproponowaliśmy mu kupno, by mieć jakąś żywność po przyjeździe do Warszawy. Kiedy dojechaliśmy furmanką do wolskich rogatek okazało się, że jest niemiecki posterunek, który zatrzymuje żołnierzy. Wziąłem od chłopaka kapotę i jego czapkę, zaś mój kolega, który na siebie coś narzucił, nie miał nakrycia głowy. Doskoczył do pracujących obok robotników i z jednym z nich zamienił się na czapki, zostawiając mu swoją wojskową. I tak szczęśliwie udało nam się wjechać do miasta. Dojechaliśmy do siostry ciotecznej Stasia. Mieliliśmy kartofle, więc byliśmy już zaprowiantowani. Smoleński, który był niższy ode mnie, mógł się szybko przebrać i poleciał zawiadomić moją teściową o naszych losach oraz powiedzieć naszej służącej, by przyniosła mi moje ubranie cywilne.

Wydarzyła się wówczas ciekawa historia. Teściowa po otrzymaniu wiadomości ode mnie udała się do mojej żony, aby ją zawiadomić o tym, że wróciłem. Kiedy teściowa pojawiła się w magistracie u żony, poprosiła ją na korytarz i mówi, że musi jej coś powiedzieć. A żona na to: „Tadeusz wrócił”. Teściowa zaskoczona chciała się od żony dowiedzieć kto jej o tym powiedział i wtedy

usłyszała relację żony. Okazało się, że żona miała w nocy następujący sen. Śniło jej się, że ja jechałem furmanką chłopską, otulony w jakieś dziwne ubranie.

– I wtedy zaczęło się konspirowanie.

– Przez kilka pierwszych dni przemieszkowałem po znajomym i byłem pewien, że zaraz zacznie się ogólne konspirowanie. Oczywiście wcześniej dużo na ten temat czytałem, szczególnie o Polskiej Organizacji Wojskowej, o latach wcześniejszych. Wiedziałem, że będę musiał szybko zmienić miejsce zamieszkania. przenieśliśmy się na Żoliborz. Z magistratu wyciągnięto moją kartotekę, to była miejska ewidencja ludności, skąd można było uzyskać adres danej osoby. Pozostaliśmy na razie nadal na papierach na nasze nazwiska.

Na 14 grudnia 1939 Niemcy zarządzili, aby wszyscy oficerowie zarejestrowani po wrześniu stawili się na dworcu Gdańskim skąd mieli jechać do oflagu. Dużo się takich znalazło. Nazywano ich „ochotnicy 14 grudnia”.

W nowym mieszkaniu przebywałem do początku 1942 roku. Później musiałem się coraz bardziej ukrywać, gdyż byłem coraz bardziej „namierzony”. Kontaktowaliśmy się wtedy z żoną przeważnie raz w tygodniu.

– Od początku zaczęła się Pańska działalność konspiracyjna.

– Oczywiście. Nie chciałem, żeby żona narażała się i poszła do konspiracji, więc jednak znalazła własną drogę do Podziemia. O 15 październik a zacząłem organizować ZOR – Związek Odbudowy Rzeczypospolitej. Tymczasem moja żona poszła na krótki kurs /u p. Stanisławy Paleolog, przedwojennej komendantki Policji Żeńskiej/ wywiadu wojskowego. W listopadzie żona była już w wojskowym wywiadzie. Zajmowała się ruchami wojsk niemieckich.

Pomysł stworzenia ZOR-u powstał natychmiast po moim przybyciu do Warszawy. Skontaktowałem się z kilkoma kolegami, m.in. z Józefem Marszałkiem, już nie żyjącym działaczem Zet-u, „Siewu” i ZPMD, który dał mi aktualne adresy kilku naszych kolegów, m.in. Przemka Szczekowskiego, który pracował w grupie technicznej. I tak opierając się o znajomości ZPMD i Związku Strzeleckiego rozpoczęliśmy działalność organizacyjną. Przyjęliśmy wtedy nazwę – Związek Odbudowy Rzeczypospolitej.

I dalej korzystając z kontaktów ZPMD i Związku Strzeleckiego budowa-

liśmy struktury tzw. „piątki”. W pierwszym okresie bardziej koncentrowaliśmy się na sprawach wojskowych a nie politycznych. Wierzyliśmy – jak prawie wszyscy – w wiosenne uderzenie Francji i Anglii na Niemców, którzy tego nie wytrzymają. Byliśmy pewni, że do jesieni przyszłego roku /1940/ to się rozstrzygnie.

Wiedziałem, że nie ma mowy o odbudowaniu OZN-u, który sam się rozpadł. Muszę jednak przyznać, że w ostatnim okresie przed wybuchem wojny coraz silniejsze były tam tendencje demokratyczne, m.in. dzięki dawnym zetowcom, zwłaszcza z terenu. Jednak gdy przyszła wojna OZN się samo zlikwidował.

Moja nowa organizacja miała charakter wyraźnie demokratyczny, z pewnymi sympatiami do PPS-u, opartymi o dawne dobre stosunki. Trzeba jednakże podkreślić, że myśleliśmy przede wszystkim o zagadnieniach wojskowych, a nie politycznych.

– Jak wyglądało tworzenie tych struktur organizacyjnych?

– Ciągle chodziłem po Warszawie, - Mokotów, Ochota, Praga – aby zaprzyęgać „piątki”, ustalałem powiązania organizacyjne. Robiłem to z najwyższą przyjemnością, gdyż widać było jak się łatwo trafia do elementu robotniczego. Na szczęście miałem już trochę doświadczeń w tym zakresie z czasów pruszkowskich.

Fascynujące było dla mnie to, że kiedy przeprowadzałem zaprzysiężenia po rozmaitych małych mieszkaniach, najczęściej robotniczych, to w prawie każdym mieszkaniu widziałem portret Marszałka.

Po zorganizowaniu struktury w Warszawie rozpoczęliśmy tworzenie łączności podwarszawskiej. Oczywiście do Pruszkowa, idąc potem dalej do Błonia, Ożarowa, Piastowa i Żyrardowa, przeszliśmy na drugą stronę Wisły. Np. w Markach organizował ZOR dr Pleszczyński, dawny działacz ZPMD z Poznania.

Po wstępnych czynnościach organizacyjnych i stworzeniu „piątek” postanowiliśmy uruchomić własne pismo. Pierwszym był „Komunikat Wolnej Polski” robiony na powielaczu /wtedy można je było stosunkowo łatwo zdobyć/. Pierwszym redaktorem „Komunikatu Wolnej Polski” był Bohdan Korzeniew-

ski, aż do momentu aresztowania. Była to następująca historia. Niemcy przypadkowo go wygarnęli przy masowym „oczyszczaniu” bloków na Żoliborzu. Na jego biurku leżał przygotowany kolejny numer „Komunikatu”, ale Niemcy tego nie zauważyli i kiedy po paru miesiącach powrócił z Oświęcimia, to znalazł na biurku ten niedokończony numer.

Bardzo mi zależało, żeby rozpocząć wydawanie tego pisma drukiem, a nie tylko na powielaczu. Zacząłem szukać różnych możliwości. W końcu dzięki jednemu ze „Strzelców” z Warszawy, który był drukarzem, znalazłem drukarnię, której właściciel zdecydował się drukować naszą gazetę, ale mógł to robić tylko w niedzielę.

Przygotowaliśmy – ale było to zaraz po ataku niemieckim na Norwegię – siedziałem w drukarni i nagle drukarz mówi, że muszę wszystko natychmiast zabrać. Byłem tym bardzo zaskoczony, gdyż normalnie miały przyjść łączniki i rozprowadzać nakład. Nie mając innego wyjścia, musiałem cały nakład „Komunikatu” wynieść sam z drukarni. Zapakowano mi gazetę – było tego sporo, taka wysoka kolumnienka – wsiałem w tramwaj i pojechałem na Żoliborz. Muszę przyznać, że z duszą na ramieniu. Stałem na platformie, z daleka było widać, że to co wiozę, to druki. I tak wyszedł pierwszy numer „Wolnej Polski” w drukarni, ostatni zaś ukazał się w czasie Powstania.

– Do jakich odbiorców dochodził „Komunikat Wolnej Polski”?

– Przede wszystkim do miast. Ja sieci kolportażu nie organizowałem, ale robili to komendanci okręgów /Warszawa, Warszawa-podmiejska, Kraków/. W gronie działaczy ZOR-u warto wymienić zajmującego się wtedy młodzieżą Jana Kostrzewskiego /prezes PAN/, który w Powstaniu był lekarzem AK na ul. Mokotowskiej.

– A co robił Pan wówczas poza ZOR-em?

– Bardzo wcześnie trafiłem do BiP-u. To był chyba rok 1940. Chciałem wtedy szukać kontaktu dla ZOR-u ze Związkiem Walki Zbrojnej. Udało mi się znaleźć kontakt poprzez mojego byłego doktora z Ministerstwa Skarbu, Drojanowskiego /b. prezydenta Lwowa/. Skontaktowałem się z płk Alojzym Horakiem, który był komendantem na obszar wojewódzki, zaś w mieście mia-

łem kontakt z płk Zajączkowskim, którego znałem z okresu „Podchorążaka” /on był przez jakiś czas w MS Wojsk., w Departamencie Piechoty/. Horak był niesłychanie przyjemny, inteligentny, bystry, grzeczny. Mimo iż wiedział, że jestem z OZN-u nie miał do mnie żadnych zastrzeżeń. On zajmował się gromadzeniem danych o walkach w Polsce we wrześniu 1939. Dostarczałem mu materiałów z prasy niemieckiej, bardzo przyjemnie nam się współpracowało.

Kiedys zaproponowano mi spotkanie z kimś z Komendy Głównej. Poszedłem na umówione spotkanie. Łączniczka wprowadziła mnie do pokoju, gdzie siedział mój stary znajomy, major Kruk-Strzelecki, pierwszy szef propagandy OZN-u, którego znałem jeszcze z okresu, kiedy był w Instytucie Naukowo-Oświatowym /oni wydawali „Żołnierza Polskiego”, „Warusa”, to były pisma dla żołnierzy i podoficerów, robili to Ciepeliowski, Adam Kowalski – autor znanych pieśni./. Propozycję złożył jako szef BiP-u. Agencja już istniała, ale była robiona – jak to się mówi – na kolanie, bardzo amatorsko. Zbierano materiały i robiono komunikaty. Zaczynałem tę pracę z pewnym niepokojem, bojąc się konfliktów personalnych a grupą już istniejącą, gdyż byłem nowoprzybyły. Był tam Miedza-Tomaszewski.

Na początku oni robili całą technikę, a ja zbierałem i redagowałem materiały. Powoli zaczęliśmy to rozkręcać.

Konspiracja w tym czasie nie była najlepsza. Wchodzę kiedyś do lokalu „Miedzy” w Alejach, otwiera mi służąca i słyszę jak mówi: „Proszę pani, przyszedł ten starszy pan, starszy konspirator”. Ale to zarazem dowód na poziom zaufania.

W tym okresie jako przedstawiciel BiP-u miałem spotkanie z Próchnikiem. Chodziło o ustalenie obchodów rocznicy wybuchu wojny. Spotkaliśmy się w okolicy Alei Szucha. Przez godzinę zastanawialiśmy się, nie mogąc nic sensownego wymyślić. Wpadliśmy wówczas na pomysł „bojkotu” ulic Warszawy. Chodziło o to, żeby nieobecnością ludzi na ulicach w określonych dwóch godzinach zmanifestować opór wobec okupantów. Po naszym apelu ulice co prawda nie były zupełnie puste, ale ruch był znacznie mniejszy.

Potem nastąpiła zmiana na stanowisku szefa BiP-u. W miejsce Kruka-Strzeleckiego przyszedł Rzepecki „Prezes”. Zaszło tu pewne nieporozumienie, z tego

pocziwego Strzeleckiego zrobiono demona. Sikorski i Kot uznali, że jest to najbardziej politycznie szkodliwy człowiek w konspiracji propiłsudczykowskiej w ZWZ-cie. A był to człowiek przyzwoity, spokojny i miły, jednakże daleki od dynamizmu i znajomości propagandy. Przez parę tygodni był kiedyś szefem propagandy OZN-u, w której wiele nie zrobił. Nie było to jego winą. Stąd też wojna Kota prowadzona depeşami, żeby usunąć Kruka-Strzeleckiego z BiP-u bardzo mnie śmieszyła, gdyż ten człowiek był absolutnie nieszkodliwy. Nie miał żadnych jaskrawych aspiracji politycznych, nie był intrygantem. Wyraźnie go demonizowano. Po wojnie spotykaliśmy się, nawet ułatwiłem mu przyjazd do Anglii. Prowadził w Londynie działalność w SPK i Kole AK. Jednak myślę, że to usunięcie było z korzyścią dla BiP-u. On nie byłby w stanie tak rozwinąć działalności jak Rzepecki.

– A jaką rolę w ówczesnej konspiracji odgrywały kobiety?

– Niezwykle ważną i cenną. Nauczyłem się wysoko cenić ich wydajną działalność, połączoną zazwyczaj ze skromnością w ocenianiu ich własnej niebezpiecznej pracy. W zakresie mojej aktywności podziemnej miałem z nimi bardzo wiele do czynienia. Nie sposób wymienić wszystkich, więc wspominam tylko o kilku, z którymi miałem najbliższe kontakty w codziennej pracy.

Hanna Łukaszewiczowa, z pozoru niezwykle skromna i nieśmiała osoba była w ZOR-ze jako „Władysława” kierowniczką całego zespołu wszystkich naszych koleżanek. Jako „Ludwika” była szefową moich Peżek /skrót od nazwy „Pomoc Żołnierzowi”/. Sprawnie organizowała wszystkie kursy dla nich i czuwała nad akcją Peżetek we wszystkich komendach okręgowych AK. Zginęła w niewiadomych okolicznościach w początkach 1945 r. w Pradze.

Stale, niemal codziennie miałem do czynienia z trzema moimi głównymi łączniczkami. Irena Rzepecka /żona szefa BiP-u/ ps. „Ela”, pośredniczyła w łączności z Wydziałem „R”. Zmarła po powstaniu w obozie jenieckim. Niestrudzoną i niemal nieodłączną łączniczką była Barbara Wolska, ps. „Jula” w moich stałych kontaktach z Wydziałem „Rój” /mob propagandy/ i z siecią organizacyjną ZOR-u. Wyróżniała się sprawnością, dokładnością i odwagą. Dwukrotnie odznaczona Krzyżem Walecznych. Zginęła w Powstaniu

17 sierpnia. Jej siostra, Jadwiga Wolska, ps. „Greta” była doskonałą łączniczką od spraw Wydziału „N”.

W Krakowie przewodziła grupie kobiecej ZOR dr Jadwiga Beauoré ps. „Jadwiga”, „Malina”.

Wymieniam tylko pięć nazwisk, gdyż nie pamiętam ani pseudonimów, ani nazwisk bardzo wielu innych dzielnych Akaczek, których ofiarną pracę zawsze wysoko ceniłem.

– Kiedy odbyło się Pańskie zaprzysiężenie do ZWZ-u?

– Do Związku Walki Zbrojnej wstąpiłem w połowie 1940 roku. Zaprzysięgał mnie jegomość którego znałem z widzenia, a na dodatek było to w domu, w którym mieszkalem przed wojną. I tak stałem się podporucznikiem ZWZ.

– Po odejściu Kruka-Strzeleckiego pracował Pan już z „Prezesem”.

– Tak. Rzepecki robił dobre wrażenie. Człowiek bardzo inteligentny. Znałem jego publikacje z okresu przedwojennego. Był bardzo spokojny, sumienny, zewnętrźnie nie robił wrażenia dynamicznego. Powiedział mi, że się na propagandzie nie zna i zostawił mi szerokie uprawnienia, pod warunkiem informowania go o tym co robię.

Pewnego dnia Rzepecki przekazał mi informację, że „Grot” chce abym zaczął robić Akcję „N”. To była bliska mi myśl, gdyż – jak już mówiłem – jeszcze przed wojną interesowałem się teorią propagandy ściągając materiały z różnych krajów celem poznania różnych technik propagandowych.

Kiedy w październiku 1939 roku powróciłem do Warszawy myślałem sporo o rozpoczęciu akcji propagandowej skierowanej do Niemców. Chciałem do tej akcji wprowadzić Osmańczyka, który współpracy takiej odmówił. Ja go znałem z okresu kiedy miałem do czynienia ze „Światpołem”. Odbywał się duży zjazd Polaków z Niemiec połączony z „chrzczeniem” sztandarów w Wiśle i tam dał się zauważyć J.E. Osmańczyk. Nie mógł przebywać w Niemczech, nawet jego życie było zagrożone i wtedy przybył do Warszawy jako stypendysta „Światpolu” i wówczas bliżej go poznałem. We wrześniu przychodził do mnie na front ze Stanisławem Sachnowskim /”Jacek Wołowski”/, warszawskim reporterem. Na początku 1940-go roku spotkałem się z nim i zaproponowałem

współpracę w antyniemieckiej propagandzie, ponieważ świetnie znał Niemcy i niemiecki. Osmańczyk powiedział, że musi zapytać żonę, gdańszczankę, z którą się ukrywał. Potem mnie powiadomił, że niestety nie może ze mną w tej sprawie współpracować. Toteż kiedy otrzymałem propozycję robienia takiej propagandy od Rzepeckiego, natychmiast chętnie się zgodziłem. Jeszcze przez trzy miesiące zajmowałem się „Agencją” i od kwietnia 1941 przeszedłem do Akcji „N”.

– Jaki miał Pan plan działalności „N”?

– Chodziło mi o stworzenie zasad tej propagandy kierowanej do Niemców, ale głównie do „Wermachtu”, z którym mieliśmy najwięcej do czynienia. Wiedziałem, że nasza propaganda musi prezentować się tak, jakby była dziełem wewnątrz niemieckiej opozycji antyhitlerowskiej. Polska propaganda byłaby natychmiast odrzucona.

Problemem było dostarczanie Niemcom naszych materiałów, które powinny docierać różnymi drogami do Niemców, np. pocztą, indywidualne wkładanie do kieszeni żołnierskich płaszczy, podrzucanie do domów. Zacząłem szukać odpowiednich ludzi. Bardzo ważni byli odpowiedni działacze. Znaleźli się ludzie tłumaczący bez żadnych błędów. Najlepszym dowodem była wysoka ocena naszych materiałów zrobiona w gestapo. Oparłem się głównie na ludziach, z którymi pracowałem przed wojną – ZPMD, Wydział Propagandy OZN-u i „Strzelec” – tych ostatnich głównie do akcji organizacji.

Musieliśmy stworzyć zupełnie odrębną sieć organizacyjną. Nie wolno było łączyć z akcją „N” żadnego polskiego kolportażu. Działalność była wydzielona i wtrącić się do niej mógł tylko mój szef – Rzepecki i szef mojego szefa – Rowecki.

Stworzyłem różne redakcje dla poszczególnych niemieckich pism „Der Soldat”, „Die Durburch”, tytuły oczywiście były zmieniane. Przerzywaliśmy wydawanie „Der Soldat”, a zaczynało się wydawanie „Der Frontkämpfer”, a niekiedy wydawali oba tytuły jednocześnie. Niemcy wydawali popularne wśród żołnierzy pismo „Die Erika”, bardzo bogato ilustrowane. Postanowiliśmy, zrobić coś podobnego już w 1942 roku.

Kiedy wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, to po kilku tygodniach od

rozpoczęcia walk wydaliśmy pierwszą ulotkę, drukowaną „szwabachą”. To był nasz debiut.

Potem postanowiliśmy stworzyć partię zwolenników Rudolfa Hoessa, który uciekł do Anglii. Była to okazja, którą należało wykorzystać. W czterech wydanych ulotkach przeciwstawiliśmy Hoessa Hitlerowi. Jednakże największą popularnością cieszyło się wydane przez nas ilustrowane, kolorowe pismo satyryczne „Klaubartemann”. Tytuł wzięliśmy od niemieckiego duszka ukazującego się na okrętach, które miały zatonać. Jeden z moich kolegów zaproponował tę nazwę uważając, że Niemcy dobrze ten tytuł skojarzą. To było rzeczywiście rozchwytywane pismo.

– W jakim nakładzie był drukowany „Klaubartenmann”?

– W tej chwili nakładów nie pamiętam, ale w kwietniu 1944 roku skończyliśmy druk milionowego egzemplarza w Akcji „N”. Spotkaliśmy się wtedy całym zespołem redakcyjnym opiliśmy milionowy egzemplarz naszych wydawnictw. Byli tam Kazimierz Kumaniecki, Zygmunt Ziółek, Halina Auderska, była pani Freydowa – świetna tłumaczka na niemiecki -, był Sobociński-Kawczyński, łącznika „N” – „Greta”, Sławomir Borkowski.

Akcja w sprawie Hoessa była dość ważna, gdyż była jedną z pierwszych. Staraliśmy się uwiarygodnić ją, m.in. poprzez nieregularność druków, gdyż zbyt regularne konspiracyjne druki w Niemczech byłby zbyt podejrzane. W kolportażu obowiązywała zasada pojedynczego rozpowszechniania druków, większe ilości byłby także podejrzane. Poszczególne numery były roznoszone, podrzucane w szatniach do płaszczy, do otwartych samochodów.

W Krakowie zatrzymano jednego z kolporterów Akcji „N”, gdy na parkingu podrzucał ulotki. Został przez Niemców zamordowany. Nazywał się Władysław Fischer.

– Jaka tematyka dominowała, jaką treść przekazywaliście?

– W naszych tekstach staraliśmy się organizować wszelkie intrygi. Pewnego razu zaczęliśmy rozpowszechniać informacje na temat konfliktów między niemieckimi generałami. Porozumiałem się z szefem wywiadu, który wskazał mi popularnych w wojsku generałów. Wybrałem sobie Reichenau’a i zrobiliśmy

cały numer „Der Soldat” poświęcony temu generałowi. Przypadek zdarzył, że w tym samym okresie Reichenau zmarł i niektórzy uważali, że jest to nasza zasługa. Potem wybraliśmy sobie za bohatera marszałka von Bocka, o którym pisaliśmy, że jest prześladowany, staraliśmy się go popularyzować.

Nasze intrygi bywały dość skuteczne. Im gorsza była sytuacja na froncie, tym bardziej stawało się to wiarygodne.

Staraliśmy się tworzyć także lewicową konspirację w wojsku – takim piśmem było „Der Hammer”.

Muszę przyznać, że miałem doskonałych tłumaczy, świetnych znawców języka niemieckiego – Niemcy to doceniali. W pismach ostrzegawczych dla niemieckich oficerów wymieniali nasze pisma jako złowrogie i skuteczne.

Ulotki przez nas wydawane często komentowały bieżące wydarzenia. Kiedy zaczęły się mrozy w Rosji, natychmiast w naszych ulotkach zaczęliśmy narzekać na złe zaopatrzenie wojska. Rzuciliśmy hasło aby zbierać futra od żon urzędników hitlerowskich i posyłać do żołnierzy.

Następnie zaczęliśmy dawać instrukcje jak markować choroby. Równocześnie rozpoczęliśmy akcję straszenia rosyjskimi mrozami i ich konsekwencjami na całe życie. Nakłady tych ulotek wahały się od 10000 do 20000 egzemplarzy. Ograniczaliśmy nakłady ze względu na trudności kolportażu.

– A jaki był zasięg kolportażu?

– Na całym terenie ziem polskich, a więc na zapleczu frontu wschodniego, ale dochodziły także do Berlina i Wrocławia. Otrzymaliśmy informację spod Odessy, że tam także znaleziono nasze ulotki, ale także z frontu zachodniego, z nad Atlantyku. W Berlinie było chyba najlepiej z naszymi ulotkami, gdyż myśleliśmy specjalnie na to miasto nastawili. Wiązało się to także z taką iskrą sportową, aby jak najbliżej stolicy Hitlera dotarły nasze druki.

Rozpowszechnialiśmy nasze druki dzięki temu, że w każdym BIP-ie okręgowym był Referat „N” i do niego kierowaliśmy nasze druki.

Chcąc mieć pełną gamę antyhitlerowskiej propagandy otworzyliśmy różne nurty polityczne. Od skrajnej lewicy do prawicy, nie pomijając Rad Żołnierskich, rzekomo istniejących w poszczególnych armiach.

Skoro już mówię o Akcji „N” to mieliśmy dużo szczęścia. Gra, którą pro-

wadziliśmy mogła kosztować wiele istnień ludzkich, ale niewielu ludzi zginęło. Był aresztowany, zupełnie przypadkiem, „Notecki”, czyli Jan Kawczyński, przy którym na szczęście nie wykryto „N-owskich materiałów i on przeszedł obozy, ale przeżył. Nie łączono go z Akcją „N”. Ujęto także jednego z naszych kurierów, który złapany został „na czysto” i zbiegł z ciężkiego więzienia w Radomiu. Pamiętam, że kiedy go spotkaliśmy to miał ślady na rękach po kajdankach i musiał się leczyć zanim wrócił do działalności.

– Od którego momentu Niemcy zaczęli łączyć Akcję „N” z polską dywersją?

– Oni nigdy nie powiedzieli, że jest to polska akcja. Naszą działalność określali jako wrogą propagandę /komunistyczną, żydowską/, ale nie polską. Myśle, że trochę się wstydzieli, że mimo terroru takie rzeczy wychodzą w Polsce. Abwiera chyba wiedziała kto robi, ale nie chciała tego ujawnić. Zresztą ta dezinformacja była tego typu, że w Łodzi, w której myśmy zapoczątkowali działalność partii Hoessa, Niemcy robili już zebrania tej partii, wierząc, że ona istnieje naprawdę.

Bardzo nam zależało na skuteczności naszej propagandy na terenie samych Niemiec. Ten teren obsługiwał nasz jedyny kurier, który jednocześnie obsługiwał kraj i Niemcy, występował pod pseudonimem „Fonsio”. On m.in. zwoził nam gazety niemieckie podające nekrologi żołnierzy niemieckich, którzy ginęli na froncie. Zbieraliśmy adresy i wysyłaliśmy na nie, oczywiście nie z Warszawy, listy kondolencyjne, w których informowaliśmy rodziny, że zamordowali go gestapowcy. Takich listów wysyłaliśmy sporo. Było to w wielu wypadkach skuteczne.

Ponadto staraliśmy się wytworzyć w żołnierzach na froncie wrażenie, że w domu jest bieda, a na dodatek żony puszczają się z Włochami, których sporo sprowadzono jako robotników do Niemiec. Miałem dobry kontakt z kontrwywiadem, z panem Klausalem /znałem go sprzed wojny/, on specjalizował się w wyłapywaniu „Felpostu”, który przechodził przez Warszawę i dawał mi listy. Bardzo dbaliśmy o to „niemieckie życie rodzinne” w odpowiedni sposób. Nie jest to miłe, ale to była wojna i nas w tej wojnie nie oszczędzano.

Po pewnym czasie stworzyliśmy specjalny oddział zajmujący się volsdeustschami, „Die Zuknft”, które rozsyłały na znane nam ich adresy domowe. Celem tej akcji było przypominanie tym ludziom, że zbliża się koniec wojny i co będzie jak się skończy okupacja. Założyliśmy fikcyjne specjalne sądy, które sądami, wcale nie były. Polegały na tym, że wydrukowaliśmy specjalne blankiety, np. komisarza do zwalczania niemczyzny, inny znów – sąd najwyższy. Kiedy dostawaliśmy nazwisko osobnika szczególnie szkodliwego dla Polski, to otrzymał pierwsze zawiadomienie zawierające stwierdzenie, że prokurator otrzymał skargę i wszczyna dochodzenie. Po miesiącu delikwent otrzymał list przypominający, że dochodzenie nie zostało jeszcze zakończone. Potem przysłaliśmy informację, że akt oskarżenia jest sporządzony i sprawa będzie rozpatrywana przez specjalny sąd wojenny. Następnie nasz klient otrzymał wyrok sądu podziemnego wraz z informacją, że wykonanie kary może nastąpić w każdej chwili.

Dawało to świetne rezultaty. W Warszawie w administracji domów mieszkalnych był bardzo wredny Treuhander. Dali mi jego nazwisko i przeprowadziliśmy całą opisaną poprzednio procedurę i po jakimś czasie bardzo się zmienił, zmiękł. Niektórzy zmieniali miejsce pracy czy zamieszkania.

Cel, jakim było sianie zamieszania w niemieckiej administracji był realizowany. Zwłaszcza od chwili, gdy wojna zaczynała powoli zbliżać się ku końcowi.

Stosowaliśmy jeszcze listy ochronne. Jeżeli któryś z Niemców dobrze się sprawował i był przyzwoity wobec Polaków, to otrzymał taki glejt. Taki osobnik otrzymał pismo, zawiadamiające, iż uznajemy, że działalność nie jest szkodliwa dla Polski i rozważana jest decyzja czy nie wpisać danej osoby na listę tych, którzy powinni uniknąć odpowiedzialności karnej teraz lub po wojnie. To także pomagało.

– Jak to było ze zorganizowaniem obchodów imienin Adolfa Hitlera?

– Wpadłem kiedyś na pomysł związany z imieninami Hitlera – 30 kwietnia. W Niemczech obchodzono je zawsze bardzo uroczystie. Pomyślałem, że w kilku fabrykach robotnicy polscy mogliby odpocząć. Wydaliśmy w związku z tym zarządzenie podpisane przez gubernatora radomskiego i warszawskiego L. Fishera. Wysłaliśmy pisma do kilku fabryk przemysłu wojennego

w Warszawie i jednej w Pruszkowie, nakazujące ze względu na dobrą pracę robotników dać im w dniu imienin Hitlera wolny dzień i jednocześnie za ten dzień zapłacić. Udało nam się – co było ważne – dotrzeć do dyrekcji tuż przed zamknięciem fabryk i zarządzenie wykonano. Efekt nastąpił dopiero późnym wieczorem, kiedy przez megafony Niemcy wzywali robotników, żeby jednak przyszli do pracy 30 kwietnia. Oczywiście nie przyszli. Kilkadziesiąt tysięcy takim sabotażem „uczciło” Hitlera.

– A jak było z drukowaniem. Jedna z drukarni musiała być zapewne wydzielona?

– Tak. Była to jedna z drukarni u „Kmity”. Później niestety to nam się urwało, gdyż w pierwszym kwartale 1944 roku drukarnie „zasypywano”. Komuniści nas oskarżali, że była dyrektywa aby zmniejszyć akcję „N”, ale w rzeczywistości przyczyną była wpadka drukarni.

Przed samym Powstaniem wydaliśmy odezwę Wehrmachtowi, jednak miała być ona rozrzucona tuż przed walką lub w czasie jej trwania. Była to pierwsza i ostatnia ulotka w języku polskim robiona przez „N”. Później nadawaliśmy do Niemców przez „Błyskawicę” i przez megafony. Zawsze ceniłem megafony i w czasie wojny kupiliśmy ich kilka – chyba ze cztery – w warsztatach, gdzie je produkowano. Mieliśmy takie patrole megafonowe, składające się z technika, redaktora, ludzi noszących baterie i megafon. Takie patrole posyłał na linię frontu, a ludzie mówiący dobrze po niemiecku, przemawiali do drugiej strony. Niemcy się o to wściekali i natychmiast otwierali ogień. Na Nowogrodzkiej zginęła w ten sposób sanitariuszka, będąca w takim patrolu. W warunkach powstańczych była to oczywiście mini akcja, lecz była również pożyteczna.

– Chciałbym cofnąć się do okresu przed Powstaniem. Pan był na konspiracyjnych papierach, ścigany przez Niemców.

– Pierwsza wiadomość, że jestem, jak to się mówiło, „na widelcu” przyszła w 1942 roku na wiosnę. Musiałem wtedy wyprowadzić się z domu. Zmieniłem papiery /to nie było trudne/ i zacząłem mieszkać na Polnej, skąd musiałem się wynieść po aresztowaniu mojej żony i jednego ze współpracowników. Chodziłem na papierach pracownika firmy pracującej na rzecz uzbrojenia Niemiec.

Przyjemnie to było pokazać. Przez długi czas występowałem „policyjnie” jako Kulesza, ale zawsze trzymałem się swojego imienia.

Mieszkania musiałem zmieniać często, np. Sandomierskiej gdzieś na daleki Mokotów, potem na Aleję Szuster przy Puławskiej. W tym czasie otrzymałem wiadomości z naszego kontrwywiadu, że jakiś agent widział mnie w tramwaju, rozpoznał, ale na szczęście gdy ja wysiadłem nie zdążył wyskoczyć. W ten sposób Niemcy wiedzieli, że przebywam na Mokotowie, musiałem więc znów zmienić dzielnicę. Powstanie zastało mnie gdy mieszkiałem przy placu Narutowicza. Musiałem uważać przy chodzeniu na mieście, ale jakoś się udało.

– Oprócz Akcji „N” czym Pan jeszcze zajmował się w okresie 1942–1944?

– W tym czasie kierowałem nadal Związkiem Odbudowy Rzeczypospolitej /ZOR/. Myśmy przekazali do AK, do I Oddziału Sztabu, do płk „Kortuma” 10000 ludzi, mężczyzn i kobiet. Miałem takie pokwitowanie. ZOR wówczas to Warszawa, Tomaszów Mazowiecki, Piotrków, Kraków, Zakopane, nawet jakieś gminy na Lubelszczyźnie oraz Żyrardów, Błonie, Pruszków i kilka innych miejscowości.

– A na czym konkretnie polegała działalność ZOR-u?

– Prowadziliśmy normalną robotę wojskową, propagandową, bez przerwy wydawaliśmy „Wolną Polskę”, który cały czas redagowałem. Ludzie w ZOR doskonale płacili składki. Na działalność nie mieliśmy żadnych subwencji. Wydawaliśmy pamiątkowe znaczki, z których dochód przeznaczony był na pomoc rodzinom aresztowanych członków ZOR, którymi opiekowaliśmy się.

Z łączącym się ZOR-em Zjednoczeniem Demokratycznym mniej się interesowałem, gdyż na to nie miałem już czasu. Przyszła na mnie Akcja „R”.

Od jesieni 1943 roku miałem pod sobą trzy wydziały. „N” – od samego początku do końca. Od 1942 roku Mob. Propagandy czyli „Rój”. A od listopada 1943 jeszcze Akcję „R”.

– **Może przypomni Pan narodziny Akcji „R”.**

– Jesienią 1943 roku zwrócił się do mnie Rzepecki informując, iż otrzymał polecenie „Bora”, aby BiP uczestniczył w akcji propagandy antykomunistycznej. Poinformował mnie, że tworzy się specjalny komitet aby propagandowo przeciwdziałać komunistom. Zaproponował mi uczestnictwo w pracach komitetu z ramienia BiP-u. Utworzono wtedy Społeczny Komitet Antykomunistyczny, na czele którego stanął Franciszek Białas z PPS-u. Znajdowali się tam przedstawiciele Delegatury Rządu, ja byłem z AK oraz przedstawiciele partii politycznych. W skład komitetu wchodził m.in. Stefan Korboński, Stanisław Kauzik /bądź jego zastępca, Zbigniew Kunicki/ Leopold Rutkowski – „Zawadzki” – /przedstawiciel Komitetu Społecznego Organizacji Samoobrony, tzw. SOS-u/, Fichna z Konwentu Organizacji Niepodległościowych dawny senator z ramienia NRR/ i rzadko tam bywający Tadeusz Miklaszewski. Do tego Komitetu wchodził także Franciszek Urbański z chrześcijańskich związków zawodowych i Henryk Glass – to było naszą największą „zgagą”. Henryk Glass pochodził z Kijowszczyzny, gdzie w czasie rewolucji całą jego rodzinę wymordowali bolszewicy. Po przybyciu do Polski Niepodległej od razu rozpoczął walkę z bolszewizmem. Tak zresztą nazwał swoje pismo /„Walka z bolszewizmem”/, które własnym kosztem wydawał przez okres Polski Niepodległej. Miał klapy na oczach. Z nim było najwięcej trudności, działał samodzielnie. Mieliśmy w Komitecie ustalać pewne rzeczy, jakieś hasła, taktykę działania. A on bez przerwy żądał „krwi komunistycznej”. Wydawał taką Agencję „A” i tam nawet podawał adresy poszczególnych komunistów. Były to wyraźne donosy dla gestapo. Żadne perswazyje nie pomagały i w końcu się od niego odciepliśmy. Po wojnie przez długie lata przebywał w Londynie.

W swojej propagandzie antykomunistycznej ustaliłem z Rzepeckim, że będziemy prowadzić dwa pisma – jedno dla robotników, drugie zaś dla chłopów. Stąd się wzięły „Wolność Robotnicza” /jej redaktorem był Sosnowski/ i „Głos Ludu”.

Między nami były duże różnice, na temat prowadzenia walki z komunistami. Wychodziłem z założenia, że polemiki nie powinny być zbyt ostre, albowiem tego typu teksty nie trafiają do przekonania ludzi rozważnych. Doszedłem do wniosku, że nie należy zajmować się polemikami ideologicznymi, ale

skoncentrować się na tym, co się wydarzyło w Rosji Sowieckiej, gdzie komunizm od wielu lat funkcjonuje. Dlatego też uważałem, że kryptonim powinien być „R” – Rosja – a nie „K”, jak w BiP-ie uważano.

Jedną z ciekawszych ulotek opracował dla mnie pan Krygier z PPS-u, po wojnie działał w cyrankiewiczowskim PPS. Nosiło to tytuł „Dwa totalizmy”, gdzie porównywał Niemcy i Rosję Sowiecką. Bardzo się przy tym napracował.

Równocześnie pracowała Agencja „R”, której działalność polegała na tym, że zbierane były różne teksty, artykuły, wiadomości itp., które następnie były rozsyłane do pism celem wykorzystania. Chodziło o dostarczenie artykułów na odpowiednim poziomie. Rzeczywiście korzystały z nich również pisma Stronnictwa Ludowego.

W tym czasie napisałem broszurę pt. „Dokumenty mówią”, zawierającą omówienie – na podstawie faktów historycznych – polityki wewnętrznej w Rosji Sowieckiej oraz jej polityki wobec Polski.

Wydawaliśmy materiały „R” raz na dwa tygodnie.

– Kto odegrał szczególną rolę w Akcji „R”?

– Moim zastępcą był Wacław Kozłowski, ps. „Kaniewski”, ale razem pracowało nas 7-8 osób. W odróżnieniu od Akcji „N” nie mieliśmy własnego kolportażu, nasze materiały szły na ogólny kolportaż BiP-u.

– A jak zaczął Pan prowadzenie „Roju”?

– To się zaczęło na początku 1942 roku. Rzepecki powiedział mi, że Komendant chce przygotować pomysły na propagandę na okres wybuchu walk z Niemcami, na wypadek Powstania. Rzepecki zaproponował moją osobę i Rowecki się zgodził. Dostałem wolną rękę. Zastanawiałem się jak to przygotować. Wiedziałem jak to ma wyglądać merytorycznie, ale zastanawiałem się jakie mają być środki techniczne i organizacyjne. To był trudny problem, bo przed wojną agandy państwowe prowadziły reklamę a nie propagandę.

Do pomocy wziąłem mojego współpracownika jeszcze z OZN-u /później mnie bardzo ładnie „załatwił”/ Zygmunta Ziółka. Pracował ze mną Sosnowski.

Musielismy opracować problem propagandy polowej w wojsku. W 1920 roku to były tylko pogaduszki literackie dla wojska, ale nie było prawdziwej

propagandy dla żołnierza. Musiałem przeszkolić szefów referatów „Roju” w okresach i w tym celu robiłam w Warszawie tygodniowe kursy, na które przysyłano mi wybranych do tej roboty ludzi. Przez tydzień siedzieli w Warszawie po rozmaitych lokalach /nie więcej niż 7, żeby utrzymać zasady konspiracji/, a myśmy tłoczyli im do głowy rzeczy, które były najważniejsze. Byli tym bardzo zainteresowani, to była dla nich nowość. Oczywiście najpierw sami musieliśmy się solidnie przygotować. Współpracował ze mną przyjaciel, Andrzej Pomian /on wtedy zajmował się propagandą na mniejszości narodowe i na Węgry/.

Przychodziły takie pomysły. Znalazłem pewną panią /Hannę Łukasiewiczową, ps. „Władysława”/, znaną mi jeszcze ze Związku Szczęśliwego, i poprosiłem o objęcia kierownictwa organizacji, którą nazywaliśmy Pomoc Żołnierzowi /PŻ/. Zorganizowaliśmy dla nich oddzielne kursy. Przez kursy dla „peżetek” przeszło kilkadziesiąt kobiet /w tym i moja żona/.

Konieczne trzeba było organizować radio. Musieliśmy mieć redaktorów i techników. Nie wiedzieliśmy jakie będziemy mieć radiostacje. Dziennikarzy wzięłem z Polskiego Radia, w tym Stanisława Zdrożnego /został kierownikiem referatu radiowego/ i Zofię Żebrowską /moją cioteczną siostrę, przedwojennego radiowca/. Niektórzy spikerzy też byli z radia. Następnie organizowałem film i fotografię, tj. część propagandy wizualnej. Ludzie musieli się sporo nauczyć. Tego typu propaganda musi oddziaływać na żołnierza, na społeczeństwo i na przeciwnika. Tego ostatniego elementu nie włączałem tu, gdyż miałem do tego dwa inne kierowane przeze mnie wydziały.

Organizowaliśmy oddzielne kursy dla fotografów prowadzone przez Wacława Żarskiego /po wojnie postać mniej ciekawa/. Przed wojną był fotografem w OZN-ie. Był dobrym specjalistą i kursy prowadził na wysokim poziomie.

Do filmu szukaliśmy dawnych filmowców i udało nam się kilku złapać. Cholerne kłopoty mieliśmy ze sprzętem. Musieliśmy wszystko kupować, a to było bardzo drogie. Marzyłem o aparatach do nagrań polowych, wiedziałem, że są w armii amerykańskiej, ale niestety ani jednego mi nie przysłali.

Potrzebni byli specjaliści do robienia plakatów. Żołnierz musi śpiewać, potrzebna jest mu piosenka. Trzeba było myśleć o teatrze dla żołnierzy. To robił oczywiście Bohdan Korzeniewski.

W grupie zajmującej się piosenką, którą prowadził Rutkowski, był Stani-

sław Ryszard Dobrowolski. To był wtedy bojowy facet. Napisał „Szturmówkę” i „Warszawskie dzieci” oraz kilka innych dobrych piosenek. Udało nam się nawet zorganizować orkiestrę dętą. Raz czy dwa nawet zagrała w czasie Powstania.

Mieliśmy sporo przygotowanych ludzi. Samych tylko fotografów mieliśmy przeszkolonych ponad siedemdziesięciu. Postanowiłem jednak, że trzeba żołnierzy-fotografów oswoić z linią frontu. Polecilem więc, żeby na początek w Warszawie robili fotografie obiektów niedozwolonych do fotografowania. Mieli się oswoić z niebezpieczeństwem. To samo było z filmem. Zaczęliśmy później wysyłać patrole propagandowe do oddziałów partyzanckich. Jeden z aparatem fotograficznym, drugi piszący, ponadto musieli oni na miejscu szukać aparatu do nasłuchu /już wtedy wierzyłem w nasłuch/. Pierwszy taki patrol pojechał na Lubelszczyznę, a drugi do 27 Dywizji na Wołyni. I stamtąd mieliśmy pierwsze reportaże, a nawet zachowały się zdjęcia. Na Wołyniu udało się nawet sfotografować węgierskich jeńców prowadzonych przez nasz oddział.

Dużą wyprawę szykowałem w styczniu czy lutym 1944 na Nowogródzczyznę, ale niestety aparat filmowy został uszkodzony. Nasi wysłannicy jechali jako Todt Organisationi w warunkach podróży uszkodzono kamerę. Zostały tylko zdjęcia fotograficzne. To były reportaże z działalności naszej partyzantki.

Celem tych wyjazdów, poza gromadzeniem materiałów było przede wszystkim oswojenie ludzi z walką.

Wydaliśmy dwa numery „Polski Ilustrowanej” zawierający zdjęcia z walk i wydarzeń w Generalnej Guberni.

Teatr żołnierski miał dwa czy trzy spektakle przygotowane i kiedy 27 Dywizja cofnęła się na Lubelszczyznę to wysłaliśmy do nich ciężarówkę z zespołem teatralnym. Musieli niestety zawrócić z drogi, gdyż zaczęła się oblawa niemiecka na Lubelszczyźnie.

Postanowiliśmy zrobić „fabrykę piosenek”. Spotkaliśmy się w trójkę. Rutkowski, Dobrowolski i ja. Na ulicy Chopina, bo to dzielnica niemiecka, więc tam zawsze najspokojniej. Sugerowałem Dobrowolskiemu, by napisał coś bardzo bojowego, z ikrą – i tak powstały „Warszawskie dzieci”. Dobrowolski /„Goliard”/ pisał teksty, a Rutkowski /„Korycki”/ szukał muzyków, którzy mogliby napisać melodię. Często piosenki miały dwie wersje – jedną dla sceny i drugą dla potrzeb „polowych” – dla żołnierzy do marszu. Zostało wyproduk-

wanych ponad 30 piosenek. Ja oczywiście byłem tam tylko „od zatwierdzania” i zachęcania. Dobrowolski był doskonałym pracownikiem, do czasu Powstania. Wtedy się złąkł i ukrył.

Wtedy były nawet konkursy na piosenkę i sztukę teatralną. Pamiętam, że zwycięzca dostał nagrodę w złotych rublach. W jury była Dąbrowska, Schiller, Korzeniewski i ja. Chyba jeszcze ktoś był – nie pamiętam.

Nie powiedziałem o bardzo ważnej sprawie w naszej działalności propagandowej – o pismach. Na Powstanie przygotowałem gazetę ścienną, która zresztą się nie ukazała.

– Ale zanim dojdziemy do Powstania, czy moglibyśmy jeszcze pozostać przy wydarzeniach poprzednich. Jak przyjęto śmierć Sikorskiego?

– Dla większości ludzi z AK to był duży szok, gdyż przywiązywano do niego duże znaczenie. W kołach politycznych nie było czarnej rozpacz, dlatego że pamiętano Sikorskiemu nie fortunne posunięcia na początku rządów, chociaż później on się bardzo zmienił. Ale 1939 i 1940 rok, kiedy on był jednostronny politycznie /i to bardzo/ i tym zepsuł sobie opinię. Żałowano go pośmiertnie, ale była to żałoba „w miarę”. Myśmy wtedy żyli tym, że kraj ma więcej do powiedzenia niż emigracja. W prasie nie raz się o tym pisało. Przyjdą nasi żołnierze i nam pomogą, ale coraz silniej wierzono w siłę kraju. W tym ’40 roku otrzymaliśmy szkołę. Uświadomiliśmy sobie, że nie ma co zbytnio liczyć na pomoc z zewnątrz, ale na to co sami reprezentujemy. Nie stracono nadziei na jakąś pomoc Anglików i Amerykanów, ale pamiętano żeśmy się na Francuzach gorąco sparzyli. Był to czas coraz bardziej pogłębionej walki konspiracyjnej. U nas dosłownie wyrastało Państwo Podziemne w swoim szkieletowym stanie.

– A jak Pan wtedy przyjął wiadomość o aresztowaniu „Grota”?

– Dowiedziałem się o tym 10 dni później. Mało kto o tym wiedział, ukrywano to. Zresztą rozsądnie.

– Pan się z nim zetknął.

– O tak, parę razy. Ja wiedziałem kto jest tym „Grotem”. Na pewnych szczeblach nie dało się tego ukryć. Było to w jakiejś pół roku po rozpoczęciu akcji

„N”. Rzepecki powiedział mi, że mam się zgłosić do „Grot”. Było to na Grochowie. Wieczorem poszedłem na adres, który dał mi Rzepecki. Wszedłem do domu, który był częściowo zrujnowany, ale miałem udać się do oficyny na pierwszym piętrze. Otworzył mi drzwi „Szymon” – słynny adiutant wszystkich komendantów AK. W pokoju czekali na mnie Rowecki z Rzepeckim. Odbyła się bardzo przyjemna, właściwie towarzyska rozmowa. Omówiłem swoją działalność i jednocześnie poprosiłem, żeby traktować wszystkich żołnierzy propagandy jak i liniowych, chociaż nie walczą z bronią w rękę. Poprosiłem go o dwa Krzyże Walecznych dla „enowców” z terenu. Rowecki chętnie się zgodził. Wtedy właśnie podjął decyzję o przekształceniu referatu „N” w Wydział.

– On wiedział kim Pan jest?

– Tak. Przypuszczam, że wiedział wcześniej o mojej działalności przedwojennej, kiedy typował mnie na szefa „N”. Widzieliśmy się jeszcze parę razy. Zawsze mnie prosił co pół roku, abym osobiście zdawał relację ze swojej działalności. To były krótkie 10–15 minutowe spotkania. Ostatni raz widziałem się z nim na parę tygodni przed aresztowaniem. Spotkaliśmy się na początku czerwca, kiedy razem z moim przyjacielem i współpracownikiem – Bronkiem Budkiewiczem, zameldowaliśmy mu zakończenie wcielenia ZOR-u do AK. Spotkaliśmy się gdzieś w okolicy Chłodnej. To było trochę dłuższe spotkanie. Mówiliśmy wtedy o konieczności zmian politycznych w Polsce powojennej, zmianie sytuacji społecznej, o demokratyzacji. „Grot” zgodził się z naszym stanowiskiem, mówił o konieczności poważnej przebudowy Polski powojennej. To była bardzo przyjemna i ciekawa rozmowa.

Jego aresztowanie było bardzo wielką stratą. Znałem „Bora” wcześniej jako zastępcę Komendanta Głównego i jednocześnie Komendanta Obszaru Zachodniego. Spotkałem się z nim kiedy chciałem rozbudować „N” na Zachodzie w Poznańskim. Wtedy miałem z nim spotkanie na Saskiej Kępie. To był bardzo miły człowiek, ale było też widać, że to nie jest format „Grot”. Bardzo spokojny, grzeczny, ale nie był dynamiczny. „Grot” był przywódcą, a „Bór” dobrym żołnierzem i opanowanym dowódcą. Natomiast nigdy nie zetknąłem się z Okulickim, nawet w Powstaniu, gdyż on się szykował na późniejsze wyjście z ukrycia i był siłą rzeczy odizolowany.

Ale wracam jeszcze do „Grot”. To była wyjątkowa osobowość. Szerokie horyzonty. Dużo pisał jak na wojskowego. Zajmował się także propagandą, stąd znałem go z lektur. W kontakcie osobistym odczuwało się, że to nie tylko komendant, ale przede wszystkim PRZYWÓDCA. To z niego emanowało.

– Chciałbym Pana zapytać o radykalizację polskiego społeczeństwa w latach II wojny światowej. Na ile obserwował Pan przesunięcie się społeczeństwa na lewo w latach wojny?

– Wyrazem tego były uchwały Rady Jedności Narodowej. Absolutnie większość społeczeństwa szła na lewo, oczywiście nie do komunistów. Co sprzyjało demokratyzacji polskiego społeczeństwa? Przede wszystkim zrównanie warunków życia w czasie okupacji. Wszyscy mniej więcej podobnie przeżywaliśmy okupację. Była to solidarność w niewoli i biedzie, solidarność w walce. Trzeba przyznać, że lata Niepodległości owocowały w konspiracji i to było zjawisko niesłychanie ważne. Marcowa uchwała Rady Jedności, która była wspólnym kompromisem /marzec 44/. Była jednak atakowana później przez endeków.

Tu przypomina mi się kwestia dotycząca także działalności „R”. Był to okres, kiedy ukazała się uchwała komunistycznej Krajowej Rady Narodowej i postanowiliśmy w ramach Akcji „R” natychmiast na to odpowiedzieć. Napisałem odezwę, którą podpisało dwadzieścia parę organizacji i partii politycznych. Wydaliśmy ją bardzo szybko po uchwale KRN.

– Pan jest ciągle zakochany w Warszawie, wtedy było to miasto niezwykle. Jak zapamiętał Pan Warszawę lat okupacji, przed Powstaniem?

– Ja się czułem na ulicach bezpiecznie. Czuło się ludzką solidarność. Dam przykład. W 1943 roku Niemcy robili takie wielkie łapanki. Szli niemieccy żołnierze przez całą szerokość ulicy i wszystkich zgarniali. Mieszkiałem wtedy przy ulicy Puławskiej i wracałem z okolic Al. Niepodległości. Zauważyłem, że idą lotnicy /ta formacja była najgorsza/. Myślę sobie, że może być nieprzyjemnie. Postanowiłem wejść do pierwszego najbliższego domu. Zapukałem i spytałem, czy mogę przeczekać łapankę. I tak mogłem być spokojny.

Uważam, że teraz w Warszawie brak jednego pomnika – pomnika szmuglerki, tej co żywiła miasto.

To było piękne i niezapomniane miasto w czasie okupacji. Np. egzekucje uliczne nie zmniejszały działalności. Wawer wstrząsnął bardzo ludźmi, bo to był pierwszy raz. Z czasem było coraz więcej ostrożności, a mniej brawurowania. To miało różne formy. Pamiętam jak moja żona z koleżankami z ZOR-u składała kwiaty pod pomnikiem Lotnika – uważały, że tak trzeba. Ale jeżeli brawura jest połączona z wytrwałością – to dobra cecha. Pamiętam gdy jeździłem odbierać przysięgi „zorowskie” /najczęściej do ludzi prostych/, oni mieli wspaniałą postawę bojową.

Ale nasz kolportaż „N”, on naprawdę miał mało wpadek jak na ilość zaanżelowanych ludzi i wydawnictw, które się ukazywały.

Wielu ludzi znakomicie wytrzymywało śledztwa. Oczywiście nie wszyscy, ale znakomita większość. To było bojowe miasto. Nawet kiedy Powstanie wygasło, ludzie zapelniający piwnice nie mówili „wyście nas zgubili”.

Pamiętam jak po kapitulacji Powstania wywozili na Śląsk do Łambinowic. Wy-sadzono nas z wagonów i szliśmy piechotą do obozu. Po drodze zobaczyliśmy jakiś prowizoryczny obóz. To byli wywiezieni wcześniej warszawiacy. Lecieli do nas, tych, którzyśmy „zburzyli miasto” i cieszyli się, że nas zobaczyli, tych żołnierzy z opaskami.

– Latem 1944 roku, gdy Sowieci zbliżają się od wschodu, przez Warszawę uciekają na zachód tysiące Niemców. Widać sypiący się front.

– Proszę Pana, my zarządziliśmy ewakuację Warszawy wcześniej, w ramach Akcji „N”. Przygotowałem plakat, w którym wręczałem gubernatora Fishe-ra. „Zarządziliśmy”, ze względu na zagrożenie ludności i urzędów ewakuację z Warszawy. Wyglądało to jak autentyczne zarządzenie. Wywołało to prawdziwy popłoch wśród Niemców. Niezastąpiony „Wawer” rozplakatował to moje zarządzenie w Warszawie.

Mieliśmy właśnie naradę „bipowską”, a tu wpada Kamiński i od drzwi woła: „zobaczcie, ewakuację Niemców z Warszawy!”. Wszyscy wybuchliśmy śmiechem. W rezultacie gratulował sukcesu. Niemcy, naród zdyscyplinowany, natychmiast zaczęli wykonywać zarządzenie. To była przyjemna zabawa, dająca dużo satysfakcji.

Byliśmy przygotowani, że walka o Warszawę musi wkrótce nastąpić. W moim otoczeniu zdawaliśmy sobie sprawę, że Niemcy łatwo z Warszawy

nie będą chcieli odejść. Wisła przecież stanowiła dobrą linię obrony, to była naturalna przeszkoda. Bić się chcieli wszyscy, tym bardziej że kiedy 24 lipca w czasie wielkiej paniki Niemcy uciekli przez Warszawę, to można było by podejść do wozu i brać karabin, a oni wcale by nie reagowali. Niemcom udało się później opanować panikę, ale dla nas było jasne, że z naszej strony musi nastąpić uderzenie.

– Kiedy został Pan szefem propagandy Powstania?

– Od chwili wybuchu Powstania. Zostałem autentycznie od pierwszej godziny szefem propagandy, co wynikało z mojego stanowiska. Byliśmy u „Montera” na kwaterze wraz z Rzepeckim, miałem cały aparat w rękach i kierowałem naszą propagandą o Powstaniu. O decyzji rozpoczęcia walki dowiedziałem się na osiem godzin wcześniej. Zdążyłem rozesłać łączniczki na przygotowane punkty. Na przykład ekipa „Błyskawicy” czekała na Polnej, gdyż łączność zapowiadała, że otrzymamy krótkofalówkę na politechnice, więc chodziło o to, żebym miał blisko niej obsadę. Miałem jeszcze drugą krótkofalówkę, na której myśmy „grali”. Walczyłem z łącznością o sprzęt ładnych parę miesięcy i w końcu na szefie łączności go wymusiłem. Dostałem go w Częstochowie i musieliśmy przewieźć do Warszawy. To była krótkofalówka i trochę w podróży przemokła, gdyż wieziono ją w beczce z kapustą, ale udało się ją naprawić. Mobilizacja mojego wydziału wypadła sprawnie.

– Zaczyna się godzina „W”.

– W Powstaniu zdarzały się rozmaite dziwactwa. Nasz wydział miał gmach PKO na rogu Jasnej. Dzięki zorowcom tam pracującym udało się nam zająć ten olbrzymi gmach. Wieczorem byliśmy tam wszyscy. „Monterowi” znaleziono kwaterę na Jasnej 22, a potem w pobliskim hotelu „Victoria” przeznaczonym dla żołnierzy niemieckich. Po zbombardowaniu został bez kwatery. Wtedy zabrałem go do nas i był w PKO do połowy września.

– Jaki był zakres Pańskich obowiązków?

– Odprawiałem patrole propagandowe /megafony/. Rano przeglądałem numer ściennej gazety „Warszawa walczy”. Z redaktorem „Błyskawicy” oma-

wiałem program audycji. Codziennie sprawdzałem co robili filmowcy i fotografowie. Codziennie prowadziłem konferencje prasowe. Tak wyglądał mój dzień.

Z konferencji prasowych miałem wspaniałe doświadczenia. Te spotkania bardzo się rozrosły – były tam reprezentowane wszystkie pisma, od NSZ-u do komuny /z którymi przychodzi Weber/. Początkowo konferencje odbywały się na Szpitalnej, a potem w Eriksonie w alejach Ujazdowskich przy rogu Wilczej. Redakcje były bardzo solidne i zawsze spełniały prośbę, gdy prosiłem aby czegoś nie drukowano, bo to tylko do ich wiadomości. Omawiałem na tych konferencjach sytuację na froncie akowskim w całej Polsce /znaliśmy ją dzięki depeszom/, sytuację w świecie /dzięki nasłuchowi radiowemu/ oraz co się dzieje w Warszawie. Co jakiś czas ściągałem na konferencje ludzi, np. szefa saperów, który omawiał swoją działalność /budowanie barykad, robienie katapult, jak ratować zasypane domy/, szefa sanitariuszy, itd.

Ponadto każda redakcja miała swoją teczkę /to były takie skrzynki/ umieszczaliśmy w nich komunikaty, wszelkie materiały. Przychodzili dwa razy dziennie i dostawali sporo materiałów do wykorzystania w redakcjach.

– A jak sprawdziły się inne formy działalności – teatr, piosenka?

– Mieliliśmy trzy seanse w kinie „Palladium” zajętym przez nas. Prezentowaliśmy nasze filmy, nawet udźwiękowione. Wśród nas był niezawodny Bohdziewicz, szef naszych filmowców. On montował film – kronikę wydarzeń z kilku dni. Jednocześnie sam pisał komentarz, który sam odczytywał przez głośnik i nikt się nie orientował, że nie jest to prawdziwy film dźwiękowy. Wydaje mi się, że to był prawdziwy sukces. Na projekcje ściągałymi ludzi późnym wieczorem, gdyż baliśmy się, żeby przez agenturę nie dowiedzieli się o tym Niemcy i nie zbombardowali kina.

W konserwatorium mieliśmy orkiestrę dętą – raz czy dwa razy nawet występowała.

– Na ile trzeba było poprzez propagandę podtrzymywać ludzi na duchu?

– Tego nie trzeba było robić. Nawet mocno przetrzepane oddziały nie przeżywały załamania. Np. ludzie ze Starówki, kiedy wracali kanałami, byli zmaltretowani, początkowo chyba nawet rozgoryczeni, ale kiedy się umyli, odpoczęli to chętnie szli dalej bić się na Czerniaków. Oni tylko chcieli walczyć, dalej w swoich oddziałach. Powstańczy żołnierz był wspaniały.

– A jak Pan w propagandzie tłumaczył brak pomocy dla Powstania?

– Nie było żadnej jasnej odpowiedzi. Myśmy właściwie nie wiedzieli. Dlaczego tej pomocy nie ma. Myśmy myśleli, że to z powodu niedbałości Anglików. Nie wiedzieliśmy, że przelot samolotu z Brinds do Warszawy był wówczas prawie niemożliwy.

Przygotowaliśmy się natomiast na wejście Rosjan do miasta w czasie ofensywy. Mieliśmy olbrzymie plakaty z fotografiami naszych przywódców i z naszymi hasłami. Chodziło o to, żeby Rosjanie zobaczyli, że to jest Polska. Ale ich nie wykorzystaliśmy.

Przygotowywaliśmy się też na wypadek, gdyby Rosjanie zatrzymali się w Warszawie. Mieliśmy się skoncentrować w jednym kwartale bloków /Komenda Główna, Delegatura Rządu/, otoczonych naszymi oddziałami i czekać na rozwój wypadków. A gdyby zaatakowali, to będziemy się bronić do końca. Taką możliwość braliśmy też pod uwagę.

– A skoro już jesteśmy przy Powstaniu, czy pamięta Pan jakieś szczególne dramatyczne sceny, momenty?

– Pamiętam gdyśmy zajęli gmach „Adrii” na Moniuszki /to było po tym jak oddałem „Monterowi” gmach PKO/. W podziemiach w dawnej restauracji była nasza stołówka „peżetek”. Nasze kwatery były na pierwszym piętrze. To była siedziba naszego wydziału. Byłem na korytarzu, gdy odczuliśmy silny wstrząs. I nagle pociemniało, nic nie było widać. Zapanowała śmiertelna cisza. Zawołałem by skrapiać wodą. Kurz i pył zaczął opadać, na podłodze co prawda porobiło się błoto, ale zaczęliśmy się widzieć. Okazało się, że trafił nas jeden z trzech pierwszych pocisków ze specjalnego działu fortecznego, które Niemcy

ściągnęli z Sewastopola /pociski miały ok. 2m długości/. Myśmy jeszcze tych pocisków nie znali /jeden trafił w Marszałkowską 127, a drugi na Starówkę, trzeci w nas/. Ten pocisk lecący z kierunku Ożarowa przebił jeden dom, wpadł do nas i osiadł w restauracji. Ten ogromny pocisk zabił dwie osoby, w tym jedną naszą „peżetkę” – panią Iwanko. Miałem wtedy w „Adrii” ok. 200 ludzi, a w budynku siedzi ogromny niewypał, który może w każdej chwili wybuchnąć. Pośpiesznie ewakuowałem ludzi do innych budynków z poleceniem poszukiwania nowych kwater. Kiedy udało się wszystkich ulokować, minęło sporo czasu, zrobiła się już noc. Pozostało nas kilku /Leszek Sadowski, Nowak, łączniczka „Greta” i jeszcze ze dwie osoby/. Zdecydowaliśmy, że prześpiemy się na materacach w towarzystwie pocisku. Nic nam się nie stało, ale było to emocjonujące. Saperzy rozkręcili następnego dnia pocisk i masa materiału wybuchowego poszła do naszych granatów ręcznych. To był najbardziej emocjonujący moment w całym Powstaniu.

– A ostatnie dni, kiedy już było wiadomo, że Powstanie kapitułuje?

– Wtedy chciałem przede wszystkim zabezpieczyć materiały, które zostają, m.in. filmy, których do tej pory nie odzyskaliśmy. Trzeba było przygotować sprawę ludzi, którzy nie szli do niewoli. Należało się przygotować do niewoli – zbierano jakieś ciuchy, zwłaszcza kobiety. Wychodziliśmy z Warszawy czwórkami, z fasonem. Trzymaliśmy się przyzwoicie. Idąc w kierunku placu Narutowicza ulicą Śniadeckich wprowadzono nas na podwórze dawnej Podchorążówki Saperskiej – tam składaliśmy broń. W otaczających budynkach, dosłownie we wszystkich oknach stały niemieckie cekaemy wycelowane w nas składających broń.

Byliśmy wtedy bardzo skupieni, ale nie załamani. Jeszcze myśleliśmy, że to tylko przegrana bitwa. Mieliśmy poczucie tego, żeśmy się dobrze bili, że wrócimy. Byliśmy przekonani, że to co się stało w Warszawie nie pójdzie na marne.

Doszliśmy do Ożarowa, gdzie nocowaliśmy, a potem wsadzono nas do wagonów towarowych i powieziono nas na Śląsk. Gdy tylko pociąg po drodze stawał na stacjach, to natychmiast zaczynaliśmy śpiewać, mimo, że Niemcy tego zakazywali. W Łambinowicach oficerów sztabowych oddzielono od nas, a myśmy pojechali do Grossbronn. Jechaliśmy przez Poznań, ale tam zatrzymaliśmy nas przed stacją, żeby nie było śpiewów.

Kiedy już dojechaliśmy, to dalej musieliśmy iść pieszo do obozu, gdzie byli już starzy „gefangeni”. Ich było 4500 a nas 500. To byli „wrześniowcy” – pełno było tam moich znajomych.

Tam w obozie fizycznie odżyłem. Wyszliśmy z Warszawy głodni, praktycznie głodowaliśmy pod koniec /jedliśmy papkę owsianą czy zryniętą/.

– Jak Was witano w obozie?

– Bardzo serdecznie. Rozrywali nas, zapraszali żeby iść do nich na kolację. To byli bogaci „gefangeni”, mieli paczki amerykańskie, zagospodarowali się. Robili wystawne przyjęcia.

„Zarabiałem” gadaniem na jedzenie. Miałem jak mówiłem pełno znajomych z Warszawy, którzy mnie zapraszali. Jednym z moich tematów był Berling i jego wojsko w Rosji. Znałem szczegóły od rotmistrza Łopianowskiego – cichociemnego, który był w „willi szczęścia” z Berlingiem. „Gefangeni” czekali z wystawną dwu daniową kolacją, mnóstwo kawy /z tych paczek amerykańskich/. I po takiej kolacji ja opowiadałem. Trwało to od 19-tej do 21-ej, do tzw. „szczalnej trąbki”, kiedy otwierano baraki na 15 minut, żeby ludzie mogli pójść do latryn.

Słuchacze byli różni – przyjemni i nie. Był tam zięć Sikorskiego – Leśniewski /zajmował się robieniem swetrów/. Był też Mossor.

– Jak potem ułożyły się wzajemne stosunki między akowcami, a tymi, którzy w niewoli byli już od lat?

– Wychodziły różne kompleksy. Spoglądali na nas z wyższością, że niby tylko oni to prawdziwe wojsko, a AK to tylko cywile. Zresztą zajmowali się swoim życiem obozowym – tworzyli takie getto, z zawodami sportowymi, własnymi pieniędzmi /papierosy/, handlem rzeczami z paczek. Posiadali także własny zupełnie dobry teatr. Prowadzili też różne wykłady i kursy.

W obozie zastaliśmy akowską konspirację. Mieliśmy zorganizowany nasłuch radiowy. Świeże wiadomości bardzo szybko obiegiły obóz wieczorem, w czasie „szczalnej trąbki”.

Kiedys zaprosił mnie do siebie Mossor – mieszkał osobno. Wtedy nie wiedziałem, że on jeździł do Katynia. Myślałem, że przedstawiciel prawicy chce się

czegoś dowiedzieć o poczynaniach komuny, więc mu opowiadałem. Relacjonowałem jak wygląda wojsko Żimirskiego na Lubelszczyźnie. Słuchał, ale nie dyskutował.

Zbliżał się koniec stycznia i wówczas przypędzono do nas cały obóz akowców, z Ziemskim na czele. Po trzech dniach wyprawiono ich dalej na Zachód.

Chciałbym jeszcze nawiązać do nastrojów panujących wśród części starych „gefangenów”, obok baraków były wykopane rowy na wypadek bombardowania obozu. Kiedyś miało miejsce silne bombardowanie Szczecina i widziałem „gefangenów”, którzy kryli się w rowach. Tymczasem wśród warszawiaków, panowała radość, że szkopów tak rąbią, a nikt nie myślał o kryciu się.

Kilka dni później zaczęła się ucieczka Niemców ze Wschodu na Zachód – zastraszeni ludzie, wozy i inwentarz. Wtedy też zabrali nam wojskową straż, a dali jakichś staruszków w mundurach i karabinami. Wchodził taki staruszek do naszego baraku, stawiał karabin w kącie, dostawał coś do picia, siadał – następowało rozprężenie dyscypliny.

Kiedy zaczęła się do nas zbliżać kanonada artyleryjska, to poprzecinaliśmy druty, żeby wyjść z obozu pod pretekstem, że nas mogą zbombardować. Właściwie nie było już nikogo ze straży, lecz w tym momencie zaczął działać Mossor. Miał zorganizowaną grupę swoich ludzi i nagle stał się szefem tego obozu. Postawił straż, żeby pilnować poprzecinanych drutów. Chciał nas zatrzymać.

5 lutego zobaczyliśmy jak podchodzi do nas tyraliera od wschodu. Postanowiliśmy uciekać. Było nas ośmiu /4 akowców i 4 „gefangenów”/. Wychodzimy, a tu przy jednym z wyjść stoi dwóch „mossorowców” i nam zakazuje. Nie zwracam na to uwagi. Przechodzimy i widzę zbliżających się „berlingowców”. Podjeżdża do nas porucznik na koniu, w polskim mundurze, z orzełkiem na czapce i pyta: „A wy kto taki je?”. Na co ja: „My wojennoplennyje z 39 goda”. Owże porucznik: „A szto diełajeżie”? Odpowiadam: „Idiom na rodinu” i usłyszałem: „to stupejtie”.

Nie czekaliśmy i szybko odeszliśmy, aby zniknąć im z oczu. Z daleko zobaczyliśmy kiwającego na nas Mossora, który był już z „berlingowcami”. Chciał żebyśmy wrócili do obozu, ale myśmy postanowili pójść swoją drogą do kraju. Doszliśmy do wsi, wchodzimy do jakiejś chaty i trafiamy na sierżanta, który mówi: „O, panowie, nareszcie będziemy mieli polskich oficerów. Jak to do-

brze.”. Spotkałem tam także mojego szkolnego kolegę, dra Uszyckiego, który mówi do mnie: „Słuchaj Tadeusz, wiecie stąd jak najszybciej, bo zaraz tu przyjedzie >>rozwiętka<<”. Sierżant dał nam bryczkę z parą koni i szybko odjechaliśmy. Dojechaliśmy do Jastrowa, było tam zupełnie pusto. Patrząc, z naprzeciwka idzie jakiś pułkownik w polskim mundurze. Podchodzę i melduję się, a on „Szto wy gawaricie?”. Dopiero jego oficerowie zaczęli mu tłumaczyć. Znow podszedł do nas jeden z nich i mówi, żebyśmy wiali dalej, bo wkrótce pojawi się tu NKWD.

Dotarliśmy do batalionu samochodowego w Bydgoszczy. Tam ugościli nas serdecznie podoficerowie. Dali nam kwaterę jakiegoś gestapowca. Potem dojechaliśmy samochodem do Inowrocławia, i tam zgłosiliśmy się do „berlingowskiej” komendy miasta i poprosiliśmy o kwatery. Przez dwa dni jadalismy w kasynie i w czasie posiłków staraliśmy się zasięgnąć „jęzeka”. Przedstawiliśmy się jako starzy „gefängeni” i narzekaliśmy na decyzję o wybuchu Powstania, ale nie raz słyszeliśmy od młodych „berlingowców”, że nie można tak mówić, gdyż inaczej trzeba oceniać Powstanie. Byliśmy ich opiniami niezwykle uradowani.

Czekaliśmy na uruchomienie wąskotorowej kolejki do Łodzi, gdzie chcieliśmy dojechać. Zobaczyłem afisz o poborze do wojska i warunki jakie musi spełniać ochotnik. Otóż kandydat na oficera politycznego musiał: mieć niższe wykształcenie, i „być politycznie wytrzymały”. Chciałem to zabrać, ale ktoś mnie wyprzedził.

Z Łodzi pojechałem do Krakowa, chcąc znaleźć znajomych i odszukać żonę. Do żony, która była w Oświęcimiu, wysłałem list z oflagu i tam jej go przeczytali. Wiedziała więc, że żyję, ja jednak nie wiedziałem co się z nią teraz dzieje.

– Jak znalazł Pan nową rzeczywistość po powrocie do kraju?

– Po powrocie do Krakowa miałem bardzo symboliczną styczność z nową rzeczywistością. Właśnie tego dnia, gazety ogłosiły uchwały jałtańskie. Nie miałem najmniejszej wątpliwości co to znaczy. Nastrój nie był najlepszy. Wiedziałem, że nie będzie to republika, ale wiadomo było, że będą to rządy sowieckie.

Co można było robić w takiej sytuacji? Najpierw trzeba było się ukrywać i natychmiast zorientować się gdzie są moi koledzy, oczywiście w samym Kra-

kowie. Jasne było, że pod Warszawę nie ma co jechać. Wszyscy mówili, że Milanówek to „drugi Londyn” – pełno bezpieczeństwa a samo miasto zniszczone.

Spotkałem się z niektórymi kolegami i zaczęliśmy zastanawiać się co będziemy mogli dalej robić. Spotkałem się wówczas z żoną, która wróciła z Oświęcimia – po ucieczce z transportu – i wyjechalśmy na dwa tygodnie pod Kraków, aby żona mogła odpocząć. W okresie Wielkanocy przyjechał do mnie jeden z przyjaciół, z wiadomością o porwaniu „16”-tu. Powiedziałem sobie: Dość pasowania, trzeba się bronić do nowej konspiracji. Takiej, która miała by charakter polityczny.

Wróciłem do Krakowa. Zaczęłem organizować nasłuch radiowy, ludzi – i tak powstał „Głos Wolności”. Redagowaliśmy go głównie na podstawie nasłuchu radiowego. Staraliśmy się wydawać pismo nie rzadziej niż raz na dwa tygodnie, a w niektórych wypadkach raz na tydzień. Staraliśmy się, aby docierał także pod Warszawę. Odbijaliśmy w Krakowie na powielaczu, a łączniczki dowoziły matryce do innych ośrodków.

W październiku 1945 roku aresztowano w Łodzi dwoje moich przyjaciół z pracy okupacyjnej i obecnej /dostali po pięć lat/, ale mieli szczęście, gdyż objęła ich amnestia. Była to jedyna wpadka. W Krakowie mało kręciłem się po mieście z powodu zagrożenia aresztowaniem.

– A czy miał Pan kontakt z innymi akowcami z Krakowa?

– Nie chciałem mieć kontaktu z nimi. Muszę się cofnąć. Zanim dojechałem do Krakowa, po drodze zatrzymałem się na noc w Częstochowie. Wyszedłem rano na miasto i przypadkiem natchnąłem się na Rzepeckiego, który świeżo wrócił z Woldenbergu. Nie dogadaliśmy się w tej rozmowie. Nie odpowiadał mi jego plan. Przede wszystkim dlatego, że nie był sprecyzowany /opozycja polityczna, dotrwać do wyborów/. Nie podobała mi się koncepcja polityczna, której celem jest dotrwanie tylko do wyborów. Rozstaliśmy się wtedy przyjaźnie, ale oziębło. Od tego czasu więcej już go nie widziałem.

W WiN-ie nie podobała mi się sama koncepcja. Wiadomo przecież, że zawodowi wojskowi nie mogą robić organizacji politycznej, gdyż nie są do takich rzeczy dobrze przygotowani z braku rutyny politycznej. Wówczas nie widziałem sensu politycznego tego typu organizacji. Natomiast wiedziałem

i rozumiałem, że musi być jakaś forma oporu politycznego, którego celem jest podtrzymywanie nastrojów społeczeństwa, ponieważ zręczna propaganda komunistyczna odbierze nam nasze hasła polityczne i będzie nimi operować. W tym też duchu rozmawiałem wtedy z „zorowcami” i mówiłem im, że musimy się nastawiać na działalność polityczną, na negację polityki komunistycznej i propagowanie naszych haseł z okresu akowskiego – niepodległościowych.

– Wpłynęła wtedy sprawa Zjednoczenia Demokratycznego.

– Zbliżał się wrzesień 1945. Moi znajomi z Warszawy, przysłali mi wiadomość, żebym przyjechał, gdyż robi się wielki zjazd kombatancki. Zaproponowano mi, abym przemawiał na tym zebraniu w imieniu ZOR.

To miał być mój drugi pobyt w Warszawie. Poprzednio byłem tam na posiedzeniu Rady Naczelnej Zjednoczenia Demokratycznego /oczywiście konspiracyjnym/. Dowiedziałem się, że istnieje propozycja, abyśmy ujawnili się i przystąpili do legalnej działalności jako Zjednoczenie Demokratyczne. Byli tam: Kapitanianek – to przyzwoity człowiek, mój przyjaciel, ale naiwniak polityczny – i był rzecznik tej propozycji, Włodzimierz Lechowicz z konspiracyjnego Stronnictwa Demokratycznego. Zjawili się także przedstawiciele „Jutra Polski Niepodległej” – bardzo z nami związani politycznie polegający na naszych ocenach. Perorował /a mówiliśmy cały dzień/ głównie Lechowicz, namawiając nas żebyśmy się ujawnili. Szło to szalenie opornie /ja byłem temu przeciwny/, ale zdołaliśmy osiągnąć pewien kompromis. Udało mi się przeprowadzić uchwałę o zawieszeniu działalności Zjednoczenia Demokratycznego. Myślałem wówczas, że już jej nigdy nie odwiesimy. Chodziło przede wszystkim o uspokojenie się tych wahających się pomiędzy kolaboracyjnym stanowiskiem Lechowicza i moim. To zebranie odbyło się, akurat dokładnie pamiętam 22 lipca. Zapamiętałem tę datę tak dobrze, gdyż mówiono, że to dobry dzień na tajne zebranie, bo komuniści zajęci będą swoimi galówkami i łatwiej będzie się przemknąć na spore zebranie.

– Czy wcześniej nie miał Pan nigdy zastrzeżeń co do samego Lechowicza?

– Miałem wątpliwości natury politycznej, a nie wywiadowczej. Uważałem, że on jest bardzo ambitny /stosunkowo młody i dynamiczny/, dobrze przema-

wiał i był w stanie przekonać ludzi. Mówię o tym, gdyż później, po tym naszym zebraniu ukazał się artykuł w „Odrodzeniu”, będący propagandową publikacją Lechowicza pt. „Okrakiem na barykadzie”. Było to w lecie 1945 roku /sierpień czy wrzesień/. Ale nie bardzo mu się to siedzenie okrakiem przydało w życiu.

– **Parę tygodni później planowano zjazd organizacji kombatanckich.**

– Koledzy przysłali mi zaproszenie wraz z biletem przejazdu. Jednocześnie przysłano mi zapewnienie, że wszystko będzie w porządku.

Przyjechałem do Warszawy na 2-3 dni. Na miejscu okazało się, że zjazd organizuje Józwiak – „Witold”. Właśnie kształtował się początek koncepcji ZBOWiD-u. Początkowo nazwa była trochę inna.

Na miejscu okazało się, że nie ma zgody na moje przemówienie i na udział ZOR-u w zjeździe. Postanowiłem zorientować się, czy jest jakiś znajomy w Komitecie organizacyjnym. Był major AK Łąkowski. Kwaterował obok mnie w Powstaniu /na Wilczej/. Napisałem do niego protest przeciw dyskryminowaniu ZOR-u i zaproponowałem rozmowę z Komitetem. Zażądałem tylko gwarancji bezpieczeństwa /chodziłem ciągle na „lewych papierach”/. Łąkowski /„Mechanik”/ załatwił to. Poszedłem. To było gdzieś w ocalałych budynkach w okolicy Topolowej, Koszykowej.

W budynku obstawa żołnierzy z pepeszami. Wchodzę do pokoju, gdzie siedzi kilku panów. Przewodniczący Kirchmayer /jeszcze jako pułkownik/, jest Władysław Bieńkowski, Cezary Szyszko /z RPPS-u/, Banach /Bataliony Chłopskie/, także pułkownik Narbutt z alowskiej partyzantki. Chyba jeszcze ktoś. Powiedziałem im, że wiem o ich sprzeciwie wobec ZOR-u z uwagi na moją osobę: „Panowie, nie mam zamiaru walczyć o moją osobistą obecność, ale panowie nie mogą krzywdzić organizacji która miała swoje 10000 ludzi w czasie wojny. Dlaczego więc ze względu na mnie ma zostać wyłączona?”.

Atakował mnie głównie Władysław Bieńkowski, którego postawę dobrze zapamiętałem. Był najbardziej agresywny, zjadliwy, uszczypliwy. Bieńkowski pytał „jak to było z komunistami w okresie wojny?” „Byłem przeciwko” – odpowiadam. Bieńkowski dalej: „A kto kazał pisać na murach >>PPR – Płatne Pacholki Rosji<<”. „A to ja” – znów odpowiadam. – „Ale nie ZOR”. Było sporo tego typu pytań i w pewnym momencie mówią do mnie, że muszą wyjść na

naradę. Było jeszcze ze mną dwóch ludzi z ZOR-u, żeby zobaczyć co się stanie. Przeraziły ich moje ostre wypowiedzi. W przerwie na korytarzu podchodzi do mnie Łętowski i biadoli, że powiedziałem to wszystko za wcześniej, za mocno, że pewnie stąd nie wyjdę, itd. Po przerwie Kirchmayer zakomunikował mi, że ani ZOR, ani ja nie będziemy dopuszczeni do zjazdu.

Przypominam sobie ten emocjonujący moment z przyjemnością, ponieważ mogłem mówić prawdę i widziałem jakie to robi wrażenie. Wiedzieli o mnie sporo, ale sądzę, że chcieli mnie załatwić. Przede wszystkim za Wydział „R”.

Po próbach warszawskich rozmów powróciłem do Krakowa i dalej prowadziłem dotychczasową działalność. Musiałem poszukać jakiejś pracy i dzięki ojcu jednej z moich dawnych łączniczek z Krakowa dostałem etat radcy prawnego w Stowarzyszeniu Kupców Krakowskich. Miałem tam prowadzić porady prawne. Zapamiętałem z tej pracy fakt, że miałem też bony na bezpłatne obiady w restauracji. Niestety to nie trwało długo.

– Czy po tej wizycie w Warszawie coś Pan postanowił? Np. w sprawie ujawnienia się?

– Tak, do tego właśnie zmierzałem. Po mojej bytności w Warszawie postanowiłem się ujawnić. Zbliżał się koniec terminu amnestyjnego i po naradzie z przyjaciółmi zdecydowałem się na ten krok. Pojechałem do Warszawy na Bielany, gdzie byli ludzie przyjmujący zgłoszenia. Tam rozmawiałem z członkami komisji, kapitanem awansowanym już na pułkownika, który w czasie wojny był w Woldenbergu. Powiedział mi, że mogą mi uznać tylko stopień podporucznika /taki stopień miałem we wrześniu/, gdyż nie uwzględniają akowskich awansów. A te właśnie miały dla mnie duże znaczenie. Postanowiłem interweniować. Chodziło nie tyle o stopień wojskowy, ale o wyrażony w ten sposób stosunek do Armii Krajowej.

Udałem się do komisji „Radosława”, gdzie zastałem znajomego, „Wolańskiego” /jednego z szefów personalnych AK/. Tam powiedziałem głośno z pretensją, że jakiś cymbał nie chce uznać naszych akowskich stopni. Wtedy „Wolański” dyskretnie wskazał palcem na siedzącego obok nieznajomego osobnika /domyśliłem się, że to ubek/, więc przestałem mówić co myślę. Na jutro otrzymałem odpowiednie zaświadczenie i pojechałem na Bielany. Tam usłyszałem od osobnika,

który ze mną poprzednio rozmawiał, że stopień kapitana mi uznają, ale w wojsku na mnie nie reflektują. Odpowiedziałem, że się dobrze składa, gdyż i ja na to reflektuję. Po wydaniu odpowiednich papierów otrzymałem na drogę bochenek chleba i jakieś konserwy – i tak zakończyła się moja legalizacja.

– A wracając do sytuacji społeczeństwa trwał dramat Polaków.

– Zaczynał się. Wraca Mikołajczyk, niektórzy żołnierze z oflagu. Opowiadał mi Kapitaniak, że był w Alejach Jerozolimskich gdy otwartym samochodem z lotniska wraz z Mikołajczykiem jechał Bierut. Ludzie entuzjastycznie witali Mikołajczyka, który machał im ręką, dołączył się do tego siedzący obok niego Bierut, który wstał w samochodzie. I nagle rozległ się okrzyk jakiegoś witającego warszawiaka: „Boles siadaj, to nie dla Ciebie!”. To był wyraz nastroju społeczeństwa.

Ciekawą akcję opozycyjną robił wówczas PPS. Ukrywający się Zygmunt Zaremba wydawał „AS” /Agencja Socjalistyczna/ – bardzo dobre pismo, inteligentnie robione, bojowe. Spotykałem się z nimi wielokrotnie w Krakowie, także ze znanym mi dobrze Białasem. Wtedy nie mieli jeszcze jasnej koncepcji działalności politycznej na dalszą przyszłość. Nie byłem jeszcze dokładnie zorientowany jak wielu akowców, w obawie o własne życie nadal pozostaje w ukryciu. Nie była to lekkomyślność z ich strony, lecz połączenie chęci walki o niepodległość z obawą o własne życie zagrożone przez komunistów. Był to czas niejednoznacznych ocen. Np. „Radosława” krytykowano za jego akcję /ja również należałem do jego przeciwników/, ale wielu jego współpracowników liczyło na jej pozytywne efekty w przyszłości.

– Kiedy zdecydował się Pan na opuszczenie kraju?

– Wczesną jesienią 1945 roku, gdy pracowałem jako radca w Stowarzyszeniu Kupców dostałem dwa bardzo poważne ostrzeżenia. Raz od łączniczki, która przyjechała /w otoczeniu Radkiewicza pracował ktoś z dawnych demokratów/ przekazać mi wiadomość o wypowiedzi Radkiewicza, że „Żenczykowski długo na wolności nie pochodzi.”. My wiemy gdzie on jest i co robi. Potem przyjechał do mnie Kapitaniak i mówi: „Tadeusz musisz wiać. Wiadomości, które Ci przekazywaliśmy są prawdziwe”. Kapitaniak pracował już wtedy w Są-

dzie Najwyższym /przed wojną był podprokuratorem, a po wojnie sędzią Sądu Najwyższego/. To był szczerzy przyjaciel, uczciwy człowiek, ale niezmiernie naiwny politycznie. Prowadziliśmy z nim wielokrotnie całonocne rozmowy w naszym ciasnym pokoiku, gdzie z braku miejsca sypiał na podłodze.

Po drugim ostrzeżeniu zdecydowaliśmy się z żoną /to był koniec października/ wyjechać. O tym, że mamy zamiar „zwiąć” wiedzieli rodzice Barbary i Jadwigi Wolskich, wiedział Białas przez właściciela mieszkania. Mieszkaliśmy wtedy u Ustupskich, przedwojennego wybitnego wioślارza, medalisty olimpijskiego, żołnierza AK, potem był niefortunnym burmistrzem Zakopanego.

Wyjechaliśmy z żoną do Wrocławia /mieliśmy tylko walizczkę/, gdzie mieszkała moja dawna sekretarka z OZN-u, a zarazem łączniczka z pierwszego okresu zorowskiego. Pamiętam, że przed dworcem stały Niemki z wózkami wiozące bagaże i muszę przyznać, że mieliśmy pewną satysfakcję, że nasi prześladowcy teraz muszą wozić.

Z Wrocławia dalszy przerzut organizowali Ustupski i Zubek /także sportowiec, narciarz/. Ale samo przetarcie drogi ułatwił mi jeden z moich współpracowników z ZOR-u, Jan Kostrzewski. Z Wrocławia pojechałem przez Wałbrzych do Kamiennej Góry, a stamtąd do Lubawki, gdzie komendantem posterunku milicji był stary akowski partyzant, którego podkomendni zostali na tym posterunku milicjantami.

Mieliśmy z żoną wtedy tylko walizczkę z niezbędnymi rzeczami i sto czy dwieście dolarów, oraz co ważniejsze mieliśmy papierosy i boczek. Te dwie ostatnie rzeczy to była dobra „waluta”.

Czekaliśmy w tej miejscowości na okazję. Komendant posterunku miał człowieka, który handlował samochodami. Posiadał mundur z armii amerykańskiej i jakieś legitymacje – tu kupował samochody, wywoził do Czechosłowacji, itd. Obaj z komendantem byli „zblatowani”. Czekaliśmy tam dwa czy trzy dni. Moja żona przeziębila się wtedy i komendant, chyba nazywał się Laga, lecz był to chyba jego pseudonim z czasów akowskich, postanowił leczyć moją żonę w ten sposób, że od rana dawał jej bimber i tak do wieczora. A trzeba dodać, że Laga był tam królem bimbru. Posiadał monopol na pędzenie tego trunku w tej okolicy i tylko u niego. Milicjanci kiedy nie pracowali na posterunku to także siedzieli w bimbrowni i produkowali napój. Od samego rana

moja żona chodziła zamroczona. Ja miałem szczęście, że byłem zdrowy, gdyż nie musiałem pić bez przerwy.

Wreszcie przyjechał jegomość handlujący samochodami. Wówczas Laga powiedział do tego „Amerykanina”: „Masz tu pułkownika, którego z żoną masz przewieźć. Musisz specjalnie uważać, gdyż jest to zadanie do wykonania. Nie możesz nawalić, bo ja ci... itd.”. Tak więc jechałem jako „pułkownik” – nie protestowałem dla dobra sprawy /bez problemu wjechaliśmy do Czech i przyjechaliśmy do Pragi. Tam udaliśmy się do hotelu „Waldorf – Astoria”, gdzie portier nie chciał przyjąć koron, ale kiedy dostał od żony kawałek boczku, to natychmiast dostaliśmy na dwa dni pokój. Hotel bardzo elegancki, choć nie ogrzewany. Następnego dnia rano wychodzimy na Vaclavske Namesti i słyszymy radosne krzyki ludzi. Podchodzimy, a to „Ruda Armada” opuszczała Pragę. Powiedzieliśmy sobie – jaka była by radość w Polsce, gdyby to tak Armia Czerwona opuszczała nasz kraj. Mieliśmy spore kłopoty z wyżywieniem, gdyż bez kartek mogliśmy dostać tylko kartoflankę i piwo.

– Jak jechaliście państwo dalej?

– Z Pragi dostaliśmy przepustkę do Pilzna, gdzie stali Amerykanie. Między tymi dwoma miastami były kordony graniczne. W związku z tym, że Rosjanie opuszczali Pragę to przejście było dodatkowo ułatwione. W Pilźnie dowiedzieliśmy się gdzie spotykają się Polacy. W hotelu okazało się, że nie ma miejsc, ale posiadaliśmy jeszcze papierosy i boczek, dzięki czemu udało się wszystko załatwić.

Spotkaliśmy tam oficera I Dywizji Pancernej, który zaprowadził nas do PUR-u /Urzędu Repatriacyjnego/, gdzie zaczęliśmy bezpłatnie stołować się. Na stacji z wagonu Polskiego Czerwonego Krzyża otrzymaliśmy papierosy, czekoladę. Musiała jednak istnieć jakaś sieć informacyjna, gdyż w parę tygodni później w krajowej prasie napisano, że Żenczykowski „pokręcił się po Dolnym Śląsku i wyjechał na Zachód”. Musiał nas tam ktoś rozpoznać, gdyż nikomu nie meldowaliśmy się, więc formalnie nie wiadomo kim jesteśmy.

Wówczas celem mojej podróży był Londyn, gdzie miałem zobaczyć się z Prezydentem Raczkiewiczem i Premierem Arciszewskim. Miałem do przekazania polecenia i sprawy od Zaręby i Białasa. Szukałem więc okazji aby dotrzeć

do Londynu jak najszybciej. Z Pilna do Norymbergii jechaliśmy samochodem pod zasznurowaną plandeką. Dalej pociągiem pojechaliśmy do Frankfurtu, do naszej Misji Wojskowej.

Pociągami jechało się strasznie. Wchodziło się tylko oknami, gdyż drzwi były zamknięte. Udało mi się podsadzić żonę do okna, która po prostu wleciała do wagonu na jakieś ciało, a ja za nią. Dopiero wtedy zorientowaliśmy się, że jesteśmy w przedziale pełnym wojskowych inwalidów niemieckich. Siedzieli w milczeniu i czym prędzej zaczęli nam robić miejsce. Pobity Niemiec jest bardzo potulny. W końcu przybyliśmy do naszej Misji, która mieściła się w amerykańskim dowództwie okupacji Niemiec. Nie mogli nas nigdzie umieścić, więc wysłano nas pod Frankfurt, do żeńskiego obozu "akaczek" w Darmstadt. Tam okazało się, że komendantką obozu była „Ina”, moja „pezetka”, bardzo miła, nauczycielka z zawodu.

Po moich interwencjach wysłano nas do dowództwa I dywizji pancерnej do Meopen, gdzie miano nam pomóc w przedostaniu się do Londynu. Niestety nic w tym kierunku nie zrobiono.

– Jak was – akowców – przyjęto w I dywizji pancерnej?

– Nie uznawano nas za prawdziwych żołnierzy. Tam było nawet tak, że oficerom – akowcom – nie wolno było iść do kasyna oficerskiego. Nas tam nie wpuszczano. Moja żona była podporucznikiem, ja kapitanem, ale żywiono nas w ogólnej jadalni dla cywilów. Raz tylko generał Rudnicki zaprosił nas na drinka i trochę porozmawialiśmy o sytuacji w kraju. Powiedziano nam, że nie mogą nas przerzucić do Londynu, mimo, że oficerowie z Dywizji jeździli do Londynu na urlopy, ale uznano, że nie mogą stracić urlopu.

Poradzono nam, żebyśmy pojechali do Misji Wojskowej do Paryża. Ruszyliśmy więc brytyjskim wojskowym pociągiem, bardzo wygodnym. Przeżyłem tam „spotkanie z herbatą”. To było chyba jeszcze w Belgii, gdzie zatrzymano pociąg i w dużym namiocie można się było napić prawdziwej angielskiej herbaty. To była pierwsza prawdziwa herbata od kilku lat.

– Tak dojechaliście do Paryża.

– W Misji okazało się, że przeżuty do Londynu załatwia jakiś major, który stwierdził, że nie może tego szybko załatwić. Skierowano nas do hotelu dla wojskowych. Kiedy okazało się, że jestem blokowany w Paryżu, postanowiłem wysłać wiadomość do II Korpusu, gdzie był mój przyjaciel Gierat /z ZPMD/, z którym widziałem się we Frankfurcie.

Zaproponowano nam przyjazd do II Korpusu. Droga była bardzo ładna. Przybyliśmy do placówki do Avignon, gdzie nasz kolega z ZPMD – Kopeć – był oficerem łącznikowym. U niego spotkaliśmy Gałczyńskiego, który chciał się dostać do II Korpusu. Parę razy deklamował nam swoje „Flagi”. Niestety nie chcieli go przyjąć do Korpusu.

Stamtąd przez Marsylię pojechaliśmy do Nicei. Pojechaliśmy tam późnym wieczorem w Sylwestra. Pieniądzy nie mieliśmy wiele. Kupiliśmy sobie bagietki i sardynki. To była uczta sylwestrowa. Następnie poszliśmy do wojskowego, bezpłatnego kina na „Dziewięciu Murzynków” wg A. Christie. Taki był nasz „Sylwester w Nicei”.

Z Nicei pojechaliśmy samochodami II Korpusu przez San Remo, gdzieś trzeba było zatrzymać się na nocleg. Był styczeń, a jednak było tam przepięknie, gęsto kwitły mimozy i z daleka odczuwało się ich delikatny zapach. Zrobiło to szczególnie silne wrażenie na mojej żonie, Darce, która po powrocie z Oświęcimia bardzo była wyczulona na piękno przyrody. Dojechaliśmy wreszcie do Ankony która stała się miejscem naszego pobytu. Bardzo nam pomógł nasz stary przyjaciel z czasów ZPMD, prezes „Siewu”, Stanisław Gierat. Był blisko związany z szefem sztabu Korpusu, gen. Wiśniowskim. Dzięki temu bardzo szybko zostałem przyjęty jako kapitan do II Korpusu. Przyjęto również moją żonę jako podporucznika. Były to nasze stopnie z AK. Oboje otrzymaliśmy przydział do Oddziału Społecznego, którym kierował bardzo przyjemny, inteligentny płk. Buterlewicz. Zameldowaliśmy się u gen. Andersa, by podziękować mu za przyjęcie nas do Korpusu. Wywiązała się dłuższa rozmowa na tematy ogólne i wojenne. W jej trakcie Generał powiedział: „panie kapitanie, to dobrze, że Pan jest, bo bardzo nam potrzeba oficerów, gdyż na wiosnę będzie wojna”. Przyjąłem te słowa w milczeniu, ale z dużym zdziwieniem. W nową wojnę nie wierzyłem i przecież dlatego wyjechałem z kraju.

Szef Sztabu, gen. Wiśniowski powiedział mi, że obejmę stanowisko szefa propagandy Korpusu. Mijały jednak tygodnie i dookoła tej obietnicy zapanowała cisza. Miałem więc taki wypoczynkowy okres bezrobocia, który umożliwił mi zapoznanie bliższe z Korpusem. Zauważyłem jak silne są w nim nastroje prawicowe, czy nawet wręcz endeckie, co szczególnie zaznaczyło się po przybyciu do Ankony. Zbigniewa Stypułkowskiego w sposobie jego przyjęcia i potraktowania.

– Tam zetknął się pan z żołnierzami II Korpusu. Jakie na Panu zrobili wrażenie?

– Nabrałem dużego uznania dla żołnierzy i oficerów Korpusu. Byli to ludzie niezwykle ofiarni i uczynni. Sami przeszli ciężką szkołę życia w Rosji teraz chętnie pomagali innym. Nie szczędzili zwłaszcza pieniędzy na Polaków rozsianych po Europie, szczególnie wywiezionych na przymusowe roboty do Niemiec. Miałem sporo znajomych w Korpusie i oni zorganizowali mi szereg bezpośrednich odczytów dla żołnierzy. Przekonałem się, jak bardzo są oni zainteresowani bieżącymi sprawami w kraju i jego przeszłością. Stanowiło to duży kontrast z nastrojami, panującymi w I Dywizji Pancerniej, z którymi poprzednio miałem okazję zapoznać się.

Gdzieś pod koniec lutego okazało się, że wreszcie mogę wracać do Londynu. Nie ułatwiła mi tego I dywizja, ani Misja Wojskowa w Paryżu. Stało się to możliwe dopiero w II Korpusie. Dzięki temu mogłem spełnić zlecenie mi w kraju zadania.

– Czy został Pan przyjęty także przez Prezydenta Rzeczypospolitej?

– Byłem u Prezydenta Władysława Raczkiewicza. Znałem go jeszcze z okresu przedwojennego. Jako prezes Związku Młodych Prawników parokrotnie chodziłem do niego. Był ministrem spraw wewnętrznych i z nim załatwiałem zagadnienia prawników administracyjnych. Znałem go również z działalności w „Światowym Związku Polaków z Zagranicy” /Światpol/. W ostatnim roku przed wojną byłem wraz z generałem Stanisławem Skwarczyńskim jego gościem gdy był wojewodą pomorskim w Toruniu. Przyjechaliśmy wówczas gdzieś na wiosnę 1939 r. na duży wiec zorganizowany przez miejscowe władze Obozu Zjednoczenia Narodowego. Był to człowiek bardzo miły, spokojny, inteligentny, o znakomitej prezencji. Nie należał do polityków dynamicz-

nych, ale niejednokrotnie w polityce polskiej odgrywał poważną rolę z gościny u Raczkiewicza pamiętam moje zdziwienie na widok licznych i ciekawych fotografii Marszałka Piłsudskiego, zapelniających jego mieszkanie. Zdziwiło mnie, że były ukryte za zasuwanymi firaneczkami. Widząc moje zdziwienie, Raczkiewicz wyjaśnił, że w ten sposób chroni bliskie jego sercu fotografie od wyblaknięcia w świetle dziennym.

W Londynie Raczkiewicz mieszkał w swej siedzibie przy 43 Eaton Place, czyli, jak to się później mówiło, „na Zamku”. Mogę tu dodać, że byłem ojcem chrzestnym tej nazwy. W okresie, gdy pracowałem w „Dzienniku Polskim”, często mówiono, że ten czy ów chodzi na Eaton Place do Prezydenta. Zacząłem wówczas mówić, że są to wizyty na Zamku i ta terminologia pozostała do dziś dzień.

Rozmowa z Prezydentem była bardzo przyjemna, wysłuchał uważnie tego, co miałem mu przekazać i wypytywał się szczegółowo o sytuację w kraju i o moje na nią poglądy. Jego postawa i wygląd doskonale maskowały niebezpieczny stan jego zdrowia, o czym wówczas nie wiedziałem.

Oczywiście miałem również spotkanie z premierem Tomaszem Arciszewskim, który bardzo się ucieszył zarówno z wiadomości jakie mu przekazałem od jego przyjaciół w kraju, jak i z tego, co mu od siebie mówiłem.

– Wówczas po przerwie, mógł się Pan zetknąć ponownie ze swoim dowódcą z Armii Krajowej, gen. „Borem”.

– Recz jasna, że meldowałem się również u gen. Bora-Komorowskiego, którego znałem osobiście z czasów AK. Spotkała mnie tam niespodzianka, gdyż gen. Bór w obecności gen. Pełczyńskiego i moich kolegów akowskich, Andrzeja Pomiana i Jana Nowaka, udekorował mnie Krzyżem Virtuti Militari.

Odbyło się również moje spotkanie z Piłsudczykami. Brało w nim udział wielu moich przedwojennych znajomych, m.in. minister Kościółkowski, wojewoda Grażyński, dyrektor Paprocki i inni, których nazwisk już dziś nie pamiętam.

Moje ogólne wrażenia z tych innych spotkań londyńskich było złożone. Zaciekawienie Polską Podziemną i powojenną było bardzo duże, ale zrozumienie sytuacji krajowej w latach wojny i zaraz po wojnie niezbyt głębokie, raczej po-

wierzchowne. Nie spotkałem się natomiast z atakami na rozpoczęcie Powstania Warszawskiego. Wiele też wówczas rozmawiałem z gen. Pełczyńskim, który był szczególnie zainteresowany tym wszystkim, co się działo w kraju w 1945 r.

Na tle tych rozmów londyńskich i poprzedniego / w listopadzie 1945 r./ spotkania we Frankfurcie n/Menem z dwoma dawnymi moimi znajomymi, działaczami z tzw. „Naprawy” i ze starym przyjacielem, Stanisławem Gieratem, rozumiałem jak bardzo lata wojny wpłynęły niejako automatycznie na zmiany w nastrojach i odcieniach politycznych. Pamiętam, że gdy kończyliśmy tę „nocną Polaków rozmowę” we Frankfurcie, Gierat powiedział mi „Tadeusz, tyś się zrobił strasznie radykalny”. Odpowiedziałem mu wówczas, że to nie ja, ale taki stał się kraj.

Po blisko czterotygodniowym pobycie w Londynie wracałem do Ankony przez Paryż, gdzie finalizowałem szczegóły programu przyjazdu wycieczki delegacji robotników polskich z Francji do II korpusu. Pomysł ten przedstawiłem już w końcu lutego szefowi Sztabu II Korpusu, gen. Wiśniowieckiemu. W grudniu 1945 r. przed przyjazdem do Ankony, zorientowałem się w dużym udziale robotników polskich we francuskim ruchu oporu, tzw. Resistance, w rozmowach z moim dawnym znajomym z Legionu Młodych, Stefanem Mrożkiewiczem, podówczas członkiem PPS. Przyszło mi wtedy na myśl, że byłoby dobrze by polscy robotnicy z Francji poznali wojsko polskie we Włoszech. Mrożkiewicz przyznał mi rację i zadeklarował, że chętnie by mi pomógł w organizacji takiej wyprawy.

– Z takim pomysłem udał się Pan do stacjonujących w Italii polskich wojsk.

– Tak. Po powrocie do Ankony energicznie zabrałem się do realizacji tej wycieczki. Uznałem, że przyjazd robotników, a w dodatku socjalistów do Korpusu będzie pożyteczny dla obydwu stron. Robotnicy polscy przekonają się, jak wiele ich łączy z postawą i nastrojami żołnierzy Korpusu, a żołnierze nabiorą szacunku dla zwykłych robotników, którzy stali się żołnierzami podziemia, walczącego o niepodległość Polski i Francji. Przypuszczam również, że rozgłos tej wizyty przysporzy popularności Korpusowi, któremu nieraz zarzucano prawicowe ciągoty. Gen. Wiśniowski rozumiał te moje intencje.

Wycieczka odbywała się w okresie pięknej włoskiej wiosny. Robotników spotkałem w Nicei, skąd ruszyliśmy samochodami do m.p. V Dywizji Kresowej gen. Nikodema Sulika. Miała ona ustalony charakter jednostki bardzo żywej, uspołecznionej i o dość wyraźnym demokratycznym charakterze. Było to w dużym stopniu zasługą bardzo lubianego przez żołnierzy dowódcy i aparatu oświatowego, w którym było paru ludzi z ZPMD – moich dawnych kolegów, wśród nich szczególnie ruchliwy był lwowianin, Michał Lang.

Górnicy byli szczerze wzruszeni i zaskoczeni przyjacielskim powitaniem gen. Sulika. Senior tej grupy, Schabowicz, dziękował za to Generałowi i jego żołnierzom. Przy żołnierskiej kolacji nastrój był wspaniały. Chciałbym tu wspomnieć o jednym zabawnym incydencie. Któryś z francuskich gości w przemówieniu obrazującym działalność Polaków w Resistancie, w pewnym momencie wskazał na rośłego, barczystego górnika: „A oto Panie Generale, z nami przybył kolega Łabędź, który był pierwszą jaskółką ruchu oporu we Francji”. To porównanie tego Łabędzia do jaskółki wywołało ogólną wesołość.

Objechaliśmy niemal całe Włochy. Górnicy spotkali się z III Dywizją Karpacką, Warszawską Dywizją Pancerną, byli w obozach dla uchodźców pod Bari, oczywiście na Monte Cassino w Rzymie i przed odjazdem zjawili się znów w Ankonie. Delegację wycieczki zaprowadziłem do gen. Andersa, gdyż górnicy musieli mu podziękować za gościnę, która zrobiła na nich duże wrażenie. Generał bardzo miło z nimi rozmawiał, ale przy pożegnaniu powiedział im: „proszę Panów, pamiętajcie, że już niedługo – po żniwach – będzie wojna. Nie zauważyłem jednak, by ta zapowiedź trafiła robotnikom do przekonania. Przypomniałem sobie, że w styczniu, gdy meldowałem się u Generała, też usłyszałem zapowiedź nowej wojny. Ale wówczas była mowa o wiośnie. Przyznaję, że ten miraż wojny bardzo mnie zasmucił. Byłem przekonany, że jest nierealny, co świadczy o złej ocenie sytuacji międzynarodowej i będzie musiało przynieść rozczarowanie.

– Czy mógłby Pan jeszcze wyjaśnić, jak doszło do tego że pomimo poważnych propozycji, które panu składano, nie znalazł się pan na czele propagandy II Korpusu?

– Dopiero po jakimś czasie, już w Londynie, dowiedziałem się dlaczego. Jeden z moich przyjaciół znalazł wówczas w aktach Korpusu materiały, z których

wynikało, że wkrótce po moim przyjeździe do Ankony wpłynęło przeciwko mnie oskarżenie, że jestem agentem Bieruta, że przyjechałem by wywołać intrygi i rozkład w Korpusie i występuję jako Zawadzki, choć rzeczywiście ukrywam w ten sposób swoje prawdziwe nazwisko. Autorem tego donosu – jak się okazało – był dawny oenerowiec, kpt. Kozubowski, ps. „Mocarz”, z kontrwywiadu okręgu warszawskiego AK. Dzięki temu odkryciu dowiedziałem się dlaczego nie zostałem szefem propagandy II Korpusu

– Do kiedy przebywał pan na terenie Italii?

– Wyjechaliśmy w pierwszych dniach września 1946 r. Przyjechaliśmy do Londynu. Nie chciałem iść do PKPR i rozpocząłem pracę dziennikarską w „Dzienniku Polskim”. Redaktorem był wtedy Jan Czarnocki, mój stary znajomy z przed wojny z którym zawsze byłem w bardzo dobrych stosunkach. To był człowiek o bardzo demokratycznych przekonaniach. Przed wojną pracował długi czas w „Kurierze Porannym”, właśnie stamtąd go znałem.

Pracę w „Dzienniku” rozpocząłem już w końcu września. Napisałem wtedy tekst „potępiający Potockiego”. Otóż dowiedziałem się, że Potocki chciał wywieźć z Łańcuta część swoich dzieł sztuki poza granice Polski i udało mi się przekonać redaktora, aby za taką działalność potępić go. Było to novum w dotychczasowej pracy „Dziennika”. Parę miesięcy później niestety Czarnocki umarł.

W tamtym okresie w „Dzienniku” pracował przyjemny i dobry zespół. Zastępcą Czarnockiego był Tadeusz Morko, wywodzący się z przedwojennego Legionu Młodych. Energiczny, bystry, dobry dziennikarz. Pracował Aleksander Bregman – nie wymaga przedstawienia, były dyrektor PAT-a – Oborski. Dział sportowy prowadził Karol Zbyszewski, też dobry dziennikarz, oraz młody Marek Świącicki, korespondent wojenny. Mieliśmy świetnego ekonomistę – Alfreda Zaubermanna, był też pepesowiec Ignacy Klibański. To był dobry zespół ludzki, świetnie współpracujący.

„Dziennik” był miniaturą prawdziwego pisma. Miniaturą dlatego, że jego objętość stanowiły cztery strony. Aby zyskać na miejscu stosowano bardzo dużo petitu zamiast garmonitu. To była żywa gazeta, z której opinią liczono się.

– Jaki był wówczas system pracy w „Dzienniku”?

– Spotykaliśmy się wszyscy przed 9-tą, o wpół do dziesiątej była konferencja redakcyjna u Czarnockiego albo u Morki i tam ustalało się co kto pisze. Redaktor ostatecznie przeglądał i ewentualnie adiustował teksty. Miał zawsze prawo do zmian, ale rzadko z niego korzystał. Mieliśmy wówczas wielu dobrych współpracowników. Pisał do nas Rojek, MękarSKI, /bardzo pravicowy senator/, mieliśmy dobrych korespondentów zagranicznych, np. Kudlickiego.

Moim celem stało się zwiększanie ilości wiadomości z kraju. Chciałem, żeby emigracja żyła z krajem, ale także żyła krajem.

W tym czasie radio warszawskie nadawało późnym wieczorem takie wolno czytane wiadomości, artykuły. Wraz z żoną siedzieliśmy do późnej nocy i notowaliśmy najciekawsze informacje, z tego powstawały depesze. Jednocześnie dzięki moim staraniom zaprenumerowaliśmy w redakcji główne pisma każdego z województw oraz większość ukazujących się w Warszawie. Czerpaliśmy stamtąd i komentowaliśmy materiały do gazety. Lektura tych gazet dawała obraz, przynajmniej częściowy, sytuacji w Polsce. Np. dawałem dokładne sprawozdania z procesu Rzepeckiego z zaledwie jednodniowym opóźnieniem.

– Czy było duże zainteresowanie działem krajowym?

– Tak. Ludzie nie mieli wówczas własnych bezpośrednich kontaktów z krajem i chcieli wiedzieć co tam się dzieje naprawdę. To przecież było pokolenie, które walczyło, które myślało, że wróci z bronią w ręku do własnego kraju. Często ogólne sprawy Polski bardziej zajmowały ich niż to, co się dzieje z rodziną w kraju. Naprawdę panował duch walki o wolność.

Istniały stronnictwa polityczne, które co prawda były nieco zmurszałe, gdyż przypadkowy był ich skład, ale po wojnie ich zespół się odmłodził na skutek przybycia na emigrację ludzi, którzy byli w stronnictwach w podziemiu. Wzmocniło się bardzo Stronnictwo Narodowe. Bezpartyjni demokraci zebrali się w NiD-zie, było tam sporo kolegów z Armii Krajowej.

Być może do tego zainteresowania krajem przyczyniła się również duża ilość informacji o kraju zawarta w „Dzienniku”. Nie było numeru, żeby nie było przynajmniej dwóch artykułów o sprawach krajowych, a ponadto przecież były depesze.

– W jakich latach pracował Pan w „Dzienniku”?

– W 1946 roku, w końcu września zacząłem i byłem do czerwca 1952. Początkowo redaktorem naczelnym był Czarnocki, który jednak umarł w parę miesięcy po moim przyjeździe był chory na raka/, zastąpił go Tadeusz Horko i w tym składzie trwaliśmy dość długo.

Potem wyjechałem do Monachium. A było tak. Kiedy powstało radio „Wolna Europa” w Monachium, to dyrektor administracyjny i finansowy „Dziennika” pan Kirkienda doszedł do wniosku, że można z radia wydobyć jakieś pieniądze. Wymyślił sobie, że jeżeli my będziemy pisywać do radia jako „free lancerzy”, to będzie to okradanie gazety. Prawdopodobnie nie orientował się, że w RWE mieli obsługę wielu agencji prasowych, nie tak jak my, którzy mieliśmy zwykle Reutersa, prasę zagraniczną oraz krajową. Kirkienowi ubzdurało się, że trzeba żądać zapłaty od radia, które rzekomo od nas czerpie wiadomości. Była to oczywiście nieprawda. W tym czasie było nas dwóch, którzy pisywali do radia – Bregman i ja. Pewnego razu Kirkien zaprosił nas, redaktorów i powiedział, że „Wolna Europa” nas okrada i dodał: „Zabraniam wszystkim pracownikom „Dziennika” pisywania do tego radia. A jeśli ktoś chce, to musi wybrać; albo „Dziennik” albo „Wolna Europa”. Byłem wtedy w „Wolnej Europie” takim „free lancem” i pisywałem tam rzadko. Oburzyło mnie jednak takie postawienie sprawy. Poszedłem wtedy do Horki i mówię: „Ja niewiele pisuję do radia, gdyż nie mam czasu, ale takiego warunku przyjąć nie mogę, bo to ogranicza moją swobodę pracy”. Przyszedł akurat Kirkien i powiedział, że wobec tego musimy się pożegnać. I tak pożegnałem się z „Dziennikiem”.

– Jednocześnie prowadził Pan dalej swą działalność polityczną.

– Tutaj zetknąłem się z NiD-em. Wówczas PPS był mało aktywny i niezbyt mi się podobał. Natomiast w NiD-zie byli młodzi ludzie mający za sobą doświadczenia wojskowe i ogólne z lat wojny. Zainteresowali się mną, a ja nimi i doszedłem do wniosku, że można coś zrobić. W czołówce byli wówczas Stefan Gacki, Jerzy Lerski, Rowmund Piłsudski, Andrzej Pomian /który był wysłannikiem z kraju/ oraz Jan Nowak.

– Jak w tym pierwszym okresie NiD ustosunkował się do Prezydenta?

– póki był Raczkiewicz to wszystko było w porządku, aż do 1947 r. Potem wstrzymywaliśmy się od uznania Zaleskiego. Nie zwalczaliśmy go, ale też nie uznawaliśmy go za prawowitego prezydenta. Z czasem zaczęło się to ugrunto-
wywać. Zrobiliśmy m.in. Koncentrację Demokratyczną /PPS/. Zajmowałem się tam sprawami krajowymi. Wielu moich kolegów, np., Rowmund Piłsudski, którzy przebywali w czasie wojny cały czas za granicą interesowali się przede wszystkim sprawami międzynarodowymi, wobec tego ja skoncentrowałem się na kraju. Wraz ze mną włączyli się w sprawy krajowe Jerzy Lerski i Andrzej Pomian. Bardzo chcieliśmy emigrację nastawić na tematykę krajową. Podam przykład. Po wyborach w Polsce, które były 19 stycznia 1947 roku, my, w Londynie już na początku lutego zorganizowaliśmy wielki wiec, w czasie którego Gacki, Lerski i ja omawialiśmy te wybory. Przedstawiliśmy całe komunistyczne fałszerstwo i terror, by uświadomić ludzi na emigracji. Od tej pory występowa-
liśmy dość często w sprawach krajowych.

Wpadliśmy wówczas na pomysł, aby stworzyć forum, na którym zwykli ludzie, nie tylko działacze partyjni, mogliby zabierać głos w sprawach publicznych. Zwoływaliśmy tzw. „parlamenty dyskusyjne”. To było zupełne novum. Zostałem wyznaczony marszałkiem tych spotkań, którym przewodniczyłem. Ogłaszaliśmy w prasie. Że danego dnia odbędzie się zebranie poświęcone pewnemu problemowi. Każdy kto wcześniej przysłał zgłoszenie, mógł zabrać głos. Spotkania nasze były wówczas sensacją. Początkowo odbywały się w „Ognisku”, ale później musieliśmy szukać większej sali.

Nasze „parlamenty” przewyciężały marazm w partiach politycznych. Wyznaczaliśmy każdorazowo jakiś aktualny temat polityczny. Naszym celem przy powoływaniu „parlamentu” było umożliwienie wypowiedzenia się zwykłym emigrantom, nie objętym kluczami partyjnymi. Z NiD-u najczęściej uczestniczyli w tych spotkaniach R. Piłsudski, T. Terlecki, J. Lerski. Działacze poszczególnych partii byli nam przeciwni, gdyż uważali, że odbieramy im wpływ na masy.

– Jaka była wówczas liczebność NiD-u?

– W Anglii około setki, zaś poza Anglią byli pojedynczy ludzie. To nie była silna ilością organizacja, ale bardzo dynamiczna.

W czasie drugiego naszego „parlamentu” /a trzeba dodać, że przychodzili na to spotkanie znani działacze partyjni, aby śledzić dyskusje/ wyszła kwestia stworzenia parlamentu emigracji politycznej. I w końcu wysunięto hasło zorganizowania powszechnych wyborów. Wydawaliśmy wtedy redagowaną przez Rowmunda Piłsudskiego „Trybunę”, niestety ukazującą się nieregularnie, gdyż nie mieliśmy pieniędzy.

– Na czym jeszcze polegała działalność NiD-u?

– Mieliśmy dużo odczytów na prowincji. Bardzo pracowaliśmy nad koncepcjami politycznymi. Był to okres kiedy stare stronnictwa bały się nas. Byliśmy młodszy i bardziej dynamiczni.

Nasz kontakt z krajem był bardzo dobry. Było u nas sporo akowców, którzy przybyli z Polski niedawno.

Natomiast w polityce międzynarodowej zorientowaliśmy się /Piłsudski, Gacki, Wierzbiański/ na powstający wówczas ruch europejski. Wierzbiański prowadził wtedy agencję, która rozsyłała na cały świat. To była bardzo dobra robota. Ukazywała się także „Polska Walcząca”, pismo SPK, które prowadził Tymon Terlecki. Ja pisałem co tydzień o sprawach krajowych, a Bregman o międzynarodowych.

Aby przełamać kryzys „martwoty politycznej” wywołany poprzez postawę Zalewskiego zdecydowaliśmy się stworzyć Koncentrację Demokratyczną, w skład której wchodził PPS, NiD i bardzo słabe Stronnictwo Demokratyczne. To powstało chyba w 1947/1948 roku. Naszym celem było zmienienie prezydenta, gdyż uważaliśmy, że powinien być nim Tomasz Arciszewski, zgodnie z poprzednią decyzją Raczkiewicza.

Później utworzyliśmy Radę Polityczną, /PPS, ludowcy, SD i NiD/, do której z czasem dołączyło się Stronnictwo Pracy. Rada Polityczna działała dość długi okres czasu, a ja byłem w Wydziale Wykonawczym z ramienia NiD.

– Jak do Koncentracji Demokratycznej odnosili się tacy ludzie jak Anders czy Bór-Komorowski?

– Bór Komorowski był apolityczny i właściwie społecznie działał jako prezes Rady Naczelnej Koła AK. Kiedy jednak zaproponowano mu premierostwo,

to my jako akowcy /Iranek, Pomian i ja/ poszliśmy, żeby mu to odradzić. Uważaliśmy, że nie był zorientowany w skomplikowanych układach emigracyjnych i różnych grach. Nie chcieliśmy, aby przez działalność polityczną utracił kapitał, który wyniósł z Armii Krajowej. Ja osobiście miałem z nim doskonałe stosunki.

– A kto z PPS-u opowiadał się za Koncentracją?

– Przede wszystkim Arciszewski, Kwapiński, Białas, Zaremba. Koncentracja rozpadła się pod koniec lat 40-tych i wówczas właśnie utworzyliśmy Radę Polityczną z inicjatywy PPS-u i NiD-u. Dołączyli do nas endecy i grupa ze Stronnictwa Pracy. Stało się to za przyczyną Tadeusza Bieleckiego, który uważał, że trzeba coś zrobić. To był rozsądny, bardzo twardy polityk, inteligentnymi stosunkowo jeszcze młody jak na stosunki emigracyjne. Głównym naszym motywem była konieczność oddziaływania na zagranicę, gdyż „Zamek” czyli Zaleski, nic w tym kierunku nie robił. To były oczywiście – jak teraz widać – złudzenia, ale w tamtym okresie były one jeszcze możliwe.

Zaprosiliśmy ad personam kilka osób wybitnych, np. Bora-Komorowskiego czy Wiktora Sukiennickiego. Z Andersem kontakty były wówczas żadne. On był Naczelnym Wodzem, więc musiał być lojalny wobec Zaleskiego i starał się do takiej polityki nie mieszać.

Radzie przewodniczył Tomasz Arciszewski, a zastępowali go Berezowski z endecji i Terlecki z NiD-u, a ponadto ze Stronnictwa Pracy był Kuśnierz Wydział Wykonawczy Rady tworzyli Sojka i Stypułkowski ze Stronnictwa Narodowego, a Piłsudski i ja z NiD-u oraz Białas i Ciołkosz z PPS-u. Zdziechowski był przewodniczącym Wydziału Wykonawczego /to były były minister skarbu/.

Czyniliśmy próby, aby stworzyć oddział Rady Politycznej w Ameryce, ale nie dały one pozytywnego rezultatu. Po prostu zabrakło tam chętnych. Mielśmy jeszcze spore kontakty z Anglikami, np. Adam Ciołkosz, Edward Raczyński. Anglicy mówili z Borem, także z Rowmundem Piłsudskim, Wierzbiańskim, który zorganizował Związek Dziennikarzy, także starał się oddziaływać w środowisku brytyjskim.

Sam pamiętam jak w 1952 roku jeździłem z Wierzbiańskim do Genewy na obrady komisji ONZ, gdzie badano niewolnictwo pracy. Mówiliśmy tam

o obozach pracy w Polsce. Pojawienie się "Policy od liberation" ożywiło nasze kontakty z zachodnimi politykami, a zwłaszcza z Amerykanami.

– A wracając do NiD-u. bardzo ważny był rok 1956 kiedy rozważano kwestię powrotu do kraju.

– Wtedy NiD już prawie się wybierał do Polski. Byłem wówczas w „Wolnej Europie”, gdzie nas, nidowców było kilku, Szyszko-Bohusz, Romiszewski, ja i paru innych. Byliśmy sceptyczni jeśli chodzi o politykę Gomułki. Różniliśmy się tu w ocenie z Nowakiem, który bardzo stawiał na Gomułkę.

Wtedy przyjechał któryś z pezetpeerowskich propagandzistów do Londynu, aby szukać kontaktów z nidowcami i niestety tutejsi koledzy "kupili to". Zaczęli nawet z nim rozmawiać i rozważać możliwości jakiegoś luźnego porozumienia. Bardzo tym byliśmy przejęci w Monachium. Udało się na szczęście powstrzymać te tendencje.

Jednocześnie warto przypomnieć, że ze względu na młody wiek większości członków NiD odgrywał istotną rolę w życiu emigracji. Udało się nam utrwalić wpływ w Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów, także w Zjednoczeniu Polskim. Często tam przewodniczyłem na różnych zjazdach.

Trochę wówczas różniłem się od „nidowców”. Miałem znajomych z II Korpusu i postanowiłem zrobić im taką małą:rewolucję”, gdyż z SKP chciano zrobić organizację typu wojskowego, z utrzymaniem hierarchii jeszcze z wojska. Mieliśmy trochę mandatów akowskich z Wielkiej Brytanii i Niemiec. Lerski, Lang i ja przygotowaliśmy się. Kiedy w czasie otwarcia zjazdu wszystko było gotowe i przewodniczyć miał płk Piątkowski. Nagle wstał Lang i zgłosił moją kandydaturę. Na sali poruszenie, ja zrezygnowałem z kandydowania, ale dzięki temu mogliśmy się zorientować gdzie na sali jest opozycja. Udało nam się obalić szereg szkodliwych wniosków. Zrobiliśmy straszne zamieszanie, zyskaliśmy silne poparcie na zjeździe. Udało nam się „odmilitaryzować” organizację i wybrać dobrych kolegów do Rady Naczelnej SPK.

– W tym czasie organizuje się także Koło Armii Krajowej.

– Kiedy przyjechałem z Włoch do Londynu to tu już powstawał Komitet Organizacyjny Koła AK, do którego wszedłem. „Akowców” na wyspach było

wtedy nie więcej niż dwa tysiące. Naszym celem było utrzymanie tradycji AK, gdyż obawialiśmy się, że wojsko „zachodnie” będzie chciało dominować, a o nas się zapomni. Chodziło nam o przypominanie losów kolegów wywiezionych do Rosji /ok. 50000 ludzi/ oraz uwięzionych w kraju przez komunistów.

Nasze zebrania różniły się od pozostałych w Londynie. Polegało to na przykład na zwracaniu się per „kolego”. Pamiętam szok jaki wywołałem kiedy – jako przewodniczący I Zjazdu AK – zaprosiłem do głosu kolegę Bora-Komorowskiego. Doszło później do próby zamachu ze strony starszych oficerów AK, którzy chcieli aby organizacją mogli kierować tylko ci najstarsi stopniem. Stawiliśmy opór. Bór-Komorowski nas poparł. Często potem w Radzie było więcej „niższych szarż niż pułkowników”. Świadczyło to wymownie o demokracji AK.

– Przełom lat 40-tych i 50-tych to okres kiedy tysiące akowców przebywało w więzieniach w kraju. Czy próbowano organizować im jakąś pomoc?

– Staraliśmy się coś w tym kierunku zrobić, choć nie było to łatwe. Wiele natomiast robiliśmy w sprawie akowców w Rosji. Umieszczaliśmy artykuły i uchwały w prasie. Generał „Bór” w czasie pobytu w Ameryce bardzo dużo na ten temat mówił.

Pomoc materialna dla kolegów w kraju była dla nas trudnym problemem, gdyż myśmy sami nie mieli pieniędzy. Pieniądze mieli ci z II Korpusu. Były organizacje przez które staraliśmy się posyłać pomoc, ale tak naprawdę to nie było tego wiele z naszych składek.

– Czy istniały kontakty Koła AK z działającym na zachodzie WiN-em?

– Organizacyjnie nie mieliśmy żadnej łączności, personalnie, tak. Maciołek nie uczestniczył w pracach Koła. Ja znałem ich kilku: Maciołka, Solskiego, Boksanina /którego poznałem gdy był szefem BiP-u w Krakowie/.

– Kiedy doszło do odwilży w połowie lat 50-tych i na Zachód zaczęli przybywać ludzie zza „żelaznej kurtyny” to wówczas miał Pan okazje spotkać się z dawnymi przyjaciółmi i pracownikami.

– Tak. Ale spotykaliśmy się oczywiście nie w Monachium, gdzie byłem re-

daktorem „Wolnej Europy”, ale sam do nich jeździłem. Najczęściej miało to miejsce we Francji, Włoszech lub w Londynie.

– Pozostając jeszcze przy sprawach AK. W dwudziestą rocznicę Powstania Warszawskiego ustawiono krzyż AK.

– Zbliżała się ta rocznica. Byłem wówczas po zawale, ale przybyłem do Londynu, by spotkać się z gen. Borem i gen. Pełczyńskim. Zaproponowałem im, żeby ustalić odznakę akowską w formie krzyża, która była by dostępna dla wszystkich oficerów i żołnierzy AK. Bór zapalił się do pomysłu. Niestety Pełczyński który początkowo zgodził się wkrótce zaczął blokować inicjatywę. I tak zaczęła się „kołomyjka” trwająca z górą rok, ale na szczęście dzięki stanowczej postawie Bora udało się sprawę przeprowadzić. Tak doszło do ustanowienia Krzyża AK.

– Jest Pan jednym z twórców Studium Polski Podziemnej.

– Tak. Chodziło nam o przechowanie udokumentowanej akowskiej spuścizny. Kiedy przyjechałem pierwszy raz do Londynu w 1946 roku, to już działała w sztabie taka podkomisja historyczna, gdzie był Pełczyński, Iranek, Pomian. Gromadzili materiały dotyczące Armii Krajowej. Wtedy powstała myśl, żeby stworzyć jakieś stałe archiwum. I tak w 1947 roku / Bór zdobył trochę pieniędzy. Po jakimś czasie kupiliśmy dom na Leopold Road 11 i to był początek Studium. Oczywiście nie mamy wielu dokumentów. W Polsce jest ich znacznie więcej. Najciekawsze zapewne zagrabiło UB i trzyma w zamknięciu w archiwum MSW.

– W Pańskich czasach londyńskich wybucha niesłychanie groźna sprawa tzw. „Afera Bergu”.

– O niej będę mógł powiedzieć niewiele z uwagi na pewne nazwiska w Polsce, które jeszcze są związane z tą sprawą. Chodziło o to, że Rada Polityczna zawarła porozumienie i umowę o współpracy z pewnymi czynnikami amerykańskimi, które bez żadnych warunków chciały pomóc w działalności Rady Politycznej z myślą o jej działalności na kraj. W Radzie był wydział krajowy, w którym było nas trzech – Sojka, Białas i ja.

O kontaktach z krajem trudno było by mi jeszcze mówić. Stawiano nam

rozmaite zarzuty, na które w tamtym okresie nie mogliśmy odpowiadać, gdyż w rachubę wchodziły rozmaite nazwiska polityczne w kraju.

Ja starałem się nawiązać kontakt z ludźmi z dawnego ZOR-u i ze Zjednoczenia Demokratycznego. Ale chciałbym podkreślić, że za działalność, którą oni wtedy podejmowali żaden z nich nie został nigdy aresztowany.

– Stawiano zarzut, że doszło do podporządkowania się amerykańskiemu wywiadowi.

– Nie. A to dlatego, że założenia były czysto polityczne. Nie mogę stwierdzić czy i w jakim stopniu Stronnictwo Narodowe prowadziło swoją działalność w tym kierunku, gdyż nie miałem z nim bliższych kontaktów. Nikt z nas nie wnikał w działalność innego stronnictwa. Wiem dobrze, bo miałem bliższe kontakty z PPS-em, że oni żadnej akcji wywiadowczej nie prowadzili. W każdym razie Wydział Krajowy i Rada Polityczna była przeciwna akcji wywiadowczej. Ja sam żadnej działalności wywiadowczej nie prowadziłem.

Chcieliśmy natomiast prowadzić działalność polityczną na kraj. Były nawet pomysły by nadawać audycje do kraju z samolotu. Szykowaliśmy nawet specjalną ekipę.

Najtrudniejsza była dla nas oczywiście łączność. Było to możliwe ale rzadko. Oddziaływaliśmy tylko poprzez łączników.

– Pan przenosi się do Monachium w okresie, gdy na emigracji dokonuje się poważny podział polityczny. Z jednej strony „Zamek” z Zaleskim, z drugiej większość wojskowych i partii politycznych. Jak Pan na to patrzy z perspektywy lat?

– Nie widzę wielkości gry. Ja sam oczywiście chciałem, żeby był jeden ośrodek nie dwa, żeby Sosnkowski miał więcej twardości i zdecydowania. Jego próby spaliły na panewce. Zawsze uważałem, że tutejszy ośrodek rządowy jest tylko symbolem, który jest potrzebny krajowi w pewnych momentach. Ale ten ośrodek nie może narzucać koncepcji krajowi, bo nie zna go dobrze a ponadto nie ma uznania międzynarodowego.

Już wtedy problem polegał na tym, by znaleźć jakieś zasady trwałości tego ośrodka niepodległościowego i prowadzić taką działalność, która może dać po-

żytek krajowi. Uznałem, że taką pożyteczną rolę może spełniać „Wolna Europa”, z którą zacząłem współpracować za nim jeszcze było Monachium. Wówczas audycje były nadawane z Waszyngtonu.

– A jak to się stało, że Pan zaczął swoją współpracę?

– W pierwszym okresie był to mały program, gdzie szefem był nieznany mi osobiście pan Bodeński, ale u niego pracował jeden z moich współpracowników z BiP-u, Śmiałowski. No i wtedy zacząłem do nich pisywać jako „Free lans”, oczywiście sprawy krajowe, komentarze. Oni wówczas na tych problemach mało się znali, więc moje teksty były na pewno pożyteczne. Dopiero w 1952 roku, a może nawet pod koniec 1951 r., gdy zaczęła się „Policy of Liberation”. I gdy przyjeżdżał do Londynu Jackson, to zaproponowałem naszego kandydata na dyrektora. Poparłem wtedy Nowaka, który bardzo się do tego palił, a był w BBC jako zwykły redaktor. Amerykanie chcieli mieć opinię wydziału krajowego, w którym byłem z Białasem i Sojką oraz opinię WiN-u. Przekonałem Białasa i Sojkę, że Nowak będzie na tym stanowisku dobry. Jednocześnie /wraz z Białasem/ udało nam się przekonać /a to nie było łatwe/ szefa WiN-u – „Józwę” czyli płk Maciołka, który nie darzył Nowaka zaufaniem. Dzięki poparciu WiN-u i rady politycznej kandydatura Nowaka została przyjęta. Kiedy Nowak już został szefem, to pomagałem mu w doborze ludzi. I nadal współpracowałem z radiem.

– Jak zaczęła się Pańska stała współpraca w „Wolnej Europie”?

– To był dla mnie ciężki okres. Zmarła moja matka, potem ojciec. Mogłem w tej sytuacji wrócić do swojego nazwiska, przestałem pracować w „Dzienniku”. Pisywałem do Bolesław Wierzbiańskiego, do prowadzonej przez niego Agencji Prasowej, do „Polski Walczącej” redagowanej przez Tymona Terleckiego. Wszystko to było jednak praca dla emigracji, która nie dawała mi pełnej satysfakcji. Skoro pojawiła się możliwość mówienia do kraju, to napisałem do Nowaka, czy nie znalazłoby się jakieś miejsce dla mnie. I dostałem normalny redaktorski etat.

Przyszedłem jako nowy do zżytego już środowiska. Przyjechałem tam bez żadnych ambicji, ponieważ tytułów i władzy miałem już jak na swój wiek dosyć. Zacząłem pracować jako zwykły redaktor.

Jednakże przeciwko Nowakowi zorganizowano bunt kierowany przez ówczesnego zastępcę Nowaka /a mojego protegowanego do RWE/ Marka Świącickiego i Zbigniewa Błażyńskiego, więc starałem wraz z paru kolegami przeciwdziałać temu. „Buntownicy planowali, że Świącicki zostanie dyrektorem, a Błażyński jego zastępcą. To był bunt na tle ostrego traktowania ludzi przez Nowaka. Nowak się utrzymał. Świącickiego i Błażyńskiego usunął. Tego ostatniego z cichym żalem, gdyż Błażyński pisał zawsze tak, jak Nowak chciał.

– Jak się wtedy pracowało w „Wolnej Europie”?

– Większość pracujących tam ludzi była nastawiona ideowo. Dominowali ludzie wywodzący się z konspiracji, akowcy i wojenna emigracja. Wtedy nie bardzo patrzono na to kto ile dostaje premii, pensji, żyło się pracą. Kiedy działo się coś ważnego to ludzie sami przybiegali do radia, nie trzeba było ich wołać i przypominać, że mają dyżury. Pracę traktowaliśmy jak w swoim radio W „Głosie Wolnej Polski”. To była naprawdę dobra ekipa. Nastój był wspaniały. To utrzymywało się przez pierwsze 10–12 lat.

– Pracował Pan w okresie gdy w Polsce miały miejsca bardzo ważne wydarzenia.

– Nasza polityka była bardzo rozważna. W 1953 roku nie popełniono żadnego błędu w czasie powstania berlińskiego.

W 1956 wspólnie z Nowakiem decydowaliśmy o linii radia. Staraliśmy się nie poddęgać, lecz dobrze i szybko informować. Był w radio dyrektor polityczny, mr. Griffiths, który w normalnych warunkach dawał ogólne wytyczne, wobec których nie raz stawialiśmy opór. Zresztą wobec polskiej rozgłośni był bardzo ostrożny i powściągliwy.

W październiku 1956 roku myśmy z Nowakiem prawie mieszkali w radiu. Wtedy Griffiths przychodził się z nami konsultować, zasięgać naszej opinii. Nie próbował nawet niczego sugerować. Natomiast Węgrom dawał dyrektywy, traktował ich całkiem inaczej. Główną przyczyną tego było zgranie naszego zespołu.

Warto tu przypomnieć strajk, który przygotowaliśmy w polskim „desku”. Amerykanie chcieli wówczas wprowadzić cenzurę naszych audycji jeszcze

przed emisją. Nie mogliśmy się na to zgodzić i wygraliśmy dzięki solidarności zespołu.

Pamiętam jak wyskoczyła agresja na Czechosłowację. Obudzono mnie rano /Nowak był na urlopie/ i natychmiast polecałem do dyrektora, gdzie była konferencja i zastanawialiśmy się co robić. Powiedziałem, że muszę zrobić komentarz dla kraju natychmiast. Amerykańska dyrekcja zgodziła się i przed 9-tą emitowany był już pierwszy komentarz.

Naszą zasadą pracy w radio była szybkość działania i rozważa w tym co robiliśmy. Ta praca dawała nam przyjemność, satysfakcję.

– W jaki sposób organizowaliście serwis informacyjny?

– Robiliśmy to w rozmaity sposób. Np. poprzez przyjezdnych przyjaciół, którzy pojawiali się na Zachodzie. Prowadziliśmy studium prasy krajowej. Kiedy przyszedłem do radia to natychmiast ściągnąłem pisma ze wszystkich województw. Podobnie jak to robiłem w „Dzienniku”. Sporo materiału dostawaliśmy poprzez agencje. Ze wszystkich źródeł można było zmontować w miarę poprawny serwis informacyjny.

Celem naszych działań było demaskowanie zamiarów komunistycznych wobec społeczeństwa. Ja zawsze byłem zwolennikiem piętnowania największych przestępców politycznych czy zbrodniarzy i starałem się zawsze wyciągać te nazwiska, pokazywać ich działalność. Uznawałem, że to odbiera śmiałość i poczucie całkowitej bezkarności. Zrobiliśmy sporo takich programów.

Często pracowaliśmy w następujący sposób. Opiszę to na przykładzie tajnego referatu Chruszczowa. Dostaliśmy tekst od Amerykanów i nadawaliśmy tekst na bieżąco. Podzieliłem tekst na trzy grupy. Siedzieliśmy w różnych pokojach. Jeden tłumaczył, drugi poprawiał, a maszynistka pisała. Następnie szło to do „okeju”, tj. do sprawdzenia i dopiero potem do studia. Kolejno wskakiwały następne ekipy z gotowymi tekstami i skończyliśmy pracę w studio nad ranem.

Londyn, 1988 rok

KRZYSZTOF TURKOWSKI ROZMAWIA Z LUDWIKIEM ŁUBIEŃSKIM¹

– Panie Majorze, pochodzi Pan z rodziny dla Polski bardzo zasłużonej. Urodził się Pan na Wschodnich Kresach Rzeczypospolitej...

– Urodziłem się 6 maja 1912 roku w majątku mojego ojca, Kazimierza Wielka, woj. Kieleckie, ale w związku z tym, że mój ojciec dostał po matce duży majątek koło Orszy, w guberni smoleńskiej, tam spędziłem pierwsze lata mojego życia. Gdy wybuchła I wojna światowa, ojciec zaniepokojony losami rodziny, przeniósł nas, z trójką mojego rodzeństwa, do Finlandii, gdzie mieszkaliśmy przez dwa lata. W 1916 roku ojciec jako członek „Dumy” z Koła Polskiego objeżdżał wraz z carycą szpitale Czerwonego Krzyża. Postanowił wówczas sprowadzić nas z powrotem na wieś do Mierzowa, koło Orszy.

Tam jednakże sytuacja była bardzo niestabilna, gdyż zaczęły się rozruchy. Przyczyną były zgromadzone w majątku wielkie zapasy spirytusu, które zdobyła okoliczna ludność. W związku z niebezpieczeństwem opuściliśmy w nocy saniaми nasz majątek i udaliśmy się do Mińska. W międzyczasie Niemcy zajęli miasto, a my wycofaliśmy się z powrotem do Kazimierzy Wielkiej. Tam dojechał do nas mój ojciec. W Polsce Niepodległej ojciec nadal pełnił funkcje polityczne – był senatorem z Nowogródzczyzny, Kielecczyzny, aby następnie zostać przedstawicielem Polski w międzynarodowym Instytucie Rolniczym. Moja matka zorganizowała nam naukę w domu, lecz z czasem pojawiły się trudności z egzaminami i musieliśmy się przenieść do Krakowa. Tam pobierałem naukę w gim-

¹ Ludwik Maria Łubieński (ur. 6 maja 1912 r. w Kazimierzy Wielkiej, zm. 22 stycznia 1996 r. w Londynie), pochowany w Kazimierzy Wielkiej – polski prawnik, major, oficer łącznikowy Wojska Polskiego, były Sekretarz przedwojennego szefa dyplomacji Józefa Becka, szef polskiej misji morskiej w Gibraltarze, pracownik polskiej sekcji Radia Wolna Europa.

nazjum im. Sienkiewicza, podobnie jak moi bracia. Po zdaniu matury w 1930 roku zapisałem się na Uniwersytet Jagielloński, na Wydział Prawa i Administracji, a w ostatnich dwóch latach studiowałem jeszcze w Wyższej Szkole Nauk Politycznych. Po studiach odbyłem służbę wojskową w podchorążówce artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim, skąd przeniesiono mnie do I DAK w Warszawie. Po wojsku wyjechałem do Wiednia, aby skończyć tam Wyższą Szkołę Handlową. Wtedy planowałem, że będę pracować w handlu, lub przemyśle. Do Wiednia pojechałem między innymi dlatego, że wszystkie egzaminy z Krakowa zaliczano w stolicy Austrii. Mogłem dzięki temu studiować na Akademii tylko rok.

Po pobycie we Wiedniu wróciłem do Warszawy, gdzie odbyłem staż praktykancki, a następnie zostałem szefem działu licencji w Państwowych Zakładach Inżynierii przy ulicy Terespolskiej. Budowaliśmy tam wówczas polskie „Fiaty”, ale także ciężarówki „Saurera”. Po pewnym czasie zakłady zostały w całości upaństwowione.

– To w ramach polityki etatyzacyjnej premiera Kwiatkowskiego...

– Byłem temu przeciwny- zawsze byłem za prywatyzacją przemysłu. Postanowiłem więc zrezygnować z tej, nb. znakomicie płatnej pracy, i zgłosiłem się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Tam przyjęto mnie i natychmiast wysłano na pierwszą placówkę – jako urzędnika kontraktowego do konsulatu generalnego w Rzymie. Konsulem wówczas był p. Mazurkiewicz, zaś ambasadorem – Alfred Wysocki. Po nim przyszedł generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski. W Rzymie byłem przez ponad półtora roku i następnie zgłosiłem się do centrali do Warszawy, aby wziąć udział w tzw. kursie praktykanckim, który przygotowywał nas do egzaminu dyplomatyczno-konsularnego. 1 stycznia 1939 roku znalazłem się w Warszawie i tam razem z kolegami, którzy przybyli z całego świata, stworzyliśmy kurs praktykancki. Polegało to m.in. na tym, że pracowaliśmy kolejno w różnych departamentach, aby dobrze poznać nasze ministerstwo. Na jesień zaplanowany był ciężki egzamin, po zdaniu którego dostawało się 8. kategorię urzędnika państwowego.

– Chciałbym wrócić do decyzji, którą podjął Pan po opuszczeniu stanowiska w przemyśle. Dlaczego przeniósł się Pan do służby dyplomatycznej?

– Zawsze mnie to interesowało. Byłem ponadto przygotowany naukowo

w tym kierunku. Znałem obce języki – mówiłem biegle po francusku, niemiecku. Uznałem, że jeżeli nie mogę pójść drogą handlową – jak wcześniej planowałem – to pomyślałem, że może przydam się w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Spytałem, czy mnie przyjmą i okazało się, że przyjęto mnie bardzo ciepło.

– W MSZ-cie zatrudnionych było wielu przedstawicieli polskich rodów arystokratycznych...

– Mówiło się, że jest to następna szkoła dla arystokracji. Ale arystokracji w Polsce już prawie nie było. Konstytucja z 1921 roku zniosła nasze tytuły tak, że to określenie – arystokracja – już nie bardzo pasowało. Oczywiście MSZ było miejscem, gdzie znaleźli zatrudnienie ludzie wywodzący się z rodzin ziemiańskich, mówiący językami, przez co mieli łatwiejsze dojście do ministerstwa.

Wracając do naszego kursu. Został on rozwiązany w związku z sytuacją międzynarodową. 1 lipca 1939 podobnie jak moi koledzy, którzy posiadali przeszkolenie wojskowe, w czasie mobilizacji/tzw. kartkowej/otrzymaliśmy karty.

Minister Józef Beck podjął wówczas decyzję o przyjęciu nas do pracy w ministerstwie bez konieczności składania egzaminu dyplomatyczno-konsularnego. Część z moich kolegów poszła do jednostek wojskowych, a reszta została zaangażowana na Wierzbowej/siedziba ministerstwa/lub na placówkach. Ja tymczasem, w związku z tym, że min. Beck dobrze mnie poznał w czasie swej wizyty w Rzymie, a następnie w czasie pobytu niemieckiego ministra Spraw Zagranicznych Joachima von Ribbentropa i włoskiego ministra Galeazzo Ciano w Warszawie, zostałem wezwany do Becka, gdzie zaproponowano mi bym został jego sekretarzem. Była to dla mnie wielka niespodzianka. Byłem tym bardzo zaskoczony, pełen obaw czy podołam zadaniom. Minister powiedział, że „nie święci garnki lepią” – ma pan 24 godziny do namysłu. Po radzie z ojcem i bratem zgłosiłem się do płk. Becka z dniem 15 czerwca 1939 zostałem jego sekretarzem.

Kiedy dotarła do mnie pierwsza karta mobilizacyjna, MSZ mnie wyreklamował i pozostawiono mnie w ministerstwie.

Gdy wybuchła wojna, minister Beck poprosił mnie abym został oficerem łącznikowym między nim, a Marszałkiem Śmigłym-Rydzem. Urzędowałem więc nie w pałacu Brühla na Wierzbowej, ale na Rakowieckiej – w siedzibie sztabu Naczelnego Wodza.

– Panie Majorze, wróćmy jeszcze do wydarzeń wcześniejszych. Rzym w końcu lat trzydziestych to jedno z najważniejszych miast Europy. Pański pobyt w Rzymie był o tyle interesujący, że uczestniczył Pan poniekąd jako bezpośredni obserwator w wielu ważnych wydarzeniach. Czy mógłby Pan przypomnieć ówczesnych dyplomatów polskich – ambasadora Alfreda Wysockiego i innych znanych w Rzymie Polaków.

– Byłem wtedy zaledwie pracownikiem konsularnym, gdyż tak zorganizowana była nasza służba dyplomatyczna. Moim głównym zadaniem była opieka nad obywatelami polskimi, wydawanie wiz i paszportów. Częściowo zajmowałem się kwestiami ekonomicznymi, gdyż mój konsul był także radcą handlowym.

Miałem szczęście, że ambasador Alfred Wysocki był przyjacielem mojego ojca i trochę się mną zajął. Bardzo mi wtedy pomógł często zapraszając do siebie. Dzięki temu poznałem całą ambasadę.

W Rzymie były dwie ambasady – jedna przy Watykanie, druga przy Kwirynale. Przy Watykanie był ś.p. ambasador Władysław Skrzyński, wspaniały dyplomata. A przy Kwirynale, wspomniany Alfred Wysocki, który na własną prośbę/ze względu na wiek i stan zdrowia/został odwołany. Wtedy przybył do Rzymu nowy ambasador – generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski.

Ta decyzja wywołała pewne zdumienie. Miał on przeszłość wojskową. Był ukochanym adiutantem Marszałka Piłsudskiego. Wiele się o nim mówiło, gdyż robił rzeczy delikatnie mówiąc „niekonwencjonalne”. Poważnie obawiano się, że może zachowywać się tak samo w Rzymie.

Gdy jednak przybył do Rzymu zaskoczył wszystkich swą metamorfozą. Do nowej roli był świetnie przygotowany. Ten lekarz z zawodu, mówił znakomicie językami, po włosku natychmiast się nauczył. To był także poeta o świetnym wyglądzie zewnętrznym. Był naprawdę wymarzony na Włochy.

Włosi lubią ludzi, którzy się dobrze przedstawiają, dobrze wyglądają. Dzięki

temu Wieniawa był niesłychanie popularny. Opowiadano wtedy następującą anegdotę. Pewien Włoch przyjechał z Mediolanu. Idzie ulicą rzymską, a przed nim Mussolini i Wieniawa. Mediolańczyk pyta swego rzymskiego kolegi – kim jest ten człowiek, który idzie obok Wieniawy.

Wieniawa świetnie jeździł konno i zawsze rano dosiadał konia w Pincio. Nigdy nie mógł się powstrzymać od uwag, kiedy widział włoskich oficerów. Dawał im wskazówki – a to, że noga od konia odchodzi, a to pięta do dołu.

Różnica między Wieniawą a Wysockim polegała na tym, że poprzedni ambasador był wychowankiem starej austriackiej szkoły dyplomatycznej. Wysocki „urzędował”, a Wieniawa wręcz przeciwnie. Kiedy składał listy uwierzytelniające królowi Włoch, podjechał wspaniałą karetą w nowym mundurze dyplomatycznym. Nagle widzę, że szef protokołu dyplomatycznego patrzy z przerażeniem w kierunku Wieniawy, a ten okazuje się założył sztyblety i do tego mało balowe ostrogi. Szef protokołu pyta go zaskoczony – jak to, ostrogi do munduru dyplomatycznego? Na to Wieniawa: „Najpierw w życiu byłem kawalerzystą, a potem dyplomata, więc mam nadzieję, że Jego Królewska Mość nie obrazi się, że założyłem ostrogi do munduru.” I pojechał. Jest przyjęte, że po złożeniu listów uwierzytelniających przez 5 minut trwa rozmowa prywatna. Ówczesny król włoski był historykiem i zajmował się czasami napoleońskimi. Kiedy Wieniawa przybył na rozmowę, znikli w komnacie królewskiej. Minęło przepisowe 5 minut, 10, pół godziny, godzina. Szef protokołu był coraz bardziej zaniepokojony, otwierał drzwi, aby dać znać o końcu audiencji, a król machał ręką, aby mu nie przeszkadzać. W końcu Wieniawa wyszedł po przeszło godzinie. Było to wydarzenie bez precedensu i stało się przyczyną jeszcze większej popularności naszego ambasadora. Wieniawa był w bardzo dobrych stosunkach z Ciano/minister spraw zagranicznych Włoch, zięciem Mussoliniego/. Było to dla nas bardzo istotne. Minister Beck chciał odciągnąć Włochy od związku z Hitlerem, oraz nie dopuścić do Anschlussu Austrii. Niestety, ta koncepcja nie mogła być zrealizowana, gdyż Włosi zbyt już byli od Niemiec uzależnieni gospodarczo, zwłaszcza poprzez współpracę przemysłu wojennego. Uważam, że Anglicy, a głównie Francuzi popełnili wtedy wiele błędów, gdyż prowadząc mądrzejszą politykę mogli do tego aliansu nie dopuścić.

Widać było jak Hitler w stosunkach z Włochami zdobywał coraz bardziej

pozycję hegemonu. Mussolini był co prawda bardzo ambitny, lecz wyraźnie Niemcom ulegał.

Wracając do generała Wieniawy trzeba wymienić inne jego zasługi. Kiedy po klęsce wrześniowej nasi żołnierze przedzierali się przez Węgry i Rumunię do Francji, Wieniawa namówił Ciano do zorganizowania pomocy dla Polski. Efektem tego było polecenie, aby włoskie konsulaty w Bukareszcie i Budapeszcie wydawały Polakom po sto wiz dziennie. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że ci wszyscy Polacy idą do wojska aby walczyć przeciwko sojusznikowi Włoch, Niemcom. Ogromnie pomogło to w naszej akcji ewakuacyjnej, która przez Włochy trwała do 10 maja 1940 roku, gdy Włochy włączyły się do wojny po stronie Niemiec.

– Powróćmy jeszcze do 1939 roku. Ambasador Wieniawa-Długoszowski był organizatorem wizyty w Warszawie w kwietniu 1939 roku hr. Galeazzo Ciano i jego żony Eddy/córki Mussoliniego/. Wizyta ta miała podkreślić związki polsko-włoskie. Pan w przygotowaniach do tego wydarzenia brał udział i w trakcie wizyty miał specjalne obowiązki.

– Ministrowi Beckowi zależało, aby Ciano przybył do Polski pod pretekstem polowania na dziki. Polska strona pragnęła, aby do nas przybyła także żona ministra, prywatnie córka dyktatora Włoch. W związku z tym powstał pewien problem. Pani Ciano była kobietą o niezwykłym temperamentie, znakomicie się prezentowała. W czasie swej poprzedniej wizyty oficjalnej na Węgrzech Edda Ciano przysporzyła ogromnych kłopotów protokołowi dyplomatycznemu/mówiąc delikatnie. Chodziło o to, że syn admirała Horthy'ego, który był szalenie przystojnym mężczyzną, wywoził ją do rozmaitych cygańskich restauracyjek. Tam przez całą noc trwały szampańskie zabawy przy cygańskiej muzyce, które do rozpacz doprowadzały szefa protokołu dyplomatycznego. Nie mieściło się to w jego wyobraźni, że pani Ciano przez całą noc uczestniczy w zabawach, zamiast być w hotelu przy mężu. W związku z zachowaniem córki w Budapeszcie Mussolini nie chciał, żeby udała się do Warszawy. Wtedy Wieniawa powiedział, że sam zorganizuje podróż, aby ojciec nie miał pretensji do córki o niestosowne zachowanie. Dzięki Bogu wszystko zostało tak zorganizowane, że pani Ciano po prostu nie miała czasu na

specjalne „wyskoki”. Dostałem wówczas bardzo ciężki przydział. Ze względu na znajomość z rodziną Ciano, zostałem przydzielony do osobistej opieki nad żoną włoskiego ministra. Nie przyjąłem tego ze zbyt wielką radością. Na szczęście dzięki Wieniawie i warszawskim szwoleżerom wizyta stała się wielkim sukcesem towarzyskim. Niestety jej polityczne konsekwencje były mniejsze.

– Kilka tygodni wcześniej minister Beck powierzył Panu zadanie stałego przebywania w otoczeniu niemieckiej delegacji, która z Joachimem von Ribbentropem przybyła do Warszawy celem przyciągnięcia Polski do współpracy z Hitlerem. Dla Becka było to całkowicie nie do przyjęcia. Jakie wrażenie zrobił na Panu ówczesny szef niemieckiej dyplomacji?

– Pamiętamy doskonale, że wtedy Beck stanowczo odrzucił możliwość współpracy z Niemcami przeciwko Rosji i wykluczył jakiekolwiek koncesje ze strony Polski na rzecz Hitlera. Ribbentrop był w czasie wizyty szalenie buńczuczny, wyniosły, bardzo dbał o protokół. Był to po prostu sługus Hitlera wżeniony w bogatą rodzinę właścicieli winnic, dbający przede wszystkim o swoją karierę. Był to człowiek sprytny, ale znacznie mniej inteligentny niż Ciano. Zresztą był nielubiany w niemieckim MSZ. Był to czysty parweniusz i podobnymi do siebie ludźmi się otaczał. Całkiem innego formatu i klasy był ówczesny ambasador niemiecki w Warszawie – von Moltke. Widzieliśmy czasem, że nie jest mu przyjemnie reprezentować nazistowskie Niemcy.

Wraz z Janem Meysztowiczem mieliśmy polecenie przebywać w gronie delegacji niemieckiej, aby sami nie chodzili. Mieliśmy powstrzymać Niemców przed niewłaściwym zachowaniem. Zdarzył się taki wypadek w „Cafe Club”, gdy jeden z hitlerowców porwał się na jakiegoś Żyda i musieliśmy interweniować, aby nie było awantury, która mogła mieć konsekwencje dyplomatyczne.

– W początkach maja minister Beck wygłosił w Sejmie entuzjastycznie przyjęte przemówienie. Zapewne pamięta Pan ten dzień.

– Oczywiście. Co prawda w Sejmie nie byłem, gdyż nie było tam dla nas miejsca, ale słuchałem transmisji.

Beck nie miał zaufania do zachodnich sojuszników Polski, głównie Fran-

cji. Starał się realizować ideę Marszałka Piłsudskiego i próbował utrzymywać równowagę między Niemcami, a Związkiem Sowieckim. Brak zdecydowanej postawy Francji wiosną 1939 roku, gdy Hitler dokonał zajęcia Nadrenii wprowadzając tam wojsko, wywołał szok w Wehrmachcie. Zaczęła tworzyć się legenda o jego politycznym geniuszu. To było bardzo niebezpieczne. Potem agresywność Hitlera narastała i nie napotykała na przeciwdziałanie mocarstw zachodnich. Anschluss, Monachium, wizyty Chamberlaina w Niemczech. Ponownie osłabiło to pozycję generalskiej opozycji przeciw Hitlerowi, przekonanej, że sprawa Czechosłowacji będzie „casus foederis”.

Był to dla nas bardzo trudny okres. Beck upominał się o kwestię polskiej mniejszości w Czechosłowacji, o Bogumin, Trzyniec. Jednakże wcześniej Edward Śmigły-Rydz, Ignacy Mościcki i Józef Beck chcieli utrzymać Czechosłowację jako taką, nawet okrojoną o Sudety. Wtedy przecież prezydent Mościcki zaproponował Edwardowi Beneszowi w prywatnym liście, który ambasador Kazimierz Papeł doręczył osobiście Beneszowi na Hradczanach, ogłoszenie przez Polskę mobilizacji jak o konsekwencji podobnego kroku dokonanego przez Czechosłowację. Celem takiego kroku miało być ostrzeżenie Niemców, że jest to pierwszy krok do wojny. Benesz poprosił o 24 godziny namysłu, a po 48 godzinach powiedział, że ma gwarancje sowieckie, że nigdy Stalin nie pozwoli na wkroczenie Hitlera do Czechosłowacji. W związku z tym nie widzi potrzeby zrobienia mobilizacji. Wtedy Beck powiedział, że jeżeli nasi sąsiedzi nie chcą się bić to trudno, ale w takiej sytuacji rozpadania się Czechosłowacji jako państwa musimy odebrać to, co utraciliśmy po ataku czeskich wojsk na Zaolzie w 1919, gdzie zdecydowana większość ludności to Polacy.

**– Miał Pan okazję pracować z wieloma wybitnymi polskimi dyplomata-
tami, którzy przed wojną tworzyli nasze Ministerstwo Spraw Zagranicz-
nych. Czy mógłby Pan ich przypomnieć?**

– Nasz MSZ powstał dzięki temu, że wielu Polaków wstąpiło do służby dyplomatycznej odrodzonej Rzeczypospolitej, byli to często ludzie bardzo wybitni np. Skrzyński. Za czasów Becka pojawiły się zarzuty, że jest za dużo ludzi o pięknych nazwiskach. Mówiono, że chodzą tylko na kolacje, spotkania, że nie pracują. To nie było do końca zgodne z prawdą. Przecież szef działu anglo-

saskiego – Józef Potocki – był pierwszorzędnym fachowcem. Jan Szembek miał wielką wprawę, znajomość historii, ponadto był bardzo lubiany przez cały korpus dyplomatyczny. Podobnie jak nasi ambasadorzy, przede wszystkim Edward Raczyński, Roger Raczyński w Rumunii czy Michał Sokolnicki w Ankarze, Tadeusz Romer w Tokio, Wacław Grzybowski w Moskwie. Ci ludzie naprawdę stali na wysokości zadania. Chodziło tylko o to, aby centrala odpowiednio przygotowywała materiały, aby były one na właściwym poziomie. Mając to na uwadze – Beck z dniem 1 lipca 1939 roku mianował swego sekretarza – Stanisława Siedleckiego – szefem personalnym z zadaniem zorganizowania centrali w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

– Wcześniej kierował tym działem zaufany Becka, kpt. Wiktor Tomir-Drymmer.

– Mówiło się, że był „czerwony”, że tępił tzw. „bubków” z MSZ. On był bardzo wymagający, ale wobec mnie był bardzo grzeczny i nigdy nie miałem z nim żadnych kłopotów. Beck przesunął Drymmera do działu konsularnego. Chodziło o to, żeby odmłodzić ministerstwo, pozbyć się trochę starych arystokratów i „pchnąć nowego ducha” – jak się mówiło.

– Powróćmy teraz do wydarzeń bezpośrednio poprzedzających wybuch II Wojny Światowej. Był Pan wówczas od czerwca bezpośrednio przy Becku. Proszę przypomnieć ostatnie tygodnie na Wierzbowej.

– Proszę Pana – to była zupełna mordęga. 6 sierpnia 1939 odbywał się wielki zjazd legionistów w Krakowie. Wtedy miała miejsce awantura w Gdańsku, gdzie prohitlerowski senat Wolnego Miasta występował przeciwko Polsce. Były to kwestie cła, Poczty Polskiej. Wtedy Edward Śmigły-Rydz wbrew radom Francuzów stworzył korpus ekspedycyjny na Pomorzu, aby ewentualnie interweniować w Gdańsku. Zwiększyliśmy załogę Westerplatte, przeprowadzono mobilizację naszej floty. To uspokoiło Niemców z Gdańska, gdyż wciąż nie mieli zapewnienia co do pełnego poparcia Hitlera. Beck czuł, że będzie wojna, lecz miał jeszcze nadzieję, że może drogą pertrakcji uda mu się odłożyć wojnę przynajmniej o rok. Nie miał wątpliwości, że za rok Polska będzie pod względem wojskowym lepiej przygotowana. Nasz przemysł się właśnie „rozkrecał”. W tych dniach byliśmy

do wyłącznej dyspozycji ministra wraz z drugim sekretarzem Domanem Rogoyskim.

Napięcie było ogromne. Ciągłe telefony, interwencje wielkich tego świata – Papież, Prezydent Roosevelt, królowa holenderska – ciągle starali się nie dopuścić do wojny.

– Czy spodziewał się Pan wojny pod koniec lata?

– Byłem tak zajęty pracą codzienną, że nie miałem żadnych wielkich „pomysłów”. Bałem się wojny, bo wiedziałem, że będzie bardzo ciężka do przeżycia. Miałem jak wszyscy nadzieję, że może stanie się jakiś cud i wojna nie wybuchnie. W ostatnich dniach sierpnia trwały ciągłe rozmowy w sztabie i na Zamku. Była przeprowadzona mobilizacja. Warto tu przypomnieć jeden fakt – mało może znany. Beck naciskał na Śmigłego-Rydza, żeby mobilizację przeprowadzić znacznie wcześniej. Marszałek nie chciał zanadto prowokować Hitlera. Przeprowadził co prawda dwie mobilizacje kartkowe w marcu-kwietniu i w czerwcu-lipcu, ale mobilizacji powszechnej nie było. Dopiero w sytuacji powstałej po podpisaniu układu Ribbentrop-Mołotow, Beck postawił kwestię mobilizacji ultimatywnie, myśląc, że może to powstrzyma Hitlera. Marszałek ogłosił mobilizację. I wtedy miała miejsce rzecz, która zdarzyła się w naszej historii dyplomatycznej po raz pierwszy. Dwóch ambasadorów poprosiło jednocześnie o audiencję u ministra Becka – byli to przedstawiciele Francji i W. Brytanii. Normalnie, ambasador prosi sam o audiencję, a tym razem przyszli obaj umówieni. Okazało się, że przyszli prosić o odwołanie mobilizacji, bo to może spowodować wojnę. Beck zadzwonił po mnie i poprosił abym był świadkiem rozmowy. Chciał abym zapamiętał jego odpowiedź. Zaczął mówić: „Przed tym zanim zostałem ministrem spraw zagranicznych, byłem podpułkownikiem artylerii konnej. Na sprawach wojskowych także się znam. Uważam, że mobilizacja jest za późno ogłoszona. Będę się sprzeciwiał panów propozycji, gdyż mobilizacja już jest rozplakatowana. Jeżeli panowie chcą, mogą interweniować u pana Marszałka Śmigłego-Rydza czy Prezydenta. Ja jednakże jestem temu przeciwny i zawiadomię o tym pana Marszałka.”

Ambasadorzy pojechali do Marszałka. Wówczas Beck kazał się połączyć linią „dyktatorską” ze Śmigłym i powiedział: „Panie Marszałku melduję, że dwaj

ambasadorzy są w drodze do Pana z prośbą o cofnięcie mobilizacji. Jestem temu przeciwny”. Jednakże marszałek Śmigły-Rydz zgodził się na ich żądanie i kazał mobilizację wstrzymać. 26 sierpnia ze ścian zdzierano afisze mobilizacyjne.

Fakt ten spowodował szalone zamieszanie mobilizacyjne. 31 sierpnia mobilizacja MSZ była pełna. Część ludzi po prostu przeprowadziła się do budynku ministerstwa, gdzie p. Jadwiga Beckowa zorganizowała wyżywienie. Zapięliśmy na ostatni guzik plany ewakuacyjne korpusu dyplomatycznego. Początkowo były propozycje by przenieść korpus do Nałęczowa, ale zmiana sytuacji na froncie spowodowała także zmianę tego planu i ustalono, że korpus dyplomatyczny ma zostać przeniesiony do Krzemieńca, na Wołyń.

Wieczorem 31 sierpnia Beck wrócił do mieszkania, które łączyło się z biurami. Był strasznie wymęczony. Przeprowadził jeszcze rozmowy z ambasadorami z Londynu i Berlina oraz z posłem Potworowskim ze Sztokholmu. Po rozmowach powiedział do mnie, że położę się w pokoju obok i poprosił jednocześnie, żeby go obudzić, gdyby coś się stało.

O 4 rano, gdy drzemałem przy telefonie, zadzwonił do mnie dyżurujący w centrali ministerstwa radca Jan Wszelaki mówiąc, abym zawiadomił Becka, że wojna się zaczęła. Kilka minut później ogłoszono pierwszy alarm dla miasta Warszawy.

Wszedłem do pokoju ministra, który obudził się gwałtownie, spojrzał na mnie i spytał: „Co, wojna?”

Płk Beck pojechał natychmiast na Zamek i rozpoczęły się dla niego dwa straszne dni. Przecież on gwarantował jako minister spraw zagranicznych, że w razie wojny z Niemcami, Anglia i Francja przyjdą nam z pomocą. Przychodziły tylko wiadomości, że Francja się waha, a W. Brytania sama się do wojny przystąpić nie zgodzi. Nasi ambasadorzy – Juliusz Łukasiewicz i Edward Raczynski robili co mogli, aby rządy sojusznicze przekonać do wypełnienia zobowiązań. Wreszcie 3 września przyszła wiadomość, że jeżeli do 12 w południe wojska niemieckie nie wycofają się z Polski, to wówczas Anglia będzie w stanie wojny z Hitlerem, a 5 godzin później dołączy się Francja. Pojechalśmy do oblężonej poprzez wiwatujących mieszkańców Warszawy ambasady brytyjskiej, gdzie czekał na nas generał Adrian Carton de Wiart. O 17-tej

pojechaliśmy do ambasady francuskiej, gdzie rezydował, bardzo nie lubiący Becka, Leon Noël.

3 września był sukcesem Becka, gdyż mocarstwa zachodnie wypowiedziały w końcu wojnę Niemcom. A to, że nie przysłali nam z realną pomocą – to już nie była nasza, ale tylko ich wina. Przecież w umowie zawartej przez Śmigłego-Rydza z Gamelinem ustalono, że Francja w trzecim dniu po przeprowadzeniu mobilizacji przypuści pierwszą ofensywę przeciw Niemcom. Po 17 dniach wojny z Polską, niemiecki front zachodni miał być zaatakowany przez 90 dywizji angielsko-francuskich...

Przypuszczam, że gdyby Anglicy rzucili swe lotnictwo, a Francuzi wojska lądowe na praktycznie bezbronne zachodnie Niemcy, to Rosja nie weszłaby do wojny. Wojna zaś zapewne zakończyłaby się pod koniec 1939 roku lub na początku roku 1940. Właśnie wtedy mogłoby dojść do ewentualnego buntu generałów Wehrmachtu i admirała Canarisa.

– Wracam do Wierzbowej. Mijają pierwsze dni. Anglicy i Francuzi wbrew deklaracjom nie przybywają z pomocą. Dochodzi więc do ewakuacji ministerstwa i korpusu dyplomatycznego.

– Pierwsza była ewakuacja II działu, administracyjno-gospodarczego, do Nałęczowa. Odbywało się to pociągami i samochodami. Pod bombami. Poma-gałem wtedy moim samochodem przy rozwożeniu rodzin i dzieci. Beck w tym czasie bez przerwy krążył między Marszałkiem, a Zamkiem. To były bardzo trudne dni. Przypomina mi się takie zdarzenie. Było to 1 września, zaraz po telefonie Wszelakiego o niemieckim ataku. Dzwoni znów telefon. Podnoszę słuchawkę, słyszę: „Tu mówi Berlin. Przy telefonie Eugeniusz Lubomirski. Czy mogę przekazać wiadomość...”, i przerwano rozmowę. Sama centrala niemiecka jeszcze nie wiedziała, że jest wojna i połączyła ambasadę z Warszawą.

Wracam do tej samej ewakuacji. Po zagrożeniu stolicy przez dywizje, które przełamały front pod Częstochową/armia „Łódź”, gen. J. Rómmla/, a z Prus Wschodnich szły zagony pancerne, wtedy podjęto decyzję o przeniesieniu siedziby rządu poza Warszawę. Beck, podobnie jak generał Kazimierz Sosnkowski, był wówczas zdania, że należy przenieść wszystkie władze polskie do Lwowa, aby nie rozpraszać się po poszczególnych miastach, co bardzo utrud-

ni łączność. Walorem takiego rozwiązania było położenie Lwowa w bliskości granicy sojuszniczej Rumunii i życzliwych Węgier, skąd istniała możliwość zorganizowania dostaw potrzebnego uzbrojenia. Jednocześnie neutralizowało by to, poprzez obecność wojska polskiego, niezyczliwych Polsce Ukraińców. A wtedy zaczęły się już napady ze strony bojówek ukraińskich na nasze placówki. Była to najlepsza baza operacyjna, amunicyjna i benzynowa. Zdaniem Becka i Sosnkowskiego można się było we Lwowie dość długo bronić przeciwko Niemcom. Śmigły tego nie chciał i namówił rząd, że ma się przenieść, gdzie indziej. Sam przeniósł się ze sztabem do Brześcia, do fortecy. Prezydent pojechał do Radziwiłłów, do Ołyki, nad samą sowiecką granicę. Ministerstwa były w różnych miastach – w Brześciu, Równem, Łucku i Lublinie. Pierwszy rzut ministerstwa przeniósł się do Krzemieńca, gdzie znalazł się także monopol tytoniowy i spirytusowy oraz cały korpus dyplomatyczny. Ministerstwo znalazło się pod tymczasowym władaniem Szembeka, bo sam Beck był w Brześciu. Sytuacja w Krzemieńcu była dramatyczna, gdyż brak było jakiegokolwiek obrony przeciwlotniczej. Był tylko jeden pastuch, który gdy nadlatywały niemieckie samoloty dał w wielką trąbę. Atak niemieckich samolotów spowodował wielkie straty w ludziach, gdyż odbywał się wówczas w Krzemieńcu targ i bardzo to wystraszyło korpus dyplomatyczny przebywający w tym wołyńskim mieście.

Byłem wtedy łącznikiem Becka, więc praktycznie od początku wojny prawie bez przerwy przebywałem w sztabie na Rakowieckiej i byłem w łączności telefonicznej z Ministrem. 6 września Marszałek Śmigły polecił mi zawiadomić mojego Ministra o ewakuacji z Warszawy. W pałacu Brühla zastałem już bardzo niewielu ludzi. Ruszyłem swoim samochodem w kierunku Brześcia, gdzie Niemcy przeprowadzili duży nalot na drogę zawałoną uciekinierami. Na mój samochód spadła bomba, a sam zostałem ranny. Po tych przygodach, zabrany przez ciężarówkę pełną lotników, dojechałem do Brześcia. Odnalazłem Becka, jego żonę, ścisły sztab i radiostację. Było to grono najbliższych współpracowników ministra – W. Drymmer, S. Siedlecki, Paweł Starzeński, Rogoyski i ja, oraz radca Weinstein z radiostacją MSZ i szyframi.

Doszło wówczas do dramatycznej sytuacji. Zadzwoił Szembek, że po nalocie na Krzemieniec korpus dyplomatyczny, wystraszony, chce opuścić Polskę.

Spowodowałoby to trudną sytuację, gdyż wyjazd korpusu dyplomatycznego stworzyłby wrażenie, że w Polsce nie ma rządu. Beck udał się do Śmigłego, gdzie spotkał się z Sosnkowskim i tam ponownie poruszono kwestię przenosin do Lwowa. Sosnkowski zaproponował marszałkowi, że uda się do stolicy by kierować obroną Warszawy, jeśli Śmigły nie chce tego robić. A jeżeli jest to niemożliwe, to prosi o dowództwo Frontu Południowego celem zorganizowania obrony Lwowa. Niestety Śmigły zgodził się na takie rozwiązanie dopiero 11 września. Sosnkowski mający do dyspozycji tylko 2 oficerów dostał na papierze dowództwo frontu południowego, ale w sytuacji gdy armie były już w rozsypane.

– Pan z niewielkimi przerwami był cały czas z Beckiem.

– Tak jest. Nocą pojechalśmy do Krzemieńca, aby uspokoić korpus dyplomatyczny. Tam minister dostał polecenie od premiera, aby się zgłosił wieczorem tego dnia w Ołyce. Były to duże odległości, mosty już były częściowo zerwane, chłopci z widłami bronili tych mostów. Ruszyliśmy bez osłony. Mieliśmy tylko jednego agenta, który przez cały czas z nami jeździł. Ja miałem mój sztucer i rewolwer, Beck miał rewolwer. Byliśmy w mundurach. Ale to dużo nie pomagało. Dojechalśmy do Ołyki o pierwszej w nocy bez świateł, bo był taki rozkaz obrony przeciwlotniczej. Tam już od dłuższego czasu był Śmigły i Składkowski. Odbyła się wtedy zasadnicza rozmowa – co dalej robić? Zapytano Becka jak postąpi Rosja? Czy Rosja przyjdzie nam z pomocą, czy zachowa neutralność?

– Kto o to pytał?

– Prezydent Mościcki. Beck referował na podstawie informacji od ambasadora Grzybowskiego z Moskwy, że poza bardzo małą mobilizacją częściową nie widzi żadnych większych przesunięć wojskowych. Ale tu się mylił. Na naradzie zdecydowano, że Marszałek przenosi się do Włodzimierza Wołyńskiego, Prezydent do Śniatynia, a MSZ pozostaje w Krzemieńcu. Było to w nocy z 9 na 10 września 1939 roku. W Krzemieńcu miało miejsce następujące wydarzenie. Gdy Beck zwołał korpus dyplomatyczny doszło rano do nalotu. Ofiar było bardzo dużo i to wyłącznie wśród ludzi, którzy przyjechali na targ zorganizowany przez tam-

tejszego starostę, aby pomóc w wyżywieniu rzeszy uciekinierów. Po nalocie Beck polecił przenieść wszystkie ofiary niemieckiego bombardowania do klasztoru do Krzemieńca. Następnie kazał nam przyprowadzić wszystkich ambasadorów i posłów do sal, gdzie ci ranni leżeli. Dotychczas ciągle mówiono, że Hitler zobowiązał się wobec Ojca Świętego i prezydenta Roosevelta, że nie będzie bombardował bezbronnych miast. Miało to na celu pokazanie, w jaki sposób Hitler prowadzi wojnę, z czego świat jeszcze nie zdawał sobie sprawy.

Wtedy dziekan korpusu dyplomatycznego – nuncjusz apostolski Filippo Cortesi zobowiązał się, że korpus nie opuści Polski, jak długo w naszych granicach znajdować się będzie rząd.

Wówczas do Becka zgłosił się sowiecki ambasador – Mikołaj Szaronow. Powiedział, że utracił ze względu na niedziałanie telefonów połączenie z Moskwą, że spalił szyfry i nie posiada radiostacji. W tej sytuacji chce pojechać samochodem do granicy polsko-sowieckiej i tam z pierwszego posterunku granicznego połączyć się z Moskwą. Beck wyraził zgodę, upewniając się tylko, czy sama ambasada pozostanie w Polsce. Szaronow zobowiązał się do powrotu za kilka dni, zastrzegając jednak, że decyzja ostateczna zapadnie w Moskwie. Szaronow pojechał zabierając ze sobą płka Jana Kowalewskiego, któremu nie mógł dać wizy. Tenże miał się udać do Rosji celem przeprowadzenia zakupów dla Czerwonego Krzyża. Szaronow oczywiście już więcej nie powrócił.

W nocy przyjechał generał de Foury – szef francuskiej misji wojskowej namawiając Becka, aby przeniósł MSZ i korpus dyplomatyczny z Krzemieńca za Lwów, bo z zachodu idzie dywizja pancerna, która może odciąć Lwów od północy. W czasie tej rozmowy po raz pierwszy podniesiono sprawę tzw. „cas-belge”. Polega to na tym, że rząd nasz mógłby korzystać z „prawa eksterytorialności” u aliantów. Taki precedens zaistniał w czasie I wojny światowej, gdy zaatakowana przez Niemcy Belgia skorzystała z gościnności francuskiej. Król i rząd belgijski kontynuował opór właśnie dzięki takiemu rozwiązaniu.

Beck wezwał ambasadora Noëla i polecił mu aby skontaktował się z premierem Daladier, celem zapytania czy rząd francuski na wypadek katastrofy Polski zechce potraktować Prezydenta i rząd RP podobnie jak Belgów w I wojnie światowej. Noël zobowiązał się skomunikować poprzez konsulat francuski w Czerniowcach i opuścił Krzemieniec.

13 września zadzwonił premier Sławoj-Składkowi z poleceniem opuszczenia naszego miejsca pobytu tj. Krzemieńca. Ruszyliśmy czym prędzej, niemal ścigając się z niemiecką dywizją pancerną w kierunku na Kut. Pierwszymi osobami, które napotkałem w Kutach byli ambasadorzy USA i W. Brytanii. Noël jeszcze nie powrócił. Minister Beck zlecił swemu dyrektorowi gabinetu, aby natychmiast wezwał naszego ambasadora w Bukareszcie, Rogera Raczyńskiego, rodzonego brata Edwarda, by przyjechał do Kut. Raczyński przyjechał spóźniony, gdyż jak tłumaczył, nie mógł dostać sleepingu. Dojechał dopiero 17 września rano.

– Jechał prawie dwa dni.

– Dokładnie półtora dnia, a mógł jechać 6 godzin. Wtedy czekał przebywający cały czas z nami rumuński ambasador Gheorghe Grigorcea. Miał on w imieniu króla i ministra spraw zagranicznych, Grigore Gafencu przedstawić dwie propozycje. Albo tzw. prawo gościnności, polegające na tym, że w czasie wojny możemy tam zamieszkać jako goście narodu rumuńskiego, albo tylko tranzytowy przejazd. Rumunię obowiązywał pakt zaczepno-obronny z Polską, obligujący do wypowiedzenia wojny Rosji na wypadek jej ataku na Polskę. Dowództwo nad obiema armiami miał objąć Marszałek Śmigły-Rydz. Może to był jeden z powodów, dla których Śmigły zdecydował się przekroczyć granicę polsko-rumuńską. Równocześnie przybył transport naszego złota. I powiem szczerze, że byliśmy przekonani, że Rumuni nam to ukradną.

Wówczas to Józef Beck w obecności Michała Łubieńskiego i Rogera Raczyńskiego, przekazał ambasadorowi Grigorcea, że zwalniamy Rumunię z obowiązku wypowiedzenia wojny Rosji. Uczynił to w imieniu Prezydenta i Rządu Rzeczypospolitej. Jednocześnie poprosił o umożliwienie jak najszybszego przekroczenia granicy państwa rumuńskiego i umożliwienie dotarcia do Konstancy, a potem do Francji.

Wiedzieliśmy już, że Francja udzieli nam gościnności, gdyż w końcu poinformował nas o tym Leon Noël/który przekazanie tej informacji celowo opóźniał/. 17 września, już po wkroczeniu wojsk sowieckich, Beck pojechał do Śmigłego do Kołomyi. Po południu spotkała się w Kutach rada Państwa, w czasie posiedzenia której ustalono, że Prezydent wraz z rządem musi jak najszybciej

przejechać Rumunię, póki broni się jeszcze Warszawa. Nie wolno było dopuścić do sytuacji, że nie ma żadnego polskiego rządu. Po Radzie Mościcki podpisał manifest do Narodu o kontynuacji walki i przeniesieniu władz do Francji. Jego tekst powstał na terenie Polski, w Kutach. Tekst ten został doręczony do konsulatu polskiego w Czerniowcach na polecenie Becka. Konsulat manifest rozesłał do wszystkich naszych placówek dyplomatycznych, co później Rumuni potraktowali jako pogwałcenie przez nas ich neutralności.

Wieczorem Marszałek Śmigły-Rydz pożegnał się ze wszystkimi. Wyglądało, że wraca do Kołomyi, aby potem przedrzeć się do generała Sosnkowskiego. Pytał nawet Becka jaką drogą najlepiej jechać. Powiedział, że zadzwoni, kiedy należy przekroczyć granicę i rzeczywiście o 9 wieczorem zadzwonił i powiedział, iż grozi nam ogarnięcie przez sowieckie czołgi. Zorganizowana została kawalkada samochodów i przejechaliśmy wszyscy przez granice.

Beck wysiadł z auta, aby oficjalnie wraz z ambasadorem Grigorcea powitać Prezydenta na pierwszym skrawku terytorium rumuńskiego. Prezydenta zabrał Grigorcea ze sobą, a myśmy pojechali do Czerniowiec. Tam zaprosił min. Becka i jego żonę, rezydent królewski, przedstawiciel króla na Besarabię.

– Zostaliście w piątkę?

– Tak. Minister, jego żona i córka żony z pierwszego małżeństwa oraz Rogoyski i ja. W nocy przyszła dramatyczna wiadomość telefoniczna, że marszałek przekroczył granicę w mundurze. Beck dowiedziawszy się, że mieszka w pałacu biskupa pojechał do niego rano na rozmowę. Nie byłem jej świadkiem, ale słyszałem podniesione głosy. Beck wyszedł, kazał mi ze sobą jechać. Chciał początkowo zwołać korpus dyplomatyczny, lecz Rumuni potraktowali to jako próbę złamania zasady neutralności. W takiej sytuacji Beck postanowił osobiście pożegnać ambasadorów. Pojechaliśmy do nuncjusza oraz do przedstawicieli USA, W. Brytanii, Francji i Turcji. Dowiedzieliśmy się, że jest postawiony pociąg, który ma wywieźć nasze władze, ponieważ robi się coraz ciasniej w związku z napływem uchodźców. W Czerniowcach tłumy były potworne. Nie było pewności czy Rosjanie niespodziewanie nie wejdą do Besarabii. Beck nie zgodził się jechać pociągiem i w dalszą drogę postanowił pojechać swym samochodem. Jeszcze na stację, by pożegnać Prezydenta. Przybył Mościcki, który

zajął miejsce w swej salonce, oraz część rządu, ale bez Składowskiego, który jechał samochodem z częścią ministrów.

Nagle pojawił się marszałek Śmigły ze swoim adiutantem i rumuńskim oficerem łącznikowym. Doszło do scysji słownej, gdyż Śmigły miał pretensje, że nie ma kompanii honorowej, która mu się należy jako Naczelnemu Wodzowi. Beck zwrócił mu uwagę, że to nie jest czas żeby myśleć o takich rzeczach. Wtedy marszałek wszedł do innego wagonu ze swoim otoczeniem i odjechał.

Myśmy tymczasem pojechali samochodem w kierunku Bukaresztu, gdyż uznaliśmy, że naszym zadaniem jest przedrzeć się do polskiej ambasady, która była eksterytorialna. Nagle na drodze widzimy szlaban. Stoi policja. Oficer zaczyna nam tłumaczyć złą francuszczyzną, że sytuacja się zmieniła, że król teraz nie ma czasu przyjąć prezydenta, bo ma inne ważne zajęcia.

Prezydent został przeniesiony do królewskiego zameczku ze swoim najbliższym otoczeniem, natomiast cały rząd ma pojechać w kierunku Slanica-Moldova/to jest taka rumuńska Krynica/, gdzie wtedy było całkiem pusto, żeby odpocząć. Stwarzali pozory, że naprawdę dbają o nas. Żona Becka i ja zaproponowaliśmy: „Panie ministrze nie pchajmy się do Slanica-Moldova, to jest niepewne miejsce. Spróbujmy przedrzeć się szosą, aby się dostać do Bukaresztu, bo tam przynajmniej mając ambasadę z telefonami do dyspozycji można dalej urzędować.

– Czy Rumuni dali państwu policyjną obstawę?

– Tylko jednego podoficera, który siedział przy kierownicy, zupełnie pijany. W końcu przyjechaliśmy do dopiero co otwartego, zresztą dość luksusowego hotelu, ok. godz. 3 nad ranem. Potwornie zmęczeni położyliśmy się spać. Rano budzimy się, a cały teren jest otoczony drutem kolczastym – stoi rumuńska żandarmeria. Chcieliśmy zatelefonować do ambasady w Bukareszcie, ale poczta nas nie łączyła. W Rumunii można wszystko załatwić za pieniądze, więc spróbowaliśmy przekupstwa i udało się połączyć. Ambasada w ogóle nie chciała z nami rozmawiać. Dzwoniłem dwa razy mówiąc kim jestem, a w naszej ambasadzie natychmiast przerywano rozmowę.

– **Czy udało się Panu ustalić kto za to odpowiadał?**

– Przypuszczam, że robiono to na polecenie. Alfreda Ponińskiego, który zastępował Raczyńskiego. Jeśli można tak powiedzieć, to całkowicie odszedł od legalizmu i przeszedł na stronę gen. Sikorskiego.

– **Nie wiedzieliśmy co się dzieje z Prezydentem. Przyjechał do nas przysłany z rumuńskiego MSZ urzędnik, którego zadaniem było niesienie nam pomocy w życiu codziennym. Właściwie Gafencu przysłał go do Becka. Przez niego dowiedzieliśmy się, że marszałek Śmigły został przewieziony do Craiovej, a Prezydent do Bikaz.**

– Pani Beckowa, kobieta o niesłychanej energii, osoba bardzo rzeczowa, wsiadła w samochód i pojechała do Bikaz. Zobaczyła się z Prezydentem i przekazała mu wszystkie wiadomości. Zastała tam już Rogera Raczyńskiego. Okazało się, że Mościckiego też internowano. Działo się to wszystko w sytuacji gdy broniła się jeszcze Warszawa.

Prezydent wykorzystując konstytucyjne prawo, przekazał dekretem swą funkcję Bolesławowi Wieniawie-Długoszowskiemu, naszemu ambasadorowi w Rzymie. Raczyński przywiózł szefa Kancelarii Cywilnej, min. Stanisława Łepkowskiego, do Bukaresztu i stąd wyprawił go do Paryża. Tam z polecenia Becka urzędowało trzech naszych ambasadorów – Edward Raczyński z Londynu, Juliusz Łukasiewicz z Paryża i Bolesław Wieniawa-Długoszowski z Rzymu. Ambasador Lipski z Berlina był wtedy w Kutach. Lipski miał duże przeżycia, gdyż Niemcy nie chcieli wypuścić naszej ambasady z Berlina. Dowiedzieliśmy się tego od Szwedów, którzy od wybuchu wojny reprezentowali nasze interesy w Niemczech. Beckowi udało się zatrzymać drugi eszelon, który wywoził personel niemieckiej ambasady na Litwę. Minister postanowił, że zatrzyma dyplomatów niemieckich tak długo, aż uzyskamy wiadomości, że Lipski i 16 konsulów wyjechało szczęśliwie z Niemiec. Wtedy Niemcy wypuścili Lipskiego i konsulów do Szwecji, skąd ambasador przez Litwę i wschodnią Polskę dojechał, wraz z Wysokim Komisarzem w Gdańsku – Marianem Chodackim, do Kut. Lipski koniecznie chciał zostać w walczącej Polsce, ale minister przekonał go, że bardziej się przyda za granicą. W końcu wstąpił jako szeregowy do wojska we Francji.

– Jak płk. Beck reagował na internowanie go w Rumunii?

– Było to oczywiście wiarołomstwo ze strony naszego dotychczasowego sojusznika. Wobec Becka wysuwane były pretensje ze strony niektórych członków rządu, że temu nie przeciwdziałał. Szczególnie atakował go E. Kwiatkowski i ludzie z grupy „zamkowej”. Bronił Becka oddany mu minister przemysłu, Antoni Roman, który zresztą został przy nim do końca pobytu w Rumunii. Premier Składkowski zachowywał się po swojemu, tzn. rzucał się w prawo i w lewo. Wtedy wszyscy byli załamani, nerwowo wyczerpani.

Beck nie załamał się. Był tylko wściekły, że nie może w dalszym ciągu pracować dla kraju. Dla nas było wiadomo, że zatrzymanie Becka jest wynikiem niemieckiej i francuskiej intrygi. Roger Raczyński, gdy po spotkaniu z nami w Kutach udał się do Gafencu, ministra spraw zagranicznych Rumunii, to zastał wychodzącego stamtąd niemieckiego ambasadora, Wilhelma Fabriziusa. Niemcy „nacisnęli” bardzo bezwzględnie na Rumunię, aby zatrzymała polski rząd i nasze złoto. Złoto udało się wywieźć dzięki łapówce, którą dostał odpowiedni rumuński minister w wysokości 5 milionów lei. Był to minister spraw wewnętrznych, Marinescu. Świetnie załatwił to wówczas Mirosław Arciszewski, który był poprzednim naszym posłem w Bukareszcie. Zresztą przy okazji wywieziono także Fundusz Obrony Narodowej.

– Powróćmy jednak do rumuńskiej Krynicy...

– Rada ministrów ciągle się zbierała, bo przecież nie mieli nic do roboty. Dyskutowano nad różnymi pomysłami ucieczek. Wszystko to było trochę niepoważne. Aż przyszła wiadomość, że S. Łepkowski dojechał do Paryża. Tam nasi ambasadorowie zdecydowali, żeby podać nazwisko generała Wieniawy-Długoszowskiego, który się zgodził objąć urząd prezydenta RP. Jednak po 24 godzinach rząd francuski bardzo zaingerował w nasze sprawy wewnętrzne stwierdzając, że tego prezydenta oni nie będą uznawali. Była to rzecz niedopuszczalna. Anglia wtedy uważała, że naszą sprawą jest, kto będzie głową Państwa Polskiego. Francuzi postawili w tym czasie na generała Sikorskiego. W nim widzieli głównego rzecznika spraw polskich. Wieniawa zrezygnował i akurat pojawił się w Paryżu Władysław Raczkiewicz. Człowiek z bardzo dużą klasą, świetnie się prezentujący. Była to jedyna kandydatura, bo o Sosnkowskim nie

wiedziano, gdzie się znajduje. Raczkiewicz przyjął prezydenturę warunkowo, do czasu pojawienia się we Francji Sosnkowskiego, zaś Juliusz Łukasiewicz mianował generała Sikorskiego dowódcą pierwszej dywizji na Zachodzie.

Wieniawa wrócił do Włoch. Kiedy 10 czerwca 1940 roku Italia przystąpiła do wojny po stronie Niemiec, Wieniawa otrzymał od rządu włoskiego cały pociąg, do którego załadował wszystkich Polaków, którzy chcieli opuścić Włochy i wywiózł ich przez Hiszpanię do Portugalii. Tam zgłosił się do wojska. Sikorski nawet na to nie odpowiedział. [...]

– Wróćmy może do Rumunii, gdzie Pan nadal jest jednym z internowanych.

– Tak, ale w bardzo luksusowych warunkach. Raczkiewicz po objęciu funkcji prezydenta udzielił dymisji rządowi Sławoja-Składkowskiego. Śmigły-Rydz zrezygnował ze swoich funkcji. W tym samym czasie uformował się rząd Sikorskiego. Przyjechał do Paryża Sosnkowski, lecz nie zgodził się zostać prezydentem, uważając, że ciągłe zmiany na tym stanowisku byłyby niepoważne.

Ministrowie zatrzymani w Slanica od tego momentu stali się ludźmi prywatnymi. W związku z tym powinni mieć prawo do natychmiastowego opuszczenia Rumunii. Władze rumuńskie podjęły decyzję o kolejnym przeniesieniu internowanych, tym razem na południe Rumunii. Podstawiono cały pociąg. Dla ministra Becka Gafencu przysłał salonkę. Beck nie zgodził się do niej wsiąść. Nie wiedzieliśmy dokąd nas wiozą. Nagle na małej stacyjce koło Bukaresztu pociąg się zatrzymuje. Wyglądam przez okna i widzę, że stoi min. Gafencu i ambasador Roger Raczyński. Gafencu od czasu, gdy przekroczyliśmy granicę, nie chciał się nawet telefonicznie z nami porozumieć. I oto pojawia się niespodziewanie. Beck wysiada z wagonu. Gafencu podchodzi i pyta czy może Becka prosić o chwilę rozmowy. Stoi przy nich R. Raczyński. Wówczas Beck mówi: „Najwyższy czas, żeby pan ambasador nawiązał ze mną kontakt. Gdy byłem ministrem był to pana obowiązek, niestety pan tego nie wykonał.”. Raczyński cały się zaczerwienił. Następnie wsiedli do samochodu i pojechali. Myśmy czekali na stacji. Nagle widzimy, że salonkę Gafencu odczepiają od pociągu. Od kilku dni poważnie obawialiśmy się, że Niemcy porwą Becka. Zawołałem wtedy do żony Becka, do Siedleckiego i Rogoyskiego, żebyśmy się natychmiast przenieśli

do salonki, aby Beck nie był sam. Dołączyli do nas Jadwiga Grabowska, sekretarka, siostra Rogoyskiego, płk. Sokołowski, P. Starzeński. Wszyscy wsiedliśmy do salonki. Po chwili Beck przyjeżdża, żegna się z Gafencu i widzi, że pociągu już nie ma, a salonka stoi sama. Rumuński minister powiedział, że nie chciałby, aby Beck był z całym rządem i dlatego kieruje go do ciekawszej części kraju. Gafencu tłumaczył Beckowi jak wielkie naciski wywiera na niego strona niemiecka i francuska. Rumun się bardzo grzecznie pożegnał, a my udaliśmy się do Braszow, gdzie czekała na nas bardzo silna obstawa, rzekomo dla bezpieczeństwa ministra. Portierem w hotelu, gdzie nas zatrzymano, był sympatyzujący mocno z nami Węgier. Dzwonił do mnie i mówił, że oficerowie francuskiej „dwójki” mieszkają w takim to a takim pokoju. Poza Francuzami pilnowała nas także polska „dwójka”, żebyśmy nie uciekli. Ponadto pilnowali nas jeszcze Niemcy. Ciekawy był to zestaw strażników. Ilekroć Beck wychodził do łazienki to zawsze szło za nim dwóch agentów, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie ucieka. Nie wolno było wychodzić z hotelu na ulice. Warunki mieszkalne i żywnościowe były bardzo dobre, ale siedzieliśmy w złotej klatce. Można było telefonować, ale tylko do Rumunii. W końcu pojechałem z Beckową samochodem do Bukaresztu. Z trudnością dostałem się do naszej ambasady, która była oblężona przez tysiące Polaków. Poprosiłem o rozmowę z Rogerem Raczyńskim. Poniński do rozmowy nie chciał dopuścić. W końcu Beckowa zażądała bezpośredniej rozmowy z Raczyńskim, który chciał by przy spotkaniu był obecny A. Poniński. Na co żona Becka powiedziała, że przyjechała na rozmowę tylko z R. Raczyńskim. Dopiero wtedy Poniński odszedł. Beckowa zgłosiła wszystkie pretensje jakie miała do ambasadora, m.in. że nie naciskał na Rumunów, zwłaszcza teraz, gdy byli członkowie rządu są osobami prywatnymi.

W tym okresie przyjechał do Braszow turecki ambasador przy rządzie RP - Cemal Hüsnü Taray. Zakomunikował, że mówi w imieniu władz tureckich i pragnie się dowiedzieć czy minister Beck zgodzi się, aby rząd turecki zorganizował dla niego ucieczkę z Rumunii. Beck był bardzo wzruszony propozycją. Odparł, moim zdaniem zbyt lojalnie, że nie może wyjechać dopóki w Rumunii jest prezydent Mościcki. Przyznał, że ucieknie z radością, ale prosi by zawiadomił ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego, że rząd turecki chce ułatwić Beckowi ucieczkę. Jednakże A. Zaleski w imieniu rządu sprzeciwił się

tym planom władz Turcji. Taray powrócił z powrotem. Wezwał mnie do Bukaresztu i powiedział: „Wstydzę się jechać do ministra Becka, ale niestety dostałem ustną odpowiedź negatywną. W tej sytuacji rząd turecki nie może działać wbrew uznawanym przez siebie władzom polskim.”.

– W tym czasie miałem o tyle korzystną sytuację, że w czasie pobytu w Polsce syna króla Rumunii, opiekowałem się następcą tronu. Dostałem wtedy jakiś rumuński order. Na znak protestu przeciwko decyzji internowania odeśłaliśmy z Beckiem nasze order. Mimo tego chciałem utrzymać jakieś stosunki z królem, więc zgłosiłem się przez mojego znajomego i zostałem przez króla przyjęty. Przedstawiłem sytuację w jakiej znalazł się Beck i poprosiłem o prawo swobodnego poruszania się po całym terytorium Rumunii, w związku z moimi obowiązkami społecznymi. Poprosiłem o „żelazny list” podpisany przez Jego Królewską Mość dający mi takie prawo. Król poprosił mnie o oficerskie słowo,/które oczywiście dałem/że nie ucieknę. Tak otrzymałem „list żelazny” ułatwiający mi poruszanie się po całym kraju. Mogłem dzięki temu jeździć od obozu do obozu. Szmuglowałem różnych oficerów, a nawet pojechałem na Węgry, gdy dowiedziałem się, że przyjechał mój brat. Tam mnie aresztowano i osadzono w więzieniu. Stało się to na skutek donosu, że przyjechałem z jakąś misją specjalną. Miałem jednak szczęście, gdyż dowiedział się o tym, że siedzę syn admirała Horthy’ego, którego znałem, gdyż konsultowałem się z nim kiedyś jak postępować z Eddą Ciano. Po trzech dniach pobytu w więzieniu w Budzie, w nocy przychodzi do mojej celi i pyta: „Lulu, co Ty tu robisz?” Na co odpowiadam: „To ja mogę spytać. Przyjechałem z oficjalną wizytą, a wasza żandarmeria zaaresztowała mnie w hotelu. Mam paszport dyplomatyczny i waszą wizę. Chciałem odwiedzić mego brata i zająć się sprawami polskich uchodźców. Nie mam tu żadnej misji politycznej.”. Na to Horthy: „Uzyskałem od ojca pozwolenie, żeby ciebie wypuścić. Na dole stoi mój samochód z adiutantem, który odwiezie Cię na granicę węgiersko-rumuńską. W samochodzie jest też twoja walizka. Wyjeżdżaj i nie wracaj, bo drugi raz nie będę mógł Ci pomóc.”. Dalej więc jeździłem tylko po Rumunii i pomagałem Beckowi.

– Czy pułkownik ochłonął po wydarzeniach z września?

– Tak. Zaczął dyktować pamiętniki. Po dymisji rządu wszyscy, razem z Beckiem, zgłosiliśmy się do wojska. Dostaliśmy odpowiedź, że mamy pozostać w Rumunii, gdyż we Francji jest za dużo polskich oficerów. Użyto nawet słów, że jest zbyt mała ilość kamieni we Francji, by ukamienić członków rządu polskiego sprzed września.

– Nagle dostałem list od attaché wojskowego w Bukareszcie, ppłk. Tadeusza Zakrzewskiego, który przeszedł całkowicie na stronę Sikorskiego, że mam natychmiast przyjechać do Bukaresztu. Przybywam natychmiast, melduję się i słyszę, że zostałem powołany do czynnej służby w wojsku jako podporucznik rezerwy. Był to marzec 1940. Zaoponowałem, mówiąc, że jest na miejscu minister Beck, którym się opiekuję. Na to ppłk Zakrzewski, że moim obowiązkiem jako porucznika jest służba w wojsku. Powiedziałem, że muszę spytać o pozwolenie mojego szefa. T. Zakrzewski stwierdził, że to moja sprawa, lecz gdybym nie wstąpił do armii jako powołany oficer, to złamię polskie prawa i będę dezertorem. Powróciłem do Becka, który powiedział mi: „Mój drogi chłopcze/ traktował mnie trochę jak syna/, Twoim obowiązkiem jest służyć w armii. Ja dam sobie radę.”.

Po tej rozmowie pojechałem do Bukaresztu. Poszedłem do króla. Tam zameldowałem, że proszę o zwolnienie mnie ze słowa honoru polskiego oficera i zwracam jednocześnie „list żelazny”, gdyż muszę udać się na takie rozwiązanie.

Potem wróciłem do Braszow. Pożegnałem się z Beckiem. Przy ministrze został Doman Rogoyski, który nie służył w wojsku. Zmieniłem wygląd, zapuściłem wąsy i ruszyłem do Jugosławii, do naszego posła w Belgradzie, Dębickiego. Przed wyjazdem Beck prosił mnie, bym pojechał przez Jugosławię i Grecję, gdyż tam trzeba zorganizować sieć przerzutową na wypadek, gdyby Włosi uniemożliwili Polakom przejazd przez swój kraj.

Z Belgradu pojechałem do Salonik, gdzie został wcześniej wysłany mój kolega, by torować w Grecji drogę przerzutu. Z Salonik, udałem się samolotem do okupowanej przez Włochów Tirany i stamtąd dotarłem do Rzymu. Zgłosiłem się do ambasadora Weniawy. Ambasador bardzo się ucieszył i mówi, że jest do mnie depesza od pani Beckowej. „Odradzam wjazd do Francji, gdyż

zaaresztowano twojego brata, a ciebie spotka podobny los”. Pokazuję depeszę Wieniawie i pytam co mam robić. Generał powiedział: „Twoim obowiązkiem jest jechać do wojska, gdyż jesteś tam wezwany. Co się z Tobą stanie to jest ich sprawa, ale Ty musisz wykonać swój obowiązek. Zostaw mi tylko swoje oświadczenie, że wiesz co Cię we Francji czeka. Chcę to mieć, żebym mógł interweniować.”.

Mojego najstarszego brata – Jerzego, aresztowano pod zarzutem szpiegostwa. Wraz z kilkoma ludźmi pochodzenia nie polskiego przedarli się z Węgier do Francji i wstąpili do wojska. Faktyczne pretensje francuskie do mego brata brały się stąd, że pewnego razu sekretarz ambasady francuskiej źle się zachował wobec pewnej pani, która na balu towarzyszyła memu bratu. Brat palnął go w mordę. Sekretarza odwołano z trzaskiem. I oto w Paryżu zobaczył on mego brata w mundurze i oskarżył go, że dowiózł do Francji dwóch szpiegów – Liechtensteina i Eickmanna. Była to oczywiście nieprawda.

– Jego małżeństwo było bardzo udane. Jadwiga Beckowa, osoba bardzo przystojna, energiczna, była bardzo opiekuńcza wobec męża. Minister lubił bardzo czerwone wino, ale nic poza tym. Żona ministra była dobrym partnerem w jego pracy. Była mu bardzo oddana do końca życia. Robiła wszystko, żeby mu to życie ułatwić. Zwłaszcza w ostatnich latach. Podobnie przywiązana do ojczyma była pasierbica. [...]

– Może jeszcze spróbowałby Pan ocenić swego szefa. Był postacią często atakowaną w Europie.

– Przede wszystkim był bardzo niepopularny w Polsce. Aż do majowej mowy z 1939 roku. Wiedział doskonale, że jest nielubiany. Był strasznie atakowany ze wszystkich stron. Głównie za Zaolzie. Pomawiano go, że jest płatnym agentem Niemiec, że zanadto się kłania Hitlerowi. Natomiast sam Beck był szalenie twardym człowiekiem. Uważał, że realizuje idee i intencje Marszałka Piłsudskiego. Miał pewne słabości, gdyż zanadto chciał reprezentować Polskę jako mocarstwo, czego ja nie uważam za złe. Uważam go za jednego z wielkich mężów stanu. Beck zbyt ufał Anglii. Gdy Anglia zwróciła się o podpisanie przymierza, odetchnął. Powiedział: „Teraz będziemy mieli alianta z prawdziwego zdarzenia”.

– A jaki był w codziennej pracy?

– Był człowiekiem niesłychanie uczciwym. Stał ponad sprawami prywatnymi. Miał kilku bliskich współpracowników, którym ufał. Należeli do nich: „szef gabinetu – Michał Łubieński i Jan Szembek, wiceminister, którzy dobrze go uzupełniali. Szembek zajmował się kontaktami z ambasadami, poselstwami. To był doświadczony, wytrawny dyplomata. Beck natomiast zajmował się sprawami ogólnymi. Był niesłychanie twardy. Gdy tylko wyczuł, że jest jakiś atak na Polskę, wówczas bardzo zdecydowanie bronił naszego dobrego imienia. Ubóstwiał Piłsudskiego, wiedząc, że był jego pupilkiem. Po prostu pragnął wykonać wszelkie zalecenia, które przekazał mu Komendant. Bardzo go zaboląła śmierć pułkownika Walerego Sławka, gdyż miał przekonanie, że na nim może się oprzeć.

Beck miał mało do czynienia z personelem. Dla mnie był ojcowski. Wymagał służby, ale przecież siebie nie żałował zupełnie. Był bardzo ludzki, nawet serdeczny. Gdy po jego majowym wystąpieniu sejmowym zaczęła spływać do nas lawina listów gratulacyjnych z całej Polski: „Widzi Pan – powiedział do mnie – nagle zrobiłem się popularny, co nie jest dobre.”. Jak pojechaliśmy do Krakowa, na zjazd Legionistów, wówczas bardzo wiwatowano w czasie jego przejazdu do kasyna. Wtedy Beck pokręcił tym swoim dużym nosem i znowu powiedział: „Niedobrze Lulu, jestem za bardzo popularny.”. Takiej popularności nie lubił.

– Chciałbym powrócić do Pana losów. Przyjeżdża Pan do Francji.

– Tak. Dotarłem do Francji, lecz nienormalną drogą. Stało się to dzięki kwestorowi Włoch. Gdy przyszedłem się z nim pożegnać, powiedział mi: „Słyszałem, że zamierzasz pojechać do Francji. Ty byłeś zawsze nam życzliwy, zawsze nam pomagałeś, więc pozwól, że zrobię ci w imieniu rządu włoskiego prezent.”. Otworzył biurko i wyjął bilet kolejowy I klasy – sliping. Powiedział: „Jedź do Paryża nie przez Ventimiglię, a przez Genewę. Nie zatrzymuj się po drodze. Masz przecież paszport dyplomatyczny.”. Gdy się opierałem przed przyjęciem biletu, kwestor przekonał mnie bym przyjął ten gest ze strony rządu Włoch. I tak wyjechałem, po pożegnaniach, z Italii.

Na granicy włosko-szwajcarskiej budzi mnie konduktur i mówi, że oficer

szwajcarski chce się ze mną zobaczyć. Przyszedł oficer i powiedział, że moja wiza jest nieważna ponieważ jest wystawiona w Bukareszcie, gdzie szwajcarski konsulat przekroczył swe uprawnienia i wszystkie wizy zostały unieważnione. Po rozmowie oficer ostatecznie wydał zgodę na mój przejazd. Dojechałem do Paryża. Tam zgłosiłem się do koszar Wojska Polskiego z moją książeczką oficerską. Wręczono mi pierwszy miesięczny żołd i wskazano miejsce w koszarach.

Wychodzę przed koszary i przypadkiem spotykam na ulicy żonę attaché brytyjskiego w Warszawie, słynną panią Norton, której mąż Clifford był bardzo nam życzliwy. Pani Norton była zakochana w Polsce i bardzo nam pomagała w pracy społecznej na terenie Węgier i Rumunii. Bardzo mnie to spotkanie ucieszyło. Gdy dowiedziała się, że na razie nie mam gdzie mieszkać, to zaprosiła do zamieszkania w pustej ambasadzie angielskiej w Paryżu. Wróciłem do koszar, gdzie podałem mój adres – od tej pory w ambasadzie angielskiej. Trochę trwało, zanim moje papiery przeszły z koszar do słynnej „Reginy”. Nagle dowiaduję się, że podporucznik Ludwik Łubieński jest w Paryżu i na dodatek mieszka w ambasadzie angielskiej, podczas, gdy w Ventimiglia było polecenie by mnie tam zatrzymać. Nie czekało mnie nic miłego. Miano mnie przesłać do obozu, taki rodzaj francuskiej Berezy, oczywiście prowadzonej przez Polaków dla Polaków. Miałem być ulokowany wraz z Michałem Łubieńskim, którego tam osadzono.

Od tego momentu zaczęły dziać się ze mną różne dziwne rzeczy. W końcu, aby się mnie pozbyć z Paryża, abym nie robił zbyt dużo szumu wokół Becka, skierowano mnie do Vichy, do tzw. Legii Oficerskiej. Pojechałem tam, a że mówiłem płynnie po francusku, więc przydałem się jako tłumacz dowództwa. Jeśli chodzi o sprawy wojskowe to właściwie nic nie robiliśmy. Po prostu bardzo się nudziliśmy.

– Po klęsce Francji ewakuował się Pan do Wlk. Brytanii. Służył Pan pod dowództwem gen. Regulskiego, Bohusza-Szyszki, Kukiela i Maczka. Nie udało się Panu wrócić na stałe do służby dyplomatycznej mimo interwencji ministra spraw zagranicznych Edwarda Raczynskiego. W marcu 1943 został Pan mianowany Szefem polskiej misji morskiej w Gibraltarze...

– Pojechałem do Gibraltaru. Tam okazało się, że cała misja składa się z dwóch ludzi. Ze mnie i jednego kaprała, narodowości żydowskiej.

– Placówka w Gibraltarze miała do spełnienia specjalne zadania. Czy mógłby Pan o tym opowiedzieć?

– Placówka powstała w celu zorganizowania przerzutu polskich oficerów i żołnierzy do armii. Przede wszystkim z Francji południowej. Początkowo prowadziła to marynarka wojenna. Mieliśmy dwa stateczki, które z francuskich plaż odbierały czekających ludzi. Część Polaków w obawie przed zajęciem całej Francji przez Niemców przedostało się do Algieru i Oranu, początkowo jako Legia Cudzoziemska lub w jakiś inny sposób. Ich także szmuglowało się do Gibraltaru. Po pewnym czasie Hiszpanie zorientowali się, że alianci będą zwycięzcami i trzeba być w dobrych stosunkach z Anglikami. Zmienili swoje postępowanie.

Masa Polaków była szmuglowana przez Hiszpanię z Francji. Często wpadali w ręce policji hiszpańskiej. Osadzano ich w obozie, co prawda nie koncentracyjnych, ale o bardzo ostrym reżimie, w Miranda del Ebro. Tam było przez pewien okres czasu do 5000 Polaków, ale także ludzie innych narodowości. Jednak głównie Polacy. Hiszpania nie chciała ich wypuścić, a Portugalia nie chciała przyjąć.

Wtedy nasz rząd przygotował umowę z Paragwajem i Urugwajem, przewidującą, że te kraje dadzą wizy pobytowe naszym ludziom przebywającym w Hiszpanii. Dołączono do tego tajny protokół, że żaden z Polaków z tego prawa nie skorzysta. Wówczas nasze poselstwo w Madrycie zaczęło wydawać paszporty. Hiszpanie to uznawali i na podstawie posiadanej wizy pobytowej z Urugwaju lub Paragwaju wydawali wizę tranzytową. Po stronie portugalskiej czekał mój kolega, Zbigniew Błażyński, który organizował przerzut przez południową Portugalię i wioził do małego portu Villareale. Wtedy wysyłałem po nich statek z Gibraltaru, zabierałem ludzi, w Gibraltarze rejestrowałem, mundurowałem i czekałem na możliwość transportu do armii.

– Czy Niemcy przeciwdziałali?

– Niemcy o tym wiedzieli, ale nie mieli możliwości przeciwdziałania. Mieliśmy wokół wielu życzliwych Francuzów. Północna Afryka była w rękach Petaína. Istniała tam co prawda komisja niemiecka, ale nie była ona w stanie kontrolować sytuacji tak, jak i w samej Francji. W czasie swojej misji wyprawiła ok. 4500 Polaków jako uzupełnienie dla naszego wojska.

– Przebywając na plecówce w Gibraltarze starał się Pan pomóc płk. Beckowi w wydostaniu się z Rumunii. Poznał Pan wówczas gen. W. Sikorskiego. Był Pan świadkiem tragicznej katastrofy 4 lipca 1943...

– W dalszym ciągu starałem się poprzez Anglików, o wyciągnięcie Becka z Rumunii, widząc, że jest on ciężko chory. Pojawiła się nawet obawa raka gardła. W takiej sytuacji Anglicy chcieli koniecznie go ratować. W pewnym momencie nacisnęli na rząd polski w Londynie, nawet dali paszport angielski dla Becka i pieniądze, żeby go wykupić. Rząd polski musiał posłuchać Brytyjczyków. Ambasador w Bukareszcie Roger Raczyński dostał polecenia, by ułatwić Beckowi ucieczkę z Rumunii. Niestety oddał to w ręce ppłk Zakrzewskiego, który robił wszystko, by do ucieczki nie dopuścić i sprawą zajął się pan Bronisław Kuśnierz, delegat Stanisława Kota, który naturalnie ucieczkę zorganizował, lecz w taki sposób, aby nie mogła się udać. Dowiedziało się o tym gestapo i policja rumuńska. W momencie, gdy Beck przesiadał się do innego samochodu, aby uciec w kierunku granicy jugosłowiańskiej, został zatrzymany. Siedział 3 dni w areszcie.

Beckowa go z tego aresztu wyciągnęła. Od tego momentu grał w brydża i modelował statki. Do końca pozostali przy nim – żona, Doman Rogoyski oraz minister Antoni Roman z małżonką.

– Wracając do Gibraltaru. Spotkał się Pan z generałem Sikorskim. Był Pan ostatnim człowiekiem, który widział Generała przed tragicznym wypadkiem, 4.07.1943.

– Generał Sikorski jechał na Bliski Wschód, by inspekcjonować wojska generała Andersa, ponieważ przychodziły wiadomości, głównie od pana Kota, że w armii jest bunt przeciwko Sikorskiemu. Początkowo Sikorski posłał gen. Tadeusza Klimeckiego, swego szefa sztabu, by zorientował się w sytuacji. Klimecki nie potwierdził informacji Kota, jednakże stwierdził, że dobrze byłoby, aby Sikorski przyjechał i ostatecznie rozmówił się z generałem Andersem.

Sikorski podjął decyzję o wyjeździe. Po raz pierwszy nie pojechał z nim Józef Rettinger, co jest dość ciekawe. Natomiast pojechała córka generała, by opiekować się ojcem.

Przyjechali do Gibraltaru. Gubernator, który znał Sikorskiego jeszcze z Mo-

skwy, pan Mason Farlane, przyjął go niesłychanie gościnnie i dał mu mieszkanie w pałacu gubernatorskim. Jako gospodarz zajmowałem się Sikorskim i jego otoczeniem.

Zdałem Generalowi raport, jak postępuje ewakuacja. Akurat miałam załadowanych na statek ok. 180 żołnierzy, którzy byli w drodze do Anglii do wojska. Zaproponowałem Sikorskiemu spotkanie z żołnierzami. Sikorski chętnie się zgodził, więc zorganizowałem motorówkę i pojechaliśmy na statek. Potem w związku z ładną pogodą Sikorski zaproponował mi wspólny spacer.

Usiedliśmy. Zdaje sprawę z ewakuacji, a Sikorski patrząc na mnie mówi: „No, panie poruczniku, pan miał różne przykrości z powodu lojalności wobec pana Becka. Zapomnijmy, że ja jestem Naczelnym Wodzem, a pan jest podporucznikiem i pomówmy jak Sikorski z Łubieńskim. Jakie jest pana zdanie o panu Becku?”

Odpowiedziałem: „Panie generale, bardzo się cieszę, że mam okazję porozmawiać o tej sprawie. Moim skromnym zdaniem minister Beck był wybitnym mężem stanu. Jemu w dużej mierze zawdzięczamy, że ostatecznie do wojny weszła Anglia i Francja, że teraz jesteśmy w Anglii i możemy tam mieć rząd Niepodległej Polski. I w dalszym ciągu uważam, że stało się bardzo źle, że Beckowi uniemożliwiono ucieczkę z Rumunii.”. Na zakończenie popełniłem gafę mówiąc zbyt ostro: „Kiedyś panie generale historia oceni tych ludzi, którzy spowodowali, że Becka zatrzymano wbrew jego woli w Rumunii.”.

Na to Sikorski wstał gwałtownie, zrobił się czerwony na twarzy i powiedział: „Pan obraził majestat Rzeczypospolitej w mojej osobie.”. Adiutant Ponikiewski do mnie: „Postawię pana przed sądem wojskowym za obrazę majestatu Rzeczypospolitej Polskiej.”. Stałem na baczność. Nic nie mówię. Ponikiewski podchodzi wolnymi krokami, widząc co się dzieje.

Sikorski patrząc na mnie mówi nagle: „Cóż, był pan taki wygadany, a teraz zamknął pan usta i ani słowa nie mówi?” – „Panie generale, ja nie mam nic więcej do powiedzenia. Była umowa, że mam rozmawiać z Sikorskim jako Łubieński. To jest zdanie Łubieńskiego i czy to się podoba Sikorskiemu czy nie, to jest pana generała sprawa, a nie moja. Ja powiedziałem to co uważam. Zreflektowałem się w tym momencie Generał: „Przepraszam pana, zapomniałem o naszej umowie. Mamy jeszcze czas, więc siądźmy i porozmawiajmy o szczegółach.

Dlaczego pan tak sądzi i kogo pan głównie obwinia o całą akcję uniemożliwienia ucieczki Beckowi.” – „Mogę podać panu generałowi wszystkie szczegóły, których pan generał nie zna. Ale zapewne i gen. Izydor Modelski i Stanisław Kot, którzy są w pana generała najbliższym otoczeniu bardzo w tym zawiniли. Szczególnie Kot, który zrobił wszystko, by Becka w Rumunii zatrzymać. Dał nawet polecenie swoim delegatom w Rumunii, aby w sytuacji, gdy była organizowana ucieczka przez rząd pana generała i za jego zgodą ją uniemożliwić. Co się stało. Mam na to dowody, że plan ucieczki zdradzono Rumunom.”. Sikorski odpowiedział: „Ja się teraz namyślę. Jadę na Bliski Wschód, po powrocie pewnie się zobaczymy i porozmawiamy. A teraz, żeby panu wynagrodzić to, co pan do tej pory ucierpiał mianuję pana z dniem dzisiejszym porucznikiem”. Powrócił i zawiadomił gubernatora Gibraltaru, że awansowałem.

– Był Pan w dobrych stosunkach z gubernatorem?

– Tak, w bardzo dobrych. Wszystko mu zameldowałem, co powiedział Sikorski. Po 6 tygodniach przyszła depesza szyfrowa, że generał Sikorski w drodze powrotnej jedzie przez Gibraltarc, że jest zmęczony i zapytuje o możliwość noclegu. Przerwał swój urlop na skutek wezwania przez Churchilla. Było to typowe dla generała Sikorskiego. Żadnego wezwania Churchilla nie było. Był po prostu grzeczny list wyrażający zadowolenie przebiegiem inspekcji generała na Wschodzie.

Wtedy wezwał mnie do siebie gubernator Gibraltaru i powiedział, że ambasador Iwan Majski właśnie jedzie przez Kair do Moskwy i prosi go o nocleg w Gibraltarc. Spytał mnie co ma zrobić, mając w tym samym czasie pod jednym dachem Sikorskiego i Majskiego. – „To zależy od Pana, Ekscelencji. Kogo Pan woli?” – „Pan dobrze wie, kogo wolę. Rosjan nie lubię, zaś Sikorskiego i Polaków bardzo cenię. Ale jak mam to podać do Londynu nie zdradzając tajemnicy służbowej.”.

Zaproponowałem wówczas następujące rozwiązanie. Przekonałem gubernatora by powiadomił Londyn, aby Majski ze względu na bezpieczeństwo leciał z Londynu do Gibraltaru w nocy i wtedy mógłby przylecieć nad ranem 4 lipca, trochę odpocząć i za dnia polecieć dalej, przez Maltę do Egiptu. Dzięki temu będzie można uniknąć wzmianek o Sikorskim.

Gubernator zrobił tak, jak mu poradziłem i po pewnym czasie przyszła odpowiedź od Majskiego, w której sowiecki ambasador podziękował za życzliwość ze strony brytyjskiego gubernatora i że decyduje się przylecieć nocą.

Myśmy mieli uprzedzić generała Sikorskiego i jego otoczenie, by zostali w swoich pokojach przez całą noc, aby nie doszło do kontaktu z Rosjanami. Majski miał w ogóle nie wiedzieć, że Sikorski jest w Gibraltarze.

3 lipca o czwartej po południu spotkaliśmy się z Sikorskim na lotnisku. Przyleciał nowy „liberator”, wiozący Generała wraz z jego otoczeniem. Świetny czeski pilot doskonale wylądował na bardzo ciężkim lotnisku gibraltarskim. To było lotnisko o bardzo krótkim pasie startowym, na którym mogli lądować tylko bardzo doświadczeni piloci. Dopiero w następnych latach zostało przedłużone.

Przywitaliśmy Sikorskiego i udaliśmy się samochodem do pałacu. Gubernator zwraca się do Generała: „Mieliśmy w Łubieńskim trochę kłopotu, bo równocześnie prosił o nocleg w moim domu ambasador Majski. Nie chcąc, żeby się Panowie spotkali pod moim dachem, urządziliśmy to inaczej.”.

Sikorski na to, jak zawsze, obruszył się i powiedział: „No to może ja przeskadzam swoją osobą. Tylko nabiorę benzyny do samolotu i zaraz lecę do Londynu.”. Gubernator zaczął tłumaczyć, że wszystko jest załatwione i nie dojdzie do spotkania z sowieckim ambasadorem. Dowódca lotnictwa brytyjskiego dostał polecenie jak najszybszego wyprawienia Majskiego do Egiptu.

I rzeczywiście udało się to załatwić. Na lotnisku stały skrzydło w skrzydło dwa samoloty/Majskiego i Sikorskiego/. Przez cały czas były bardzo dokładnie pilnowane przez angielskich żołnierzy, zaś w samolocie był bez przerwy członek ekipy. Nie było możliwości przedostać się z jednego samolotu do drugiego.

Warto dodać, że wraz z Sikorskim przyleciał szef Intelligence Service na obszar Morza Śródziemnego ze swym zastępcą, korzystający z okazji, że do Londynu leci Sikorski. Postanowili oni użyć tego najbezpieczniejszego w tym momencie samolotu w rejonie Morza Śródziemnego.

Wieczorem Generał wraz ze swym otoczeniem udali się do pokoi, aby odpocząć/przebrać się i umyć/. Po jakimś czasie przyszedł do mnie adiutant Sikorskiego i powiedział, abym przybył do generała. Udałem się na górę, do pokoju, gdzie Generał już leżał.

Powiedział: „Obiecałem Panu 6 tygodni temu, że sprawdzę na Bliskim Wschodzie wszystko to, co pan mi powiedział w sprawie Becka. Sprawdziłem wszystko co pan mówił i niestety w dużej mierze ma pan rację. Poparli pana ambasadorowie – Michał Sokolnicki i Tadeusz Romer. Wobec tego proszę za-
pytać pilota, czy ma jeszcze miejsce w samolocie. Jeżeli miejsce jest, to ja zabiorę pana ze sobą do Londynu i stamtąd pojedzie pan do Ankary i będzie starał się wyciągnąć ministra Becka z Rumunii.”

Powiedziałem wtedy: „Panie Generale, trochę późno, ale będę się starał. Natomiast moim zdaniem lot do Ankary jest łatwiejszy z Gibraltaru, niż z Londynu.”. Sikorski jednak się uparł bym leciał do Londynu, gdzie musi ze mną omówić jeszcze szereg spraw związanych z uwolnieniem płka Becka.

Pilot zgodził się mnie zabrać i zacząłem pośpiesznie przygotowywać się do opuszczenia Gibraltaru. Jednakże w nocy przyszedł kurier z AK o pseudonimie „Gralewski”, który posiadał zaszyfrowane wiadomości. Trzeba pamiętać, że był to okres kiedy aresztowano gen. S. „Grota” Roweckiego i gen. T. „Bór”-Komorowski obejmował dowództwo Armii Krajowej. Sikorski chciał mieć natychmiast wiadomości z kraju, jednakże ze względu na bezpieczeństwo kurier posiadał tylko szyfry, które można było odczytać dopiero w Londynie. Myśmy byli przekonani, że kurier z Warszawy przybył szybko, tymczasem jego podróż trwała ponad 3 miesiące. Jego wiadomości były więc nieaktualne.

Sikorski, który był ogromnie zaniepokojony wiadomością z Polski, postanowił, że na moje miejsce poleci „Gralewski”. Ustalono natomiast, że za kilka dni później przyleć do Londynu samolotem wojskowym.

W związku z tym, po śmierci Sikorskiego, rozpuszczano plotki, że ja wiedząc o zamachu na Sikorskiego nie poleciałem tym samolotem. 4 lipca, w dniu święta Stanów Zjednoczonych, generał Sikorski wysłał depezę gratulacyjną do prezydenta Roosevelta. Córka generała, pani Leśniowska poszła jeszcze zrobić zakupy. W amerykańskiej misji odbyło się duże przyjęcie, na które Sikorski udał się wraz z gubernatorem. Wtedy po raz pierwszy ludność Gibraltaru dowiedziała się o pobycie generała. Po przyjęciu wróciliśmy do pałacu gubernatora, gdzie zorganizowana została prywatna kolacja, na którą zaproszono wszystkich dowódców różnych broni angielskich i przedstawicieli misji alianckich. Kolacja trwała aż do momentu, gdy pilot poprosił o przyjazd na lotnisko.

Pojechaliśmy wszyscy. Zebrała się duża grupa.

Zanim wyruszyliśmy, Sikorski powiedział do mnie, że mimo iż niedawno awansował mnie na porucznika, to jednak należy mi się dalszy awans na kapitana, ale dokona tego dopiero wtedy jak się zjawię w Londynie. Nie mogłem oczywiście o tym komukolwiek wówczas powiedzieć i awans na kapitana otrzymałem dopiero z rąk gen. Andersa 3 lata później.

Wracam do sceny na lotnisku. Podprowadzam Sikorskiego do samolotu. On odwraca się i mówi: „No, panie kapitanie, do zobaczenia za parę dni w Londynie. Proszę nie zwlekać i przyjechać jak najszybciej.”. Wsiadł jako ostatni. Pilot włączył silniki, odrolował na początek lotniska, co trwało dość długo. Tam się zatrzymał i sprawdził wszystkie motory. Poprosił o prawo do startu. W tym momencie wygasły wszystkie światła na lotnisku i pozostały tylko zielone światła pasa startowego. Samolot zaczął startować. Mając jeszcze przed sobą kawałek pasa startowego wzniósł się do góry. Śledziliśmy wznoszący się na wysokość 300 stóp i tam powinien był poziomować, aby silniki nabrały większych obrotów. Chodziło o to, żeby w chwili kiedy samolot wyłaniał się zza skały gibraltarskiej i dostawał silne uderzenie wiatrów w stery mógł to uderzenie wytrzymać. Zaczęliśmy się żegnać, gdy nagle zauważyliśmy, że samolot zamiast się wspiąć do góry, opada.

Zorientowaliśmy się, że coś jest nie w porządku i biegiem ruszyliśmy na koniec pasa startowego, ciągle mając nadzieję, że może samolot wylądował na samym końcu lotniska. Tam jednak zorientowaliśmy się, że czarny ptak leży na morzu jakieś 500–600 metrów od brzegu.

Z brzegu została wystrzelona szalupa, która dopłynęła na miejsce wypadku. Na powierzchni pływały cztery ciała. W kamizelce ratowniczej był pilot. Żywy, ale nieprzytomny. Drugi był ledwie dychający generał angielski, trzeci gen. Kliński, czwarty roztrzaskany gen. Sikorski. W spodniach, bez kurtki, w jednym bucie, bo się rozbierał, żeby położyć się spać. Pilota, Sikorskiego i Klińskiego zabrali ścigacze i dowiózli do portu. Podeszliśmy tam z gubernatorem. Gubernator powiedział: „No, teraz twoją rolą jest zidentyfikować, kto to jest.”. Odkryłem koce, którymi były przykryte ciała. Pierwszy leżał gen. Sikorski, potem gen. Kliński, obok pilot i angielski brygadier.

Jako szef misji musiałem zawiadomić Prezydenta Raczkiewicza i rząd.

Chciałem odesłać zwłoki, gdyż w Gibraltarze nie chowa się ludzi na cmentarzu, tylko zwłoki wrzuca się do wody. W tym wypadku, oczywiście, nie można było tak postąpić. W Gibraltarze nie było żadnych trumien. Musiałem je zamówić w Hiszpanii. Chciałem załadować trumny do wojskowego samolotu. Upał był ogromny. Ciała były potrzaskane, wyjęte ze słonej wody. Bardzo bałem się komplikacji. Dlatego chciałem wysłać samolotem. No, ale polski rząd zapowiedział, że wysyłają kontrtorpedowiec po trumnę generała Sikorskiego. Obliczyłem, że kontrtorpedowiec będzie płynął co najmniej trzy dni. Ciała złożyliśmy w katedrze, gdzie zostały wystawione na widok publiczny. Wieczorem przyleciał samolotem generał Stanisław Ujejski, szef lotnictwa, pułkownik Michał Protasiewicz, Józef Rettinger i Tadeusz Ulman, żeby patrzeć mi na ręce. Przejęli oni całość przygotowań jako delegacja. Ja tylko przewiozłem z żołnierzami trumnę do katedry. I wycofałem się.

W nocy stało się to, czego się obawiałem. Pękły obie trumny, wszystko zaczęło się wylewać. A o 8 miała być duża msza, dopłynąć miał „Orkan” i nastąpić miało załadowanie na okręt. Trzeba było wywieźć trumny do kostnicy, wymienić je. Zalać ołowiem, oczyścić wcześniej kościół, zmienić kwiaty, oczyścić złe powietrze. Udało się to załatwić.

Wojskowy orszak ruszył na okręt. Marynarze byli bardzo przeciwni tej funkcji „Orkana”, gdyż jest przesąd, że statek przewożący trumny zatonie. Rzeczywiście po 30 dniach „Orkan” został storpedowany.

– W jakim okresie był Pan w Gibraltarze?

– Byłem w Gibraltarze od marca do września 43 r. Po śmierci Sikorskiego poprosiłem o odwołanie i przysłali wtedy płka Bełdowskiego.

– Wrócił Pan do Londynu?

– Tak. Zgłosiłem się do generała Kazimierza Sosnkowskiego, następcy Sikorskiego i on powiedział do mnie z uśmiechem: „Ty jesteś urodzonym oficerem łącznikowym, mówisz językami, byłeś przy różnych generałach. Montujemy dwie misje łącznikowe, gdyż będą dwa uderzenia na Europę – jedno z północnej Afryki, a drugie z Anglii na Francję. Daję panu do wyboru: albo północ przy Montgomerym, albo południe przy Eisenhowerze”. Powiedzia-

łem, że Montgomeryego niezbyt lubię i nie mam do niego zaufania, więc wolę Eisenhowera. Wiedziałem, że wtedy nawiążę ścisły kontakt z armią generała Andersa.

I tak pojechałem na południe, z moim szefem płk. Ludwigiem. Najpierw byłem w Casablance, a potem w Algierze. Nawiązałem kontakt z generałem Andersem, kiedy pierwsze oddziały II Korpusu zaczęły lądować w Taranto. Po zdobyciu Sycylii gen. W. Anders przyjechał do marszałka Henry Wilsona, który był następcą Eisenhowera, zameldować że jego II Korpus wchodzi do walki. Anders wypatrzywszy mnie na lotnisku i znając mnie powiedział: „Ja chciałem tu zostawić oficera łącznikowego, ale wobec tego, że pan tu jest, to będzie pan również naszym oficerem łącznikowym.”.

– Pan powiedział, że generał Anders pana znał?

– Anders był dość znany w mojej rodzinie, bo dowodził szwadronem ułanów Krechowieckich w majątku Czapskich pod Mińskiem. To była rodzina mojej matki. W czasie wojny Sikorski chciał, żeby Anders poznał nasze wojsko na Wyspach. Przyjechali razem do Szkocji i spotkali się z generałem Maczkiem, gdzie ja byłem oficerem do zleceń. Wtedy poznałem Andersa. Bardzo szybko zgadało się, że Józef Czapski to mój wuj i ojciec chrzestny, a Anders do rodziny Czapskich miał dużo sympatii. Tylko trzeba pamiętać, że ja byłem podporucznikiem a on generałem. Po prostu pomagałem w Szkocji. Potem dopiero spotkaliśmy się w Afryce Północnej. Krążyłem między Kairem, Algierem i Teheranem. Chodziło o jeńców wojennych z armii niemieckiej. Wiedzieliśmy dobrze, że Wehrmacht mobilizował na siłę Polaków i Ślązaków z terytoriów włączonych do Rzeszy. Oni mieli obowiązek służby w armii niemieckiej. Dawano ich przede wszystkim do organizacji Todta. Ale im Niemcy mieli mniej wojska, tym więcej Polaków było w ich armii. Także z Generalnego Gubernatorstwa dość dużo Polaków poszło na ochotnika do armii niemieckiej. W dużej mierze, żeby skorzystać z okazji i zbiec na drugą stronę. Niektórzy może z własnego przekonania.

Kiedy poddała się armia Rommla, tzw. Africa Korps, to 90000 żołnierzy niemieckich znalazło się w niewoli. Byli ulokowani na Saharze, na pograniczu między Algierem i Tunisem. Byli tam oficerowie i podoficerowie

niemieccy, a pilnował ich batalion angielski. Ale się nie męczyli, bo gdzie stamtąd uciekać.

Dowiedziawszy się, że jest tam taka ilość jeńców/a przypuszczałem, że jest tam dużo Polaków/pojechałem na pustynię do tych obozów. Był to koniec 1943 roku. Poznałem angielskiego pułkownika, który tam dowodził i zapytałem czy wie ilu z tych ludzi to Polacy? Odpowiedział, że wątpi aby tam byli jacyś Polacy, ale spisy trudno udostępnić – jest ich 90000. Powiedziałem, że jest inny sposób. Zaproponowałem mu, żeby nazajutrz zwołał jeden z obozów na zbiórkę i zobaczy jaki będzie rezultat.

Następnego dnia uszykowało się jakieś dwadzieścia parę tysięcy jeńców ze swoimi dowódcami i ja przy tym pułkownikowi wszedłem na taką drabinę i powiedziałem po polsku: „Ci, którzy rozumieją co ja mówię, trzy kroki naprzód wystap”. A tu fala ludzka runęła naprzód. Prerażony pułkownik zaczął mnie pytać co powiedziałem, że ludzie tak zareagowali – odpowiedziałem, że spytałem kto rozumie po polsku. Dodałem, że w innych obozach jest pewnie podobna sytuacja. Teraz musimy tylko sprawdzić, jacy to są Polacy, czego będziemy próbowali dokonać. W tej sytuacji powiedziałem, że poproszę Londyn aby przysłali kilku oficerów celem sprawdzenia tych jeńców, którzy zadeklarowali polskość. Ci, którzy będą chcieli dalej bić się z nami, mają być przekazani do Włoch, jako uzupełnienie dla generała Andersa. Trzeba pamiętać, że Anders kiedy lądował we Włoszech miał 56 tysięcy ludzi i nawet Anglicy zajmujący się logistyką mówili: „Panie generale, czy nie lepiej żeby miał pan jedną mocną dywizję z dużymi rezerwami, a nie korpus, skoro i tak II Korpus zamiast trzech dywizji ma tylko dwie itd. Skąd pan weźmie uzupełnienia po pierwszej bitwie”. Wtedy Anders odpowiedział marszałkowi Wilsonowi: „Moje uzupełnienia są z przodu”. Anglicy w ogóle nie zrozumieli, o co chodzi. Anders dopowiedział: „Im dalej będę szedł przez Włochy, tym więcej Polaków będzie przychodziło do mojej armii, czy to z wojska niemieckiego, czy innymi drogami. A poza tym Francja jest pewnego rodzaju rezerwuarem ludzi.”

I tak się stało. Mimo wielkich i bolesnych strat we Włoszech. Zresztą przez rok okupacji Włoch w wypadkach samochodowych zginęło więcej ludzi niż w całej kampanii włoskiej. Nasi żołnierze popijali wino, jeździli jeepami i ciągle mieli wypadki. Z Włoszkami w samochodach.

– A wracając do odzyskiwania żołnierzy z armii niemieckiej. Jakie były konkretne tego rezultaty?

– Gdyby Pan zwiedził cmentarz w Bolonii to zobaczyłby Pan, że połowa grobów to są ludzie, którzy wywodzili się z armii niemieckiej. Łącznie przejeśliśmy 22000 ludzi. To było uzupełnienie dla generała Andersa. Natomiast od rzeki Loary na północ to były uzupełnienia dla dywizji Maczka.

– Wracając do pańskich obowiązków jako oficera łącznikowego przy generale Andersie. Co Pan robił po zakończeniu misji na Saharze?

– Przygotowywano wówczas korpus ekspedycyjny, którego celem była południowa Francja. Nawiasem mówiąc nie podobało to się niektórym Anglikom. Od 6 czerwca trwała inwazja w Normandii, ale de Gaulle'owi i Amerykanom zależało na lądowaniu w południowej Francji, w rejonie Marsylii i Tulonu. Korpus złożony był z dywizji „Wolnych Francuzów” i armii amerykańskiej. Generał Anders wiedząc, że na południu Francji jest dużo Polaków, którzy mogą być rezerwą dla jego wojska, polecił mi dołączyć do 6 Armii Amerykańskiej, abym był oficerem łącznikowym przy generale Deversie.

Wyjechałem do Tulonu, zarekwirowałem samochód i jeździłem po południu Francji wyszukując tych Polaków, którzy byli przeważnie w mieszanych oddziałach francusko-polskich, w „maquis”. Oddziały te były dowodzone przeważnie przez hiszpańskich komisarzy/najczęściej pochodzenia żydowskiego/. Byli bardzo silnie związani z komunistami i naturalnie za nic nie chcieli pozbyć się dobrego żołnierza. Musiałem z nimi pertraktować, a nie było to łatwe. Na dodatek istniała poważna konkurencja między generałem de Gaulle, a generałem Henrim Giraudem, na którego stawiali Amerykanie. Jeżdżąc po Francji miałem dokumenty wystawione przez dowództwa obu generałów. Nigdy nie wiedziałem, kiedy wjeżdżałem do jakieś wsi, czy miasta i na barykadzie czekali ludzie z karabinami, jakie przedstawić dokumenty. Ale jakoś mi się udało.

– Był pan przedstawicielem armii generała Andersa, a tamci byli w przeważającej części „czerwoni”.

– Tłumaczyłem. Zbierałem ludzi w większe grupy po stu, stukilkudziesięciu i oni z reguły chcieli przejść do naszego wojska, a popierali mnie i Anglicy,

i Amerykanie. Amerykanie kiedy atakowali to trzeba pamiętać, że nie zastanawiali się co jest za plecami, tylko pruli doliną Rodanu na Lyon.

– Za nimi zostawały „dzikie pola” – tam były i garnizony niemieckie, „maquis” w terenie, podzielone i skłócone grupy partyzanckie i nasza siatka, generała Kleeberga i Kowalewskiego.

W tym terenie jeździłem ze „stenem”, a miałem szofera Francuza, właściciela samochodu, który zarekwirowałem. Nigdy nie wiedzieliśmy czy wyjedziemy stamtąd żywi. Kiedy udało mi się zebrać większe grupy ludzi to kierowałem ich do Marsylii, gdzie Anders wysłał oficerów, którzy zajmowali się przysyłanymi Polakami. Oni zajmowali się także dywizją, która opuszczała stopniowo Szwajcarię. W południowej Francji byłem ok. 3 miesięcy i tuż przed bitwą o Ankony wróciłem do generała.

Po Powstaniu Warszawskim, po ustąpieniu generała Sosnkowskiego, Wodzem Naczelnym został mianowany generał Bór-Komorowski, zaś Anders został jego zastępcą i musiał pojechać do Londynu. Wtedy ja zostałem oficerem łącznikowym pomiędzy Andersem, a nowym dowódcą II Korpusu, gen. Bohuszem-Szyszko. Potem byłem delegatem II Korpusu do generała Andersa z zadaniem przekonania go, by powrócił do swoich żołnierzy. Stało się tak, ponieważ generał chciał opuścić wojsko. Spowodowane to było sprzeciwem wyrażonym przez partie polityczne działające w Londynie, które nie chciały, by Anders został Wodzem Naczelnym. Misja zakończyła się powodzeniem i Anders powrócił razem z nami do Włoch, gdzie objął z powrotem dowództwo II Korpusu. [...]

– Jakie były dalsze Pana losy?

– Po zajęciu Niemiec okazało się, że w obozie w Murnau jest 9000 polskich oficerów z września '39 i z Armii Krajowej. Anglicy zgodzili się na zabranie 450 do armii Andersa. Generał wysłał mnie do Murnau, żebym „rozładował” tych oficerów. Jednych posyłałiśmy do 3 armii amerykańskiej, innych do 5, jeszcze innych do Maczka, nawet do Francji, ale gros chciało do II Korpusu. Do tego była wielka ilość ludności cywilnej. Kiedy byłem w Murnau, dostałem nagle depeszę radiową od generała Andersa, żebym zgłosił się natychmiast do generała Georgea Pattona, który jest w Czechach. Wojna jeszcze trwa-

ła. Okazało się, że gen. G. Patton zameldował Andersowi, że Amerykanom w zdobyciu Pilzna bardzo pomógł jakiś polski oddział. Jednocześnie Patton chciał się dowiedzieć od Andersa, co to za oddział. W związku z tym, że oddział ten był Andersowi nieznany, kazał mi udać się do Pattona i skontaktować z tym oddziałem. Z wielkimi kłopotami dotarłem do generała Pattona, który przydzielił mi „łazika” i pojechałem szukać rzeczonego oddziału. W końcu spotkałem ten oddział w lesie koło Pilzna i okazało się, że jest to „Brygada Świętokrzyska” (NSZ).

Oddziały te dotarły do Czech przy cichej zgodzie władz niemieckich, z tym, że trzeba dodać, iż dotarła dopiero II Brygada z płkiem „Bohunem”. Zapadli w lasach, częściowo żywieni przez Niemców i kiedy Patton uderzył na Pilzno to oni uderzyli na Niemców od tyłu. Był to okres kiedy Patton był wściekły na gen. Eisenhowera, że zatrzymano ofensywę, gdyż mógł dotrzeć w ciągu trzech dni do Pragi i stamtąd na Węgry. Patton dostał depezę, że w myśl umowy w Jalcie, Niemcy zostały podzielone na części, z których jedne mają Sowieci, a inne alianci.

Po raz pierwszy widziałem amerykańskiego generała płaczącego. On, Patton, przy mnie dostał rozkaz od Eisenhowera, że ma wstrzymać ofensywę i wycofać się z już zajętych terenów. Wtedy pojechałem do Brygady Świętokrzyskiej. Był lipiec. Lato piękne, gorące. Zajeżdżam pod odwach i pytam się żołnierza, gdzie jest dowództwo. Dowiedziałem się, że dowództwo kąpie się w jeziorze, za lasami. Pojechałem ich szukać. Podjechałem do jeziora i widzę, że leży parę gołych ciał na ziemi. Pytam, gdzie jest pan pułkownik „Bohun”. Na to odzywa się jeden z leżących: „Od kiedy porucznik wojska polskiego nie stoi na baczność przed pułkownikiem?” Ja na to: „Jak mogę poznać, że pan jest pułkownikiem, kiedy Pan jest goły.”. Wszyscy się uśmiali. Doszliśmy do porozumienia. Dość szybko.

– Jakie wrażenie na Panu, oficerze służby czynnej, zrobił ten oddział?

– Watahy Kmicica. Wisiała polska flaga, był kapelan, straż porządkowa. Mie-li wspaniałe samochody, zdobyte po drodze, ale również jakieś dorożki. Mie-li „schmeissery” i dubeltówki na sznurkach. Była tam bardzo duża dyscyplina. „Bohun” trzymał to wszystko „za mordę”. Nie było to takie łatwe. Poza tym

oni pozbierali po drodze wiele młodzieży, ok. 1000 młodych chłopców. To był zlepek najrozmaitszych ludzi, często o różnych poglądach. Góra to był ONR, ale reszta to byli ludzie, którzy chcieli się po prostu bić. Potem był z nimi kłopot, bo oni awansowali się między sobą, nadawali odznaczenia, które nie były naturalnie uznawane przez dowództwo wojskowe. W końcu namówiłem ich, żeby porozumieli się wprost z generałem Andersem i żeby oddział, który tymczasem był karmiony i utrzymywany przez Amerykanów, został uporządkowany. Zdałem raport Pattonowi i wyjechałem. Amerykanie przenieśli całą Brygadę Świętokrzyską w okolice Norymbergii. Wówczas szef sztabu „Bohuna” przekonał ich/a Amerykanie potrzebowali na terenie Niemiec dużo wojska do pilnowania składów wojskowych/, żeby z Brygady stworzono oddziały wartownicze.

Powstał natychmiast problem. „Bohun” przyjechał ze swoim doradcą politycznym do Andersa, który powiedział im, że postara się brygadę włączyć do II Korpusu. Oni jednak postawili generałowi warunek, że wejdą do Korpusu, ale jako osobna jednostka. Oczywiście mają być utrzymane ich stopnie, odznaczenia. Anders to wykluczył. Podkreślił, że weryfikacja za działalność w kraju musi być zrobiona przez generała T. Bora-Komorowskiego i pułkownika Antoniego Iranka-Osmeckiego. Dowódcy Brygady tych warunków nie przyjęli i „Bohun” podzielił Brygadę. Na szczęście całą młodzież, którą pozbierał idąc na Zachód, przesłał do II Korpusu. Rozesłano ich tam do szkół. „Bohun” był przekonany, że wojna z Rosją będzie za rok. Dlatego chciał utrzymać swój oddział. Jego część to był oddział wartowniczy, część posłał do Nancy, do stalowni, a sam z bardzo małym sztabem kupił willę w Pirenejach i czekał tam na wojnę. Trzeba dodać, że oni byli zasobni w pieniądze – mieli bardzo dużo złota. Z czasem, kiedy pieniądze zostały wydane, willę sprzedał i zdaje się, wyemigrował do Argentyny.

– Panie majorze, Pan przez wiele lat ściśle współpracował z generałem Andersem. Znał go Pan bardzo dobrze. Proszę przybliżyć tę postać.

– Generał Anders był osobą niezmiernie popularną, umiał się świetnie zachować, wspaniale przemawiał. Trzeba pamiętać czym był II Korpus – tu nie chodziło o żołnierzy, ale o to całe życie, które tam się toczyło. To wojsko obrosło cywilami. Anders bardzo dbał o naukę młodzieży, o pracę społeczną, o szpitale,

ochronki. On tam żył. Dowództwo wojskowe zwał na swoich oficerów, oczywiście zachowując decyzje, ale koncentrował się na sprawach społecznych. To on rzucił hasło tworzenia Społecznego Funduszu Żołnierza Polskiego. Wszyscy oddawaliśmy jakąś część naszych pieniędzy na cele społeczne. Mieliśmy paru świetnych generałów, np. gen. Sosnkowski, ale on tego zacięcia społecznego nie miał. Miał także silnie zakorzenioną/może dlatego, że pochodził z Kresów/potrzebę ratowania polskości.

– Jaki był w życiu prywatnym?

– Lubił bardzo grać w brydża. Grał „po generalsku”. Innych gier nie uznawał. Nie uciekał od alkoholu, ale pił stosunkowo mało. Lubił czerwone wino, a kiedy w czwartek szedł na kołduny do „Ogniska” to wtedy wypijał jedną wódkę. Tam w „Ognisku” zawsze był przygotowany stół dla generała Andersa.

Był bardzo zakochany w swojej drugiej żonie i był szalenie przywiązany do swego syna z pierwszego małżeństwa, Jerzego, którego przypadkiem zabili w Ottawie. Bardzo pokochał córkę z drugiego małżeństwa, Annę, która wyszła za amerykańskiego pułkownika Costa. Bardzo lubił ładne panie. Bardzo. Cenił dobre towarzystwo. To był właściwie światowy człowiek, często zapraszany, ale nie przepadał za dużymi przyjęciami. Natomiast jeździł bardzo dużo w teren. Potrzebował kontaktu z ludźmi. A ludzie z nim. [...]

Wracając do generała Andersa. Warto przypomnieć, że odebrano mu obywatelstwo razem z Maczkiem, Kopańskim, Kukielem. Po paru latach tutejszy konsulat PRL napisał pismo do obywatela Kopańskiego i Maczka, że powstała pewna pomyłka, i że ta decyzja zostaje cofnięta. Maczek odpowiedział, że „ani nie mieliście prawa mi polskiego obywatelstwa pozbawiać, ani nie macie prawa przywracać”. Generał Anders nie przejął się tym, że mu odebrano obywatelstwo, ale był bardzo zawiedziony, że głosował za tym Mikołajczyk.

A propos, Generał odbył dużą rozmowę z Mikołajczykiem przed jego wyjazdem do Polski. Anders, mimo wszystko, bardzo namawiał Mikołajczyka, żeby ten nie szedł na wszystkie sowieckie warunki. Było to niestety bezskuteczne.

– Jakiego generała Anders miał rozeznanie w sytuacji w kraju po 1945 roku?

– Do nas stosunkowo mało ludzi z Polski przyjeżdżało. Anders koncentrował się na ustabilizowaniu emigracji politycznej i wojskowej. Był przekonany, że dojdzie do kolejnej wojny światowej. Wojny z Rosją. Tu się pomylił. On przecież był zażartym antykomunistą. A świetnie rozumiał mechanizm bolszewizmu. Warto przypomnieć, że kiedy zapadła decyzja o ewakuacji z Rosji to trzeba było ratować także ludność cywilną. Był wtedy przy generale sowiecki generał Żukow, który ostatecznie podpisywał listy. Anders zabierał go do kasyna, poił wódką. Żukow odpowiadał: „Chcesz mojej śmierci, ale podpiszę ci pół listy”. I zaczynało się od nowa w kasynie...

Londyn, grudzień 1988

KRZYSZTOF TURKOWSKI ROZMAWIA ZE STEFANEM SOBONIEWSKIM¹

– Udało się Panu wyjść prawie z pułapki pod koniec września 1939 roku. Udał się Pan w kierunku Słanica. Co było dalej?

– Dojechałem do Słanica, gdzie w czasie krótkiego tam pobytu dowiedziałem się, że rząd polski tam jest. Wszyscy byli bardzo zatroskani, jakby się zatracili. Zgubieni ludzie. Nie bardzo orientowali się co się dzieje. Kompletny chaos. Byłem tam około tygodnia. Zorientowałem się natychmiast, że trzeba stamtąd wyjeżdżać. Wiem, że się odbywały zebrania, takie posiedzenia Rady Ministrów.

Pożegnałem się bardzo serdecznie ze Sławojem Składkowskim i pojechałem do Bukaresztu i tam spotkałem swojego ostatniego wojewodę – Ludwika Bocińskiego. Spotkałem go przypadkowo w hotelu, kiedy szukałem miejsca noclegowego. Przebywałem w Bukareszcie przez miesiąc. Natychmiast nawiązałem kontakt z ambasadą i zorientowałem się, że bardzo trudno do Paryża dostać się starszym wojskowym.

Mnie udało się przywieźć do Rumunii papiery urzędowe z napisem Starosta Kaliski i miałem pieczęć starościńską / mam ją do dzisiajszego dnia/. Dzięki temu wydałem około stu świadectw na swoim urzędowym papierze. Chodziło o to, że pod fałszywymi zaświadczeniami ludzie mogli dalej jechać, gdyż wszystkie dokumenty były antydatowane.

Dzięki temu byli wojskowi mogli legitymować się dokumentami leśników czy lekarzy, a nie zawodowych wojskowych.

¹ Stefan Soboniewski – ur. 7 grudnia 1906 w Kamyku, zm. 7 maja 1998 w Londynie – polski prawnik, ostatni przed wrześniem 1939 starosta kaliski, pułkownik broni pancerniej, działacz społeczny emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii.

Jeden z moich przyjaciół, zresztą z tego samego gimnazjum Zygmunta Augusta, ale tego młodszego z Wilna miał maszynę do pisania. Bardzo ta maszyna nam pomogła w wydaniu „lewych” dokumentów.

Ambasadorem w Rumunii był Roger Raczyński, brat Edwarda a w sekretariacie, był Jerzy Giedroyc. Znałem go zresztą z Polski bo był ze mną w Sejmie, tylko on reprezentował wtedy Ministerstwo Rolnictwa, w czasach Ministra Niezabytowskiego.

Mój wyjazd z Bukaresztu został przyspieszony w niespodziewany sposób. Miałem dobre stosunki z dyrektorem hotelu w którym mieszkalem, a on współpracował z policją dzięki czemu miałem spokój. Pewnego dnia wojewoda Bociński powiedział mi, że w szpitalu wojskowym jest od dwóch dni generał Gustaw Paszkiewicz. Znałem go z Polski, gdy był dowódcą 12 dywizji w Tarnopolu i tam zajmował się bardzo życiem społecznym, budował domy ludowe, zajmował się szlachtą zagrodową. I dzięki temu, że w swojej działalności społecznej musiał porozumiewać się z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, tam go poznałem. Poznałem go więc, kiedy byłem w gabinecie ministra. Patrząc wchodzi generał, wysoki, potężne chłopisko, na piersi trzy Virtuti Militari. Pan sobie wyobraża jakie to na mnie zrobiło wrażenie. On miał Virtuti Militari za lata 1919/20. Kiedy jednak przyszliśmy do szpitala, generał był bardzo zgnębiony, miał wtedy kłopoty z nogą, tylko że wcale nie był postrzelony, ale spadł z pierwszego piętra. W tym czasie Niemcy zaczęli mocno naciskać na władze rumuńskie, żeby powstrzymać ucieczki polskich oficerów. Ponieważ ze szpitala także uciekano to zrobili odpowiedzialnym najstarszego oficera, a więc Paszkiewicza. Kiedy to nam powiedział to spytałem go czym się martwi? Niech Pan nawiewa. Na to Paszkiewicz: „Łatwo Panu tak powiedzieć”. Zaproponowałem mu, że w następną niedzielę w czasie odwiedzin, niech Pan idąc po cywilnemu wyjdzie przez bramę. Tam jest jakiś wojskowy, ale jego to wszystko niewiele obchodzi. Wahał się bardzo, ale udało się nam ustalić ostateczny termin wyjścia Paszkiewicza ze szpitala. Przygotowałem mu dokumenty inżyniera drogowego w powiecie kaliskim.

Załatwiłem wszystkie odpowiednie sprawy, ale okazało się, że nie można wyjechać do Francji, gdyż wstrzymano wizy. Wobec tego ponieważ ja miałem wizę do Jugosławii to postarałem się także o wizę dla niego.

Wojewodę Bociańskiego musiałem zostawić, gdyż jemu wizy nie dali. To znaczy zablokowały go polskie władze. W tej sytuacji musieliśmy ruszyć z Paszkiewiczem, dokładnie to go po prostu wywozłem. On był w wielkim strachu przez całą jazdę w pociągu. W pewnym momencie musiałem powiedzieć: „Panie generale, pan jest inwalidą, niech się Pan kładzie, a mnie proszę dać dokumenty, ja wszystko załatwię”. Kiedy tylko drzwi się gdzieś otworzyły on natychmiast wpadał w panikę, że idą po niego...

Dopiero kiedy przejechaliśmy granicę, to generał się wyprostował i stał się takim jakim go poznałem.

Z Jugosławii jechaliśmy razem przez Włochy do Francji. Poznałem go bardzo dobrze w czasie tej podróży.

– A czym można tłumaczyć jego postawę po II wojnie światowej, kiedy zasiadł razem z komunistami w ławie sejmowej? Czy strachem?

– Mnie się wydaje, że nie. Kiedy przyjechaliśmy do Francji on tam miał sprawę sądową, bo jemu się dywizja rozleciała na froncie, chociaż okazało się, że to nie była jego wina. Później poszedł do VI oddziału na czele którego stał generał Kazimierz Sosnowski.

Przyszedł rok 1940 dostałem się z grupą podchorążych do portu La Rochelle skąd dopłynęliśmy szczęśliwie do Wielkiej Brytanii, ściśle Szkocji, gdzie skupiono polskich żołnierzy po upadku Francji. Otóż został stworzony II batalion „kratkowanych lwiatek” ze względu na to, że byliśmy w Szkocji. Będąc w Szkocji /w obozie/, tam dowiedziałem się o powołaniu I Brygady Strzelców Zmotoryzowanych, jej dowódcą został wyznaczony generał Paszkiewicz. O tyle mnie to interesowało, że byłem w batalionie wchodzącym w skład tej brygady. Kiedy dowiedziałem się, że generał do nas przyjeżdża z wizytacją to robiłem wszystko, żeby go nie widzieć. Nie odpowiadała mi jego ostatnia przeszłość, ta nasza wspólna droga. I pomyliłem się bo on nie tylko przeszedł przed frontem wojska, ale poszedł zobaczyć jak jest w jadalni i jak wyglądają poszczególne namioty i mnie tam odkrył.

Przywitanie było bardzo serdeczne z jego strony. Zawołał: „Cóż Pan tu robi starosto?” Wy tłumaczyłem, że z powodu zaziębienia nie mogłem być na zbiorce. On na to, że mam się do jego sztabu zameldować nazajutrz.

Na drugi dzień rzeczywiście zostałem odkomenderowany do dowództwa

do działu wyszkolenia. Wtedy dowódcą kompanii saperów był obecny minister wówczas porucznik, a teraz pułkownik – Jerzy Morawicz. Skoro już byłem w sztabie to postanowiłem przysiąść „fałdów” i poznać pracę w sztabie brygady. Byłem tam prawie dwa lata z tym, że pół roku byłem na uniwersytecie w Edynburgu.

Zabrano mnie stamtąd, bo okazało się, że większość oficerów sztabu z gen. Paszkiewiczem jedzie na Bliski Wschód.

Jako dowódca brygady w sztabie generał Paszkiewicz zdał egzamin. Interesował się oddziałami, był tam lubiany przez żołnierzy. Dlatego został wyznaczony na wyjazd na Bliski Wschód, wtedy kiedy wojsko polskie wyszło z Rosji.

Z całym tym zespołem, gdzie jechali tylko oficerowie, znalazłam się i ja, jako młody porucznik.

W końcu 1941 roku Anders przyjechał do generała Kukiela, który był dowódcą korpusu w Szkocji. Andersowi zależało na ok. 160 oficerach, gdyż nie miał kadry oficerskiej, o których się obawiał już wówczas.

Dopłynęliśmy do Egiptu, skąd skierowano nas do Iraku. Paszkewicza mianowano wówczas dowódcą Brygady Czołgów, była to zupełnie nowa jednostka. Moim zadaniem było dokonanie wyboru najbardziej nadających się do służby w tej brygadzie żołnierzy. Uczyliśmy się na starych typach włoskich czołgów, takich małych, białych. Tutaj muszę niestety powiedzieć, że Paszkewicz nie zdał egzaminu. Nas ten rodzaj broni bardzo zainteresował, a tymczasem generał zajmował się bez przerwy zagadnieniami politycznymi, kwestią Sikorski–Anders a nie wojskiem. Doszło do tego, że generał Anders postawił warunek generałowi Sikorskiemu, żeby sobie Paszkewicz zabrał. Sikorski wtedy przeniósł go do W. Brytanii, na stanowisko zastępcy dowódcy korpusu w Szkocji.

Kiedyśmy wrócili z Włoch w 1946 roku doszły do nas wiadomości, że gen. Paszkewicz kręci się przy ambasadzie warszawskiej. Jemu po prostu chodziło o karierę. Na zachodzie na widział żadnych możliwości, i pojechał do Warszawy. A tam zapisał się jak najgorzej.

– Chciałbym panie Prezesie powrócić jeszcze do września 39, nagle Panowie znaleźli się w Rumunii, chcieliście się bić dalej a tu okazuje się, że są

przeszkody i to nie zawsze ze strony niemieckiej. Już we Francji zaczynają się przesłuchania, izolacja ludzi związanych z obozem rządowym.

– Ludzie mojego pokroju rozmaitymi drogami i z trudnościami szli do polskiego wojska. Myśmy spadali społecznie w dół, aż ludzie się dziwili tej degradacji. Np. Ambasador nasz w Berlinie–Lipski został zwykłym żołnierzem, ale to i dobrze, bośmy pokazywali w ten sposób, że zawsze służymy Polsce.

Poza tym te nasze wojska we Francji wspaniale się spisały, nie było od nich lepszych żołnierzy. Bardzo przeżyliśmy fakt, że Francja nie chce się bić. Przeciwny dowódca czy żołnierz nie zdawali sobie z tego sprawy. Chociaż myśmy na tym najniższym szczeblu, widząc francuskiego żołnierza, „rozmemłanego”, i często podpitego poważnie się zastanawiamy jaką oni mają wartość bojowy. Czy w ogóle będą się bić?

Upadek Francji był nie tylko ciosem dla kraju, ale także dla walczących nas na zachodzie.

Tymczasem nasz Naczelnny Wódz–Sikorski ciągle nas przekonywał o potędze francuskiej armii. Mnie do dzisiaj dziwi, że ten inteligentny żołnierz, doskonały generał, który znał Francję i Francuzów nie orientował się w „walorach” tej armii.

Ale przecież on musiał sobie zdawać sprawę z tego co się dzieje. Myśmy na szczeblach bardzo niskich widzieli ten stosunek Francuzów do żołnierza polskiego. Nam kazali się uczyć rozmaitych francuskich przestarzałych regulaminów, kiedy nasze były nowoczesne i lepsze. Czy naprawdę tego Naczelnny Wódz nie widział?

– Może to działo się bardziej za sprawą Kota, Klimeckiego, Modelskiego, jego otoczenia?

– Jego otoczenie było wówczas skoncentrowane na rozprawie z piłsudczykami.

– Czy Pan także musiał stawać przed komisją?

– Tak. Mnie wezwano z podchorążówki do Paryża. Przyjechałem do Ministerstwa Spraw Wojskowych i zgłosiłem się do właściwego pokoju. Okazało się, że siedzi tam pan w cywilu, nie wymieniam jego nazwiska, bo jeszcze żyje, a wtedy blisko związany z jednym z dygnitarzy wojskowych będących w Pary-

žu. Powiada do mnie, że ma obowiązek przesłuchania mnie. Jednak nie tylko chodziło mu o mnie, ile o moich wojewodów, a zwłaszcza o ministra spraw wewnętrznych.

Odpowiedziałem: „Bardzo Pana przepraszam. Jestem żołnierzem i nie przyjechałem do Francji omawiać działalność działaczy politycznych i państwowych, lecz przyjechałem do wojska polskiego. A na pańskie pytania nie będę odpowiadać. A poza tym, gdy patrzę się na Pana to mi się wydaje, że pańskie miejsce jest w szeregach a nie za biurkiem”. Wstałem i poszedłem trzaskając drzwiami. Myślałem, że mnie zaaresztują, ale okazało się, że nic takiego się nie stało.

Było to plucie na własny kraj w sytuacji, kiedy jesteśmy poza granicami kraju. Jest wojna a tu dzieją się takie historie.

Ponadto na terenie Francji zrobiono obóz w Cerisay, była to po prostu taka mała Bereza. Tam zesłano mojego przyjaciela obecnie żyjącego we Francji, dra S. Paczyńskiego tylko za to, że był aktywnym działaczem na terenie Wilna. Był tam ok. 4 miesięcy. Udało się nam go wyciągnąć. Mnie ta „przyjemność” ominęła.

Skoro już jesteśmy przy Francji to warto przypomnieć, że w ostatnich dniach naszego tam pobytu, generał Sikorski pojechał do jednostek wojskowych i w skutek wielkiego zamieszania, które powstało nie mógł dostać się z powrotem. Byliśmy pełni obaw co się stało z Naczelnym Wodzem.

Kampania Sikorskiego we Francji to jedna z najbardziej przykrych rzeczy w dziejach naszego wojska. Rozproszono wojsko, a niektóre oddziały poprzydzielano wprost do Francuzów. To bardzo poważny błąd. Szefem ewakuacji został generał Kukiel, najmniej do tego powołany, chociaż świetny historyk, ale wywiązał z powierzonego zadania.

Potem już gdy znaleźliśmy się w Szkocji zajmowałem się sprawami wyszkolenia o, których mówiłem poprzednio. Wiązała się z tym dość zabawna sytuacja. Otóż byłem sierżantem-podchorążym i dowódcy oddziałów, którzy zwracali się do mnie o różne wyjaśnienia używali nie stopnia wojskowego, ale mówili do mnie „Panie starosto”.

Jak już mówiłem generał Anders zamówił kadry oficerskie z Anglii do swojej armii. Ja znalazłem się w tym gronie i 19 czerwca 1942 wypłynęliśmy statkiem „Queen Elizabeth”, który został przystosowany do przewozu wojska.

Na tym statku była jedna z dywizji szkockich, jednostka w pełnym składzie – kilkanaście tysięcy ludzi, do tego ok. 200 Polaków, kobiety-żołnierze, łącznie 14500 osób. Takie pływające miasto. A był to okres, kiedy łodzie podwodne szalały na Atlantyku, a my wypłynęliśmy bez osłony i bez ochrony.

A pół godziny po tym jak wypłynęliśmy na Atlantyk pojawił się niemiecki „Focke– Wulf”. Kapitan zawiadomił nas, że pojawił się niemiecki samolot wywiadowczy i, że z pewnością przyleci eskadra aby nas zaatakować. W tej sytuacji postanowił zmienić kierunek z zachodu na północ. Anglicy okazali się być szalenie sprawni. Natychmiast przygotowano szalupy, podzielono ludzi. Po godzinie okazało się, że Niemcy przylecieli, ale nas nie znaleźli i musieli zawrócić.. Dopłynęliśmy do Kanady z tym, że myśmy nie wysiadali, potem przypłynęliśmy na wody południowoamerykańskie i dopiero na Dakar, gdzie także działały niemieckie „łodzie podwodne” Nasze szczęście polegało wówczas na tym, że mieliśmy dwa razy większą szybkość niż niemieckie łodzie podwodne. Znakomity był przy tym kapitan i załoga „Queen Elizabeth”.

Przepłynęliśmy dookoła Afryki, ale na wysokości Madagaskaru grasowały japońskie łodzie podwodne i znów trzeba było kluczyć. Na wysokości Adenu kapitan dostał rozkaz, żeby płynąć do Bombaju, bo Niemcy podchodzą do Aleksandrii. Ale w ostatniej chwili odwołano ten rozkaz, gdyż Niemców powstrzymano. W końcu wylądowano nas z Ismaili. Ta szkocka dywizja stała się podstawą wojsk brytyjskich w bitwie pod El-Alamein. Znakomici żołnierze.

Na miejscu byliśmy 21 sierpnia 1942 roku.

Z Ismaili, przez Synaj „drogą Mojżesza” dojechaliśmy do Palestyny. I dalej pustynną drogą przez Transjordanie, oznaczoną bańkami po benzynie dostaliśmy się do Iraku. Ja jeszcze zdążyłem pojechać nad Morze Kaspijskie do ewakuowanych z Rosji.

– Jak wyglądali ci przychodzący z Rosji żołnierze dla Was wojskowych z Zachodu?

– Opłakanie. Dlatego, że w drugiej ewakuacji znaleźli się różni uciekinierzy, kobiety, zabiedzone dzieci. To byli zgłodzeni nędzarze.

Po przejściu do Iraku zaczęło się przeorganizowanie wojska. Jesienią 1942

roku ludzi dziesiątkowała malaria. Byliśmy przerażeni, bo żołnierze leżeli pokotem, gorączkując.

Kiedy na jesieni 1943 r. przenosiliśmy się do Palestyny to wziąłem sobie urlop, żeby zobaczyć Liban i Syrię.

W Iraku wykańczała nas temperatura, często przekraczała od wiosny do jesieni 50°C. Dzisiaj kiedy o tym mówię to dziwię się jak myśmy to wytrzymywali. Zajęcia odbywały się do 10-tej rano a potem do 4-tej całe wojsko było pod namiotami, które jeszcze były skrapiane wodą. Dopiero po południu mając w rękę jakieś papiery to nawet światła nie potrzebowałem, bo tak było jasno. A było to około 10 kilometrów od Monte Cassino.

Byłem wtedy w sztabie jako kierownik działu prasy i propagandy. Wydawaliśmy wtedy swoje pismo „Taran”. Umówiłem się z szefem sztabu, moim przyjacielem, że w czasie akcji będę w sztabie operacyjnym. Tak było przez cały okres działań wojennych. Po Monte Cassino zostałem porucznikiem. Na środkowym Wschodzie nie było awansów.

Skoro już jestem przy sprawach wojskowych to w przeciwieństwie do I wojny światowej – sztab, który był z tyłu, to teraz dzielił się na główny sztab, który był z tyłu oraz sztab wysunięty będący na linii. Miałem ten przywilej, że byłem zawsze w sztabie wysuniętym. Był to oddział prawie bojowy.

Kiedyś zdarzyła mi się taka sytuacja. Dostałem polecenie udania się do jednego nacierającego oddziału. Wziąłem łazik, żeby prędzej się dostać. Aby skrócić drogę pojechałem leśnym duktem. Przejechałem około 250 metrów. Kiedy powróciłem do dowódcy i zameldowałem wykonanie rozkazu zastałem tam szefa saperów, który gdy się dowiedział, jaką drogą jechałem zawołał „czy Pan zwariował”? Okazało się, że droga leśna którą jechałem była zaminowana i dopiero posłano tam saperów celem rozminowania jej. Wtedy poczułem jak mi włosy dęba stają.

A udało mi się dlatego, że miny były założone na czołgi, a więc obliczone na większy ciężar.

Naszym dowódcą był świetny żołnierz, znakomity analityk, generał Rakowski. Był to wykładowca w Wyższej Szkole Wojennej. Przeszedł Rosję w strasznych warunkach. Początkowo był szefem sztabu u gen. Andersa, ale potem zastąpił gen. Paszkiewicza. Jako d-cy Brygady Czołgów. To było jeszcze w Ira-

ku. Przeszedł całe wyszkolenie w czołgach, jak zwykli żołnierze. Został wielkim znawcą broni pancерnej.

W czasie akcji pod Loreto siedzieliśmy razem w ogrodzie. On na krześle, ja przycupnięty na stole prowadząc nasłuch. Było to w czasie nalotu. Jedna z bomb trzasnęła w ogród. Podmuchało powietrze zrzuciło mnie ze stołu. Na to gen. Rakowski do mnie: „Co Pan za gimnastykę uprawia”? Siadałem na trawie i widzę, że generał siedzi spokojnie jak gdyby nigdy nic i tylko zapalił cygaro.

Kiedy indziej, już pod Piedomonte pojechałem z rozkazem generała, razem z rtm. Januszem Rakowskim (nie tym który mieszka w Szwajcarii). Pojechaliśmy główną drogą, która idzie na Rzym od południa/Monte Cassino było już zdobyte/. W końcu trzeba było się zatrzymać i przeczołgać się ze sto metrów, gdyż na górze byli jeszcze Niemcy. Załatwiliśmy wszystko, wracamy i na wysokości Monte Cassino, słyszę nagle samolot. Patrzę w górę i widzę, że to Niemiec, który na nas pikuje, jak we wrześniu 39. Krzyknąłem stój, ale tak mocno, że Rotmistrz automatycznie zahamował. Rzuciło nas do rowu. Mieliśmy wielkie szczęście. Seria z pocisków znalazła się w miejscu, gdzie powinniśmy być normalnie jadąc. Naturalnie rozwaliliby nas w kawałki. Taka to już jest wojna.

Miałem w tej wojnie sporo szczęścia.

Przed Bolonią jechał ze mną młody podporucznik (inż. Warszawskiej Politechniki), wioząc sprzęt na 3-tonówce. Zjechaliśmy z drogi szukając odpowiedniego miejsca dla wysuniętego sztabu. Byliśmy od siebie jakieś 10 metrów. Nagle słyszę huk, oglądam się a ta ciężarówka w powietrzu. Najechał na minę. Urwało mu nogę. To był taki młody, przystojny chłopak. Znowu miałem wtedy szczęście.

– We Włoszech przeżywaliście Panowie Powstanie warszawskie.

– Proszę pana, kiedyśmy byli w czołgach w czasie akcji tośmy nasłuchiwali, dosłownie nasłuchiwaliliśmy o tym co się dzieje w Warszawie. Początkowo była z tego powodu wielka radość.

Walki w Warszawie i jej upadek były strasznym przeżyciem dla nas wszystkich. Żeby pan widział też zmianę wtedy wśród naszych żołnierzy. Zrobili się

zupełnie ze stali. Trzeba przyznać, że raczej trzeba było ich rozkazem powstrzymać, żeby niepotrzebnie nie rwali się do przodu, żeby tylko dostać Niemców.

– A kiedy przyszła Jałta?

– Już wcześniej spodziewałem się co to będzie. Kiedy wojska sowieckie weszły na tereny polskie. Kiedy nie udało się Churchillowi w Casablance przeformować koncepcji przerzucenia wojska na Bałkany, zamiast do Włoch już wtedy spodziewałem się najgorszego.

Ja nie znam takiego wroga Polski, który wjedzie na nasz teren i sam dobrowolnie wyjdzie. Musi być siłą wyrzucony, a tej siły nie było. Już konferencja teherańska wskazywała, że dzieje się bardzo niedobrze, że Zachód okazuje słabość. Wtedy nie zawsze było to wyraźne, ale już można się było spodziewać najgorszego. Jałta dopełniła reszty. Mimo to żołnierz 2 Korpusu spełniał swój obowiązek żołnierski, a gen. Anders odpowiedział Churchillowi, że Polacy wypełnią swój obowiązek do końca zgodnie z umową, gdy premier brytyjski zaproponował Andersowi aby zabrał swe dywizje, bo Anglia ma dość wojska.

– A na ile wpływ miał sam generał Anders na wojsko, jego osobowość?

– On zaważył w trudnych momentach. I wtedy pod koniec wojny także. Chociaż zbyt Anders wierzył, że powojenny układ sił musi się zakończyć szybką wojną. Ja nie znam drugiego dowódcy, który miałby taki mir wśród wojska, wśród społeczeństwa wojskowego, bo to była „mała Polska”. Tak naprawdę było. Wszystko to zawdzięczano koncepcji generała Andersa. Pilnował pracy oświatowej, prasy, działalności kulturalnej, myśmy dzięki Andersowi mieli nawet we Włoszech codzienną gazetę.

W Polsce był znany tylko jako kawalerzysta i dobry sztabowiec. Chciałbym powiedzieć, że znałem go jeszcze z Polski, co prawda nie osobiście. Ale pamiętałem, że w czasie jednych ćwiczeń prowadzonych przez Marszałka Piłsudskiego, chyba w 1934 roku. Po omówieniu ćwiczeń Piłsudski posadził obok siebie w czasie pozowania do fotografii tego, który wypadł najlepiej. Usiadł razem z Andersem. Wiedzieliśmy jak to interpretować.

Nie dziwiłem się, że dostał nominację w Rosji. Natomiast zabłysnął naj-

pierw jako społecznik, potem jako polityk. I to od razu w Rosji. To on na szczęście wyprowadził ludzi z Rosji, nie zgodził się na podzielenie wojska słusznie obawiając się jego zagłady. A opuszczając Rosję sam dopilnował, żeby ewakuować dzieci i kobiety z Sowieckiego raju.

To co to jest obecnie jest w wielkiej części jego zasługą. W dużym stopniu realizujemy jego testament. Polska nauka, oświata, kultura, wydawnictwa, życie społeczne – to wszystko było z jego inicjatywy, lub za jego zgodą i pomocą.

W naszej brygadzie byli młodzi chłopcy, gimnazjaliści – oni byli w kompaniach pomocniczych. Kiedy tylko skończyły się akcje natychmiast przyszedł rozkaz, aby chłopców odesłać do szkoły.

To jest myślenie nie generała, ale przywódcy państwowego. To co on stworzył we Włoszech to zostało przesunięte na teren londyński. On nie miał formalnego tytułu, ale nazywał się Anders i to wystarczyło.

Ale chyba najwspanialsze to było co w stworzono we Włoszech; to nasze życie polskie. Z tych naszych skromnych poborów odkładaliśmy pieniądze na książki, na pomoc dla Polaków w Niemczech. Tu trzeba dodać, że nie było żadnego sarkania. Żołnierze cieszyli się z tego, bo wiedzieli bowiem że żony i dzieci mają opiekę. To nie było zwykłe wojsko, to była organizacja społeczno-wojskowa. W naszej historii żadna organizacja nie dokonała tego, co dokonał II Korpus dzięki Andersowi.

Ten sam polski żołnierz stworzył emigrację niepodległościową. Cała masa ludzi zaangażowana w pracę społeczno-polityczną jaka jest na emigracji po dzień dzisiejszy to w głównej mierze ci, którzy przeszli przez szkołę II Korpusu. Większość i to olbrzymia prezesów kół Stowarzyszenia Polskich Kombatanów, a widzę to bo jeżdżę po całym świecie, wywodzi się przeważnie z II Korpusu.

Spotkałem w życiu swoim jednego generała i to był Anders, który tak dobrze wyczuwał życie społeczne. On miał charyzmat. Mówię o tym dlatego, że już w roli prezesa SPK raz w tygodniu spotykałem się z Generałem. On nigdy nie decydował w sprawach społecznych bez konsultacji. To było u niego niezwykle.

29 XII 1988, Londyn

RYSZARD CZARNECKI I KRZYSZTOF TURKOWSKI ROZMAWIAJĄ Z GENERAŁEM KLEMENSEM RUDNICKIM¹

Urodziłem się w Żydaczowie, gdzie mój ojciec był w służbie państwowej austriackiej. Urodziłem się 3 marca 1897, a więc w XIX wieku, dorastałem w XIX wieku. Dlatego, że dwudziesty wiek zaczął się dla nas po I wojnie światowej. Wszystko co się działo do I wojny światowej to był XIX wiek.

Moje pokolenie młodzieży czuło, że przychodzi na niego pora podjąć tę pałeczkę, którą wszystkie pokolenia polskie od rozbiorów dokonywały.

Pochodzę ze starej rodziny szlacheckiej, bardzo majątnej. Mieliśmy szereg majątków na Podolu.

W tamtym okresie wystąpiła u nas w Galicji i Lodomerii tendencja, żeby przejąć od cesarza zarządzanie tymi prowincjami w ręce polskie. Zainicjował to Agenor Gołuchowski, Potem Andrzej Potocki i zaapelował do szlachty polskiej, by przeszła do pracy w Galicji.

Polonizujemy Galicję.

Mój ojciec był z tych, którzy poszli do służby w namiestnictwie, u Andrzeja Potockiego, i został w końcu starostą powiatu Trembowla, gdzie ja chodziłem do gimnazjum. Był to 1902/3 rok.

Atmosfera w naszym domu była taka, jak w starych rodzinach polskich na Kresach. Moja babka była z domu Mrozowicka, była siostrą tego Mrozowickiego, który z Jeżem konspirował. Był w 1848 roku w węgierskim powstaniu.

¹ Klemens Stanisław Rudnicki ps. „Klimek” (ur. 28 marca 1897 w Żydaczowie, zm. 12 czerwca 1992 w Londynie) – oficer dyplomowany kawalerii Wojska Polskiego II Rzeczypospolitej i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. 1 kwietnia 1945 roku mianowany generałem brygady, a 11 listopada 1990 roku mianowany przez Prezydenta RP na uchodźstwie generałem dywizji.

Ta tradycja tkwiła u nas. Moja babka Zosia Rudnicka chowała powstańców w kominie w 1863 roku.

Polski nie było na mapie, ale Polska żyła po dworach, ale już zaczął się ruch chłopski. Wyrósł Witos.

Wówczas powstało harcerstwo. Do mnie przyszło, do naszego gimnazjum w 1909/10 roku. Ono porwało nas. Myśmy w harcerstwie przygotowywali się do jakiegoś czynu dla Polski. Przyszło „Zarzewie” oparte na „Sokole”.

Zaczęliśmy nie tylko biegać po lasach z kijami, zaczęły się tajne zebrania.

Zaczęły się przygotowania do wojska, na razie z pomocą austriacką.

– Czy Pan generał jako gimnazjalista przewidywał, że będzie miał tak wspaniałą karierę wojskową?

– Byliśmy przekonani, że przyjdzie na nas kolej, że musimy stworzyć polskie wojsko. Czuliśmy wtedy, że nadeszła pora.

– Za nim przyszło wojsko uczestniczył Pan w wielkim Jamboree w Birmingham w 1913 roku.

– To, że przybyłem na ten zjazd to był jeden z wyczynów „Sokoła”. Z Trembowi trzech z nas pojechało na ten zjazd. – Tadeusz Dobrowolski, który tworzył skauting w Trembowi, Adam Karpiński – mój kolega z klasy, wspaniały taternik, Sulimirski, późniejszy profesor Uniwersytetu, także Władysław Zaleski. Jestem ostatnim z żyjących polskich uczestników tego zjazdu. Polski skauting nie mógł być zaproszony, więc my mieliśmy napisane Poland, a także Trembowla, Lwów. Baden-Powell nas przyjmował po przybyciu do parku w Birmingham. Ulokowano nas obok Irlandczyków, dwa narody uciśnione. Irlandczycy przyszli do nas i mówili, żebyśmy uważali z Anglikami, bo to są zbrodniarze, którzy nas gnębią, jak gnębią zaborcy. Odwiedził nas książę Walii.

Dało to nam asumpt, że gdy się tworzył w 1914 roku Legion Wschodni we Lwowie pod Hallerem to wówczas moja grupa wstąpiła do tego Legionu. Pożegnanie było romantyczne, ksiądz przed kościołem Karmelitów żegnał tych kilkunastu idących do wojska.

Koncentracja Legionu Wschodniego odbyła się we Lwowie w koszarach

przy ulicy Jabłonowskiej i stamtąd, gdzie dostaliśmy „manlichery” ruszyliśmy na zachód aż do Mszany Dolnej. Tam nastąpiło rozwiązanie Legionu Hallera.

– Jak się potoczyły dalsze losy Pana w I wojnie światowej?

– Jak się rozwiązał Legion Wschodni zostałem odcięty od domu, gdyż moja cała rodzina znalazła się pod okupacją rosyjską – poszedłem do Nowego Targu robić maturę. Nie podobało mi się w Nowym Targu więc poszedłem do Zakopanego i tam spotkałem na ulicy mojego księdza prefekta z Trembowli. Spytał mnie co tutaj robię. Kazał mi natychmiast zapisać się do gimnazjum Jarosza, to takie prywatne gimnazjum. Skończyłem tam 8 klasę i w styczniu zdałem przyspieszoną maturę.

I przyszła kolejka na mój rocznik do wojska austriackiego. Wstąpiłem do 15 pułku piechoty. Jako maturzysta i jednoroczny ochotnik poszedłem do szkoły oficerskiej w Wigensdorfie na Morawach. Stamtąd jako kapral, a potem plutonowy zostałem wysłany na front włoski.

Było to w 1916 roku. Szliśmy z Innsbrucku piechotą przez Brenner aż nad jezioro Garda. Tam przebiegał front. Właśnie tam zostałem ciężko ranny, aż do dziś dnia mam bezwładną lewą rękę. Wtedy zostałem podporucznikiem, przeszedłem przez szereg szpitali.

1 listopada 1918 roku byłem w szpitalu w Krakowie, wiedzieliśmy co się przygotowuje. Z drugim moim kolegą, także podporucznikiem austriackim zapukaliśmy do drzwi komendanta, sztabskapitana Merunowicza, to był Ukraińiec. Stanęliśmy na baczności i zameldowaliśmy, że monarchia się rozpada i spytaliśmy się czy wobec tego pozwoli nam zdjąć portret cesarza Karola ze ściany. On stanął na baczność i portret zdjęliśmy i postawiliśmy twarzą do ściany. I tak opanowaliśmy szpital. Stamtąd poszedłem na krakowski rynek, gdzie była kordegarda i tam był oddział polski, którym dowodził kapitan Zając. Późniejszy generał. I tak objęliśmy Kraków.

Równocześnie 2 listopada przeczytałem w gazecie, że na ulicy Garncarskiej nr 2 organizuje się 2 Pułk Ułanów Legionowych. Poszedłem tam, okazało się, że organizatorem jest mój dobry znajomy, rotmistrz Brzezicki z Osiecza, mój krajan.

Zaraz z początkiem listopada szedłem ze świeżo uformowanym półszwa-

dronem pułku, który szybko nazwał się 2 Pułk Szwoleżerów Rokitniańskich na front lwowski. Koleją nas przewieźli do Przemyśla i stamtąd, gdzie spotkałem Tokarzewskiego, i z nim razem biliśmy się pod Bartatowem, chroniąc linię kolejową Przemyśl-Lwów. Po walkach o Lwów zostaję z tym szwadronem, w którym dowódcą był porucznik Kunachowicz, mój wielki przyjaciel a ja jego zastępcą. Zostaliśmy przydzieleni jako kawaleria do 3 dywizji piechoty dowodzonej przez generała Zielińskiego, nazywanego przez nas „dziadkiem”. Był wtedy stary miał chyba czterdzieści parę lat. Dla nas to był wtedy dziadek.

Z tą dywizją biliśmy się całą ofensywę ukraińską. W czasie odwrotu spod Brzeżan „dziadek” Zieliński nie chciał odchodzić. Wsiadł do powozu, otoczyliśmy go i tak odjechalśmy. On był taki smutny i po drodze, gdy zatrzymaliśmy powóz, on wysiadł i powiada: „Wiedziecie co ułani, że Zieliński pierwszy raz się cofa.”

Do lipca 1919 roku byłem się w tej dywizji i doszliśmy tak do Zbrucza. Wojna się zakończyła i mój szwadron wrócił do pułku, który tymczasem był na Śląsku. Tam jeszcze braliśmy udział w ostatnich walkach z Czechami.

– Panie generale wojna polsko-ukraińska o Małopolskę Wschodnią była specyficzna, toczona na ziemiach rodzimych żołnierzy obu armii. Tam było wiele elementów wojny domowej. Wtedy pogłębiły się pęknięcia między Polakami i Ukraińcami.

– Dla nas była to normalna rzecz. Lwów był dla nas polski, Galicja Wschodnia była polska, bo rzeczywiście było to tak przemieszane. Myśmy nigdy z Ukraińcami nie wojowali. Sam miałem kolegów Ukraińców, z którymi byłem bardzo związany.

Myśmy wtedy rozumieli, że kość niezgody między naszymi narodami rzuciła Austria. Ale oczywiście Lwów był polski i o to się biliśmy. Ale nie było jakiegś nienawiści między nami.

– Panie generale 26 kwietnia 1920 roku Józef Piłsudski i Semen Petlura wydają wspólny rozkaz i rozpoczynają walkę, której celem jest odebranie Ukrainy bolszewikom. Zaczęła się wspólna walka Polaków i Ukraińców przeciw bolszewikom. Gdzie Pan wtedy był?

– Byłem wtedy z pułkiem nad Morzem Bałtyckim. Nasza brygada kawalerii

brała udział w zajmowaniu Pomorza. Braliśmy udział w zaślubinach w Pucku. I tam nas zastał rozkaz koncentracji całej kawalerii nad Słuczą.

Kiedy tam wchodziliśmy na Kaszuby to było wspaniałe. Witali nas chlebem i solą. Wszędzie, w każdej wiosce.

W czasie zaślubin uczestniczył cały 1 Pułk Ułanów i delegacje z innych pułków, po szwadronie ze sztandarem. Dla nas to było wielkie przeżycie.

– Ale wróćmy do kwietnia 1920 roku.

– Przywieźli nas transporterami do Słucz, pod Szepietówkę. Tam nas wyładowano, organizowała się tam 1 dywizja kawalerii pod generałem Rómmlem, której zadaniem był rajd na Koziatyn, ok. 130 kilometrów.

Musielśmy przebić się i nadruszyć cały front. Piłsudski miał genialny pomysł, chciał po prostu wstrząsnąć całym frontem. I tak się stało.

Nasza dywizja ruszyła – Winnica, Białocerkiew, do majątków Branickich. Wtedy przyszły pierwsze wiadomości, że zbliża się armia konna Budionnego i pod Czerkasami będzie przechodzić Dniepr, i ruszy na nas. „Trylogia” nam się przypomniła, Dzikie Pola.

Szedłem wtedy pamiętam z podjazdem na Roś i tam było moje pierwsze spotkanie z tym Budionnym, pod Taraszcą.

– Jaki to był żołnierz z drugiej strony?

– Kozacy. Typowi Kozacy. Tacy sami jakieśmy o nich czytali u Sienkiewicza. Identycznie. Dobrzy żołnierze na swój sposób. Tak samo nie wytrzymali impetu jak za dawnych czasów. Myśmy szarżami przechodzili przez nich tam i z powrotem. Oni się rozsyrywali i otaczali nas na powrót.

I to była wspaniała wojna. Siedemnastowieczna wojna. Dobra szabla, dobry koń, który decydował o bezpieczeństwie, o wszystkim. To było wspaniałe.

– Potem zaczął się odwrót. Okazało się, że przewaga bolszewików jest duża.

– Ja myślę, że przyczyną był marsz Tuchaczewskiego na północy na Warszawę. Piłsudski musiał wycofać z południa armię.

Myśmy byli cały czas w walce z Budionnym, który następował na tyły. I tak

wojowaliśmy aż do Komarowa i tam ta wielka kompania konna, o której tak ślicznie opisuje płk Krzeczunowicz, się zakończyła. A potem był pościg za Budionnym. To był romantyczny pościg, bośmy aż do Horynia go ścigali.

Kiedy on przeszedł przez Horyń i myśmy zatrzymali się.

Tam się nawiązała między nami a Kozakami całkiem przyjemna atmosfera.

– Na czym to polegało?

– Do 9 pułku ułanów, który miał odcinek nad Horyniem przyjechała podwoda i woźnica oddał kartkę od Kozaków z drugiej strony. Kozacki dowódca zaprosił jednego z oficerów, żeby sobie pogadać z nim. Dają czestne słowo kozackie, że go puszczą z powrotem. Porucznik Wiktor z 9 pułku ułanów nie namyślając się wiele wsiadł na konia, wziął trębacza i pojechał na drugą stronę.

Dojeżdża i pokazuje tę kartkę. Nie bardzo wiedzieli co z nim zrobić, przekazywali go od jednego do drugiego, aż dostał się do samego Budionnego do Korca.

I Wiktor pojechał już bryczką do Korca. Przyjeżdża. Prowadzą go do kwatery Budionnego. Za stołem siedzi Budionny, obok niego siedzi Szaposznikow i pytają go:

„Za czom Wy tutaj przyjechali?”

Wiktor odpowiada: „Dostałem kartkę, że chcecie porozmawiać.”

Porozmawiali dwie godziny z Budionnym, bardzo ładnie o naszych wszystkich przejściach i wreszcie Budionny mówi, teraz wracaj z powrotem. Czestne słowo kozackie to czetne słowo. Dla pewności dam ci mojego oficera sztabu, który cię poprowadzi. I na koniec dał mu kindżał swój w prezencie i pismo, które ja widziałem.

Było tam: „Porucznik 9 półka ułanów był u mnie dwie godziny i niczym tajemnic wojennych nie zdradził. Budionny.”

Wiktor z tym przyjechał.

Od razu poszedł do raportu i dowódca dywizji Rómmel skazał go na 21 dni aresztu domowego, którego nigdy nie odsiedział za samowolne opuszczenie odcinka.

Zanim przyszło zawieszenie broni powstał cały korpus. 2 dywizja kawalerii, która skończyła z Gaj-Chanem robotę, powróciła tutaj i tak powstał cały korpus.

Pod koniec września 1920 roku Rómmel zaproponował, że zrobi zagon na Iskoroż, żeby ostatecznie przełamać front. To zostało przyjęte i nasz korpus, 15000 szabel rusza 150 kilometrów w głąb. Po drodze musieliśmy sowieckie pancerki wysadzić. Rozkręcać tory. Zdobiliśmy Korosteń. Kolosalna zdobycz, zdobyty węzeł kolejowy. Wróciliśmy i zastał nas rozkaz, że jest zawieszenie broni.

Straty nie były wielkie, najbardziej zmniejszył się stan szabel z powodu braku koni. Szarże nasze nie przynosiły wielkich strat.

– To był koniec wojny polsko-bolszewickiej.

– Koniec wojny zastał mnie jako rotmistrza. Miałem Virtuti Militari.

– Jak się toczy pańska dalsza kariera?

– Jestem ciągle w 2 Pułku Szwoleżerów i wracam do garnizonu pułkowego, który wtedy był w Bielsku-Białej. Miałem właściwie zamiar wystąpić z wojska. Zrobiłem swoje i trzeba by go gospodarować. Taką prośbę wniosłem do dowódcy pułku, którym był major Róg. A on do mnie, że jeszcze nie koniec na tym, zastanów się mówi mi. Zastanowiłem się i zostałem, zawodowym oficerem.

Posłali mnie na kurs do Grudziądza, 9-cio miesięczny kurs do szkoły kawalerii w 1923 roku. Wróciłem do pułku, który został w międzyczasie przeniesiony do Starogardu. Ożeniłem się, miałem dwie córki, zawodowa służba była marnie płatna a pojawiły się perspektywy, by pójść do Korpusu Ochrony Pogranicza. Złożyłem prośbę o przeniesienie mnie do KOP-u. Było to w 1926 roku.

– A gdzie Pana zastał zamach majowy?

– Zamach zastał mnie w Starogardzie. Mieliśmy bardzo proste wyjście. Mieliśmy depesze od Piłsudskiego i z Zamku, od prezydenta Wojciechowskiego, że mamy pilnować granicy. Dla nas sprawa była rozwiązana.

Potem byłem już w Korpusie Ochrony Pogranicza. Chciałem koniecznie pójść na Podole, gdzie szwadron stał w majątku mojej ciotki, bo wróciłbym na moje Podole, charty, polowania to co ja lubię.

Tymczasem odwrotnie, i zostałem wyznaczony na dowódcę 7 Szwadronu KOP-u w Podświlu w powiecie Głębockim. Poszedłem tam i byłem do 1928 roku.

Ach ta cudowna Wileńszczyzna, co za cudowni ludzie tam, ach te zaścianki, znowu Sienkiewicz.

Cóż to za cudowne polowania. Mój szef to był taki wielki myśliwy. Mieliśmy wtedy 5 psów gończych. Taki „Hałas” – najstarszy pies, który nigdy w piętkę nie gonił, jak on gonił za zającem czy lisem. Drugi pies to był „Lotka” i mieliśmy takiego młodego szczeniaka „Waldhorn” się nazywa. On wyszukiwał, gdzie są tropy zająca. Kiedy on zaczął szczekać to przychodził „Hałas” skontrolować i poszedł, a cała sfora za nim. I wiadomo było, że gonią tego zająca czy lisa. I stało się w dobrym miejscu i za dwie godziny z daleka słysząc zbliżający się gon i zjawia się zając. I wilka wtedy strzeliłem, lisów nie mało, głuszce, cietrzewie, słonki.

A tu w 1928 roku to wspaniałe życie przerwał mi rozkaz z ministerstwa, żebym przybył na kurs do Wyższej Szkoły Wojennej do Warszawy. Szkoły ja nie idę, jest mi bardzo dobrze tutaj, że wolę być w Kopie. Wolę ganiać niż iść na gryzipiórka do Wyższej Szkoły, czy jakiegoś adiutanta. Ale musiałem pójść.

Poszedłem na kurs próbny do Warszawy z zamiarem, aby ten kurs próbny tak zrobić, żeby mnie wylali. Był tam już wtedy generał Kutrzeba. Komentantem kursu był Tomaszewski, w obronie Warszawy we wrześniu 39, szef sztabu Czumy. On był także z Trembowli i przekonał mnie, że muszę zostać. I rzeczywiście skończyłem ten kurs próbny. Zdaje się, że skończyłem dobrze, ponieważ zatrzymali mnie przy katedrze taktyki. Byłem tam asystentem. Potem przyszła na mnie kolejka i odbyłem służbę jako zastępca dowódcy pułku. Poszedłem do Poznania. To był rok 1931, gdzie dowódcą pułku był także mój dobry znajomy i nawet kuzyn – Kownacki, z kirasjerów rosyjskich. Wspaniały człowiek. Takiej postury, że z trudnością na konia siadał jak Sobieski, ale był znanym zagończykiem.

Spędziłem tam dwa lata.

Potem przyszedł do mnie rozkaz, bym wrócił do szkoły wojennej tym razem na Katedrę Taktyki Ogólnej. Byłem tam aż do 1938 roku.

– To tam Pan kolegował z pułkownikiem Irankiem-Osmeckim, Rzepeckim. Z całą elitą naszego wojska. Czy mógłby Pan opowiedzieć o Wyższej Szkole Wojennej?

– Osiągnięcia Szkoły to zasługa przede wszystkim wybitnego sztabowca i dowódcy, generała Kutrzeby. To był austriacki oficer. Saper. Światowej klasy oficer, jako sztabowiec.

Prowadziliśmy wtedy gry wojenne.

Były to z polecenia Naczelnego Wodza ćwiczenia dla dowódców. Bardzo je lubiłem.

– Czy byli wówczas dowódcy wyraźnie się wybijający?

– Wszyscy generałowie przeszli przez moje ręce. Wybijał się Anders, generał Wład, Bołtuć, Szylling. To byli wybitni taktycy. Dowódcy w takiej grze stawiani byli w trudnej sytuacji wojennej i egzamin polegał na podjęciu optymalnych decyzji.

Ale Pan mnie pytał o Kutrzebę i mnie się przypomniła taka historia którą mi opowiedział.

Kiedyś, kiedy dyżurowałem przychodzi do mnie Kutrzeba i mówi wiem, że to ciężka służba. Opowiem panu coś z moich doświadczeń.

„Pan wie, że ja byłem u Mackensena, dowódcy 8 Armii niemieckiej w Rumuni przed listopadem 1918 roku. I raptem dowiaduję się tam, że wybuchła Polska. Jestem z Krakowa to postanowiłem, że muszę wracać do mojego miasta. Byłem wtedy majorem austriackiego sztabu generalnego. Przyjeżdżam do Krakowa, a tam mi powiadają, że muszę natychmiast jechać do Warszawy, bo tam jest brak oficerów sztabowych. Tam jest pułkownik Teliczko, także austriacki a szefem sztabu jest generał Szeptycki, więc pojechałem. Melduję się i tej samej nocy dostaję rozkaz, że mam być dyżurnym w Naczelnym Dowództwie. Dopiero dowiedziałem się, że Polska wybuchła. Ja od Mackensena, nic nie wiem bliżej i oto mam dyżur w Naczelnym Dowództwie.

W nocy przychodzi depesza od generała Latinika ze Śląska, która brzmi tak: „Czy mam zawrzeć rozejm z Czechami i na jakich warunkach.” I taka depesza przychodzi do nas.

Ja ledwo od tego Mackensena przyjechałem, nic jeszcze nie wiem co się w Polsce dzieje, więc nie wiem co robić.

Idę do pułkownika Teliczki, budzę go w nocy, a on mi powiada: „Idź Pan do szefa sztabu, bo sprawa jest poważna, polityczna.”. A gdzie on jest. Dowiaduję się, że mieszka w Hotelu Europejskim. Idę do hotelu. Dzwonię do Szeptyckiego a on już śpi. W końcu go budzą. Nakłada na nos okulary, mówię o depeszy generała Latinika. On czyta depeszę i mówi, że to poważna sprawa polityczna i trzeba iść do premiera, który właśnie jest tutaj na 2 piętrze. I jest tam także Wódz Naczelny – Piłsudski.

Ja prosto od Mackensena, nie wiem kto ważniejszy, nie wiem co się tu dzieje. Poprawiłem się i pukam do drzwi.

Otwiera mi pani Paderewska i zaprasza mnie na herbatę.

Wchodzę do pokoju. Atu Piłsudski chodzi po pokoju, a Paderewski siedzi przy biurku. Melduję się – major Kutrzeba z depeszą. Piłsudski bierze i czyta. Po chwili mówi. To dla Was premierze. Paderewski czyta i zaczyna odpisywać. Napisał jeden arkusz, zmiął, wyrzucił. Drugi napisał i też wyrzucił. Potem napisał coś i daje Piłsudskiemu.

A na to Piłsudski: „O nie. Majorze przeczytajcie to.”

Ja czytam, a to mniej więcej jest tak: „My, którzy nigdy nie chcieliśmy przelewać krwi bratniego narodu itd.”

Piłsudski wtedy pyta się mnie czy pan to rozumie. Ja teraz nie wiem co mam robić.

Ja prosto od tego Mackensena, nie wiem, co i kto tu ważny. Powiem, że rozumiem to źle, powiem, że nie to jeszcze gorzej. Tak czy inaczej się narażę.

W końcu zebrałem się i mówię: „Panie komendancie melduję, że nie rozumiem.”

A na to Piłsudski: „Widzicie premierze, to jest żołnierz, to nie rozumie tego. Do żołnierza trzeba mówić jasno.”

Sam wziął i napisał: „Rozejm zawrzeć z wypowiedzeniem 24-godzinny”. Rano idę do Szeptyckiego i daję mu to. Szeptycki czyta i woła: „A co to za duren to napisał?”

I ja znowu nie wiem co robić? Na kogo powiedzieć – Piłsudski czy Paderewski?

I to są trudności oficera, który przyjechał od Mackensena, bo Polska wybuchła a on nic o tej Polsce nie wie.” Kończył opowiadanie generał Kutrzeba.

Ale wracając do szkoły to chowała on rzemieślników sztabu a nie dowódców. Francuzi chowali dowódców, my sztabowców.

Piłsudski a potem Rydz chcieli właśnie szkolić dobrych sztabowców. Takiego, który potrafił zrobić analizę dla dowódcy, napisać rozkaz, dopilnować wykonania rozkazu. Takich fachowców nam potrzeba. To była zadanie Kutrzeby i nasze.

Sam miałem okazję siedząc w Wyższej Szkole sporo się nauczyć. Zbieraliśmy prasę z całego świata, dużo czytaliśmy prac naukowych. Opracowań sztabowych niemieckich, włoskich, francuskich.

– Panie generale, jak Pan ocenia z perspektywy lat, jakość wojska Polski Niepodległej, jego przygotowanie do wojny – fachowe, sprzętowe, kadrowe?

– Nie można stworzyć wojska i sztabu w ciągu kilku lat. Tego się nie da zrobić. Wspaniałe wojsko niemieckie potrzebowało dwustu lat. Jak tu żądać, żeby stworzyć w ciągu 2-3 lat wojsko. Nie.

Myśmy mieli doskonałych dowódców na szczepie roku 1920-go, z których wyrosli generałowie, którzy potem osiągnęli dzięki temu, że byli dobrymi dowódcami batalionów albo pułków, stopnie wysokie a że byli jeszcze młodzi, to nie bardzo chciało się im pracować. Zaczynali korzystać z przyjemności.

Generalicja nasza nie cała była na poziomie. Zawsze znakomity był Anders, Szylling, Wład. Był cały szereg wybitnych, rozwijających się dowódców.

Mieliśmy znakomicie przygotowanych oficerów sztabowych dzięki Kutrzebie, żołnierz był u nas bardzo dobry, wręcz doskonały.

Natomiast według mnie niedobre były plany wojenne. Plan strategiczny Naczelnego Wodza w trzecim dniu wojny okazuje się nierealny.

– Wróćmy do Pana losów. Przychodzi sierpień 1939 roku.

– W 1938 objąłem dowództwo 9 Pułku Ułanów Małopolskich w Trembowli, po pułkowniku Tadeuszu Komorowskim, późniejszym „Borze”, moim przyjacielu.

Przychodzi mobilizacja i zastaje mój pułk na ćwiczeniach w Miodoborach na Podolu. Podjąłem decyzję, że trzeba szukać Matki Boskiej. Pojechaliśmy

z pułkiem do Jazłowca. Zapukałem do furty klasztornej i poprosiłem przełożoną, żeby pozwoliła złożyć nam votum.

– I tak zaczyna się opisywany przez Pana Generała szlak bojowy w książce, która miała tyle wydań na emigracji i w podziemiu. Ale przypomnijmy po krotce losy Pana Generała w czasie wojny.

– Wojnę zacząłem z pułkiem w Brygadzie podolskiej, która była częścią armii Kutrzeby. Przechodzimy Poznań, idziemy aż na Zbąszyń. Stamtąd się wycofujemy gdyż nie ma żadnej styczności z przeciwnikiem. Dopiero 12 września armia Kutrzeby weszła do walki. O tym, że brałem udział w bitwie nad Bzurą to dowiedziałem się dopiero z historii. Dla mnie to była zwykła walka z Niemcami. Razem z grupą kawalerii już wówczas pod dowództwem generała Abrahama, który był dowódcą Poznańskiej Brygady Kawalerii, dołączyła Brygada Podolska i część oddziałów Grzmot-Skotnickiego, ta która się uratowała. Z tą grupą przebijaliśmy się przez Puszcę Kampinoską na odsiecz do Warszawy. Przeżyliśmy ciężkie walki pod Sierakowem, pod Laskami przebiliśmy się przez Młociny do stolicy. Weszliśmy w skład obrony Warszawy. Obroną dowodził wtedy Rómmel. W związku z tym, że nie było zajęcia w oblężonej Warszawie dla kawalerii powstały plany, żeby się przebić na Wilanów. To się okazało nierealne i wobec tego byliśmy do końca obrony. Bronilem Fortu Dąbrowskiego, to był mój sektor obrony. Tam zastała mnie kapitulacja. Ponieważ znałem Rómmela i jego szefa sztabu – Pragłowskiego, bardzo dobrze, to był mój przyjaciel, więc byłem na ostatniej odprawie. Byli tam Rómmel, Kutrzeba, Tokarzewski, Czuma i ja. Rómmel oświadczył, że nie ma sensu walczyć dalej, ludność nie ma wody, żywności. Nie ma żadnych szans. Wtedy Tokarzewski wystąpił tam, że pozostanie i będzie tworzył armię podziemną.

Ja wtedy konno z pułkiem w trzysta szabel szedłem do niewoli. Takśmy doszli pod Grodzisk czy Błonie. Dałem wtedy następujący rozkaz, że jak długo ułani są z nami to my, oficerowie nie uciekamy. Z chwilą, gdy oddaliśmy konie i ułani zostali puszczeni do domów dałem rozkaz ucieczki. I sam uciekłem.

– Jak Pan uciekł?

– Bardzo prosto. Jako ciężko chory, symulując, zostałem na noszach wy-

wieziony do polowego szpitala przez mego oficera lekarza, Paczkowskiego, to był sławny „Wania”. On mnie wyniósł na noszach z obozu do szpitala, jako umierającego człowieka. Szpital był polski. Jacobson, komendant, już wtedy był w porozumieniu z Tokarzewskim.

To wszystko była „jedna mafia”. Pozostałem przez kilka dni w tym szpitalu. Posłałem do Warszawy cyklistę, który pojechał po ubranie cywilne, zawiadomił moją siostrzenicę, Ewę Szarkowską-Gelejewską, i panią Łubieńską, że jestem w szpitalu. Pewnego dnia przyjechał samochód z flagą Czerwonego Krzyża. W samochodzie siedział Ludwik Plater i moja siostrzenica. I powiedzieli, że przyjechali po mnie. Przebrałem się w ubranie cywilne, poszedłem w kierunku niemieckiego posterunku, kiwnąłem mu ręką, wsiadłem do samochodu i pojechałem. I tak znalazłem się w Warszawie u pani Łubieńskiej. Tam spotkałem pułkownika Godenoskiego, już ukrywającego się pod nazwiskiem Suchodolski i cały szereg innych żołnierzy. Nie było ani chwili załamania. Rozumieliśmy doskonale, że jedną bitwę w wojnie przegraliśmy, ale to nie znaczy, że przegraliśmy wojnę. Wygramy. Zastanawialiśmy się, gdzie wziąć udział w walce. Jedni uważali, że trzeba walczyć w podziemiu, inni że trzeba walczyć we Francji. Ja chciałem do Francji, z tym zamiarem uciekałem. Nie nadają się na podziemie. Ale kiedy zobaczyłem „Loursa” i w innych kawiarniach tyle naszych poprzebie-ranych za cywili oficerów i rwących się do jakiejś roboty – postanowiłem, że muszę ich skierować do Tokarzewskiego, który właśnie organizuje podziemie.

Dostałem się do niego przez Albrechta, pułkownika. Powiązałem ich z Tokarzewskim, a sam do Krakowa, żeby stamtąd iść przez Karpaty na Węgry.

Gdy pod koniec października przyjechałem do Krakowa to spotkałem tam mojego znajomego pułkownika Epplera, który mówił mi, że jest dowódcą różnych tworzących oddziałów zbrojnych w konspiracji. Powiedział mi, że musi wyjechać i poprosił mnie czy nie zechciałbym przejść od niego konspiracji. Powiedziałem mu, że nie nadają się do konspiracji i powiedziałem, że tu jest mój przyjaciel płk Tadeusz Komorowski w szpitalu Bonfratrów schowany. Poszedłem do niego i Komorowski się zgodził pod warunkiem, że zostanę z nim. I tak zostałem z Komorowskim w Krakowie. Nie wiedzieliśmy kto ma prawo organizować to podziemie. Endecy i stronnictwo Ludowe w Krakowie nie chciało słyszeć o Tokarzewskim, żeby legionieści z powrotem. Poszli do Komo-

rowskiego, żeby to robił bo nie był legionistą. Rudnicki także nie był senatorem.

Postanowiliśmy, że ja najpierw pójde do Lwowa, żeby się dowiedzieć jaka jest sytuacja pod okupacją sowiecką, wrócę z powrotem i napiszemy wtedy raport przyzwoity do Sikorskiego i z tym raportem pójde.

Pojechałem do Lwowa, a właściwie poszedłem przez San koło Przemyśla, bez przewodnika. Takim utartym szlakiem.

Tamta okupacja kolosalnie się różniła od niemieckiej. Tym się różniło, że tam był zupełny bałagan. Po Lwowie kręcący się żołnierze z karabinami na sznurkach. Idiotyzm zupełny. Moje wrażenie było takie, że to nie może trwać. Kompletna głupota. Spotykam mojego przyjaciela, profesora Halbana z Uniwersytetu Jana Kazimierza. Mówię mu: „W „Czerwonym Sztandarze” jest informacja, że ty podpisałeś taki hołdowniczy list do Stalina”. On na to, że wie, ale z gazety się dowiedział, że coś podpisał.

Uznałem, że groźniejsi są Niemcy, bo tu się musi rozlecieć. Z takim wrażeniem przyjechałem do Krakowa i Warszawy. Ale sam z raportem nie poszedłem, bo znalazł się kurier, który zabrał materiał. Kurierem był Władysław Techóchowski. Przywiózł nam w krótkim czasie odpowiedź, że prawo organizowania podziemia ma Rowecki, a Tokarzewski ma organizować konspirację w zaborze sowieckim.

Albrecht przywiózł mi sugestię od Roweckiego czy nie zgodziłbym się pójść do Lwowa, jako zastępca Tokarzewskiego, gdyż znam miasto. Pojechałem do Warszawy, gdzie Rowecki poinformował o sytuacji. Pojechałem do Tokarzewskiego, który mieszkał na Filtrowej. Powiedziałem, że zwalczałem pana generała z powodów politycznych, ale jestem z Lwowa i chętnie pójde z panem. On się zgodził.

Dostałem 20 dolarów w złocie na drogę, które wręczyła mi pani Karasiówna i poszedłem do Krakowa i stamtąd na Jarosław przez San. Była zima, śnieg, psy po śladach mnie znalazły.

– Czy bolszewicy rozpoznali z kim maja do czynienia?

– Nigdy. Siedziałem półtora roku w więzieniu w Dniepropietrowsku w śledztwie. Wiedzieli, że coś jest nie tak, ale dostałem bardzo łagodny wyrok. 5 lat wolnej zsyłki do Kirowa.

Sam im powiedziałem kim jestem, ale później.

– **Przychodzi porozumienie Sikorski-Majski. Pan gdzie jest wtedy?**

– Znajduję się w Kirowie i pracuję jako robotnik przy wyciąganiu drzewa z Wiatki. Występuję jako Józef Rumiński.

– **W momencie, gdy Pan się dowiaduje o amnestii co się dzieje dalej?**

– Najpierw nie uwierzyłem. Słyszałem przemówienie generała Januszajtisa, który wygłasza je gdzieś w Rosji. Mówił wtedy coś o panslawizmie. Żeby z bratnim narodem wspólnie bić Niemców. Brzmiało to bardzo niedobrze. Potem dowiedziałem się z radia, że jest już ambasador, że przyjeżdża generał Szyszko-Bohusz i, że generał Anders został mianowany wodzem. A to już co innego. Wtedy poszedłem do mojego dyrektora fabryki i powiedziałem, żeby mnie puścił. Oni mi powiedzieli, że jestem starik a takich nie potrzeba w wojsku. Nie miałem innego wyjścia i postanowiłem opowiedzieć dokładnie kto ja jestem. Najpierw z Kirowa posłałem list polecony do ambasadora i do Szyszko-Bohusza. Po 5 dniach poszedłem do szefa NKWD i powiedziałem kto ja jestem i poprosiłem o odesłanie mnie do armii. On zbladł, potem się zastanowił, podał mi rękę i poprosił żebym siadł. Powiedział, że to trzeba przesłać do Moskwy, przejrzeć i zapytać. Zakazał mi, żebym cokolwiek komuś powiedział i kazał i wrócić z powrotem.

Po dwóch tygodniach zostałem wezwany do NKWD. Przyjął mnie tow. Gawarik, szef kirowskiego NKWD, który ucieszył się bardzo. Świetnie po polsku mówił i powiedział, że szukają pana wszyscy z Andersem na czele. Spytał mnie czy jestem za naszym porozumieniem i czy wszyscy Polacy też popierają porozumienie. Odpowiedziałem, że wszyscy. A on stwierdził, że nie wszyscy bo Zaleski, Sosnkowski nie są.

Powiedziałem, że nic o tym nie wiem.

Zaproponował mi podpisanie cyrografu, że będę wtyczką NKWD w wojsku polskim. Oczywiście odmówiłem. Ale powiedziałem, że podpiszę z tym, że natychmiast zamelduję o tym w Moskwie.

I posłali mnie pod konwojem do Moskwy. Konwój by bardzo elegancki. Strażnik był z rewolwerem i kielbasą.

W Moskwie czekał na mnie samochód i zawieziono mnie do Narkomdiełu, gdzie przywitał mnie pułkownik Fedyczkin w wspaniałym polskim języku. Cieszył się, że mnie znaleźli, bo wszyscy się o mnie rozbijają. Kazał mi zacząć, bo szef chce ze mną rozmawiać. Tym szefem okazał się Beria. Czekalem do 2 w nocy i zaprowadzili mnie do Berii. On siedział za stołem, nie wstał jak ja wszedłem tylko zaczął krzyczeć: „Wy nie czestnyj człowiek, wy obmauli. SowietSKUju włast. Pan ukrył kim pan był, pan wie jak się z takim postępuje?” Zdziwiłem się skąd taka zmiana. Więc ja powiadam: „Panie, byliśmy w wojnie ze sobą, wszystko mogłem zrobić, ponieważ prowadziliśmy walkę. Ale kiedy nasze władze zawarły układ, pierwszy powiedziałem kim jestem. Co pan ode mnie chce?” On na to, żebyśmy się nie denerwowali i poprosił żebyśmy usiadli. Siadłem i zadał mi takie pytanie: „Czy wszyscy Polacy chcą tego co władze?” I znowu mi wyjechał z Zaleskim i innymi. Powiedziałem, że nic nie wiem, bo siedziałem w więzieniu. „Ja jestem za porozumieniem.” Potem mnie spytał, jakie jest znaczenie operacyjne Skały, to takie miasteczko nad Zbruczem. Powiedziałem, że żadne. Powiedziałem to takoj jewrejskij gorodok. Spytał mnie wtedy, że jeśli miałby tam stać jakiś niemiecki sztab, to gdzie on miałby miejsce. Powiedziałem, że w pałacu Gołuchowskiego, gdzie nieraz polowałem. Wtedy on mnie poprosił, żebyśmy narysowali szkic. Pomyślałem, że jeśli narysuję szkic, każe mi się podpisać, to wyjdę na to jak szpieg. I odmówiłem. Wtedy on powstał i powiedział, że dziękuje bardzo i poprosił żebyśmy zapomnieli wszystko, co mnie u nich spotkało.

Ma zapominamy, że pan oszukał nas.

Wtedy ja powiedziałem, że jego podwładny tow. Gawarik w Kirowie zażądał ode mnie podpisania zobowiązania o współpracy z wami, ja to zrobiłem i proszę być pewnym, że natychmiast jak mnie puścicie zamelduję o tym generałowi Andersowi i ambasadorowi polskiemu. Tak się nie robi wśród przyjaciół. On na to się uśmiechnął, otworzył szufladę i wyjął mój cyrograf, podał mi i ja to podałem.

Odesłali mnie od razu na nasz punkt zborny, gdzie wypłacili mi 3 tysiące rubli odszkodowania. To były wielkie pieniądze - ja tygodniowo zarabiałem 6-7 rubli.

Zgłosiłem się do ambasady. Właśnie był Anders, który się bardzo ucieszył.

Powiedział mi, że wyjeżdża do Buzułuku z powrotem i polecił mi wziąć samochód, który tu dostał i kazał mi tym autem pojechać do Buzułuka.

Dostałem wszystkie potrzebne papiery i dojechałem tylko do Kazania, gdzie aresztowali mnie z powrotem, na promie. Wyjaśniło się, że to wszystko w porządku i dalej jechałem samochodem. Oczywiście nie było sposobu, żeby przejechać, więc zawróciłem do Kazania. NKWD wsadziło mnie na statek na Wołdze i tak płynąłem chyba dwa tygodnie do Kujbyszewa. Naszą ambasadę spotkałem tam, gdzie wynieśli się z Moskwy. Kot przyjął mnie bardzo ładnie. Złożyłem mu raport o wszystkich moich przejściach, a także o podpisaniu cyrografu.

Potem pojechałem do Buzułuku i tam Anders mianował mnie zastępcą Okulickiego, który był szefem sztabu.

– Jak długo był Pan zastępcą Okulickiego?

– Jak zapadła decyzja przeniesienia wojska do Uzbekistanu to zostałem wyznaczony na szefa ekipy, aby zorganizować sztab w Jangijul. Już zaczynała się wojna.

– Panie generale, jak oceniał Pan w zimie 1941 roku sytuację na froncie?

– Uważałem, że Rosja wytrzyma uderzenie niemieckie. Dlatego, że w Moskwie, kiedy byli pod miastem to tam był absolutny spokój. Żadnej paniki, porządek, żadnego zdenerwowania, nic. Z tego co wiedziałem na tyłach nie wyglądało to na rozbite państwo.

Potem, już w Jangi-Jul miałem swoje kłopoty z aparatami podsłuchowymi, zresztą pisałem o tym w moich wspomnieniach.

Miałem także załatwić sprawę rekrutacji Polaków do naszej armii. Tu napotkałem na pierwsze kłopoty. Na pierwszym zebraniu pytam się ich, kto ma prawo wstępować do naszego wojska. A oni na to, że tylko obywatele polscy narodowości polskiej.

Połączyłem się z Andersem i spytałem co mam robić. A on mi odpowiedział, żeby się zgodził na wszystko, bo ludzie i tak będą się pchali i do naszego wojska dojdą.

Z Jangi-Jul zostałem przeniesiony na zastępcę dowódcy 6 dywizji, to się łączy ze sprawą podsłuchów. W Buzułuku wszystko było na podsłuchu, wszędzie Sowietci je pozakładali, ale nasi „dwójkarze” od razu je znaleźli, wyjęli te aparaty z nad biurka Andersa. Anders w mojej obecności poprosił Okulickiego i sowieckiego oficera łączności przy sztabie armii. Anders wyciąga z szuflady mikrofon i mówi – „Toznależli nasi ludzie. Po co wy to robicie?”

Przyjechała komisja z Moskwy, prowadziła badania i zameldowała, że to są stare rzeczy, że założono to kiedyś i nie ma to nic wspólnego z polską sprawą.

Obejmując Jangi-Jul wiedziałem, że tam trzeba uważać. I rzeczywiście w kilka dni po przyjeździe wiedzieliśmy, że jest to samo. Specjalnie to założono. Wobec tego Okulicki wezwał Wołkowickiego, tego oficera NKWD, łącznikowego i powiedział, że on sobie wyprasza takie rzeczy. I ten enkawudysta znikł. Ale i trzeba było wycofać Okulickiego. Poszedł na dowódcę 7 dywizji. Okulicki bardzo się zdenerwował i zagroził Wołkowickiemu wielką awanturą. On stawiał sprawę ostrzej niż generał Anders. A szefem sztabu został Szyszko-Bohusz. Ja poszedłem do Tokarzewskiego. I tam byłem aż do ostatecznej ewakuacji. Wyjeżdżałem z Rosji prawie ostatnim transportem.

– Na końcu był jeszcze ppłk Zygmunt Berling.

– Tak. On był szefem ewakuacji. Po raporcie, który miał on u Andersa, a byłem przy tym, kiedy Anders skazał go na 21 dni aresztu.

A było to tak. Generał Boruta-Spiechowicz zawiesił w czynnościach swego szefa sztabu – Berlinga. Anders wezwał ich obu do raportu. Boruta-Spiechowicz powiada: „Musiałem go zawiesić, ponieważ on nie wykonał mojego rozkazu.” Za to Anders skazał Berlinga na areszt. Po raporcie Anders powiada do mnie: „Wiesz jak Berling taki przyjaciel Stalina, to niech pilnuje w Krasnowodzku, żeby wszystkich nas ewakuowali.”

– Panie generale, czy panowie podejrzewali prosowieckie sympatie Berlinga?

– Nie tylko podejrzewaliśmy. Wiedzieliśmy. Nie mieliśmy żadnych wątpliwości. Wiedzieliśmy, że był w willi „Małachowka” z kilkoma innymi, że przeszkolono ich tam. Wiedzieliśmy, że oni go trzymają w rezerwie. Myśmy wie-

dzieli absolutnie kto to jest Berling. Ja go dobrze znałem jeszcze sprzed wojny. To był bardzo inteligentny człowiek, z 5 pułku Legionów tych „zuchowatych”. Miał jakieś trudności moralne, został zdjęty -w dowództwa i posłany do Komendy Uzupełnień. To było zupełne dno. On się obraził o to. To jego koledzy od „zuchowatych” są generałami, wojewodami a on niczym.

I Sowieci to wykorzystali. On nigdy nie wierzył w żaden komunizm. Miał za to kolosalne ambicje. I postanowił się odkuć. Chciał wkroczyć z Sowietami do Warszawy i odegrać rolę Piłsudskiego.

– Jak Pan Generał ocenia z perspektywy lat decyzję o ewakuacji?

– To była konieczność. Nie było innej rady. Próba współpracy z Sowietami rozpoczęta przez Sikorskiego okazała się zupełnie nierealna. Gdyby Anders dał się kupić to zatracono by polską armię. A trzeba pamiętać, że Stalin robił wszystko co mógł, aby kupić Andersa. Wręcz przeciwnie, Andersowi udało się stworzyć bardzo mocną moralnie armię, której nie dałoby się rozbić bez rozlewu krwi.

Ewakuacji chciał Anders, chciał Sikorski, chciał Stalin. Innego wyjścia nie było.

– Jak dalsza Pana kariera?

– Jako zastępca Tokarzewskiego poszedłem do Persji i Iraku, gdzie nastąpiło przeorganizowanie. Z 5 i 6 dywizji stworzona jedną, Kresową pod Sulikiem. Ja dostałem 6 Brygadę Lwowska. Mieliśmy tam Batalion „Dzieci Lwowskich”, z których powstał Pułk Pancerny „Dzieci Lwowskich”, to wszystko Lwowiacy. Był cudowny lwowski nastrój. Tokarzewski świetnie takie rzeczy prowadził. W Rosji przed każdym namiotem była mapa Polski z kamieni ułożona, ze Lwowem. Sowieccy pułkownicy straszne awantury o to robili.

– Stacjonował Pan w Palestynie czy były u Pana wypadki dezercji żołnierzy narodowości żydowskiej?

– Tak. Myśmy traktowali to tak, że szereg Żydów wbrew woli sowieckiej wyjechało z nami np. Begin był u nas kapralem. To byli zwolennicy Żabotyńskiego. Tam się toczyła walka między okupantem, czyli Brytyjczykami a „Ha-

ganą”. Są dwie wersje, jeśli chodzi o dezercję tych 800 Żydów: jedna, że Begin poszedł do Andersa i powiedział, że teraz jego ludzie idą do walki jako „Hagana” z Brytyjczykami. A na to Anders miał powiedzieć, że ich rozumie i nie będzie ich ścigał. Faktem jest, że Anders zakazał żandarmerii ścigania uciekinierów żydowskich.

– Potem przychodzą Włochy i Monte Cassino.

– Do Włoch zostałem posłany już w listopadzie 1943 roku, żeby zrobić rekoniesans. Byłem wtedy w 78 dywizji brytyjskiej na stażu. Ale potem, na przełomie 43/44 wylądowaliśmy w Taranto i byłem tam, jako zastępca generała Sulika w 5 dywizji. I tak zacząłem tę wojnę. Mieliśmy układ z Brytyjczykami, że nasz Korpus musi przejść wcześniej rodzaj przeszkolenia wojennego, takie otrząskanie z ogniem. Do marca 1944 roku byliśmy na takim drugorzędnym froncie. Dopiero po klęsce Nowozelandczyków pod Monte Cassino przyszła decyzja o majowej nowej ofensywie. I w tej ofensywie wezmą udział korpus brytyjski i polski.

Nie mieliśmy wyboru, czy się bić – zostawiono tylko Andersowi wybór w dolinie czy w górach?

Kto kiedy słyszał o dolinie rzeki Lizy, a o klasztorze Monte Cassino – wszyscy. Idziemy na klasztor.

Pierwsze natarcie prowadziła 5 brygada pod dowództwem płk. Kurka, bardzo dzielny żołnierz. W czasie pierwszego natarcia byłem razem z Sulikiem. Powstaje pytanie czy można było obejść Monte Cassino, czy bitwa była potrzebna? Była. Z takimi wojskami, jakie mieli Brytyjczycy czy Amerykanie, Wszystko było na trakcie motorowym. Oni musieli mieć drogę. Piechotą można jak Marokańczycy we Francuskim Korpusie, ale nie nowoczesne wojsko.

Dlatego Monte Cassino musiało być zdobyte.

Nie wolno nam było zdradzić, że my tam jesteśmy, to była tajemnica. Wobec tego nie można było rozpoznać pozycji, aby nie utracić jakiegoś jeńca. Trzeba było iść na ślepo. O ile w 3 dywizji było 70 metrów od przeciwnika na Głowie Węża, to u nas było 3 kilometry. Myśmy nie znali nawet źródła ognia.

Drugie natarcie, które ja prowadziłem, kiedy złamała się 5 dywizja, to zostałem wysłany 12 maja rano pod klasztor. Miałem zrobić porządek i objąć dowództwo. Odwołano planowane natarcie na południe 12 maja i przesunięto je na 16-go. Miałem więc trochę czasu na przygotowanie natarcia. Przygotowaliśmy się do ataku bardzo porządnie. Ruszyliśmy w nocy. Pierwszy uderzył 16 batalion na Widmo i kiedy oni to zdobędą to 17 batalion pójdzie dalej, na San Angelo. Mój plan się udał, 16 batalion dowodzony przez Stańczyka zdobył po dużych kłopotach jedną część tego Widma. Kiedy mi zameldowali, że Widmo jest nasze to skierowałem 17 batalion o świcie. Powiedziałem mu, że ma przejść dolinę i pójść na San Angela. Nie wolno wam się cofać. Macie pchać się do góry, wtedy unikniecie ognia niemieckiego.

Batalion poszedł. Pod wieczór sytuacja stała się bardzo kryzysowa. Żołnierze byli już pod samą górą, pod szczytem. Doszło ich tam niewielu. Zabrakło wody i amunicji. Kompania Leskiewicza zaległa pod samym szczytem i kiedy zabrakło amunicji, to zaczęli kamieniami rzucać w Niemców. Zaczęli wtedy śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła”. Tak było.

Już 17 maja Niemcy podjęli decyzję o odwrocie.

To była bardzo ciężka bitwa i bardzo drogo nas kosztowała. 900 zabitych. Walczące bataliony miały po 25% strat.

Po tej bitwie dowódca zaproponował rozwiązanie Korpusu i stworzenie tylko jednej dywizji, to samo, co zrobili z Nowozelandczykami.

Anders odmówił i powiedział: „Ja będę miał uzupełnienie. Moje uzupełnienia są z przodu.” Poszedł z tym do Alexandra, który to zrozumiał, że mamy masy w obozach jenieckich, w Afryce, Polaków siłą wciągniętych do wojska niemieckiego, i myśmy ściągnęli ich do naszego wojska.

W walce o Bolonię dowodziłem dywizją, gdzie dwie brygady były tylko z Polaków z armii niemieckiej. Łącznie z biskupem Szczepanem Wesołym.

Zostałem generałem i dowódcą dywizji specjalnie stworzonej do wali o Bolonię.

– Jest początek 1945 roku. Sytuacja Polski na arenie międzynarodowej jest coraz trudniejsza. Coraz bardziej niekorzystna. Wracając z Jałty Churchill rozmawia z generałem Andersem.

– To było dla nas – „bić się czy nie bić”. Anders zorganizował odprawę, powiadomił nas o Jałcie, o popełnionej tam zbrodni. I wobec tego dla nas jest jeden problem – „bić się czy nie bić”.

Postawił problem, czy mamy prawo żądać od żołnierza oddania życia, czy nie? Zwłaszcza wobec oddania Stalinowi połowy Polski.

Anders pytał nas o zdanie. Powiedziałem, że Niemcy nie są jeszcze pobite i musimy wojnę z nimi kończyć. Pozostaje nam nadzieja, że powstanie konflikt Wschód-Zachód i nasze sprawy załatwimy później. Najpierw obowiązek a potem przyjemność, czyli wojna z Sowietami. I tak zdecydował Anders. Takich rad oczekiwał, zresztą wcale rad nie potrzebował, gdyż doskonale wiedział co robić.

I biliśmy się, aż do końca. Po zajęciu Bolonii, zostałem przeniesiony nagle do Niemiec, aby objąć I Dywizję Pancerną, która właśnie wchodziła do Niemiec. Pojechałem tam z listem do Montgomeryego od mego dowódcy 6 armii McLeary’ego, z którym bardzo się przyjaźniłem. To był pierwszorzędnny człowiek.

W Holandii zameldowałem się u Montgomeryego jako nowy dowódca dywizji. Montgomery przyjął mnie bardzo dobrze, ale zażądał, żeby Maczek dowodził do zakończenia kampanii.

Po kapitulacji Niemiec Maczek odleciał do Szkocji, żeby objąć korpus. Ten korpus miał przyjść do Niemiec, gdzie miał przyjąć II Korpus i miała być stworzona wielka armia polska. To był plan Andersa, i plan ten został zaakceptowany przez generała Alexandra. Ale obalił to Churchill. Na to Stalin nigdy by się nie mógł zgodzić.

W okresie, kiedy zapadła decyzja o zaprzestaniu uznawania rządu polskiego wezwał mnie do siebie Montgomery na rozmowę. Rozmowa odbyła się w obecności dowódcy mojego korpusu – gen. sir Ivory Thomasa. Rozmowa była bardzo prosta. Zapytano V mnie jak traktuje obecne decyzje polityczne. Montgomery spytał: „Czy mogę liczyć na Pańską dywizję?” Byliśmy jedyną jednostką w pełni gotową, gdyż Brytyjczycy byli już w trakcie demobilizacji, a nie było wiadomo co zrobią Niemcy.

Powiedziałem: „Panie Marszałku, mamy swój legalny rząd z siedzibą w Londynie. Jeżeli mi każą tu pozostać, to może pan na mnie liczyć. Ja was

nie zdradzę.” Montgomery był najmniej sympatyczny ze wszystkich generałów z którymi walczyliśmy. Montgomery zupełnie nie rozumiał naszej sytuacji. To był czysty żołnierz, który wykonywał rozkazy swego premiera. Nie miał do nas żadnych sympatii.

– Panie generale, kończy się wojna. Co dalej z panami, z armią, z resztą ludzi?

– Sytuacja Andersa jest dla mnie zupełnie jasna. On wierzył, że musi dojść do wojny Wschód-Zachód, do tej „przyjemności”. Wobec tego trzeba jak najwięcej ludzi utrzymać i nie dać się rozproszyć. Kazał mi robić to samo w Niemczech.

Ja miałem inną sytuację. Inny żołnierz. Było tam 1,5 miliona Polaków, obozy jenieckie. Ale moje stanowisko było takie samo jak Andersa. Nie wierzyłem, że Anglicy i amerykańkanie zachowają się jak dzieci.

– Ogromne obowiązki w Niemczech spadają na Pana, ma Pan kilkanaście tysięcy uzbrojonych ludzi pod sobą, 1,5 miliona Polaków patrzących na Pana.

– Wezwałem mego szefa sztabu, płk Stankiewicza i powiadam: „Skończyła się wojna. Teraz obowiązkiem naszej dywizji to ratowanie naszej ludności tutaj. Czym tylko można.”

Stworzyłem specjalny sztab ze Stankiewiczem na czele, potem Niedzielskiego, kwatermistrza z 10 brygady. Udało się nam fantastycznie zorganizować pomoc. Mieliśmy pocztę polową, opiekę społeczną, mniej więcej robiliśmy to samo co kilka lat wcześniej w Rosji.

Aby to wszystko funkcjonowało potrzebne mi było jakieś polskie miasto. Przyjechał do mnie generał Horroks, dowódca 30 Korpusu, któremu ja podlegałem, wielki przyjaciel Polaków i spytał co może zrobić dla mnie. Poprosiłem go o jedno miasto. Generał powiedział: „Good idea”, pojechaliśmy i wybraliśmy to miasto. Było to na samej granicy holenderskiej – miasto, które miało 4 000 mieszkańców. W ciągu 25 godzin Niemcy mieli się stamtąd wynieść i zostawić wszystko na miejscu. Wszystko zostało wykonane i miasto zostało mnie oddane. Jak je nazwać, oczywiście nazwano je Maczków.

I w ten sposób powstał Maczków i stał się ośrodkiem, przede wszystkim centrum szkolnictwa. Centrala była w Maczkowie, ale organizacja objęła całe Niemcy. Później utworzono harcerstwo. Opiekę społeczną. Masy ludzi przyjeżdżało, uciekinierów z Polski. Zrobiłem burmistrzem Maczkowa, mego przyjaciela Zygmunta Gałęckiego, z 2 Pułku Ułanów Legionowych. Wszystkie ulice pozmienialiśmy dając im lwowskie nazwy. To trwała do 1947 roku. Okazało się to straszną przeszkodą dla Brytyjskiej Komisji Kontroli i UNRRA, a ta ostatnio, która miała pomagać, w rzeczywistości przymuszała Polaków, żeby wracali do Polski. W końcu w 1947 przyszedł do mnie pułkownik z Komisji Kontroli i powiedział mi w zaufaniu, że zapadła decyzja, że Maczków musi być oddany Niemcom. Zapytałem go, kto to ma wykonać. I w odpowiedzi usłyszałem, że ja, jako gubernator. Zgodziłem się, że wykonam polecenie, ale pod warunkiem, że dostanę rozkaz na piśmie, i ten rozkaz pošlę natychmiast do Londynu i tam będę interpelacje w parlamencie.

Nigdy na piśmie rozkazu nie dostałem. I Maczków trwał do jesieni 1947 jako miasto polskie.

– Ilu tam było ludzi?

– Naszych, Polaków było 9, może 10 tysięcy.

Było to jedyne wolne polskie miasto w świecie.

W końcu przyszedł rozkaz oddania broni i przeniesienia całej dywizji do W. Brytanii. Byłem wtedy zastępcą generała Kopańskiego, który był szefem Korpusu Rozmieszczenia i Przystosowania. Miałem przez dwa lata etat generalski i potem musiałem pójść do pracy jak wszyscy.

– To był przeskok – generał przechodzi do cywila.

– Powiedzieli mi, że pieniędzy nie dostanę, gdyż polskie emerytury przekazano do Polski. Zaproponowano mi, żebym pojechał, jako prywatna osoba do Polski. A mnie pozbawiono obywatelstwa w międzyczasie. Wobec tego uznałem, że mam prawo być w Anglii i traktowany jak każdy obywatel brytyjski.

Poszedłem do pośrednictwa pracy, a tam pytają mnie kim jestem z zawodu.

Odpowiadam, że służyłem w kawalerii. A oni na to, że świetnie. Bardzo potrzeba nam groomów do koni. Cóż, musiałem im podziękować. Dali mi jednak 1000 funtów ex gratia i 2000 funtów pożyczki na 10 lat, bez procentu.

Kupiłem sklep na Fulham Road z antykami, z meblami. Rzeczywiście zarabiałem bardzo dużo, miałem ze dwunastu ludzi zatrudnionych. Wtedy nasi Polacy pozbawieni wszystkiego kupowali domy biorąc pożyczki, które łatwo było dostać. Tak właśnie powstały polskie majątki na Wyspie.

Sklep prowadziłem do początku lat 50-tych. Moją prawą ręką był mój dowódca brygady, generał Nowina-Sawicki. Ale z czasem zbyt silnie zaczęliśmy inwestować i ponosiliśmy straty.

Tymczasem ja chodząc po licytacjach, gdzie zdobywałem meble widziałem tam masę obrazów. Malarstwo zaś zawsze było moim hobby i zacząłem je skupować. W związku z tym, że były bardzo zniszczone zacząłem prowadzić renowację. Spotkałem pułkownika Szylinga, sapera, mojego kolegę jeszcze ze Szkoły wojennej i okazało się, że on jest specjalistą od renowacji obrazów. Od niego nauczyłem się zasad konserwacji. Jak umiałem tak obrazy konserwowałem i sprzedawałem. Zobaczył to pewien właściciel galerii obrazów z New Bond Street i zaproponował mi, żebym rzucił sklep i przyszedł do niego. Okazało się, że chodzi o rzucenie dużej ilości olejnych obrazów na rynek skandynawski, a w Anglii minęła na to już moda. I tak poszedłem do niego. Pracowałem tam przez dwa lata. On nam dostarczał obrazy a myśmy je restaurowali. Co miesiąc jechał z obrazami do Sztokholmu i sprzedawał je tam z dużym zyskiem. Przez dwa lata wypełnił rynek skandynawski.

A ja przy okazji nabrałem wprawy przy konserwacji, która nie była konserwacją muzealną, tylko handlową.

Kiedy był jakiś ładny portret kobiety, to domalowywało się różę na dole, a kiedy był portret człowieka z wąsami to trzeba było te wąsy zgolić.

Ponieważ byłem już dość znany, zwrócił się do mnie ministerstwo opiekuńcze się dziełami sztuki, że jest do odnowienia sufit malowany w 1729 roku w Moore Park i proponowano mi renowację.

I w końcu, jako generał pracowałem na rusztowaniu. Bardzo dobrze na tym zarabiałem. Później pracowałem także w Ameryce przez kilka lat. Dużo się przy tym nauczyłem.

– Panie Generale, a jaka jest recepta na taką jak Pana Generała aktywność?

– To jak Pan Bóg da zdrowie. Ale mnie wydaje się, że podstawą jest miłość. Trzeba coś kochać, i to nie tylko jak dawniej za młodych lat kochało się kobiety, trzeba kochać życie, trzeba mieć pasję. Człowiek nie tylko żyje chlebem, ale i duchem. Jeżeli znajdzie się pokarm dla ducha, to sił fizycznych starczy. To jest moja recepta na życie.

– A jakby Pan Generał scharakteryzował dorobek polskiej emigracji niepodległościowej?

– Dorobek jest wielki, kolosalny. A to dlatego, że oparliśmy się na tym, że jesteśmy ciągle suwerennymi wojskami. I dalej zostaliśmy żołnierzami Wolnej Polski. To nam pomogło.

Wielką rolę odegrał u nas prezydent Raczyński. On pierwszy powiedział, że naszą rolą jest teraz służebność Polsce.

– Panie Generale, stykał się Pan w życiu z wieloma ludźmi, lecz dzisiaj w rozmowie padło najczęściej nazwisko tu na emigracji i w kraju legendarne – Władysława Andersa. Czy mógłby Pan przybliżyć Generała jako człowieka i dowódcę?

Pochodził gdzieś z Bałtów, chodził w Rydze na uniwersytet, był w „Arkonii” – był wybitnym Polakiem. Był świetnym żołnierzem, jeszcze za rosyjskich czasów w tamtej armii skończył jako podpułkownik z wszystkimi najwyższymi odznaczeniami. Posiadał bardzo silną wolę. Miał zdolność dawania rozkazów, zadań i pozostawiał swobodę wykonania tych zadań. Swoje zdolności polityczne pokazał w Rosji, nikt by tak dobrze nie mógł rozwiązać problemu współpracy z Sowietami jak on.

Był na miarę hetmanów dawnej Polski. Zawsze służył tylko Polsce. A miał przy tym ogromną charyzmę. Przecież ci żołnierze, jak wariaci pchali się na to Monte Cassino, to można tylko raz zrobić. Ale to tylko dzięki niemu.

Naszą emigrację stworzył Generał Anders. Był on twórcą „polskiego Londynu”.

Londyn, 1988 rok

KRZYSZTOF TURKOWSKI ROZMAWIA ZE ZBIGNIEWEM BŁAŻYŃSKIM¹

Urodziłem się w województwie stanisławowskim, w powiecie Peczy- niżyn, w Jabłonowie. Południowo-wschodnie kresy. Do gimnazjum, do piątej klasy włącznie, chodziłem w Przemyślu. Było to gimnazjum staroklasyczne. Maturę zdawałem w Kołomyi w gimnazjum humanistycznym. Kołomyja, na kresach – to miasto, w którym pociąg szedł przez sam środek rynku. Zawsze zatrzymywał się tam, bo żona maszynisty musiała kupować kurczaka.

Maturę zdawałem w 1932 roku i w tymże roku wyjechałem do Lwowa, gdzie na Uniwersytecie Jana Kazimierza studiowałem równolegle na dwóch wydziałach: prawo, gdzie zrobiłem magisterium w 1936, a jednocześnie 3-letnie Studium Dyplomatyczno-Konsularne, które można było rozpocząć po 1-wszym roku prawa. Dyrektorem tego studium był prof. Walerian Ehrlich. Otrzymywało się tytuł magistra nauk dyplomatycznych i konsularnych. Po ukończeniu studiów zostałem asystentem profesora Ehrlicha, ale tylko przez kilka miesięcy ponieważ przyjęto mnie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

– **Cofnijmy się do okresu szkolnego. Co Pan zapamiętał z tego okresu?**

– Parę elementów. W Przemyślu były dwa gimnazja. Jedno humanistyczne, a drugie staroklasyczne, gdzie nacisk był położony na naukę łaciny i greki, ponadto na naukę języka nowożytnego (w moim wypadku niemieckiego) i rozbudowane przedmioty humanistyczne – historia, geografia.

¹ Zbigniew Błażyński — ur. 8 stycznia 1914 w Jabłonowie k. Kołomyi, zm. 25 października 1996 w Londynie. Polski dziennikarz emigracyjny, w latach 50. przeprowadził dla Radia Wolna Europa rozmowy z Józefem Światłą, później pracownik i dyrektor sekcji polskiej BBC.

Gimnazjum kołomyjskie, było gimnazjum humanistycznym – bez nauki greki, a łacina zaczynała się dopiero w 5 klasie gimnazjalnej. Kiedy zmieniłem szkołę to miałem za sobą już 5 lat łaciny. Obok nas w Kołomyi było duże gimnazjum ukraińskie, z wykładowym językiem ukraińskim. Oba gimnazja utrzymywały bardzo dobre stosunki koleżeńskie. Wspólnie uprawialiśmy sporty. Mówię to na marginesie popularnych obecnie poglądów o gnębieniu mniejszości w Polsce przedwojennej.

Zaczęto w moich latach gimnazjalnych w Kołomyi formować samorząd uczniowski. Zbieraliśmy się regularnie. Naszym zadaniem było utrzymywanie porządku w klasach, a więc (stanowiska prefektów klas) polegało to na nadzorowaniu punktualności, odpowiedniego zachowania. W zebraniach samorządu uczestniczyli wszyscy uczniowie wyłączając komitet i przewodniczącego, którym byłem przez dwa lata 1930-1931. Przewodniczący Komitetu uczestniczył w zebraniach nauczycielskich. Komitet negocjował z dyrekcją szkoły uczniowskie zażalenia i projekty imprez. W obu gimnazjach do których uczęszczałem krzewiła się prasa uczniowska. Po raz pierwszy w życiu zostałem wówczas redaktorem. Była to szkolna gazeta wydawana raz w miesiącu pt. „Nasza niwa”. Pisali do niej młodzi ludzie od 5-tej klasy w górę, ale pisali także chłopcy znacznie młodszy. Pismo nadzorowała wyłącznie redakcja uczniowska. Tylko profesor-polonista czuwał nad poprawną polszczyzną. Nie przypominam sobie ani jednego wypadku cenzury. Wydawaliśmy to na powielaczu.

W naszej redakcji pracował także Henryk Holder, który w latach gierkowskich był szefem Kancelarii Cywilnej w randze ministra.

– Czy wtedy zaczął się Pan bardziej interesować problematyką społeczną?

– Tak, w ostatnich dwóch latach szkoły nie tylko wydawałem pismo, ale także prowadziłem gimnazjalny samorząd.

– W jakim kierunku szła wówczas pańska orientacja polityczna?

– Muszę powiedzieć, że zawsze byłem przeciwnikiem ekstremów. Zarówno po lewej, jak i po prawej stronie. Później w okresie uniwersyteckim byłem zdecydowanym przeciwnikiem Obozu Wielkiej Polski i tego co nazywałem

„chłopców z mieczkami”. Mimo to jednym z moich najlepszych przyjaciół był jeden z nich, ale umiarkowany, filosemita i na pewno nie „aktywista”, Zbyszek Pazdro, syn profesora prawa administracyjnego. Drugim moim najserdeczniejszym kolegą był Żyd z którym kolegowaliśmy się także tutaj w Londynie pracując razem w BBC – Ludwik Gottlieb. Zmarł niedawno w Londynie. A było to w latach nagonki antysemitkiej zarówno we Lwowie, jak i w Wilnie.

– W czasie studiów był Pan jednym z członków „Myśli Mocarstwowej”.

– Była nas mała grupa początkowo na Uniwersytecie Krakowskim, a potem w Poznaniu i w Warszawie o stosunkowo prawicowych poglądach. Marzyło się nam nawiązanie do tradycji jagiellońskiej. Jednym z organizatorów grupy był daleki krewny marszałka Piłsudskiego – Rowmund Piłsudski, który niedawno zmarł w Londynie. Ponadto byli tam – bracia Pruszyńscy, trzej bracia Bocheńscy (Adolf, Aleksander i Innocenty Maria), trzech Łubieńskich, Badeni, Niemojewski i przede wszystkim Jerzy Giedroyc.

Protektorami naszej małej grupy byli: ówczesny wojewoda poznański Roger Raczynski, książę Janusz Radziwiłł i prezydent miasta Krakowa Kasparyk. Wydawaliśmy wówczas „Bunt Młodych”. W działalności „Myśli Mocarstwowej” brałem udział od początku lat trzydziestych do mojego wyjazdu z Krakowa do Wiednia.

– Jak potoczyły się Pana losy po studiach?

– W owych latach zachowanie policji (przynajmniej niektórych patroli) było bardzo poprawne. Kiedy bojówki młodych ludzi wyzywające Żydów, wybijające szyby, starali się ochronić ludność żydowską. Szok przeżyłem, kiedy przyszedłem na zajęcia uniwersyteckie po raz pierwszy. Okazało się, że uczelnia jest zamknięta, gdyż odbywa się wiec związany ze śmiercią studenta w Wilnie o którym mówiono, że był zamordowany przez Żydów. Po wiecu ruszył pochód na Politechnikę Warszawską. Skończyło się wybijaniem szyb w żydowskich sklepach, ale także biciem Żydów.

– A z którym z nurtów politycznych w czasie studiów Pan się identyfikował?

– Zawsze byłem przeciwny narodowej demokracji, m.in. ze względów o których mówiłem poprzednio. Przeciwny byłem socjalistom co dzisiaj bym nazwał/ kierunkiem liberalnym. byłem piłsudczykiem jakkolwiek nie mam do tego żadnych praw. Dla mnie Piłsudski był symbolem, legendą. Był kimś kto stworzył Polskę.

Nigdy nie należałem do Legionu Młodych, nie odpowiadali mi „pułkownicy” nie odpowiadało mi to ekstremistyczne odchylenie. Nie należałem do struktury.

– Czy w czasie studiów prowadził Pan aktywną działalność społeczną, polityczną, dziennikarską?

– W okresie uniwersyteckim nie prowadziłem działalności dziennikarskiej. Szczerze powiem, byłem młodym człowiekiem i używałem życia. A życie na Uniwersytecie Jana Kazimierza było interesujące intelektualnie, jak i ciekawe poza murami uczelni i to w każdej dziedzinie. Starłem się nie stracić tych lat które uważam z punktu widzenia przeżyć młodego człowieka za najbardziej interesujące w moim życiu. Najpiękniejsze. Oczywiście z punktu widzenia czysto osobistego.

Natomiast interesowałem się sprawami regionalnymi biorąc czynny udział w działalności Związku Pokucian. Zbieraliśmy się bardzo często na dyskusje, prowadziliśmy działalność odczytową. W szerszym kręgu przyjaciół dyskutowaliśmy na tematy międzynarodowe. Omawialiśmy przede wszystkim kwestie stosunku Francji i Anglii do Polski, stosunki polsko-niemieckie, polsko-sowieckie.

Wiele lat później tutaj w Anglii, kiedy już pracowałem w BBC zapoznawszy się dokładnie z historią i zwyczajami angielskimi zorientowałem się, że w tym samym czasie dyskutowaliśmy o tym samym co śmietanka intelektualna w Oxford i Cambridge. Uznawano w tych dyskusjach, że jedynym ratunkiem dla świata jest komunizm. Stąd zresztą była rekrutacja sowieckich agentów wśród tych elit.

Kiedy zestawiałem to z dyskusjami jakie myśmy mieli w tychże samych latach to muszę powiedzieć, że intelektualnie i politycznie byliśmy znacznie

bardziej uświadomieni i zaawansowani, aniżeli ta śmietanka brytyjska. Patrzyliśmy dość trzeźwo co się dzieje za naszymi granicami – wschodnią i zachodnią.

– Czy w czasie studiów uniwersyteckich stykał się Pan z działalnością grup radykalnych?

– Na uniwersytecie, na bardzo wąskim odcinku. To nawet było niezauważalne. Lwów był na frontальной pozycji w stosunku do Związku Sowieckiego, stąd brak poparcia dla radykalnych, komunistycznych działaczy i mała ich liczba.

– Miał Pan szczęście studiować w okresie, gdy na lwowskim Wydziale Prawa był prof. Dąbkowski, wykładowca starego prawa polskiego, prof. Walerian Ehrlich wykładający prawo polityczne i prawo narodów, prof. Makarewicz twórca jednolitego kodeksu karnego w Polsce? Był to poza Ehrlichem jedyny profesor na którego wykłady chodziłem wiernie. Był prof. Balzer, Pazdro – wykładowca prawa administracyjnego.

Spędziłem we Lwowie na studiach 4 lata. Wyjątkowe i niezapomniane miasto. Ludzie bezpośredni, normalni z niesłychanym poczuciem humoru, szalenie pomocni. Czułem się wśród nich tak jak u siebie w domu od początku. Spotkania, zebrania w Kasynie Artystyczno-Literackim na ul. Akademickiej, nie mówię o balach i zabawach. Spotkania, gdzie człowiek bawił się beztrudno, gdzie jednocześnie tworzyła się jakaś głęboka więź między ludźmi. Pozostało to właściwie nierozdzielne. Ilekroć spotykam się po latach z ludźmi z którymi zetknąłem się tam, to odnajdujemy się tak jakbyśmy rozstali się wczoraj. Więzy pozostała.

– Jednocześnie studiuje Pan w Studium Dyplomatycznym?

– Magisterium z prawa i nauk dyplomatycznych uzyskałem w 1936 roku. Na prawie specjalizowałem się w prawie narodów, gdzie zostałem asystentem u prof. Ehrlicha. Byłem tam jednakże tylko kilka miesięcy, gdyż przeszedłem do MSZ-u.

Natomiast na Studium specjalizowałem się w historii dyplomacji oraz

w stosunkach międzynarodowo-go- spodarczych. Przeszedłem do MSZ, gdzie w owym czasie była następująca praktyka. Przy rekrutacji selekcjonowano grupę pracowników, którą wysyłano z miejsca na placówki. Po roku, pracownicy wracali do centrali na roczny okres w czasie, którego przechodzili przez wszystkie działy i departamenty na końcu zdawali egzamin dyplomatyczny. Byłem w ostatniej tego rodzaju grupie w przedwojennym MSZ-cie. Było nas 22.

Przydzielono mnie do Konsulatu Generalnego w Morawskiej Ostrawie, po czym byłem w Poselstwie Polskim w Pradze, powróciłem do Konsulatu i potem zostałem odwołany do Warszawy z początkiem roku 1939. Do egzaminu jednak nie doszło, gdyż w sierpniu 39 r. każdy z nas przestał studiować i dostał przydział do odpowiedniego departamentu. Znalazłem się w Departamencie Prasowym do Wydziału Prasy Polskiej.

Chyba dwa wspomnienia z tego okresu. Pierwsze, że uczestniczyłem w tym co się nazywa zajęciem Zaolzia. Uczestniczyłem bezpośrednio dlatego, że wówczas byłem nie tylko korespondentem PAT-u, ale także urzędnikiem konsularnym.

Był to zresztą mój pierwszy występ dziennikarski poważniejszego typu. Ale przede wszystkim uczestniczyłem w ten sposób, że wraz z konsulem generalnym, który akcję prowadził na Zaolziu, stykałem się z ludźmi zarówno na Śląsku Cieszyńskim, a więc w Karwinie i w Jabłonkowie, w Czeskim Cieszynie. Były to zaczątki polskiej solidarności. Z tym, że w owym czasie dostarczaliśmy broń ręczną tu i ówdzie organizacjom (grupom małym) na wszelki wypadek, celem przygotowania samoobrony.

– Problematyka ludności polskiej za Zaolziem wymagała wielkiej pracy ze strony konsulatu polskiego.

– Liczba ludności polskiej na tamtych terenach przekraczała 70% przy czym mogę powiedzieć tylko jedną rzecz, że z chwilą kiedy wojska polskie wkroczyły na Zaolzie, do Czeskiego Cieszyna i do Karwiny, czego byłem świadkiem, to widziałem jak ludzie klękali na ulicach i modlili się. Byli to zwykli prości ludzie – babki w chustach, robotnicy, górnicy, młodzież.

To nie dlatego, żeby byli brutalnie represje ze strony czeskiej, ale dlatego, że nie dostają się pod niemiecką okupację.

Nie wchodzę w to czy z punktu widzenia strategicznego, z punktu widzenia nadchodzącej wojny, pomogło nam to czy nie, ale chodziło po prostu o skorzystanie z momentu, kiedy ludność i część Polski można przyłączyć do macierzy. To była jedyna możliwość.

A oto inne wspomnienie. Kiedy już w Warszawie w lipcu 39 roku zostałem przydzielony do Wydziału Prasowego pamiętam, że zapowiedziany zjazd partii nazistowskiej w Norymberdze został odwołany. Było to m.in. bezpośrednią wskazówką, że zbliża się wojna. Moim zadaniem było telefonować do wszystkich redakcji, żeby tę wiadomość umieścić na czwartej, czy piątej stronie i to małym drukiem. Muszę przyznać, że wszystkie gazety opozycyjne podporządkowały się temu. Nie było z tym żadnego problemu, mimo, że dzwoniłem do nich o 11 w nocy.

– Chciałbym wrócić jeszcze do rozpadu państwa czechosłowackiego. Pan był obserwatorem tych dramatycznych wydarzeń?

– Powiedzmy sobie jedną rzecz – Czesi byli gotowi do stawienia zbrojnego oporu. Fortyfikacje czeskie na granicy niemieckiej były bardzo nowoczesne i armia czeska była w stanie pogotowia. Natomiast druzgocące dla mnie wówczas było stanowisko mocarstw. Przede wszystkim Francji. Z drugiej strony zupełna pasywność Związku Sowieckiego. A przecież panowały w Czechach silne nastroje prorosyjskie. Pewne wpływy miała partia komunistyczna działająca w Czechosłowacji legalnie. W moim przekonaniu panowały tam najsilniejsze nastroje prosowieckie w tej części Europy. Dla zwolenników tej orientacji był to straszliwy cios. Wszak Moskwa zaakceptowała sytuację. Tak się złożyło, że widziałem Niemców wkraczających do Pragi, dokąd mnie wysłano wtedy na dwa dni z Warszawy. Widziałem także w telewizji sowieckie wojska wkraczające do Pragi w 1968 roku. Reakcja przeciętnych ludzi była identyczna.

– Skoro jesteśmy przy Czechosłowacji. Nasz MSZ prowadził działalność wspierającą słowackich irredyntystów. Czy Pan miał wtedy kontakt z tymi ludźmi?

– Ja nie. Wiedziałem natomiast
1 wspieraniu przez polski wywiad

2 przez władze Podkarpacia w czasie, gdy Węgry dążyły do wspólnej granicy z Polską. Po przydziale do Departamentu Prasowego w roku 1939 moim bezpośrednim szefem w Wydziale Prasy Polskiej był Jan Bociański, brat wojewody wileńskiego i poznańskiego. Był zresztą także przed tym moim szefem w konsulacie generalnym w Morawskiej Ostrawie. Natomiast podlegaliśmy dyrektorowi Wydziału Prasowego MSZ-u, Wiktorowi Skiw- skiemu. Chodziło o to jak kierować pewnymi wiadomościami w obliczu nadchodzącej wojny, czy nie lepiej czasem podawać pewne wiadomości z punktu widzenia interesu polskiego, niezadrażniania, nieprovokowania itd. Nie naciskaliśmy, raczej sugerowaliśmy, telefonowaliśmy. Spotykałem się zawsze z pozytywną reakcją. 31 sierpnia do 12-tej w nocy siedziałem w MSZ-cie, pojechałem taksówką do domu i o 3-ciej zbudzono mnie, abym powrócił do ministerstwa. Od tego czasu byłem cały czas w ministerstwie, aż do ewakuacji z Warszawy. Mnie zlecono przy ewakuacji, która zaczęła się 7 IX opiekę nad korespondentami zagranicznymi. Jechaliśmy specjalnym pociągiem MSZ-u wraz z dziennikarzami do Krzemieńca. Po drodze w pobliżu Brześcia zostaliśmy zbombardowani, na szczęście nieszkodliwie. W Krzemieńcu – trzy dni i przypominałbym dwa wydarzenia.

Po raz pierwszy musiałem uciekać, gdy nadleciały samoloty i położyć się w przydrożnym rowie.

Becka, którego nie było w Krzemieńcu, zastępował wiceminister Szembek, zgłosił się do Szembeka sowiecki ambasador Szaronow, zapewniając o konieczności przejechania do Szepietówki, by nawiązać łączność ze swoim rządem i zorganizować pomoc medyczną i materiałową dla Polski. Wtedy Szembek powiedział w obecności kilku z nas – „to jest absolutny początek końca”.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych ewakuowano do Kut autobusem. Wraz z nami jechało kilku korespondentów prasy zagranicznej. Znalazłem się tam 16 września 1939 roku, zaś nad ranem 17 przyszła wiadomość o wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski. Dla mnie ostatnie wspomnienie Polski Niepodległej – to był most na Prucie, biało-czerwona flaga po polskiej stronie w Kutach. Jechałem za samochodami Becka i Szembeka, nie widziałem, że Śmigły-Rydz przejechał także.

Z Kut wprost do Czerniowec, gdzie przeżyłem szok. Dla młodego czło-

wieka w którego także w ministerstwie wpajano kult mocarstwowej Polski był to szok wyjątkowy. Mijaliśmy oddziały wojska. Szli ludzie zmęczeni, straceni, zagubieni. W konsulacie w Czerniowcach, w szerokiej bramie prowadzącej na podwórze, leżący ludzie, wojskowi, cywile, uciekinierzy. Widok wstrząsający. Przypuszczam, że nie tylko dla mnie. Przyjechaliśmy do Czerniowiec,

Wierzyliśmy wówczas, że niedługo wrócimy do kraju, że mamy sojuszników, że z nami jest Francja. Trzeba było roku, dwóch, żeby się z tego wyleczyć. Wierzyliśmy głęboko, że zwyciężymy i dlatego trzeba jak najszybciej dobić do tworzącego się wojska. Nigdy nie miałem pretensji do mojego szefa, do Becka. Czułem natomiast rozczarowanie co do postawy Naczelnego Wodza, bo zostawił broniącą się Warszawę, a tego Wodzowi nie wolno robić.

Kiedy internowano mojego ministra w Braszowie byłem u niego dwukrotnie. Zawoził nas samochodem Ludwik Łubieński. Byłem tam wraz z Edwardem Borowskim.

Po wyjeździe ze Słanica spędziłem parę miesięcy w Bukareszcie tj. do stycznia 1940 r., kiedy wyjechałem do Francji do armii. Nasz kolega radca prawny ambasady Bronisław Sobański, zaangażował Edwarda Borowskiego i mnie do pracy. Robiliśmy codzienny biuletyn dla ambasady i dla wszystkich Polaków w Bukareszcie.

Biuletyn wydawany codziennie oparty był na wiadomościach brytyjskich, relacjonował sytuację na froncie oraz Wiadomości. Robiliśmy to do stycznia 1940 r. Widziałem wówczas bardzo nieprzyjemną sytuację w naszej ambasadzie w Bukareszcie. Zjawił się tam jeden, jedyny raz – Beck. Minister stał w hallu i rozmawiał z radcą ambasady, a przechodził przez hall pierwszy sekretarz ambasady, spojrzał i zapytał: „a cóż ten pan tutaj robi?” Było to obrzydliwe.

Miano mi niesłychanie złe, że widziałem się z Beckiem w Braszowie. Odbiło się to w ten sposób, że gdy zgłosiłem się do wojska miałem trudności z dostaniem się do służby. Do podchorążówki zostałem przyjęty dopiero w czerwcu 1940 roku. Już po kapitulacji Francji, kiedy myśmy jeszcze walczyli.

Wspomnienia z artylerii konnej w której służyłem we Francji mam jak najlepsze. Spotkałem emigrantów polskich z Francji, ale i moich kolegów z lwowskiego uniwersytetu. Spaliśmy na słomie w jakiejś oborze. Ja w Niepodległej Polsce nie byłem w podchorążówce i może uzna to Pan za śmieszne, ale ja

zawsze rwałem się do wojska. Tej służby w Polsce nie odbyłem. Zdaje mi się, że coś w życiu straciłem,

Mimo tego, że szkoliliśmy się na działach przestarzałych, mimo trudności to był jeden z najwspanialszych okresów mego życia.

– Jakie wrażenie na Panu zrobiły przygotowania Francji do wojny?

– Pod koniec maja i w pierwszej połowie czerwca 1940 roku, kiedy artyleria I Dywizji Grenadierów szła naprzód, na front, żeby osłaniać flanki wycofujących się Francuzów, we wioskach i miasteczkach widziało się tłumy żołnierzy francuskich rzucających karabiny i wołających „Koniec wojny!”. Patrzyli na nas ze zdumieniem, gdy maszerowaliśmy w rynsztunku bojowym na front.

– Czy czerwiec 1940 roku wywołał szok porównywalny z Wrześniem?

– W żadnym wypadku. Po pierwszych paru dniach zaczęliśmy się cofać. Potem zaś widok cieszących się na koniec wojny tłumów żołnierzy popijających wino – nie pozostawiało wątpliwości, że wojna jest przegrana. Kapitulacja Francji nie była dla nas niespodzianką.

Z chwilą, gdy skończyła się Francja – ja i moi bliscy koledzy wierzyliśmy, że nasza przyszłość jest w Anglii.

Chcieliśmy się tam dostać, a jednocześnie pomóc tym, którzy chcą się tam dostać.

– Jak to się stało, że Pan z jednostki frontowej znalazł się w strefie nieokupowanej?

– Była to jedna z najbardziej uroczych wycieczek jakie w życiu zrobiłem. Zostaliśmy otoczeni przez Niemców w Lotaryngii, wysadziliśmy w powietrze działa. Kupiliśmy w miasteczku cywilne ubrania, i siedmiu (mieliśmy kompas i mapy wojskowe) ruszyliśmy szczytami Wogezów na południe. Jeden z najpiękniejszych czerwców jakie pamiętam. Farmerzy w górach przyjmowali nas życzliwie, pod każdym względem, aż ostrzegali gdzie był Wehrmacht, który jeszcze nie opanował gór. Górami szliśmy 10 dni.

Wyszliśmy na szosę w rejonie Bel- ford i dalej maszerowaliśmy dwójka-

mi (trzech z nas mówiło świetnie po francusku) i uchodziliśmy za Francuzów wracających do domów na południe. Wyznaczaliśmy sobie postoje w kolejnych miasteczkach, w kawiarenkach. Dwukrotnie jechaliśmy zatrzymanymi samochodami – raz z niemieckim oficerem, a raz z niemieckimi żołnierzami. W końcu doszliśmy do Lyone. Najbardziej krytyczny moment to był przejazd pociągiem między strefami.

Był to pierwszy pociąg, który wówczas ruszył.

Dokumenty mieliśmy sfabrykowane przez nas samych i nagle pociąg zatrzymany został przed granicą obu stref. Oficer niemiecki chciał sprawdzić dokumenty. Otoczyła go gromada Francuzów i po prostu zakrzyczała. Wysłał motocyklistę do swego dowództwa, ale zanim posłaniec powrócił zakrzyczany oficer skapitulował i odprawił pociąg.

I w ten sposób znalazłem się w strefie bezpiecznej. Dzięki temu, że mieliśmy pieniądze wynajęliśmy w Lyonie samochód i dojechaliśmy do Marsylii, gdzie był polski konsulat i mogliśmy tam wystawić sobie odpowiednie dokumenty oraz zaświadczenia wojskowe, dzięki którym odebraliśmy od francuskich władz wojskowych należne nam pensje wojskowe. Natychmiast z Marsylii skontaktowaliśmy się ze Stanisławem Zabiełłą, który był w Vichy nieoficjalnym delegatem Rządu Polskiego z Londynu. Pod jego nadzorem zorganizowaliśmy akcję montowania wiz, zaświadczeń lekarskich. Zorganizowana przez Zabiełłę siatka rozciągała się na teren całej strefy nieokupowanej, gdzie było bardzo wielu Polaków. Sięgała także na Afrykę Północną.

W tym czasie Zabiełło zdecydował, że powinniśmy (E. Borowski, E. Przesmycki i ja) wyjechać do Afryki Północnej.

Do tego momentu przygotowywałem paszporty, utrzymywałem kontakty z ambasadami (Brazylia, Urugwaju i Argentyny), gdzie oczywiście zdobywaliśmy wizy.

W tym czasie Portugalia gotowa była wydawać wizy przejazdowe pod warunkiem posiadania wizy docelowej bez względu na jak długo była ważna. Najbardziej pomocna była wiza brazylijska, a także argentyńskie. Bez trudności dawali wizy roczne. Na tej podstawie ludzie otrzymywali wizy portugalską i hiszpańską. Niestety nie zawsze wystarczało to w Hiszpanii, gdzie często

mimo wydanej wizy nie przepuszczano ludzi. M.in. i mnie 3 razy nie przepuszczono przez Hiszpanię i zawrócono z zagranicy. Nie spotkałem się z koniecznością finansowego wspomagania naszych prób.

– Przenosi się Pan do Algieru.

– Najpierw przeniosło się dwóch moich kolegów, a tam z polecenia Zabiełły funkcjonował Emeryk Hutten-Czapski. Ja do nich dojechałem. Była to co prawda strefa wolna, ale funkcjonowała niemiecka Komisja

Rozjemcza. Kontrolowała ruch. To był 1941 r, chyba styczeń-luty.

Wyjechałem w następujący sposób. Przez pomocnego nam bardzo lekarza francuskiego dostałem zaświadczenie, że jestem nieuleczalnie chory. Ponadto w moim paszporcie dyplomatycznym podwyższono mi wiek. Chodziło o zabezpieczenie się przed Komisją Rozjemczą, przez którą musiały przechodzić dokumenty. Policja francuska, przynajmniej w Marsylii zachowywała się bardzo przyzwyczajenie.

W Algierze włączyłem się w prace placówki Emeryka Hutten-Czapskiego, który skierował mnie do Casablanki. Objąłem tam dawny polski konsulat, zwący się teraz biurem polskim.

– Na czym polegała pańska praca w Casablance?

– Miałem prawo wydawania dokumentów tożsamości, ale oczywiście nie paszportów. Działała komórka Polskiego Czerwonego Krzyża pomagająca wielu przebywającym tam uchodźcom.

W biurze początkowo sekretarzowałem, a potem objąłem je jako dyrektor. Z tego okresu pozostały mi w pamięci jeszcze dwa wydarzenia.

Trzeba pamiętać, że nie było w Casablance brytyjskiego przedstawicielstwa, natomiast istniał konsulat amerykański zatrudniający kilku Anglików (oczywiście wywiad). Poprzez nich i dzięki nim mogłem szyfrem angielskim wysyłać informacje i instrukcje.

Mówię o tym, gdyż poza normalną pracą polskiego biura miałem poważny problem do rozwiązania. Na pograniczu Sahary, między Algierią a Marokiem znajdowało się ok. 400 internowanych polskich oficerów i żołnierzy. Znaleźli się tam bezpośrednio po kapitulacji Francji, gdy przybyli do Północnej Afryki.

W samej Casablance działała tajna oczywiście placówka jednego z wydziałów polskiego sztabu generalnego. Byli to – mjr. Adam Wysoczański i jego pomocnik – kpt. Jan Roehr. Ich zadaniem była próba przyjsia z pomocą naszym żołnierzom. Cała akcja montowana przy pomocy policji francuskiej, bardzo nam życzliwej z którą byłem w kontakcie a także z pomocą gabinetu dyplomatycznego, którego szefem był Robert Dugardier, powojenny ambasador francuski.

Tenże gabinet prowadził politykę zagraniczną Maroka, jako oczywiście protektorat francuskiego. Dzięki ich pomocy i przy cichym współudziale niektórych czynników wojskowych francuskich – udało się te obozy wy- ewakuować. W jaki sposób? Przede wszystkim jako kierownik wydawałem dowody tożsamości. Ponadto trzeba było znaleźć zastępców kiedy będą znikać z obozów. To udało się załatwić przy pomocy Beduinów. Cała łączność z Gibraltarem (tak zmierzała ewakuacja) odbywała się szyfrem poprzez urzędników angielskich – i tę łączność prowadziłem. Wyznaczaliśmy miejsce i czas dla stateczku, który podpływał do wybrzeża marokańskiego, aby zabrać ludzi.

Uciekinierzy przybywali z pustyni pociągami do Casablanki, skąd kierowaliśmy ich do „buzbiru” (to otoczona wysokim murem arabska dzielnica. W Casablance mieszkało wówczas ok. 3000 młodych kobiet u których przechowywaliśmy naszych żołnierzy przez kilka nocy). Stamtąd zabieraliśmy ich na statek do Gibraltaru.

Nasi żołnierze mieli tam znakomitą opiekę. Całą ewakuację przeprowadziliśmy w ciągu paru miesięcy w drugiej połowie 1941 roku. Po akcji oczywiście Wysoczański i jego pomocnik musieli uciekać z Maroka, gdyż w końcu Komisja Rozjemcza wpadła na ślad ewakuacji. Mogłem ich ostrzec, gdyż powiadomiono mnie o niebezpieczeństwie z Rabatu – Gabinet Dyplomatyczny oraz szef francuskiej policji. Schronili się w Oranie, gdzie się ukrywali. Z kolei po pewnym czasie Robert Dugardier, z którym bardzo się zaprzyjaźniłem ostrzegł mnie, żebym także sam opuścił Maroko, bo komisja niemiecka zainteresowała się naszą czwórka. Byłem wtedy na polskim paszporcie dyplomatycznym.

Z Casablanki wyjechałem w początkach 1942 roku, statkiem popłynąłem do Lizbony. Okazało się, że moja wiza brazylijska straciła ważność, więc przy pomocy odpowiedniej techniki zmieniłem daty w paszporcie (przed wyjazdem

oczywiście). Oczekiwał mnie w Lizbonie łącznik. Zjawiłem się w polskim poselstwie, w biurze wojskowym, gdzie szefował płk Fryderyk Mally.

W Lizbonie zajmowałem się ewakuacją polskiego i sojuszniczego personelu wojskowego z samej Francji i Hiszpanii poprzez Portugalię do Gibraltaru. Po operacji „Torch”, a więc inwazji alianckiej na Afrykę Północną także ze strefy okupowanej.

Zadania nasze były stosunkowo proste, ale jednocześnie trudne. A to dlatego, że najpierw trzeba było wy- ewakuować kilkuset internowanych w obozie Miranda del Ebro z Hiszpanii. Był to bardzo trudny okres, gdyż z Francji różne sieci ewakuacyjne tworzone na gorąco wypychały ludzi do Hiszpanii, gdzie byli po prostu z miejsca internowani. Ta sprawa dzięki współpracy władz hiszpańskich została dość sprawnie załatwiona. Było to możliwe dzięki współpracy władz portugalskich, najbardziej znienawidzonej ostoji reżymu Salazara, tj. „Policji Internacional”, czyli służbie bezpieczeństwa.

Portugalia była w czasie wojny siedliskiem wszystkich wywiadów i policja bezpieczeństwa tego kraju współpracowała ze wszystkimi. Ich materiały i raporty, które sprzedawali były niekiedy pisane przez kalkę. Mieliśmy w tej policji dwóch ludzi, którzy nam pomogli w decydującym stopniu, za „wynagrodzeniem”, ale za to wyłącznie. Nie muszę dodawać, że w akcji tej i podobnych pracowałem ściśle w porozumieniu z brytyjskim attache wojskowym i pomoc wywiadu angielskiego była niekiedy kluczowa. Ewakuacja odbywała się dwiema, a raczej trzema drogami: oficjalnie samolotami do Bristolu i statkami do Anglii; nieoficjalnie „na czarno” przez granicę hiszpańsko-portugalską i półoficjalnie za cichą wiedzą władz zarówno hiszpańskich jak i portugalskich. Tutaj poza Brytyjczykami pomocny był również bardzo amerykański attache wojskowy, z którym się szczególnie zaprzyjaźniłem.

Tam formowano w grupy i dowożono ich pociągami do granicy portugalskiej, gdzie ja ich odbierałem. Było to na wschód od Evora w Środkowej Portugalii.

Zabawna historia, otóż mianowano mnie majorem czasu wojny, składali mi meldunki. Ja przecież nie byłem oficerem, zaledwie kapralem. Stamtąd przerzucałem ich na południe Portugalii, do małego portu Villa Real de Santo Antonio. Rozmieszczałem ich w hotelikach, dostawali pożywienie i czekali

na transport do Gibraltaru. Ludzi przierzucaliśmy statkiem rybackim, a dalej przejmował ich Ludwik Łubieński.

– Czy były próby przeciwdziałania ze strony Niemców naszej akcji ewakuacyjnej?

– W Portugalii nie. Byłem wówczas w bliskim kontakcie z wywiadem i kontrwywiadem polskim, a także z Brytyjczykami i Amerykanami. Wszystko odbywało się dość sprawnie, po cichu i spokojnie.

Były dwie inne drogi wyprawiania do Gibraltaru. W Portugalii istniało duże skupisko uchodźców polskich, głównie rodzin wojskowych, ale nie tylko, byli także urzędnicy i pracownicy ministerstw i urzędów. Ich ewakuowałem w miarę jak uzyskiwali wizy brytyjskie – samolotami lub statkami.

Jeszcze z okresu istnienia Miranda del Ebro, ale także i później część żołnierzy polskich, angielskich, francuskich, a także oficerów przechodziła nielegalnie przez granice. Mieliliśmy punkty obserwacyjne nad granicą. Tak się złożyło, że na granicy hiszpańsko-portugalskiej było kilka dużych majątków ziemskich należących do Anglików, którzy w dużej mierze byli zawsze w służbie wywiadu angielskiego.

Jeden z nich należał do bardzo starej rodziny (tej która wprowadziła do Portugalii kartofle). Potem przewoziliśmy naszych ludzi do willi między Lizboną a Estrorilem – i tam czekali aż wyrobimy papiery.

– Ile osób przeszło przez Pana ręce w akcji ewakuacyjnej?

– Transportami kolejowymi przeczuciłem ok. 1500, a trudno mi powiedzieć ilu było tych pozostałych. Liczyliśmy ich na dziesiątki.

– Do kiedy trwała Pańska działalność w Portugalii?

– Pracowałem w Portugalii do początków 1944 r. Jeden ciekawy szczegół, jeśli idzie o ewakuację ludzi, którzy dojeżdżali do Portugalii pociągiem. Z chwilą zajęcia wolnej strefy francuskiej przez Niemców, nastąpiły pewne komplikacje w ewakuowaniu personelu wojskowego z terenu Francji. Tam przebywali ludzie wrzucani przez sieć z północnej Francji i Belgii. Trudność polegała na tym, że granica była obstawiona przez Niemców. Wtedy wielką

pomocą dla nas byli po prostu przemytnicy, kontrolowani przez Andorę. Jest to mały rejon suwerenny, którego głową był miejscowy biskup oraz prezydent Francji. W Andorze negocjowałem z biskupem sprawę przemytu naszych oficerów i żołnierzy. Ustalałem tam ile będą płacili od głowy. Szło nie do prywatnej kieszeni, ale na Andorę

Dawało to gwarancję bezpieczeństwa. Grupy przemytników (5-10) byli doskonale uzbrojeni w najnowsze amerykańskie karabiny maszynowe. Patrole niemieckie po prostu starały się omijać przemytników. Za moich czasów nie było ani jednej wpadki na granicy. Tę działalność prowadziłem do czasu mego wyjazdu z Lizbony, który nastąpił w czerwcu 1944 roku.

– Czym ponadto zajmował się Pan na terenie Portugalii?

– Lizbona była siedliskiem wszystkich wywiadów i kontrwywiadów. Trzeba zaznaczyć, że jedni doskonale znali drugich. Wiedziało się, będąc w tej restauracji czy w tamtym klubie, kto siedzi naprzeciw, gdzie i kto z kim rozmawia, a kto kogo reprezentuje.

W owym czasie działał w Lizbonie pułkownik Jan Kowalewski. Odgrywał on rolę dość tajemniczą, subtelną, a jednocześnie niesłychanie ważną. Rolę którą w Londynie nie zawsze rozbudowywał. Były to lata 1942-1943. Nawet jeszcze początki 1944. Chodziło o to, żeby dokonać próby oderwania od Rzeszy niektórych wymuszonych sojuszników takich jak Węgrzy i Rumuni oraz w dużej mierze Włosi. Szło o przygotowanie terenu w tych krajach i zapewnienie ich współpracy łącznie z wojskową, jeżeli inwazja kontynentu pójdzie „podbrzuszem Europy”, a zatem od Włoch poprzez Bałkany. Udało się to w dużym stopniu. Z Kowalewskim rozmawiali po kryjomu nie tylko najwyżsi rangą urzędnicy dyplomatyczni tych krajów w Lizbonie, ale przyjeżdżali na tajne spotkania specjaliści wysłannicy z Budapesztu, Bukaresztu i z Rzymu. Spotkania odbywały się w różnych apartamentach w Lizbonie, nierzadko w hotelach w Estrorilu, kiedy to zawsze organizowaliśmy coś w rodzaju nie tyle „ochrony” ile nadzoru, aby nie śledzili spotkań niepożądani obserwatorzy, zwłaszcza wywiadu niemieckiego i portugalskiej Polizia Internacional. Odbywały się również w małych restauracyjkach na południu

Portugalii, w Setubali, czasem na nadmorskim cyplu w Faro lub Praia da Rocha.

Rozmowy i ustalenia Kowalewskiego szły dość daleko. Jego rokowania z Włochami lizbońskimi przyczyniły się w jakiś sposób, w pewnym stopniu do kapitulacji Włoch. Węgrzy i Rumuni (oczywiście nie Antonescu) gotowi byli wojskowo i organizacyjnie wesprzeć infiltrację a z czasem i inwazję aliancką. Z początku nie przywiązywano w „polskim Londynie” wagi do tej akcji lizbońskiej, choć doceniał ją sztab brytyjski. Współpracował z nim wywiad brytyjski w Portugalii. Niestety z chwilą kiedy zapadła ostatecznie decyzja uderzenia przez Normandię a nie zgodnie z naciskiem Churchilla przez „podbrzusze Europy” poprzez Bałkany akcja Kowalewskiego przestała mieć praktyczne znaczenie. Była to decyzja amerykańska i przegrana Churchilla. Nie uchwycono szansy, która mogła zmienić bieg historii w Europie.

– Jaki Pan miał obraz tego co się naprawdę działo wówczas w okupowanej Polsce?

– Informacje miałem wszechstronne, z różnych źródeł. Nie uświadamialiśmy sobie np. zagłady Żydów. Zdawałem sobie sprawę z zasięgu eksterminacji inteligencji polskiej, żydowskiej, jak działają obozy koncentracyjne, ale nie w rozmiarach takich w jakich okazało się to w rzeczywistości.

– W Lizbonie przeżył Pan zerwanie stosunków z Polską przez Związek sowiecki. Czy miał Pan świadomość czym może się to dla nas skończyć po wojnie?

– Od 22 czerwca 1941 roku zaczęliśmy spadać w randze jako sojusznik Aliantów, zwłaszcza po wejściu Stalina, po stworzeniu Związku Patriotów Polskich w Moskwie, widoczne było, że sojusznicy zachodni (w większym stopniu Amerykanie niż Anglicy) porzucą legalny rząd polski.

Od tego czasu dla mnie i ludzi z którymi pracowałem stało się oczywiste, że losy kraju zostaną rozegrane w Moskwie. W Londynie było wiadome, że tracimy Ziemie Wschodnie, ale aż do Poczdamu nie mieliśmy pewności czy uzyskamy Ziemie Zachodnie.

Z mego punktu widzenia był to najbardziej tragiczny okres, kiedy przypominę sobie co wtedy przeżywałem i o czym myślałem. Nie ulegało wątpliwości, że wojnę myśmy Polacy przegrali, ale nie tylko myśmy przegrali wojnę, ale w pewnym sensie, politycznie wojnę przegrał Zachód.

– Pański pobyt na Półwyspie kończy się w czerwcu 1944 r. Gdzie Pan został odwołany?

– Zostałem wezwany do centrali MSZ-u, do Londynu. Zostałem w owym czasie zastępcą naczelnika Wydziału Prasowego i jednocześnie tzw. Oficerem prasowym ministra spraw zagranicznych. W owych czasach był nim Tadeusz Romer.

Moje obowiązki polegały na łączności między ministrem spraw zagranicznych a Prezydium Rady Ministrów, przede wszystkim na referowaniu codziennie o godz. 8 rano bieżącej prasy angielskiej, koncentrując się na tematyce polskiej i wschodnioeuropejskiej, oraz wiadomości radiowych. Oczywiście musiałem utrzymywać ministra w kontakcie z wiadomościami prasowymi w ciągu całego dnia.

Ponadto miałem obowiązek sugerowania pewnych idei i myśli do prasy angielskiej co nie było w owych czasach najłatwiejsze. Był to już rok 1944, kiedy prasa brytyjska była niesłychanie prorosyjska. Silne było ponadto antypolskie nastawienie, gdyż uważano, iż wszelkie antyrosyjskie informacje komplikują sprawę polską. W dużym stopniu traktowano sprawę polską jako pochodną polityki wobec Rosji. W rozumieniu Anglików Polacy praktycznie przeszkadzali w porozumieniu ze Stalinem.

Poglądy antypolskie były formowane i lansowane przez dziennikarzy pochodzenia środkowoeuropejskiego, żydowskiego i niemieckiego (nie mówię o tym w znaczeniu antysemickim), ale także przez lewicujących adoratorów ustroju sowieckiego.

Nie ulega też wątpliwości, że ówczesna kampania, tj. właściwe słowo, była prowadzona za sowieckie pieniądze. Jedni robili to bezpośrednio, inni pośrednio.

– Jak potoczyły się dalej Pańskie losy?

– Po odejściu Romera ministrem spraw zagranicznych został Adam Tarnowski, u którego pełniłem w dalszym ciągu obowiązki oficera prasowego. Ponadto podobne obowiązki powierzono mi przy osobie premiera Arciszewskiego.

Spotykaliśmy się wówczas w mieszkaniu Tomasza Arciszewskiego.

– Jak Pan oceniał ówczesną sytuację Polski?

– Nie ulegało wtedy wątpliwości, że jest to koniec Polski suwerennej. Ani przez moment nie wierzyłem, że udział przedstawicieli legalnego rządu polskiego w rozmowach z komunistami może zmienić cokolwiek na korzyść Polski. I to nie tylko dlatego, że operowanie słowami wolne wybory i demokracja ma po jednej i drugiej stronie zupełnie odmienne znaczenie, ale także dlatego, że ostatecznie decydują ci, którzy są już na miejscu i opanowali kraj. Uważałem, że ludzie, którzy przybędą z Zachodu jak Mikołajczyk z góry mieli sprawę przegraną. Z punktu widzenia pojęć demokratycznych powojenne wybory przeprowadzone w Polsce były po prostu fałszerstwem.

Dla mnie i ludzi mego pokolenia nie ulegało wątpliwości, że Mikołajczyk musi ponieść klęskę. To przecież wtedy stworzono sztucznie pojęcie Europy Wschodniej do której przydzielono Polskę, a także Czechosłowację, Rumunię i Węgry.

– Ale wracając do osób z którymi Pan współpracował, jak widzieli sytuację.

Operowali kategoriami bardzo realnymi. W czasie codziennych konferencji, w których uczestniczyłem po zreferowaniu mu prasy – kiedy np. referował rozmowy Mikołajczyka w Moskwie starał się podtrzymywać pewną dozę optymizmu. nadzieję, że może coś z tego wyjdzie.

Romer był człowiekiem, który nie rzucał słów na wiatr, który decydował po namyśle i po zasięgnięciu opinii ekspertów. Był człowiekiem, który nie wierzył w możliwość istnienia prawdziwie suwerennej i niepodległej Polski w okresie swego życia. Przynajmniej takie robił wrażenie. Adam Tarnowski, nie był już właściwie osobą, która dorosła do poziomu ministra spraw zagranicznych. Nie

dorównywał swoim poprzednikom. Był miły, troskliwy, rozeznany politycznie – ale to był dyplomata, a nie minister.

Arciszewski to postać, która dla mnie w pewnym sensie była symbolem historycznym. Tak jak symbolem i legendą był i jest Piłsudski. Dla mnie był on ucieleśnieniem starego (nie w sensie wieku), wierzącego socjalisty, myślącego kategoriami socjaldemokratycznymi. To nie był w żadnym wypadku marksista. Był niewątpliwie politykiem na miarę premiera Polski. Natomiast minimalnie przygotowywany do spraw międzynarodowych, uczył się od ministrów spraw zagranicznych, także od dyrektora generalnego w ministerstwie – Gwiazdowskiego.

– Pan był do 1946 roku przez cały czas przy rządzie polskim?

– Po cofnięciu uznania rządowi przez W. Brytanię pracowałem w takiej bardzo angielskiej instytucji, w Komitecie zajmującym się likwidacją stanu posiadania rządu polskiego w Anglii. Na czele tej instytucji stał Anglik i ambasador Raczyński, ale faktycznie szefem był ambasador Raczyński. Chodziło o to, żeby w miarę możliwości jak najwięcej środków utrzymać dla Polaków, którzy pozostają w Anglii.

Jednocześnie trzeba było organizować emigrację dla części uchodźców, którzy chcieli z Anglii wyjechać. Ponadto to był okres kiedy przeniesiono do Anglii II Korpus gen. Andersa. Zajmowałem się wtedy organizowaniem emigracji dla tych, którzy chcieli wyjechać do Południowej Ameryki oraz do Australii i Nowej Zelandii. Wtedy także sam podjąłem decyzję pozostania w Anglii. Oferowano mi w tym czasie z ramienia rządu warszawskiego poselstwo w Lizbonie, ewentualnie jakieś stanowisko w Paryżu. Zwracano się do mnie za pośrednictwem osób, które uprzednio pracowały w rządzie polskim w Londynie. Nie byli to agenci, oni po prostu zidentyfikowali się ostatecznie. Było to dla mnie nie do przyjęcia zarówno ze względu na moje przekonania polityczne, jak i na moją psychikę. Dla mnie Polska mogła być tylko Polską suwerenną.

I abstrahując, że ustrój komunistyczny był dla mnie obcym przeszczepem, nie do akceptacji, to jednocześnie nawet, gdybym był bardziej kompromisowy i łagodniejszy niż byłem wówczas – powrót do Polski był nie do przyjęcia. To

nie była moja Polska. Nie moja w sensie ustrojowym, politycznym i metod rządzenia. Dlatego zostałem poza granicami.

Liczyłem się z tym, że chcę do Polski jeździć i będę kiedy to będzie możliwe. Ja chciałem i chcę Polskę zobaczyć. Tak się szczęśliwie złożyło, że mogłem to robić zawodowo.

Ale wracam do okresu po wojnie. Tak się złożyło, że byłem w owej Komisji brytyjskiego ministerstwa finansów, gdzie pracowałem ok. jednego roku. Stamtąd przeszedłem do Komitetu kształcenia Polaków w Wielkiej Brytanii. Chodziło o to, że wielu uchodźców zostało rozmieszczonych w obozach – Urzędu Opieki Społecznej, wydział zajmował się uchodźcami polskimi.

Były to dawne obozy wojskowe, mieszkało się w „beczkach śmiechu”. Tamże sprowadzono rodziny uchodźców, głównie rodziny i żołnierzy II Korpusu. Chodziło o przygotowanie tych ludzi do warunków życia w Anglii. Cały II Korpus w większości składał się z ludności pochodzenia chłopskiego. Mam na myśli żołnierzy, gdzie mało było elementu miejskiego. Ci ludzie w chwili, gdy się znaleźli tutaj, przeszli awans społeczny. Znaczna większość przekształciła się w wykwalifikowanych robotników przemysłowych.

W czasie kiedy się tym zajmowałem z ramienia komitetu Kształcenia Polaków w Wielkiej Brytanii – byłem tzw. Organizatorem oświaty w dwóch obozach w środkowej Anglii. Chodziło o to, żeby zapewnić z jednej strony dzieciom uczęszczanie do szkół. Żeby umożliwić naukę w szkołach średnich, a także wejście na uniwersytety. Mieliśmy odpowiednie fundusze pozwalające na utrzymywanie polskich szkół i na stypendia uniwersyteckie. Trzeba było tych ludzi przygotować do życia w Anglii, a więc – kursy języka, klasy szycia, gotowania, pisanie na maszynie, itd. Niekiedy wprowadzałem ich na istniejące już w angielskich college’ach odpowiednie kursy. Organizowaliśmy wieczorki, herbatki, przedstawienia. Wszystko to celem zbliżenia Polaków i Anglików.

W środkowej Anglii tego typu działalność cieszyła się dużym powodzeniem. Może to też dzięki temu, że Anglicy w tym rejonie kraju są bardziej otwarci i bezpośredni. Łatwiejsi do współżycia niż londyńczycy.

I tak pracowałem, aż mój przyjaciel z okresu lwowskiego – Ludwik Gottlieb, żydowskiego pochodzenia, pracujący wtedy w serwisie zagranicznym BBC zaproponował mi złożenie podania do radia. Podanie złożyłem i po te-

stach zostałem przyjęty na „re- lief”, to jest człowiek, który przychodzi na zastępstwo kiedy kogoś brakuje, np. ze względów zdrowotnych.

Z tym, że ja pracowałem w środkowej Anglii. Gdy pracowałem na ośmiodzinną rolę, to po prostu wsiadałem w pociąg, przybywałem do Londynu i później wracałem do siebie. Trwało to tak mniej więcej przez dwa lata.

W końcu zaproponowano mi tymczasowy kontrakt, ale nie zaproponowano mi jeszcze pracy stałej. A to dlatego, że w BBC są do tej pory takie zwyczaje, że najpierw się ogłasza konkurs. Zgłaszają się setki kandydatów, których przepuszcza się przez testy (próby głosu, tłumaczenia, pisanie) po czym selekcjonuje się w dalszym ciągu i dopiero po kolejnej selekcji odbywa się „przesłuchanie” garstki kandydatów. Wtedy decyduje się kto zostanie wybrany. Skład przesłuchujących był następujący – szef departamentu personalnego, przedstawiciel administracji służby zagranicznej BBC, szef departamentu do którego rekrutowano kandydata i także szef sekcji językowej, któremu kandydat miał podlegać. Po przesłuchaniu wszystkich kandydatów te cztery osoby decydowały, z tym, że jeżeli były wątpliwości to głos rozstrzygający miał zawsze szef sekcji językowej.

W tym czasie dostałem ofertę stałej pracy w sekcji Polskiej Radio Wolna Europa, które zaczęło się tworzyć. Ofertę dostałem od Jana Nowaka, który gdy ja chodziłem na służby zastępcze do BBC, on był tam na stałe zatrudniony.

Propozycję Nowaka przyjąłem, gdyż z BBC nadal nie miałem, stałej pracy. Wyjechałem do Monachium i wkrótce (dokładnie w ciągu 4 miesięcy) zostałem starszym redaktorem odpowiedzialnym od grudnia 1952 za wszystkie komentarze polityczne.

Do moich obowiązków należało uczestnictwo w porannych konferencjach programowych, decydowanie co i jak się komentuje i wstępne „okejowanie”, tj. zatwierdzanie do emisji.

Zarówno w Wolnej Europie i potem w BBC starałem się zawsze z kolegą, który pisał dany komentarz uzgodnić stanowisko. Jeżeli się nie zgadzaliśmy starałem się go zawsze przekonać. Niekiedy bywały sytuacje, że musiałem powiedzieć – mój kochany, możemy się nie zgadzać, ale ponieważ ja jestem odpowiedzialny za to co idzie na antenę to niestety musi być w powietrzu tak jak mówię.

– Jaki był wtedy wpływ Amerykanów?

– Duży. Radio Wolna Europa zostało stworzone jako instrument polityki amerykańskiej. Zostało stworzone przez CIA, przez amerykański wywiad i przez ten wywiad płacone. To było właściwie tajemnicą poliszyneła. Błędem moim zdaniem było stworzenie fikcji, że jest to zupełnie niezależną organizację wspieraną finansowo przez rząd Stanów Zjednoczonych. Programowo było niezależne jakkolwiek musiało się trzymać ram polityki USA, ale jeżeli idzie o finansowanie, należało sprawę postawić jasno.

Dyrekcja była amerykańska, a Jan Nowak był szefem departamentu polskiego. Muszę powiedzieć, że był to jedyny człowiek jakiego znałem, który potrafił przez pierwsze dwa-trzy lata zmontować i „zamalgamować” tak niesłychanie różnorodny zespół. Różnorodny jeżeli chodzi o pochodzenie, poglądy polityczne, nastawienia psychiczne. Był to zespół, który służył sprawie, w którą wierzył, służył Polsce, niezależnie od warunków finansowych, skądinąd państwowych. Pracowano z niesłychanym oddaniem.

Praca w radio stała się moim drugim zawodem. Zawodem, który sprawiał mi niesłychanie dużo satysfakcji i przyjemności. Najbardziej przejawiało się w tym, że się pracowało z minuty na minutę. Jak się robi program w radio to trzeba być z godziny na godzinę na bieżąco. W owym czasie dziewięćdziesiąt parę procent programów było nagrywane. Na żywo sły tylko niektóre dzieńniki, ale dziennik nagrywano na pół godziny przed nadawaniem.

Wspominam te czasy bardzo miło z dwóch powodów. Po pierwsze, że sama praca niesłychanie mnie interesowała, pisałem dużo i komentowałem stale, a jednocześnie byłem jedynym z dwóch wówczas starszych redaktorów. Nowaka wtedy zastępował Marek Świąćicki, który potem przeszedł do Głosu Ameryki. Dzięki tej pracy odzyskałem bezpośredni kontakt z krajem. Mówiłem do kraju, do ludzi. Zdumiewające ile listów zaczęło napływać do radia. Niekiedy reakcje były niesłychanie szybkie. Okazywało się, że jesteście w kontakcie.

Dla nas bardzo ważny był fakt, że można było mówić do Polaków po polsku. Po kilku latach przerwy poczułem, że jestem w tym kraju. Lata, kiedy pracowałem w Wolnej Europie to okres amerykańskiej polityki wyzwolenia, która w moim przekonaniu była polityką zwodniczą, fałszywą. Były różne próby i pomysły, ale realnie mówiąc nie można było mówić o żadnym wyzwaniu.

Była tylko retoryka bez żadnych konsekwencji praktycznych. Codziennie na naszych konferencjach programowych bywał kierownik działu politycznego – Amerykanin, nie jeden zresztą. Byli to ludzie do Polski i Wschodniej Europy niesłyszanie pozytywnie i przyjaźnie nastawieni. Natomiast żaden nie był przygotowany językowo do swoich obowiązków. Nie znali języka polskiego. Codziennie, niekiedy co drugi dzień przychodziły dyrektywy z centrali w Nowym Jorku co i jak należy naświetlać i komentować. Później to się zmieniło, ale w owym czasie kontrola polityczna i konieczność dostosowania się do wymagań politycznych była bez porównania większa w Wolnej Europie niż w BBC. W dużym stopniu decydującą rolę odgrywał Departament Stanu. Nawet teraz, kiedy już nie CIA a Kongres Stanów Zjednoczonych finansuje Wolną Europę, wpływy Departamentu Stanu się utrzymały.

Wyjątkową rolę odegrał Jan Nowak, który bez przerwy jeździł tam i z powrotem i ciągle przeciwstawiał się różnym ograniczeniom. Czy w owym czasie Nowak potrafił zrezygnować z rzeczy mniej ważnych, aby utrzymać zasadniczą postawę w programowaniu w treści istotnie, jak i w prezentacji tego co idzie do kraju. Robił to wbrew naciskom i w różnych starciach nierzadko ostrych.

– Pracował Pan w Wolnej Europie w latach 1952-1955. Był to okres wielu bardzo ważnych wydarzeń w Polsce i Europie Wschodniej, jak wy pracownicy radia ocenialiście to co się dzieje w Polsce?

– Napływało do nas bardzo dużo informacji. Często nadawaliśmy wiadomości wcześniej niż radio warszawskie. Przełomowym momentem w pracy Wolnej Europy była sprawa

Józefa Światły. I mówię o tym nie dlatego, że w tym uczestniczyłem, ale dlatego, że w moim przekonaniu i nie tylko moim, to co poszło „na powietrze” w sprawie Światły było pewnego rodzaju załączkiem i sprężyną odwilży.

Być może, że w tych zadymionych pokojach w Waszyngtonie, w mieszkaniach zmienianych z dnia na dzień, w których przesłuchiwałem, notowałem i nagrywałem to co mówił Światło, że wtedy gdzieś tam rodziły się pierwsze zaczątki polskiego października.

– Wracając do sprawy Światły. Jak to się stało, że Pan został wydawcą jego relacji?

Poleciałem do Waszyngtonu. Tam spędziłem niemal osiem tygodni ze Światłą. Był on wtedy pod opieką wywiadu amerykańskiego. Początkowo silnie pilnowany, potem trochę mniej, ale stale. Moje z nim rozmowy toczyły się najpierw codziennie, a potem co dwa-trzy dni w innych apartamentach. Oczywiście były to apartamenty wywiadu – safe. Początkowo był przy nas obecny oficer wywiadu, ale z czasem tylko ja i realizator nagrań. Ja notowałem, dyktowałem, on nagrywał. Potem w towarzystwie oficera wywiadu szliśmy razem na lunch itd.

– Jakie miał Pan wtedy uczucia, oto Pan przesłuchuje oficera bezpieczeństwa.

– Moje mieszane uczucia polegały na tym, że wiedziałem z kim mam do czynienia. Wiedziałem, że to jest człowiek, który w owym czasie jeśli chodzi o aparat bezpieczeństwa w Polsce był ważniejszym od Radkiewicza, Mietkowskiego, Romkowskiego, człowiek, który o ile ja wiem, miał „gorącą linię” z Berią. Istotnie w dwóch żelaznych szafach w swoim biurze miał kartoteki całego polibiura aż do szczebla sekretarzy wojewódzkich. Z wyjątkiem kartoteki Bieruta. Było tam wszystko. Światło był to człowiek, który mógł na rozkaz czy z pomocą zewnętrzną zmienić układ polibiura. Mógł zniszczyć jednych a wysunąć drugich. Oczywiście nie mógł tego robić z własnej inicjatywy, ale miał wszystko w ręku. Miałem tego świadomość rozmawiając z nim. Był po Bierucie i Bermanie trzecim człowiekiem w Polsce. Faktycznie niepodlegający swym formalnym przełożonym (Radkiewicz, czy Romkowski).

Musiałem w jakiś sposób ustalić na co dzień swój stosunek do tego człowieka, z którym miałem współpracować przez szereg tygodni. Psychicznie nie chciałem mieć z nim nic wspólnego. Wszystko co reprezentował było mi obce i odrażające. A jednocześnie wykorzystanie go w maksymalnym stopniu było konieczne, jeżeli chcieliśmy wywołać trzęsienie ziemi w partii i w aparacie bezpieczeństwa i w ten sposób ulżyć nieco społeczeństwu, choćby na pewien okres czasu. Jak się później okazało – na znacznie dłużej. Dla mnie osobiście z punk-

tu widzenia zawodowego było to pewnego rodzaju wyzwanie. Jeżeli odpowiednio je podejmę – sprawę wygram.

Wygrałem, bo po prostu, wbrew wszelkim psychicznym oporom, zdecydowałem potraktować go jak równego sobie człowieka, jak jednostkę ludzką, z którą chcąc nie chcąc musi się znaleźć formy współistnienia. Obaj pochodziliśmy ze wschodnich, dziś w granicach sowieckich, stron Polski. Stworzyłem wrażenie, przynajmniej próbowałem stworzyć, że ani mi nie imponuje, ani mnie nie obchodzi kim był i co robił. Natomiast chcę, podobnie jak i on, puścić na powietrze jak najwięcej z jego przeżyć i zawodowych wyczynów, jak najszerzej rozprzestrzenić informacje, które posiada o wszystkim, co się dzieje w partii i w bezpiece. Tu celowo nie ukrywałem, jak ogromne ma to znaczenie i widziałem niemal w oczach jak rośnie jego „ego”.

Po dwóch, trzech tygodniach Światło się wygadał, dlaczego tak dobrze mu się ze mną pracuje. Otóż, on mnie „rozpracował” i doszedł do wniosku, że nie jestem typowym przedstawicielem emigracji, że natomiast jestem pracownikiem przedwojennej... dwójki polskiej. Dlaczego? Jedną z rozmów skierowałem na Czechosłowację, bo chciałem się po prostu czegoś więcej dowiedzieć i wymienilem parę nazw najlepszych hoteli, które Światło znał, a wśród nich Hotel Ambasadora na Václavském Namesti. Ucieszył się bardzo, bo znał ten hotel. Wszyscy dygnitarze bezpieki zawsze się tam zatrzymują. Tu pana rozgryłem, powiedział Światło, bo przed wojną zatrzymywali się tam zawsze agenci i przedstawiciele polskiej dwójki. Zresztą powiedział, że nie tylko nie ma żadnych pretensji, ale ma nawet wiele podziwu dla przedwojennej dwójki polskiej. Może dlatego tam mu się dobrze ze mną pracowało. W takiej formie doczekałem się od Światła uznania!

W Warszawie została zainstalowana bezpośrednia linia między nasłuchem radiowym a Belwederem, gdzie słuchano na żywo tego co mówił Światło. Najbardziej zabawne, że po mniej więcej dwóch tygodniach od rozpoczęcia nadawania relacji zareagowała „Trybuna Ludu” stwierdzając, że Światło to amerykański agent. Tego samego dnia Światło nagrał odpowiedź – „Towarzyszu Tomaszu”. Operacja „Światło” była dość unikalną w historii radia.

– Czy Światło wiedział kto go przesłuchuje?

– Niewiele wiedział o mojej przeszłości. Wiedział tylko, że jestem jednym z czołowych przedstawicieli Wolnej Europy. Odnosiłem wrażenie, że uważa mnie nie tylko za radiowca, ale także za człowieka będącego na służbie wywiadu brytyjskiego. W moim przekonaniu on sam był znakomitym fachowcem, niesłychanie sprytny, zręczny. Miał wrodzoną inteligencję oraz był znakomicie przeszkolony. Ponadto (co było wynikiem tego, że w życiu pisał tyle raportów) mówił w sposób bardzo zwarty, jasny. Mówił bardzo specyficznym językiem. Typowy język bezpieki, ale to nie była nowomowa. Miał także pewne poczucie tragicznego humoru, a ponadto poczucie tego, że może zrobić wiele, nie wszystko lecz wiele, np. zniszczyć ludzi.

Wracam do unikalności operacji „Światło”. Była to pierwsza operacja na falach radiowych Wolnej Europy, która pociągnęła za sobą konsekwencje polityczne. Likwidacji aparatu bezpieczeństwa w formie w jakiej istniał (oczywiście potem to odbudowano), jednak w owym czasie zadano bezpieczeństwu śmiertelny cios. Zlikwidowano Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, miały miejsce aresztowania i procesy ubeków.

– Czy potem Pan zetknął się jeszcze ze Światłą?

– Nie. Zabrano go z Waszyngtonu i umieszczono go w środkowo-zachodnich Stanach, o ile wiem ze zmienioną nieco konfiguracją twarzy i zapewniono mu tam utrzymanie. Wiem, że w 1986 roku żył jeszcze, ale był sparaliżowany. Natomiast jego siostra żyje w Izraelu.

– Odszedł pan z Wolnej Europy. Mówiło się o próbie zamachu, którego celem było usunięcie Nowaka ze stanowiska dyrektora Polskiej rozgłośni.

– Nie chcę już w te sprawy wchodzić, ale była to pewna rozgrywka między zespołem amerykańskim w Monachium, a Amerykanami w Nowym Jorku w co wpłątano mnie zupełnie bez mojej wiedzy. Musiałem się wtedy rozejść z Nowakiem i powrócić do Londynu. Miałem znajomości w BBC, więc zacząłem od początku „dochodzić” i pisać od czasu do czasu komentarze.

Polską selekcją BBC kierował wtedy Stanisław Fecher, przedwojenny redaktor „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, gdzie specjalizował się w sprawach sportowych. Jego zastępcą był Józef Zarański, którego znałem z Ministerstwa

Spraw Zagranicznych. Pisałem początkowo komentarze, gdyż w BBC nie ma zwyczaju, że jak się przychodzi z wysokiego stanowiska w jednej radiostacji to od razu się wchodzi na podobne stanowisko. Tu zaczyna się od początku.

W każdym bądź razie zacząłem pisać komentarze i w szybkim czasie dostałem pierwszy kontrakt. Zacząłem pracę w kwietniu 1956 roku, swój pierwszy program pt. „W świecie komunistycznym”. Jednakże ciągle nie byłem w stałym personelu. Robiłem program na kontrakcie. Finansowo bardziej się opłacało, niż być w stałym personelu. Można było wtedy pisać, gdzie się chciało. Pod koniec 1957 roku przyjęto mnie do stałego personelu. Zostałem zastępcą szefa sekcji, a objąłem polską sekcję BBC. Po kolejnych 6 latach zostałem dyrektorem departamentu środkowoeuropejskiego, nadzorującego programy czeskie, słowackie, węgierskie i polskie, oraz fińskie.

– Rok 1956 był niesłychanie bogaty w wydarzenia.

– Tak, był zupełnie kluczowy. Myśmy najpierw się koncentrowali na wydarzeniach poznańskich. Dyskusje, rozmowy, komentarze. Podprowadzaliśmy sytuację do października 1956. Opieraliśmy się przede wszystkim na własnych korespondentach BBC. Nie mieliśmy stałego korespondenta w Warszawie, ale mieliśmy we Wiedniu, który do Polski wówczas jeździł. Także w czasie Rewolucji Węgierskiej mieliśmy korespondenta w Budapeszcie. Ponadto otrzymywaliśmy serwisy ze wszystkich prasowych agencji światowych.

Korzystaliśmy również z wiadomości wielu biznesmenów, ludzi, którzy przekazywali informacje z różnych części Polski, oraz dziennikarzy amerykańskich, brytyjskich i francuskich w Warszawie. Ponadto BBC ma do dzisiaj najlepszy nasłuch radiowy na świecie. Mówię oczywiście o nasłuchu radiostacji, a nie wywiadowczym. Rano na biurku znajdowałem w pełnych tekstach nie tylko to co Warsz- wa mówiła przez cały dzień, ale także to co nadawały wszystkie rozgłośnie wschodnioeuropejskie, i oczywiście po angielsku.

– Jak wówczas ocenialiście Panowie to co się działo w Polsce?

– Wychodziliśmy z założenia, że partia polska miała duże szczęście, gdyż miała na składzie i w szufladzie Gomułkę. Tego nie miały inne partie. Uważaliśmy, że są pewne zmiany, które Gomułka sam chciał zrobić. Były ponadto

zmiany, które zostały mu narzucone oddolnie poprzez nacisk mas. To był dla nas październik, po którym Gomułka zaczął niszczyć piedestał na którym się znalazł. Niewątpliwie Gomułka przeprowadził ważne reformy m.in. zdecydowanie ograniczył terror bezpieki. Zmniejszył się zasadniczo strach przed pieką. I to się zachowało.

– **W czasach Gomułka Pan po raz pierwszy znalazł się na terenie kraju?**

– Tak. To był 1964 rok. Jechałem z ramienia BBC, ale to nie był pierwszy wyjazd sekcji polskiej BBC do Polski. Pierwszy miał miejsce na targach Poznańskich w 1957 roku. BBC miało swoje stoisko. Wystawiano ulotki, fotografie ilustrujące to jak się pracuje w BBC oraz informacje o treści programów polskiej sekcji. Zanim jednak opowiem o swoim pierwszym pobycie w kraju muszę wyjaśnić, że polityka BBC jeżeli chodzi o nadawanie do krajów poza W. Brytanią, czyli serwisu zagranicznego jest interesująca. BBC jest korporacją prawa publicznego. Niezależną, gdyż opiera się na licencji i opłatach wnoszonych przez tych, którzy posiadają odbiorniki radiowe i telewizyjne. Natomiast serwis zagraniczny dostawał zawsze dotację uchwalaną przez parlament i Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Przez 26 lat przekonałem się na własnej skórze (choć trudno to było wytłumaczyć ludziom nie tylko ze Wschodniej Europy, ale także Francuzom i Niemcom), że jedyny wpływ jaki Foreign Office miał na zagraniczny BBC, to język. Trzeba było utrzymywać się w szerokich ramach polityki brytyjskiej. Tak się składało, że owe ramy brytyjskiej polityki pokrywały się z pojęciami Polaków pracujących w BBC. Nie było absolutnie żadnych dyrektyw co i jak należy robić. Owszem, co jakiś czas były próby ze strony Ministerstwa Spraw Zagranicznych ograniczenia budżetu BBC. BBC wygrywało dzięki kolejnym dyrektorom serwisu zagranicznego. Duży wpływ miały także nasze doskonałe stosunki z większością brytyjskich ambasadorów.

Podam przykład. Pracownicy brytyjskiej ambasady przed wyjazdem do Warszawy przychodzili na lunch do BBC, zaś młodzi sekretarze którzy wyjeżdżali do Warszawy, przychodzili na briefing, aby porozmawiać w sekcji polskiej BBC o sytuacji w Polsce. Oczywiście i ja, i moi koledzy mieliśmy niekiedy telefony z własnego wydziału ministerstwa aby wstrzymać jakprzekazać wia-

domości. Pytałem czy są prawdziwe. Nigdy w czasie mojej pracy w BBC, podkreślam to jeszcze raz nie spotkałem się z próbami nacisku, czy cenzury ze strony władz brytyjskich. Natomiast w czasie konferencji programowych w BBC były dyskutowane sprawy naświetlania wydarzeń. Najpierw odbywało się to na szczepku kontrolera wszystkich serwisów europejskich, a potem na szczepku dyrektorów departamentów. Przychodził tam przedstawiciel działu wiadomości z najnowszymi informacjami i w ramach tych wiadomości ustalaliśmy co i jak będziemy komentować. Oczywiście są departamenty w BBC, które przygotowują codzienne komentarze centralne po angielsku na aktualne tematy, zarówno międzynarodowe, jak i regionalne. Jednakże nie ma obowiązku używania tych komentarzy. Szef każdej sekcji językowej decyduje jakich komentarzy będzie używał. Oczywiście, jeżeli ma właściwych ludzi to daje komentarze własne. W czasie kiedy kierowałem sekcją polską BBC procent komentarzy tłumaczonych był mniejszy niż pisanych przez nas w sekcji.

– Kto pracował w polskiej sekcji BBC, kiedy Pan zaczął kierować radiem?

– Miałem ludzi z Anglii, Niemiec. Było tam kilku bardzo znanych dziennikarzy. Kiedy zostałem zastępcą kierownika (szefował wówczas Józef Zarański), ale tak się złożyło, że pracował z nami Zbigniew Grabowski, był korespondentem „IKC”-a w Niemczech i w Londynie i tu pozostał. Autor wielu książek, znakomity dziennikarz. Był Stanisław Fecher, był Zdzisław Broneel, krytyk literacki, był Marek Żuławski – co prawda nie dziennikarz, ale znakomity malarz. Był oczywiście Czesław Halski z „Wesołej Lwowskiej Fali”, Józef Opieński – spiker Polskiego Radia. To są te największe nazwiska z dawnych czasów.

Z nowych nabytków był Bolesław Taborski, znany poeta i tłumacz, absolwent Uniwersytetu w Bristolu, później Jan Krok-Paszkowski, którego przyjąłem do BBC z Wolnej Europy.

– Potem zaczęto przyjmować młodszych.

– Tak. Zaczęliśmy przyjmować młodych Polaków, którzy ukończyli tutejsze uniwersytety, a mówili bezbłędnie po polsku, ale to stawało się coraz trudniejsze. Stąd zaczął się napływ z Francji i Niemiec. Za moich czasów możliwe

było przyjęcie do pracy Polaków z Anglii, których można było nauczyć zawodu dziennikarza. Niektórzy stali się znakomitymi dziennikarzami. Byli to ludzie stosunkowo młodzi.

– Ile godzin nadawania miało wówczas BBC?

– Kiedy zacząłem BBC miało dwie godziny dziennie, potem za moich czasów – 3 godz., a przez jakiś czas 3,5 godz. oryginalnego programu. Proszę nie zapominać, że radio Wolna Europa, która nadaje przez 16 czy 18 godzin, ma mieć 4 godziny. Powtarza się je czterokrotnie. W BBC dziennik radiowy to jedyna rzecz, która była centralnie i szła na cały świat. Nadawał to serwis światowy BBC, który nadaje bez przerwy, przez 24 godziny, do wszystkich krajów świata. Ten sam dziennik z dodanymi na końcu informacjami regionalnymi nadaje się do 45 krajów świata.

– Jaka była pozycja polskiej sekcji wśród tych 45 „desków”?

– W moich czasach, departament środkowoeuropejski był drugim pod względem wielkości po departamencie wschodnioeuropejskim (Rosja, Jugosławia, Rumunia, Bułgaria). Ta sytuacja się zmieniła z chwilą, gdy stworzono specjalny departament rosyjski i specjalny departament południowo-wschodnioeuropejski, obecnie bałkański. Obecnie departament środkowoeuropejski jest największym departamentem językowym. Natomiast największa jest sekcja polska.

Za moich czasów sekcja ta rozrosła się „na powietrzu” w różnorodności programów. Nie moja to była zasługa. Po prostu taka była sytuacja polityczna. To były lata 1956—1972.

– Jak w Pańskich czasach wyglądała więź ze słuchaczami?

– Opieraliśmy się na badaniu opinii publicznej przez radio Wolna Europa oraz na badaniach własnych. Byliśmy na drugim miejscu jeśli idzie o liczbę słuchaczy, po Wolnej Europie. Reakcje mieliśmy wieloma drogami. Przede wszystkim wielu ludzi z różnych sfer przybywało i rozmawiało z nami. Mieliśmy bardzo dużo kontaktów z Polakami z kraju. Byli to intelektualiści, artyści, aktorzy, pisarze, studenci, np. Kisielewski, Słonimski. Ale chętnie przed

mikrofonami naszego radia występowali np. Małcużyński czy Rakowski. Drugi odbiór przychodził w raportach ambasady, gdzie nas informowano jak słuchany jest BBC w Polsce. Często jeżdżono do kraju i tam mieliśmy bezpośredni kontakt ze słuchaczami w różnych częściach Polski. Osobiście jeździłem.

– Powróćmy do Pańskiego wyjazdu do kraju.

– Była to wiosna 1964 roku. Byłem wtedy redaktorem dwóch programów – „W świecie komunistycznym” – 20 minut raz w tygodniu, drugi się nazywał „W Polsce i o Polsce”. Wówczas wprowadziłem nadawany do tej pory „Kalejdoskop Dnia”, dający obraz sytuacji w ciągu ostatnich 24 godzin, oraz późniejszym wieczorem.

Przyjechał wtedy z oficjalną wizytą Włodzimierz Sokorski do BBC. Sokorski przyszedł do naszej sekcji, oprowadzał go ówczesny dyrektor departamentu – Gregory MacDonald. Właśnie wróciłem ze studia, gdzie nagrywałem program „W świecie komunistycznym”. MacDonald przedstawił mnie i na to Sokorski – „To Pan pisze ten program, dlaczego Pan nie przyjeżdża do kraju i nie zobaczy na własne oczy. Pan musi zobaczyć jak to naprawdę wygląda.”

I tak pojechałem pierwszy raz. Pojechałem wraz z żoną dla której to także była pierwsza wizyta w kraju od wyjazdu po wojnie. Nie miałem obaw przed przyjazdem do kraju. Zdawałem sobie sprawę, że pozycja jaką miała BBC w Polsce powodowała, że ówczesnym władzom PRL zależało, aby poprzez BBC podbudować stosunki polsko-brytyjskie. Była to moja pierwsza wizyta od 17 września 1939 roku. Wszyscy dookoła mówią po polsku. Niełatwo się wzruszam, ale muszę powiedzieć, że kiedy lecieliśmy, żona w pewnym momencie powiedziała – „Popatrz, to jest Wisła”. Łzy stanęły mi w oczach.

Nie ustawiałem się przed przyjazdem do Polski jak większość ludzi tam jadących – patrzących z punktu widzenia ustroju i sytuacji w kraju w którym mieszkają. I później oburzonych, że przecież tam, w kraju żyć nie można. Z uwagi na mój zawód śledziłem to co się dzieje w kraju. Dlatego z innego punktu widzenia. Dlatego dla mnie, poza tym, że wszyscy mówią po polsku, że chodziłem ulicami Warszawy, które znałem z nazwy, ale których nie rozpoznawałem ważne było, że po prostu znalazłem się wśród swoich, znalazłem

się u siebie. Miałem pewne zastrzeżenia. Po pierwsze – kwestia języka. To był inny język. Po drugie – arogancja u przedstawicieli władzy, im niżej tym większa arogancja. A zarazem poczucie niepewności, że to jest coś tymczasowego, coś prowizorycznego, to nie może trwać. To też się odczuwało w rozmowach z ludźmi na najwyższym szczeblu.

Natomiast mam jak najlepsze wrażenie, z przeciętnymi Polakami.

Jedna rzecz mnie doprowadziła do pasji, tj. pokazanie paszportu, czy powiedzenie, że jest się z Londynu, który ma wszystko co przywozi dewizy. Chciałem być normalnym Polakiem wśród Polaków.

– A Pańskie spotkania z przedstawicielami władzy?

– Spotkania były o tyle ciekawe, że z miejsca zarówno w MSZ-cie jak i w radio spotykałem się z zarzutami, że ingerujemy w sprawy polskie dlatego, że komentuję sprawy wewnętrzne itd.

Odpowiedziałem, że komentując wewnętrzne sprawy brytyjskie. Kiedy zadawałem pytania chcąc się czegoś dowiedzieć, to wówczas odpowiadano mi, że tow. Gomułka powiedział to czy tamto. Prosiłem żeby mi nie mówili co mówi tow. Gomułka, gdyż muszę to czytać a chcę się dowiedzieć co Pan o tym wie czy myśli.

Pamiętam jak Sokorski pouczał mnie o sytuacji w Polsce, zresztą muszę przyznać, że mówił bardzo inteligentnie i interesująco przez niemal 3 godziny. Ułatwiono mi moje podróże po Polsce. Jeździłem pociągami do różnych miast w całym kraju. Kiedy pod koniec pobytu w kraju poszedłem podziękować do Wydziału Prasy MSZ, usłyszałem – „mamy nadzieję, że teraz ton pańskich komentarzy o Polsce zmieni się”. Odpowiedziałem, że jestem przekonany iż radca prasowy nadal będzie interweniował, że mieszam się w sprawy Polski.

Spotkałem się u Antoniego Słonimskiego z kilku sygnatariuszami listu „34”. Tamże spotkałem młodego wówczas chłopaka – Adama Michnika. W Krakowie zetknąłem się z bardzo interesującą młodzieżą studencką „Pod Jaszczurami”. Miałem okazję być przyjętym także przez hierarchów – przez Prymasa – biskupa Wojtyłę. z księdzem Alojzym Orszulikiem, znanym nam do dzisiaj. W czasie moich następnych przyjazdów do Polski chodziłem masę do teatrów i byłem zdumiony na jakim poziomie działa polski teatr. Przypomi-

nam sobie wspaniale wystawionego przez J. Szajnę „Fausta”, widziałem spektakle K. Dejmkę, Hanuszkiewicza. Bardzo zaciekało mnie niesłychane ożywione dyskusje np. w środowisku literatów. Mówię oczywiście o spotkaniach pół-prywatnych, w mieszkaniach czy kawiarenkach, a nie tych oficjalnych. To robiło duże wrażenie.

Ja od 1937 byłem zagranicą. Ja „odrosłem”. Nie jestem człowiekiem dwóch kultur. Jestem Polakiem, nigdy nie będę Anglikiem pomimo, że się w tym otoczeniu bardzo dobrze czuję. Ale Polska z którą się zetknąłem nie była już dla mnie.

Wyjeżdżałem z Polski w Słubicach, gdzie widziałem polską flagę widziałem, że trzeba tu jeszcze wrócić. Moja ułomność polega na tym, że nie byłem w Polsce „solidarnościowej”, ani „postsolidarnościowej”. Od tej Polski, którą widziałem ja już „odrosłem”.

– Powróćmy do BBC, jak Pan oceniał wszystkie wystąpienia w r. 1956, 1968, 1970, gdy posiadał Pan duży wpływ na informowanie rodaków w kraju?

– Uważałem, że społeczeństwo polskie znalazło się na linii frontu. W moim przekonaniu wydarzenia w Polsce od tamtego okresu wyznaczają drogę, którą Europa Wschodnia czy raczej Europa Środkowa, będzie szła.

Wschodnia część Europy wcześniej czy później musi pójść tą drogą. Dla mnie poznański czerwiec to zdławiony robotniczy protest, październik to intelektualści, ale i partyjni aktywi, to rewizjonizm (dziś największym rewizjonistą z punktu widzenia ówczesnych czasów jest oczywiście Gorbaczow). Marzec to była młodzież, której nikt nie poparł za wyjątkiem intelektualistów, grudzień to była masa robotnicza, której nikt inny nie poparł i dopiero zmienił sytuację czerwiec 1976 roku. Ostatecznym wyrazem tego co się stało po czerwcu 1976 roku była moim zdaniem „Solidarność”.

Dla mnie nie ulegało wątpliwości, że system zaczyna się rozpaść, to tylko kwestia czasu. Stało się to jasne w grudniu 1970 roku, a szczególnie w styczniu 1971 r. Natomiast „Solidarność” to zjawisko wyjątkowe i unikalne. Nie w sensie ruchu czy związku, ale w sensie solidarności społecznej. To samowyzwolenie obywatelskiego społeczeństwa w kraju w którym jeszcze rządziła partia komu-

nistyczna, ale już nie jest w stanie dominować nad społeczeństwem i nad jego aktywnością.

– Po odejściu z BBC nadal prowadzi Pan działalność dziennikarską, polityczną.

– Pierwsze 8 lat po moim odejściu z BBC były dla mnie jeszcze bardziej absorbujące. Po pierwsze wydałem parę książek w j. angielskim, a potem także w polskim. Ponadto dlatego, że przez pierwsze pół roku na usilne próby Amerykanów byłem w dyrekcji radia Wolna Europa. Było to po odejściu Jana Nowaka, za dyrekcji Zygmunta Michałowskiego. Kontrolowałem rozgłoszenie polską i węgierską. W tym czasie nadawała na żywo przez szereg dni reportaże z pobytu Papieża w Polsce, a potem w Stanach Zjednoczonych. Opierano się wówczas na transmisjach radia watykańskiego i telewizji austriackiej w dużej mierze. Mój pobyt związany był z reorganizacją pracy i programów.

W Wolnej Europie znalazłem się w 23 lata po moim odejściu w roku 1956 i muszę powiedzieć, że nastąpiły pewne zmiany na lepsze. Byłem zawsze przeciwny tłumaczeniu w każdej audycji słuchaczom, że rząd jest komunistyczny, że partia rządzi, że społeczeństwo znajduje się w kraju zniewolonym. Tłumaczyłem, że Polacy na miejscu znacznie to lepiej wiedzą od nas. Twierdziłem, że trzeba to mówić, ale wszystko zależy od tonu i formy, w jakiej to się mówi. Uważałem, że znacznie lepiej trafia do przekonania spokojna informacja i argumentacja, aniżeli używanie pejoratywnych przymiotników. Natomiast obniżył się poziom kadr z wyjątkiem kilku osób. Był to rok 1979. Początkowo kadra była na bardzo wysokim poziomie, byli tam znakomici pisarze, doskonali dziennikarze, radiowcy. Ich następcy nie zawsze i nie wszędzie wypełniali te luki na odpowiednim poziomie. Nie było tego, co ja widziałem w BBC. Chodzi mi o to, że młodszy ludzie po odpowiednim przeszkoleniu wchodziłi w zespół i asymilowali się. W owym czasie nie widziałem zespołowej pracy w Wolnej Europie. Ciągłe mówię o 1979 r.

– Po kilki miesiącach powrócił Pan do Londynu.

– Tak, przygotowuję książkę o de- tendzie, o polityce amerykańskiej lat siedemdziesiątych. Przebywałem przez dłuższy czas w Waszyngtonie, aby potem

powrócić do Londynu i objąć dyrekturę Polskiej Fundacji Kulturalnej. Trwało to od połowy 1983 r. przez trzy lata do połowy 1985 r. Po chorobie, czyli ataku serca musiałem ograniczyć swoją działalność i koncentruję się obecnie na działalności w Królewskim Towarzystwie Spraw Międzynarodowych, gdzie kilkakrotnie w tygodniu uczestniczę w debatach.

W ostatnim okresie wydałem dwie książki po polsku – „Mówi Józef Światło” oraz „Towarzysze zeznają”, które mają także wydania niezależne w Polsce. Natomiast książka „Mówi Józef Światło” osiągnęła rekordowe jak na emigrację nakłady i miała 4 wydania. Redaguję od pewnego czasu „Rzeczpospolitą”

– Od wielu lat zajmuje się Pan polityką międzynarodową. Jest Pan obserwatorem ważnych wydarzeń w Europie i na świecie. Jak Pan widzi sprawę Polski na arenie międzynarodowej? Jaki jest wpływ wydarzeń międzynarodowych na naszą sytuację? Czy widzi Pan koniunktury dla sprawy polskiej, czy można się ich spodziewać?

– Koniunktury są i trzeba na nie patrzeć z dwóch punktów widzenia. Problem pierwszy: w czym leży interes Zachodnich Demokracji, głównie Stanów Zjednoczonych, ale także Europy, głównie W. Brytanii, Niemiec, Francji. Element drugi, to w jakim stopniu i w jakim zakresie czasu dojdzie do rozkładu imperium sowieckiego, a jednocześnie do zasadniczych zmian w łonie ZSRR.

Z góry muszę podkreślić, że cokolwiek się stanie i cokolwiek rozpęta Gorbaczow (a rozpętał pewne nurty, które mogą pójść bardzo daleko) ja obawiam się jednej rzeczy. Obawiam się reakcji tego co nazwałbym wiel- korosyjskim nacjonalizmem. Dlatego, że komunizm, aby ratować twarz przechodzi na pozycję patriotyzmu i nacjonalizmu. Przecież my mówiąc

1 imperium sowieckim powinniśmy pamiętać, że to jest imperium wiel- korosyjskie. Do tego trzeba dodać jeszcze jedno zjawisko – kulturowe, społeczne, a także polityczne jednoczenie się Europy. Musimy pamiętać, że Europa Zachodnia to jest Europa. Jestem przeciwnikiem określenia dwóch części Europy jako Zachodnią i Wschodnią. Europa Wschodnia to formuła stworzona w Teheranie

2 Jałcie, podyktowana układem stosunków międzynarodowych, geopolitycznych i przede wszystkim konfliktem między Stanami Zjednoczonymi,

a Związkiem Sowieckim. Nie trzeba zapominać, że jest osobowość kulturalna, historyczna, a przede wszystkim polityczna do której należy Polska, Czechosłowacja, Węgry, Rumunia – mianowicie Europa Środkowa, która w jednoczącej się Europie może odegrać rolę kluczową. A to dlatego, że Europa Środkowa jest znacznie bliższa Europie zjednoczonej, aniżeli

Europie Wschodniej w której widzę Ukrainę, państwa bałtyckie, Białoruś, czy zachodnią Rosję. Użyłbym nawet na pierwszym etapie terminu fińlandyzacja dla Europy Środkowej. Naszą szansą jest stać się pomostem między Zachodem, a Wschodem. W jednoczącej się Europie, Europa Środkowa ma swoje miejsce. Czy takie miejsce znajdzie także Europa Wschodnia (taka jaką tu określiłem to jest znak zapytania).

– A jak to widzą politycy Zachodu?

– Jeżeli idzie o politykę amerykańską to idea Europy Środkowej, nawet neutralnej, ale kulturowo, historycznie, gospodarczo i częściowo politycznie, współpracującej z Europą Zachodnią jest bliska establishmentowi Wschodniego Wybrzeża. A więc grupy rządzącej obecnie, ale także za czasów Reagana, mimo napływu kalifornijskich specjalistów. Jednym z typowych przedstawicieli tego establishmentu jest Zbigniew Brzeziński. To Harvard, Yale, Columbia, Centre of Strategic and International Studies w Waszyngtonie – to oni w dużym stopniu wpływają na formowanie i formułowanie polityki amerykańskiej.

W rozmowach jakie miałem okazję mieć na przestrzeni dwóch lat we Francji i Niemczech spotykałem się z podejściem podobnym, z tym, że oczywiście dość specyficzny nurt myślenia jeżeli chodzi o Republikę Federalną Niemiec. Proszę nie zapominać, że idea Europy Środkowej tak jak ja ją przedstawiłem i tak jak ją widzą niektórzy, np. Anglicy i Amerykanie, to nie jest niemieckie pojęcie „Mitteleuropa”, to nie jest pojęcie Europy Środkowej w której dominują Niemcy. Europa Środkowa w koncepcji zachodnioeuropejskiej, (w pewnych tezach establishmentu USA) to Europa jednocząca się z Zachodnią Europą całą. Na pewno nie jest to Europa zdominowana przez Niemcy. A są tendencje w RFN, które zmierzają w tym kierunku, wyrażają się chęcią zdobywania wpływów gospodarczych, poprzez stabilizację tego co jest, a nie poprzez zmiany, które następują i muszą nastąpić.

– I na koniec jak Pan widzi możliwości dokonania zmian w Polsce?

– Nie zgadzam się z opiniami, które się często spotyka poza Polską, a także i w różnych ugrupowaniach politycznych w kraju, niepodległościowcy i ugodowcy. Nie wyobrażam sobie i nie sądzę, żeby ugrupowanie polityczne, zawodowe czy inne, którego celem ostatecznym nie byłaby niepodległość kraju. Z tym, że trzeba brać jedno pod uwagę. Żyjemy w erze współzależności. Nie ma absolutnie niepodległych i niezależnych krajów. Są kraje współzależne. Nawet supermocarstwa nie są absolutnie niezależne.

Każdy chce niepodległości i suwerenności swego własnego kraju. Natomiast jest kwestią jak się do tego dąży. W obecnym układzie stosunków można i trzeba do tego dążyć etapami, gdyż nie ma w tej chwili takich rozwiązań na horyzoncie, które mogłyby geopolityczny układ nagle zasadniczo zmienić.

Rozpad imperium sowieckiego, obalenie elity komunistycznej w Polsce nie nastąpi z dnia na dzień. Może natomiast nastąpić stopniowo, w miarę szybko następujących procesów zanikania, uwiądu komunizmu. Żyjemy w epoce agonii komunizmu, jako doktryny i przede wszystkim jako praktyki życia codziennego, życia społecznego. Żyjemy w okresie, kiedy Związek Sowiecki jest supermocarstwem jednowymiarowym, które nie jest ani rywalem, ani modelem społecznym, gospodarczym, ideologicznym.

Nagle zmienia się układ sił i niepodległościowcy powinni „grać” na wszystkie możliwe, ale realne i uczciwe fortepiany. Dlatego osobiście uważam, że rozmowy „okrągłego stołu” to jest pewien krok. Nie podzielam podnieceń, że teraz wszystko się załatwi. Ale jest to krok konieczny, bo ostatecznie żyje się w tym ustroju 45 lat. Nie można żyć w absolutnej negacji cały czas. Do niczego to nie prowadzi. Niepodległość będzie – ja w to wierzę.

ROZMOWA Z OSTATNIM PREMIEREM RZĄDU RP NA UCHODŹSTWIE PROF. EDWARDEM SZCZEPANIKIEM

– Panie Profesorze nic tak nie przybliża człowieka, jak karty jego biografii. Czy mógłby Pan w skrócie nam je przedstawić?

– Suwalczanin wychowany tamże. Ukończyłem studia ekonomiczne w Warszawie, wtedy przed wojną nazywała się ta szkoła SGH, obecnie SGPiS. Odbylem kampanię wrześniową jako podchorąży. Zostałem internowany na Litwie, a potem wywieziony po zagarnięciu Litwy przez Sowietów do Rosji sowieckiej. Tam spędziłem prawie dwa lata jako jeńiec wojenny w ciężkich warunkach. Po utworzeniu Armii Polskiej w Rosji sowieckiej pod dowództwem gen. Andersa, poszedłem do 5. Dywizji Kresowej. Już jako oficer artylerii brałem potem udział w szkoleniu mojego oddziału, a po wejściu z korpusu do walk we Włoszech brałem udział we wszystkich działaniach, od Monte Cassino począwszy na Bolonii skończywszy. Po wojnie osiedliłem się w Londynie. Byłem najpierw wykładowcą potem profesorem w tzw. Polskim Collegium Uniwersyteckim, które było częścią Uniwersytetu Londyńskiego. Potem, gdy ta praca się skończyła, przeniósłem się aż do Hong-Kongu na stanowisko kierownika wydziału ekonomicznego w uniwersytecie tamtejszym. Potem pracowałem przez pewien czas w Pakistanie jako doradca głównej misji planowania gospodarczego. Następnie przez dłuższy okres, blisko 14 lat pracowałem w Organizacji Narodów Zjednoczonych w tzw. FAO – Międzynarodowej Organizacji do spraw Rolnictwa i Wyżywienia. Od blisko 10 lat jestem z powrotem w Anglii. Przez szereg lat pracowałem w Uniwersytecie w Sussex. Teraz jeszcze trochę naukowo pracuję w Polskim Uniwersytecie na obczyźnie, ale większość czasu, zwłaszcza w ciągu ostatniego roku, gdy zostałem prezesem Rady Ministrów poświęcam pracy politycznej.

– Panie Profesorze, jakie znaczenie ma rząd, który praktycznie nie może rządzić krajem?

– Najważniejsze znaczenie naszego rządu jest kontynuacja idei niepodległej, suwerennej, wolnej Rzeczypospolitej. W tym sensie oczywiście nie aspirujemy do rządzenia krajem, w sensie administracyjnym, gospodarczym, społecznym, a w sensie ideowym. Nam zależy na tym, aby z jednej strony mobilizować emigrację niepodległościową znajdującą się na obczyźnie na rzecz obrony praw polskich do wolności, a z drugiej strony zależy nam na tym, aby w kraju wiedziano, że swego rodzaju kontynuacja idei wolnej, niepodległej Rzeczypospolitej istnieje od 1939 roku, czyli praktycznie już 48 lat.

– Czy będąc odcięci od kraju, często z góry 40 lat, sądzicie, że w dalszym ciągu jesteście w stanie wyrobić sobie jakąś wiarygodną opinię o tym jak naprawdę w Polsce wygląda sytuacja polityczna?

– Ja myślę, że tą opinię mamy dosyć dobrą, nie chwaląc się. Czasami wydaje się nam, że my wiemy więcej niż wielu wybitnych działaczy w kraju. Ze zrozumieliśmy względów oni pracują w swego rodzaju konspiracji i często nie wiedzą nawet, że obok, nieraz w tym samym mieście, działa inna grupa, o której nic nie słyszeli, bo po prostu ze względów konspiracyjnych tak się rzeczy tam układają. Do nas natomiast dochodzą wiadomości o prawie wszystkich ruchach wolnościowych w kraju, o ośrodkach wydawniczych, o ośrodkach kulturalnych, naukowych. Do tego dochodzą bardzo dobre reportaże od dziennikarzy zagranicznych, którzy nieraz długie lata w Polsce spędzają, tacy jak Roger Boyes z „Times’a”, czy jak swego czasu Tim Sebastian, który zdobył duże zaufanie nawet wśród Polaków z kraju i inni. To wszystko do nas dochodzi w bardzo łatwy sposób, poprzez telewizję, radio, kontakty osobiste. Jeżdżą delegacje parlamentarne: kanadyjskie, brytyjskie, francuskie, belgijskie, te wiadomości do nas przychodzą. Tak więc, wydaje mi się, że obraz jaki my sobie układamy w odniesieniu do kraju jest obrazem w miarę pewnym. Nie twierdzę, że całkowicie pewnym, bo to jest w obecnej sytuacji niemożliwe. Ale obrazem wystarczającym do tego, żeby na tej podstawie kształtować nasze poczynania.

– Czy istnieje jakakolwiek możliwość ze strony rządu emigracyjnego lub agend wolnej Polski przebywających obecnie na Zachodzie pomocy materialnej dla Podziemia w Polsce. I czy Panowie widzą celowość tego?

– My tą pomoc stosujemy od szeregu lat. Przynajmniej bardziej aktywnie od 1976 roku. Od kilku lat te nasze wysiłki zostały zcentralizowane w formie funduszu pomocy krajowi, któremu przewodniczy każdorazowy prezydent Rzeczypospolitej, do którego wchodzi grono wybitniejszych działaczy politycznych znajdujących się w Londynie. Ta pomoc w niektórych wypadkach jest bardzo pokaźna, w niektórych wypadkach może nawet decydująca, dająca możliwości dość intensywnej akcji wydawniczej, nie mówiąc o zwięzłej działalności politycznej. Pomoc dla ofiar prześladowań w kraju, pomoc dla ruchów oświatowych, kulturalnych, w niektórych wypadkach pomoc indywidualna.

– Jeśli chodzi o samo funkcjonowanie agend władz Wolnej Polski na obczyźnie, w jaki sposób działalność urzędu prezydenta, rządu RP i innych agend, politycznych, społecznych i kulturalnych jest finansowana?

– Właściwie główne organy tej władzy to jak Pan słusznie powiedział jest prezydent, rząd, Rada Narodowa jest jeszcze Najwyższa Izba Kontroli Państwa. Ciało, które praktycznie bez żadnego wynagrodzenia przeprowadza rewizję finansową, okresową naszego skarbu. Finanse na naszą działalność dostarcza społeczeństwo polskie znajdujące się na obczyźnie, głównie poprzez Skarb Narodowy, który założył blisko 40 lat temu generał Władysław Anders, jego były adiutant. Pan Ludwik Kubowicz jest obecnie przewodniczącym komisji Skarbu Narodowego. To jest główne źródło finansów działalności prezydenta, rządu, Rady Narodowej. Oprócz tego od czasu do czasu rząd dostaje bezpośrednio jakieś dary, zapisy testamentowe, czy drobne przekazy z racji dla przykładu uczczenia śmierci bliskiej osoby albo dla wyrażenia osobistego uznania dla naszej działalności. Wszystkie te źródła są darami przez Polaków dla Polaków. Nie mamy żadnych, innych obcych funduszy, które by finansowały naszą działalność.

– Od czasu zerwania przez Watykan na początku lat sześćdziesiątych i wycofania statusu ambasady Rzeczypospolitej przy Watykanie. Rząd RP

nie utrzymuje oficjalnych stosunków z żadnym z rządów na świecie sprawujących praktyczną władzę. Czy to w jakiś sposób nie stawia pod znakiem zapytania skuteczność, czy nawet celowości jego pracy?

– Oczywiście, że jest to duża trudność w działalności naszego rządu, ale to nie wyklucza możliwości innych kanałów w szczególności poprzez parlamentarzystów. Dla przykładu tutaj w Parlamencie Brytyjskim w ubiegłym roku mieliśmy tzw. Early Day Motions w sprawie potępienia Jałty. Ten wniosek potępiający podpisało ponad dwustu posłów tzn. prawie 1/3 posłów. To świadczy o możliwościach naszego działania i o naszej prężności. Coś podobnego robi się w Stanach Zjednoczonych, Francji czy też nawet w Parlamencie Europejskim, gdzie jest grupa „Friends of Poland”, gdzie jest jeden Polak, inni to cudzoziemcy, ale działają w interesie pomocy dla Polski.

– Czy samo istnienie rządu RP stanowi jakiś fakt, który by tym akcjom pomagał?

– Jak najbardziej. Przede wszystkim koordynowałem tę działalność. Jestem nie w bezpośredni sposób to w pośredni. Mając cały szereg komitetów, do których członkowie rządu wchodzi, które są w kontakcie z organami cudzoziemskimi, są takie inicjatywy jak Anglo-Polish Society, czy w Ameryce Kongres Polonii Amerykańskiej, czy podobne instytucje w Szwecji i innych krajach.

– Jak duże są uposażenia związane ze sprawowaniem funkcji w rządzie emigracyjnym?

– Świetne pytanie. Odpowiedź też bardzo prosta. Zero, żadnych uposażeń nie mamy pracujemy wszyscy honorowo. Jedyne wydatki jakie mamy są to wydatki lokalowe. Musimy opłacić za gaz, elektryczność, za czyszczenie budynku, opłacić telefony, opłacić porta pocztowe, opłacić druki. Wydajemy na przykład „Rzeczpospolita” raz na miesiąc, która rozchodzi się coraz szerzej również w kraju, przedrukowywana przez najrozmaitsze ośrodki wydawnicze. Oprócz tego wydajemy od czasu do czasu nawet książki, np. dokumenty dotyczące Jałty i okresu pojałtańskiego, która rozeszła się w kilku tysiącach egzemplarzy już całkowicie. Teraz robimy nowe wydanie tej dużej pracy.

– Czy rząd RP ma konkretną koncepcję, jak będzie wyglądało miejsce Polski po uzyskaniu niepodległości?

– Opcja Polski to opcja bloku państw Europy środkowo – wschodniej tzn. opcja pewnej wspólnoty narodów ujarzmionych obecnie przez Sowiety. Polska, Ukraina, Czechosłowacja, Węgry, Rumunia, Białoruś, kraje nadbałtyckie to jest olbrzymi potencjał, który przy dobrze postawionej gospodarce może być niemal równy tego co nazywamy „wspólnotą europejską”, która jest praktycznie wspólnotą zachodnio – europejską. Przy tej koncepcji, dalszy krok to współpraca między tymi dwoma wspólnotami. Wspólnotą zachodnio – europejską i wspólnotą wschodnio – europejską. Wtedy następuje ta koncepcja, o której papież często mówi o połączonej Europie w sensie gospodarczym, a nawet tym politycznym, kulturalnym, współpraca narodów całej, wolnej Europy od Atlantyku aż do Uralu.

– Na koniec pytanie. Praktycznie biorąc, jak to widać z kraju. Wydawało się, że zarówno władze Rzeczypospolitej na emigracji, jak i fizycznie rzecz biorąc sami emigranci w Anglii nie widzą już pewnej kontynuacji między sobą a tym, co się dzieje w kraju. Jak gdyby rozbitcie przez aparat bezpieczeństwa, a w końcu lat 40. i początku 50. PSL-u i oddziałów leśnych, rozbiło pewną tkankę, nić niepodległościową. Praktycznie tzw. „odwilż” była widziana w kategoriach przesunięć wewnątrz aparatu komunistycznego, co później Dubczek określił komunizm z ludzką twarzą? Czy w tej chwili widzicie jakieś nawiązanie pewnej nici z tym co się dzieje w Polsce, jeśli tak to z jaką funkcją tej Polski? Czy widzicie możliwości, że pewne sprawy jeśli chodzi o rozwiązania przyszłości, rozegrają się politycznie i społecznie również w kraju?

– Mnie się wydaje, że ta więź, szczególnie w ostatnich latach bardziej się wzmogła, że my mamy o wiele lepszy kontakt między ruchami wolnościowymi w kraju, pod tą nazwą rozumiem również „Solidarność” niż nawet dwa, czy trzy lata temu. Jest zupełne wyraźne zrozumienie wśród tego młodego pokolenia, że kontynuacją tej ciągłości państwowej, wolnej Rzeczypospolitej, której jest zapewniony niepodległy byt państwowy, podstawowe prawa człowieka, obywatela, że kontynuatorem jest ten nasz skromny rząd polski na uchodźc-

twie, gdzie nas jest może mało, gdzie może jesteśmy biedni materialnie, ale wydaje mnie się duchowo my jesteśmy bogaci i to z dumą przyznaję. To mówię na podstawie chociażby tego wielkiego wysiłku jaki zrobiłem dwa lata temu: Kongresu Kultury Polski, gdzie około 600 uczonych polskich z całego świata się zjechało i czuliśmy się wszyscy Polakami. Takimi poważnymi Polakami, dobrymi jak i Polacy w kraju. Ta więź z krajem, powtarzam, powiększa się, zacieśnia się i całą moją nadzieją jest, żeby te związki przybierały coraz bardziej konkretne formy i stawały się coraz bardziej częstotliwe. Bo tylko przez wzajemne kontaktowanie się możemy doprowadzić do jedności poglądów. Jeżeli tego nie ma następuje, oczywiście, brak zrozumienia. Pan wspomina o październiku 1956 roku. To był typowy przykład braku tej więzi. Dlaczego? To było prawie bezpośrednio po okresie stalinowskim, gdzie te kontakty prawie zupełnie były zerwane i niemożliwe. W tej chwili sytuacja jest zupełnie inna. Jeżeli bym mógł zakończyć tę wypowiedź to jest podwójny apel do Polaków w kraju: róbcie wszystko co możecie, bo wy jesteście na czołowej linii frontu w kraju, walczcie o wolną Polskę! My jesteśmy do waszej dyspozycji jako siła pomocnicza. W sensie ideowym, koncepcyjnym nawet i w sensie kulturalnym. Mniej w sensie materialnym, bo nas na to nie stać. Ale pośrednio możemy też o tym myśleć, przez wskazywanie możliwości wykorzystania tych potencjałów finansowych, o których poprzednio mówiłem. My nie mamy ambicji, jak to się kiedyś mówiło powrotu do Polski na „białych koniach”. Jest to mrzonka, której właściwie nigdy nie mieliśmy, ale o to nas oskarżano. My mamy w naszych wypowiedziach politycznych wyraźnie postawione, że jak tylko wyłoni się w Polsce możliwość utworzenia wolnego przedstawicielstwa parlamentu, Sejmu to wszystkie symbole ciągłości Rzeczypospolitej, które są w naszych rękach: pieczęć, sztandar, konstytucja oddajemy w najbardziej powołane ręce tzn. w ręce narodu, który znajduje się w kraju.

Od redakcji: rozmowę nagrał w Londynie Piotr Ciompa, zredagował i po-
dał do druku Andrzej Anusz.

DR ANDRZEJ ANUSZ

W DRODZE DO DRUGIEGO OBIEGU – WOKÓŁ MARCA 1968: KUROŃ, LAWINA, LIPSKI, LITYŃSKI, WUJEC, ZAMBROWSKI

Redakcja podziemnego „Kuriera Akademickiego” zorganizowała w styczniu 1987 roku spotkanie z uczestnikami wydarzeń marcowych 1968 roku. Obecni byli: Jacek Kuroń, Anatol Lawina, Jan Józef Lipski, Jan Lityński, Henryk Wujec i Antoni Zambrowski. W numerze 2. Kuriera Akademickiego datowanego na „marzec 1987” ukazały się **opracowane przeze mnie pod pseudonimem Piotr Karol fragmenty dyskusji**. *Po latach publikuję całość relacji z tego spotkania.*

Jacek Kuroń:

Upamiętnijmy sobie następującą rzecz: otóż tak, mnie zamknięto 8 marca w godzinach popołudniowych, Jasia (Lityńskiego – red.) 12 marca, z tym, że 8 i 9 też siedział, Heniek (Wujec – red) był cały czas na uniwerku.

Henryk Wujec:

Mnie nie zamknięto w ogóle. Nie bez przyczyny, ponieważ nic nie robiłem.

Jacek Kuroń:

Trzeba powiedzieć słowo o tym jak wystartowali partyzanci. Kto to był. Bo jak myślę, bez tego będzie trudno powiedzieć o tym wszystkim. To znaczy można by obejść ten temat.

Jan Lityński:

Jest taka książka Kuby Karpińskiego „Krótkie spięcie”, w której nie ma ani słowa o partyzantach.

Jacek Kuroń:

Więc, jeśli chodzi o partyzantów... Był to taki nurt, frakcja, nazywana tak – bo mnie jest trudno powiedzieć czy oni siebie tak nazywali – stąd, że na czele stał Moczar i ci jego koledzy, z którymi razem wojował w AL. Ich interesy grupowe polegały na tym, że oni byli odepchnięci od władzy przez taki oto układ w aparacie. Od czasu, jak Józef Wissarionowicz przestał bez przerwy obcinać ten aparat od góry, to powstało takie porozumienie w łonie tego aparatu, że właściwie nikt, poza ważnymi, politycznymi powodami nie mógł być poszkodowany na rodzinie, dochodach i stanowisku. Dawało to im absolutne i pełne poczucie bezpieczeństwa, a zarazem absolutnie i totalnie zablokowało awanse. Wszystkie ważniejsze posady w tym czasie trzymali przeważnie ci klienci, którzy byli spod Lenino, którzy przyszli z wojskami. Po części ludzie związani przed wojną z komunistyczną partią. Ta sytuacja sprawiła, że powstało bardzo dużo stanowisk pozornych. Ja znałem człowieka, który został szefem komisji w CRZZ od spraw sześciodniowego tygodnia pracy. Ja myślę, że to zjawisko trwa tam do dziś dnia i dla zrozumienia aparatu jest niesłychanie ważne. Dlatego, że ono daje takie środowisko, które można porównać do młodszych synów w okresie średniowiecza, którzy byli zawsze czynnikiem rozsadzającym strukturę, ponieważ to byli ci, którzy nie dziedziczyli. Mieli urodzenie, stanowiska, wszystko co trzeba, pieniądze i wolny czas, natomiast nie dziedziczyli stanowisk. Stąd bez przerwy spiskowali. Taki układ w aparacie sprawia, że jest tam olbrzymia grupa ludzi, która bez przerwy spiskuje, jak by tutaj tych wyższych wysadzić ze stanowisk. Jestem ostatnim, który by powiadał, że tylko przez walkę o posady można tłumaczyć takie zjawiska. Uważam, że ona odgrywała najważniejszą rolę. Myślę, że byli to ludzie, którzy mieli bardzo dojmującą świadomość, że system bardzo źle funkcjonuje, ponieważ skończyło się spoiwo ideologiczne. Ten system do 1956 roku miał bardzo silne spoiwo ideologiczne, socjalizmu, który się buduje, klasy robotniczej, która idzie do władzy, awansu szerokich rzesz. Ten mit funkcjonował, i to nie tylko w aparacie, ale bardzo

szeroko. Przede wszystkim w stosunku do awansujących, których była niemała rzesza. W 1956 roku ten mit został rozbity, zdruzgotany i na to miejsce przyszła mała stabilizacja. Była taka oto. Polityką, jak widać tu się zajmować nie można, dlatego my będziemy się dorabiali. Pomijając już to, że dorabiać się nie da w tym systemie, a w każdym razie wówczas, bo w okresie gierkowskim jakieś dorabianie było możliwe. Dla pokolenia zetempowców, wychowanych w tym mieście, ten czynnik odgrywał zasadniczą rolę. Dlatego ta ideologia, którą wysunęli partyzanci była to w skrócie ideologia bardzo narodowa. Nasze polskie, żołnierskie nawiązanie do tradycji żołnierskich, do tradycji walk wojskowych, jak widzicie waham się przed powiedzeniem – walk narodowowyzwoleńczych też, ale nacisk był kładziony na mundur i na wojsko, na hierarchię i na dyscyplinę. Dalej taka plebejska bardzo – to znaczy chłop, robotnik przeciw inteligentom jako mędrkom, którzy to wszystko psują i wydziwiają. W środowiskach inteligenckich po 1956 roku był bardzo silny rewizjonizm przeciw romantycznym tradycjom. Ostra krytyka romantycznych tradycji, która była przez szerokie społeczeństwo odbierana jako bezczeszczenie wartości narodowych. Z tego punktu widzenia partyzanci jakby trafiali w oczekiwania społeczne tą swą obroną godności wojskowej i godności munduru. Jeśli się chce całość opierać na ideologii wojskowej i narodowej to wróg i przeciwnik jest konieczny. Bez przeciwnika nie sposób tworzyć spójności na tle narodowym i oni w związku z tym wysunęli Żyda. Na początku to było niedomawiane. Dlaczego to był Żyd? Posiadał mnóstwo zalet. Po pierwsze nie mógł być Niemiec, no bo ni w pięć, ni w dziewięć. Niemiec też, ale on nie spełniał tej funkcji. Po drugie, nie mógł być to na pewno Rosjanin. W związku z tym trzeba było kogoś. Dalej – to niesłychanie ważne – wśród ludzi związanych z dawną kadrą komunistyczną, wśród ludzi, którzy przyszli z wojskami radzieckimi bardzo wielu ludzi było pochodzenia żydowskiego. W tej walce, która była walką personalną o zmianę foteli, Żyd spełniał podwójną funkcję, bo raz, po prostu, można było wskazać ten sens: Żyd, trzeba go wyrzucić, zająć jego miejsce. Spełniał po drugie funkcję ideologiczną jako ten, przeciwko któremu naród powinien się skupić. W ten sposób partyzanci wystartowali i to z dużym, społecznym rezonansem. W pierwszej fazie rolę ideologa tego obozu pełnił Zbigniew Żałoski, który akurat w marcu zamilkł. Pisał on w obronie honoru żołnierskiego na

dwóch poziomach. Jeden poziom, że to Polska właśnie wojskowym wysiłkiem dokonała tak wiele. Drugi poziom, że te prawdziwe zwycięstwa, jakieśmy odnieśli, to zwycięstwa pod wodzą komunistów. To jest właśnie mądrość. Do tej pory był tylko czyn żołnierski, a w momencie, kiedy doszli do tego komuniści, przysłała do tego jeszcze mądrość i wola. Partyzanci niesłuchanie wylansowali Załuskiego. Jeszcze jedna dygresja. Ruch październikowy sam siebie zarząnął, w związku z Węgry, przede wszystkim z groźbą sowieckiej interwencji. Sam siebie zabił, sam sobie zakneblował usta i w związku z tym jakby zniknęły nagle buntownicy. Powstała sytuacja kompletnego marazmu. Pamiętam, kiedy Kliszkę na uniwerku w 1961 roku zapytano – czy gorsze jest w partii odchylenie rewizjonistyczne, czy odchylenie dogmatyczne, to Kliszko powiedział: najgorszy w partii jest marazm. Kiedy Michnik z kolegami zakładali „Klub Poszukiwaczy Sprzeczności”, przyszedł do Schaffa w tej sprawie. To im powiedział, że myśl marksistowska, nawet rewizjonistyczna jest na wagę złota. To milczenie było tak wielkie, że kiedyśmy zaczynali naszą skrajnie rewizjonistyczną działalność, nikt się do nas nie przypieprzał, nikt na nas nie zwracał uwagi. Ja za pieniądze ZMS-u prowadziłem szkolenia w Hucie „Warszawa”, na których mówiłem wszystko to, co potem wydrukowałem w „liście otwartym”, za który dostałem 3 lata. Ale nikt nie przychodził słuchać tego, co ja tam mówię, natomiast odnotowano, że mam rewelacyjną frekwencję. Sekretarz z Huty „Warszawa” chwalił się w KW, że do nas przychodzi z uniwersytetu towarzysz Kuroń i jest taki tłok, że sprzątaczką nie może ludzi wyrzucić. Założyliśmy klub uniwersytecki, na którym bardzo ostro występowaliśmy przeciw władzy i znów na to nikt nie patrzył. Po raz pierwszy kontakt z SB mieliśmy w związku z dyskusją z pułkownikiem Załuskim, na którą przysłała wataha funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Pamiętaliśmy, że wódz „partyzantów” Moczar był wiceministrem spraw wewnętrznych. Cała Służba Bezpieczeństwa to byli właśnie „partyzanci”. Mówiono o nich „ułani rakowieccy”. Przyszli oni na dyskusję, a nie pełnić obowiązków służbowe. Dopiero po raz pierwszy nas tam wysłuchali. Jak wysłuchali, to się złapali za głowy i powstał problem, że mnie trzeba nagrać z tym, co ja tam mówiłem. Nagle zaczęło się polowanie, zaczęto mnie gdzieś zapraszać, żeby mnie nagrać. Przy czym ja się momentalnie zorientowałem, że w hucie mnie chcą nagrać. Sekretarz partii w hucie tow. Posłuszny zaprosił

mnie na dodatkowe szkolenie. Ja przyjeżdżam, a tam siedzi trzech bardzo dziwnych panów i to ma być szkolenie. Zadają mi pytania – jedno w drugie takie sądowe. Ja się wykręciłem z wszystkich pytań, ale zaraz potem młodzież się do mnie zgłasza, że mają taką grupę nieformalną „Krasnoludki” i chcieliby porozmawiać o polityce. Zaprosili mnie do mieszkania i tam mnie idealnie nagrali. Zaczęła się wokół tego afera. W związku z tym, że oni atakowali „Puławian”, co wasz człowiek mówi. To „Puławianie” mnie bronili i w ten sposób powstała sytuacja, która się rozmyła. W tym czasie zamknęli nam klub uniwersytecki.

Jan Józef Lipski:

Chciałbym wspomnieć o sprawie listu biskupów i tego momentu, kiedy władze dały ostrą kontrę. Był to moment w mojej pamięci (a ta pamięć jest o tyle dobra, że to jest pamięć od stolika pana Słonimskiego, gdzie skupiały się grupy opozycyjnych literatów), to był moment, w którym nastąpił bardzo zasadniczy zwrot intelektualistów w stosunku do Kościoła. Od tego momentu wszyscy zgodnie, od pana Słonimskiego do pana Ważyka poczuili, że Kościół reprezentuje wartości przeciwstawne temu, co tutaj tak narasta nam z miesiąca na miesiąc w propagandzie i to jest to, z czym należy być razem a nie osobno...

Jacek Kuroń:

...Ja przepraszam. Tutaj chcę jedną rzecz donieść, dodatkowo o liście w 1965 roku. Ja mam w tym względzie bardziej pesymistyczne zdanie. Nie przeczy ono temu, że niezręcznie się wyrażono, albo coś, że odbiór w społeczeństwie nie był najlepszy. Tak uważał ksiądz prymas. Ja myślę, że słusznie. Bowiem nastąpiła polaryzacja, niektórzy poparli, lecz dla wielu był to straszny cios. Moim zdaniem, ten czas do 1968 roku to był czas narastającej grozy, że tutaj przełom nie nastąpił. Nie sądzę, żeby nastąpił on też w 1968 roku.

Henryk Wujec:

Walka z Kościołem, a szczególnie jeszcze bardziej walka z posłaniem biskupów z tym sławnym „przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Posłanie to trafiało na właściwy grunt – do młodzieży. Napływ propagandy nacjonalistycznej, walka z Niemcami, to było gruboskórne i ohydne. Właściwie tego nikt

nie chciał słuchać. Biskupi powiedzieli to, co należało powiedzieć. Na to propaganda partyjna odpowiedziała brutalną kampanią, w której np. były zdjęcia Majdanka czy Oświęcimia i na tym tle były hasła: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”, które wywoływały w młodym pokoleniu efekt wręcz przeciwny. To pokazywało całą ohydę tego systemu.

Jan Lityński:

Biskupi pierwszy raz w sposób tak wyraźny wypowiedzieli się w imieniu całego społeczeństwa. Ten głos nie był odebrany jednoznacznie. W środowiskach intelektualnych i w większości środowiska studenckiego z pewnością, ale w pozostałych środowiskach nie zawsze był zrozumiany. Natomiast władza przedobrzyła, co często się jej zdarza. List biskupów był w 1965 roku, natomiast w 1966 roku władza rozpoczęła otwartą walkę. Była to bardzo ważna walka, walka o całe dziedzictwo historyczne. Władza próbowała robić tysiąclecie państwa polskiego, Kościół robił tysiąclecie chrztu Polski. Tu była zasadnicza różnica koncepcji. Władza próbowała zagarnąć całe tysiącletnie dziedzictwo. Kościół przeciw temu występował. Była to walka jakby o rząd dusz. Tę walkę w czasie kilku miesięcy Kościół wygrał. O tyle to było ważne, że jeśli się wówczas obserwowało nastroje w środowiskach katolickich i w środowiskach intelektualnych, szczególnie Warszawy, które były do tego czasu nastawione do siebie, nie powiedziałbym niechętnie, ale w każdym razie odrębnie – wówczas następuje pierwszy raz proces spotkania się. Było takie charakterystyczne spotkanie na uniwersytecie w akademiku na Kickiego. Odbył się panel z udziałem czterech prelegentów: Załuskiego, Koźniewskiego, Kisielewskiego i Szackiego. Bardzo charakterystyczne, że Załuski i Koźniewski zajmowali jedną stronę, jak gdyby państwowotwórczą, o tyle Kisielewski jednoznacznie do dzisiaj związany ze środowiskami katolickimi, „kikowskimi” i Szacki zajmowali, jak określił to Szacki, postawę „otwartą”, w przeciwieństwie do postawy, którą określił „nacionalistyczną”. Te podziały zarysowały się po raz pierwszy inaczej niż dotychczas. To było bardzo ważne. Wydaje mi się, że jeśli będziemy zastanawiali się nad ruchem lat siedemdziesiątych, to ruch ten jest jakby dzieckiem tych postaw, tego otwarcia się różnych środowisk.

Antoni Zambrowski:

Problem polegał na tym, że prowokacja zaczęła się w 1965 roku w związku z „listem biskupów”. Przedstawiciele polskiego Episkopatu w ławach Soboru Watykańskiego II, wystosowali list do biskupów niemieckich, do Episkopatu niemieckiego. W liście tym było generalne ujęcie tysiąclecia stosunków polsko – niemieckich. Było to napisane w duchu Ewangelii z zakończeniem: „przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Ten list przez prywatne kanały, tzn. przez redaktora Krasickiego przekazano kierownictwu partyjnemu do wglądu, jeszcze przed przekazaniem Episkopatowi niemieckiemu. Krasicki powiedział, że władze nie mają żadnych obiekcji, że proszę bardzo. Później okazało się, że po porozumieniu z Moczałem przyblokował list, tak że Gomułka go nie dostał. Potem pojawiły się argumenty, że dlaczego Episkopat nie porozumiał się z rządem w takiej sprawie. Podnoszono problem, że biskupi weszli w kompetencje MSZ. Pomijając fakt, czy biskupi musieli w ogóle się z MSZ porozumiewać, widać że prymas Wyszyński wykonał gest w stosunku do władz. Okazało się, że są jakieś tarcia wewnątrz aparatu partyjnego i elity władzy, że Moczar gra przeciwko Gomułce i próbuje go napuścić na Kościół. Co mu zresztą wyszło. Od wielu lat ustalano program millenium chrześcijaństwa, który został ad hoc zestawiony przez władze z obchodzonymi przez władze uroczystościami tysiąclecia państwa. Jak prymas jechał, powiedzmy, do Poznania, jechał tam też Gomułka ze swoimi patriotycznymi wiecami. Jeśli prymas jechał do Gniezna, to w tamtą stronę podążał Spychalski. Tak więc w odpowiedzi na ustalony wcześniej program millenium, władze zorganizowały program kontrobochdów. Władze podjęły konkurencję z prymasem, którą przegrały.

Jacek Kuroń:

Teraz trzeba słowo powiedzieć o „komandosach”. Otóż, jak ja tu zacząłem mówić, że w pewnym momencie „my” powiedziałem przystąpiliśmy do jakiejś takiej działalności skierowanej przeciw władzy, miałem tu na myśli Karola Modzelewskiego i mnie, bo myśmy dwaj się spotkali w pewnym momencie. Karol przyjechał w tym czasie z Włoch, a wyjechał po 1956 roku. Przyjechał porażony tą ciszą, która tu zapanowała, że coś tu z tym całym fan-tem trzeba robić. Ja w tym czasie kończyłem prowadzić „drużyny walterow-

skie”, z których wychodziło sporo młodzieży gotowej do działania. Myśmy wysunęli taką koncepcję działania wzorowaną żywcem na tym, jak żeśmy to robili w 1956 roku na uniwerku, tzn. organizowanie się uniwerku wokół klubu dyskusyjnego, na którym się pewne treści mówi i powstaje środowisko, które przystępuje do walki o ZMS, przejmuje ZMS, organizuje kontakty z innymi uczelniami, równocześnie z wielkimi zakładami pracy. Robimy tutaj taką wielką awangardową organizację rewolucyjną. Teraz trzeba powiedzieć o treści naszych koncepcji. Otóż myśmy stali na stanowisku, z grubsza biorąc, że mamy tu do czynienia z dyktaturą nad proletariatem, biurokracją, która się przekształciła w klasę panującą i wyzyskującą klasą robotniczą, a w ten sposób i całe społeczeństwo i cały naród. Stąd jej cały antydemokratyzm itd. Rozwiązaniem jest kolejna proletariacka rewolucja, która musi się odbyć w całym obozie, ponieważ w jednym kraju z osobna ona nie jest w stanie się dokonać. Z takim, mniej więcej, programem wystartował klub uniwersytecki, który zrobił niesłychaną furorę i miał niesłychaną popularność. W tym czasie – mniej więcej – wkroczyła w to Służba Bezpieczeństwa, która aresztowała jednego chłopca z uniwerku – Marka Kordosa. Przeprowadziła masowe przesłuchania i w ogóle odkryły, że tu jest przeciwnik. W związku z aresztowaniem była pierwsza na uniwerku, pierwsza w ogóle otwarta kampania o wypuszczenie człowieka, taka z rezolucjami i demonstracjami. W każdym razie myśmy go wywojowali, ale dość późno, bo go zamknięto koło 1 maja a puszczono na początku wakacji dopiero. Zrobiono wobec niego wszystko, co można i żeby zobaczył, że jest samotny, izolowany, że nikt mu nie pomaga. Tymczasem tu się toczyła rzeczywiście spora kampania o jego wypuszczenie. Wtedy zdecydowano się zamknąć klub uniwersytecki i zamknąć wszystkie kontakty. Karol Modzelewski nazwał to później „kordonem sanitarnym” wokół uniwersytetu. ZMS rzeczywiście żeśmy wygrali; ja wtedy Henia (Wujca – red.) przekonywałem, żeby wstąpił do ZMS-u, a Henio mi mówił, że on jest rzymski-katolik, a ja mu mówiłem, że nie szkodzi. A on mówił: jak bym tu wstąpił do was to by mi to nie szkodziło, ale was lada moment szlag trafi i zostanę z ręką w nocniku, członkiem tej organizacji. I Bogu dzięki, że on nie wstąpił, bo ja mam do dziś dnia takich, co gdzieś powstępowali i do dziś dnia twierdzą, że przeze mnie należą. Do dziś dnia twardo mówią, że wstąpili, bo ja im kazałem. Wszystkie możliwości działania zostały

starannie zablokowane. Gdyśmy wystartowali to zaczęły powstawać kluby dyskusyjne na innych uczelniach. Na politechnice powstała między innymi „Kontra”. Tam zamknięto Marka Kordosa, o którym wspomniałem, po prelekcji na politechnice. Kontakty z robotnikami zaczęły się momentalnie. ZMS była to tak apolityczna organizacja, tak kompletnie dziewicza i tak szczęśliwa, jak ktoś cokolwiek robił, że tam rzeczywiście, w tym momencie można ją było brać i wszystko robić. Ale to bardzo krótko trwało i momentalnie nas przycięli, ale wkoło uniwerku. W tym czasie napisany został pierwszy list (bardzo późniejsza ważna forma działania), publiczny list ważnych osób. Jan Józef Lipski zrobił taki „list trzydziestu czterech”...

Jan Józef Lipski:

Zrobił to pan Antoni Słonimski...

Jacek Kuroń:

Ale ty siedziałeś w tej sprawie. „List 34” był o cenzurze, o brakach papieru. Te 34 osoby to były rzeczywiście najwybitniejsze w świecie nauki i kultury nazwiska. Takich nazwisk już nigdy potem nikomu nie udało się zebrać. W związku z tym listem był pierwszy wiec na uniwersytecie, który zwoływali ludzie od dzisiejszego liberała Janusza Korwina-Mikke, jacyś jego kumple, których zamknięto. Zakomunikowano komitetowi uczelnianemu ZMS-u, że jeśli oni potępią wiec i „List 34”, to się puści tych facetów. Wtedy ja z Karolem napisaliśmy „list otwarty”, który wyjaśniał te wszystkie sprawy, które tu wam w skrócie opowiedziałem. Nas aresztowano. W międzyczasie chłopcy z „Klubu poszukiwaczy sprzeczności”, tzn. m.in. Jaś (Lityński – red.) przyszli na uniwersytet i rozpoczęli działalność, która później zyskała nazwę „komandoskiej”. Polegało to na tym, że jeżeli ogłaszano jakiegokolwiek zebranie na uniwersytecie, wykład, spotkanie otwarte – jakiegokolwiek temat, to oni się przygotowywali do dyskusji, przychodzili na to zebranie i zmieniali jego tok, tzn. wnosili zupełnie inne treści. To się nazywało „desant” na zebranie. Tak to nazywał komitet partyjny, który zaczął mówić na nich „komandosi”. Oni rozpoczęli walkę o uwolnienie nas. Ja dostałem 3 lata, Karol – 3,5. Było to w 1965 roku. Był to sygnał rozwiniętego antysemityzmu, ponieważ różnica

między nami była paradoksalna: napisaliśmy jeden tekst, podpisali alfabetycznie, czyli: Kuroń i Modzelewski. Rzeczą się nazywała „List otwarty”, była tekstem spójnym, w którym nie było żadnych rozdzielonych części. Ja dostałem 3 lata, Karol 3,5. Tak zażądał prokurator, który umotywował to pochodzeniem narodowościowym Karola.

Henryk Wujec:

Prokurator Pietrański powiedział, że Karol jest pochodzenia żydowskiego, to jest mądrzejszy i wiedział dobrze co robi i co za to grozi.

Jacek Kuroń:

Dokładnie powiedział on tak: „że my znamy te różne takie pisemka komunistyczne, gdzie był Żyd od pisania i Polak od podpisywania. Ten biedny, głupi Polak potem siedział”. Tak mi dokładnie wyłożył. Oni wtedy wokół tego rozpoczęli dość dużą akcję. Nasilili działalność „komandoską”. W rezultacie powstało środowisko, które się zbierało i dyskutowało, które miało jakąś koncepcję polityczną, które świadomie walczyło z istniejącym porządkiem.

Jan Józef Lipski:

Można powiedzieć, że była to większość kół naukowych.

Jacek Kuroń:

W ten sposób na uniwerku powstała enklawa wolności. Składało się na to: powszechny klimat marazmu wkoło, w ramach którego władze partyjne w porę nas nie zauważyły. Po drugie fakt, że w olbrzymiej części profesura Uniwersytetu Warszawskiego sprzyjała temu, w tym sensie, że nie wolno ludzi prześladować za przekonania. Bo na ogół im się to nie podobało, uważali, że jest to narażanie różnych ważnych wartości. Niemniej, kiedy próbowało się ich wyrzucić z uczelni (a wówczas były bardzo liberalne przepisy w komisjach dyscyplinarnych), to ci profesorowie występowali jako obrońcy, organizowało się środowisko, był klimat, tak że nie sposób było im coś zrobić. To odgrywało niesłychanie ważną rolę. Trzeci czynnik, to już samo położenie uniwersytetu, pacyfikować „uniwerek”, który się mieści na Krakowskim Przedmieściu i na

dodatek posiada takie znaczenie w życiu społecznym kraju, czyli na oczach świata. Gomulka musiałby wystąpić jako pogromca wolnej myśli. Podczas, gdy on jeszcze czerpał profity ze swojej legendy: człowieka, który podarował „październik”. Była to dla niego trudna sytuacja. Myśmy wyszli z Karolem w 1967 roku, w którym działalność komandoska bardzo się zaktywizowała.

Antoni Zambrowski:

Chciałbym uzupełnić to, co Jacek powiedział o kampanii nacjonalizmu „partyzantów”. To nie było tak, że Moczar wypracował jakąś koncepcję uzdrowienia życia ideologicznego w partii. To była koncepcja, która była przeniesieniem wieloletnich schematów propagandowych w Związku Radzieckim przez pewne nurty KGB i wojska. Przeniesione żywcem do Polski, tylko że ubrane w biało-amarantowe ubranie. Widać było, iż ono w naszej sytuacji nie pasuje.

Henryk Wujec:

Ja parę słów dodam trochę z innego punktu widzenia. Dlatego, że Jacek, Janek i trochę Tolek byli w ruchu komandoskim. Jacka znałem od dawna. Ale nie byłem w ZMS, co więcej – walczyłem z ZMS na swoim wydziale. Byłem studentem chodzącym do kościoła św. Anny i do KiK-u. Prowadziliśmy walki ideowe z ZMS-em wydziałowym. Były dyskusje takie: co wyznacza bardziej przyszłość świata, czy encyklika „Mater et magistra”, czy program XXII zjazdu KPZR ogłoszony przez Chruszczowa? ZMS twierdził, że to, myśmy twierdzili, że tamto. Zdarzały się walki bezpośrednio polityczne. W tym czasie była organizowana XXV jubileuszowa pielgrzymka akademicka do Częstochowy. ZMS na wydziale – jak się później okazało – wbrew stanowisku większości, ale w myśl wskazań swojego szefa rozpoczął walkę z tymi, którzy chcieli pojechać na tę pielgrzymkę. To było zgodne z linią władzy, która zatrzymywała i straszyła studentów. Wtedy mieliśmy pierwsze przesłuchania w komendzie stołecznej. Z akademika nas wzywano. Ruch komandoski był dla mnie nieznanym. Mieszkalem w akademiku, polityką się specjalnie nie interesowałem, raczej zajmowały mnie bardziej sprawy filozoficzne i religijne. W tym brałem aktywny udział. W tym okresie nastąpiło generalne zniechęcenie i wstręt do tego systemu, ale tak powoli. Głównie, z mojego punktu widzenia, było to

spowodowane walką z Kościołem, którą wszczął Gomułka wokół millenium. Prymas ogłosił millenium, w tym czasie organizowane były różne obchody. Na tych obchodach policja walczyła z ludźmi, zdzierła obrazy, zamykała możliwości przejścia pochodów. W końcu zaaresztowała obraz Matki Boskiej Częstochowskiej w drodze. Takim kulminacyjnym punktem były obchody na placu Zamkowym, przed katedrą, kiedy doszło do pierwszych starć z policją, która rozpędziła tłum. Ja tam też byłem w tym czasie. Natomiast nie sądzę, żeby ze środowisk katolickich wyszła myśl o oporze, o stworzeniu jakiegoś ruchu. Było to raczej na zasadzie formowania środowiska, a nie ruchu na uniwersytecie. Tu jest wielka zasługa właśnie „komandosów”, którzy byli w mniejszości, byli taką wyraźnie wykrystalizowaną opcją ideową, inną od reszty. Nie chciałem wstąpić do ZMS-u, dlatego że było to dla mnie jak czerwona płachta na byka. Sama myśl, żebym miał być w ZMS-ie była dla mnie niemożliwa. „Komandosi” rozpoczęli krystalizowanie ruchu. Później, kiedy już zaczęli, jak ruszyły „Dziady”, to wszyscy się do tego przyłączyli na zasadzie, że tu idzie walka o słuszną rzecz. Bo tu jest walka o prawdę, o tradycję narodową, o „Dziady” i na tej zasadzie ja również się tam znalazłem.

ZDJĘCIE „DZIADÓW”

Jacek Kuroń:

W Teatrze Narodowym wystawiano „Dziady” w inscenizacji Dejmka, które robiły wtedy niesłychaną furorę. Zwłaszcza ze względu na to, w których miejscach publiczność klaskała. Każdy, kto zna „Dziady” wie, że jest tam parę miejsc, lub paręnaście, lub parędziesiąt miejsc, gdzie publiczność może klaskać i gdzie z tego robi się duża antyrosyjska demonstracja. W związku z tym zdecydowano się zdjąć „Dziady”, ale rzeczywiście zdejmowano je dziwnie. Zapowiedziano, kiedy odbędzie się ostatnie przedstawienie. Nie w ten sposób, że zdjęto „Dziady”, tylko powiedziano, że będą zdjęte i któreś tam przedstawienie będzie ostatnie. To ostatnie było w styczniu. W momencie, kiedy zdejmowano „Dziady”, w przeddzień chyba ostatniego przedstawienia przybiegła do mnie Teresa Bogucka, mówiąc mi, że szykuje się demonstracje po zdjęciu „Dziadów”,

tn., że zaprzyjaźnieni z nami ludzie ze szkoły aktorskiej, chcą wyjść z transparentem: „Żądamy dalszych przedstawień”. Jakaś młodzież, która tam będzie skupi się wokół nich i odbędzie się uliczna demonstracja. Ja uważałem, że nie należy organizować tej demonstracji, że to źle. Ale zawsze hołdowałem takiej zasadzie, że nie można powiedzieć, żeby czegoś nie robić w słusznej sprawie; trzeba powiedzieć, co zamiast tego robić. Zaproponowałem, żeby zrobić petycję młodzieży akademickiej Warszawy przeciwko zdjęciu „Dziadów”. Zredagowaliśmy tekst i Tereska pobiegła, żeby go uzgodnić z innymi „komandosami” i, żeby tej demonstracji nie robić. To było tego samego dnia rano. Wieczorem na to przedstawienie przyszło dużo ludzi, w dodatku bileterzy wpuszczali do pewnego czasu z biletami, potem wpuścili wszystkich, którzy stali. Tak, że był tam duży tłum. Następnego dnia rano okazało się, gdyż ja tam nie byłem, że demonstracja jednak się odbyła dość późno w nocy. Przeszli pod pomnik Mickiewicza i po złożeniu transparentu pod pomnikiem, wszystkich ich zwinięto. Zwinięto kilkanaście osób i dano im kolegia.

Henryk Wujec:

Na ostatnim przedstawieniu „Dziadów” nie byłem, słyszałem, że to ma być ostatnie, ale specjalnie mnie to nie interesowało.

Jacek Kuroń:

Chcę powiedzieć, co – jak mi się wydaje – jest istotne, że kiedy środowisko komandoskie się wreszcie zebrało, a petycja już była w biegu i nie można jej było zatrzymać, miało bardzo poważne wątpliwości, czy tę petycję należało robić, i czy w ogóle należy w tę całą sprawę wchodzić. Dlatego że mówiono: to jeszcze podsyca nacjonalizm, który w społeczeństwie polskim jest wielki. Jest to działanie na rzecz Moczara, a nie przeciw niemu. Zdecydowano więc tylko, że wyda się ulotkę, która zdejmie z tego antyrosyjski charakter, że to nie jest antyrosyjskie. I taką ulotkę wydano. Ulotkę, w której tekście było, że protestujemy przeciwko tej petycji, przeciwko odcinaniu się od postępowych tradycji narodowych. Taką ulotkę wydano i rozlepiono. Po prostu przepisywało się na maszynie i rozlepiało. ZMS na to odpowiedział ulotkami i tak zaczęła się wojna ulotkowa; oni pisali ulotki głównie antysemickie, myśmy im odpowiadali. Tak

to się toczyło. Z tym, że w samym ZMS-ie Uniwersytetu Warszawskiego część z nich nie chciała tej antysemickiej propagandy prowadzić. Oni się odcinali od nas i od tamtych. W ten sposób nagle pojawił się ten pluralizm jeszcze dalej. Mieliśmy trzy siły i trzy typy ulotek. Pod petycją zebrano 3,5 tysiąca podpisów, z tym, że to była sesja. Była to druga tego rodzaju akcja. Pierwsza była przy zagrożeniu wyrzuceniem ze studiów Michnika; zebrano wtedy 1100 podpisów. Miał być wyrzucony za to, że w czasie dyskusji miał obrazić Rakowskiego. Rakowski napisał list, że on go nie obraził. Tekst petycji udało się przerzucić do Wrocławia, gdzie zebrano 1000 podpisów. Cała sprawa przez to nabrała niesłychanego rozgłosu. Bezpośrednio po tej całej sprawie ze zdjęciem „Dziadów” i demonstracji odbyło się historyczne zebranie Związku Literatów Polskich, na którym organizacja warszawska związku literatów potępiła zdjęcie „Dziadów” w bardzo mocnych słowach. A do rektora skierowała list protestujący przeciwko karaniu studentów.

Jan Józef Lipski:

Było może pewnym wsparciem duchowym dla studentów okazało się to poczucie, że elita intelektualna, przynajmniej ta, która skupiała się w związku literatów bardzo wyraźnie udzieliła poparcia studentom. Bo na tym walnym, nadzwyczajnym zebraniu (to było zebranie zwołane w trybie nadzwyczajnym w obronie „Dziadów”) oprócz rezolucji potępiającej zdjęcie „Dziadów”, były również rezolucje popierające studentów i domagające się zaprzestania represji. Myślę, że to było jakąś pomocą duchową, oczywiście niczym więcej. Dlatego ten ruch jest traktowany przede wszystkim jako ruch studencki, jednak również ruch pewnych elit intelektualnych, głównie warszawskich.

Jacek Kuroń:

Na początku wojny ulotkowej rektor zawiesił Michnika i Szlajfera w prawach studentów, za to, że skontaktowali się z korespondentem Monde’u Bernardem Marguerittem, przekazując mu informację o „Dziadach”, o demonstracji. Ta cała historia zaczyna się teraz rozdmuchiwać. Znaczenie sprawy godzi w Moczara i bardzo dezintegruje system i porządek. To musiało wywołać panikę wśród sekretarzy i generałów. W tym momencie oni musieli przystą-

pić do pacyfikacji enklawy wolności na Uniwersytecie Warszawskim. Decyzję o relegacji Michnika i Szlajfera podjął minister Jabłoński bezprawnie, jako że wówczas nie było takich przepisów, które ministrowi pozwalały na podjęcie takiej decyzji. W tej sprawie zwróciło się dwóch naszych kolegów do doradcy prawnego Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego. Oni go zapytali czy minister może wydalić studenta. On im odpowiedział, że nie może. Było to już po akcie relegacji. Z tym pismem część naszych poszła na otwarte zebranie partyjne uniwersyteckiej organizacji, żeby robić jakiś raban, ale tam tę sprawę jakoś rozmydlono. W tej sytuacji zdecydowaliśmy się na wiec 8 marca na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego. Tu chcę powiedzieć, że w świadomości mojej i Karola (bośmy na ten temat później rozmawiali) ta decyzja zapadła w takim oto historycznym kontekście, który wydaje mi się niesłychanie ważny. Mianowicie myśmy na uniwersytecie w 1956 roku stanowili znaczącą, ważną siłę. W momencie, kiedy przyszło dokręcanie śruby gomułkowskiej, myśmy doskonale wiedzieli, że nas zarzną. Myśmy nie wystąpili wtedy przeciw, i to nie ze względu na zagrożenie radzieckie, bo nasze stanowisko lewicy października, wyartykułowane, za którym myśmy się opowiedzieli i za które wsadzono by nas ewentualnie do więzienia, nie było zarzewiem buntu. Myśmy uważali tak: całe społeczeństwo jest za Gomułką, wystąpienie przeciw Gomułce musi nas załatwić i my tutaj nie wystąpimy. Później przez wiele czasu żeśmy sobie powtarzali, że był to błąd zasadniczy, że należało w październiku 1957 roku wystąpić ze zdecydowanym stanowiskiem i zginąć z rozwiniętymi sztandarami. Bo wtedy byśmy nie zginęli, bo zostałoby po nas posłanie. Zostałby sztandar. W związku z tym, że widzieliśmy, że oni kroją nas po jednym; jeśli puścimy tych dwóch – będą kroić dalej; w związku z tym mamy do wyboru albo się poddać, albo zginąć z rozwiniętymi sztandarami. I uznaliśmy, że trzeba zginąć z rozwiniętymi sztandarami. O tym żeśmy tak myśleli świadczy również fakt, że ja porobiłem duże zakłady, że nas zaraz zamkną. Przy tym sądziłem, że zamkną tylko mnie i Karola, że tam ileś osób wyrzucą i jakoś tę całą historię spacyfikują. Oczywiście nie śniło mi się w ogóle, jakie ta cała historia rozmiary przyniesie. 8 marca na dziedzińcu wiec miał dwie fazy. Pierwszy wiec był nieduży, wtedy w moim mniemaniu, tzn. jakieś dwa, trzy tysiące ludzi. Następnie atak po cywilnemu ubranych „gości”, który sprawił, że się zrobił bardzo duży tłum, który się wy-

darł i pomaszerował ulicą. Zamknięto mnie po wyjściu z domu, na ulicy, pod bramą. Zawieziono mnie na Mostowskich. Od tej pory już cały czas siedziałem aż do procesu. Znam przebieg zdarzeń z akt.

WIEC 8 MARCA I DEMONSTRACJE STUDENCKIE

Anatol Lawina:

8 marca wiedziałem o wiecu. Zjawiłem się na dziedzińcu jako obserwator. Był wiec, gdzieś około 2–3 tysiące. Irena Lasota odczytała jakiś tekst o konstytucji i o „Dziadach”. W tym momencie zaczęły na teren uniwersytetu wjeżdżać trzy autokary i z nich zaczęli wysiadać „goście”. Oni wjechali i wyjechali. Potem, po półgodzinie znów wjechali i wysiedli. Teraz zdecydowanie stanęli frontem do studentów. Było rzucanie miedziakami i odzywki. W którymś momencie nagle zaczęto pałować. Większość studentów uciekła przez skarpy. Następnego dnia w sobotę studenci zgromadzili się pod politechniką. Stamtąd demonstracja ruszyła do „Rivieri” pod hasłami pobicia studentów; przede wszystkim awantura o zakatowanie jakiejś dziewczyny z pedagogiki i oczywiście „prasa kłamie”. Na wysokości ulicy Armii Ludowej (obecnie jest to trasa Łazienkowska) nastąpił atak. Od tego momentu zaczęły się demonstracje studenckie. Jeśli chodzi o strajki, to pierwsza w poniedziałek zastrajkowała politechnika. Na uniwerku zaczęły się dyskusje i spory gdzieś w środę i w czwartek uniwersytet rozpoczął strajk.

Henryk Wujec:

Kiedy wiedziałem, że będzie wiec w obronie wyrzuconych, byłem wtedy na wydziale. Było specjalne polecenie rektora, żeby nie chodzić na wiec, które odczytali wykładowcy. Ale dokładnie kiedy była pora, wszyscyśmy wyszli, wsiedli do autobusu i pojechali na wiec, specjalnie się nie umawiając. Mało kto został na wydziale. Na wiecu było bardzo dużo ludzi. Ja nie wiedziałem, kto to była Lasota; słyszałem, że ktoś coś czyta. Później „cywile” zepchnęli nas pod Pałac Kazimierzowski i tam powstał komitet, który rozmawiał z zastępcą rektora Rybickim, ponieważ rektora Turskiego nie było w tym czasie. Po sfor-

mowaniu komitetu, więc zaczął się rozchodzić. Wtedy weszła falanga policyjna i rozpoczęła pałowanie. To był element prowokacji. Im się to nie podobało, że to się miało tak spokojnie zakończyć.

Jan Lityński:

O ile myśmy do 8 marca jakoś w tej wojnie ulotkowej panowali nad sytuacją, tzn. wiedzieliśmy mniej więcej, co będzie dalej, o tyle nikt (nie przypominam sobie takiej dyskusji), nie przewidywał co będzie, jeśli więc się uda. Ja miałem rację, 8–9 marca siedziałem w więzieniu. Potem wypuścili mnie na dwa dni, na wiecu było więcej niż 2–3 tysiące ludzi. Fakt obecności tych 5 tysięcy ludzi na wiecu przeszedł moje oczekiwania, wydaje mi się, że i oczekiwania moich kolegów. Myśmy liczyli, że sukcesem wiecu będzie, jeśli przyjdzie 1000 osób. Oczywiście, nie przewidzieliśmy tej ogromnej wulkanicznej fali, która się rozlała po całym kraju, tego ogromnego ruchu studenckiego. Na to nie byliśmy przygotowani. Jaka była odpowiedź ruchu studenckiego na zaistniałą sytuację? Rzeczywiście był to ruch w 90% poparty przez studentów; te wiece były ogromne, grupowały 80–90% studentów. Byłem na takim wiecu na matematyce, gdzie było 80% wszystkich studentów matematyki. Na pewno od II do V roku. Spontaniczną odpowiedzią na tę zaistniałą sytuację jest tworzenie komitetu, czyli stworzenie własnej reprezentacji. To jest ważne. Jak myśmy wtedy przez te dwa, trzy dni rozmawiali. Jest sytuacja zupełnie nowa, w której dotychczas istniejące instytucje na uniwersytecie się skompromitowały. ZMS się skompromitował przez sam fakt udziału w bojówce bijącej studentów. Większość działaczy ZMS-u była, jak się później okazało oficerami śledczymi. To część z nich została oficerami w MSW. Ta walka z uniwersyteckim ZMS, nasza przedtem, była walką trochę dziwną. Nam się wydawało, że my gramy w szachy, oni grali w „dupaka”. ZMS jak gdyby przestał istnieć na uniwersytecie. ZSP próbowało coś robić. Przewodniczący ZSP coś mówił, że upomina się o aresztowanych studentów, ale też był właściwie skompromitowany. Wtedy wydawało nam się, że aczkolwiek nie uratujemy ludzi przed aresztowaniami, jednakże ta nowa forma organizacji – komitety studenckie, może przetrwać. To było oczywiście złudzenie.

MANIPULACJA W „MARCU”?

Jacek Kuroń:

Kiedy trwają dyskusje o prowokacji w marcu 1968 roku, to jedyną rzeczą, która mogłaby na te prowokacje wskazywać, jest zdjęcie „Dziadów”. Czy mogłoby to być tak, że Moczar chciał żeby „Dziady” zdjąć? (Mogłoby, powtarzam, że nie było.) Mogłoby tak być, pod jednym warunkiem. Gdyby istniały przesłanki, że „komandosi” się za to nie wezmą. Zbierze się jakaś nieokreślona młodzież, wystąpi Moczar, który powie, kto zdiag „Dziady”. Jednak w momencie, kiedy odbyła się demonstracja, której uczestników aresztowano i którzy dostali kolegą, a następnie rozpoczęła się petycja robiona przez komandosów, to już tutaj Moczar nie miał wyjścia. On występował jako przeciwnik studentów, jako carski stupajka. On, który cały czas tak starannie stroił się w kontusz szlachecki, w tę pałatkę partyzancką, po to, żeby nagle wystąpić jako carski stupajka przeciwko młodzieży, która broni „Dziadów”. Tego on na pewno nie chciał. To godziło w jego mit. To, co się potem stało, że na ulice wyszli studenci, których publicznie tłuczono, tłukła policja, na której czele stał Moczar, to zdecydowanie skompromitowało i zniszczyło cały moczarowski mit. Drugi moment prowokacji był wtedy, kiedy oni, wykonując akt relegacji Michnika i Szlajfera wiedzieli, że nastąpi zwarcie. Co więcej, że to będzie wiec to było oczywiste. Do tego wiodła eskalacja działań. Myśmy już zrobili masową petycję. To już mieliśmy za sobą; mieliśmy duże podbudowanie studenckiej Warszawy. W tej sytuacji jasne było, że oni nas na ten wiec na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego prowadzą. O tym, że oni tego chcieli może świadczyć fakt, że już przed ustaleniem terminu wiecu powtarzało się, że wiec się odbędzie. Oni oczywiście nie chcieli żadnej wojny o „Dziady”, o Mickiewicza, o tradycje narodowe i jakąkolwiek politykę. Oni chcieli zwyczajnej, żakowskiej awantury. My wyrzucamy jakiś studentów i inni studenci się buntują.

Antoni Zambrowski:

Uważam, że ruch marcowy był jak najbardziej autentyczny. Chciałbym opowiedzieć pewną historię. Kiedy Jacek Kuroń pierwszy raz wyszedł z więzienia, to mi się w moim mieszkaniu zwierzył, że pytano go o to czy on nie pracuje przypadkiem dla Romana Zambrowskiego. Gdyby SB miało pewność, że

on nie pracuje dla Zambrowskiego, to by powiedziano: zejdź z drogi i przestań nam przeszkadzać. Oni mieli swoje schematy propagandowe i potem z autentycznego ruchu studenckiego zrobiono ruch, który „wyciągał kasztany z ognia” dla „puławian”. Ja osobiście, choć z „marcem” nie miałem nic wspólnego, poza tym, że potem siedziałem razem z „komandosami” w więzieniu, miałem stanowić ogniwo między młodymi a starymi „komandosami”. Powiązania tego oczywiście nigdy nie było.

Jan Lityński:

Jak mi się wydaje, cały system komunistyczny dąży do tego, aby pokazać człowiekowi, który w nim żyje, że nie ma żadnego wpływu na rzeczywistość, że jest bezsilny, dlatego że istnieje ponad nim siła, która niszczy jego działanie. Nie jest w stanie przewidzieć swojej własnej przyszłości. Jedyne, co może zrobić, to poruszać się w sferze swojej prywatności i to też bardzo wątpliwej, jak to pokazał system stalinowski, który w każdej chwili mógł w to wkroczyć. Z tego punktu widzenia, każde samodzielne działanie w systemie komunistycznym jest działaniem niemożliwym, jest działaniem, które musi być kontrolowane przez inne siły. Tą podstawową siłą jest policja. Co więcej – policja manipuluje. W 1946 roku UB tworzyła na rozkaz ministra bezpieczeństwa – Radkiewicza tzw. bandy działające na rachunek podziemia i to były bez wątpienia bandy prowokacyjne. Wchodziły w różne środowiska i inspirowały w zakładaniu tajnych organizacji. To doświadczenie 1946 roku, fingowanych procesów, wywoływało w człowieku takie uczucie, które przed 1968 rokiem było dominujące, że każde samodzielne działanie jest działaniem w jakiś sposób sprowokowanym, jest działaniem penetrowanym przez policję. W Warszawie było to myślenie dominujące. Tak, że na przykład ukazała się książka „Klub Krzywego Koła”, o której Jan Józef Lipski mógłby coś więcej powiedzieć, bo był jednym z głównych bohaterów tej książki. Pierwszy rozdział (właściwie taka broszurka niezależna od tej książki, historii Klubu Krzywego Koła, niewątpliwie jednej z najważniejszych instytucji październikowych w Polsce) jest zatytułowany: „Chamy i Żydy”. Autor Witold Jedlicki pokazuje, że cały „październik” był procesem manipulowanym przez walki frakcyjne, że wszystko, co się działo w „październiku” było nieautentyczne, bo było manipulowane przez

zręcznych „puławian”, którzy inspirowali coś w prasie, którzy poprzez swoje wtyczki działali i przez mniej zręcznych „natolińczyków”, którzy się przeciwko temu bronili. Ale to wszystko był ruch październikowy, który przegrał. To jest bardzo ważne. Musiał się jawić jego uczestnikom jako prowokacja. Okazywali się nawet sami dla siebie nieautentyczni. To samo stało się z „marcem”. To samo przeświadczenie widać bardzo wyraźnie u ludzi po „marcu”. „Marzec” też był ruchem przegranym. W tym całym nastroju okazało się, że byliśmy wszyscy takimi pionkami manipulowanymi przez władze. Z jednym z tych argumentów rozprawił się Jacek, tzn. z argumentem „Dziadów”. Jest to ewidentne, powtórzę trochę za nim, że gdyby „Dziady” miały być prowokacją, to nie mogła to być prowokacja obliczona na grupę, którą miano w wyniku tej prowokacji ocenić jako grupę antynarodową. Wtedy nie wkładano by tej grupie do ręki takiej broni, jaką były „Dziady”. W każdym razie widać, że jeżeli była tam prowokacja, to na pewno niedoskonała. Nie była to prowokacja taka, że wszystkie nitki były do pociągnięcia. Możemy widzieć i inne elementy prowokacji w „marcu”. Cała kampania antysemicka była przygotowana i w tym sensie był to element prowokacji. Wtedy w obozie była taka sytuacja, że ideologia nacjonalistyczna była ideologią grup, które próbują dojść do władzy. „Marzec” z pewnego punktu widzenia jawił się tylko jako walki frakcyjne. Tymczasem jest oczywiste, że poza pewnymi elementami walk frakcyjnych, był czymś innym. Jeżeli się patrzy z jeszcze innego punktu widzenia, jako na walkę „mocarowców” z Gomułą, to niewątpliwie „marzec” przerósł możliwości działania „mocarowców”. Ukazuje ich jako inną grupę, ukazuje nie tę maskę, jaką chcieli sobie włożyć. To właściwie jest jedna z ważniejszych nauk „marca”, nauk do dziś nierozstrzygniętych. Z tego, co mówię widać, że jestem zdecydowanym przeciwnikiem myślenia o działaniach społecznych w ogóle w kategoriach prowokacji. Gdyby strajk w sierpniu 1980 roku zakończył się wejściem policji do stoczni, a następnie zmieniono by Gierka na kogoś innego wówczas też byśmy mieli mnóstwo interpretacji bardzo uzasadnionych, że jakaś grupa frakcyjna zorganizowała walkę. Nawet miałbym kilka faktów do pokazania, że policja manipulowała w pewnym momencie informacją. Prowokacją na ogół tłumaczy się ruchy, które przegrały. „Marzec” w pewnym sensie jest ruchem przegranym.

NAUKI „MARCA”

Jacek Kuroń:

Uważam, że zasadniczą zasługą „marca” jest to, że zahamował pochód tego totalitaryzmu, który miał przyjąć narodową ideologię niesłychanie niebezpiecznego typu. Zahamował, skompromitował, zniszczył i skończył. Tego Mochar w żadnym razie nie mógł chcieć.

Henryk Wujec:

Ważniejsza chyba od pałowania studentów była propaganda, która pojawiła się w prasie, później zaś zalewała nas w telewizji. To było bardzo dobre dla młodzieży, dla Polski. Było to oczyszczające. Ludzie patrzyli ze wstrętem na to, co działo się w telewizji. Strojenie się w piórka narodowe i jednocześnie antysemityzm. Dla młodzieży wychowanej już w Polsce ludowej w duchu dobrych tradycji, np. że antysemityzm jest zły, która to przyjęła, był to wstrząs. Teraz robili coś odwrotnego; w ten sposób sami się obnażyli. Z tego punktu widzenia było to bardzo dobre, dlatego że zdarło maskę z tego systemu. Pałkami władza wybiła socjalizm młodym ludziom z głowy. Od tej pory właściwie przestało się mówić o naprawianiu socjalizmu. Nie od razu, trzeba było na to trochę czasu. Marzec 1968 roku była to klęska mitu socjalizmu w Polsce. Dla mnie „marzec” miał decydujące znaczenie. Tutaj mój życiorys się określił. Do tej pory nie wiedziałem, w którą stronę pójść, czy tak, czy może inaczej. Ale jasne było, że to co jest, jest niedobre, musi być coś innego. Co? – nie wiadomo. Trzeba zacząć szukać czegoś nowego.

Jan Lityński:

Pierwsza ważna nauka z „marca”, to jest przejście z marazmu, o którym mówił Jacek w ruch studencki. To jest ważna nauka, gdyż okazuje się, że Polska jest w pewnym sensie krajem na wulkanie. Wystarczy pewna grupa zdecydowanych ludzi, aby wywołać ruch społeczny. Oczywiście ja znacznie upraszczam w tym momencie, bo to nie wystarczy, gdyż muszą być pewne sprzyjające okoliczności, które ku temu ruchowi społecznemu prowadzą. Niemniej doświadczenie między uniwersytetem z listopada 1967 roku, kiedyśmy rozda-

wali pierwsze ulotki a doświadczenie z lutego, nie mówiąc już o „marcu”, jest doświadczeniem jednej wielkiej epoki. Okazuje się, że niemożliwe są przewidywania co się zdarzy w przyszłości, jeśli się te przewidywania bierze na dwa miesiące przed ważnymi wydarzeniami. Wydarzenia zjawiają się niespodziewanie. Świadczy to, moim zdaniem, że ten system, co się okazało w latach 1970, 1976, 1980 jest nieprzewidywalny. Co więcej, że w każdej chwili w tym systemie może wybuchnąć ruch społeczny. Nie przez przypadek to mówię i dlatego, że odnoszę to bardzo wyraźnie do dzisiejszej sytuacji. Także i dlatego, że w tej chwili mamy do czynienia z sytuacją pewnego rodzaju marazmu, pewnego typu bezruchu. Czy z tej sytuacji coś się urodzi, tego przewidzieć nie możemy. Natomiast możemy w jakiś sposób działać, żeby z tej sytuacji coś się urodziło, i to od nas zależy. Natomiast nie zależy od badań socjologicznych, chociaż oczywiście badania socjologiczne dużo mówią o tym społeczeństwie. Druga, moim zdaniem, ważna nauka, to jest to, o czym Tolek (Ławina – red.) wspominał trochę marginesowo. Jest to ważne hasło „prasa kłamie”, tak, jak mi się wydaje, że nie było to stwierdzenie faktu, było to niezwykle ważne odkrycie, odkrycie egzystencjalne, odkrycie ontologiczne. System komunistyczny w całej swojej strukturze dąży do tego, aby każdego człowieka pozbawić oparcia w prawdzie, pozbawić prawdy. W tym systemie prawda nie istnieje. Zdania wypowiedane publicznie są zdaniami nie ocenianymi z punktu widzenia prawdy, fałszu. Są to zdania rytualne, które są nieważne. Działania społeczne są działaniami, w których prawda nie istnieje. To odkrycie w „marcu” pokazało, że istnieje coś takiego jak prawda w myśleniu społecznym, że można się do tych podstawowych wartości jak prawda i sprawiedliwość odwołać. Pesymistyczną nauką z „marca”, którą możemy wyciągnąć z każdego ruchu społecznego, jest to, że kiedy ruch społeczny zaczyna przegrywać, zaczyna być w odwrocie, to wówczas wszelkie legalne formy, które stworzył zostaną rozbite. Jak to było w przypadku komitetów studenckich. Stawiam pytanie otwarte, czy te formy należy powtarzać, czy trzeba myśleć nad nowymi formami. Ja nie znam odpowiedzi na to pytanie. Wydaje mi się, że trzeba zachowywać się różnie, zależnie od sytuacji. Natomiast pesymizm, wynikający z „marca” jest taki, że po „marcu” nastąpił pewien marazm, poczucie pustki. Można zobaczyć jak ten marazm odezwał się dwa – trzy lata później. W międzyczasie była Czechosło-

wacja, co też nie jest bez znaczenia, dlatego że wpłynęła na poczucie klęski, że nic nie można zrobić. Dwa i pół roku później był ruch robotniczy, ogromne strajki na Wybrzeżu, zmiana całej „wierchuszki” ekipy rządzącej. Potem, co charakterystyczne, nastąpił bardzo ciekawy ruch nowego typu, który nastawiony był nie tyle na działania polityczne, tylko na działania kulturalne. Urodziła się nowa fala w poezji, nowa fala w teatrze. Natomiast moim zdaniem ruch marcowy o tyle nie jest ruchem przegranym, właśnie ze względu na te walki, o których mówiłem. Dlatego, że tworzy nowe pokolenie ludzi. Co więcej, „marzec” tworzy całe myślenie o tym systemie jako o systemie obcym, z którym trzeba walczyć. „Marzec” kończy pewnego typu złudzenia, które najczęściej nazywamy rewizjonistycznymi, że ten system można powoli, poprzez różnego typu mechanizmy wewnętrzne, poprzez wchodzenie do różnego typu instytucji reformować. Z tego wszystkiego, na tej bazie nieco innego myślenia, które jednak było pewną kontynuacją „marca”, wyrósł następny ruch. Ruchy rodzą się z tego co było, ale też poprzez pewne zaprzeczenie tego co było. To, co mówiłem, są to pewnego typu pytania do rzeczywistości, nie stwierdzenia o niej.

Z LESZKIEM MOCZULSKIM ROZMAWIA MICHAŁ JANISZEWSKI

MY BYLIŚMY PRZYGOTOWANI...

– Zbliża się 25 rocznica wyborów kontraktowych. Chciałbym Cię przy tej okazji zapytać o kilka rzeczy z nią związanych. Zacznijmy może od tego, wybory kontraktowe są często uznawane za jedną z możliwych cezurą historyczną pomiędzy PRL a III RP. Czym dla Ciebie był PRL?

– Od samego początku był dla mnie tym samym, co dla ogromnej większości Polaków: formą rosyjsko-sowieckiego władztwa nad Polską. W latach '40 takie było powszechne przekonanie. Później, ale dopiero po 1956 r. większość pogodziła się z takim stanem rzeczy. Działo zresztą przyzwyczajenie, a urodzeni już po wojnie nie znali alternatywy.

– Był jednak pewnie margines, który dość chętnie kolaborował z komunistami.

– Oczywiście, że był – i systematycznie się poszerzał. Wprawdzie system komunistyczny był tak bardzo obcy Polakom, całkowicie nie pasujący do naszych doświadczeń państwowych, do polskiej tradycji politycznej i kultury – że przez pierwsze dziesięć lat traktowano go powszechnie jak jakieś wredne ciało obce. Zwłaszcza, że narzuciła go nam Rosja, główny zaborca. Co nie przeszkadza, że – podobnie jak w poprzednich pokoleniach, znaleźli się ludzie, skądinąd niekwestionowani patrioci, którzy nie dostrzegając innego wyjścia z tej tragicznej sytuacji, bardzo wcześnie zaczęli szukać jakiegoś *modus vivendi* z nową władzą. Niemalże automatycznie powstał nurt, który sam się określał, jako neopozytywizm. Był w sporym stopniu powiązany z Kościołem. To naturalne – żeby kontynuować swoją misję ewangelizacyjną, konieczne było utrzymywanie stosunków z władzami, mimo, że były one antypolskie i antyka-

tolickie. Zbudowane wokół tej konieczności założenie polityczne było bardzo proste: *Musimy się pogodzić z rzeczywistością. Jest ona obca i zła, lecz nie jesteśmy w stanie jej zmienić. Każda próba zmiany doprowadzi nas do jeszcze większego nieszczęścia, do zagłady biologicznej Polaków, przesiedlenia Sybir itd. Zwykły realizm wymaga uznanie nowego stanu rzeczy i skupienia wysiłków na ratowanie tego, co się tylko da, zwłaszcza wartości moralnych.*

– Mówisz o środowiskach, które zaakceptowały ustalenia jałtańskie wchodząc do rządu formowanego przez komunistów.

– Niezupełnie. Wraz z frontem, który pomiędzy latem 1944 a przedwiośnią 1945 r. przetoczył się przez Polskę nadchodziła władza sowiecka, a jej funkcjonariusze, głównie narodowości polskiej, przystępowali do organizowania sowieckiej republiki, przewidzianej do włączenia do ZSRR. Niektórzy z nich działali w przyczyn ideowych, inni oportunistycznych, gdyż po doświadczeniach łagiernych trudno było wierzyć w humanitaryzm komunizmu. W tym też czasie narodził się czy też odrodził neopozytywizm. Bazę miał szerszą, niż sądzi się dzisiaj. Po katastrofie eksperymentu z 20-letnią niepodległością (jak to niektórzy określali), powtórka wydawała się niemożliwa. Aktywni politycznie byli jeszcze ludzie, którzy 30 lat wcześniej reprezentowali orientację moskiewską. Pamiętam moją rozmowę ze Stanisławem Grabskim, czołową postacią narodowej demokracji w 1914 r., człowiekiem który zapewne wykształceniem i inteligencją przewyższał Romana Dmowskiego. Brał on udział jako przedstawiciel *krajowych demokratów* w konferencji moskiewskiej w czerwcu 1945 r. – o której za chwilę. Później był profesorem na UW, wykładał doktryny społeczne i polityczne. Ponieważ był to przedmiot fakultatywny, byłem chyba jedynym studentem, który zdawał u niego egzamin. Przerodził się on w wielogodzinną rozmowę. Grabski przekonywał, o ile obecna sytuacja Polski jest lepsza, niż w poprzedniej wojnie. Wtedy Rosjanie zagarniali nie tylko Lwów i Przemyśl, lecz także Chełm i Suwałki, a wraz z Prusami Wschodnimi Gdańsk. Zachodnia granica Kongresówki ulegała względnie niewielkiemu przesunięciu na Zachód, nie było pewne, czy dostaniemy Poznań. Ta mini-Polska uzyskiwała co najwyżej autonomię w ramach imperium rosyjskiego. Teraz – rozmawialiśmy wiosną 1949 r., jesteśmy wprawdzie zależni od Rosji, ale mamy

osobne państwo i członkostwo w ONZ. Granica wschodnia oparła się o Bug, zachodnia o Odrę-Nysę. Jedynym mankamentem jest komunizm, ale prędko czy później rozsądek zwycięży i porzucią tą złudną ideologię. Taka argumentacja polityczna nie była wyjątkowa, lecz emocjonalnie nie do przyjęcia dla ogromnej większości społeczeństwa. Patrząc szerzej, wówczas – ale i przez cały czas trwania PRL, występowały obok siebie dwa równoległe kierunki niezależnego działania. Pierwszy walczył o swobody religijne, drugi o polityczne. Dla Prymasa Stefana Wyszyńskiego łączyły się one w jedno, ale byli i tacy, którzy traktowali je rozdzielnie, za ustępstwa w jednej dziedzinie kapitulowali w drugiej. Już w marcu 1945 r. zaczął wychodzić „Tygodnik Powszechny” – wydawany przez kurię krakowską. Było to jedyne pismo niezależne od władz państwowych, ale rzecz jasna podlegało cenzurze. Od początku realizowało ono neopozytywistyczną linię: ponieważ nic więcej nie możemy zrobić, musimy się pogodzić z rzeczywistością i ratować wartości moralne.

Taki był stan do czerwca 1945 r. Mocarstwa zachodnie, które w pełni godziły się na podporządkowania Polski Sowietom, aby nie tracić twarzy wobec własnych obywateli, doprowadziły wówczas do realizacji postanowień jałtańskich i powołania w czerwcu 1945 tzw. Rządu Jedności Narodowej ze Stanisławem Mikołajczykiem jako wicepremierem. Polska formalnie była osobnym państwem o własnym rządzie, tylko ten ostatni został całkowicie zdominowany przez komunistów, a kraj był okupowany przez wojska sowieckie. Mikołajczyk reprezentował polską opcję polityczną, kierowane przez niego Polskie Stronnictwo Ludowe było aktywną partią opozycyjną, ale uznawano ważność Jałty oraz przynależność Polski do obozu sowieckiego. Dążono do zmian wewnętrznych, zwłaszcza do przerwania terroru fizycznego. Neopozytywizm zszedł w cień, co zresztą pozwoliło „Tygodnikowi Powszechnemu” przetrwać, gdy po mniej więcej dwu latach jawna opozycja została zdławiona, a wszystkie nieprawomyślne pisma, wydawane głównie przez PSL zamknięto albo zagarnęła je władza.

Kolejność była więc taka: najpierw ujawnili się i podjęli działania neopozytywiści, którzy podkreślali swą niezależność, ale nie opozycyjność, później przez dwa lata funkcjonowała opozycja uznająca system jałtański, po jej rozbiciu komuniści uzależnili całkowicie ZSL i Stronnictwo Demokratyczne, a przejęli PPS. Neopozytywiści wegetowali, a po zagarnięciu TP w 1953 r. przez władze

faktycznie przerwali aktywność. Krwawe masowe refleksje doprowadziły do likwidacji ruchu oporu – zarówno politycznego, jak zbrojnego. Nie była to żadna wojna domowa, bo w takim konflikcie każda ze stron dysponuje znacznym, autentycznym i szczerym poparciem społecznym. Nowa władza, zresztą bezpośrednio i na wszystkich strzeblach podporządkowana sowieckim organom albo przez nie kontrolowana, była obcym, wyizolowanym ciałem bez realnego poparcia społecznego; pozyskiwała głównie ludzi, którzy szli na współpracę z musu, ze strachu, albo zwykłego oportunistu. Większość była zastraszona, ale jak najdalej od tego, aby wspierać obcą, w dodatku terrorystyczną władzę. Żadna grupa społeczna – ani robotnicy, ani chłopci w swojej masie nie poparli narzuconej dyktatury. Również neopozytywiści, którzy tylko przystosowali się do sytuacji, aby bronić odrzucanych przez komunę wartości moralnych.

– Ale nawet to uznanie miało charakter warunkowy, powodowany sytuacją polityczną.

– Tak. Dopiero po paru latach, gdzieś od 1948–49, już po całkowitej likwidacji podziemia i opozycji, zarysował się odmienny proces, stymulowany bezpośrednio przez władzę. Wraz z totalnym uzależnieniem wszystkich dziedzin aktywności społecznej, czego końcową operacją było odbieranie chłopom ziemi i tworzenie kolchozów, rządcy PRL zaczęli rozwijać program pozyskiwania ludzi drogą tzw., awansu społecznego. Każdy, kto deklarował wierność PRL i braterskiemu sojuszowi z ZSRR, oraz przyjmował ideologię komunistyczną, zyskiwał możliwość poprawy swej osobistej pozycji. Często była to poprawa pozorna. Małorolny chłop, przenoszony do miasta, stawał się robotnikiem i mieszczaninem. Wyglądało to pięknie, ale często oznaczało to pogorszenie warunków bytowania. Prestiż okazywał się pozorowany, pauperyzacja rzeczywista. Bardziej konkretne korzyści uzyskiwali młodzi ludzie, którzy jeszcze w szkołach potrafili się wykazać politycznie, aby uzyskać ściśle reglamentowane miejsce na wyższej uczelni. W tym ostatnim przypadku sterowany przez PZPR proces dał największe rezultaty. Podczas wojny i okupacji, a także w wyniku czerwonego terroru, inteligencja w Polsce została w większej części wymordowana, więziona i rozproszona po świecie. Jej część, która przeżyła i pozostała w Kraju – ludzie represjonowanych, a często złamanych moralnie, odcięto od wpływu

na młodzież. Przejęli ją komunistyczni propagandiści i ciągu pięciu- sześciu lat urobili na własna modłę. W ten sposób przerwano ciągłość pokoleniową. Pierwsza generacja tej *nowej inteligencji*, określającej się, jako socjalistyczna, przeżyła ogromny wstrząs po ujawnieniu przez Chruszczowa zbrodni Stalina. Szokiem były nie tyle same zbrodnie, o nich wszyscy wiedzieli, co sam fakt ich ujawnienia – czego rezultatem stało się przekształcenie *rewolucyjnego entuzjazmu* w cyniczny oportunizm. W skrajnej postaci było to przyjęcie maksymy: *słowo komunizm generuje zbrodnie, to wolimy być po stronie zbrodniarzy, a nie ofiar*.

Te wczesne roczniki *nowej inteligencji* – w rzeczywistości tylko pracowników umysłowych i wszelkiego rodzaju funkcjonariuszy, po *zwycięstwie marcowym 1968 r.* zaczęła dominować w partii i państwie, stanowiąc najtrwalszą podporę systemu. Bez porównania gorzej poszło władzom PRL z formowaniem *nowej klasy robotniczej*. Ludzie, przenoszani ze wsi do miast, jeśli nawet doceniali, że to jest awans społeczny, to nie zmieniali swych tradycyjnych przekonań, przede wszystkim moralnych i religijnych – bo polityczne mieli na ogół bardzo nieokreślone. Słowem, nie przeobrażali się ideologicznie zgodnie z oczekiwaniami komuny, zachowywali krytyczny stosunek do władzy. Co więcej, łatwiej niż inne grupy społeczne, dostrzegali wyzysk i pogardę dla ludzi pracy. Ostatecznie to młodzi robotnicy, urodzeni i wychowani w PRL, stali się główną siłą społecznego buntu przeciwko totalitarnemu systemowi. Ale już w tragicznej pierwszej połowie lat '50 podobnie jak ogromna większość społeczeństwa, wyraźnie odczuwali zbrodniczość systemu, siłą narzuconego Polsce. Trudno było taką postawę manifestować, a nawet ujawniać w warunkach masowego terroru, lecz była ona typowa dla ogromnej większości Polaków. Co do wsi, przekonania chłopstwa formował głównie fakt pozbawiania ich ziemi i przymusowe zapędzanie do kołchozów.

Jeśli więc pytasz, jaki był mój ówczesny stosunek do PRL, odpowiadam: wrogi. Do 1956 roku był on zgodny z dominującą postawą społeczeństwa polskiego, ale po tej dacie przestał, gdyż większość uznała istniejący porządek rzeczy. Dlatego nigdy nie musiałem zmieniać poglądów, w przeciwieństwie do młodszych ode mnie nawet o parę lat kolegów, którzy zostali poddani zmasowanej indoktrynacji. Choć bez wątpienia większe znaczenie miało wcześniejsze

przyswojenie sobie innego kodeksu wartości, zarówno w rodzinie, jak środowisku, w którym dorastałem.

Radykalna zmiana postaw społecznych dokonała się dopiero w 1956 r. Po piętnastu latach nieprzerwanego, totalnego terroru najpierw nazistowskiego, później komunistycznego, społeczeństwo polskie było do cna wymęczone i bliskie granicy załamania. Gospodarczy i ideologiczny kryzys w ZSRR tworzył pozory głębokich przemian ustrojowych. W niezbyt odległym czasie okazało się to złudą, ale na świadomość społeczną oddziaływało już samo potępienie zbrodni stalinizmu, wypuszczanie ludzi z więzień czy zapowiedzi szerszej demokratyzacji – wzmacniane istotnie przez społeczne przyzwyczajenie do bytowania w systemie totalitarnym. Działała prosta maksyma: jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Największym pragnieniem było przywrócenie jakiegokolwiek normalności. To wymagało jednak chociażby tylko warunkowej akceptacji realnie istniejącego stanu rzeczy. I do takiej akceptacji doszło. Nastąpiła swoista identyfikacja społeczeństwa z PRL.

– Jednak powszechnie ocenia się bardzo pozytywnie zmiany, jakie przyniósł Październik 1956.

– Bo to rzeczywiście były zmiany pozytywne. Rządzący działali pod olbrzymią presją społeczeństwa. W drugiej połowie 1965 r. do strajków i manifestacji dochodziło w coraz to nowych regionach. Ludzie z dotychczas rządzącej frakcji mogli obawiać się, że spotka ich taki sam los, jak popleczników Berii – i tym gorliwiej potępiali stalinizm i domagali się liberalizacji systemu. Byli wreszcie i tacy, którzy szczerze chcieli zmian, widząc w tym szansę odnowy socjalizmu. Splot tych przyczyn narzucił zarówno ustępstwa, jak ich wysoce spektakularną formę. Nie były to wyłącznie ustępstwa pozorne. Skończono z masowym, krwawym terrorem; nawet w stanie wojennym nie został on przywrócony we wcześniejszym rozmiarze. Poprawiono istotnie warunki bytu i pracy. Zrezygnowano z kołchozów. Otwarto drogę dla pozytywnych inicjatyw ludzi, jeśli tylko nie naruszały one politycznych filarów systemu. Ale nie były to ustępstwa jednostronne. Październik 1956 rok był wielkim kompromisem pomiędzy narzuconym przemocą systemem a zniewolonym społeczeństwem. Polacy – a przynajmniej ich ogromna większość, uznali władzę komunistyczną za

autentyczną, przyjęli jej założenia ideologiczne i geopolityczne, zgodzili się, że PRL jest ich państwem – polskim państwem. To było ogromne, fundamentalne ustępstwo. Dzięki niemu PRL trwał jeszcze tak długo, bo ponad trzydzieści lat, ale – pozostając państwem totalitarnym, nie powrócił już do otwarcie zbrodniczej formy.

Patrząc z szerszej perspektywy, trzeba dostrzec, że w 1956 roku doszło do dwóch fundamentalnych, choć przeciwnych zdarzeń. Wywarły one ogromny wpływ nie tylko na Polskę, lecz na cały obóz sowiecki oraz na stosunki Wschód-Zachód. Pierwszym było masowe zaakceptowanie systemu PRL przez społeczeństwo polskie – co w nowym świetle przedstawiało charakter obozu sowieckiego. Równolegle doszło do brutalnego zdławienia rewolucji węgierskiej przez wojska sowieckie – ukazujące siłę i zderzenie ZSRR, współ-decydenta porządku światowego (*World Order*). Łącznie mieliśmy ujawnioną silnie społeczną zgodę na dalsze bytowanie w narzuconym systemem komunistycznym oraz światowe uznanie władzy Moskwy nad tę częścią Europy.

Można łatwo zrozumieć, czemu Polacy – świadomie czy nie, poszli aż tak daleko. I to, jako pierwsi. Wydarzenia 1956 r. przypominały, że trwałość systemu totalitarnego w Polsce i całej wschodniej Europie gwarantują wielkie mocarstwa świata z USA na czele. A każda próba buntu zostanie zalana krwią. Rosjanie bezkarnie zmiądzżyli Węgry, Amerykanie i zachodni Europejczycy, cały Wolny Świat milcząco uznał, że ZSRR ma do tego prawo. W takich warunkach kompromis okazywał się nawet nie mniejszym złem, tylko niepełnym dobrem. Zapewniał społeczeństwu możliwość mniej więcej normalnego funkcjonowania w nienormalnych warunkach totalnego podziału świata. Co nie przeszkadzało, że był to kompromis schizofreniczny. Gomułka – i nie tylko on, bo wszyscy celebryci oraz beneficjenci komuny z krańcowym oburzeniem potępiali zbrodnie, które sami popełniali. Przecież za całe zło, do którego doszło w najbardziej krwawym, powojennym okresie, odpowiadał politycznie i moralnie *towarzysz Wiśław*, w 1956 r. idol milionów. I był gotowy do następnych zbrodni, jak wykazał grudzień 1970 r. Dość zgodnie jednak przyjęto, że ludzie, którzy krwawo niewolili Polskę – z Gomułka na czele, byli – przynajmniej niektórzy z nich, uczciwymi Polakami, tylko z sowieckimi bagnetami na karku musieli czynić to, co im ka-

zono. W sumie PRL stał się swoistą hybrydą. Z jednej strony postępowała, chwilami skokowo, reglamentowana demokratyzacja państwa, z drugiej trwało nieprzerwanie umacnianie totalitaryzmu. Aparat władzy ulegał swoistej polonizacji, oczywiście nie w znaczeniu etnicznym, tylko moralnym i politycznym. Nowi ludzie wchodzili do PZPR, jedni ze zwykłego oportunistów, inni gdyż dostrzegali, że mogą zrobić coś dobrego – ale będzie to możliwe dopiero wówczas, gdy znajdą się wewnątrz rządzącej partii i jej zbiurokratyzowanego aparatu. Była to zupełnie inna motywacja, niż uczestnictwo w aparacie władzy w pierwszym powojennym dziesięcioleciu, kiedy głównym celem było maksymalne zniewolenie Polski przez ZSRR. Ta wymiana, czy też przeobrażanie kadr nie zmieniała jednak generalnej tendencji. Wraz z uczestnictwem w szeroko pojętej warstwie rządzącej, a zwłaszcza w toku awansowania na coraz wyższe stanowiska, niezależnie od pierwotnej motywacji, wszyscy stawali się coraz bardziej gorliwymi realizatorami przedsięwzięć, które w ostatniej linii wynikały z imperialnych potrzeb ZSRR. Innym przykładem schizofreniczności systemu było głoszenie pełnych swobód twórczych – ale dozwolonych tylko w granicach ostatniej instrukcji odpowiedniego wydziału KC PZPR. Przekonałem się o tym na własnej skórze, gdy w 1957 r. trafiłem do więzienia. Najbardziej charakterystyczny stał się jednak charakter głównego nurtu opozycji politycznej, która zaczęła ujawniać się od końca lat '60, a zorganizowany kształt przyjęła w następnej dekadzie. Otóż nie była to opozycja alternatywy, tylko generalnej akceptacji tego, co jest, z sugestią koniecznych szczegółowych poprawek. *Jeśli mamy mieć niepodległą Polskę z Berezą, to wolę taką, jaka jest* – powiedział mi wiosną 1976 r. może najbardziej zasłużony działacz opozycji, a wcześniej bohaterski powstaniec warszawski – człowiek, którego darzę najwyższym szacunkiem. Różniły nas tylko poglądy, ale działały emocje. Schizofreniczne były również stosunki pomiędzy władzą a opozycją. Totalitaryzm nie dopuszcza żadnej formy krytyki i sprzeciwu, a przecież komunistyczne władze – z przerwą na ścisły stan wojenny, a więc przez dobre dziesięć lat tolerowały istnienie opozycji, ograniczając się do indywidualnych represji. Co więcej, chwaliły się tą swoją tolerancyjnością, zabiegając o zagraniczną pomoc gospodarczą. Z kolei opozycja antytotitarna *ex definitione* powinna występować przeciwko kanonom systemu. Tymczasem w polskim opozycyjnym

mainstreamie dość powszechnie opowiadano się za zachowaniem ustroju socjalistycznej wersji leninowskiej (a nie zachodnioeuropejskiej socjaldemokracji), tylko w lepszym, zreformowanym wydaniu. Program *Samorządnej Rzeczypospolitej*, uchwalony na I Zjeździe „Solidarności”, nie nawiązywał do rozwiązań stosowanych przez socjaldemokrację, tylko jugosłowiańskich komunistów. Cała opozycja odwoływała się do konstytucji PRL i deklarowała, że działa w granicach jej przepisów, co w większości było nie szczere, lecz nie brakowało grup opozycyjnych, które traktowały to poważnie. Wreszcie, absolutnie schizofreniczna była maksyma, której przestrzegał niemalże ogół obywateli PRL, także ludzie uczestniczący w wysokich strukturach władzy: *co innego myślę, co innego mówię, co innego robię*.

Ta wewnętrzna sprzeczność była jednak konieczna, aby państwo i społeczeństwo mogły jakoś funkcjonować. Ustrój totalitarny trwał, choć bardzo niemrawo realizowany. Totalitaryzm wynika z przyjętych zasad, których katalog można łatwo sporządzić. Obowiązują one bezwzględnie, lecz jeśli skuteczność rządzenia staje się niska a władza słabnie, takie państwo nie przekształca się w demokrację liberalną, lecz pozostaje nadal totalitarne, tylko źle funkcjonujące. Dotyczyło to zresztą całego obozu sowieckiego, nie tylko PRL.

Stan swoistego kompromisu pomiędzy władzą a społeczeństwem trwał przez ćwierć wieku, od Października 1956 do sierpnia 1980 r. Miało to swoje konsekwencje. Schizofreniczność narzucała oportunizm, lecz nie prowadziła do masowego cynizmu. Ogromna większość ludzi, jeżeli nawet patrzyła krytycznie na rządy PZPR, uważała je za nieuniknione, gdyż inne nie mogłyby powstać. W tych granicach rozwijała się masowa aktywność Polaków. Dawała ona wymierne efekty: odbudowano kraj, rozbudowano gospodarkę, powoli podnosił się standard życia. Formalnie kierowała tym partia i rząd, dwoiście oddziałując na procesy rozwojowe. Z jednej strony starano się pozytywnie organizować wysiłek społeczny, z drugiej kierowano go w niewłaściwym kierunku oraz dławiono wszelkie spontaniczne inicjatywy. W sumie komunistyczne władze więcej chyba przeszkadzały, niż pomagały żywiołowo rozwijającej się aktywności Polaków. Wysiłek trzydziesto-milionowego narodu, nawet najgorzej kierowany, musiał dać przecież widoczne rezultaty. Miernikiem stosunku społeczeństwa do władzy stała się skuteczność tej ostatniej – i to w jednej tylko

dziedzinie: w rozwiązywaniu problemów ekonomicznych. Szczególnie charakterystyczny był okres rządów Gierka. Wyrazny skok gospodarczy początku dekad, którego impulsem stały się kredyty zachodnie, ustabilizował system i zwiększył obopólne zaufania; załamanie ekonomiczne, odczuwalne już w połowie dziesięciolecia, przyniosło lawinowy wzrost niezadowolenia, który osiągnął apogeum latem i jesienią 1980 r.

Jedynym pracodawcą był komunistyczny moloch – zespolenie totalitarne-go państwa z monopolistycznym przedsiębiorstwem – superkoncernem¹. Jak w każdym przedsiębiorstwie, impulsem działania był wyłącznie zysk. Przeznaczano go jednak nie na inwestycje, tylko na potrzeby imperialnej polityki Sowietów. ZSRR rozpoczynał właśnie swoją ostatnią batalię o dominację nad światem. To wymagało maksymalnego gromadzenia środków, a tym samym znacznego pogorszenia warunków bytowania ludzi. Pozostawało to w jawnej sprzeczności z publicznie głoszona ideologią wyzwolenia klasy robotniczej z kajdan wyzysku. Rzeczywistość obalała mit o wyższości socjalizmu nad kapitalizmem, lecz szerokie masy pracownicze nadal traktowały go poważnie. Komunizm sam dostarczał robotnikom broń przeciwko sobie. *Wszyscy mamy równe żółtądk* – stało się hasłem końca lat '70. Polityka, zgodnie zresztą z regułą Karola Marksa, została sprowadzono do żądań rewindykacyjnych: dajcie nam to, co się nam należy. A należy się nam równie dostatnie życie, jak wam.

Niedostrzegalnie – bo bardzo powoli, zmianie ulegał charakter społeczeństwa. Działały czynniki obiektywne: wymierały resztki przedwojennej inteligencji, lawinowo traciły aktywność generacje, w minionej wojnie walczące o niepodległość. Powszechne stawało się przekonanie, że skoro ludzie nie są w stanie wpłynąć na działania władz, to dążenia polityczne pozbawione są jakiegokolwiek sensu. Tym samym oddawano politykę w pacht PZPR, a ta starała się ją wykorzystać głównie do indoktrynacji społeczeństwa. Charakterystyczny był mit o tysiącletnim zagrożeniu niemieckim, aktualnie w postaci RFN. Zmasowane argumenty, głoszone po liście biskupów polskich do niemieckich, do dzisiaj są powtarzane w niezmienionej postaci, zwłaszcza przez ludzi, któ-

¹ Por. L. Moczulski, *Moloch. Państwo jako przedsiębiorstwo, społeczeństwo jako siła robocza*, Warszawa 1985/2013.

rym wpojono je w szkołach w czasach Gomułki. Głajchszaltacja społeczeństwa, ustawiczne równanie w dół, prowadziło do trwałych skutków.

Zawarty ongiś kompromis ulegał zapomnieniu. Oficjalnie zastępował go mit o jedności ideowo-moralnej komunistycznej władzy i społeczeństwa – katolickiego w przeważającej masie. W rzeczywistości narastał bardzo głęboki konflikt socjalny – radykalny w swych żądaniach rewindykacyjnych, ale odżegnujący się od polityki. Korespondowało to ze zmianami w PZPR, całkowicie już biurokratyzowanym i redukującym politykę do wąskiego pi-aru.

W takiej sytuacji myśl polityczna znalazła schronienie w podziemiu. Wykształciły się tam trzy główne środowiska polityczne, opozycyjne wobec istniejącej rzeczywistości. Najmłodsze było najsilniejsze. Nie określało się zbyt precyzyjnie, z pewnym uproszczeniem możemy nazwać je socjal-demo-liberalnym. Socjalizm był raczej chowu sowieckiego niż zachodniego, gdyż siłą rzeczy punkt odniesienia stanowiła rzeczywistość PRL. Wyrosło ono w latach '60 w środowiskach młodzieżowych na pograniczu liberalnej frakcji PZPR, przewodziło rewolcie studenckiej 1968 r., a wyrzucone poza nawias legalnego działania, rozwijało się w warunkach na wpół konspiracyjnych i znalazło partnera – a okazynie schronienie, w koncesjonowanych stowarzyszeniach progresywnych katolików, wyrosłych zresztą z nurtu neopozytywistycznego. Ten sojusz młodej lewicy laickiej z postępowym młodym katolicyzmem niezbyt świadomie nawiązywał do wyidealizowanego wzorca Października. Wszystko to, czego wówczas nie zrealizowano należycie, zamierzano powtórzyć, lecz w lepszym, bo starannie przemyślanym wydaniu.

Drugie środowisko, silnie związane z Kościołem, było kontynuacją chrześcijańskiej i narodowej demokracji. Skupiało się na kwestiach podstawowych: biologicznym przetrwaniu narodu oraz obronie tradycyjnych wartości moralnych i kulturowych. Nie miało większych ambicji czynnego udziału w polityce – uznając, że warunki geopolityczne na to nie pozwalają.

Trzecie środowisko było najsłabsze, lecz chyba najlepiej przygotowane intelektualnie i organizacyjnie do nadchodzącego czasu burzy i naporu. Miało charakter najbardziej zamknięty i całkowicie zakonspirowany. Skupiało wąskie środowiska piłsudczykowskie, określające się wewnątrz jako nurt niepodległościowy (nn). Słabość liczebna wynikała głównie z determinacji wcześniej-

szy działań, gdy nie żałowano krwi, a także z faktu, że środowiska niepodległościowe zarówno Niemcy, jak Sowieci i ich polscy pomocnicy traktowali najokrutniej. Jakość przygotowań była z kolei rezultatem bardzo starannego, rygorystycznego doboru kadr. Przeważali ludzie wysoce kompetentni w swoich dziedzinach, o dużym doświadczeniu teoretycznym i praktycznym. Miałem okazję przekonać się o tym wkrótce po przyjęciu do nn w 1959 r., gdy jako prawnika-konstytucjonalistę z wykształcenia skierowano mnie do zespołu pracującego nad modernizacją Konstytucji Kwietniowej 1935 r. Działaliśmy w ścisłej konspiracji, co uniemożliwiało spotkanie się w większym gronie, wszystko trzeba było prowadzić w indywidualnych rozmowach oraz wzajemnym przekazywaniu pisemnych propozycjach i opiniach. W porównaniu z dobrze mi znanymi seminariami uniwersyteckimi, prowadzonymi przez wybitnych procesorów, był to poziom znacznie wyższy, mimo bez porównania trudniejszych warunków pracy. Jednak, bez względu na przeszkody, już pod koniec lat '60 dysponowaliśmy projektem konstytucji, dopasowanym do warunków końca XX wieku oraz do istotnych cech charakteru Polaków. Projekt ten przedstawiłem w książce, wydanej w połowie lat '80 w drugim obiegu w Kraju oraz w Paryżu, a bez konieczności jakiś istotnych zmian, złożyłem w Komisji Konstytucyjnej, powołanej przez Sejm w 1992 r. W porównaniu z innymi zadaniami kodyfikacja konstytucji należała do najłatwiejszych. Głównym przedmiotem naszych prac było przygotowanie zarówno programu działania, prowadzącego do odzyskania niepodległości, jak też projektów niezbędnych, gdy zacznie funkcjonować Trzecia Rzeczpospolita.

– Przewidzieliście wybuch społeczny na końcówce lat 70-tych na podstawie analizy demograficznej i ekonomicznej. Uczestniczyliście w tworzeniu demokratycznej opozycji, inicjowaliście Wolne Związki Zawodowe, chłopski ruch protestu, powołaliście KPN z zadaniem uwolnienia Polski spod władzy sowieckiej, zapowiadaliście upadek PRL i odzyskanie niepodległości przez Polskę. Wszystko to większość struktur opozycyjnych bardzo długo uważała za niemożliwe. Jak do tego dochodziliście?

– Myślę, że działały dwa czynniki. Po pierwsze, nie zajmowaliśmy się żadnymi ideologiami, nie badaliśmy doktryn filozoficzno-społecznych, nie organi-

zowaliśmy dialogu pomiędzy katolikami a marksistami, nie rozważaliśmy, czy równość i wolność są z sobą sprzeczne. Zajmowaliśmy się wyłącznie polityką, traktowaną jako działanie profesjonalne, a więc wymagające przygotowania intelektualnego i organizacyjnego. Po drugie nie interesowało nas, czy i jak można zreformować PRL. Nie traciliśmy na to czasu. W sytuacji pełnej zależności od ZSRR wszystkie zmiany musiały uzyskać aprobatę Moskwy, a to przekreślało możliwość rzeczywistej reformy, nawet najlepiej pomyślanej. Warunkiem wyjściowym, pozwalającym na prawdziwe i trwałe zmiany, było odzyskanie niepodległości, co samo przez się powodowało likwidację PRL – satelickiego tworu powołanego przez Sowiety.

Skupienie się na realnej polityce wymagało od nas nieprzerwanej analizy zmieniającej się rzeczywistości międzynarodowej, wewnątrz obozowej i krajowej. Jedna i druga ulegały istotnym przemianom. O tych drugich już wspomniałem. System światowy pod koniec lat '60 ulegał radykalnej zmianie: z dwubiegunowego stawał się wielobiegunowy, a trzeci biegun, zarówno geopolityczny, jak ideologiczny wyrastał w Chinach. Dzisiaj nie dostrzega się tej przemiany, przyćmiły ją późniejsze wydarzenia, ale odbierali ją współcześni; pisałem o tym w wydanej w 1971 r. książce „Dylematy” – wkrótce potępionej i wycofanej z księgarni². Była ona częściowym tylko, głównie ze względu na cenzurę, przedstawieniem wyników badań, prowadzonych przez nas na bieżąco. Prognozy przekształceń układów geopolitycznych pozwalały nam przewidywać działania mocarstw, a w tworzonym przez nie systemie sprzężeń można było wynaleźć luki do wykorzystania. Jedna okazała się wystarczająco duża. W wyniku wieloletnich, różnorodnych manewrów, w sierpniu 1975 r. doszło w Helsinkach do swoistego zawieszania broni pomiędzy Zachodem i ZSRR. USA były rozbite wewnętrznie po aferze Watergate, kryzysie naftowym i klęsce wietnamskiej. Europa zachodnia szukała jakiegoś stabilizującego porozumienia z ZSRR. Moskwa czuła się panem sytuacji. Dwa lata wcześniej – w 1973 r. – pojawiła się okazja do położenia łapy na Bliskim Wschodzie, ale bariera NATO, przecinająca basen Morza Śródziemnego, uniemożliwiła interwencję zbrojną ZSRR w konflikt egipsko-izraelski. Zapory nie dawało się obejść

² L. Moczulski, *Dylematy. Wstęp do historii Europy zachodniej 1945–1970*, Warszawa 1971.

– okazja uciekła Moskwie przed nosa. Dlatego w ciągu dwu następnych lat Związek Sowiecki doprowadził do Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE). Strony gwarantowały sobie nienaruszalność podziału Europy, w zamian za co ZSRR uzyskiwał wolną rękę w strefie afro-azjatyckiej. Pozwalało to na przebicie się Sowietów na południe, do Oceanu Indyjskiego – i bezpośrednie dotarcie do naftodajnej strefy od wschodu. Wtedy nagle urosło strategiczne znaczenie Afganistanu. Rosjanie również zapłacili za Helsinki, akceptując zachodnią, uznaną przez ONZ zasadę przestrzegania praw człowieka. Dla Polski pojawiła się sytuacja wyjątkowa. Przy utrzymywaniu zamrożonych frontów zachodniego i wschodniego (chińskiego), skierowanie głównych sił sowieckich na południe wymagało utrzymania politycznego rozejmu na zachodzie – co najmniej do momentu, gdy droga do Bliskiego Wschodu zostanie otwarta. Oznaczało to m. in., że w strefie zależnej od ZSRR, a w szczególności w PRL komuniści musieli zachowywać wszelkie pozory, a więc nie stosować otwartych politycznych represji. Konieczność takiej, czasowo zliberalizowanej polityki, była również pochodną nowych możliwości, jakie przed Moskwą otwierały się w zachodniej Europie. We Włoszech powstała szansa utworzenia rządu z udziałem komunistów, co dawało Sowietom dostęp do wnętrza NATO; w RFN socjaldemokratyczny kanclerz Helmut Schmidt powoli zaczął się skłaniać do neutralizacji tego państwa; we Francji prezydent Giscard d'Estaing zabiegał o zbliżenie z ZSRR. W obliczu tak wielkich perspektyw, dla Kremla bez znaczenia było, że Gierek będzie miał kłopoty z jakimiś grupkami dysydentów; w ZSRR zresztą coś podobnego funkcjonowało już od pewnego czasu, a w środowiskach intelektualnych kolportowano *samizdat* – i ustrój z tego powodu się nie zawalił. Dla nas sformowanie takich *małych grupek* miało kluczowe znaczenie. Ze wspomnianych przez Ciebie analiz demograficznych, prowadzonych przez nas od końca lat '50 wynikało niezbicie, że trwający przyrost energii społecznej osiągnie apogeum około 1980 r. Ponieważ władze nie były w stanie tej energii zagospodarować, powstawała klasyczna sytuacja rewolucyjna. Otóż, wcześniejsze pojawienie się opozycji politycznej, choćby najskromniejszej liczebnie, pozwalało ukierunkować cały proces. Co więcej, we względnie krótkim czasie, ten ruch sprzeciwu mógł liczyć na nagłe i masowe poparcie. Eksplozja społeczna w Polsce, jak wszystko wskazywało znacznie

potężniejsza od poprzednich, radykalnie zmieniała sytuację nie tylko w obozie sowieckim, lecz w całej Europie. Powstawały warunki, w których odzyskanie przez Polskę niepodległości stawało się realne. Dlatego w ciągu dwu tygodni po podpisaniu Aktu Końcowego KBWE zapadła nie tylko decyzja, lecz rozpoczęliśmy bezpośrednie przygotowania organizacyjno-techniczne do powołania partii.

Muszę się cofnąć w czasie i przypomnieć, że jeszcze w 1969 r. otrzymałem zadanie stworzenia całkowicie wyodrębnionej komórki, która zadaniem było przygotowanie powstania partii niepodległościowej. Z czasem otrzymała ona kryptonim „Konwent”. Od tej pory prace analityczne i programujące rozwijały się dwutorowo: bardziej ogólne kontynuowano w tym samym kształcie organizacyjnym, zwanym *chaotyczną strukturą*, a szczegółowo rozpracowywał je Konwent. Ważniejsze ustalenia wracały zresztą na forum nn, gdzie poddawano je ostatecznej analizie. Taka dwustopniowość wynikała nie tylko z wyjątkowo rygorystycznie traktowanych zasad ściślej konspiracji, lecz również z wymogów życia. Nurt niepodległościowy skupiał w większości osoby w raczej podeszłym wieku. Wiadomo było, że to nie oni poprowadzą jawne działania niepodległościowe – tylko młodsze pokolenie. Dobierano nas starannie, poddawano starannemu szkoleniu, dopuszczano do coraz poważniejszych zadań. Wspomnianą komórkę powołano dziesięć lat przed spodziewanym wybuchem społecznym i nadano jej absolutnie samodzielny statut. Podejmowaliśmy decyzje, nikogo wcześniej nie pytając, tylko raportując, jeśli była taka potrzeba, co postanowiliśmy. Jedynie kluczowe kwestie koncepcyjne przekazywaliśmy do oceny. M. in. sami podjęliśmy decyzję o podjęciu półjawnych działań. Pierwsze było pozornie rocznicowe spotkanie 11 listopada 1973 r. grupy kilkudziesięciu osób w poznańskim mieszkaniu Staniewiczów³, generalnie spoza nn i o różnych przekonaniach, na którym miałem referat „Obowiązek naszego pokolenia”. W tym czasie w skład Konwentu wchodził Leszek Moczulski, Restytut Staniewicz, Romuald Szeremietiew, Andrzej Szomański – oraz w ograniczonym zakresie Ryszard Żywiecki.

³ Nieżyjący już prof. Witold Staniewicz był związany z Józefem Piłsudskim od czasu formowania Związku Strzeleckiego – i należał do najstarszych członków nn.

Otóż w połowie września 1975 r. w mieszkaniu Romualda Szeremietiewa doszło do zwołanej przez Konwent odprawy roboczej, podczas której nie zastanawialiśmy się, czy podjąć i jakie akcje, lecz rozdawaliśmy gotowe zadania poszczególnym osobom. Po kilkunastu latach przygotowań, wiadomo było, co trzeba zrobić i w jakiej kolejności. Mieliśmy gotową doktrynę działania, później nazwaną *rewolucją bez rewolucji*. Była to forma powstania, skoncentrowanego na uderzeniu społecznym i politycznym, przy żelaznej zasadzie unikania starcia fizycznego – bo te musiała wygrać władza. Wcześniej, zgodnie z koncepcją *góry lodowej* kolejne fragmenty struktury opozycyjnej miały wynurzać się na powierzchnię, gdy pod wodą pozostawało całe zaplecze polityczne, kadrowe, organizacyjne i techniczne. Główną siłę uderzeniową miały być środowiska robotnicze, wstępnie już zorganizowane przez komunistyczną władzę zgodnie z potrzebami organizacyjnymi superkoncernu. Stąd gotowy projekt Wolnych Związków Zawodowych – narzędzia ataku i destabilizacji, a nie samopomocy pracowniczej. Wspierać go miał ruch chłopski, formowany z wykorzystaniem dawnych struktur PSL. Do kluczowych zadań należało szybkie zorganizowanie jawnie działającej sieci biur organizacyjnych oraz uruchomienie periodycznych i ulotnych wydawnictw. We wszystkich tych zakresach przygotowaliśmy szczegółowe rozwiązania, a także najrozmaitsze taktyczne chwytły i tricki. Na ich wymyślanie mieliśmy wcześniej aż nadmiar czasu. Ponieważ nikt z nikąd nie dawał nam pieniędzy, cała działalność musiała być samofinansująca się, tj. pochodzić ze środków własnych uczestników i pomocy sympatyków. Wreszcie – było nas względnie niewielu, pierwszym zadaniem stało się uruchomienie kanałów do znanych nam grup i środowisk kształtujących się w podziemiu, aby wspólnie rozpocząć działania. Obradowaliśmy w malutkiej kawalerce, aby zapalić papierosa, trzeba było wychodzić na klatkę schodową. Pamiętam, jak podczas takiego wyjścia, zapytał mnie Romek Szeremietiew – *Leszek, czy ja śnię, czy to dzieje się naprawdę?* Coś mu odpowiedziałem, ale również miałem poczucie absolutnej nierealności. Ale wszystko poszło – i to bez większych zgrzytów.

– Powiedziałeś, że Moskwie zależało, aby żadne represje nie naruszały dobrych stosunków z Zachodem. Ale przecież brutalnie stłumiono strajki czerwcowe 1976 r.

– To dobry przykład. Gierek bardzo starannie przygotowywał się do ogłoszenia podwyżki cen, MSW przeprowadzała badania, jak przyjmą to ludzie. Uznano, że do niczego nie dojdzie. Dlatego strajki w Ursusie i Radomiu były ogromnym zaskoczeniem, a brutalna reakcja SB i MO nastąpiła automatycznie. Jednak błyskawicznie, być może po interwencji Moskwy, władze PRL przeszły do odwrotu. Jeszcze tego samego dnia premier Jaroszewicz odwołał podwyżki – co niewątpliwie uspokoiło sytuację w kraju. Później władze zachowywały się z nietypowym liberalizmem. Doszło do procesów, ale były one jawne i dopuszczono obecność obserwatorów ze środowisk opozycyjnych, a także organizacje pomocy dla uwięzionych robotników i ich rodzin. Siłą rzeczy tworzyło to sytuację, w której możliwe stało się utworzenie Komitetu Obrony Robotników Represjonowanych w Wyniku Protestów Społecznych w Czerwcu 1976 – jak brzmiała pełna nazwa KOR. Władze nie zareagowały, mimo iż powstanie jawnej struktury opozycyjnej było znacznie większym zagrożeniem niż odosobnione strajki. Wpłynęło na to potępienie represji przez Berlingera – szefa WPK. Uczyniło to przecież nie z dobrego serca, tylko ratując koncepcje utworzenia we Włoszech rządu Wielkiej Koalicji z udziałem komunistów. Taki wyłom w strukturze NATO miałby kluczowe znaczenie dla ZSRR.

– Chyba tylko wy przewidzieliście eksplozję społeczną i wprowadziliście ją do swoich planów.

– Tak wygląda. Nie świadczyło to jednak o naszej wyjątkowej mądrości czy lepszym wykształceniu – tylko wynikało ze szczególnych, ogólnie korzystnych dla nas warunków. W stosunku do władz dysponowaliśmy trwałą przewagą sytuacyjną. Przez lata skupialiśmy całą uwagę na przygotowaniach, bo nie prowadziliśmy przecież bieżącej działalności politycznej. To narzucało nam myślenie wyłącznie perspektywiczne, wymagało szczególnej konsekwencji intelektualnej, rozpatrywania wszystkiego pod kątem wytyczonego jasno długiego marszu. Mieliśmy zresztą w nurcie niepodległościowym dobrych nauczycieli – ludzi o doświadczeniu politycznym sięgającym 1905 r., którzy

dużo wcześniej, z racji swych cech osobistych i profesjonalnego przygotowania pełnili poważne funkcje państwowe, dowódcze, sztabowe, administracyjne czy gospodarcze. Dla nich myślenie systemowe, korzystanie z systematycznie ponawianych analiz politycznych, gospodarczych, demograficznych, kulturowo-świadomościowych czy strategicznych było czymś niezbędnym. Pozwalało to nam pełniej korzystać z aparatu pojęciowego i analitycznego, wypracowanego jeszcze w okresie przedwojennym przez środowiska piłsudczykowski-sanacyjny. Pracowaliśmy w warunkach swoistego komfortu intelektualnego: wolni od konieczności codziennego rozstrzygania, odnoszenia się do izolowanych faktów, obracaliśmy się myślowo w świecie długotrwałych procesów i przeobrażających się zjawisk.

Zupełnie inną perspektywę ma polityka widziana z pozycji rządzących. Normalną rzeczą jest konieczność natychmiastowego reagowania na to, co się dzieje. Lepsze czy gorsze rozwiązywanie pojawiających się codziennie problemów pochłania lwia część czasu. Nie starcza go na zajmowanie się dalszą przyszłością, co powoli przechodzi w przyzwyczajenie. W realnym socjalizmie wszystkie rządy skupiały się na sprawach bieżących, głównie na przełamywaniu *przejściowych trudności*. Sowietci nigdy nie opisali bardziej szczegółowo drogi, która doprowadzi ich do marksowskiego komunizmu, albo do geopolitycznej władzy nad światem. Nawet jeśli próbowali, okazywało się to naiwnym nieporozumieniem. Rygorystycznie traktowano przygotowanie planów gospodarczych, lecz tej konsekwencji brakowało przy ich formowaniu, gdzie można było zapisać, co się chciało. Wszyscy wiedzieli, że plany muszą być wielokrotnie zmieniane w toku realizacji. Gdy wybiegali w przyszłość, to tylko w tę najbliższą – i nie stać ich było na stanowcze prognozy. Dlatego – choć sprzeciw społeczny w różnym stopniu występował przez całą historię PRL, a zorganizowana opozycja funkcjonowała przez jakieś 15 lat, nigdy nie byli w stanie przygotować całościowego planu likwidacji czy wygaszenia tego największego zagrożenia dla realizowanego totalitaryzmu. Wszystko przesłaniały potrzeby chwili. Do tego dochodziło słabe przygotowanie głównych decydentów. Zarówno Gomułka, jak Gierek skończyli po kilka klas podstawówki; pierwszy miał za sobą niższy szczebel szkolenia marksizmu-leninizmu w stalinowskim wydaniu, drugi był

człowiekiem z nikąd⁴. Górował nad nimi kulturą i wykształceniem Jaruzelski – ale była to przewaga niewielka. Nie miał przygotowania politologicznego, był zawodowym wojskowym, niewątpliwie inteligentnym, lecz analizując prowadzone przez niego gry operacyjne i ćwiczenia sztabowe przewidujące użycie broni nuklearnych, z pewnym zdumieniem można zauważyć, że nie znał, albo nie rozumiał aktualnych zasad amerykańskiej doktryny wojennej. Widocznie była to wiedza tajemna, zastrzeżona dla sowieckich ekspertów. Członkami Biura Politycznego KC PZPR bywali z reguły również *towarzysze z inteligencji*, ale ich głos ważył znacznie mniej niż *klasowo czystych* – nieskalanych jakimiś studiami. Dodać do tego należy, że we wszystkich węzłowych kwestiach i tak rozstrzygały decyzje Moskwy, nie podlegające przecież dyskusji.

Inaczej przedstawiały się sprawy w opozycyjnym *mainstreamie*. Nie brakowało tam ludzi myślących i dobrze wykształconych; w dość szerokim zapleczu nurtu liberalno-demokratycznego było ich aż nadmiar. Rzecz w tym, że wszyscy chyba byli przekonani, że dwubiegunowy układ geopolityczny, a więc i zwierzchnictwo ZSRR nad środkowo-wschodnią Europą ma długą przyszłość. Jeśli tak, to wydarzenia międzynarodowe nie mogły mieć większego znaczenia na to, co dzieje się w Polsce; Amerykanie przecież nie przybędą tutaj, aby zmienić ustrój. W młodszej, aktywnej politycznie generacji np. początkowo nie rozumiano, czemu należy zwracać się do Berlinguera w sprawie represjonowania robotników – a to przecież okazało się kluczowym faktem. Po latach, podczas rozmów o utworzeniu koalicyjnego rządu w końcu 1991 r. jeden z wybitnych działaczy KOR, wówczas już działacz prawicowy, za moją wielką zasługę uznał zwrócenie uwagi na konflikt sowiecko-chiński. Rzeczywiście, wiosną 1977 r. na jakimś przypadkowym spotkaniu w Klubie Inteligencji Katolickiej przedstawiałem aktualną sytuację. Mniej więcej to, o czym mówiłem przed chwilą: ZSRR militarnie związany przez NATO i Chiny kieruje się

⁴ Nikt nie słyszał o nim ani w KPP, ani w komunistycznych partiach francuskiej i belgijskiej. Gdy ambasada PRL otrzymała polecenie, aby postawić go na czele nowo-tworzonego Związku Polaków w Belgii (zapewne przykrywką jakiejs siatki szpiegowskiej), nikt nie wiedział, o kogo chodzi. Po wezwaniu to Polski i krótkim kursie posługiwania się językiem polskim w słowie i piśmie (przedstawia to w „Dziennikach” jego nauczyciel – Mieczysław F. Rakowski – wówczas odkomenderowany z wojska instruktor KC PZPR) został Sekretarzem KW PZPR w Katowicach, a na najbliższym Zjeździe członkiem Biura Politycznego.

na południe, co zapewnia nam czasowe bezpieczeństwo. Facet najwyraźniej nic nie rozumiał, a konflikt chińsko-sowiecki był dla niego takim zaskoczeniem, że go zapamiętał. Tyle, że konflikt ten trwał wówczas od dobrych dwudziestu lat – a jedynym wielkim wydarzeniem tego okresu, który mój rozmówca znał, była mikroskopijna ruchawka Che Guevary w głębi peruwiańskich Andów. Minimalistyczne ustawienie celu – demokratyzacja istniejącego systemu przy zachowaniu jego kanonów ideowych, powodowało, że wszystko miało się rozegrać w jakiejś izolowanej rzeczywistości pojedynczego kraju, a co najwyżej całego obozu. Ograniczenie było więc podwójne: zamknięty zakres celów, możliwych do osiągnięcia w zamkniętym obszarze. Wszystko, co mieściło się poza – było nieistotne. Dochodziło do tego przekonanie, typowe zarówno dla radykalnego klasowo socjalizmu jak i leninowskiego komunizmu, że samorzutne, masowe wystąpienia społeczne mogą być niebezpieczne, a nawet szkodliwe. Nigdy nie wiadomo, dokąd żywioł może doprowadzić. Przy ogromnej przewadze dyskursu ideologicznego nad prostą analizą mechanizmów prowadzących do autentycznych przemian społecznych i kształtujących nowy stosunek działających sił, takie np. badania demograficzne były pozbawione celu. Decydowała wyższość ideologii, a nie jakieś zmiany ilościowe. Nawet w rozwiązywaniu najbliższych problemów. U progu epoki opozycyjnej Adam Michnik, zapewne najinteligentniejszy w całej młodszej generacji, wydał książkę trafnie postulującą połączenie wysiłków lewicowej inteligencji laickiej oraz progresywnych katolików. Była to doskonała koncepcja dla środowisk dysydenckich. Mogła być zrealizowana jednak tylko wysoko ponad społeczeństwem – bo na dole dominowali rewindykacyjni para-socjaliści oraz tradycyjni katolicy.

Wracając do przerwanej tematy – eksplozji społecznej, to w owym czasie sporo mówiło się o możliwości robotniczego buntu na wzór grudnia 1970 r. Uważano to jednak za kwestię teoretyczną. Wiele osób, w tym wybitnych opozycjonistów było przeciwko, gdyż obawiali się, że podobny wybuch wywoła natychmiastową reakcję sowiecką i wszystko skończy się równie krwawo, jak na Węgrzech. Mówiono to głośno, choć na pewno występowały i nie ujawniane źródła niepokoju. Ale na ogół panowało przekonanie, że takie masowe wystąpienia społeczne są nierealne. Wyprowadzano to z zachowania władz, które czyniły wiele, aby jakimś niebacznym krokiem nie spowodować robotniczych

protestów. Tylko, że padająca gospodarka żądała podjęcia bardziej stanowczych działań. Dodajmy do tego, że niemal powszechnie nie dostrzegano czy niedoceniano przeobrażeń, następujących w postawach społecznych Polaków. Nawet „Kultura” paryska, która dla licznych środowisk polskich, zwłaszcza opozycyjnych, była rzeczywistym przewodnikiem intelektualnym, w podwójnym numerze datowanym na lipiec-sierpień 1980 opublikowała dwa artykuły zapewniające, że w PRL panuje całkowita stabilizacja i tylko Moczulski awanturniczo fantazjuje o jakiejś rzekomo nadciągającej eksplozji społecznej. Muszę przyznać, że we wrześniu 1980 r. – kiedy ten numer dotarł do Kraju, czytałem te zapewnienia z dużą satysfakcją.

– Na czym oni opierali takie przekonania? Mogli się powoływać na jakieś fakty?

– Nie wiem. Podawana argumentacja była wątpliwa. Formuła KSS KOR wyczerpała się, co zmniejszało napływ wolontariuszy – ale to trudno było uznać za postępujące uspokojenie społeczne. To zresztą dość typowa sytuacja, gdy politycy tak bardzo zasklepiają się w swoich taktycznych rozgrywkach i problemach chwili, że przestają dostrzegać rzeczywistość. W tym przypadku być może interesowało ich coś innego. Rzeczywiście, czas był przełomowy – i tworzył najrozmaitsze możliwości. ZSRR po inwazji na Afganistan wchodził w decydującą fazę swej globalnej polityki. Potrzebne mu było uspokojenie sytuacji w Polsce – i to niewymuszone siłą, tylko zaprowadzone pokojowo. Z drugiej strony opozycja w Polsce przestała już być traktowana, jako grupka utopijnych naiwniaków czy marzycieli i stawała się ważnym faktorem polityki, brany już pod uwagę na płaszczyźnie międzynarodowej. Otwierały się szanse dla różnych gier politycznych. Gdybym dążył do reformy PRL, na pewno wykorzystałbym taką sytuację dla osiągnięcia jakiś doraźnych celów.

Jednak to eksplozja społeczna, a nie jakieś taktyczne zagrania odgrywały w naszej doktrynie politycznej kluczową rolę. To miała być forma niezbrojnego powstanie narodowego. Jak pisałem w „Rewolucji bez rewolucji”, wybuch społeczny należało natychmiast *przekształcić w masowe działanie oparte na trzech zasadach: strajk okupacyjny zamiast konfrontacji ulicznej, powszechność strajku we wszystkich regionach i dziedzinach gospodarki, samoorganizacja*. Prowadziło

to do obezwładnienia władzy i otwierało drogę do realizacji pięcioletniego programu dojścia do niepodległości. W istniejących warunkach stawał się on realny – jakkolwiek nie natychmiastowo. Rosja, przynajmniej w dość krótkim terminie, nie była w stanie zrezygnować ze swojego wielkiego planu, opisanego wyżej, co zapewniało nam bezpieczeństwo zewnętrzne. Z kolei nadchodzące apogeum przyrostu energii społecznej dawało siłę, zdolną w tym krótkim czasie zdruzgotać totalitarny system. Liczyliśmy się z przeciwdziałaniem, wprowadzić spóźnionym, ale mocnym. Tworzyło to sytuację dwufazową. Komunistyczny kontratak miał zresztą również i swoje ogromne zalety, gdyż demaskował czynami, że rządzący to tylko antypolskie narzędzie Moskwy. Za przewidywanie tej dwufazowości byłem ostro krytykowany podczas tzw. festiwalu „Solidarności”, który zresztą obserwowałem z więzienia. W każdym razie eksplozja była dla nas najważniejsza, trzeba było tylko dobrze ją poprowadzić.

– Dlatego w decydującym momencie, we wrześniu 1980 r. – tylko ty, znalazłeś się w więzieniu.

– Nie przeszkodziło to, że wybuch społeczny i powstanie „Solidarności” rzeczywiście zdruzgotały system, a ZSRR stracił możliwość kontynuowania w kategoriach globalnych polityki agresywnej ekspansji. To był decydujący krok w całej rewolucji bez rewolucji. Inna rzecz, że późniejsze wydarzenia mogły przebiec szybciej i znacznie mniejszym kosztem.

– KPN jako jedyne ugrupowanie głosiła również, że odzyskanie niepodległości, rozumiane jako czynne wyzwolenie się spod sowieckiej hegemonii, jest tym bardziej realne, że ZSRR ulegnie kompletnemu załamaniu.

– Wynikało to już z analiz, prowadzonych na początku lat 60-tych. Punktem wyjścia była istniejąca na przełomie tych dekad, krótkotrwała przewaga ZSRR nad USA w konstruowaniu rakiet kosmicznych (*Missile Gap*). Zadawaliśmy sobie pytanie, jakim kosztem kraj słabiej rozwinięty gospodarczo i dość zacofany technologicznie wyprzedził mocarstwo przodujące w obu tych dziedzinach. Nie wchodząc w szczegóły dotyczące naszych, coraz szerzej zakreslanych badań, głęboko przeanalizowaliśmy i szczegółowo uzasadniliśmy intuicyjnie przyjmowaną tezę, że ZSRR rozwija zbrojenia i prowadzi agresywną politykę

zagraniczną nie w oparciu i posiadany potencjał dyspozycyjny, tylko kosztem substancji – tj. ogółu posiadanych zasobów, od ludzi poczynając. Mówiąc prościej, podstawowa wartość, jaką jest potencjał geopolityczny, żywiła ekspansję nie z uzyskiwanych nadwyżek, tylko zżerając samą siebie. Względnie szybko potwierdzały to kolejnymi zjawiska. W latach '60 ZSRR ogromnym wysiłkiem budował potęgę nuklearno-rakietową – ale wyścig technologiczny z USA jawnie przegrał, Unaocznilo to w 1969 r. lądowanie Amerykanów na księżycu. Co gorsza, w wyniku tego krańcowego wysiłku, obóz sowiecki na przełomie dekad '60/70 znów znalazł się w dołku ekonomicznym. Wy dostał się z niego przy pomocy kredytów zachodnich, ale nie przerwał kontynuowania samobójczej polityki ekspansji – co musiało prowadzić do katastrofy. ZSRR był po prostu zbyt słaby, aby rywalizować z USA.

– Decydowały potencjały gospodarcze.

– Wysuwały się niewątpliwie na plan pierwszy. Propagowaliśmy przez wiele lat bardzo proste rozumowanie. Istniejąca równowaga zbrojeń między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim pozwala założyć, nakłady na zbrojenia obu mocarstw można w przybliżeniu uznać za równe. Jednak, przynajmniej w latach 1950–1970 dochód narodowy (PKB) USA był w przybliżeniu cztery razy większy od sowieckiego. Jeśli więc przyjmiemy, że Sowieci wydawali na zbrojenia 50% PKB, to Amerykanie tylko 12,5%. Oznaczało to, że Rosjanie nie są w stanie uzyskać przewagi, gdyż koszty zbrojeń – czy w ogóle agresywnej polityki wywindowali tak wysoko, że dalej już iść nie mogli. Natomiast Amerykanie mieli duży zapas i mogli łatwo zwiększyć zbrojenia. Przy czym obciążenie zbrojeniami, dławiące Sowiety, dla amerykańskiej gospodarki okazywało się pożyteczne. Zbrojenia, badania kosmiczne itp. oparte były o długoterminowe umowy pomiędzy państwem a bardzo licznymi przedsiębiorstwami, co po prostu stanowiło gwarantowany popyt. Nie ulegał on wahaniom koniunkturalnym i był czynnikiem stabilizującym całą gospodarkę. Słowem, nie były to obciążenia, tylko czynnik stymulujący wzrost. Natomiast w Rosji sytuacja była inna. Tam rozbuchany przemysł zbrojeniowy pochłaniał większość środków i nawet substancję, co dławiło całą gospodarkę.

Mówiąc systemowo, działały dwa mechanizmy. Sowieci, utrzymując tak

wysoki poziom zbrojeń nie tylko hamowali własny rozwój gospodarczy, lecz równocześnie bezpowrotnie zużywali część swojego potencjału geopolitycznego. Nieuchronnie prowadziło to do katastrofy potencjałowej, a wzrost ekspansywności tylko takie zagrożenie przyspieszało. Natomiast mechanizm amerykański działał stymulująco na gospodarkę, przy czym pozostawała spora rezerwa na intensyfikację zbrojeń. Gdy Sowieci rozwinęli ekspansję – do czego przecież zmierzali, tym samym zaostrozając zimną wojnę, a Amerykanie będą musieli zareagować, m. in. zwiększając zbrojenia, to doprowadzi do wyścigu w warunkach, gdy Rosjanie wyśrubowali swoje wydatki ponad realne granice. Taką politykę zastosował później Reagan, co szybko doprowadziło do katastrofy potencjałowej ZSRR.

Od początku zakładając, że tak będzie, z radością odnotowywaliśmy, jak w następstwie Helsinek Sowieci przegrupowali swoje siły i rozpoczęli potężniejącą presję na południe. Fakty nie kazały długo na siebie czekać. Wiosną 1977 r. władzę w Afganistanie przejęli komuniści, a niespełna trzy lata później, pod osłoną krwawej wymiany rządzącej ekipy, kraj zaczął być okupowany przez wojska sowieckie. Iran, przy pewnej pomocy Moskwy, ogarnęła islamska rewolucja, w Iraku władzę przejął coraz bardziej pro-moskiewski Saddam Hussain, w Pakistanie czasowo doszła do władzy partia szukająca m.in. wsparcia sowieckiego. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych Środkowy Wschód dezintegrował się gwałtownie, otwierając drogę dla sowieckiej ekspansji – to musiało doprowadzić do czynnej reakcji USA. Amerykanie zresztą wstępnie przygotowywali się do tego, m.in. prezydent Carter i Brzeziński doprowadzili do poważnego uspokojenia sytuacji wokół Izraela.

W tym samym czasie w Polsce kolejne roczniki wyżowe przekraczały próg dorosłości. Ostatni, trzynasty z rzędu, czynił to w 1980 r. Tym samym najbardziej dynamiczna część społeczeństwa wzrosła do ponad jednej czwartej całej dorosłej populacji. Był to stan, który w Europie pojawiał się rzadko, a niósł z sobą ogromne zmiany. Taki zasób energii społecznej potrafiono w XVIII w. w Wielkiej Brytanii konstruktywnie zagospodarować – i przeprowadzona rewolucja przemysłowa zapewniła Zjednoczonemu Królestwu dominację na następne 200 lat. W pozostałych przypadkach dochodziło do udanych rewolucji. Otóż, komuniści udowodnili czynami, że nawet przy pełnym zatrudnieniu nie

potrafią zagospodarować gwałtownie rosnącej energii społecznej – a ponieważ nie daje się ona magazynować, musi dojść do wybuchu, najprawdopodobniej już w 1980 r. Zgodnie z taką prognozą planowaliśmy nasze zadania. Koncepcja *góry lodowej* przewidywała nie tylko stopniowe wynurzanie się struktur, lecz również zaostrzanie tonu politycznego i stopniowe ujawnianie naszych celów. Pierwszą jawną strukturą był nie zcentralizowany formalnie ruch o charakterze ponad-politycznym, skupiający ludzi o różnych przekonaniach, wysuwający żądania teoretycznie zgodne z konstytucją PRL. Pod bezpośrednim wpływem Aktu Końcowego KBWE skonkretyzowaliśmy je jako żądanie przywrócenia i przestrzegania praw człowieka i obywatela. Obok tego posługiwaliśmy się projektem szerszym, ogłoszonym w sierpniu 1976 r. jako „Program 44”. W kolejności doprowadzaliśmy do politycznego samookreślenia się poszczególnych grup politycznych – a tym samym tworzenia niezbędnego dla przyszłej demokracji i pluralizmu politycznego. Następnie przedstawiliśmy program niepodległości – czyli uwolnienia się spod hegemonialnej władzy ZSRR oraz szczegóły doktryny działania politycznego. Kończącą fazą tego procesu wynurzania było powstanie partii niepodległościowej – czyli KPN. Wedle wcześniej przygotowanego planu miało to nastąpić 11 listopada 1978 r. Sprowokowany przez SB rozłam w Ruchu Obrony spowodował, że datę tę przesunęliśmy o rok, ale następnie – aby zgrać czasowo z przygotowywanym w Londynie Kongresem Polski Walczącej, ustaliliśmy na 1 września 1979 r. Względnie szybkie tempo wynurzania wynikało z presji czasu. Liczyliśmy się z tym, że władze PRL – z własnej inicjatywy i pod naciskiem Moskwy, dążyć będą do stopniowanego rozbicia KPN, co są w stanie dokonać w ciągu roku czy półtora. Wynikało z tego, że partia niepodległościowa musi powstać z takim wyprzedzeniem wobec spodziewanego wybuchu, aby zdążyć utrwalić się w społecznej świadomości i przetrwać, jako działająca w skali kraju struktura.

Słowem, liczyliśmy na eksplozję społeczną, jako na czynnik decydujący, lecz decyzję o rozpoczęciu operacji „Góra lodowa” podjęliśmy we wrześniu 1975 r., gdy ZSRR podpisał układ helsiński, ograniczający swobodę działania Moskwy w Europie.

Rozmawiałem niedawno z jakimś amerykańskim profesorem, który zbiera materiały do pracy o formowaniu się opozycji w krajach obozu sowieckiego.

Gdy powiedziałem, że dla nas sygnałem był traktat w Helsinkach, aż podskoczył i wykrzyknął: *Pan jest pierwszym moim rozmówcą w Polsce, który to przyznał. Jak rozmawiam o punkcie zwrotnym z Niemcami, to mówią – Helsinki, jak z Czechami, to – Helsinki, z Węgrami również – tylko w Polsce, gdy pytam, jak wpłynęło na was porozumienie w Helsinkach to machają ręką: nie, nie, wszystko zaczęło się od „Solidarności”, albo od KOR, a Helsinki na nic nie miały wpływu.*

– W tym okresie raczej powszechna była postawa niemożności, bezsilności. Mało kto wierzył w odzyskanie przez Polskę niepodległości w dającej się przewidzieć perspektywie.

– Tak, przed 1981 r. niewielu uznawało taki program za realny. Nawet gorzej: ludzie często uważali niepodległość za zbędną – bo nie pasującą do ówczesnego dwubiegunowego świata, a nawet szkodliwą. W początkach 1981 r., gdy trwał festiwal „Solidarności”, a ja siedziałem na Mokotowie, wybitna i bardzo zasłużona działaczka opozycji powiedziała mojej żonie, że domaganie się niepodległości *śmierdzi faszyzmem*. Nawet jeden z czołowych *nieprawomyślnych* – Tadeusz Kisielewski, który przez cały czas istnienia PRL nie ukrywał swych opozycyjnych poglądów, w „Alfabecie „Kisiele’a” – wydanym w 1988 r. (!), tak wyjaśnił hasło *Moczulski Leszek – wariat, ale sympatyczny, wierzy, że Polska może odzyskać niepodległość*. Cóż więc mogli uważać inni, mniej inteligentni i przenikliwi? Trudno się temu dziwić. Potężny ZSRR trwał – i nie pojawiło się żadne mocarstwo, zdolne go obalić. Świadomość społeczna przyjmowała to za pewnik. Po 30-tu latach działania edukacji peerelowskiej i przejęcia jej przez nową inteligencję, skutki indoktrynacji politycznej były widoczne gołym okiem. To, że ludzie buntowali się przeciwko systemowi, który traktował ich jak narzędzia produkcji (definicja marksistowska!), mniej ważne niż maszyny, nie przeszkadzało, że dostrzegali rzeczywistość tak, jak ich nauczono w szkole i przez środki masowego przekazu. W różnych dziedzinach następowały zmiany na lepsze, demograficzne były wielce obiecujące, lecz w zakresie świadomości społecznej wyraźnie na gorsze. W latach ’70 katedry uniwersyteckie i posady nauczycielskie w szkołach w całości już znalazły się w rękach nowej inteligencji, wychowanej całkowicie w PRL. Poprzednia generacja nauczycielska łączyła osoby o pewnym autorytecie społecznym, o ukończonych studiach wyższych,

często z tytułem doktora, ale także o wyrobionych przekonaniach politycznych, traktujące nauczanie, jako misję. Od lat 50' szkoły zaczęły przejmować ludzie przyuczeni do zawodu, głównie po upartyjnionych liceach pedagogicznych, którzy z w łwiej części przypadków wybierali ten kierunek, bo na kształcenie się w innych byli zbyt słabi, a zawód nauczyciela zapewniał im spokojną pracę aż do emerytury. Co może ważniejsze, to nowe środowisko poddawane było bardzo silnej indoktrynacji ideologicznej i wychowywane już w przekonaniu, że głoszona im wiedza jest jedynie słuszna – a wszystkie inne wrogie, fałszywe i, co liczyło się najbardziej, zakazane. Nikt nie chciał wpaść w kłopoty. Nic dziwnego, że jeszcze w latach '60 obiegowym żartem było pytanie, dlaczego w PRL nie ma ministerstwa propagandy. Prawidłowa odpowiedź brzmiała: jest zbędne, gdyż mamy ministerstwo oświaty. Nie było rzeczą przypadku, że środowisko nauczycielskie stało się z czasem może najważniejszym zapleczem doboru aparaczyków PZPR. Proces wymiany kadr na wyższych uczelniach był wolniejszy i nie tak kompletny jak w szkołach, lecz prowadził do podobnych skutków. Nominacje polityczne zaczęły się bardzo wcześnie i gdy w 1948 r. rozpoczęłam studia na Uniwersytecie Warszawskim, mieliśmy już dwu czy trzech takich profesorów. Jeden z nich początkowo chwalił się, że jest uczonym komunistycznym – i to nie było jakim, bo zrobił doktorat w instytucie marksizmu-leninizmu-stalinizmu w Wyższej Szkole Przemysłu Bawełnianego w Taszkencie, a tematem jego dysertacji była Stalinowska Konstytucja Kraju Rad. Na egzaminie zadał nam tylko jedno pytanie: jak brzmiał podtytuł książki Engelsa „O pochodzeniu rodziny, własności prywatnej i państwa”. Zdałem, bo jako jedyny z grupy znałem odpowiedź („W związku z badaniami Lewisa H. Morgana”), ale dostałem tylko trójkę, gdyż zamiast *ha* powiedziałem z angielska *eidż*. Zresztą później okazał się całkiem inteligentnym szefem katedry i wykształcił paru liczących się badaczy. W większości wypadków bardziej niż śmiać się, wypadało płakać. Bardzo szybko uruchomiono Wyższą Szkołę Partyjną, występującą pod zmieniającymi się dumnymi nazwami⁵ i posiadającą prawo nadawania stopni naukowych. To ułatwiło dość taśmowe nadawanie stopni szczególnym

⁵ Najpierw Instytut Czerwonej Profesury, następnie Instytut Kształcenia Kadr Naukowych, Instytut Nauk Społecznych. Wyższa Szkoła Nauk Społecznych i in. – ale wszystkie z dodatkiem *przy KC PZPR*.

grupom osób. Byli więc w latach '50 *doktorzy z awansu społecznego*, którzy nie mieli matury, po 1968 r. *marcowi docenci* bez habilitacji, ale także *profesorowie z odzysku* (wystarczyło pisemne potwierdzenie jednego świadka, że dana osoba przed albo podczas wojny była profesorem sowieckiej uczelni – np. (to fakt autentyczny!) Szkoły Przodowników Pracy im. Kujbyszewa w Kujbyszewie. Kategorii było więcej: z *litości* (dobry towarzysz, ale przytrafiło mu się siedzieć w łagrze, albo przeżyć oblężenie Leningradu – co trzeba jakoś wynagrodzić), z *zastugi* (np. w walce z reakcyjnym podziemiem), z *potrzeby służbowej*. Tą ostatnia kategorie najlepiej obrazuje dowcip. W celu ideowego wzmocnienia kadr, na placówką dyplomatyczną wyznaczony został towarzysz, który sprawdził się przy organizacji uspołecznionej sieci handlowej. Ponieważ wymagane były kwalifikacje, odbył paro miesięczny kurs przygotowawczy, obejmujący m. in. naukę angielskiego. Komisja egzaminacyjna domagała się tylko jednego: żeby powiedział jakieś zdanie po angielsku. Egzaminowany milczy. Komisja redukuje żądanie: niech powie cztery słowa. Egzaminowany milczy, milczy i nagle błysk w oku: Metro, Goldwin, Mayer – wykrzykuje radośnie. – Dobrze, dobrze – cieszy się komisja. – Jeszcze jedno słowo, drogi towarzyszu! – Chwila namysłu i egzaminowany zaryczał niczym lew: – Auuu! – Brawo, gratulujemy – radośnie oceniła komisja. Dlaczego nazywano to z *potrzeby służbowej*? Powodu były dwa. Po pierwsze: pełnienie ważnej funkcji dyplomatycznej, podobnie jak np. kontrolnej w ministerstwie szkolnictwa wyższego wymagało posiadania odpowiedniego dyplomu, a po drugie wydawanie takich dyplomów było obowiązkiem komisji (z nie wydania, czyli złego nauczania trzeba było tłumaczyć się na piśmie).

Zostawmy już takie praktyki na boku, choć zjawisko nie było wcale marginalne. Kluczową kwestią była degradacja nauczania, a co za tym idzie nauki – przynajmniej szeroko pojętych dyscyplin humanistycznych. Obecność starszej kadry dydaktycznej i naukowej, a także studentów, którzy uzyskali maturę przed latami '50, była równoznaczna ze znajomością innych poglądów i innych ustaleń naukowych niż wbijane do głów – i dawała możliwość ich przeciwstawiania, choćby w duchu, głoszonym oficjalnie tezom. Dawało to dość szeroki margines intelektualny, pozwalało wybierać. Powolna początkowo zmiana, bardzo szybko dobiegająca finiszu w latach '70, polegała na tym, że z czasem

zastępowali ich młodszy – czy to nauczyciele akademicki względnie szkolni, czy też studenci i uczniowie, od początku edukowani w *jedynie słusznej ideologii*. Ogromna ich większość po prostu nie знаła alternatywnych tez czy wersji – i bez wewnętrznego sprzeciwu przyswajała sobie każdą bzdurę, którą następnie można było upowszechniać wszędzie, także z katedr uniwersyteckich. Stąd takie, do dziś szeroko rozpowszechnione poglądy, że Pierwsza Rzeczpospolita była tylko narzędziem niewolenia chłopów – co doprowadziło do jej upadku. Z kolei Druga Rzeczpospolita miała być państwem skrajnie faszystowskim, a co najmniej wyróżniała się autorytaryzmem w całej Europie. Z kolei inicjatorzy i wodzowie wielkich powstań narodowych, z warszawskim włącznie, mieli tylko jeden *romantyczny* cel – aby milionami ofiar uwiarygodnić mit o Polsce – Chrystusie narodów, który swoim cierpieniem odkupuje świat (to najbardziej szlachetna wersja). Odwołuje się tutaj do historii, lecz taka prymitywna indoktrynacja dotyczyła wszystkiego, co wedle rządzących mogło mieć znaczenie polityczne – i to w maksymalnie szerokim rozmiarze. Nie wszyscy w takie nonsensy wierzyli, ale bardziej łagodne wersje przyjmowali bez większego oporu. Nie brakowało również ludzi, którzy sięgali głębiej, szukali na własną rękę, wyzwalali się sporym wysiłkiem spod ogłupiającej – ale i głupiej presji. Obroniły się niektóre ośrodki naukowe, lecz przeważała podstawowa masa, która najpierw chciała skończyć szkoły czy studia wyższe, a potem troszczyła się jedynie o własną karierę zawodową oraz wysokość uzyskiwanych zarobków.

Jeśli dodamy do tego środki przekazu, prasę i radio, a później najbardziej szkodliwą telewizję, łatwiej zrozumieć, że edukacja społeczna przeciętnego Polaka stawała się coraz bardziej prymitywna, a znajomość świata ograniczona. Przed 1970 szczyty popularności osiągał zmuszający do myślenia, a co najmniej zadumy Kabaret Starszych Panów, po 1974 r. – rubaszny „Czterdziestolatek”, apoteoza bezmyślności. W latach ’60 publicystyka w PRL osiągnęła poziom niespotykany w innych krajach obozu, gdyż dość krytyczne uwagi przedstawiała aluzyjnie – i zrozumiale dla wytrawnych czytelników. Po 1968 r. zaostrożono cenzurę, ale wkrótce okazało się to niezbyt konieczne, gdyż do masowej świadomości aluzje przestały trafiać. W latach ’70 łatwiej było dostać paszport zagraniczny, ale lawinowo malało rozumienie zewnętrznego świata. Dlatego, wraz z wymianą pokoleń, każdą bzdurę łatwiej było wciskać do głów.

Świadomość społeczna uległa istotnym przemianom. Dotyczyło to również tych młodych ludzi, którzy trafiali do opozycji. Hasła generalnej reformy PRL trafiały do wyobraźni, bo każdy widział, jak to państwo źle funkcjonuje i podle traktuje swych obywateli. Postulat odzyskania niepodległości dla większości był już niezrozumiały: jakże to, przywrócić przedwojenne kapitalistyczne państwo, w którym małorolni chłopci żywili się sianem, aby nie umrzeć z głodu?

Te ujemne przeobrażenia świadomościowe coraz bardziej utrudniały rozumienie istotnych problemów polskich, a coś dopiero międzynarodowych. Skoro Helsinki okrzykane zostały wielkim zwycięstwem ZSRR, jakże mogły być impulsem do tworzenia ruchów, domagających się respektowania praw człowieka?

– Trafnie odczytując konsekwencje porozumienia w Helsinkach, po-traktowaliście go jak sygnał do tworzenia jawnej i zorganizowanej opo-zycji.

– Tak. Bezpośrednie tworzenie struktur opozycyjnych zajęło nam trochę czasu. Zgodnie z koncepcją *góry lodowej* powinny one jednoczyć różne grupy opozycyjne i rozwijać się na dwóch poziomach: jawnym oraz tajnym – stanowiącym bazę kadrową i techniczną dla pierwszego. Pewne opóźnienie spowodował protest konstytucyjny: zabezpieczając się po Helsinkach, ZSRR narzucił krajom satelickim zapisy konstytucyjne, gwarantując kierowniczą rolę partii komunistycznych oraz wieczysty sojusz z ZSRR. Środowiska socjal-demo-liberalne organizowały protest tylko przeciwko tej pierwszej poprawce. Przyłączyły się do niego nasze środowiska, ale uzupełniły sprzeciw, występując stanowczo przeciw drugiej. Tak bardzo, że czołowy przywódca nn, jakim był gen. Abraham, wraz z innym członkiem nurtu – gen. Borutą-Spiechowiczem wysłali list protestacyjny do premiera Jaroszewicza – skądinąd też generała. Teoretycznie nie mieli oni prawa przedwcześnie ujawniać się politycznie – lecz uznano, że sprawa jest zbyt ważna. W końcu zimy 1975/76 doszło do programowo-organizacyjnego spotkania przedstawicieli bodajże pięciu grup konspiracyjnych; postanowiliśmy powołać wspólną organizację i uchwaliliśmy dokument programowy, zatytułowany „U progu”. Z mojej inicjatywy nowa struktura została nazwana Nurtem Niepodległościowym (z dużych liter). Ponieważ były

oznaki, że SB trafiła na trop nn, powołanie NN – którego przyszła aktywność była nie do ukrycia, mieszało im całkowicie w głowach. Wiosną powołaliśmy czteroosobowe kierownictwo NN (Czuma, Dworak, Grzywaczewski, Moczulski) o kryptonimie „Romb”, w sierpniu kolportowaliśmy na akademickiej pielgrzymce na Jasną górę „Program 44” – traktowany jako podstawa działania jawnej struktury – czyli Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Powtórzono tę nazwę w podziemnym miesięczniku „U progu”, wydawanym od początku jesieni.

– Ale środowiska demo-liberalne zaktywizowały się również – powstał KOR.

– KOR był następstwem wydarzeń w Radomiu i Ursusie. Te środowiska były cały czas bardzo aktywne, tylko dość długo nie stworzyły formuły organizacyjnej, pozwalającej na prowadzenie jawnych działań politycznych. Jednostkowo byli o tyle jawni, że nie ukrywali specjalnie ani swoich poglądów, ani spotkań czy dyskusji. W porównaniu z żelazną konspiracją nn były to wolnościowe występy chóralne na patelni. Oglądał je każdy, kto tylko chciał. Dobrze oddaje to ironiczny tytuł Szpotańskiego: „Cisi i gęgacze”. Taka półjawność miała zresztą swoje ogromne zalety, gdyż w środowiskach inteligentnych upowszechniała zachowania dysydenckie. Po strajkach czerwcowych rozwijająca się bardzo pomoc dla represjonowanych robotników i ich rodzin wymagała stworzenia jakiejś struktury organizacyjnej, lecz nikt nie wiedział, jakiej. Wojtek Ziemiński, który brał udział w tych dyskusjach i był członkiem założycielem KOR, opowiadał mi, że Jerzy Andrzejewski wysunął nawet projekt utworzenia organizacji na wzór AK! Te majaczenia przeciął dopiero Jacek Kuroń, gdy wrócił z przymusowego pobytu w wojsku. Mimo, że sam był zwolennikiem formowania luźnych ruchów społecznych, tj. grup niezorganizowanych ludzi, łączących się tylko dla przeprowadzenia jakiejś jednej akcji, to doprowadził do powołania regularnego Komitetu, zdolnego do kierowania rozwiniętymi strukturami opozycyjnymi. Sam KOR był przede wszystkim organizacją humanitarną, udzielającą pomocy represjonowanym. Dopiero po roku przekształcił się w Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”, ale dość długo zaprzeczał, że ma charakter polityczny. Od samego początku rozwinął

dynamiczną, wielokierunkową działalność. Dysponował bardzo szerokim zapleczem w środowiskach nowej inteligencji, zwłaszcza na uczelniach. Miał też znaczne możliwości finansowe, w tym pomoc zagraniczną. Udzielał mu jej również Rząd londyński.

– Tym mnie zaskoczyłeś. Dlaczego nie wam, przecież go uznawaliście, a środowiska socjal-demo-liberalne raczej go wyśmiewały.

– To bardzo skomplikowana sprawa. Pamiętaj, że utworzony w 1939 r. rząd emigracyjny był bardzo ostro antysanacyjny. Dopiero po śmierci gen. Sikorskiego ten wewnętrzny-polski konflikt został z grubsza zażegnany, ale utworzona w 1945 r. Liga Niepodległości Polski dość długo pozostawała w opozycji. Później to się zmieniało, lecz pilsudczycy, jako rzekomo winni klęski wrześniowej, nadal byli traktowali dość podejrzliwie. W latach '70 doszło do zmiany pokoleniowej, kierownictwo rządu przejęli ludzie, którzy przez poprzednie kilka dziesiątków lat przewodzili ZHP na Obczyźnie i programowo dystansowali się od polityki. Gdy do nie weszli niejako z musu, bo z obywatelskiego obowiązku – nie bardzo orientowali się w tym pogmatwanym świadku. Ponieważ Stronnictwo Narodowe i PSL znalazły się poza ośrodkiem rządowym, prym przejęła PPS – bardzo antypilsudczykowska. Gdy więc po ujawnieniu się opozycji w Polsce powołano w Londynie – pod egidą rządu, lecz od niego całkiem niezależny Komitet Pomocy dla Opozycji w Kraju, dominującą rolę odgrywała w nim PPS – przyjaźnie oceniająca program humanizacji real socjalizmu w Kraju. Nie bez znaczenia było, że wcześniej w środowisku powojennej emigracji politycznej zaaklimatyzowała się również emigracja pomarcowa – bardzo silnie powiązana z krajowym środowiskiem socjal-demo-liberalnym.

– Wróćmy do głównego tematu. Mieliście cztery lata, aby z podziemia wyrwać się na powierzchnię, przejść przez kolejne formy organizacyjne, stopniowo ujawniać cały program polityczny, obronić się przed zmasowanymi atakami bezpieki i zapewne KGB, aby stworzyć coś, co w totalitarnym systemie komunistycznym było absolutnie nieprawdopodobne, wręcz niemożliwe do wyobrażenia: powołać jawną partię polityczną, która głośno oznajmi, że jej celem jest wyrwać Polskę z niewoli sowieckiej, oba-

lić panujący w PRL ustrój i utworzyć niepodległą i demokratyczną Trzecią Rzeczypospolitą.

– Rzeczywiście, czasu nie było zbyt wiele. Ale tempo wydarzeń w Polsce i na świecie w drugiej połowie lat '70 gwałtownie zaczęło przyspieszać, a my mieliśmy za sobą ponad 15 lat przygotowań. Opracowaliśmy, przedyskutowaliśmy, przećwiczyliśmy wszystko, co było możliwe. I to na obie przewidziane fazy działania. Pierwsza obejmowała okres do wybuchu społecznego – dla nas specyficznej formy powstania narodowego, druga do odzyskanie niepodległości i zbudowania podstaw Trzeciej Rzeczypospolitej.

– Skupmy się na tej pierwszej fazie.

– Proszę bardzo. W części prognostycznej opracowaliśmy warunki krajowe i międzynarodowe, jakie muszą powstać, abyśmy mogli przejść na kolejny, wyższy stopień eskalacji politycznej i organizacyjnej. Najważniejsze dla nas było to, co dzieje się w Polsce, ale doszło wówczas do specyficznej sytuacji, w której to wydarzenia międzynarodowe decydowały o powstaniu korzystnych warunków dla rozpoczęcia jawnego działania. Przemiany demograficzne, prowadzące do powstania rekordowo wysokiej nadwyżki niewykorzystanej energii społecznej przebiegały automatycznie i ani nie mogliśmy, ani nie chcieliśmy na nie wpływać. Na politykę mocarstw również. Pozostało czekanie, aż ZSRR zwiąże się przez podjęcie pozaeuropejskiej ekspansji i wywoływanych przez nią konfliktów. Początkowo myśleliśmy tylko o Chinach, w podstawowej prognozie sporządzonej jeszcze w latach '60 sprawom dalekowschodnim przyznawaliśmy priorytet również ze względu na wzrastającą tam systematycznie aktywność USA. Dopiero pod koniec dekady dostrzegliśmy kluczową rolę kierunku południowego; wskazywałem na to w mojej książce „Dylematy”, wydanej w 1971 r. Po kryzysie dyplomatycznym (równoległym do naftowego) nie była to już prognoza, lecz rzeczywistość, śledzona przez nas bardzo uważnie. Oczekiwana przez nas korzystna sytuacja nadeszła latem 1975 r.; potwierdzały to Helsinki. To był pierwszy stopień, pozwalający na podjęcie jawnej działalności. Drugi stopień osiągaliliśmy wraz z powołaniem jawnej, ponad-politycznej (czyli łączącej grupy różno-programowe) organizacji, trzeci z powstaniem partii niepodległościowej. Czwartym był wybuch społeczny; zakładaliśmy, że dojdzie

do niego po wejściu w życie dorosłe wszystkich roczników wyżowych (1948–1961) – czyli w 1980 r., ale braliśmy pod uwagę, że do eksplozji może dojść rok wcześniej. Począwszy od Helsinek zmieniały się też priorytety w naszych prognozach: sprawy międzynarodowe spadały drugi, choć nadal bardzo ważny plan, a na czoło wychodziły trzy kluczowe zagadnienia: zmiany w nastrojach politycznych Polaków; aktywność polityczna środowisk opozycyjnych; zachowanie władz PRL wobec formującej się opozycji. Termin pierwszego i czwartego stopnia od nas nie zależał, co do drugiego i trzeciego, podejmowaliśmy decyzje w zależności od istniejącej sytuacji. Był dość długi katalog czynników, które należało uwzględnić przy podejmowaniu decyzji; w praktyce znacznie go zredukowaliśmy. Każdy stopień obejmował kilka szczebli, wymagających całościowej oceny sytuacji, ale w tym przypadku decyzje były podejmowane w znacznym stopniu intuicyjnie.

– Prognozowanie i planowanie działań rozłożonych na etapy wydaje się dzisiaj oczywiste. Czemu nie czynili tego inni?

– W odniesieniu do całego okresu 1976–1989 odpowiedź jest dość oczywista. Ogromna większość grup opozycyjnych powstawała spontanicznie, pod wpływem wydarzeń. Poszczególni ludzie mogli mieć jakieś przemyślenia, ale struktury powstawały z marszu, bez większych przygotowań. Chyba tylko trzy środowiska zdolne były do myślenia perspektywicznego. Na pewno narodowi oraz chrześcijańscy demokraci. Dość długo ulegali oni jednak teoriiom neopozytywistycznym, stąd cele nie wybiegające poza istniejącą sytuację geopolityczną. Dla *twardych* endeków tezę Dmowskiego sprzed 1914 r., że mocarstwowość rosyjska jest czynnikiem trwałym i Polacy muszą ten fakt uznać, potwierdzała krótkotrwałość *sezonowej niepodległości* 1918–39. Pewne nadzieje – i chyba konkretne przygotowania, wiązali oni z odtworzeniem Stronnictwa Pracy przez połączenie istniejących organizacji katolickich; Kisiel ten postulowany twór złośliwie nazwał Chrześcijańską Unią Jedności. Bez wątpienia myślano perspektywicznie – i to na wysokim poziomie, w środowiskach socjal-demo-liberalnych, ale były to przede wszystkim rozważania ideologiczne. Samo życie wymagało działań politycznych – i takie podejmowano, ale nie doprowadziło to u nich do stworzenia doktryny politycznej, ani nawet

precyzyjnego określenia celu. Dla nas niepodległość była aksjomatem, nigdy nie podjęliśmy dyskusji, do czego zmierzamy, bo to było oczywiste. Podobnie bezdyskusyjna tezą było, że najważniejszy jest własny polski wysiłek, a nie hołubienie nadziei, że inni – w tym przypadku mocarstwa zachodnie, wywalczą i подарują nam niepodległość, co nie przeszkadzało, że musieliśmy rozstrzygać inne kluczowe kwestie. Takim problemem, podjętym na samym początku, była kwestia walki zbrojnej. Piłsudski *ekspresis verbis* stwierdzał, że jest to główne, a nawet jedyne narzędzie odzyskania niepodległości. Czy piłsudzczycy mogą to odrzucić? Czy rezygnacja z walki zbrojnej wynika ze zmian technologicznych, czy ze zwykłego oportunistu? Trwało parę lat, nim zwyciężyła teza, że wystąpienia zbrojne przeżyły się, a kluczowym zadaniem stało się blokowanie fizycznej przemocy uzurpatorskiej władzy. Odpowiedni fragment, zawarty w mojej broszurze „Rewolucja bez rewolucji” był tylko powtórzeniem decyzji, przyjętej ostatecznie ok. 1965 r. bez mojego udziału. Inne dyskusje nie były tak dramatyczne, choć często ogniste.

– Obradowaliście w dużych zespołach?

– Nigdy. W każdym razie ja rzadko uczestniczyłem w spotkaniach więcej niż trój-osobowych. W takim składzie można było przedyskutować daną kwestię czy jej jakiś fragment, a wnioski, do których doszliśmy jeden z nas przedstawiał na wyższym szczeblu w równie małym gronie. Rzadko korzystaliśmy z notatek pisemnych, chyba tylko wówczas, gdy potrzebę napisania takiego tekstu można było wytłumaczyć innymi powodami, np. pisanie artykułu. Zupełnie wyjątkowo postępowaliśmy z zespołem pracującym nad modernizacją Konstytucji Kwietniowej. Tutaj z reguły przygotowywaliśmy na piśmie własne propozycje zapisów oraz opinie o innych – tylko, że zawsze zaopatrywaliśmy je jakąś datą z lat '30. W razie wpadki, łatwo było wykazać, że to oryginały czy odpisy materiałów sporządzonych przed wojną.

Siłą nn był liczący się zespół profesjonalistów, którzy w większości kontynuowali prace rozpoczęte wcześniej. Punktem wyjścia naszych analiz demograficznych były studia nad możliwościami mobilizacyjnymi Polski i kilku innych państw europejskich, rozpoczęte jeszcze przed wojną. Wykorzystanie możliwości cybernetyki – która w drugiej połowie lat '50 była bardzo modna, doprowa-

dziło nas dość szybko do rozpatrywania rzeczywistości ludnościowej jako systemu energetycznego. Przy prognozowaniu gospodarczym ważną rolę odegrał Stefan Kurowski, a zwłaszcza jego książka o trendach rozwojowych produkcji żelaza i stali⁶. Wykazał on matematycznie, że proces industrializacji w ZSRR rozwijał się dokładnie wedle tego samego wzorca, co w Rosji carskiej przed wybuchem I wojny światowej. Ponieważ był on wolniejszy, niż w krajach o najwyższej technologii, łatwo było wyprowadzić wniosek, że w podobnym tempie narastać będzie dysproporcja pomiędzy USA i ZSRR. Nieco później udało się pozyskać pomoc prof. Jana Drewnowskiego, przebywającego już poza krajem. U niego miałem pisać pracę magisterską o problemach odbudowy Europy w oparciu o teorię Keynesa – ale nic z tego nie wyszło, gdyż wkrótce komuniści wprowadzili zakaz badań ekonomicznych innych, niż w ramach marksistowskiej ekonomii politycznej. Teraz profesor dostarczał nam zarówno ekspertyzy własne, jak wybitniejsze publikacje innych ekonomistów. Zresztą dopływ publikacji zachodnich mieliśmy duży, ja sam zgromadziłem niezłą kolekcję. Spora część przepadła później podczas rewizji (w tym komplet kwartalnika „Foreign Affairs” z 5 czy 6 lat), ale do dzisiaj pozostała mi większość rocznych almanachów informacyjno-statystycznych, odnotowujących wszystko, co istotne w danym roku miało miejsce. Korzystaliśmy również ze źródeł krajowych, ogólnie dostępnych jak biblioteka GUS, zawierająca aktualne publikacje statystyczne ONZ, sowieckie i zachodnie, czy też publikacji reglamentowanych, np. tłumaczeń ważniejszych dokumentów programowych i prac naukowych polityków i politologów zachodnich, głównie amerykańskich. Dysponowaliśmy również co-miesięcznym (okresowo co-tygodniowym) przeglądem głównych tytułów prasy światowej. Otóż w kilku Klubach Książki i Prasy, np. w Warszawie przy ul. Bagatela, można było je czytać z parodniowym opóźnieniem. Zaglądałem tam dość często; zawsze można było zobaczyć paru starszych, nobliwych panów, studiujących „NY Times” czy „Le Figaro”. Domyślałem się, że jeden – a może więcej, pracował dla nn. Biuletyny omawiały pozycje potrzebne dla sporządzania analiz; to z nich, a także z Dokumentacji Prasowej, sporządzanej przez RSW „Prasa” korzystałem szeroko przy pisaniu „Dylematów”.

⁶ S. Kurowski,

Trudno opisać wszystko, posłużę się ważnym dla mnie przykładem. W początku lat '60 dotarły do nas różnymi kanałami – i to bodajże w dwu czy trzech egzemplarzach, kluczowe książki Kissingera o strategii nuklearnej i polityce zagranicznej. Za te prace autor zyskał miano *Clausewitza ery atomowej*. Zwłaszcza druga z nich – *The Necessity for Choice* oceniała bardzo krytycznie możliwości amerykańców w warunkach powstałej luki rakietowej (*missile gap*). Chodziło o to, że poczynawszy od wystrzelenia sputnika w 1957 r. Sowieci górowali w budowie pojazdów kosmicznych – co oznaczało, że są zdolni do produkcji rakiet między-kontynentalnych. Ponadto dokonali kilku prób z bombami wodorowymi wielkiej mocy (do 50 MT). Wiadomo było wprawdzie, że sukcesy w budowie pojazdów kosmicznych Sowieci uzyskali dzięki pomocy przetrzymywanych hitlerowskich specjalistów, ale to nie zmieniało istoty rzeczy. Amerykanie zostali zepchnięci na drugą pozycję – i mieli wyrównać swoje możliwości z sowieckimi dopiero w 1966 r. – a i to pod warunkiem, że Sowieci nie dokonają nowego skoku technologicznego. Kwestie strategiczne, zwłaszcza dotyczące broni nuklearnych, były kluczowe dla naszych prognoz. W warunkach nuklearnej przewagi ZSRR nad Zachodem wszystkie nasze projekty niepodległościowe stawały się absolutnie nierealne. Dlatego z ogromnym napięciem śledziliśmy przebieg kryzysu kubańskiego w 1962 r. Sowieci instalowali tam w tajemnicy rakiety, zdolne do przenoszenia głowic atomowych, a gdy sprawa się wydała, Amerykanie zagrozili interwencją zbrojną i zajęciem całej wyspy. Była to najdalej posunięta próba sił obu supermocarstw w całej zimnej wojnie. Chruszczow ostatecznie ustąpił (za co zapłacił, tracąc dwa lata później przywództwo ZSRR). Było to przyznanie, że militarna luka rakietowa nie istnieje, a co najwyżej technologiczna. Ale ogólnie sprawa przedstawiała się niejasno. Pamiętam, że wówczas miałem długą, wielogodzinną rozmowę z płk Józefem Szostakiem. W latach 1936–1939 kierował on pracami nad obronnym planem wojny z ZSRR („Plan „W””) – o czym wówczas jeszcze nie wiedziałem, i był doskonałym znawcą nie tylko sił zbrojnych ZSRR, lecz generalnie możliwości militarnych Sowietów. Analizował je na bieżąco, wykorzystując m. in. oficjalne wydawnictwo Ministerstwa Obrony USA, przedstawiające aktualny stan Armii Czerwonej – które pozyskiwaliśmy dość regularnie (dwa takie opracowania z lat '80 zachowały się w moich zbiorach, wcześniejsze

po wykorzystaniu musieliśmy niszczyć). Otóż Szostak m. in. wyjaśnił powody różnicy pomiędzy obiegowym a rzeczywistym obrazem sowieckich sił zbrojnych. Przypomniiał, że w początku lat '30 zaczęły docierać do polskiego Sztabu Głównego informacje o ogromnym skoku sowieckiej produkcji zbrojeniowej, m. in. o idących w tysiące dostawach czołgów i samolotów. Sprawa była kluczowa, jej rozpoznanie i analizy stały się przedmiotem stałych badań, przeprowadzanych w Oddziale III (Operacyjnym) SG. Wnioski dotyczyły głównie realiów, ale m. in. ustalono, że występuje trwała, sięgająca jeszcze carskich czasów, dysproporcja pomiędzy konstrukcjami (własnymi czy kopiowanymi) a gotowymi produktami, oraz pomiędzy ich poziomem technicznym, a poziomem obsługi. Inaczej mówiąc, konstrukcje i ich prototypy były na ogół dobre czy dostateczne, lecz produkcja masowa bez porównania gorsza, często złomowa, a należyte wyszkolenie personelu prawie niemożliwe ze względu na zerową świadomość techniczna poborowych. Sytuacja była wówczas nawet gorsza, niż przed rewolucją, bo kadry inteligencji technicznej zostały w znacznej mierze wybite podczas *Czerwonego Terroru* oraz kolejnych czystek. Obecnie (tj. w latach '60), ten stan rzeczy nadal trwał, w małym stopniu złagodzony. Trudno w zacofanym społeczeństwie szkolić specjalistów najnowocześniejszej technologii. Zdaniem Szostaka, Sowieci wyprzedzili Amerykanów w tworzeniu konstrukcji rakiet, lecz ze względu na słabość technologiczną mają ogromne trudności z uruchomieniem produkcji seryjnej, a także wyszkoleniem zarówno pracowników produkcyjnych, jak personelu obsługującego rakiety. Amerykanie – nie wyłączając Kissingera, tego nie doceniali, a dzisiaj wiemy, że ocena polskiego eksperta była trafna. Wówczas zapoczątkowała ważny kierunek naszych prac analitycznych dotyczących rozwoju sytuacji strategicznej. Nie poszliśmy tropem wspomnianego Kissingera, który pracował nad najlepszymi dla USA rozwiązaniami strategiczno-politycznymi w warunkach wzajemnego zagrożenia nuklearnego (*all-out war*), tylko skupiliśmy się nad geopolityczną istotą zimnej wojny, w dodatku traktowanej, jako narzędzie prognostyczne. Tezy, do których doszliśmy, były proste. ZSRR jest potęgą militarną, ale pod wszystkimi innymi względami – cywilizacyjnym, ekonomicznym, kulturowym zalicza się do drugiej ligi. Może utrzymać pozycję supermocarstwa jedynie wówczas, jeśli czynnik militarny będzie górował nad innymi. Taka sytuacja występuje jednak

tylko w dwu przypadkach: podczas wojny, lub gdy powstała realna groźba jej wybuchu. Otóż cała sowiecka strategia zimnej wojny polegała na tym, aby utrzymać konflikt Wschód-Zachód na maksymalnie wysokim poziomie – lecz nie przekraczać granicy, poza którą gorąca wojna jest nie do uniknięcia. Stąd falowanie napięcia: gdy zbliżało się do tej rzeczywistej *dead line* – linii śmierci, Moskwa cofała się; gdy odprężenie szło za daleko – a inne faktory, zwłaszcza ekonomiczne, wysuwały się na plan pierwszy, napięcie znów rosło. Moskwa niewątpliwie dążyła do militarnego rozstrzygnięcia o losach świata, lecz wymagało to uzyskania dostatecznej przewagi. Nie osiągnęła tego nigdy, gdyż wysiłek niezbędny dla utrzymania konfliktu na krawędzi wojny był tak wielki, że przekraczał możliwości potencjałowe Sowietów. Z kolei Moskwa nie mogła się zgodzić na głębsze i długotrwałe odprężenie, gdyż prowadziło ono do degradacji czynnika militarnego, a tym samym ZSRR przestawał być supermocarstwem. Było to w istocie działanie samobójcze, prowadzące do głębokiego załamania potencjałowego, lecz Sowieci przeceniali swe możliwości, a przede wszystkim liczyli, że zgodnie z teorią Marksa, kapitalistyczna gospodarka z każdym dniem zbliża się do wielkiego światowego kryzysu. Najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy – o czym już wspominałem, jako o jednej z głównych podstaw naszego rozumowania, że wydatki zbrojeniowe dla krajów rozwiniętych ekonomicznie stanowią gwarantowany popyt – czyli stabilizują gospodarkę.

Zrozumienie tej mechaniki zimnej wojny dla naszych prac prognostycznych miało duże znaczenie. Postępujący wzrost zagrożenia międzynarodowego prowadził do skupienia wysiłków sowieckich wymuszonym powiększaniu potencjału dyspozycyjnego, co siłą rzeczy, przy ograniczeniach płynących z niedostatku całkowitego potencjału geopolitycznego musiała osłabiać potencjał ruchu – czyli m.in. kontrolę nad społeczeństwem. Następstwem czasowego apogeum napięcia były zawsze poważne perturbacje gospodarcze. Przed wiele lat obserwacja tych zmieniających się zjawisk i przewidywanie następnych było dla nas fascynującą przygodą intelektualną. To wspaniałe uczucie, gdy można obserwować, jak odczytane wcześniej zimno-wojenne mechanizmy procesów strategicznych, politycznych, ekonomicznych, ale także demograficznych czy kulturowo-społecznych sprawdzają się w rzeczywistości. Dopiero w latach '70 zmieniło się wszystko: wkroczyliśmy w okres, gdy na podstawie tychże obser-

wacji i prognoz trzeba było podejmować decyzje o kluczowym dla przyszłości Polski znaczeniu, rozpoczynać Wielką Grę.

Ubočnym, ujemnym skutkiem przygotowań intelektualnych, jakie prowadziły trzy najaktywniejsze środowiska polityczne, stało się wzajemne niezrozumienie. Przyczyniło się ono do wielu późniejszych kłopotów. W ustroju totalitarnym nie ma autentycznej opinii publicznej: myśleć trzeba samotnie i w ukryciu. Brak wymiany poglądów doprowadził do wzajemnej izolacji. Ze względów konspiracyjnych zaczęliśmy z sobą rozmawiać dopiero w okresie bezpośrednio poprzedzającym powstanie opozycji demokratycznej – i nie rozumieliśmy się całkowicie. Gdy ja opowiadałem o kryzysie potencjałowym, mechanizmach zimnej wojny, rosnącym zaangażowaniem ZSRR na południu – wzruszano ramionami; co to ma wspólnego ze zmianami w PRL? Od jednych słyszałem, że najważniejsza jest obrona tożsamości narodu przez przestrzeganie tradycyjnych wartości w rodzinie, drudzy opowiadali o ponadczasowej wartości humanistycznego socjalizmu, potrzebie swobód twórczych oraz wyzwolenia robotników. Nie trafiały do przekonania argumenty, że w warunkach ekonomicznego przymusu pracy rodziców trudno mówić o rodzinnym wychowaniu, ani skromne uwagi, że doktryna socjalistyczna, nawet w jej najszlachetniejszym kształcie, jest bezradna wobec komunistycznego superkoncernu. Ta ostatnia teoria (opisałem ją w wspomnianej książce „Moloch”, przygotowanej w 1985 r. w więzieniu) budziła oburzenie: tak daleko nie posunęli się w swej reakcyjności nawet najbardziej prawicowi socjaldemokraci zachodni. Radzono mi, przecież szczerze, abym dla rozjaśnienia umysłu poczytał Kołakowskiego. Ceniłem go – i cenię, ale ratowanie marksowskiego socjalizmu nigdy nie było moja pasją życiową.

– Teoretyczne studia i prognozy nie były jednak jedynym przedmiotem waszych przygotowań.

– Oczywiście, że nie. Ale czynna polityka wymaga stworzenia koncepcji własnych działań oraz ich możliwych konsekwencji. Przygotowywaliśmy się do tego, korzystając z bardzo bogatego dorobku myśli politologicznej, geopolitycznej, strategicznej, ekonomicznej, socjologicznej czy historycznej. Działaliśmy jednak w zupełnie nowej, specyficznej sytuacji, gdy ta wiedza nie wystarczała.

Stąd konieczność własnych poszukiwań. Konieczne było stworzenie modelu działania, w pełni adekwatnego do rzeczywistości. To samo robili i inni, lecz przyjmowali drogowskazy ideologiczne – socjalistyczne względnie nacjonalistyczne. Walka o niepodległość – jak kiedyś sprecyzował myśl Piłsudskiego Adam Skwarczyński – to czyn bez ideologii. Nie ważne, jakie reprezentujesz poglądy, wystarczy, abyś brał czynny udział w działaniach na rzecz odzyskania niepodległości. Ta różnica determinowała nie tylko cele, lecz również metody działania. Potrzebny był model praktyczny – który nie miał nic wspólnego ani z ideologicznymi poszukiwaniami, ani z naprawą grzechów real socjalizmu.

Punktem wyjścia naszych poszukiwań była ocena realnych możliwości oraz prawdopodobnych zachowań przeciwnika: traktowanych łącznie totalitarnego państwa i sowieckiego obozu. Od 1939 r. byliśmy w konflikcie ze Związkiem Radzieckim, przez ostatnie dziesiątki lat niewołącym Polskę za pośrednictwem totalitarnej dyktatury komunistycznej. Konieczne było opracowanie strategiczno-operacyjnego planu rozegrania konfliktu. Stąd sztabowe traktowanie problematyki. Tym łatwiejsze, że nn skupiało w większości ludzi, którzy byli do tego przygotowani i mieli doświadczenie wojskowe. Naszym zadaniem było rozstrzygnięcie konfliktu o charakterze międzypaństwowym, przy czym nasze państwo jeszcze nie istniało a istotne ograniczenie wymagało wstrzymani się przed stosowaniem bezpośredniej przemocy zbrojnej.

Pierwszym zadaniem stało się zapewnienie możliwości realizacji koncepcji góry lodowej – czyli osłona eskalacji organizacyjnej i politycznej. Osiągnąć ją mogliśmy jedynie metodą faktów dokonanych (*fait d'accompli*). Przeciwnik dysponował jednak wszelkimi możliwościami, aby każde takie działania natychmiast zdławić. Szukając rozwiązań, wykorzystaliśmy ówczesną amerykańską doktrynę powstrzymywania (*containment*) sowieckiej agresji – czyli niedopuszczenia do wybuchu wojny. Jeśli Sowieci rozpoczną wojnę, USA przeprowadzi nuklearne uderzenie odwetowe (*massive retaliation*). Uzupełniono to następnie doktryną odstraszania (*deterrence*), zmierzającą do powstrzymania wybuchu konfliktu militarnego. Otóż Rosjanie musieli się liczyć z tym, że w odwecie na podjęte przez nich działania wojenne nastąpi natychmiastowa riposta, która całkowicie przekreśli sens ich zdobyczy. Zagrożenie sowieckie występowało na dwu poziomach: globalnym – czyli strategicznym uderzeniem

nuklearno-rakietowym, oraz lokalnym – określanym jako taktyczny i prowadzącym się głównie do szantażu militarnego wobec mniejszych państw. W pierwszym przypadku groziło wzajemne samobójstwo; wystarczyło zachować równowagę technologiczną, aby nie dopuścić do wybuchy nuklearnej wojny powszechnej. W drugim przypadku sprawy się komplikowały. Pojawiła się natychmiast wątpliwość, czy riposta militarna nastąpi również w wątpliwej sytuacji, gdy np. Rosjanie ograniczą się do zajęcia jakiegoś mało ważnego z punktu widzenia USA obszaru, czy nieoficjalnie wesprą w jakimś państwie przewrót polityczny. Ktoś zadał konkretne pytanie: czy USA mogło rozpocząć wojnę nuklearną w odwet za zduszenie powstania węgierskiego? Odpowiedź była oczywista: nie, gdyż taka wojna powodowała wielokrotnie większe ofiary, niż najbardziej brutalne zdławienie powstania w Budapeszcie. Aby uniknąć takiej sytuacji, doktryna odstraszenia została uzupełniona przez działania na szczeblu pośrednim. Gdy Sowieci w swojej ekspansji polityczno-militarnej posuną się za daleko – spotkają się nie ze strategicznym uderzeniem nuklearnym, tylko z karnym ciosem wykonanym przez siły zbrojne, dysponujące taktyczną bronią atomową, zdolną do niszczenia jednostek wojskowych, a nie miast czy ośrodków przemysłowych i komunikacyjnych przeciwnika.

Tu dodatkowe wyjaśnienie, niezbędne dla zrozumienia naszej ówczesnej sytuacji. Celem politycznym USA i krajów NATO było niedopuszczenie do wywołania wojny przez ZSRR. Nie chodziło ani o wygranie wojny, ani o totalne zniszczenie przeciwnika. Taki rezultat mógł okazać się nadmiernie kosztowny, gdyż wówczas na Amerykanach spocząłby obowiązek całkowitej organizacji i odbudowy zdewastowanego obszaru praktycznie na własny koszt. Po doświadczeniach ze zrujnowaną Europą, a zwłaszcza z pokonanymi Niemcami i Japonią, Stany Zjednoczone nie dążyły do bezwarunkowej kapitulacji przeciwnika, lecz do wymuszenia na nim rezygnacji z agresywnych planów i podjęcia pokojowej współpracy z resztą świata. Do tego potrzebna była globalna stabilizacja, a za jej część, obejmującą wschodnią Europę i północną Azję, odpowiadał ZSRR. Jakakolwiek irredenta, naruszająca panujący tam porządek polityczny, uznana została za sprzeczną z interesami Ameryki i całego Zachodu.

Wróćmy do naszej doktryny działania. Otóż, przetwarzając amerykański model rozegrania konfliktu, za cel bezpośredni uznaliśmy politykę, polegającą

na odstraszeniu władz PRL przed podejmowaniem zbyt brutalnych kroków przeciwko opozycji. Brzmi to absurdalnie, nie dysponowaliśmy przecież żadnymi środkami odwetowymi. Przypomnę jednak, że już na początku przyjęliśmy żelazną zasadę: rozpoczynamy bezpośrednie i jawne działania na rzecz niepodległości wyłącznie w sprzyjającej, szczegółowo przez nas zdefiniowanej sytuacji międzynarodowej. Jednym z najważniejszych kryteriów było takie zaangażowanie zewnętrzne ZSRR, które wymagać będzie zachowania w miarę dobrych stosunków z Zachodem. Niewątpliwym prymatem polityki sowieckiej, której bezdyskusyjnie musiały przestrzegać państwa satelickie, była agresywna ekspansja zewnętrzna. Aby ją prowadzić, nie powodując otwartego konfliktu z USA i NATO, Sowietom i ich satelitom musieli czasowo zachowywać pozory, m. in. wstrzymując się od represji. Naszym instrumentem zastraszania stała się groźba, że prowokując represje, doprowadzamy do zaostrzenia stosunków Wschód-Zachód. Trwała przecież zimna wojna, a porzucenie polityki *detente* w podobnych sytuacjach następowało niemalże automatycznie. Efektem stały się poważne utrudnienia dla sowieckiej ekspansji regionalnej czy lokalnej; dodatkowe szkody powodowały związane z tym sankcje ekonomiczne. Tworzyło to czasową sytuację, w której Moskwa nie miała wyboru: ewentualne represje w PRL mogły zaszkodzić polityce sowieckiej, mającej przecież priorytet nad rozwiązywaniem kłopotów wewnętrznych satelitów. Mechanizm taki działał jednak tylko do pewnego stopnia. I to w dwu wymiarach. Po osiągnięciu celu, wyznaczonego dla tej fazy ekspansji, ZSRR z reguły zabierał się za porządkowanie spraw wewnętrznych – a wznawiane represje mogły być głębsze i ostrzejsze. Wymagało to z naszej strony optymalnego wykorzystania względnie krótkiego odcinka czasu: doprowadzenia zmian rzeczywistości politycznej na tyle daleko, że w swych podstawowych elementach prawie niemożliwych do szybkiego cofnięcia. Drugi wymiar był jeszcze groźniejszy. Otóż – inaczej niż w stosunkach międzynarodowych, eskalacja działań opozycyjnych powyżej pewnego poziomu politycznego powodowała, że Zachód, zamiast zwiększać swoją presję na ZSRR, natychmiast ją minimalizował. Wynikało to ze wspomnianych wyżej generalnych założeń polityki USA czy generalnie Zachodu. Zbyt daleko idąca aktywność opozycji mogła prowadzić do destabilizacji danego satelity, a taka utrata kontroli nad wydarzeniami groziła nieobliczalnymi konsekwencjami,

nie wyłączając niechcianego wybuchu wojny globalnej. W Departamencie Stanu w początkach lat '70 opracowano nawet koncepcję sugerującą, że w interesie USA leży tzw. *organiczone wcielenie* państw satelickich do ZSRR. Napięcie społeczne w tych krajach rośnie i może doprowadzić do wybuchu; gdy będą one częścią ZSRR, dotyczyć to będzie spraw wewnętrznych Związku Radzieckiego, co zwolni USA od konieczności jakiegokolwiek interwencji i nie naruszy stabilizacji światowej. Dość łatwo było przewidzieć, gdzie przebiega granica, po której przekroczeniu przez zorganizowane siły opozycyjne, Waszyngton przyjmie postawę neutralną, a Moskwa zezwoli czy nakaże władzom PRL na przeprowadzenie masowych represji. Strategicznych, a nie taktycznych – czyli indywidualnych. Sowietom nie mogli zresztą postąpić inaczej, gdyż spoistość obozu była dla nich ważniejsza, niż sukces ekspansji regionalnej. Rozumieliśmy to doskonale, jednak, dążąc do odzyskania niepodległości, w pewnym momencie musieliśmy przekroczyć tę *dead line*. Szukając rozwiązania, przygotowaliśmy dwa warianty działania. Główny przewidywał spotęgowanie i przyspieszenie samego przebiegu eksplozji społecznej, aby stworzyć stan rzeczy doprowadzający do nowej stabilizacji politycznej i uniemożliwiający władzom PRL przeprowadzenie siłowego rozwiązania. W takich warunkach ewentualna zbrojna interwencja sowiecka nie była już uzasadnionym przywracaniem stabilizacji – lecz wręcz przeciwnie, destabilizowała ją i wymuszała reakcje Zachodu. Jak silną – zależało od konkretnej polityki, jaką w tym czasie prowadziły USA i główne państwa zachodniej Europy.

Przy takich uwarunkowaniach międzynarodowych, szukając optymalnej strategii działania, nie mieliśmy zbyt wielkiego wyboru. Bezpośrednim zagrożeniem dla naszych planów były represyjne działania władz PRL, a te mogły nastąpić na dwu poziomach: masowym lub indywidualnym. Cała organizacja bezpieczeństwa wewnętrznego i utrzymania stabilizacji politycznej PRL była nastawiona jedynie na takie działania. Na wyższym – strategicznym poziomie służby MSW i ewentualnie wojsko były w stanie dość szybko zdławić spontaniczne wystąpienia zbiorowe, ogólnokrajowe czy regionalne. Jednak, w geopolitycznej sytuacji lat '70 zduszenie takiego masowego działania oznaczało gwałtowne zaostrenie stosunków Wschód-Zachód, co – jak mówiłem, w istocie uniemożliwiałoby kontynuowanie ograniczonej ekspansji sowieckiej. Dlatego

radykałne przeciwdziałania, podjęte przez władze miejscowe, czy też zbrojna interwencja sowiecka w tym konkretnym okresie były możliwe jedynie w wypadku zagrożenia całości obozu sowieckiego. Jeśli do tego nie dochodziło, lepiej było ścierpieć czasowe trudności, niż przerywać rozpoczęte już operacje ekspansywne. Na poziomie indywidualnym – taktycznym, sytuacja była krańcowo inna. SB mogła w każdej chwili aresztować każdego, likwidować wszelkie próby organizowania grupowej aktywności. Jeśli jednak chodziło o osobę publicznie znaną, zwłaszcza jawnie podejmującej działania opozycyjne, sytuacja ulegała pewnej zmianie – gdyż działała konieczność zachowania pozorów. Inaczej niż podczas wojny czy w powojennym dziesięcioleciu, kiedy obowiązywała zasada, że im większa konspiracja, tym większe bezpieczeństwo, w połowie lat '70 zaczęły tworzyć się czasowe warunki, w których wyjście z konspiracji zapewniało większe bezpieczeństwo. Ukierunkowanie bezpieczeństwa wewnętrznego tylko na dwa szczeble – strategiczny i taktyczny, pozostawiało dość szeroką lukę. Dawała ona przestrzeń, w której mogły tworzyć się organizacje ruchu oporu wyrastające ponad szczebel indywidualny – poszczególnych ludzi czy małych grup, ale znajdujące się poniżej szczebla strategicznego. Władzę PRL najwyraźniej uważały te luki za pozorną. Opierały się na własnych doświadczeniach oraz na istniejącej sytuacji. W pierwszych latach powojennych opór Polski łamano, prowadząc działania totalne; miały one charakter strategiczny, a taktyczny – indywidualne represje, był tylko jego częścią składową. W latach '50 dla rozbicia podziemia politycznego wystarczały same represje indywidualne – i to głównie prewencyjne. W gorącym okresie 1956 r., pomiędzy poznańskim czerwcem a szczecińskim grudniem najpierw dokonano uderzenia strategicznego, a później wystarczały represje indywidualne. W październikowym dwudziestolecu spontaniczne wystąpienia studentów czy robotników rozbijano przez działania strategiczne⁷, a próby podejmowania grupowej konspiracji, skądinąd rzadkie, likwidowano przez represje indywidualne. Wytworzyło to

⁷ W przypadku marca 1968 r. Zachód wstrzymał się od interwencji, traktując je jako część powszechnego buntu młodzieży i studentów, w USA czy Francji przecież znacznie silniejszego niż w Polsce. W przypadku grudnia 1970 i czerwca 1976 r. nie zdążono interweniować, bo władze szybko się cofały (błyskawiczna zmiana rządzącej ekipy, natychmiastowe cofnięcie podwyżki cen).

przekonanie, że represje indywidualne wystarczą, aby nie wytworzyły się trwałe struktury opozycyjne powyżej szczebla taktycznego.

Otóż tę lukę postanowiliśmy wykorzystać. Dostosowując doktrynę odstraszania do polskich warunków i idąc bezpośrednio za amerykańskim wzorem, za najważniejsze uznaliśmy operowanie na szczeblu pośrednim. Działać strategicznie – czyli zainspirować masowy, spontaniczny i czynny sprzeciw – żadna grupa opozycyjna w PRL nie była w stanie. Tworzenie samotnej, jednostkowej grupy opozycyjnej narażało ją na likwidację, w zasadzie natychmiast po wykryciu. Pewną obroną mogło być jej głośne ujawnienie, ale przygotowanie tego wymagało czasu i zachowania tajemnicy. To ostatnie w warunkach funkcjonowania masowej sieci informatorów SB, było bardzo trudne i wymagało skrajnie rygorystycznej, powiedziałbym profesjonalnej konspiracji – takiej, jaka obowiązywała w nn. Natomiast tworzenie systemu licznych, chociażby drobnych i mało aktywnych grupek opozycyjnych, powiązanych tylko programowo, względnie powołanie struktury silnie zróżnicowanej wewnętrznie, będącej w istocie tylko formalnym związkiem całkowicie samodzielnych organizacji, uniemożliwiałoby przeciwnikowi podjęcie skutecznego przeciwdziałania. Indywidualne uderzenie w pojedyncze osoby czy grupy w takiej sytuacji niewiele dawało, gdyż pozostawała zbiorowa struktura. Uderzenie w całą taką strukturę, funkcjonującą na szczeblu pośrednim, a nie indywidualnym, oznaczało natomiast przeniesienie konfliktu na poziom strategiczny, atak totalitarnych władz na aktywność masową, a nie indywidualną. Koszt polityczny takiej operacji był znaczny. Natomiast sprzeciw, organizowany na szczebli pośrednim, nie powodował złamania systemu. W sytuacji, gdy nie była zagrożona ani jedność, ani spójność obozu sowieckiego, represje – siłą rzeczy dość masowe, stawały się politycznie szkodliwe, gdyż bardzo utrudniało postępy ekspansji sowieckiej. Z kolei jawność zwiększała ogromnie prawdopodobieństwo pozytywnej dla nas reakcji Zachodu – zarówno opinii publicznej, jak rządów.

Cała działalność opozycji, świadomie czy nie, sprowadzała się do występowania z kolejnymi inicjatywami, czyli do nieprzerwanej eskalacji politycznej. Sukcesywnie tworzyliśmy nowe fakty dokonane. Mogły one przyjmować postać niejako ponad-materialną (wywiady, protesty, postulaty, żądania, programy, dyskusje itd.), względnie materialną (tworzenie nowych struktur, organizowa-

nie wszelkiego rodzaju akcji – poczynając od zbiórki podpisów, a także manifestacji politycznych, tworzenie bazy redakcyjnej i poligraficznej itd.) Szybko okazało się, że w zależności od charakteru i celów politycznych, obie części uformowanej w latach 1976–77 opozycji demokratycznej przyjęły inne modele działania. Dla nas ilościowy i jakościowy rozwój struktur organizacyjnych miał znaczenie kluczowe, gdyż doprowadzał do powstania partii niepodległościowej. Inaczej było w środowisku KOR, gdzie sam Komitet potraktowany został jako struktura nie-rozwojowa oraz nie sformalizowana organizacyjnie. Niejako pod jego egidą, lecz także kontrolą polityczną, powstawały inne luźne inicjatywy, lecz chyba tylko w istocie całkiem autonomiczne Towarzystwo Kursów Naukowych musiało przybrać kształt zorganizowany, gdyż inaczej nie byłoby w stanie prowadzić działalności edukacyjnej. Jedyna inicjatywa o charakterze otwarciu politycznym, a mianowicie powołanie *ruchu demokratycznego* ugrzęzła już na etapie, czy nazwa ta powinna być pisana z dużych, czy z małych liter. Spór nie miał jednak charakteru ortograficznego, tylko polityczny – duże litery dowodziłyby, że jest to organizacja polityczna, a nie spontaniczne działanie niezorganizowanych osób.

Opisane różnice występowały jednak tylko w odmiennym politycznie podejściu do całościowego kształtu opozycji. Nie było ich natomiast w bazie technicznej. Może najważniejszym narzędziem opozycji były wydawnictwa drugiego obiegu, a poligrafia nie mogła się opierać na działaniach podejmowanych spontanicznie, podobnie jak łączność wewnętrzna, finanse itp.

W istniejącej sytuacji i przy tak zakrojonych działaniach opozycji, przeciwdziałanie SB było w zasadzie ograniczone do powstrzymywania względnie likwidacji przedsięwzięć tworzących nowe fakty dokonane istniejące materialnie. Założenie było proste: gdy tego rodzaju struktury zostaną rozbite najprostszyimi represjami, polityczna działalność opozycji straci wszelkie podstawy i zacznie zanikać.

Niebezpieczeństwo było realne – i dobrze znane od dawna. W toku prac przygotowawczych poświęciliśmy mu dużo uwagi. Przyjęliśmy dość oczywistą zasadę. Każdy nowy fakt dokonany powinien oznaczać postęp polityczny i być szeroko nagłośniony, ale nie przekraczać granicy ostrożności. Reakcja władz będzie wynikać raczej z decyzji politycznych, a nie policyjnych. Jeśli

koszt represji będzie wyższy, niż szkoda wywołana tym konkretnym działaniem opozycji, bezpośrednich i natychmiastowych reakcji nie będzie. Takie określenie ryzyka wymagało, aby każdy fakt dokonany był starannie przygotowany oraz poprzedzony drobniejszymi przedsięwzięciami, sugerującymi iż podjęte przez nasze środowiska inicjatywy nie będą aż tak groźne, jakby się mogły na pierwszy rzut oka wydawać. Granica ostrożności mogła być obniżona rozmaitymi wcześniejszymi manewrami, odwracającymi uwagę bezpieki. Największe zagrożenie występowało nie po przeprowadzeniu, lecz przed samym faktem dokonaniem. Taki wyprzedzający atak SB był tym bardziej prawdopodobny, że nie powodował większych szkód politycznych dla rządzących, gdyż likwidował inicjatywę nieujawnioną. Przykładowo, zbiórka podpisów uwiarygodniających mogła być łatwo przerwana przez SB przez zastraszenie poszczególnych osób, co dławilo całą inicjatywę. Aresztowania można było ukryć, albo zinterpretować po swojemu (czyny kryminalne, terroryzm). Inna sytuacja powstawała, gdy inicjatywa była już znana publicznie, a spóźnione uderzenie SB jedynie ją nagłaśniało. Analizując teoretycznie różne ewentualności, dość szczegółowo opracowaliśmy dwa skrajne warianty. Pierwszy przewidywał, że sam *fait d'accompli* zostanie przeprowadzony błyskawicznie i przy zachowaniu pełnej tajemnicy – tak, aby władze nie zdążyły podjąć przeciwdziałania. Zastosowaliśmy go, z pewnymi koniecznymi modyfikacjami, przy ogłaszaniu Ruchu Obrony. Decyzja o przeprowadzeniu tej akcji zapadła w piątek między godziną 2 a 3 po południu – a więc już, gdy rozpoczynał się *weekend*, wszystkie czynności przygotowawcze o charakterze bezpośrednim wykonane zostały do wieczora, w sobotę o 9. 00 zawiadomiono dziennikarzy zagranicznych i redakcje niektórych dzienników cenzurowanych o miejscu i godzinie konferencji prasowej, na której zostanie ogłoszone powstanie Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce. Nim ta konferencja się rozpoczęła o godz. 17.00 w mieszkaniu osoby znanej nie tylko opinii publicznej w Polsce, lecz i na Zachodzie – a mianowicie Antoniego Pajdaka, jednego z głównych przywódców PPS, skazanego w procesie moskiewskim w 1945 r., radiostacje zachodnie już nadały sensacyjną wiadomość. Najszybsze działanie SB byłoby spóźnione, gdyż wkroczenie bezpieki i uniemożliwienie przeprowadzenia konferencji prasowej jedynie nagłośniłoby jeszcze bardziej całą sprawę.

Drugi wariant był wprost przeciwny. Po zakończeniu przygotowań, decyzja o czasie i miejscu ujawnienia inicjatywy powinna zapaść z wyprzedzeniem kilkutygodniowym. Okres ten miał być wykorzystany, aby przez stopniowe ujawnianie informacji i dezinformacji przyzwyczajać władze do tego, co miało nastąpić. Wykluczało to nagłą i spontaniczną reakcję na sam *fait d'accompli* – a taka była najgroźniejsza. Jeśli dawało się przeciwnikowi czas do namysłu, decyzje podejmowano kolektywnie i były one z reguły łagodniejsze. Takie oddziaływanie na władze składało się z kilku etapów: najpierw przez kontrolowane przecieki o samym zamiarze (tylko fakt, że została podjęta decyzja, oraz w jaki sposób będzie ogłoszona powinien być objęty ścisłą tajemnicą), następnie półjawne omawianie w różnych grupach szykowanego faktu dokonanego, wreszcie nieoficjalne potwierdzenie wraz z datą, kiedy ma nastąpić. W toku takiej gry należało wytworzyć wrażenie o słabości organizatorów, którzy nie są w stanie udźwignąć własnej inicjatywy. Sama ogłoszenie faktu dokonanego powinno być przeprowadzone przez zespół działający poza istniejącymi strukturami i nie mający z nimi kontaktu – najlepiej przez ludzi z nn, nie uczestniczących bezpośrednio w działaniach opozycyjnych. Ten wariant, z dość istotnymi modyfikacjami, wykorzystaliśmy przy powstaniu KPN. Zagrożenie było znaczne. Ogłoszenie samego celu: wyzwolenie spod sowieckiej hegemonii przez obalenie rządów PZPR mogło wywołać bardzo ostrą reakcję, odruchowe przeciwdziałanie – i to podjęte bez względu na jej uboczne skutki. Bez wchodzenia w szczegóły wspomnę tylko o głównym manewrze dezinformującym. Dość przypadkowo udało się nam pozyskać dużą łódź żaglową, co pozwoliło zorganizować obóz szkoleniowy nad Zalewem Żegrzyńskim. Miała to być wielodniowa narada, przygotowująca program KPN, który zostanie ogłoszony wraz z informacją o powstaniu tej partii. Przewidywana była obecność całej liczącej się kadry przyszłej Konfederacji, zaproszeni zostali również ludzie ze współpracujących z nami grup. Wbrew buńczucznym zapowiedziom, na obóz przybyło tylko kilku najbardziej znanych działaczy niepodległościowych, parę osób absolutnie nieważnych, a wśród nich rozpoznany TW. Całymi dniami żeglłowaliśmy po Zalewie, początek dyskusji nad programem KPN odkładając *na jutro*; ostatecznie skończyło się na paru drętwych pogaduszkach. Z zaproszonych gości przyjechali jedynie przedstawiciele jakiejś grupy studenckiej

z Krakowa: mieli szczegółowe pytania, na które odpowiadaliśmy tak mętnie, że wyjechali z wrażeniem, że cała impreza jest niepoważna. Bezpieka i tak wykonała uderzenie wyprzedzające: poprzedniego dnia przed planowanym ogłoszeniem KPN zamknęła wszystkich warszawskich i przybywających do Warszawy działaczy centralnych, a pozostałych w Polsce zablokowano bezpośrednią tzw. obserwacją SB. Nie powstrzymało to ogłoszenia powstania KPN równoległe w dwu miejscach: w Warszawie na manifestacji 1-wrześniowej przed Grobem Nieznanego Żołnierza, oraz w Londynie na zebraniu tam Kongresie Polski Walczącej. Całą operacją ogłoszenia i związanej z tym łączności (trzeba było skoordynować poczynania warszawskie i londyńskie) przeprowadziła grupa około dziesięciu osób, z których każda wypełniała swoje zadania, nic nie wiedząc o innych. Każdy element wykonania był co najmniej dublowany przez nie mających z sobą kontaktu ludzi. Część tych osób nie miała jawnych kontaktów z opozycją, pozostali zostali wcześniej wyłączeni z bieżących działań; nikt z nich, rzecz jasna, nie uczestniczył w obozie żeglarskim. Drugiego uderzenia bezpieczeństwa już nie wykonała. Nie miała w kogo: rozpoznani centralni działacze ze mną na czele albo już siedzieli w aresztach, albo byli pod ścisłą obserwacją. Wprawdzie można było nas dłużej przetrzymać, a także dokonać aresztowań konfederatów z niższych szczebli – lecz poza rozgłosem nic to nie dawało. A rozgłos – w Kraju i na Zachodzie, i tak był duży: ostatecznie, KPN był nie tylko pierwszą partią niezależną w całym obozie komunistycznym, lecz jeszcze jawnie głosił zamiar wyzwolenia Polski spod sowieckiej hegemonii i obalenia totalitarnej władzy. Bardziej maksymalistycznego programu nie można było stworzyć.

Odwołałem się do wydarzeń kluczowych. Ale wszystkie one mieściły się w tej samej koncepcji ogólnej. Część działań podejmowaliśmy pod wpływem wydarzeń, często nagle, bez jakichkolwiek przygotowań. Inne mieliśmy dokładnie opracowane, lecz okazywało się, że trzeba gwałtownie przyspieszyć realizację, a nawet improwizować poszczególne posunięcia. Tak było np. z powołaniem Wolnych Związków Zawodowych. Większość jednak rozgrywaliśmy zgodnie z planem, metodycznie i bez zbędnego pośpiechu – a wszystkie wynikiwały z przyjętej grubo wcześniej jednolitej metody działania i przygotowanych szczegółowych rozwiązań..

Ważnym zakresem przygotowań było tworzenie modeli planowanych struk-

tur opozycyjnych i ćwiczebne przegranie możliwości ich działania. Przyjęliśmy dwa główne kryteria: formalne przystosowanie do warunków prawnych PRL oraz zapewnienie maksymalnej skuteczności kierowania i prowadzenia akcji. Przykładowo, koncepcja organizacji politycznej – przyszłego Ruchu Obrony (RO), przewidywała, że nie będzie on miał formalnej struktury, członkostwa ani kierownictwa. Uczestnikiem RO mógł być każdy, kto chciał w niej uczestniczyć i tak długo, jak chciał. Mogła jednak tworzyć własne biura terenowe (Punkty Konsultacyjno-Informacyjne), a na zewnątrz reprezentowali ją rzecznicy. Był to dokładnie odwzorowany model Ruchu Obrońców Pokoju – skupiającego rzekomo miliony Polaków, mającej własne biura – lecz nie podlegającej rejestracji. Z kolei model formacji politycznej, która miała kierować walką o niepodległość, przybrał postać partii politycznej – gdyż prawo PRL nie przewidywało ich rejestracji, ani nie dopuszczało jakichkolwiek prawnych środków nadzoru. Po prostu wszystkie takie przepisy usunięto, bo PZPR nie godził się, aby jego działalność w jakimkolwiek sposób mogła być nadzorowana przez sądy i administrację. Jawne konferencje prasowe nie były zabronione przez prawo; w pisaniu skarg i wniosków obywatelskich oraz ich doręczaniu każdy mógł pomagać, powielane biuletyny wewnętrzne, gazetki szkolne i ścienne nie były cenzurowane – a skoro naszych wydawnictw nie kolportowaliśmy przez „Ruch”, były one tym samym wewnętrzne. Tworzenia tajnych związków prawo zabraniało, ale skoro miały one jawne władze, czy choćby rzeczników, trudno je było uznać za tajne. Takich pomysłów przygotowaliśmy dobrze ponad setkę; nie wiem, czy w praktyce wykorzystaliśmy więcej niż połowę. W każdym razie, gdy później ludzie mówili: dobrze, podejmiemy działania – ale jakie, zdolny byłem sygnąć pomysłami. Pozwalały one pchać sprawę do przodu, rozwijać jawną działalność opozycyjną, a władze były bezradne albo łamały ustanowione przed siebie prawo. Wszystko to układało się w jednolity system działania, a drobne przedsięwzięcia prawie niedostrzegalnie zmieniały polityczną rzeczywistość.

Skuteczność naszej doktryny, łączącej w sobie zarówno powstrzymywanie jak odstraszenie, została potwierdzona już w początkowym okresie funkcjonowania demokratycznej opozycji. Był to wprawdzie czas wyjątkowo sprzyjający. Trwały zaawansowane przygotowania do rozpoczęcia sowieckiej ekspansji na

południe i związane z tym wysiłki neutralizacji Europy zachodniej, do czego wstępem mogło być wejście komunistów do rządu włoskiego. Działy nie tylko Helsinki, lecz również przywracanie pozorowanej liberalizacji w PRL po represjach czerwcowych. Sprzyjające warunki międzynarodowe, kluczowy punkt naszej doktryny politycznej, zostały znacznie wzmocnione przez wyraźne złagodzenie represyjnego systemu PRL. Wszystko to otwierało drogę do tworzenia jawnie działającej opozycji. Lecz przecież naszym podstawowym założeniem było, że możemy rozpocząć realizację przygotowywanych od dawna planów tylko w takich sprzyjających warunkach. To nie korzystna sytuacja stała się zapłonem działania, tylko świadoma decyzja polityczna jej wykorzystania, podjęta w zbliżonym czasie przez dwa środowiska polityczne: niepodległościowe oraz socjal-demo-liberalne. Nie wiem, kiedy oni zdecydowali się przejść do jawnej działalności; przypuszczam, że nastąpiło to przed rozpoczęciem pisania przez Adama Michnika jego programowej książki. My, jak wspominałem, decyzję podjęliśmy w połowie września 1975 r.

Korzystna sytuacja została w pełni wykorzystana. Powstał Komitet Obrony Robotników, otwierając nowy, końcowy już okres historii PRL. Pół roku później doszło do ogłoszenia Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce – jak brzmiała jego pełna nazwa. Był to kolejny punkt zwrotny, powstawała nowa jakość, tym razem już wyraźnie polityczna. Proklamowany charakter KOR ograniczał się do prowadzenia działalności humanitarnej – pomocy represjonowanym robotnikom. W rzeczywistości Komitet prowadził działania znacznie szersze, lecz oficjalnie taki charakter przyjął dopiero po roku, przekształcając się w Komitet Samoobrony Społecznej KSS KOR. Ruch Obrony (RO)⁸ powstał jako formacja ponad-polityczna – to znaczy, jak natychmiast wyjaśniliśmy, skupiająca grupy o różnych przekonaniach politycznych. Kilka miesięcy później skryształizowaliśmy naszą orientację polityczną, przyjmując na I Ogólnokrajowym Spotkaniu Uczestników RO rezolucję odrzucającą decyzje jałtańskie; w grudniu 1977 r. przedstawiliśmy na konferencji prasowej przedstawicieli czterech opcji politycznych istniejących w Ruchu Obrony. Było to

⁸ Używaliśmy takiej krótkiej nazwy, aby kojarzyła się z określeniem *ruch oporu* i pochodzącego od niej skrótu literowego. Tak jest we wszystkich dokumentach RO oraz w „Opinii” aż do rozłamu latem 1978 r. Skrót ROPCiO prawdopodobnie wymyśliła bezpieka.

możliwe z racji sprzyjającej sytuacji – która ciągle trwała, ale głównie dlatego, że struktura wewnętrzna RO była tak pomyślana, aby mogła przetrwać wszystkie indywidualne (taktyczne) uderzenia SB. Organizacyjnie niesformalizowana, choć centralnie kierowana, łączyła osoby, które spontanicznie uczestniczyły w poszczególnych przedsięwzięciach RO oraz przedstawicieli różnych środowisk politycznych i grup terytorialnych. Te ostatnie zachowywały nie tylko całkowitą samodzielność, lecz również względnie były odizolowane od Ruchu Obrony. Do tego dochodził elastyczny i ciągle przesuwający się podział na poziom *wynurzony* i *podwodny* (konspiracyjny), a w ramach tego ostatniego działały obok organizacji NN również utajnione komórki funkcjonalne, zwłaszcza techniczne, oraz grupy zadaniowe. W dodatku całość tej góry lodowej, ustawicznie powiększającej się, w zależności od zmiany sytuacji mogła wynurzać się lub kryć pod wodą.

– Sądząc po tej terminologii, powstała ona pod wpływem twojego zamiłowania do żeglarsstwa morskiego.

– Nie da się ukryć, że tak – choć zamiłowanym żeglarzem był również Janek Dworak, który odegrał bardzo ważną rolę przy tworzeniu jawnej opozycji i formowaniu zarówno NN jak Ruchu Obrony. Nawiasem mówiąc, przez pewien czas, jeszcze w okresie konspiracyjnym, zasłoną dla naszej współpracy było wspólne uczestnictwo w zarządzie sekcji żeglarskiej klubu „Horyzont”. Posługiwaliśmy się językiem, nie całkiem zrozumiałym dla innych. Wracając do tematu, wobec tak pomyślanej organizacji, władze mogły represjonować uczestniczące w RO poszczególne osoby, blokować działania, konfiskować powielacze i maszyny do pisania – lecz nie były w stanie zlikwidować Ruchu Obrony jako osobnego bytu politycznego. Po największych ciosach zawsze coś zostawało, bo nawet przy maksymalnie ograniczonej aktywności, Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela ciągle istniał. Aby go wypłenić, rządcy PRL musieliby zastosować masowy terror wobec całego społeczeństwa. Byłoby to przeniesienie konfliktu z poziomu represji z indywidualnych na masowe – ze szczebla taktycznego na strategiczny, do czego Moskwa – nie dostrzegająca jeszcze zagrożeń spistości obozu i przyzwyczajona do istnienia własnych dysydentów, w tym konkretnym okresie nie mogła dopuścić.

Podobnie było w przypadku KOR. Protesty po zamordowaniu Pyjasa doprowadziły do aresztowania kilkunastu członków Komitetu, lecz władze nie podjęły nawet próby jego likwidacji. Nieco później, na jakiejś wielkiej naradzie PZPR, jeden z szefów MSW wyśmiewał opozycję, że powołuje coraz to nowe grupy, złożone często z tych samych ludzi: taki Moczulski – wywodził – jest inicjatorem albo przywódcą co najmniej piętnastu. To ja mogłem się śmiać. Potężna bezpieka technicznie mogła wszystko, lecz rygory polityczne pozwalały jej stosować tylko represje indywidualne. Powodowało to pewne szkody również na szczeblu pośrednim, lecz nie przerywało formowania szerokiej struktury opozycyjnej w skali całego kraju – nowego i trwałego zjawiska politycznego w PRL. Rzekomo śmieszne grupki, które często nie były w stanie podjąć jakiegokolwiek konkretnej działalności, łącznie tworzyły zwarty system, wypełniający lukę pomiędzy szczeblem strategicznym a taktycznym, a tym samym zmieniały całkowicie krajobraz polityczny Polski. Były tym ważniejsze, że – uznane za nieszkodliwe, mogły bez większych przeszkód się rozwijać. Inne – silnie represjonowane, dzięki temu stawały się swoistymi drogowskazami. Tak było z pierwszą grupą Wolnych Związków Zawodowych – projektu, który wcześniej bardzo starannie opracowaliśmy. Komitet Założycielski WZZ, prowadzony przez Kazimierza Świtania w Katowicach i skupiający tylko kilka osób, przyduszony nieprzerwanymi, bardzo brutalnymi represjami, początkowo nie był nawet w stanie dotrzeć do zakładów pracy. Ale każdy cios, który otrzymywał, każda rewizja czy zatrzymanie przez SB odbijały się inspirującym echem w kraju. Rychło powstał drugi Komitet WZZ w Szczecinie, założony głównie przez studentów z RO, w kolejności w Gdańsku – i temu przypadło wypełnienie wielkiej roli historycznej w sierpniu 1980 r. Uderzenie SB kierowano indywidualnie, co mogło spowodować rozpad czy zanik niektórych grup – lecz na szczeblu pośrednim opozycja rozwijała się nieprzerwanie – i gdy doszło do eksplozji społecznej, gotowe były struktury zdolne nadać jej zorganizowany charakter.

– Nie wszystkie struktury do tego czasu przetrwały, w 1980 r. Ruch Obrony praktycznie już nie istniał.

– To zrozumiałe, była to przecież organizacja przejściowa. Przeszliśmy na wyższy etap. Naszym pierwszym celem było przecież utworzenie jawnej partii

niepodległościowej, a to wymagało tworzenia kolejnych, bardziej zaawansowanych organizacji. Była to droga od szczebla do szczebla, ciągła eskalacja polityczna i organizacyjna. Nazywaliśmy to metodą *małych kroków, wielkich skoków*. Wielkich skoków miało być trzy: powstanie organizacji ponad-politycznej i kierowanej centralnie, ale niesformalizowanej; wyłonienie z niej kilku osobnych, sformalizowanych ugrupowań politycznych, z których każdy reprezentował będzie samodzielną opcję programową (wielkość utrudniała uderzenie SB, zlikwidowanie jednego czy dwu nie zmieniało efektu politycznego); połączenie ich – wszystkich, czy niektórych, w jedną federacyjną partię, za cel główny uznającą odzyskanie niepodległości przez Polskę. W rzeczywistości przeprowadziliśmy tylko dwa takie wielkie skoki, planowane drugi i trzeci połączyliśmy pod presją czasu. Małe kroki, dość liczne, doprowadzały nas do tych wielkich skoków. Każdy z nich rozpoczynał inny etap działania. Otóż Ruch Obrony był zakończeniem fazy przygotowawczej do utworzenia jawnej struktury opozycyjnej oraz punktem startu do stworzenia wyższej formy: opozycyjnego systemu partii politycznych. Tym samym eskalacyjne możliwości RO wyczerpywały się, nadchodził czas innych struktur, a przede wszystkim sprecyzowanych dokładnie programów politycznych. Zadanie przygotowania powstania partii niepodległościowej otrzymałem jeszcze w 1960 r., ale termin realizacji tego wielkiego skoku nie zależał od nas, tylko od zbliżającej się wielkimi krokami eksplozji społecznej. Częściowo z naszego nacisku na samookreślanie się poszczególnych środowisk politycznych, częściowo w wyniku rozwoju sytuacji w kraju (zwłaszcza szok spowodowany wyborem *polskiego papieża* – Jana Pawła II) przejściowa formuła Ruchu Obrony dobiegała kresu: wiosną i latem 1979 r. zaczęły wyrastać z RO faktyczne stronnictwa polityczne: Ruch Wolnych Demokratów, Ruch Młodej Polski oraz cztery niepodległościowe grupy polityczne, a zaraz potem ogłosiliśmy istnienie KPN. Miałem nadzieję, że z drugiej części RO, prowadzonej przez Andrzeja Czumę i Wojtkę Ziemińskiego wyrośnie niepodległościowa chrześcijańska demokracja, jednak ani wówczas, ani podczas festiwalu „Solidarność” do tego nie doszło.

Obok przejściowego charakteru Ruchu Obrony, bardzo duży ujemny wpływ na osłabienie jego aktywności wywarła skuteczna operacja Służby Bezpieczeństwa przeprowadzona w pierwszej połowie 1978 r. Zastosowano starą

metodę policji politycznej, szeroko wykorzystywaną przez carską Ochranę, a przejętą przez sowiecki aparat terroru. Polegała ona na wprowadzeniu agencji do organizacji rewolucyjnej czy opozycyjnej z zadaniem sprowokowania konfliktu wewnętrznego, a następnie rozbicia jej od środka. W przypadku Ruchu Obrony, agencji⁹ – podsycając emocje czy ambicje niektórych osób, inspiując rzekomo potwierdzone podejrzenia, najpierw zablokowali aktywność RO, a następnie na Ogólnokrajowym Spotkaniu w Zalesiu Górnym w czerwcu 1978 r. doprowadzili do rozłamu. Operacja udała się tylko połowicznie, gdyż struktura była dostatecznie obronna, lecz spowodowała poważne straty. Przede wszystkim Ruch Obrony nie wykorzystał olbrzymiego potencjału swych możliwości, który przyniosły mu liczne sukcesy w poprzednim roku. Tym razem, nim zdążył odbudować swoje siły, został zdystansowany przez procesy eskalacyjne: rozwój opozycji demokratycznej oraz szybkie zmiany sytuacji politycznej w kraju.

Inaczej kształtowała się aktywność opozycyjna środowisk socjal-demoliberalnych. Ze względu na swoją liczebność i materialnie możliwości, a także potężne poparcie radia Wolna Europa oraz daleki od maksymalizmu program działania, stanowiło ona główny nurt opozycji demokratycznej. Ponieważ chodziło o zmiany w ramach PLR, nie działała tu potrzeba eskalacji strukturalnej. KOR przetrwał bez większych strat uderzenie SB z wiosny-lata 1977 r., a po zwolnieniu z więzień represjonowanych robotników główna uwagę skupił na poszerzaniu zakresu wolności obywateli. Czyniono to również metodą faktów dokonanych, osiągając naprawdę wielkie efekty. Gnębieni przez cenzurę literaci wydawali własne czasopismo, publikując niedopuszczone do druku teksty, ograniczani w swobodzie wypowiedzi profesorowie mogli głosić swe poglądy bez przeszkód na kursach samokształceniowych, ukazywały się nieocenzurowane książki, także tłumaczenia autorów zagranicznych, dość regularnie wychodziły czasopisma.

⁹ Dwaj szczególnie byli groźni: „Lewandowski” – Paweł Miłkasz i „Warszawski”. – Marian Bogacz. Aferę bardziej szczegółowo relacjonuję w książce L. Moczulski, *Lustracja. Rzecz o teraźniejszości i przeszłości*, Warszawa 2001.

– **Ale tutaj pionierską rolę odegrała redagowana przez Ciebie „Opinia”.**

– Wcześniej zaczęły wychodzić dwa tytuły prasowe: z początkiem jesieni 1976 r. pojawiło się pismo NN – „U progu”, a niewiele później wydawany przez środowisko KOR „Biuletyn informacyjny”. Wydawcy nieświadomie – gdyż kultywowali inną tradycję, powtórzyli tytuł głównego pisma informacyjnego ZWZ-AK. Oba te wydawnictwa miały charakter anonimowy, a redakcje działały konspiracyjne. Odbijało się to na charakterze obu pism, rzeczywiście bardzo biuletynowym. „Opinia” była kolejnym naszym *fait d’accompli*. Chodziło o to, aby obok jawnie przecież redagowanych i publikowanych gazet i czasopism wydawanych pod kontrolą totalitarnych władz, wprowadzić równie jawne pisma niezależne, podające nazwiska redaktorów i autorów. Tworzyliśmy w ten sposób dwa obiegi: pierwszy był rygorystycznie kontrolowany przez władze, drugi całkowicie niezależny. Wydawałem „Opinie” tak, jakby w PRL nie było cenzury. Mówię w pierwszej osobie, bo zadecydowałem o jej wydawaniu sam, z nikim się nie konsultując. O tym zamiarze wiedział tylko Andrzej Szomański z nn; to on wymyślił tytuł. Robiłem pismo sam, tylko niektóre artykuły wstępne konsultowałem z ks. Ludwikiem Wiśniewskim; szybko felieton historyczny w każdym numerze zaczął pisać Wojtek Ziemiński, a nieco później Adam Wojciechowski. Ponieważ comiesięczne przygotowanie numeru, co robiłem na marginesie właściwej działalności, zaczęło przekraczać moje możliwości fizyczne, po kilku miesiącach redagowanie części numeru przejął Janek Dworak – również profesjonalny dziennikarz. Formalnie pismo wydawało kolegium w składzie Leszek Moczulski, Wojciech Ziemiński i Kazimierz Janusz; obu powiadomiłem o tym już po fakcie, czyli po oddaniu 1 numeru do *techniki*; byli nieco zaskoczeni, ale zaakceptowali chętnie. Ponieważ Kazik prowadził już w swoim mieszkaniu jawne biuro RO – Punkt Konsultacyjno-Informacyjny, pod takim samym adresem podałem w stopce siedzibę „Opinii”. Ziemiński przejął łączność z poligrafią, Janusz przyjmował osoby zgłaszające się z jakimiś sprawami do redakcji, większość z nich kierując zresztą do biura skarg i interwencji RO, w tym samym lokalu prowadzonym przez Bogumiła Studzińskiego. Wpływ obu na redagowanie pisma był zerowy. Każdy numer przygotowywałem w ciągu jednego – dwu dni nieprzerwanego ślęczenia przy maszynie, nie było czasu na jakiegokolwiek konsultacje. „Opinia” była robiona

profesjonalnie nie tylko tekstowo, lecz również w szacie graficznej. Stworzenie na maszynie do pisania podzielonych na szpalty kolumn czy różnego formatu tytułów okazało się bardzo pracochłonne, ale efekt był znaczny. Również charakterem tekstów wychodziliśmy znacznie poza konspiracyjno-biurokratyczne nawyki. Niewątpliwą bombą był wywiad, jaki prezydent Carter udzielił „Opinii” – był to zresztą pierwszy w historii wywiad, jaki prezydent USA udzielił polskiej gazecie. Pionierski charakter miał blok dwu artykułów – Wojciechowski i mojego, opowiadający się za zjednoczeniem obu państw niemieckich. Wcześniej w polskiej publicystyce, nie wyłączając bardzo liberalnej w takich kwestiach „Kultury” paryskiej, nikt nie odważył się wysunąć takiego postulatu. Nic dziwnego, że „Opinia” okazała się sukcesem. I to nie tylko w kraju. Pierwsze dziesięć numerów przedrukowane zostały jako osobna książka w Londynie, i to przez wydawnictwo zbliżone do KOR, a nie do nas. Chodziło o ukazanie, jaki poziom osiągnęła już w Polsce opozycja.

– Nic dziwnego, że wiele wysiłku włożono, aby wyrwać „Opinię” z Twoich rąk. Bezpieka potrafiła organizować różne prowokacje, ale kogo miała bardziej na celowniku, was czy KOR?

– Powstałiśmy w jakimś stopniu pod osłoną KOR. Planowaliśmy wprowadzić powołanie Ruchu Obrony z początkiem jesieni 1976 r., ale KOR nas ubiegł. Byłem chyba pierwszą osobą spoza ścisłego grona sygnatariuszy Komitetu, który dowiedział się o tym – i to wcześniej, niż pismo powiadamiające dotarło do Sejmu PRL. Inauguracyjny dokument podpisano w mieszkaniu położonym bardzo blisko redakcji „Stolica”, gdzie tego popołudnia samotnie coś pisałem. Otóż, gdy prof. Edward Lipiński z kimś jeszcze udali się na Wiejską, bardzo podekscytowany Wojtek Ziembiński wpadł do mnie z wiadomością i kopią podpisanego „Apelu”. W naszych środowiskach dało się zauważyć pewne niezadowolenie, że straciliśmy pierwszeństwo, lecz ja osobiście byłem zadowolony. KOR skupiał prawie całą uwagę SB, co było dla nas bardzo korzystne. Nie zrezygnowaliśmy jednak z żadnych działań osłonowych, nawet je poszerzyliśmy, wykorzystując fakt, że ogłoszenie powstania RO musieliśmy opóźnić o pół roku. Władze zapewne nie wytrzymałyby tak szybkiego rozrostu opozycji. Mimo, że nasz wielki skok 25–26 marca 1977 r. był szokiem dla

władz, główne zainteresowanie SB przez cały 1977 r. skupiało się na KOR. Sytuacja uległa zmianie w 1978 r., gdy my znaleźliśmy się na celowniku. Jak już wspominałem, prowokacja SB zakończyła się połowicznym, ale poważnym sukcesem. Podobną prowokację znacznie wcześniej zorganizowano przeciw KOR. Trudno mi wypowiadać się o szczegółach dotyczących innego politycznie i życiorysowo środowisku – tym bardziej, że nie mogę odwoływać się do faktów, lecz na podstawie dobrej znajomości poszczególnych ludzi łatwo domniemywać, jakie mechanizmy zadziały. Zresztą najprostsze: rozpalenie emocji przed agentów wpływu. Pretekstem była nieopatrna i mało precyzyjna w wymowie wypowiedź prasowa Jacka Kuronia z końca stycznia 1977 r. o *finlandyzacji* Polski. Wywołała ona bardzo gorącą reakcję niektórych członków KOR. Sprawa ciągnęła się dość długo i miała dramatyczne momenty, przyczyniła się później do pogorszenia stosunków KOR-RO. Znaczna spoistość ideowa i personalna środowiska socjal-demo-liberalnego uniemożliwiła szerszy zasięg afery, choć doszło do prób jej wznowienia, tym razem przez podważanie wiarygodności jakichś rozliczeń finansowych. Żałować jednak należy, że poza doraźnymi działaniami organizacyjnymi, nie doszło wówczas do dyskusji merytorycznej nad sugestią Kuronia. Termin *finlandyzacja* oznacza, że dane państwo przestrzega zobowiązań podjętych wobec ZSRR, lecz zachowuje system demokratyczny. Nie wchodząc w dywagacje, co kto mógł pod tym ostatnim określeniem rozumieć, osiągnięcie takiego stanu rzeczy w PRL byłoby ogromnym krokiem naprzód i znacznie zbliżyłoby nas do niepodległości. Nie jest to ocena, do której doszedłem dziś, bo sformułowałem ją na piśmie jeszcze w końcu 1976 r. W ramach przygotowań do ogłoszenia Ruchu Obrony potrzebny był dezinformujący manewr, sugerujący, iż w naszym środowisku przeważają tendencje ugodowe. Ponadto, ponieważ dawało się zauważyć nagle zaostrzenie stanowiska władz, a uderzenie i rozbicie KOR byłoby klęską całej opozycji i opóźniłoby znacznie realizację naszych planów. Warto było wystąpić z niesprecyzowaną bliżej sugestią, że represje są niepotrzebne, bo wszystko da się ułożyć pokojowo. Taki był z grubsza ton „Memoriału”, który napisałem podczas świąt Bożego Narodzenia i parę dni później przez zaufaną osobę – a mianowicie przez Zbigniewa Załuskiego, członka komitetu doradczego przy Gierku, przekazałem do KC PZPR; kopię tekstu tego samego dnia dałem Ku-

roniowi¹⁰. Dość obszerne wywody były krytyczne wobec polityki władz, ale z pozycji zatroskanego obywatela. Podkreślając nieuchronność głębokich przemian, aby obniżyć ich olbrzymie koszty, sugerowałem porozumienie pomiędzy *biegunem reformy* – czyli dojrzewającą opozycją, a *biegunem zachowawczym* – władzami PRL. Był to w istocie taki sam pomysł, jak dwanaście lat później zaproponowany przez Kiszcza Waleś, okrągły stół – tyle, że na początku kryzysu PRL, a nie pod jego koniec. Jako przynętę, zaofiarowałem likwidację KOR, gdy ze swej strony władze cofną wszystkie represje i wypuszczą aresztowanych robotników. Nie było to nic nowego, gdyż sam KOR zapowiadał, że po zwolnieniu uwięzionych jego cel zostanie osiągnięty i dokona samo-rozwiązania. Działał jednak pewien szczególny moment. 15 grudnia spotkałem się potajemnie z Kuronem, Lipskim i Macierewiczem, aby wstępnie omówić możliwości współpracy naszych środowisk. Zachowane były wszystkie rygory konspiracji: lokal, położony w pobliżu ruchliwego zbiegu Złotej i Żelaznej był czysty, zgodnie z naszymi rygorami używany po raz pierwszy i ostatni, mieścił się w wielkiej, starej kamienicy o kilku kłatkach schodowych, gdzie bardzo łatwo można było zgubić ogon. Przez okno, zza firanki, można było obserwować drogę dojścia. Widziałem, że za zdążającą do mnie trójką ciągnie się ogon, co bardziej szczegółowo rozpoznała nasza – tj. nn – obserwacja zewnętrzna. Przybysze już wewnątrz budynku wykonali kilka prostych manewrów, gubiąc tajniaków. Ponieważ bezpieczeństwa w ciągu następnych dwu miesięcy nie zainteresowała się lokalem spotkania, było oczywiste, że nie ustaliła konkretnego adresu mieszkania. Ja nikogo nie powiadomiłem o spotkaniu, poza absolutnie pewną komórką nn, zapewniającą obserwację zewnętrzną. Jednak, dwa dni później zostałem zatrzymany na ulicy i przewieziono do Pałacu Mostowskich, gdzie poddano mnie wielogodzinnej próbie przesłuchania. Prawdopodobnie moi rozmówcy omawiali przebieg spotkania, co przeciekło do SB. Otóż, kierując „Memoriał” do władz, założyłem, że adresaci natychmiast zażądamy od SB informacji o mojej aktywności w ostatnim czasie – i dowiedzą się o spotkaniu z czołowymi osobami z KOR. Sugerowało to, że propozycję o samo-rozwiązania-

¹⁰ Ten egzemplarz posłużył później Mirkowi Chojeckiemu do publikacji „Memoriału” jako bodajże pierwszej pozycji organizującej się dopiero NOW-ej.

niu KOR z nimi uzgodniłem. Przynęta była duża: likwidacja jawnego ośrodka opozycji bez potrzeby podejmowania drastycznej akcji policyjnej. Znacznie później, bo dopiero ze wspomnień Jaruzelskiego, dowiedziałem się, że w początkach stycznia 1977 r. mój „Memoriał” powielono i rozdano członkom Biura Politycznego pod dyskusję. Jej wyników nie znam, wymowne są jednak fakty. Ani grożące na przełomie roku, ani spodziewane po ogłoszeniu Ruchu Obrony represje nie nastąpiły.

„Memoriał” był elementem gry, w owym czasie doprowadzenie do jakichkolwiek negocjacji pomiędzy władzą a opozycją było mało realne. Można je było rozpatrywać raczej, jako ewentualność teoretyczną. Taki był zarówno pomysł Kuronia z *finlandyzacją*, jak moja propozycja porozumienia. Ale, prędzej czy później, do takiego porozumienia – czy też kolejnych porozumień, musiało dojść. *Porozumienie jest formą walki* – ten tytuł mojej późniejszej broszury programowej wyrażał jedną z podstawowych zasad naszej strategii. Osiągnięcie jakiegoś wielkiego celu w kategoriach ogólnonarodowych – tej rangi jak sierpniowy sukces strajkowy 1980 r., pochłaniało tak wiele energii społecznej, że potrzebny był okres wytchnienia. To samo zjawisko występowało po stronie naszych przeciwników. Otwierało to drogę do porozumienia, w istocie zwykłego zawieszenia broni (choć nie wszyscy to rozumieli). Opozycji dawało czas niezbędny do przeformowania struktur i ponownego zgromadzenia sił. Rządzący mogli liczyć, że podobnie jak w 1956 czy 1970 r. – uspokoją, obezwładnią i potrafią wessać protestujące środowiska, choć raczej należało przewidywać, że zdecydują się na rozwiązanie siłowe – i również potrzebują czasu na przygotowania. Przerwa w otwartym konflikcie była jednak znacznie korzystniejsza dla *bieguna reformy*, czy raczej *rewolucji*, niż dla totalitarnej władzy. W tym czasie siły *ancient régime* słabły; pamiętajmy, że nadmierny potencjał dyspozycyjny, niezbędny dla sowieckiej ekspansji, zżerał już substancję. Natomiast ruch sprzeciwu, choćby tylko motywowany najprostszymi potrzebami ekonomicznymi – wzmacniał się, w sposób przyspieszony zyskując poparcie społeczne. Gdyby taką przerwę pomiędzy aktywnym konfliktem udało się dostatecznie przedłużyć, uruchamiał się mechanizm *ruchomego balastu*. Taki balast przesuwa się na tę burtę, na którą statek się przechyla, przenosząc punkt ciężkości – i powoduje jego wywrotkę. W naszej sytuacji takim bala-

stem byli bardzo liczni oportuniści, oraz osoby dotychczas nie zainteresowane polityczne. Przy przedłużającej się sytuacji patowej, gdy władze PRL nie mogły zdecydować się na podjęcie jakiegos konkretnego działania, te środowiska stopniowo przesuwwały się na stronę reformy/rewolucji. Mogły to czynić nawet bardzo powoli, bo i tak, po osiągnięciu punktu krytycznego, katastrofa następowała samoczynnie. Konieczna była tylko znajomość mechaniki takiego procesu, a także świadomość, że porozumienie ma charakter tymczasowy. Dlatego m. in. w „Rewolucji bez rewolucji” pisałem, że powszechny strajk okupacyjny musi się zakończyć porozumieniem, które zaakceptuje ruch powstały w toku wydarzeń – czyli Wolne Związki Zawodowe. Nie będzie to jednak finał, tylko start do kolejnej fazy walki o niepodległość.

Zarówno ja, jak i Kuroń zmierzaliśmy do osiągnięcia konkretnego skutku rzeczywistego, a odmienności w celach ostatecznych nie przeszkadzały, że obaj działaliśmy politycznie, wolni od jakiegokolwiek fundamentalizmu.

– Skoro w tak kluczowej sprawie mieliście wspólne poglądy, czemu nie zdecydowaliście się na wspólne działania.

– Sprawy nie były takie proste. Oba środowiska funkcjonowały w znacznej izolacji od siebie, w sposób wyraźny różniły się życiorysowo i politycznie. Odmienne też ocenialiśmy się nawzajem. Dla nas KOR nie był ani konkurentem, ani przeciwnikiem, tylko nieświadomym sojusznikiem. Ocenialiśmy wszystko w granicach długiej perspektywy, sięgającej odzyskania niepodległości i formowania demokratycznej Trzeciej Rzeczypospolitej. Wszyscy, którzy występowali przeciwko totalitarnemu systemowi, byli naszymi sojusznikami, a ich osiągnięcia naszymi. Im bardziej PRL była zdemokratyzowana, tym łatwiej było nam działać; każdy sukces KOR był korzystny społecznie, a więc korzystny dla działań na rzecz odzyskania niepodległości. Wprawdzie świadomy byłem, że takie uwarunkowania mogą się skończyć. System totalitarny, niewolący Polskę, oparty był na podwójnej dyktaturze: krajowej i sowieckiej. Gdyby nawet doszło do głębokiej demokracji, dalszy postęp byłby zatrzymany albo przez dyktaturę krajową, albo przez Moskwę. Wspominałem już o odmiennym rozumieniu przez oba środowiska terminu *demokracja*. Dla nas była to decyzja obywateli, płynąca od dołu i decydująca o władzy oraz

o jej działaniach. Dla nich bliżej niesprecyzowaną wartością, podobnie jak dla ogromnej większości społeczeństwa. Lepsze zaopatrzenie w sklepach uważano za zwiększenie demokracji. Szczytem byłoby, gdyby każdy mógł kupić, co chce. W takich warunkach *finlandyzacja* oznaczała coś więcej – była pozytywną zmianą polityczną – i mogła być doskonałym punktem startu do dalszej walki. Dopiero zatrzymanie się na tej pozycji oznaczało kres dalszego postępu. To znaczy akceptację komunistycznego totalitaryzmu. W takim ustroju liberalizacja jest zawsze czasowa, bo zatrzymanie demokratyzacji oznacza początek przywracania rygorów. W przeciwieństwie do Finlandii, wolnej od przymusu regulacji wedle nakazów Moskwy, PRL była państwem stanowiącym autonomiczną część obozu czy systemu sowieckiego, w którym suwerenem był Kreml. Jeśli nie dochodziło do katastrofy Sowietów – w co prawie powszechnie nie wierzono, ani władze ZSRR, ani PRL nie mogły zgodzić się na przekazanie decyzji obywatelom – czy raczej poddanym, gdyż byłby to koniec imperium real-socjalizmu. Zdawaliśmy sobie sprawę, że procesy liberalizacji w pewnym momencie dojdą do punktu krytycznego: podwójna dyktatura nie będzie mogła się już cofnąć, a środowisko socjal-demo-liberalne stanie przed koniecznością wyboru. Alternatywa była prosta: albo uzna dotychczasowy postęp demokratyzacji za wystarczający i opowie się za istniejącą władzą (jak to było w Październiku 1956 r.) – albo, kontynuując działania wolnościowe, będzie dążyć do obalenia totalitarnej dyktatury. Byłoby to niemalże przejście na pozycje niepodległościowe, gdyż przywrócenie demokracji przedstawicielskiej oznaczało koniec systemu despotycznego rządzenia ze szczytów władzy. Jednak, przynajmniej w zpleczu lewicowego skrzydła *mainstreamu* opozycji, można było znaleźć ludzi, którzy obawiali się wybuchu społecznego z zupełnie innego powodu; eksplozja wysuwała na plan pierwszy społeczeństwo – a było one prymitywne politycznie, nienawykłe do rządzenia, w większej części związane z tradycyjnym Kościołem, być może żadne odwetu (zjawiska takie, choć w ograniczonym stopniu, rzeczywiście wystąpiły podczas *festiwalu* „Solidarności”). Przypuszczaliśmy, że w takiej sytuacji środowisko socjal-demo-liberalne podzieli się, a nam zależało, aby jak największa jego część kontynuowała walkę z totalitaryzmem. W ramach naszej strategii działań pośrednich – o czym za chwilę, dążyliśmy aby KOR zajął w tych sprawach jasne stanowisko, przy

czym równocześnie wytwarzaliśmy sytuację, utrudniającą opowiedzenie się za pierwszym z alternatywnych.

Do starcia na tym tle doszło po raz pierwszy w 1979 r. Był to mój jedyny publiczny atak na Kuronia przed 1981 r. (do drugiego – i ostatniego doszło w 1988 r.). Otóż Jacek w numerze 1-szo majowym „Biuletynu Informacyjnego” zamieścił artykuł o niebezpieczeństwie ewentualnej eksplozji, której skutkiem będzie interwencja sowiecka i całkowite zniewolenie Polski na następne pół wieku. Zarysował dylemat, przed którym jego zdaniem stoi demokratyczna opozycja: powinna przeciwstawić się wybuchowi społecznemu – bo to katastrofa, ale nie może tego uczynić, gdyż wówczas współdziałałaby z niedemokratyczną władzą. Nie wiem, które rozwiązanie Kuroń uważał za słuszniejsze, lecz wymowa takiego postawienia sprawy mogła być prosta: znacznie większym niebezpieczeństwem jest przecież półwiekowe zniewolenie Polski, połączone zapewne z inkorporacją do ZSRR¹¹, niż czasowe współdziałanie z władzami PRL, aby nie dopuścić do takiej katastrofy.

Eksplozja społeczna była najważniejszym elementem naszego planu działania; bez niej odzyskanie niepodległości stawało się niemożliwe. W dodatku, aby nie zamieniła się w chaotyczne, nieskoordynowane, a często sprzeczne działania, wymagała aktywnego poparcia głównych struktur opozycji. Wystąpienie Kuronia wymagało zdecydowanej riposty. Ponieważ w ramach przygotowań do ujawnienia KPN konieczne było opublikowanie założeń naszego programu działania, połączyłem je z polemiką z Kuroniem. Taka była geneza „Rewolucji bez rewolucji”, którą napisałem pośpiesznie w maju 1979 r., aby można

¹¹ Takie rozwiązanie zaczęto publicznie postulować w połowie lat '70. W czerwcu 1976 r. sekretarz generalny KP Bułgarii Żiwkow w referacie na statutowym Zjeździe zapowiedział, że utworzenie jednego państwa socjalistycznego od Oceanu Spokojnego do Łaby staje się konieczne; przedrukowała to „Trybuna Ludu”. W ZSRR zaczęły się ukazywać publikacje, wprowadzając tylko w niskonakładowych wydawnictwach akademickich, że formuje się już jeden naród socjalistyczny, obejmujący cały obóz sowiecki. W naszych ocenach, oficjalna zapowiedź takiej integracji politycznej mogła nastąpić dopiero po pomyślnym zakończeniu rozwijającej się ekspansji na południe. Dotarcie do ropodajnych terenów Bliskiego Wschodu i położenie łapy na niektórych z nich dawało ZSRR ogromny wzrost potęgi i całkowitą swobodę w sprawach wewnętrznych obozu. Amerykanie przewidywali takie *zjednoczenie* i – jak wspomniałem wyżej, przynajmniej niektórzy uważali go za korzystny.

było rozpocząć kolportaż podczas pielgrzymki Jana Pawła II¹². W pierwszej części tekstu bardzo ostro – i świadomie przesadnie zaatakowałem Kuronia. Zasugerowałem tworzenie się szczególnego frontu przeciwników wybuchu społecznego, wymieniając kilka specjalnie dobranych nazwisk, poczynawszy od moczarskiego propagandzisty, znanego z ataków na ruch studencki w 1968 r., a kończąc na Jacku; wszystkich ich łączyła przynależność do komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej w latach stalinowskich. Pozostała część tekstu utrzymana była w normalnym, spokojnym tonie, dalekim od jakiegokolwiek polemiki. Po prostu przedstawiłem nasz program dotyczący zarówno rozegrania eksplozji społecznej, jak kilkupunktowy plan fazowego dojścia do niepodległości. Wszystkie te działania były tak pomyślane, aby nie dopuszczać do starć fizycznych, typowych dla większości rewolucji. Wynikało z tego, że wieszczona przez Kuronia katastrofa nie jest jedyną, ani najbardziej prawdopodobną alternatywą, gdyż możliwy był bez-siłowy przebieg wybuchu społecznego – pod warunkiem, że wesprze go i pomoże zorganizować opozycja.

Ostrość początkowego, polemicznego fragmentu miała wykazać, że na wszelkie próby publicznego kontynuowania anty-eksplozywnej koncepcji Kuronia będziemy reagować wszelkimi możliwymi środkami, również odwołując się do przeszłości, czego z zasady nie robiliśmy. Rzeczywiście, podobne teksty, ostrzegające przed wybuchem, nie były już publikowane, a mogły narobić wiele szkody. Przeciwników wsparcia eksplozji – a ściślej mówiąc, masowych strajków nie brakowało, i to w różnych środowiskach. KOR początkowo wstrzymywał się od poparcia akcji strajkowej, podobnie jak większość gdańskiego RMP. Najostrej wystąpił Wojtek Ziemiński. W swym fundamentalistycznym, czy wręcz fanatycznym wystąpieniu na opozycyjnej manifestacji przed Grobem

¹² Formy kolportażu „Rewolucji bez rewolucji” podczas ogromnych zgromadzeń ludzi witających Ojca Świętego mogły budzić fałszywe podejrzenia, że działamy w porozumieniu z Kościołem. Dlatego w bardzo demagogicznej replice na „Rewolucję bez rewolucji” Autor teksty opublikowanego w „Biuletynie informacyjnym” zaatakował nie tyle mnie, co ks. Prymasa Stefana Wyszyńskiego, nazywając go ajatollahem i winiąc za wszystko. Chyba dziś nikt nie ma wątpliwości, że działania nasze nie były inspirowane przez Kościół, jakkolwiek staraliśmy się o nich informować również Prymasa. W tym czasie kontakt nie był utrzymywany bezpośrednio przez nas, tylko kanałem nn; wiem, że „Rewolucję bez rewolucji” przekazano Prymasowi dopiero po zakończeniu pielgrzymki papieża,

Niezanego Żołnierza 15 sierpnia, dzień po rozpoczęciu strajku w Stoczni Gdańskiej, ostro potępił to wydarzenie i inne podobne, określając je jako prowokacyjne i nie patriotyczne; dziś trzeba walczyć o niepodległość najjaśniejszej Rzeczypospolitej – krzyczał – a nie o obniżkę cen kielbasy. Polemizowałem z nim ostro, ale po twarzach widziałem, że nie przekonałem wszystkich. Dokonała tego sama rzeczywistość; parę dni później już cała opozycja wspierała strajki.

Spieraliśmy się o sprawy najważniejsze, decydujące o losie Polski. Byliśmy przekonani, każdy z osobna, o słuszności własnych programów, ale przecież mogliśmy się mylić. Przyszłość zawsze jest nieznana, proces dziejowy w każdej chwili może skrócić w całkowicie innym kierunku. Szukanie innych, mniej popularnych dróg nadawało fundamentalny charakter naszym poczynaniom. W takich warunkach niemożliwe stawało się wytworzenie wspólnej polityki. Do tego dochodził zupełnie inny zakres wyobraźni. Nawet coś, co powinno być wspólne – wizję demokratycznej opozycji, kształtowaliśmy w oparciu o zupełnie inne źródła i doświadczenie.

My mieliśmy przed oczami system, który od dawna funkcjonował w Polsce. Także w XX wieku. Scena polityczna zawsze była podzielona, występowały na niej w zmieniających się układach różne partie i stronnictwa polityczne. Również ziemny system polityczny w latach okupacji niemieckiej oraz formującego się totalitaryzmu PRL był pluralistyczny. Nie wyobrażaliśmy sobie, że przyszła opozycja demokratyczna może być inna, a gdy zaczęła się formować, samo życie wykazywało, że musi być różnorodna, gdyż dołączali do niej ludzie różnych przekonań.

Środowisko socjal-demo-liberalne, a przynajmniej jego główna część, wyrosło w PRL i innych rozwiązań ustrojowych nie znało, albo uważało za przestarzałe i nieaktualne. Była jedna siła rządząca – i powinna być jedna siła opozycyjna. Dodawano do tego pozornie racjonalny argument, że skoro władza jest zjednoczona w jednej wielkiej politycznej strukturze, to podzielona na różne opcje opozycja nie ma żadnych szans. Tyle tylko, że jedyną organizację można zniszczyć jednym uderzeniem taktycznym, gdy wielość zapewnia przetrwanie opozycji. Jednak przekonanie o przewadze monizmu politycznego nad pluralizmem było tak silnie, że nawet Bronisław Geremek – umysł o wszech-

stronnym, gruntownym wykształceniu, ulegał mu jeszcze latem 1989 r. Sam mi, raczej żartobliwie o tym po latach opowiadał. Delegację nowo-wybranego parlamentu pod Jego przewodnictwem przyjmowano w Senacie USA. Zapytani, czy w polskim Sejmie formują się już nowe partie polityczne, przybyli parlamentarzyści zgodnie odparli, że nie ma takiej potrzeby, gdyż stosują bardziej nowoczesną formę, a mianowicie jednolity ruch obywatelski. Przyjęcie tej informacji było raczej chłodne. Dopiero w części nieoficjalnej jeden z senatorów, bardzo życzliwy Polsce (rodzina jego wywodziła się z ziem historycznych Rzeczypospolitej), wziął na bok Geremka i tłumaczył mu, że istnienie partii politycznych jest niezbędne dla funkcjonowania demokracji – a w powszechnym przekonaniu zachodniej opinii publicznej jedyne i jednolite ruchy polityczne są typowe tylko dla państw totalitarnych. Przekonał zresztą rozmówcę bez trudu. Geremek opowiadał mi o tym, ilustrując wywód, jak bardzo nieprzygotowany pod względem technik politycznych i mechanizmów kierowania państwem demokratycznym byli ludzie, którzy wówczas, niespodziewanie dla siebie, przejmowali władzę – i musieli sobie z tym poradzić. Sam pamiętałem, jak pod koniec sierpnia 1989 r. Tadeusz Mazowiecki, już premier, ale jeszcze bez rządu, zaprosił Jana Józefa Lipskiego i mnie, jako szefów partii znajdujących się poza parlamentem (PPS i KPN). Wiedział dobrze, że demokracja działa tylko wtedy, gdy funkcjonuje pluralizm; wcześniej odmówił kandydowania do parlamentu (identycznie postąpił Olek Hall), gdy okazało się, że na listach wyborczych przyznanych niezależnym kandydatom umieszczono przedstawicieli tylko jednej struktury opozycyjnej. Zaprosił nas, aby powiadomić, że jego głównym celem jest przywrócenie demokracji – i prosił o poparcie. Zapytałem go wówczas, od czego zacznie. Podniósł ręce do góry, jakby się chciał złapać za głowę, i wykrzyknął półgłosem: *Jezus Maria, żeby ja to wiedział!*

Otóż stosunek środowiska KOR do nas wynikał przede wszystkim z inaczej ukształtowanej wyobraźni. W skrajnej postaci przedstawiało się to nieomal karykaturalnie. Opozycja przeciwko totalitarnej władzy musi tworzyć jedną i jednolitą strukturę. Uformowała się jeszcze w ramach istniejących legalnie struktur politycznych i młodzieżowych, rozpoczynając od krytyki błędów socjalizmu i przeszła przez kolejne fazy aż powołania jawnego Komitetu, zwalczanego przez władze. Utworzenie innej struktury opozycyjnej stanowi zarazem

prowokację i uzurpację. Prowokację, gdyż łamiąc jedność opozycji, tym samym działa na korzyść totalitarnych władz, a w szczególności jej nacjonalistycznego skrzydła. Uzurpację, gdyż to my byliśmy pierwsi: podjęliśmy czynną walkę już w marcu 1968 r., a teraz zorganizowaliśmy jawną demokratyczną opozycję.

Inna też była wyobraźnia historyczna. Dotyczyło to nie tylko przeszłości PRL. Opublikowałem konspiracyjne w 1976 r. broszurę „Geneza PRL”, w której nazwałem PPR *partią zdrady narodowej* – budującą przyszłą 17 republikę¹³. Dla niektórych było to faszystowskie oszczerstwo; komuniści pragnęli zaprowadzić w Polsce ustrój sprawiedliwości społecznej, lecz skrzyłi w złym kierunku pod stalinowskim przymusem. Bez porównania ważniejsza była wiedza wyniesiona ze szkół. Tych, którzy uczęszczali do nich w latach '50 nauczono, że historia Polski obejmuje trzy epoki: feudalną, zakończoną zniesieniem pańszczyzny przez cara Aleksandra II w 1864 r.; kapitalistyczną – do ogłoszenia Manifestu Lipcowego przez PKWN w 1944 r. i obecną – socjalistyczną. Później takie bzdury odrzucono, lecz zachowano generalną postawę potępiającą, przy zmiennym nasilaniu krytyki. Najgorszy miał być okres międzywojenny: na wpół faszystowska dyktatura wojskowej junty, bliskie stosunki z Hitlerem, upadek gospodarki, gnębienie robotników i chłopów, brutalne represje wobec wszystkich środowisk postępowych. Przy takim obrazie historii, trudno się dziwić, że ugrupowanie polityczne, głoszące chęć przywrócenia przedwojennego systemu, traktowane było z największą podejrzliwością.

Przesadą byłoby przypisywanie takich poglądów wszystkim, lecz coś z tak określonej wyobraźni występowało prawie u każdego działacza ze środowiska socjal-demo-liberalnego. Budziło to zrozumiałe opory przeciwko konkurencyjnej formacji. Zwłaszcza, że ta, głosząc program maksymalistyczny (dla nich: awanturniczy), zmierzający nie do naprawy, a rozbicia PRL, prowokowała władze do zaostrzenia represji przeciwko całej opozycji.

W sytuacjach dramatycznych mogło to prowadzić, zresztą po obu stronach, do jednostkowych wystąpień, których emocje przekreślały rozsądek. Posłużę się przykładem najbardziej jaskrawym. W czerwcu 1977 r., po aresztowaniu kil-

¹³ 16-tą była wówczas republika Karelii, później ze związkowej przekształcona w autonomiczną.

kunastu członków KOR – w tym ciężko chorego J.J. Lipskiego, na konferencji prasowej potępiłiśmy represje i uznaliśmy, że najważniejszym aktualnie zadaniem całej opozycji jest domaganie się uwolnienia więzionych opozycjonistów. Dodatkowo Wojtek Ziemiński przedstawił dziennikarzom zagranicznym materiały, dowodzące poważnej choroby Lipskiego. Natychmiast po zakończeniu konferencji, Radio Wolna Europa nadało – i wielokrotnie powtórzyło obszerną informację o jej przebiegu, bardzo pozytywnie oceniając zaangażowanie Ruchu Obrony. Przez wieczorem komunikaty te nagle zamilkły. Okazało się, że dwie panie ze środowiska KOR, bardzo rozemocjonowane uwięzieniem ich przyjaciół i bliskich, przerażone możliwym, a najgorszym rozwojem wypadków, zareagowały histerycznie. Przez swoje kontakty powiadomiły RWE, że Ruch Obrony zasługuje na potępienie, gdyż obrzydliwe moralnie jest żerowanie na cudzym nieszczęściu, aby promować siebie; a w ogóle jest to grupa o niejasnych zamiarach, bardzo podejrzana politycznie.

Występowały pomiędzy nami różnice fundamentalne. Szczęśliwie, dotyczyły one takiego szczebla ogólności, albo odnosiły się do różnic, które znaczenie polityczne mogły mieć dopiero w przyszłości. Byli w Ruchu Obrony ludzie, którzy emocjami odpowiadali na emocje, po rozłamie dokonanym w Zalesiu w większości znaleźli się w innej części RO. Ja osobiście nie dramatyzowałem różnic. Wokół KOR, identycznie jak u nas, skupiali się ludzie uczciwi, którzy z idealistycznych pobudek wystąpili przeciwko totalitarnemu systemowi, dążąc do poszerzenia wolności i obrony wartości humanitarnych. Działali z głębokim przekonaniem o słuszności własnych ideałów, ale w granicach istniejącej rzeczywistości. Wraz ze zmianą tej rzeczywistości, którą sami powodowaliśmy, zmieniała się optyka polityczna i bezpośrednie cele. Powodowało to ciągłą ewolucję struktur opozycyjnych. U nas mniejszą, gdyż taką ewolucję zaprogramowaliśmy i mieliśmy bardzo szczegółowo sprecyzowane cele; w środowisku socjal-demo-liberalnym bardziej żywiołową, ale chyba i bardziej istotną. Byłem przekonany – i tak rzeczywiście następowało, że wraz z upływem czasu, pod przemożną presją zmieniających się warunków, różnice pomiędzy nami będą się zmniejszać, a emocje słabnąć. Zwłaszcza, że sprzeczne czy odmienne cele i zamiary występowały najsilniej na szczytach grup opozycyjnych, a bardzo słabo na dole. Nic dziwnego. Najbliższe cele w całym okresie przed-sierpniowym

były z reguły identyczne, formy działania takie same, albo bardzo podobne. Prowadziło to często do samorządnej współpracy, a w bazie wspierającej granica pomiędzy poparciem jednego czy drugiego kierunku stawała się niewidoczna.

Wytworzyła się sytuacja, całkowicie przeciwna niż obecnie. Współcześnie dominują w polityce polskiej (choć to zjawisko typowe dla całego Zachodu) partie władzy – realne i *in spe*. Wszystkie są niemal takie same: Pragną rządzić, choć na ogół nie wyjaśniają, po co. Deklarują cele bardzo podobne, lecz w swej ogólności bliżej nie sprecyzowane; tylko niektóre zamierzenia doraźne bywają klarowne. Wyolbrzymianą natomiast różnicę, które zresztą dotyczą wyłącznie kwestii pozornych, albo drugo- czy trzecioplanowych. Skutecznie budują tylko wzajemną wrogość. W czasach opozycji wszystko było odwrotne. Obie główne opcje różniły się od siebie bardzo wyraźnie: życiorysowo, społecznie, politycznie, ideowo, miały odmienne wyobrażenie i zupełnie inne cele ostateczne. W praktyce współdziałały w osiąganiu tych samych kolejnych celów bieżących, wspólnie przekształcały rzeczywistość. Nie czyniły tego, aby realizować swoje własne interesy, lecz realizowały kolejne potrzeby społeczne, narodowe – w ostatecznym wyrazie potrzeby Polski. Łączył je nie tylko wspólny przeciwnik – jeszcze bardziej wspólne, choć tylko równoległe działanie. Wraz z upływem czasu, starały się zacierać sprzeczności i hamować konflikty wynikające z odmiennych wizerunków, charakterów i postaw. Nigdy nie stworzyły takiego stanu wrogości, jaki obserwujemy dzisiaj.

Nie chcę zacierać politycznych różnic, rywalizacji, ani stopnia możliwości. To wszystko występowało. Naszym walorem było myślenie perspektywiczne i staranne przygotowanie – co liczyło się na przyszłość. Formacja skupiona wokół KOR cieszyła się większym poparciem społecznym i możliwościami materialnymi, co dawało jej silną pozycję w danej chwili.

– Ostatecznie zwyciężył jednak program niepodległościowy, powstała Trzecia Rzeczpospolita. Jak do tego doszło, skoro KPN był znacznie słabszy, niż główny nurt opozycji?

– Wytworzona została sytuacja, w której inna ewentualność była niemożliwa. Co do siły, dysponował nią przede wszystkim sam PRL, za którym ponadto stała potęga sowiecka. To był jeden z głównych problemów, który

musieliśmy przeanalizować i rozwiązać grubo wcześniej. Skorzystaliśmy tutaj zwłaszcza z koncepcji Liddel Harta, brytyjskiego badacza konfliktów zbrojnych. Opracował on szeroko koncepcje działań pośrednich, pozwalających słabszemu toczyć przewlekły konflikt z silniejszym. Zobrazować to można na przykładzie gry w bilard. Grający uderza kijkiem w bilę, która tocząc się prosto, uderza w inną, po czym obie zmieniają kierunek i każda dociera do zamierzonego punktu. Niektórzy potrafią uderzyć tak, że druga bila uderza w trzecią, a nawet w czwartą – a te posłusznie trafiają na wyznaczone miejsce. Uderzenie w kierunku powoduje, że uruchomiona siła przesuwą bile w zupełnie inne strony, lecz zgodnie z zamierzonym planem. Realne konflikty są o wiele bardziej skomplikowane, niż bilardowe rozgrywki, m. in. dlatego, że równoległe działają dwie – a nawet więcej, przeciwne siły. Działanie pośrednie zmierza do tego, aby pod jego wpływem przeciwnik zaangażował swoją siłę – względnie jej część, w wyznaczonym przez nas kierunku – czyli bezwiednie realizował nasz cel. Nieraz, zwłaszcza w warunkach bardzo skomplikowanych, można osiągnąć całkowite odwrócenie siły przeciwnej: zamiast uderzyć w nas, atakuje siebie. Otóż, z braku dostatecznych sił, działania wyłącznie bezpośrednie stosowaliśmy rzadko. Głównie posługiwaliśmy się pośrednimi, aby siłę totalitarnego państwa, ale także innych formacji kierować w wybranym przez nas kierunku. Dotyczyło to przedsięwzięć zarówno wielkich, jak małych. Posłużę się przykładem, do którego już nawiązywałem. Jacek Kuroń przestrzegał przed wywoływaniem eksplozji społecznej, gdyż spowoduje to brutalny kontratak, który nie tylko rozbije opozycję, lecz doprowadzi do długotrwałego zniewolenia. Rozpatrywał konflikt jako działanie bezpośrednie, w którym wielokrotnie silniejszy miażdży przeciwnika. W naszych planach operacyjnych zakładaliśmy zarówno możliwość powstrzymania takiego uderzenia, jak też ewentualność dwukrotnej eksplozji społecznej, przy czym dopiero ta druga przyniesie ostateczny sukces. Oczywiście, kontruderzenie przeciwnika musiało powodować poważne straty i mogło doprowadzić do wielkich tragedii, lecz miało również stronę pozytywną. Władza, zarówno polska, jak nadrzędna sowiecka, przez taki brutalny zamach na swoich obywateli, w pełni i manifestacyjnie ujawniała swoje oblicze: nawet na ograniczone zmiany w Polsce nie ma zgody, a wszystkie obietnice i zobowiązania okazały się oszustwem. Pozwalało to zrozumieć poważnej części

Polaków, że przeważające dotychczas poglądy, iż wystarczą zmiany w samym PRL okażą się złudą, a w ślad za tym przyjdzie zrozumienie, że bez niepodległości państwowej konkretne cele, do których zmierzały różne grupy społeczne, nie mogą zostać osiągnięte. Przy ówczesnym stanie umysłów, w znacznym stopniu zniewolonych czy ogłupionych dziesiątkami lat propagandy, trudno było zakładać, że ludzie sami dojdą do tego, a jeśli nawet – to upowszechnią to odkrycie. W bezpośrednim działaniu przekonywaliśmy konkretnych ludzi o słuszności naszego programu; w pośrednim staraliśmy się przekonać całe społeczeństwo, że tylko niepodległość gwarantuje dokonanie oczekiwanych zmian i zapewni ich trwałość. Ponieważ nie mieliśmy narzędzi masowego oddziaływania – ani radia, ani telewizji...

– Wolna Europa traktowała wasz program jako nacjonalistyczny...

– Najchętniej nic o nim nie mówiła. Trudno się dziwić: była amerykańskim radiem rządowym. USA nie wspierały działań wywrotowych w obozie sowieckim, a my chcieliśmy obalić ustrój i, rozbić obóz. Polityka amerykańska wynikała z własnych interesów tego mocarstwa, a nie z polskich. To normalne. Otóż, ponieważ nie mieliśmy bezpośrednich środków masowego przykazu, stosowaliśmy pośrednie. Były to nie tylko nasze wypowiedzi, którym po utworzeniu KPN nadawaliśmy bardzo zaczepny, wręcz prowokacyjny charakter, podnoszenie najbardziej drażliwych kwestii, np. niepodległości Ukrainy (co musiało pobudzić uwagę Moskwy), lecz także rozwijanie struktur organizacyjnych, których skomplikowane nieraz formy, a nawet nazwy budziły niepokój SB. Tak proste działania, jak zgłoszenie kandydatów KPN w wiosennych wyborach 1980 r. do Sejmu PRL, publiczne noszenie znaczków KPN, czy jawne podważanie legalności władz wywoływały silną reakcję. W planach działania zakładaliśmy, że jeszcze przed eksplozją (przypominam, że KPN powstał, gdy oczekiwany wybuch społeczny już zbierał) dojdzie do aresztowań. Najwyraźniej krytyczny moment rozpoczęcia bezpośredniej ekspansji społecznej¹⁴ opóźnił tę akcję, lecz trzy tygodnie po podpisaniu Porozumień Gdańskich byłem

¹⁴ W grudniu 1979 r. Sowieci okupowali Afganistan i pośpiesznie budowali tam *place d'armes*, skąd miał ruszyć dalszy atak. Iran był ogarnięty rewolucją islamską, a Saddam Hussein – dyktator Iraku, już pozyskany przez Moskwę.

już w celi na Rakowieckiej. Cała fala rozpoczętych tym represji, aresztowań, wielki proces sądowy, ogromny, obejmujący dziesiątki tysięcy ludzi ruch obro-ny więzionych za przekonania – wszystko to pracowało dla nas. Komunistyczne władze bardzo głośno i wielokrotnie powiadomiły społeczeństwo, że istnieje program odzyskania niepodległości przez Polskę, a także partia polityczna KPN, która go realizuje. Ponieważ program ten potraktowano jako groźny, tym samym potwierdzono, że jest realny. Gdy więc doszło do grudniowego uderzenia władz, co rozwiało wszelkie iluzje, że totalitarna władza zgodzi się na demokratyzację: ludzie coraz bardziej masowo zaczęli rozumieć, że odzyskanie niepodległości jest absolutnym warunkiem zaprowadzenia demokracji i poprawy bytu. Dalej proces zaczął się toczyć sam, choć wpływaliśmy na jego przyspieszenie i konsekwentne utrzymywanie kierunku.

Działaniami pośrednimi planowaliśmy też rozegrać eksplozję społeczną. Liczyłem, że zostanę aresztowany jeszcze przed pierwszymi symptomami wybuchu, a zwolniony w następstwie porozumienia, które zakończy jego wstępną fazę. ZSRR zaczął już realizować swój wielki plan dotarcia do Środkowego Wschodu – i żadna inna awantura nie była mu potrzebna. Zdławienie siłą rozwijającego się strajku powszechnego obracało całą zachodnią opinię publiczną, a za nią rządy przeciwko Moskwie. Trwała przecież zimna wojna, a cenę Sowietci płaciliby nie w Polsce, lecz na południu. Niestety, aresztowano mnie zbyt późno – cały okres jawnej „Solidarności” przesiedziałem w więzieniu, a nasze projekty działań pośrednich pozostały na papierze. Przygotowaliśmy je jeszcze we wczesnych latach ’70 w dwu wariantach. Pierwszy przewidywał niedopuszczenie do starcia przez brak obrony. Jak już mówiłem główna siłą polskiej rewolucji bez rewolucji byli robotnicy wielkich zakładów przemysłowych, bronią strajki okupacyjne, twierdzami fabryki. Otóż w następstwie uderzenia, które mogło nastąpić tylko w nocy z soboty na niedzielę, pracownicy powinni pozostać w domu, a pracujący bez sprzeciwu opuścić zakład pracy. Wszystko, co niezbędne, wraz z kadrą „Solidarności”, powinno zejść do podziemia. W takiej sytuacji uderzenie ZOMO i wojska trafiło w próżnię, a utrzymywanie zmobilizowanych sił nie mogło być długotrwałe, gdyż groziło załamaniem finansowym. Drugi wariant przewidywał przyjęcie uderzenia na tak przygotowanych pozycjach, aby przeciwnik dla samej osłony swych działań musiał rozproszyc

swoje siły. Działania strajkowe, a w istocie rewolucyjne, miały iść dalej, niż w strajku powszechnym szykowanym wiosną 1981 r. Ponieważ większość wielkich zakładów nie mogła być przedmiotem ataku wojskowo-milicyjnego z braku sił, ich pracownicy – unikając starcia fizycznego, powinni blokować inne obiekty, w szczególności przerywając linie komunikacyjne i łączności. Celem nie było zdobycie i obrona tych obiektów, lecz odciągnięcie oddziałów skierowanych do zdławienia strajku w wybranych fabrykach. Każda aktywność odciągająca była dobra, np. budowa barykady w poprzek ulicy, czy obwieszenie pustego urzędu flagami i transparentami. Chodziło o wykorzystanie przewagi liczebnej; każda aktywność, także pozbawiona większego sensu, odciągała część sił przeciwnika od metodycznie zaplanowanych działań. Jeśli udało się doprowadzić do pata – było to już nasze zwycięstwo.

Przygotowań do takiego rozegrania konfliktu nie można było ukryć, ale i nie występowała taka potrzeba. Sam ich fakt wymuszał na przeciwniku ostrożność i opóźniał podjęcie decyzji. Jeśli jednak formujący się stan dwuwładzy udało się przedłużyć, po przekroczeniu punktu krytycznego, siłowe kontruderzenie traciło sens i przekształcało się w presję ekonomiczno-polityczną.

Oba warianty wymagały dłuższych i starannych przygotowań. Pomijam szczegóły, w gruncie rzeczy najważniejsze, ale to temat na zupełnie inną, wielogodzinną rozmowę. Zwrócę uwagę tylko na jeden: określenie momentu kontruderzenia przeciwnika. Działał on w zgodzie z pewną doktryną, zresztą opisaną dokładnie w książce marszałka Sokołowskiego „Strategia wojenna”, tylko przystosowaną do konfliktu wewnętrznego. Inaczej zresztą nie umieli. Nasze przypuszczenia w tej mierze zostały później w pełni potwierdzone. Otóż ostatnie czynności przed uderzeniem trzeba było siłą rzeczy przeprowadzać jawnie. Takim *rozpoznanie* *walką* było wysłanie do każdej gminy tzw. grup operacyjnych. Ich odwołanie oznaczało, że zaczęło się już odliczanie dni do wyznaczonej daty uderzenia. Ostateczne potwierdzenie decyzji mogło nastąpić w ostatniej chwili – jeśli wcześniej wykonano wszystkie zaplanowane działania przygotowawcze. Wprawdzie z więzienia, ale śledziłem to wówczas bardzo uważnie. Gdy grupy operacyjne wycofano, złożyłem przed sądem (trwał proces KPN) oświadczenie, że w takich warunkach stan nadzwyczajny (wojenny) zostanie ogłoszony w nocy na 13 względnie 20 stycznia. Sąd mi nie przerwał,

oświadczenia ogłoszono w sieci „Solidarności”, ale najwyraźniej nikt nie potraktował go poważnie. Z kolei ja, w najczarniejszych przewidywaniach, nie domyśliłem się, że do tak jawnie widocznej groźnej sytuacji Związek nie podjął żadnych przygotowań.

A jednak, wbrew obawom Kuronia, udane uderzenie reżymu 13 grudnia nie przyniosło półwiecza niewoli, tylko całkiem przekreśliło możliwość przetrwania satelickiej PRL.

POLITYKA TO JEST BARDZO RACJONALNE ZAJĘCIE

Z LESZKIEM MOCZULSKIM

ROZMAWIA MACIEJ SZUMOWSKI

Zamieszczony poniżej zapis rozmowy to niemal wierna kopia tekstu, który został opublikowany przez krakowską KPN w 1985 roku.

Rozmowę w lutym 1985 roku (a więc na miesiąc przed wyborem Gorbaczowa na genseka w Związku Sowieckim) przeprowadził znany wówczas dziennikarz, były redaktor naczelny wydawanej przez KW PZPR w Krakowie „Gazety Krakowskiej”. Gazeta ta w okresie Karnawału Solidarności była uważana za jeden z nielicznych rzetelnych dzienników ukazujących się oficjalnie (choć prezentujących – oczywiście – lewicowy punkt widzenia, tożsamy z tzw. nurtem reformatorskim w PZPR). Po 13 grudnia redakcję „Gazety” zwolniono i Szumowski znalazł się poza prasą oficjalną. Związał się wówczas z drugim obiegiem kultury i – m.in. – w ośrodku ks. Kazimierza Jancarza w Mistrzejowicach w Nowej Hucie przeprowadzał długie rozmowy, rodzaj notacji, z działaczami opozycji. Zapisy filmowe tych rozmów były następnie kolportowane niezależnymi kanałami i emitowane, np. w salkach katechetycznych.

Po drugiej stronie mikrofonu mamy Leszka Moczulskiego. Kilka miesięcy wcześniej wyszedł z więzienia, w którym spędził niemal 4 lata (z krótkimi przerwami – od 23 września 1980 r. do sierpnia 1984 r.). Niemal natychmiast po znalezieniu się na wolności Moczulski zwołał w swoim mieszkaniu konferencję prasową i zapowiedział kontynuowanie działalności Konfederacji Polski Niepodległej. W grudniu 1984 roku odbył się II Kongres tej partii. Doszło do rozłamu – odeszła grupa Romualda Szeremietiewa oraz Tadeusza Stańskiego (która wkrótce utwo-

rzyła ugrupowanie – Polską Partię Niepodległościową, PPN). W uchwale politycznej II Kongresu KPN czytamy: „Weszliśmy w decydujący okres polskiej rewolucji niepodległościowej. Społeczeństwo w obecnym stanie świadomości coraz pełniej rozumie nasz generalny cel, jakim jest Niepodległa i Demokratyczna Rzeczypospolita”.

Stwierdzenie, że społeczeństwo rozumie przedstawiony wyżej cel było nieco na wyrost. Spora część społeczeństwa (zdecydowana większość) nadal uważała ten cel za nierealny. Rzecznikiem tej grupy w przytoczonej tu rozmowie był Maciej Szumowski.

Pamiętam, że gdy w połowie lat 80. widziałem po raz pierwszy to nagranie, większość widzów, którzy oglądali film razem ze mną, uważała Szumowskiego za realistę a Moczulskiego – za (niebezpiecznego) marzyciela. Nie będę także przekonywał, że sam miałem wtedy pewność realizacji tego celu. Słowa Mirosława Hermaszewskiego, który po powrocie z lotu w kosmos miał powiedzieć, że łatwiej jest człowiekowi oderwać się do Ziemi niż Polsce od ZSRR, wyrażały powszechne w latach 80. przekonanie. Przekonanie to wkrótce uległo wzmocnieniu – w marcu 1985 r. Moczulski i inni przywódcy KPN zostali aresztowani a na początku 1986 r. w drugim procesie KPN skazani na kary więzienia. Wydawało się, że Opatrzność w krótkim czasie napisała pointę do tej rozmowy przyznając rację argumentom Szumowskiego. Wiemy co było dalej...

To zabawne, jak dziś, po 32 latach od tej rozmowy, role się odwróciły. Dzisiaj to Moczulski zdaje się nam realistą a Szumowskiego postrzegamy jako człowieka małej wiary, oderwanego od rzeczywistości.

Dziś, gdy większość osób zaangażowanych w latach 80. w działalność niezależną, twierdzi, że walczyła o niepodległość (i być może nawet sama w to dzisiaj wierzy) – a przecież była to znikoma część społeczeństwa, która w ogóle angażowała się w działania antysystemowe – warto przypomnieć, jaki był rzeczywisty stan ducha aktywnej części społeczeństwa na 4 lata przed pamiętnym rokiem 1989. Dlatego zachęcam do uważnej lektury nie tylko słów Moczulskiego, ale także (niekiedy bardzo obszernych) pytań i wywodów Szumowskiego. Pamiętajmy o kontekście historycznym tej rozmowy.

A poza wszystkim innym jest to przykład fascynującej intelektualnej szermierki na argumenty na bardzo wysokim poziomie merytorycznym i erystycznym (z obu stron). A także przykład wielkiej kultury politycznej rozmówców, którzy mimo dzielących ich głębokich różnic, potrafili przeprowadzić długą i ciekawą dyskusję, okazując sobie wzajemnie szacunek.

Można zapytać, gdzie się to zgubiliśmy?

Mirosław Lewandowski

MACIEJ SZUMOWSKI: Przyznam, że jestem bardzo poruszony, a nawet wzruszony, że mam okazję po raz pierwszy w życiu z Panem rozmawiać. Wszak jest Pan człowiekiem o charakterze niezłomnym, człowiekiem, który bardzo wiele wycierpiał w obronie nie tylko swojej przecież sprawy, swoich idei. To nie jest stwierdzenie kurtuazyjne. Ono wyznacza podstawową płaszczyznę naszej rozmowy. Mam głęboki szacunek dla Pana, dla Pańskich osobistych przeżyć, dla Pańskiej woli walki. Byłbym fałszywy, gdybym w dalszym ciągu rozmowy starał się uprawiać jakąś fałszywą kurtuazję. To moje wzruszenie powinno być tak wykorzystane, byśmy mogli szczerze porozmawiać, nie kryjąc nawet ewentualnych różnic poglądów. Sądzę, że na tym polega kultura polityczna. Chciałbym z tej rozmowy coś wynieść, chciałbym zadać pytania, które mnie nieraz nurtowały w sprawie Pańskich poglądów czy poglądów KPN. Sądzę, że w tej atmosferze zaufania, przyjaźni, pewnego nawet mojego wzruszenia, szczerze i normalnie będą brzmiały pytania, które w innej sytuacji może wydałyby się drastyczne.

Czy nastąpiła jakaś ewolucja poglądów Pańskich, założmy od stanu wojennego, pobytu w więzieniu, amnestii? [...].

LESZEK MOCZULSKI: Nie, zupełnie nie. Może jakieś drobne zmiany w poglądach na jakichś ludzi... Przyznam, że w pewnym, niewielkim wprawdzie stopniu, zmieniłem pogląd na Dobraczyńskiego, bo nigdy go specjalnie nie ceniłem (jakkolwiek to niezły pisarz). Natomiast w sprawach zasadniczych to stan wojenny był tylko potwierdzeniem

tego co my mówiliśmy cały czas i nic dla nas nie zmienił. To był tylko dowód naszej racji.

Rozumiem, że to nawet łatwo tak przyjąć w kategoriach ogólnej ideologii. Ale czy w sferze pewnej strategii, którą Pan proponuje, strategii ruchu oporu, czy nawet walki, czy w tej politycznej płaszczyźnie nic się nie zmieniło?

Ja przewidywałem wcześniej, jeszcze do lata 1980 roku, że w momencie kiedy się w Polsce rozpocznie rewolucja – bo te zjawiska trwające od roku 1980 to dla mnie rewolucja – przewidywałem, że ta rewolucja, tak jak każda, będzie miała kilka kolejnych wierzchołków, kilka kolejnych apogeów i że po każdym takim silnym uderzeniu społeczeństwa będzie następowała jakaś reakcja władzy. Pewnym zaskoczeniem dla mnie było to, że siła tego społecznego wybuchu latem 1980 roku i jego bezpośrednie następstwa były większe niż przypuszczałem. W pewnym momencie latem 1980 roku zacząłem się zastanawiać, że może ta cała historia ograniczy się tylko do jednej eksplozji. Ale w zasadzie moje wcześniejsze przekonania polegały na tym, że sądziłem, iż nastąpi wybuch społeczny – reakcja władz – uspokojenie, przyduszenie tego – następny wybuch. I tak dalej. Jestem zresztą przekonany, że w jakimś względnie nieodległym czasie, nie później chyba niż w ciągu kilkunastu miesięcy dojdzie w kraju do kolejnej eksplozji społecznej. I wcale nie twierdzę, że będzie ona ostatnią.

Czyli przewiduje Pan niejako permanentne wybuchy?

Każda rewolucja idzie przez swoje etapy. Rewolucja – cóż to jest? Pewien układ stracił równowagę i ten układ się wali. Inaczej w przypadku ewolucji. Gdy dochodzi do ewolucji, to układ tracąc równowagę przekształca się i jakąś równowagę jednak cały czas zachowuje. Natomiast jeśli równowaga w układzie jest utrzymywana dość sztucznie, to po pewnym czasie brak ewolucji powoduje katastrofę, bo rewolucja to katastrofa, to jest stan chorobowy. Z tego stanu chorobowego wyrasta zawsze nowa równowaga. Pytanie tylko – jak to przebiega? W historii,

także w tej, w której my uczestniczymy i w jakiejś mierze ją przecież tworzymy, przebiega tak, że jest z reguły więcej niż jeden wstrząs, zwłaszcza w takiej sytuacji jak w Polsce, kiedy to wzbierało od tak długiego czasu. Jest wiele czynników, które trzeba wziąć pod uwagę: charakter społeczeństwa, jego strukturę demograficzną, zmiany świadomości i masę, masę innych. Powodują one, że jest to wielka rewolucja, czy jak ktoś inny by wołał – ciąg, zespół po sobie kolejno następujących rewolucji, który musi mieć swoje punkty kulminacyjne.

W Wielkiej Rewolucji Francuskiej, tej najbardziej znanej, mieliśmy po kolei: wybuch lipca, następnie drugi wielki wybuch sierpnia kiedy obalono monarchię. Potem właściwie trzeci wybuch, który postępował w okresie pełnego już terroru robespierrowskiego. Ale w istocie mieliśmy następnie jeszcze jeden wybuch, inaczej wyrażony, który rewolucję przekształcił w dyktaturę wojskową. Cały ten czas zamykał się w kilku takich eksplozjach.

Ponieważ nasza rewolucja w której uczestniczymy należy do gatunku tych wielkich z racji energii, która w niej działa, tej energii społecznej która występuje w ogromnym rozmiarze, to zakładam, że będzie pewna ilość kolejnych eksplozji, przy czym po pierwszej władza opanuje sytuację. Tak wielki był rozmiar ruchu sierpniowego, tak potężna i wspaniała była i jest, tak wspaniałą okazała się „Solidarność”, że w pewnej chwili zacząłem, siedząc w więzieniu, myśleć sobie, że może to pójdzie trochę inaczej, że w jednym ciągu ta cała sytuacja zostanie opanowana. Niestety tak się nie stało. Odbędzie się więc to w kilku wybuchach. To wybuchy stworzą nową równowagę. Jestem przekonany, że wiem jaka to będzie równowaga. Będzie to równowaga Polski Niepodległej.

Oczywiście jest to dość teoretyczny wywód i bardzo potrzebny. Natomiast my rozmawiamy między innymi dla potrzeb ludzi, którzy niekoniecznie interesują się aż tak głęboko historią. Aby przybliżyć im Pańskie poglądy chciałbym zadać Panu kilka być może prostych pytań, ale według mnie ważnych dla każdego z nas. Jaki jest Pana stosunek do strategii Wałęsy?

Bardzo trudno jest odpowiedzieć na to pytanie, bo musielibyśmy zdefiniować strategię Wałęsy. Każdy z nas prowadząc jakieś działania opiera je częściowo na świadomym wyborze, ale bardzo często występują elementy, które nie zawsze wynikają ze świadomego wyboru. Ja nie chciałbym określać jak to jest u Wałęsy. Rozmawiałem z nim ostatnio dwukrotnie czy trzykrotnie. Jego strategia jest ostrożna, pełna wątpliwości. Sądzę, że on sobie zdaje sprawę z trudności sytuacji i ciężaru odpowiedzialności, która na nim spoczywa. Przypuszczam, że Wałęsa sądzi, że błędny krok może być bardzo kosztowny. Myślę, że nie ma on wyraźnej, skonkretyzowanej wizji przyszłości i to mu przeszkadza. Jest i jeszcze długo będzie atakowany ze wszystkich stron.

Ale sądzę, że Wałęsa chce osiągnąć cel, który widzi i który w pełni popieram. Celem tym jest odbudowa „Solidarności” jako jawnej, w pełni uznanej legalnej struktury. Moim zdaniem „Solidarność” – zakazana czy nie – jest strukturą legalną, ponieważ tak stanowi prawo. Chodzi o przepisy wynikające z Konwencji Wiedeńskiej (która stwierdza, że konwencje międzynarodowe mają pierwszeństwo przed aktami krajowymi) oraz z konwencji Międzynarodowej Organizacji Pracy (NSZZ „Solidarność” jest jej członkiem), która mówi, że związki zawodowe nie wymagają rejestracji. Biorąc więc pod uwagę PRL-owskie ustawodawstwo należy stwierdzić, że zgoda „Solidarności” na rejestrację była gestem politycznym, który wychodził poza obowiązki prawne. „Solidarność” jest obecnie dla mnie strukturą legalną. Legalność ta nie jest obecnie uznawana przez władze i dlatego nie jest ona jeszcze w stanie działać jawnie. Sądzę, że Wałęsa dąży do tego żeby z powrotem została uznana legalność „Solidarności”. Jest to obecnie bardzo ważny cel.

Ale czy cel ten jest obecnie realny?

Na pewno. Z mojego punktu widzenia ten cel, to jest jedna trzecia drogi którą mamy do przebycia. Ten cel, który dla Wałęsy być może jest celem zasadniczym, dla mnie jest także celem, ale jest to cel pośredni, który prowadzi nas do celów naprawdę zasadniczych.

Zadam bardzo proste pytanie; czy KPN istnieje?

Tak. Konfederacja Polski Niepodległej istnieje. Jest wielotysięczną strukturą obejmującą cały kraj. W grudniu (1984 rok) mieliśmy II Kongres KPN, zostały na nowo wybrane władze naczelne, zostały dokonane rozmaite zmiany statutowe i inne. Trwa przebudowa organizacyjna struktur. Jesteśmy gdzieś na półmetku pracy. W najbliższych dniach będą ogłoszone przynajmniej najważniejsze dokumenty Kongresu, a przede wszystkim nasza uchwała polityczna, programowa, dość obszerna bo zajmuje 10-15 stron gęstego maszynopisu¹.

Czy w związku z tym dałoby się wydzielić jakieś różnice w ideologii, taktyce, strategii walki między KPN a linią, którą z grubsza możemy nazwać „linią Wałęsy”?

Wałęsa jest przywódcą „Solidarności”. „Solidarność” jest przede wszystkim związkiem zawodowym, choć możemy powiedzieć, że ten związek przekształcił się w ruch społeczny. Sądzę, że byłoby niešťczęściem gdyby był on partią polityczną. Zresztą „Solidarność” jako związek, czyli najbardziej masowa forma organizacji społecznej, obejmująca teoretycznie całość pracujących musi być wewnętrznie i politycznie różnicowana. Z góry możemy przyjąć, że w każdym związku zawodowym większość członków nie musi być w ogóle ani politycznie zaangażowana, ani nawet mieć wybranych jakichś wyraźnych opcji politycznych (w znaczeniu, że opowiadają się za tą czy za inną linią polityczną). Ponieważ „Solidarność” jest związkiem zawodowym a my partią polityczną o bardzo zaostrowym charakterze politycznym, to jesteśmy zupełnie inną strukturą, zwartą, zdyscyplinowaną i kadrową. Zadaniem Konfederacji jest skupiać tych ludzi, którzy w sensie politycznym mogą być przywódcami innych, którzy w okresie burzy i naporu będą w stanie zorganizować i poprowadzić innych. To są zupełnie inne materie społeczne. Wiadomo o co walczą związki zawodowe. Bronią one interesu pracujących i to jest ich podstawowe zadanie. Chodzi o każdy in-

¹ Zob. http://www.earchiwumkpn.pl/dokumenty_kpn/uchwala_polityczna_II_kongresu.pdf

teres pracowniczy, przede wszystkim moralny (sądzę bowiem, że jest to ważne bardziej niż obrona interesów ekonomicznych). W sytuacji, gdy ogromna większość dorosłych Polaków pracuje to można powiedzieć, że „Solidarność” i „Solidarność” Wiejska bronią interesów większości społeczeństwa. Konfederacja natomiast jest radykalną partią polityczną która dąży do Polski niepodległej, to znaczy do stworzenia na tych ziemiach nad Wisłą, Bugiem, Odrą – Niepodległej Trzeciej Rzeczypospolitej.

**Czy uważa Pan, że jest to realny cel w okresie jednego pokolenia?
W okresie naszego życia?**

Jest to cel realny w granicach tego dziesięciolecia.

Ale czy uwzględnia Pan w tym rozumowaniu to, co często jest określane jako straszak psychologiczny, jako szantaż polityczny a mianowicie układ geopolityczny?

Każdy kraj znajduje się zawsze w jakimś układzie geopolitycznym. Układ geopolityczny jest taką samą wartością zmienną jak wszystkie inne. Jak ja bym Panu powiedział dzisiaj, że Polska znajduje się w tragicznym układzie geopolitycznym ponieważ znajduje się między ekspansją z północy i z południa; z południa grożą nam Turcy a z północy Szwedzi, to dzisiaj Pan by mnie wyśmiał. Otóż jeżeli u nas tak się mówi – a czyni to wielu ludzi którzy tak się lubią posługiwać geopolityką – że Polska jest w tragicznym położeniu ponieważ z jednej strony Rosjanie a z drugiej Niemcy, to jest to proszę Pana taka sama prawda historyczna jak z Turcją i Szwecją. Tak kiedyś było! Na pewno tak było w okresie II wojny światowej. Przed wybuchem II wojny Polska znalazła się w niesłychanie niekorzystnym układzie geopolitycznym. Parcie dwustronne zniszczyło II Rzeczpospolitą. Ale jest to historia. Natomiast stereotyp rzekomo tragicznego naszego układu geopolitycznego wiąże ludziom ręce. Ja nie chcę wdawać się w długi i teoretyczny wywód, ale nie ma już tego układu geopolitycznego, który był w okresie II wojny światowej.

No wie Pan, ale Związek Radziecki istnieje cały czas jako ogromna potęga...

Tak. Związek Radziecki istnieje cały czas, ale spójrzmy na to, jak na pewne siły działające w przestrzeni. Czym się zajmuje geopolityka? Pokazuje przestrzenne rozmieszczenie sił. W tym przestrzennym rozmieszczeniu sił jest wskazany ruch, w którym te siły działają. I jeżeli weźmiemy ten przykład z XVII wieku to widzimy, że w tym układzie przestrzennym jest parcie na Polskę z północy i z południa. Ale jeżeli weźmiemy okres od połowy XV wieku do połowy wieku XVI to zobaczymy, że nie ma parcia zewnętrznego na Polskę, natomiast jest parcie Polski w różnych kierunkach, na przykład w kierunku rozchodzenia się domu Jagiellonów na Czechy i Węgry, parcie Polski na wschód czy południowy wschód. Jest to zupełnie inny układ geopolityczny. W obecnym układzie geopolitycznym, choć może historycy zobaczą to dopiero za 50 lat, mamy od dawna ruch takiej wartości geopolitycznej: Niemcy – ruch na zachód a Rosja – na wschód. Mówiąc inaczej – są to ruchy odśrodkowe, od Polski. Jesteśmy właśnie w takiej sytuacji. Parcie z zachodu, przynajmniej w kontekście parcia niemieckiego, w kategoriach geopolitycznych nie istnieje. Natomiast parcie wschodnie zostało zahamowane.

Być może, że strywalizuję ten cały Pański efektowny wywód, ale nie sądzi Pan chyba, że 13 grudnia 1981 roku w Polsce, to był wynik złej woli tylko polskiej ekipy? Czy to nie był dowód na istnienie pewnego układu geopolitycznego?

Jeżeli już mówimy o geopolityce to sprowadźmy to z teorii do praktyki. Jestem głęboko przekonany, iż interwencja radziecka w Polsce w bieżącym dziesięcioleciu (a także w dziesięcioleciu które minęło) jest (i była) mało prawdopodobna. Nigdy nic w polityce wykluczyć nie można, dlatego nie powiem, że jest całkowicie nieprawdopodobna. 13 Grudnia wszyscy doskonale pamiętamy. Ja się zgadzam, że stan wojenny był co najmniej zaakceptowany w Moskwie, a więc możemy w tym sensie powiedzieć, że to była też decyzja radziecka. Tylko, że pa-

miętamy 13 Grudnia a nie pamiętamy o drugiej decyzji, którą w tym samym czasie podjęto w Moskwie. Została ona ogłoszona i pisała o tym nawet „Trybuna Ludu”. Postanowiono, aby biegnące przez Polskę radzieckie trasy tranzytowe wschód – zachód usunąć z Polski i przenieść na Bałtyk. Przed sierpniem 1981 roku w ciągu lat infrastruktura obozu socjalistycznego (linie przesyłowe wysokiego napięcia, rurociągi i gazo-ciągi itp.) konsekwentnie przenoszone były do Czechosłowacji. Czechosłowacja jest korytarzem, który łączy Związek Radziecki z Europą Zachodnią ale także z NRD. Jedyna część infrastruktury obozowej, która pozostała w Polsce i była łącznikiem pomiędzy Wschodem a Zachodem, to były linie kolejowe. Otóż w tym samym czasie, kiedy podjęto decyzję o stanie wojennym w Polsce, podjęto decyzję, żeby ten cały transport kolejowy przerzucić na Bałtyk. W tej chwili, w 1985 roku, kończy się pierwsza faza budowy wielkiej linii promowej między Kłajpedą a jakimś nowo wybudowanym portem na Rugii. Będą tam pływały ciężkie promy, z których każdy bierze 30 pociągów w tempie prom co 8 godzin. W pierwszym etapie budowy, który właśnie się kończy, promy w ciągu doby będą przerzucały 120 pociągów. 120 pociągów żeby przejechało przez Polskę potrzebnych jest 5 kolejowych linii tranzytowych. Czy Pan sądzi, że Rosjanie są szaleńcami, którzy wyrzucają pieniądze w błoto a raczej w Bałtyk?

Pan sądzi, że Rosjanie przygotowują się do tego, aby Polskę oddać jako Polskę niepodległą? Oddać ją Zachodowi czy oddać ją samej sobie?

Rosjanie nic nie lubią oddawać ale co muszą, to oddają. Oni nie mają ochoty Polski oddać i zrobią wszystko żeby nie oddawać. Twierdzą natomiast, że Rosjanie przygotowują się do tego, że jeśli Polskę stracą (bo tego nie mogą wykluczyć), to żeby skutki utraty zminimalizować. Nie od Rosjan zależy czy oni Polskę oddadzą. To zależy od Polaków. Natomiast Rosjanie przygotowują się w tej chwili do sytuacji, w której być może Polskę utracą.

Pan tak to optymistycznie powiedział, że z tego wynika, iż Rosjanie już się nas boją i przerzucają swoje linie strategiczne poza Polskę.

Rozumiem, że Pan chce powiedzieć, że utrata Polski dla Rosjan byłaby wielką szkodą...

Ja nie sądzę żeby była aż tak wielką szkodą w skali tak ogromnego kraju. Natomiast nie sądzę, żeby oni byli skłonni cokolwiek oddawać a szczególnie nam niepodległość.

Proszę Pana wyobraźmy sobie taką teoretyczną historię. To jest całkowita abstrakcja. Przyjmijmy, że możemy narzucić całemu światu wolę. Gdyby Pan zaproponował Rosjanom żeby oddali wszystkie europejskie kraje obozu socjalistycznego a w zamian za to dostaną jako satelitę Chin. Jak Pan myśli zgodziliby się? Dobry to byłby dla nich interes?

W teoretycznej zupełnie grze jaką Pan tutaj proponował można przyjąć, że na pewno byłby to dla nich jakiś handel.

Otóż o to właśnie chodzi. Niech Pan zwróci uwagę, że przecież Rosjanie mieli Chiny i je stracili. A jeżeli stracili taką wartość jak Chiny i pogodzili się z tym – bo się pogodzili – to może mogą też stracić wielokrotnie mniejszą wartość – Polskę. Ja wprawdzie nie twierdzę, że stosunek wartości Polski do Chin to jest 37 milionów do miliarda, bo ja sądzę, że wartość Polski dla Rosji jest znacznie wyższa. Ale co do jednego musimy się zgodzić – Chiny są znacznie ważniejsze dla Rosji niż Polska.

Tylko jakim sposobem ma się to według Pana odbyć? Bo na przykład ideolog uważany przez nasze władze za największego ideologa antykomunizmu, czyli Zbigniew Brzeziński, wygłosił tuż po amnestii bardzo charakterystyczne przemówienie, czy też wywiad dziennikarski, w którym powiedział, że Polska powinna zabiegać wszelkimi sposobami o przyjaźń ze Związkiem Radzieckim na takich zasadach, że Związek Radziecki będzie szanował specyfikę polską. W drugiej swojej wypowiedzi na temat Jałty Brzeziński twierdzi, że nie jest możliwe prawne zanegowanie Jałty, natomiast twierdzi, że

cała nadzieja w jakiejś ewolucji Europy niezależnej. W jakiejś delikatnej długofalowej grze Europy Zachodniej, która zechciałaby po prostu wesprzeć Europę Wschodnią. Brzeziński wręcz twierdzi, że Stany Zjednoczone powinny się wycofać z pierwszoplanowej roli obrońcy Europy Wschodniej, bo jest to sytuacja niewygodna, niezręczna i drażniąca Związek Radziecki. Natomiast tę funkcję, którą pełnią obecnie Stany Zjednoczone, powinny przejąć kraje Europy Zachodniej. Czyli – widzi daleki i odległy niuansowy plan. Z tym, że jest to jego teoretyczny pomysł, bo nie wiadomo jak by się to miało politycznie realizować. W każdym razie jednoznacznie stwierdził, że w interesie Polski jest docenianie siły Związku Radzieckiego. Wręcz użył on słów – „zabieganie o tę przyjaźń na warunkach szacunku dla specyfiki polskiej”. I to mówi ten pierwszy antykomunista! Natomiast Pan twierdzi, że przewaga Związku Radzieckiego – tego ogromnego przecież mocarstwa w stosunku do nas – jest abstrakcyjna, znikoma, no i taka, która daje szansę sama z siebie, że uzyskamy niepodległość i niezależność. Jakim sposobem ma to się stać?

Ja wcale nie twierdzę, że Związek Radziecki jest słaby. Jest potężnym mocarstwem, tylko ma swoje uwarunkowania – przede wszystkim swoje uwarunkowania wewnętrzne, które powodują, że gros radzieckiej energii w najbliższych co najmniej 20 latach zostanie skierowane na sprawy wewnętrzne. Po drugie – Związek Radziecki ma własną logikę rozwojową i ta logika, która go kiedyś pchała na zachód, teraz pcha go na wschód. Ja nie mówię, że Związek Radziecki jest słaby, że jest mały, że jest zniszczony, że jest to coś z czym się nie trzeba liczyć – bo jest to potężne państwo. Tylko, że to potężne państwo ma swoją przyszłość w Azji i ma ono tak wielkie problemy wewnętrzne, że na nich będzie musiało się skupić w najbliższych co najmniej 20 latach. To powoduje, że parcie rosyjskie, które w historii szło w różnych kierunkach, obecnie zwraca się w innym kierunku, nie na nas.

To znaczy, że Pan liczy na wewnętrzną ewolucję Związku Radzieckiego?

Ewolucja następuje wszędzie. Ja nie liczę na ewolucję. Ja po prostu wiem. A to jest coś innego – liczyć a wiedzieć. Ja wiem, że Związek Radziecki musi skupić się na problemach wewnętrznych i zabraknie mu sił i energii, żeby przeć w kierunku zachodnim. Będzie parł w innym kierunku.

Ja uważam, że Związek Radziecki potrzebuje coraz mniej energii, żeby nas trzymać w posłuszeństwie. Najlepszym tego dowodem było to, że stan wojenny został dokonany polskimi rękami. Coraz mniej wysiłku trzeba żeby nas opanowywać.

Przez całe lata 70., kiedy inni mówili, że nastąpi interwencja radziecka, mówiłem – po co interwencja radziecka? Po co czołgi? Wystarczy jeden telefon. Tylko, że ten telefon został już wykorzystany. To już historia. Może jeszcze będzie drugi, może trzeci, ale to się kończy. Natomiast wróćmy jeszcze do dwóch rzeczy. Związek Radziecki a właściwie Rosja, bo jest to państwo w dalszym ciągu głównie rosyjskie (może się to zmienić w przyszłości) jest potężnym mocarstwem. Kluczowym zagadnieniem dla Polaków jest ułożenie stosunków ze Związkiem Radzieckim. Jeżeli byśmy mogli sprowadzić do jednego zdania całą koncepcję Konfederacji Polski Niepodległej, czy moją, to jest to koncepcja ułożenia stosunków z ZSRR tak, jak kiedyś ułożył je Józef Piłsudski. To znaczy nie z pozycji radzieckiego funkcjonariusza, nie z pozycji bicia czołem o ziemię, nie z pozycji czołgania się w błocie – tylko z takiej pozycji, jak układał to w historii Piłsudski. Z pozycji, która będzie naszą polską pozycją. My te stosunki ułożymy prędzej czy później.

Taka szansa była przecież w okresie „Solidarności”. Na tą szansę strasznie liczone. Gdyby Związek Radziecki był skłonny w ogóle do takiego rozumowania, jak Pan, to by to mogło nastąpić w okresie „Solidarności” w sposób bardzo prosty...

Jeszcze tej szansy nie było. Polityka to jest relacja zwalczających się sił a polska w okresie „Solidarności” nie potrafiła wytworzyć tego rodzaju siły, także materialnej, która by pozwoliła na rozmowy ze Związku

Radzieckiego. A poza tym – nie były załatwione polskie sprawy wewnętrzne.

Powiedział Pan o Brzezińskim. Wracam do Brzezińskiego, bo to jest interesujące. O Ludwiku Mierosławskim mówiono, że to jest generał przegranych kampanii. Profesor Brzeziński jest bardzo inteligentnym człowiekiem, tak jak Mierosławski był bardzo dzielnym generałem. Ale Brzeziński jest człowiekiem przegranych koncepcji. Jego wszystkie koncepcje po kolei się nie sprawdziły. W czasie, kiedy Brzeziński był szefem doradców politycznych prezydenta Cartera, był faktycznym kierownikiem Krajowej Rady Bezpieczeństwa USA. Pod jego skrzydłami wychodziło pismo (wychodzi zresztą do dziś) wydawane przez Departament Stanu (on się nim zawsze interesował, bo to było w zakresie jego tematyki badawczej), a mianowicie „Problemy Komunizmu”. To bardzo interesujący dwumiesięcznik. Chyba w drugim numerze tego pisma (z 1980 roku) ukazał się obszerny, udokumentowany artykuł o sytuacji w Polsce, który odzwierciedlał poglądy, które akceptował Brzeziński. W tym obszernym studium pisany przez jakiegoś utytułowanego profesora, w którym omówiona była kwestia opozycji w Polsce, doszli nawet do koncepcji Moczulskiego i KPN. I tam napisano, że wprowadzie są w Polsce tacy ludzie, którzy stworzyli KPN i uważają, że – po pierwsze – Polska jest u progu eksplozji społecznej, po drugie – ta eksplozja przybierze postać masowych strajków czy też strajku powszechnego i – po trzecie – efektem tych strajków będzie utworzenie szerokich struktur związkowych. Komentarz był następujący – „Jest to fantazja, jest to oderwana od życia spekulacja”. Brzeziński tak właśnie uważał. Uważał, że masowe strajki w Polsce to oderwana od życia spekulacja. Niech sobie tak uważa a rzeczywistość zadaje mu kłam.

Czy Pan rzeczywiście przewidział powstanie „Solidarności”?

Organizacji o nazwie „Solidarność” na pewno nie. Natomiast wystarczy przeczytać „Rewolucję bez rewolucji” żeby zauważyć zapowiedź eksplozji, odczytać tam wskazanie drogi (strajki, strajki i jeszcze raz strajki) i znaleźć tam wskazanie, jaki powinien być efekt tych strajków – sze-

roka organizacja społeczeństwa, w tym związkowa. Chodziło o to, żeby strajkujący, którzy muszą tworzyć struktury zorganizowane, zbudowali struktury obejmujące cały kraj. I to trzeba teraz przede wszystkim ocalić.

**Być może Pan to przewidział, ale to była zasługa „Solidarności” a nie linii KPN. A działalność „Solidarności” była zupełnie inna niż KPN. Pana dywagacja ma znamiona bardzo teoretyczne a my ob-
racamy się jednak w realiach politycznych. Mimo wszystko nawet „Solidarność” jest osadzona w realiach...**

Powiem może inaczej. Nie było zasługą „Solidarności” to, co wydarzyło się w roku 1980, było to zasługą społeczeństwa polskiego. To społeczeństwo polskie wytworzyło „Solidarność”.

Tak, ale to główne uderzenie poszło nie po linii programu politycznego KPN, ale bardziej umiarkowanego.

Trzymajmy się konkretnie tematu – mówimy o Brzezińskim. Powołuje się Pan na niego w sprawach radzieckich. Brzeziński ma własną koncepcję. Przywołałem „Solidarność” i możemy wejść w dyskusję na temat „Solidarności”, bo to temat bardzo interesujący. Natomiast przywołałem tę sprawę tylko jako dowód, że Brzeziński, czy też jego ludzie, na parę miesięcy przed wybuchem społecznym w Polsce traktowali jego możliwość jako fantasmagorię.

Był Pan wyjątkiem dlatego, że Polacy sami w to nie wierzyli.

Oczywiście, że Polacy sami w to nie wierzyli! Ukazał się numer „Kultury” paryskiej (a ona doskonale zna się na sytuacji w Polsce) z datą lipiec-sierpień 1980 roku, gdzie w trzech kolejnych artykułach było wyśmiewanie się z niejakiego Leszka Moczulskiego i KPN, ponieważ ci wariaci uważają, że Polska jest w przededniu wybuchu społecznego i głoszą, że trzeba robić strajki. Było to według nich oczywistą bzdurą. Tak to napisali. Strajki wybuchły nim obeschła farba drukarska.

Ja nie chcę mówić, że KPN to przewidziała czy coś podobnego. My się tak samo mylimy jak inni. Rzecz nie na tym polega. Chodzi mi o to,

żebyśmy mieli odwagę myśleć. Miejmy odwagę uruchomić wyobraźnię. Jeżeli ktoś tak uważa, niech ma odwagę powiedzieć: „Związek Radziecki się nie cofnie, nie mamy żadnej szansy ani w tym ani w następnym pokoleniu”. Tak, jak my mamy odwagę wyobraźni i wyobrażamy sobie sytuację, w której jest możliwe, że się cofnie. A jeżeli sobie tę sytuację wyobrażamy, to róbmy tak, jak robi rzeźbiarz – stwórzmy z tej bezkształtnej masy kształt, który sobie wyobrażamy. My w Konfederacji próbujemy z tej bryły wykuć to, co sobie wyobraziliśmy. Może to się nam nie uda (choć ja wierzę, że nam się uda), ale próbujemy.

Takie wykuwanie z wyobraźni jest bardziej charakterystyczne dla twórczości artystycznej niż politycznej. A przecież wy jesteście partią polityczną.

Sądzę, że działalność polityczna może być o wiele bardziej twórcza niż tak zwana działalność artystyczna.

Oby. Natomiast mam takie pytanie. W tej naszej rozmowie, z Pana strony zresztą efektownej, widzę pewną sprzeczność. Z jednej strony gwałtowny polityczny styl antyradziecki a z drugiej strony w pewnym momencie tej rozmowy padła taka wypowiedź – „My musimy się ugodzić z Rosją czy ze Związkiem Radzieckim (obojętnie jak to się będzie nazywało) musimy znaleźć wspólne porozumienie”. Tutaj widzę tę wąską ścieżkę, która łączy program KPN z programem obozu narodowego i Romana Dmowskiego. Czy tak jest czy też Pan temu zaprzeczy?

Zaprzeczę temu ponieważ ja zaprzeczam schematom geopolitycznym, które tworzył Dmowski. Sądzę, że one w znacznej mierze polegały na złych informacjach i podstawowym nieporozumieniu. Zaprzeczam przede wszystkim podstawowej koncepcji politycznej Dmowskiego, że należy oprzeć Polskę o Rosję. Taka koncepcja to jest śmierć dla Polski. Ja wreszcie zaprzeczam metodzie Dmowskiego, ponieważ on dążąc do swoich celów chciał stosować metody umiarkowane. My jesteśmy grupą radykalną. Ja jestem człowiekiem o radykalnych przekonaniach. Sądzę, że – tak jak na

początku obecnego wieku – w tej części życia politycznego Polski, która chciała zmian, było skrzydło radykalne i skrzydło umiarkowane. Skrzydło radykalne to był ruch piłsudczykowski a skrzydło umiarkowane to był Dmowski. W tej chwili, w szczególności w okresie ostatniego dziesięciolecia, w życiu politycznym naszego kraju wśród tych ugrupowań politycznych, które chcą zmian, też mamy skrzydło radykalne. Tym skrzydłem jest KPN i Moczulski. Oraz jest skrzydło, które też chce zasadniczych zmian i jest umiarkowane – to jest Jacek Kuroń. Tak to widzę.

Natomiast mówi Pan, że chcę ułożenia stosunków z ZSRR. Oczywiście, że chcę. Widząc absolutną konieczność wyrwania Polski spod hegemonii radzieckiej chcę ułożenia stosunków ze Związkiem Radzieckim. Kto ułożył stosunki ze Związkiem Radzieckim po odzyskaniu niepodległości? Przecież nie Dmowski, tylko Piłsudski.

Tak ale w zupełnie innej sytuacji politycznej Europy...

Tak, oczywiście! Co roku mamy inną sytuację polityczną Europy. Naszym celem jest doprowadzenie do ułożenia stosunków ze Związkiem Radzieckim.

Na jakiej zasadzie?

Na takiej zasadzie, że my decydujemy co u nas a oni się do tego nie mieszają.

Jak to osiągnąć? Bo tu dochodzimy do tego pytania, które trapi każdego Polaka dzisiaj – co robić dalej? Musimy zejść z ogromnej płaszczyzny historiozoficznej na płaszczyznę realiów politycznych.

Najprostsza odpowiedź, która z pewnością Pana nie zadowoli a którą mam dla wszystkich szukających odpowiedzi na pytanie – „Co robić dalej?” brzmi – zorganizować się w szeregach Konfederacji Polski Niepodległej! W momencie, gdy już będziemy mieli wystarczająco dużo ludzi, to już obalimy tamto. Jest to bardzo łatwa odpowiedź a Pan oczywiście chce odpowiedzi trudniejszej. Nasz marsz do Polski niepodległej widzimy przez osiągnięcie trzech kolejnych horyzontów.

Horyzont pierwszy i cel pośredni, to odbudowanie w Polsce pluralizmu związkowego. Z grubsza – to przywrócenie sytuacji sprzed grudnia 1980 roku. Oznacza to pełne i całkowite poparcie wysiłków „Solidarności” i uznanie, że w zakresie odbudowy życia związkowego. „Solidarność” jest w tym nie tylko najważniejsza, ale i sprawuje kierownictwo. My nie chcemy w tym przewodzić.

Po osiągnięciu tego pierwszego horyzontu czyli pluralizmu związkowego, przechodzimy do horyzontu drugiego – pluralizmu politycznego i zdemokratyzowania PRL-u. To jest ten etap, kiedy na pierwszy plan wysuną się wszystkie grupy polityczne. Sądzę, że jeśli zbudujemy dobre sojusznicze stosunki między tymi środowiskami, które nieprecyzyjnie nazywa się KOR-em i KPN to sądzą, że ten etap przebedziemy z powodzeniem.

Trzeci horyzont jest dopiero horyzontem dojścia do niepodległości. I wtedy dopiero Konfederacja będzie musiała wziąć na siebie najwięcej obowiązków. To będzie nasz czas.

Czy pluralizm polityczny chce Pan osiągnąć w konspiracji czy też legalnie?

Zgódźmy się z jedną rzeczą – w konspiracji można trwać. Fakt, że jesteśmy w konspiracji oznacza, że jesteśmy w obronie, że nas atakują. Nie da się wygrać tej wielkiej batalii politycznej będąc w konspiracji. Musimy wychodzić z konspiracji i budować jawne struktury, nie likwidując jednak konspiracji. Jestem przekonany, że olbrzymim błędem byłaby likwidacja tajnych struktur „Solidarności”. One mogą przestać istnieć dopiero w momencie przywrócenia pełnego pluralizmu związkowego. Natomiast płacić za amnestię likwidacją podziemia – to nonsens. Podziemie wynika z potrzeb obronnych i potrzeby przetrwania. Działanie do przodu – to jest budowa jawnych struktur i organizowanie społeczeństwa na powierzchni życia a nie w podziemiu.

W tym momencie podniosę najmocniejszą wątpliwość. Czy budowanie jawnych struktur na powierzchni życia osiągnąć można naj-

prostsza drogą poprzez zakładanie partii politycznych? Sądzi Pan, że jakakolwiek władza – póki ona jest jaką jest (tzn. ze Związkiem Radzieckim na czele) – zgodzi się na budowanie jawnych struktur politycznych?

Budowanie na powierzchni życia struktur politycznych to nie tylko zakładanie partii politycznych. Przede wszystkim oznacza wychodzenie nawet nie od struktur politycznych, ale od związkowych. Zgodnie z zasadą, że im łatwiej tym wcześniej. Posłużę się takim przykładem. W końcu października [1984 r.] po porwaniu i zamordowaniu księdza Jerzego [Popiełuszki] zrodziła się koncepcja powołania Komitetów Przeciw Przemocy, której byłem i jestem gorącym rzecznikiem. Konfederacja uczestniczy w ich formowaniu. Doszło wtedy do jakiegoś dżentelmeńskiego porozumienia pomiędzy nami a Jackiem Kuroniem i ludźmi KOR-u na zasadzie: my to robimy i oni to robią. Jest to dobry prognozyk na przyszłość. Wtedy w październiku i listopadzie [1984 r.] spotkał się z tysiącem zastrzeżeń, że za wcześnie, że to wywoła represje, że Bóg wie co będzie. Były to zastrzeżenia bardzo do tych, które Pan wysuwa odnośnie tworzenia innych struktur. Mimo zastrzeżeń okazało się, że koncepcja była słuszna². Okazało się, że przez tę pierwszą załączkową formę nastąpiło przekroczenie pewnej bariery i ominięcie pewnego zasadniczego progu politycznego. Jest tych Komitetów bardzo mało, one za mało jeszcze robią, ale to już jest coś. Mamy już załączkowe jawne struktury. Urban może sobie mówić, że one są nielegalne – to jest bzdura. Mogą straszyć, ale nie mogą jednak tego ugryźć. I teraz takie struktury powinny powstawać i to wcale nie znaczy, że pierwsze trzeba wyciągać na powierzchnię partie polityczne. Nie. Najpierw na powierzchnię życia społecznego trzeba wyciągnąć tego rodzaju struktury, które mają zadania

² 7 listopada 1984 r. powstała w Krakowie jawna Inicjatywa Obywatelska w Obronie Praw Człowieka „Przeciw Przemocy”, w której skład weszło aż 12 konfederatów lub osób, które w przeszłości należały do Konfederacji (na 22 uczestników ogółem). Rzecznikiem Inicjatywy był Zygmunt Łenyk z KPN. Była to pierwsza, po 13 Grudnia, jawna forma działalności o charakterze opozycyjnym – uczestnicy Inicjatywy sygnowali swoje dokumenty nazwiskami, podając także swoje adresy.

humanitarne³. Następnie będzie można bez czekania na zgodę władz, bo w polityce czekanie to śmierć, wyciągać i ujawniać struktury związkowe „Solidarności” w zakładach pracy. Ten czas jest już bardzo nieodległy, kiedy będzie to możliwe. Będą na pewno jakieś ofiary ale bez ofiar nic nie ma. Dopiero w następnej fazie będziemy ujawniali struktury partii politycznych.

Aż do następnego stanu wojennego?

Może będzie następny stan wojenny, może nie. Ja Panu coś powiem. Może będzie to ważne w naszym kraju rozkładanym intelektualnie od 40 lat przez rozmaite staroświeckie XIX wieczne koncepcje w rodzaju marksizmu [...]. Może więc odwołanie się do jej twórcy Marksa będzie tutaj na miejscu. Marks powiedział zdanie, które możemy sparafrazować: stan wojenny za pierwszym razem – to jest tragedia, ale za drugim – to komedia. Proszę przeczytać przemówienie Jaruzelskiego. Jaruzelski wskazał cele, które chce osiągnąć poprzez stan wojenny. Po 4 latach obowiązywania stanu wojennego widać, że wszystkie te cele, jeśli nawet przejściowo wydawało mu się, że je osiągnął, to jednak wszystkie stracił.

Jaruzelski nie osiągnął swoich celów ale czy my jako społeczeństwo osiągnęliśmy swoje cele?

Stan wojenny nie był naszym celem. Stan wojenny był wielkim nieszczęściem. Ale jak każde nieszczęście ma swoje dobre strony. Z punktu widzenia rozwoju świadomości społecznej i narodowej przyniósł olbrzymie korzyści. Prawdą jest, że stan wojenny przedłużył okres dochodzenia do niepodległości i zwiększył koszty. Ważne jest to, że wzrosły koszty zarówno w życiu ludzkim – zginęło wielu ludzi, wiele osób straciło zdrowie, wielu ludzi opuściło kraj i to często na zawsze, ale również „rozpi-rzono” naszą gospodarkę. Będziemy przecież musieli ją kiedyś wyciągać

³ Przykładowo 14 kwietnia 1985 r. ogłoszono w Krakowie powstanie Ruchu „Wolność i Pokój”. Jego inicjatorem była Radosław Huget, wcześniej związany z KPN. Do WiP-u – oprócz Hugeta – przeszło też kilku innych krakowskich konfederatów (w sumie 4 osoby). WiP prowadził jawną działalność.

na odpowiedni poziom i będzie nam tym trudniej, im z gorszego poziomu będziemy to zaczynali. Najprawdopodobniej będziemy to czynili w sytuacji niedobrego otoczenia, bo będziemy mieli obóz radziecki ze wszystkich stron. Będzie bardzo ciężko. Tutaj stan wojenny bardzo pogorszył nasze położenie.

Czy więc według Pana następne takie silne zwarcie nie będzie jeszcze dalej oddalać celu, o którym Pan tak pięknie mówi?

Po pierwsze ja nie wiem i nie chcę, żeby Pan odniósł takie wrażenie, że sugeruję, iż będzie następny stan wyjątkowy. Nie, nie musi być. Historia się nie powtarza. To są sprawy pragmatyczne. My możemy z dużą dozą pewności mówić o przebiegu pewnych procesów, ale nie możemy z taką samą dozą pewności mówić, o układaniu scenariuszy wydarzeń. Nauczyłem się tego od dawna, że należy mieć przygotowaną pewną ilość scenariuszy, które – jako narzędzie prognozy – są bardzo pomocne. Opracowałem je ze świadomością, że żaden z nich może się nie spełnić. Na tym polega ciekawość życia. Jeżeli Pan mnie pyta jaki będzie scenariusz wydarzeń, to nie jestem w stanie na to odpowiedzieć, bo nie wróżę z fusów.

Ja nie spytałem w tym kontekście. Pytałem w kontekście następującym. Określił się Pan jako zwolennik radykalnego działania. Zarówno jeśli idzie o Pańską partię, jak też i innym radzi Pan radykalizm. Ja pytam, czy ta zbyt radykalna metoda nie powoduje ostrych wybuchów terroru (bo chyba tak trzeba nazwać stan wojenny). Zastanawiam się, czy tutaj nie występuje sprzężenie zwrotne, że im bardziej radykalny antyradziecki i antysocjalistyczny program, tym silniejsze zastosowanie terroru i cofnięcie nas w tył, jeśli idzie o cel, który Pan nazwał – Niepodległość. Pytam, czy radykalizm jest najlepszą metodą budowania polskiego oporu społecznego? To jest największa moja wątpliwość. I tutaj – mimo Pańskiej niewątpliwej błyskotliwości – jest moim zdaniem najslabszy punkt Pańskiego programu.

Nieporozumienie polega na tym, że my jesteśmy radykalni w celach. To znaczy, chcemy w Polsce dokonać maksymalnie radykalnych zmian. Chcemy stworzyć zupełnie inne państwo. Natomiast jesteśmy pragmatyczni w środkach. Zwracam Panu uwagę, że ani KPN, ani ja nigdy nie nawoływaliśmy do powstania zbrojnego. My jesteśmy radykalni, bo my chcemy radykalnych zmian w naszym kraju. Na miejsce PRL-u chcemy zbudować III Rzeczpospolitą. Chcemy przebudować wszystko, chcemy więcej niż inni. Jesteśmy natomiast pragmatyczni w środkach, bo polityka to jest pragmatyzm. Byli ludzie, którzy wzywali do powstania zbrojnego ale to nie byłem ja ani Konfederacja. My uważamy, że należy toczyć walkę na tych polach, na których mamy przewagę a nie na tych, na których przeważa przeciwnik. Oni mają środki techniczne a my nie i dlatego nie będziemy nawoływali do konfliktu, w którym o przewadze będą decydowały środki techniczne. Nie jest też prawdą, że nasze działania będą wywoływały coraz silniejszą reakcję władz. To błędne założenie. Gdyby przyjąć Pańską zasadę, to okaże się, że każde działanie rozpoczynane z pozycji słabszego nie ma sensu. Bo my rozpoczynamy działanie z pozycji słabszego. Na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat taką dyskusję jak dziś toczyłem wielokrotnie. Jak 10 lat temu mówiłem, że nadejdzie taki dzień, kiedy ludzie masowo zaczną upominać się o swoje prawa, to mi mówiono – wasza taktyka pobudzania ludzi w Polsce nic nie da. Was zamkną, innych też aresztują, powyrzucają z pracy i wszystko się uspokoi.

10 milionów Polaków poszło do „Solidarności” nie do KPN...

My nigdy nie chcemy mieć 10 milionów Polaków w Konfederacji. Mój Boże, a po co? Wcześniej mówiliśmy o programie trzech horyzontów. Czy Pan myśli, że my w tym pierwszym horyzoncie, czyli walki o związki zawodowe chcemy odegrać zasadniczą rolę? Nie chcemy! Czy Pan myśli, że my chcemy kiedykolwiek zdominować „Solidarność”? Nie chcemy! Natomiast na odcinku politycznym który dla mnie jest kluczowy i najważniejszy KPN chce odegrać zasadniczą rolę. Nas nie interesuje 10 milionów Polaków jako członków Konfederacji. Interesuje na-

tomiast bardzo aktywizacja takiej ilości Polaków, obojętnie przez kogo, byle w słusznym kierunku.

Wybaczy mi Pan pewną trywializację dziennikarską (taki to już zawód). Czy to znaczy, że Pan by chciał żeby „Solidarność” zrobiła to, co zrobiła, jeszcze raz, żeby zrobiła to jeszcze lepiej, a wy wówczas powiecie, że to jest program KPN?

Powiedzmy brutalnie, nie chcemy żeby „Solidarność” zrobiła to co zrobiła. „Solidarność” miała 16 miesięcy i wiemy, czym się one skończyły. Nie chcemy też, żeby zrobiła to drugi raz lepiej. Powtórzę to raz jeszcze – nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Polska jest dzisiaj inna niż w 1981 roku i wydarzenia, które nadchodzą, też będą inne. My chcemy, żeby społeczeństwo polskie przebyło pewną drogę, uporządkowaną choćby w te nasze trzy horyzonty czasowe, niekoniecznie będąc w KPN-nie czy popierając Konfederację. Taką drogę, na której społeczeństwo najpierw odbuduje pluralizm związkowy, potem polityczny i wreszcie dojdzie do niepodległości. Jeżeli w tej drodze ktokolwiek inny będzie siłą, która doprowadzi Polaków do niepodległości, to będziemy mu dziękowali. Jeżeli my będziemy musieli być w pewnym momencie tą siłą, która prowadzi innych, to będziemy starali się udźwignąć ten ciężar. To nie jest program dla KPN. To Konfederacja głosi pewien program dla Polaków.

To jest teoretycznie bardzo zwarte. Pytanie praktyczne brzmi tak – dysponujecie dość radykalnym programem politycznym, mówicie o wspólnym celu, natomiast nie wiem, czy ten radykalny program jest również do zastosowania dla „Solidarności”?

Nie. KPN powinna działać metodami partii politycznej, które są inne niż działalność związku zawodowego. „Solidarność” natomiast nie powinna nigdy stawać się partią polityczną.

Ale pytam czy powinna być radykalna?

Związek zawodowy nie będzie nigdy tak radykalny, jak partia polityczna. Jest to po prostu niemożliwe dlatego, że jeżeli jest taka struktu-

ra, która obejmuje 10 milionów ludzi, to nie może być tak radykalna, jak KPN, która w szczytowym okresie rozwoju liczyła 60 czy 80 tysięcy. Zresztą ja sędzę, że KPN liczy za dużo członków, bo w niektórych regionach niepotrzebnie przyjęto za dużo. W Konfederacji bardziej liczy się jakość niż ilość. Wiadomo, że partia polityczna będzie zawsze bardziej strukturalnie skryształizowana niż tak masowy ruch jak „Solidarność”.

Zdaje Pan sprawę ze swojej sugestywności. Zdaje Pan sobie sprawę z sugestywności hasła, które bardzo często ma w swoim programie antyradyzieckość, która u was jest bardzo eksponowana a przynajmniej była. Zdaje Pan sobie sprawę, że ma Pan wpływ na działaczy „Solidarności”, to się nie dzieje mechanicznie. Działacze KPN mieli również wpływ na cele, sposób działania i na taktykę „Solidarności”, mieli przewagę w niektórych zakładach. Ja rozumiem co mi tutaj Pan tak bardzo niuansowo wyłożył, że radykalizm to jest ewentualnie dla was, a może nawet później w trzeciej fazie, że program i cel jest radykalny, nie środki... Natomiast sugestywność, antyradyzieckość tego programu musi być elementem takim, że wśród 10 milionów, wśród tych bardzo sfrustrowanych nastrojów w czasie kryzysu, zwykli członkowie bez predyspozycji działaczy politycznych mogą nie rozróżniać tych niuansów, że to jest radykalizm celów a pragmatyzm w działaniu. Istnieje coś takiego, jak pewne zapatrzenie w wasze radykalne hasła, jak chociażby ten bardzo eksponowany antyradyziecki sposób formułowania programu. A tu się okazuje, że wy byście sobie nie życzyli, ażeby zwykły szeregowy członek „Solidarności” te radykalne cele przyjmował i żeby nasiąkał tym programem. Ja to rozumiem, bo Pan to jasno przedstawił. Nie jestem natomiast pewien, czy w działalności KPN zwykły człowiek umie to tak wszystko niuansowo odróżnić. Pytanie dotyczy Waszej odpowiedzialności moralnej, wynikającej ze świadomości tego, że jesteście słuchani i możecie mieć wpływ na zwykłych działaczy „Solidarności”, na ludzi, którzy nie mają predyspozycji członków przyszłej partii niepodległościowej.

Mówi Pan, że nasz program i to co przedstawiam jest sugestywne. Tak to jest sugestywne...

Zarówno dzięki Wam, ale jeszcze bardziej dzięki nieudolności władzy, dzięki zastosowaniu terroru, dzięki stanowi wojennemu – te nastroje społeczne radykalizują się. Pytanie brzmi tak – czy należy podbijać bębenek radykalizmu czy nie?

Dlaczego to jest sugestywne? Przecież nie dlatego, że my wymyśliśmy sugestywne historie, albo, że my jesteśmy sugestywni, albo dlatego, że ja to przekonująco przedstawiam. To nie są wymyślone przez nas hasła. My tego programu nie wymyśliliśmy. To jest sugestywne, bo to jest ściągnięte z samych trzewi i serca narodu! To jest to co drzemie w Polakach. My to ujawniamy i dlatego to tak trafia do ludzi. Oczywiście możemy sobie postawić szereg barier. Od 1945 roku olbrzymia ilość Polaków stawia sobie wiele barier mówiąc – „Wystarczy, że będę przyzwoitym człowiekiem i zapomnijmy o Polsce”. Oczywiście, można stawiać bariery, ale KPN mówi – „Dość tych barier! Dość tego samoo graniczania! Wyciągnijmy z serca to, co nasz Naród myśli i to co nasz Naród czuje!”. To jest właśnie nasz program. To, że ten program będzie przekonywujący dla coraz szerszych rzesz społeczeństwa – to oczywiste. Musi tak być, bo Polacy jeszcze są Polakami.

Ja bym powiedział, że nie program, ale ta wizja przyszłości, jest przekonywująca. A w pytaniu chodzi o program działania na dzisiaj.

Program działania na dzisiaj jest dla Konfederacji bardzo prosty – przygotowujemy się do nadchodzącej ekspansji społecznej. Program działania dla „Solidarności” powinien polegać na tym, ażeby przygotować budowę legalnych i jawnych struktur związku za zgodą lub bez zgody władz PRL-u. Nie chodzi o utworzenie tych struktur w ciągu jednego dnia, ale rozpatrywanie tego, jako procesu ciągłego. „Solidarność” musi stać się „Solidarnością”. „Solidarność” jest realną rzeczywistością i przyjmijmy to do wiadomości. Nie ograniczajmy się do mitu i legendy „Solidarności”, tylko stwórzmy ją na nowo jako wartość materialną.

Jesteśmy obecnie po stanie wojennym jak gdyby w punkcie zero. Jakie wnioski zostały wyciągnięte z wprowadzenia stanu wojennego?

Jest taka różnica, że przed 13 grudnia 1981 roku wierzano (tzn. ogromna część Polaków wierzyła), że Wałęsa z Rakowskim mogą rozmawiać jak Polak z Polakiem. Wałęsa z Rakowskim mógł rozmawiać tylko tak, jak przywódca związku zawodowego, który powstał wbrew i przeciwko władzy z funkcjonariuszem władzy komunistycznej, która szykowała likwidację tego ruchu. I to jest istota widzenia tych spraw. Jeżeli znowu X z Y usiądą przy wspólnym stole, to czy to będzie rozmowa jak Polak z Polakiem? To była taka rozmowa, jak ta między Maurycym Mochnackim a ks. Druckim-Lubeckim, kiedy to książę był szambelanem Jego Carskiej i Królewskiej Mości Mikołaja I i nie wyobrażał sobie innej Polski niż pod berłem tegoż cara a Mochnacki chciał Polski wolnej i niepodległej. Czy była to rozmowa między Polakiem a Polakiem? Nie. Była to rozmowa wysokiego funkcjonariusza carskiego, wysokiego funkcjonariusza zaborcy z człowiekiem, który miał spojrzenie rewolucjonisty. Nauka 13 grudnia pokazuje, że nie należy wierzyć w mity i stereotypy.

Czyli Pan jakby nawołuje do realizmu.

Ja nie nawołuję do realizmu. Uważam natomiast, że poza realizm wyjść nie możemy. Tylko ja chcę mówić o prawdziwym realizmie. W Polsce mówi się o realizmie arealistycznie traktując stereotypy i biorąc fikcje jako rzeczywistość. Podstawowym elementem realizmu jest stan realny, w którym znajdują się Polacy i Polska i z tego należy wyciągać wnioski. Ten stan realny wygląda tak, że Polska jeśli chce istnieć, to musi odzyskać niepodległość. Powstała realna szansa, żeby ją odzyskać i mamy dość siły w narodzie, żeby to zrobić. Sprzyjają nam polityczne układy zewnętrzne. To jest właśnie realność. Jeżeli natomiast pójdziemy na wszelkiego rodzaju konstrukcje myślowe opierające się na mitach, stereotypach i staroświeckich przekonaniach, które niewarte są funta kłaków, to nie jest realizm, ale przepraszam za słowo, onanizowanie się słowem realizm.

A czy nie uważa Pan, że wizja Polski niepodległej w realiach stanu wojennego i przewagi w sensie materialnym (nie duchowym) państwa nad społeczeństwem, w tym kryzysie i w tym układzie sił na świecie, że Pańska wizja jest nierealna?

Przewaga tego państwa, przewaga tej władzy nad społeczeństwem polega tylko na micie. Ponieważ ludzie wierzą jeszcze, że ta władza jest czymś co jest zdolne utrzymać ich w ryzach...

Władza ma przewagę materialną, ma siłę!

Nieprawda! Te 37 milionów Polaków ma znacznie więcej siły, także fizycznej. Wystarczy 5 milionów na ulicach i zobaczy Pan, kto ma przewagę. No a do tego dojdzie.

Czyli Pan na to liczy?

Ja nie liczę. Ja to wiem!

Czyli Pan uważa, że ile milionów na ulicach zwycięży te czołgi? Nie dosłyszałem cyfry...

Jak wychodzą na ulice miliony ludzi, to nie ma czołgów. Pan wcześniej wspomniał, że mieliśmy wpływ na „Solidarność”. My takiego wpływu nie mieliśmy, no może w niektórych zakładach. Nie chcieliśmy się chronić pod skrzydła „Solidarności”. Natomiast nasze spojrzenie tuż przed 13 Grudnia było proste – Konfederacja wystąpiła z wezwaniem (nie ma powodu ukrywać, że ja to robiłem), żeby nie później niż 8 grudnia rozpocząć strajk powszechny. Był to jedyny ratunek i obrona przed stanem wojennym. Polityka to jest gra i walka...

Mogę podać Panu, jaka byłaby odpowiedź na strajk powszechny przed stanem wojennym – otoczenie zakładów pracy, odcięcie strajkującym wody, żywności, ciepła i czekanie...

Proszę Pana, to ładnie brzmi. Trzeba jeszcze mieć do tego siłę.

Ależ ta siła została zademonstrowana 13 Grudnia!

Nie. 13 Grudnia zostało zademonstrowane przede wszystkim zaskoczenie. Jeżeli „Solidarność” pozbawiono kierownictw od góry do samego dołu, jeżeli w tej „Solidarności”, jako strukturze zabrano – nazwijmy to tak – kilka tysięcy oficerów (w każdym zakładzie zabrano przywódców zostawiając masę pracowniczą nieprzygotowaną do niczego, która nie wie co robić), to większość zakładów nie zaczęła nawet strajkować. Jedna brygada ZOMO wystarczyła, żeby w ciągu kilku dni załatwić kolejno, jeden po drugim, wszystkie zakłady w Warszawie. Tych zakładów naprawdę strajkowało tylko kilka. Jeżeli strajki rozpoczęłyby się wcześniej, to ta brygada ZOMO nie byłaby w stanie otoczyć ich, odciąć wodę itd., bo musiałaby wtedy liczyć ze 100 tysięcy ludzi. I ta brygada nie wystarczyłaby nawet, żeby zapewnić łączników, którzy informowaliby centralę o tym, co się dzieje w poszczególnych zakładach. Nie zdaje Pan sobie sprawy z siły ruchów masowych.

W tym momencie rozmowy widzę dopiero Pańskie wizjonerstwo i jednak brak realizmu. A ile armia polska i wojsko liczy ludzi?

Pan sądzi, że to armia polska robiła stan wojenny? Ona oczywiście uczestniczyła w działaniach 13 Grudnia. Ona stwarzała wrażenie, że jest gotowa wystąpić jako druga linia ZOMO. Ja przypuszczam, że Jaruzelski bał się – przynajmniej większość jednostek – dopuścić, aby się bezpośrednio stykali z robotnikami. Wiemy przecież z historii doskonale, co się dzieje, jak pierwszy żołnierz przechodzi na drugą stronę.

Cały czas zachowywałem się jak dziennikarz, który prowokuje pytaniami. Poproszę obecnie o chwilę dla mojej wypowiedzi. Jesteśmy po prostu w tak ważnym momencie tej rozmowy, że muszę kilka zdań powiedzieć więcej.

Otóż Pan troszkę jakby się odślonił. Wydaje mi się, że Pan chce zasugerować, że było możliwe fizyczne zwycięstwo ludzi pracy nad armią polską i oddziałami milicji. Jeżeli Pan takie coś zakłada, to zakłada Pan także ofiary w ludziach. Również przed chwilą powiedział Pan, że jak 5 milionów wyjdzie na ulice, to te 5 milionów wygra

ze wszystkimi czołgami. Czyli zakłada Pan ofiary w ludziach. Liczy Pan jednak na starcie fizyczne ludzi z tym systemem.

Jesteśmy w bardzo ważnym punkcie tej rozmowy. Dobrze, że ten punkt nadszedł w tej rozmowie. W tym momencie nie ma żartów. Jest to kwestia jasnego powiedzenia, że Pan zdaje sobie z tego sprawę, że liczy na zwarcie, że liczy na ofiary i uważa Pan, że poprzez te ofiary i poprzez krew zbliżymy się (a według mnie – cofniemy) do tego celu jakim jest niepodległość.

I trzecia uwaga – jaki jest Pana stosunek, w tym kontekście, do dyplomacji Kościoła?

To co Pan powiedział, to uproszczenia, uproszczenia i jeszcze raz uproszczenia. Pan zakłada, że rozwój ruchów społecznych musi koniecznie prowadzić do rozlewu krwi. To nieprawda! Musimy działać poprzez rozwój ruchów masowych. Musimy też ludzi wyprowadzać na ulice nie po to, żeby się łała krew, ale żeby się nie łała. W momencie, kiedy Pan wyprowadzi 5 milionów, to na ulice nie wyjedzie żadne ZOMO, aby tych ludzi pacyfikować! Pochowają się do mysich dziur! Nie wyjedzie żaden czołg. Ale jak Pan wyprowadzi 350 wyrostków, to się natychmiast pojawi 500 zomowców.

Ale mnie niepokoi Pana wizja zwania Polaków z siłami wojska i milicji.

Wróćmy do 13 Grudnia, ale tylko w kontekście politycznym. Polityka jest grą, polityka jest walką. W sytuacjach, kiedy mamy do czynienia z naprawdę masowymi zjawiskami a równocześnie konfrontacja jest bardzo silna (to jest prawie tak jak z bokserami wagi ciężkiej na ringu), otóż w takich sytuacjach ten, kto zada pierwszy cios, ten wygra. Stan wojenny został przez władzę wygrany nie dlatego, że władza była silna a „Solidarność” była słaba. Został on wygrany, bo władza pierwsza zadała skuteczny cios, który rzucił „Solidarność” na deski i ją sparaliżował. Od ZOMO i od czołgów skuteczniejszy był szok uderzenia. Gdyby ten cios wcześniej wykonała druga strona, to – być może – wynik byłby odwrotny. Nie sądzę, żeby efekt szokowy po stronie władzy był aż tak silny,

jak ten, który uderzył „Solidarność” i żeby nasze zwycięstwo było tak kompletne. Niemniej, gdyby związek wykonał cios strajkowy, to strona rządowa znalazłaby się na deskach. Może na krócej, może w lepszej formie, ale by się znalazła. To po pierwsze.

Druga sprawa, i ona jest zasadnicza, polega na tym, że jeżeli będziemy stawiali sprawę tak, że mamy wstrzymać się przed działaniem, to żadnej działalności podjąć nie można. Jeżeli boimy się ryzyka, jeżeli boimy się ofiar, to oczywiście nie robmy nic!

Proszę Pana, ja byłem pierwszym człowiekiem Konfederacji, który poszedł na długo do więzienia. Ja chciałem pójść pierwszy do więzienia między innymi dlatego, żebym mógł z czystym sumieniem wymagać od innych, ażeby też ryzykowali. Bo gdybym ja się schował z tyłu, to bym się głupio czuł domagając się od innych, żeby podejmowali ryzyko walki, za którą grozi więzienie. Mam ten moralny luksus, że mi nikt nie może powiedzieć, że wysyłam innych a sam się chowam. Być może ofiary mogą być większe, jesteśmy na to gotowi. Rozmawiałem z księdzem Jerzym Popiełuszką tuż przed jego męczeńską śmiercią. Był to człowiek, który naprawdę bał się męczeństwa, bo był tylko człowiekiem. Ale On miał świadomość, że męczennikiem będzie. On się bał, miał chwilami nadzieję, że może nie, ale w zasadzie, to On to robił świadomie. Straszna ofiara... Będą ofiary! I musimy ludziom mówić – „Bądźcie przygotowani, że będą ofiary! Może będzie krew”. Ktoś kiedyś powiedział, że koła Historii krwią są smarowane. Zadaniem przywódców politycznych jest dążyć do tego, ażeby tych ofiar było jak najmniej. Działalność Konfederacji, nasz program, to jest program, który szuka najbardziej optymalnej drogi. Gdybyśmy chcieli szukać drogi nie oszczędzającej ludzkich ofiar, to byśmy wezwali 13 Grudnia do strzelania, do krwi. My wiedzieliśmy, że będzie stan wojenny. Jeżeli parę dni przed 13 Grudnia nawoływaliśmy do strajku powszechnego, to tylko po to, żeby uniknąć większych ofiar a sprawę pchnąć do przodu. Cóż mi szkodziło napisać i we właściwym czasie ogłosić wezwanie KPN – „Polacy do broni!”

Myśli Pan, że posłuchaliby Pana?

Nie wiem czy by mnie posłuchali. Wiem, że Konfederacja tę drogę odrzuciła. Wiem, że nie poszliśmy tą drogą. Wiem, że taka droga spowodowałaby nas na manowce.

No ale mówi Pan o zwarciu 5 milionów z czołgami?

Nie, nie! Ja mówiłem – powtórzę – jak będzie 5 milionów ludzi na ulicy, to nie będzie czołgów. Siłą społeczeństwa w tym okresie i naszym mocnym narzędziem jest jego organizacja. Organizacja w różnych kształtach, przy pomocy różnych sposobów oraz różnych najbliższych celach. Taka organizacja polskiego społeczeństwa, gdzie są i wielkie związki zawodowe i partie polityczne, i to wszystko co da się zorganizować. Cały problem Polski polega na tym, żeby w miarę organizowania społeczeństwa dezorganizować tę władzę. Początek naszej „rewolucji” w 1980 roku polegał na tym, że naprzeciwko zorganizowanej władzy było zatomizowane społeczeństwo. Od tego czasu procesy organizacji społeczeństwa posuwały się i cofały, ale w sumie poszły do przodu a procesy dezorganizacji władzy też. Kiedy nastąpi nasze zwycięstwo? Wtedy, kiedy zorganizujemy jednocześnie cały wysiłek społeczny, na który stać Polaków a z drugiej strony zdezorganizujemy ich władzę. To jest droga do zwycięstwa.

Powie Pan, że to teoria. To jest teoria, ponieważ my rozmawiamy przy mikrofonie i wszystko, co mówimy, jest teorią. Najważniejsza rzecz jest taka, że my te nasze teorie sprawdzimy w życiu. Ja czuję się w tym sprawdzaniu mocny, ponieważ my wszyscy wiemy co było i co jest. Ja na pewno jestem jednym z głównych przeciwników tego ustroju i tego reżimu. Jestem jednym z tej grupy ludzi, z którymi oni walczą najmocniej. I jeżeli po iluś tam latach prześladowań możemy sobie tutaj takie rzeczy mówić i opowiadać, to kto tu jest zwycięzcą – ja czy Jaruzelski?

Gierek mnie zamknął. Gierka już nie ma. Potem był Kania, ale też już go nie ma. Jaruzelski jeszcze jest – nic mu złego nie życzę, bo jestem człowiekiem humanitarnym i chrześcijaninem. Jeżeli ja te wszystkie rzeczy mogę mówić powołując się na masowe ruchy społeczne, które już wystąpiły, to kto w tej grze wygrywa?

Jeżeli chodzi o pewną niezależność myślenia i o pewien margines swobody, to jest to zasługa nie tylko KPN czy opozycji, ale jest to zasługa pewnego umiarkowanego kursu władzy.

Człowiek o ogromnej niezależności myślenia, jakim był Traugutt, podjął walkę, która po dwóch latach skończyła się tak, jak się skończyła. I Traugutt mógł tylko powiedzieć – „Wierzę, że jeżeli zostanie choć jeden Polak, to Polska się odrodzi”. Była to wypowiedź optymistyczna, ale był to optymizm z samego dna tragedii. Ja natomiast mogę powiedzieć – „Cóż z tego, że nas zamykali, że nas zamykali tysiącami, że nas rozbijali? No i co z tego? My jesteśmy! My idziemy do przodu!” Jakiż skok zrobiła Polska i każdy z nas w ciągu ostatnich kilku lat! Cóż oni są nam w stanie zrobić? Najwyżej nas znowu zamkną do więzień. Mój Boże, za nami przyjdą inni, zresztą my też z tych więzień wyjdziemy... Może zginiemy, a może wyjdziemy. Raczej nas wypuszczą.

To wszystko, co Pan mówi, jest prawdą. Ale moje pytanie brzmi tak – czy ten cały margines swobody, który mamy, to, że jest niezależna kultura, że jest niezależne myślenie, czy to wszystko osiągnęliśmy za pomocą radykalnych środków działania, czy też środków bardziej umiarkowanych?

Uzyskaliśmy to wskutek ciągłej presji społecznej i ciągłego procesu rozpadu władzy. Natomiast, jeśli idzie o pytanie, czy uzyskaliśmy to dzięki radykalnej polityce, czy też dzięki środkom bardziej umiarkowanym, to moim zdaniem polityka ugodowa oddaliła nas od celów, ku którym idziemy. Ustawiła nas w gorszej sytuacji. Polityka radykalna, aczkolwiek nigdy na początku nie osiąga swoich celów, to przynosi efekty. Może stanowią one 30 czy 10 procent tego, czego chcemy, ale to jest! I jest tego coraz więcej!

Skalą porównawczą dla mnie jest radykalizm „Solidarności” i radykalizm KPN.

Partia polityczna zawsze musi być bardziej radykalna niż ruch związkowy. Ludzie z KOR-u którzy weszli do „Solidarności” należeli do radykalnego skrzydła związku przez to, że byli działaczami politycznymi.

Oni twierdzą, że stopowali.

W pewnych sprawach mogli oczywiście stopować, dlatego, że niektóre rzeczy były stawiane radykalniej, bo my byliśmy jeszcze bardziej radykalni. Na przykład my uważaliśmy, że porozumienie zawarte na początku kwietnia 1981 roku było porozumieniem co najmniej niedoskonałym. Zresztą sądzę, że już w sierpniu 1980 roku można było uzyskać więcej. Polityka to też sztuka wykorzystywania możliwości. Jeżeli uda się wykorzystać coś blisko 100%, to jest bardzo dobrze. Jak się natomiast uda zdobyć 10%, to jest bardzo źle. Uważam, że w sierpniu 1980 udało się osiągnąć 75% możliwości, ale w kwietniu 1981 roku, to już w najlepszym wypadku tylko 45%. Była to po prostu polityka niedostatecznie skuteczna i dlatego musiał nastąpić potem 13 Grudnia.

Pytał Pan o postawę Kościoła. Chcę powiedzieć jedną rzecz. Kościół nie jest partią polityczną. Nie domagajmy się od niego by zachowywał się jak partia. On ma inne cele. Cele Kościoła, to są cele nie z tego świata i sprawy doczesne w obliczu spraw wiecznych są znikomymi.

Przepraszam nigdy nie zadaję takich pytań, ale spytam. Pan jest wierzący?

Tak! Jestem wierzący. Jestem praktykującym katolikiem.

Czy była to kwestia nawrócenia, jakiegoś powrotu?

Nie, nie była to kwestia nawrócenia. Całe życie byłem wierzącym katolikiem, natomiast obecnie jestem w praktykach religijnych o wiele bardziej gorliwy, niż jak miałem lat dwadzieścia kilka. To jest naturalne, choć jak miałem lat 8 czy 10, to być może byłem o wiele bardziej gorliwy, niż w tej chwili. Katolicyzm, Bóg, Opatrzność... wierzę w to.

Mówimy tu cały czas w kategoriach rozumowych i teoretycznych. W tych kategoriach, to co teraz powiem zabrzmi być może dziwacznie. Polityka to jest bardzo racjonalne zajęcie. W polityce trzeba myśleć, myśleć i myśleć. Polityka to jest myśl, wola, decyzja i wykonanie. Chcę jednak powiedzieć, że mój optymizm, moja pewność, biorą się z takich rzeczy, które może nie dla każdego będą zrozumiałe. Żydzi w Starym

Testamencie czekali znaków przyjścia Mojżesza. Tomasz był niewierny i czekał znaku, że Chrystus zmartwychwstał. My też jesteśmy niewierni i też czekamy znaków. W każdym razie mogę to powiedzieć o sobie. Myślę, że Polska miała parę takich znaków. Znak wyboru Ojca Świętego. Wielki znak! Znak Jego prawie śmierci. Wielki znak! Dla mnie sierpień 1980 roku, który znam tylko z opowieści, bo spędziłem go w więzieniu – strajk i msza święta – to wielki znak. A 13 Grudnia? Czyż to nie jest jakieś ostrzeżenie Opatrzności? Czy my w tym wszystkim co robiliśmy przed stanem wojennym, czy my nie zasłużyliśmy na to, żeby Opatrzność zwróciła nam uwagę? Ja z tego czerpię główną siłę. Sądzę, że Opatrzność nie szczędzi nam znaków. A jeżeli tak – to nas prowadzi.

To nie znaczy, że zwalnia nas z odpowiedzialności. Mamy wielką odpowiedzialność za nasze decyzje i za nasze czyny. Ponosimy straszliwą odpowiedzialność. Nasz błąd może przerodzić w ogromne tragedie. Nasze niewykorzystane sposobności mogą skutkować, że na przykład Polacy nie ocaleją. Wstrzymanie się od działania jest bardzo często jeszcze większą odpowiedzialnością niż działalność. Wstrzymanie się od działalności może przynieść jeszcze większe straty. Ja czuję taką odpowiedzialność. Czuję się odpowiedzialny za ofiary ostatnich lat. Jeśli tutaj, w Nowej Hucie, zginął chłopak, jeśli zginęli górnicy w kopalni „Wujek”, jeżeli zamordowano księdza Jerzego, to ja się czuję odpowiedzialny za te śmierci. My, którzy zabieramy publicznie głos, którzy mamy pewien autorytet, my, którzy oddziaływaliśmy na tych ludzi tak czy inaczej, to my za to wszystko ponosimy odpowiedzialność. To co mówię jest dramatyczne bo jesteśmy w bardzo dramatycznym momencie historii. Czuję się współodpowiedzialny, bo wszedłem w tę koleinę i uzyskałem jakiś tam autorytet polityczny i są ludzie, którzy mnie słuchają. Mówię do społeczeństwa i do czegoś nawołuję, jak choćby w tym wywiadzie. Jeżeli żądam konsekwencji i odwagi od ludzi, to ja nie wiem, czy takie żądanie nie skończy się dla nich tragedią. Ja biorę na siebie odpowiedzialność i to ryzyko moralne. Ale równocześnie mogę być silniejszy i jest mi łatwiej – może to co powiem okaże się staroświeckie – ponieważ czuję,

że Opatrzność, nie zwalniając nas z odpowiedzialności, daje nam znaki i gdzieś prowadzi, i jakiś kierunek wskazuje...

Oczywiście wszyscy mamy wolny wybór.

Myślę, że coś dramatycznego i pięknego stało się w tej rozmowie poprzez Pańskie wyznanie, poprzez podjęcie wątku odpowiedzialności z całą świadomością dramatyzmu tego wątku. Myślę, że jest to bardzo dobry akcent na zakończenie tej rozmowy – właśnie ta refleksja o odpowiedzialności. Tej rozmowy nie można traktować jako recepty do działania bez zastanowienia. Myślę, że z Pańskich poglądów każdy własnym rozumem, z własną odpowiedzialnością, własnym wyborem będzie czerpał to, co będzie chciał wziąć. Nie jest to recepta. Jest wiele punktów kontrowersyjnych czego nie ukrywaliśmy. Szczególnie ten moment bardzo dramatyczny, w którym Pan mówi, że mogą być ofiary, że może być starcie. Ma Pan jednak nadzieję, że w takim starciu nie będzie ofiar, że nie będzie czołgów.

Musimy zrobić wszystko i to jest nasza odpowiedzialność, żeby było jak najmniej ofiar.

Ujawnił Pan również odpowiedzialność za radykalizm. Wybór programu działania pozostaje każdemu z nas. Najlepsza droga działania politycznego też pozostaje otwarta. Sądzę, że najwyższą wartością moralną obecnego społeczeństwa jest to, że istnieje autentyczny pluralizm poglądów i dróg. Sądzę, że nie jest tak, że jeden program może zbawić Polskę, że tych dróg dla Polski jest bardzo wiele – radykalnych i bardziej umiarkowanych. Sądzę, że jest wartością to, że możemy tak rozmawiać, to, że możemy Pańskie poglądy uczciwie i dogłębnie zaprezentować pod rozwagę i osąd naszych widzów. Myślę, że to, że możemy tak rozmawiać, że możemy prezentować różne poglądy w naszej małej, ale niezależnej telewizji – jest w tym jakiś głęboki optymizm

Dziękuję Panu serdecznie.

Dziękuję.

ZANIM POWSTAŁ KPN

Z TADEUSZEM STAŃSKIM, DZIAŁACZEM NIEPODLEGŁOŚCIOWYM, OPOZYCYJONISTĄ W CZASACH PRL-U, ROZMAWIA KATARZYNA ŚNIADECKA

– Co skłoniło Ciebie do określonego zaangażowania politycznego, słowem dlaczego i jak znalazłeś się w polityce?

– Powinienem zacząć w ogóle od I rozdziału mojej książki, który nosi tytuł „Karczer”. Tam jest odpowiedź na to pytanie, bo pomysł tej książki jest taki, żeby zrobić sagę, czy też opis pokolenia, które obaliło komunę. Książka ma właśnie taki roboczy tytuł „Pokolenie, które obaliło komunę”. W tym pokoleniu ja jestem i spełniam jakąś rolę. Wtedy, gdy zaczynam od tego I rozdziału, tego „Karcera”, to w pewnym momencie zastanawiam się, dlaczego właśnie ja w tej sytuacji tam się znalazłem. Karczer to nazwa celi karnej, na którą za karę wsadzano więźniów. Byłem już po wyroku, który za próbę obalenia ustroju skazał mnie na 5 lat więzienia, i po rocznym pobycie w areszcie na Rakowieckiej, które spędziłem dzieląc cele z innymi. W karczerze człowiek siedzi sam i ma czas na myślenie. Wykorzystałem ten samotny pobyt na próbę odpowiedzenia sobie na pytanie – dlaczego ja.? I odpowiadam, że „brudny paluch losu” dosłownie wskazał na mnie „to ten”, ale mógł na wielu innych wskazać. Próbowałem sobie odpowiedzieć, dlaczego właśnie ja w wieku 32 lat szczęśliwy mąż, mający całe grono przyjaciół, trafiłem do więzienia na kilka lat. Zacząć trzeba od Podlasia. Podlasie zawsze dawało Rzeczpospolitej (co też później w sądzie powiedziałem) księży, żołnierzy i urzędników RP. I ja się czuję żołnierzem i to jest też zapisane w „Ostatnim słowie” spisany w sądzie. I to jest ta nasza podlaska tradycja. Urodziłem się w 1948 roku, a wtedy u nas to była normalna wojna domowa [powstanie niepodległościowe przeciwko sowieckiemu okupantowi, przyp. KŚ]. Miałem kilka miesięcy, jak moi rodzice uciekając przed walkami przenieśli się do Warszawy. Mojego

wujka Borychowskiego z Borychowa, to jest kilkanaście kilometrów od Błonia, gdzie ja się urodziłem, który współpracował z Brygadą Łupaszki, dopadła bezpieka i zamordowała, zamęczyli go dosłownie na Rakowieckiej. Ciocia spędziła kilka lat w więzieniu w Fordonie, młodsze moje kuzynki wychowały się w domu dziecka jako „dzieci bandyty”. Teraz szukamy grobu wujka na „Łączce”. Prof. Krzysztof Szwagrzyk pokazał mi mniej więcej, w którym miejscu leży. Kuzynki moje w tym roku założyły Stowarzyszenie „Dzieci Łączki” z Podlasia, a starsza kuzynka siedziała w Pałacu Mostowskich, do którego i ja trafiłem wielokrotnie spędzając swoje kolejne 48-godzinne aresztowanie być może w tych samych celach. Ja to wszystko opisuję w mojej książce. Jest też taki film, w którym ona pokazuje połamane kości ręki, pomimo, że ona miała wtedy szesnaście lat i do dzisiaj widać, jak ma je zgruchotane. Druga rzecz – to moja działalność tu w Warszawie. Pierwsze lata spędziłem na Nowym Mieście mieszkaliśmy przy ul. Franciszkańskiej, tuż przy kościele Franciszkanów, gdzie wszyscy trzej bracia Stańscy byli ministrantami, a przyjaźń z niektórymi zakonnikami przetrwała wiele lat. W 1957 roku przeprowadziliśmy się na Muranów, gdzie szybko, bo już w 5 klasie, trafiłem do organizacji związanych z akowcami, konkretnie z Powstańczymi Oddziałami Specjalnymi „Jerzyki” – oni walczyli w Warszawie, a zwłaszcza była taka bitwa pod Pocięgą w Kampinosie, której rocznicę obchodzimy do dnia dzisiejszego. Ja się w tym gronie uczyłem idei samorządności. Hołubiśmy tych partyzantów – było ich dużo, dziś zostało ich tylko trzech. Ja tam nabrałem szlifu organizacyjno- młodzieżowego tzn. byłem wiceszefem ds. kontaktów zewnętrznych. Mieliśmy zorganizowane prawie 3000 dzieci i młodzieży na całym Muranowie. Stworzyliśmy kilka świetlic, zimą dwa olbrzymie lodowiska, na których byliśmy kierownikami, latem boiska – słowem całą strukturę. W 1966 roku, dwa miesiące przed moją maturą, bezpieka rozbiła nas. Nie chcieliśmy ani ZMS, ani innych państwowych lub partyjnych struktur. Ośmiu z nas traktowanych jako szefów dostało wezwanie do Pałacu Mostowskich – czyli miałem przed maturą pierwsze przesłuchanie w Pałacu Mostowskich.

– Byłeś tam wychowawcą, opiekunem, organizatorem – jaką funkcję pełniłeś w „Jerzykach”?

– Na początku byłem uczestnikiem, a potem wychowawcą. Organizowaliśmy obozy, tu miałem status wychowawcy. W ramach tej całej struktury młodzieży byłem wiceprzewodniczącym ds. kontaktów – zapraszali mnie do telewizji, czy jak przyjeżdżali dziennikarze z radia, czy prasy to moim zadaniem było przedstawianie im naszych osiągnięć. Miałem dzięki temu załatwione, że tak powiem, studia pedagogiczne, za sprawą naszych wyczynów powstało wiele prac magisterskich i nawet doktorskich, bo to było coś nowego, tzw. idea samorządności.

– To był pomysł nowatorski czy wzorowany na okresie międzywojennym?

– To był pomysł prof. Łopatki, który miał przed wojną dom opieki nad dziećmi. Jerzy Strzałkowski, który był szefem „Jerzyków”, prowadził, podobny dom opieki w tamtym okresie. Oni wywodzili się w ogóle ze Związku Sybiraków, cała ta młodzież z Syberii, która się przed Rewolucją Październikową uchowała nie wróciła tutaj przez Europę. Oni pojechali aż przez Japonię, przez Los Angeles, statkami i wylądowali w Wejherowie. Stworzyli tam Związek Młodzieży Sybiru. Szefem ich był Walery Sławek, którego grób na Powązkach zawsze odwiedzaliśmy. Zastępcą jego był potem Jerzy Strzałkowski i oni mieli domy opieki dla dzieci, to była przed wojną znana akcja. Związek był bardzo ważny tutaj, w tej narracji patriotycznej, można powiedzieć. Z kolei od roku 1939 Jerzy Strzałkowski prowadził domy dziecka dla sierot wojennych, z których utworzono potem Powstańcze Oddziały Specjalne „Jerzyki”, których najśłynniejsza bitwa była pod Pociechą, nic dziwnego, że dla nas etos walki partyzanckiej był wzorem tylko do naśladowania. W naszej organizacji panowały nastroje patriotyczne.

– Za co dostałeś się do Pałacu Mostowskich?

– Tam była taka ciemnia fotograficzna, ja tam nigdy nie wchodziłem, bo dla mnie robienie zdjęć to była makabra i w ogóle nieinteresujące zajęcie. Ale oni powiedzieli [czyli bezpieka, przyp. KŚ], że chłopaki tam zrobili zdjęcia porno czy coś. Ale to nie chodziło o zdjęcia porno, bo przecież wiadomo było, że ja tam nie chodzę, wyselekcjonowano ośmiu szefów nazywano nas, bo takiej terminologii używał pan Jerzy Strzałkowski – „wodzirejami” i tyłu nas

było wezwanych. Po 8 godzinach oczekiwania, które miały nas przestraszyć i spreparować do zeznań przyszedł podgolony na szlachcica facet i kazał mi usiąść naprzeciw swojego biurka – przesłuchanie rozpoczął wyraźnie zmęczony i bez specjalnego zaangażowania – „Stański powiedzcie wszystko, co wiecie, bo my i tak wszystko wiemy”. Zatkąło mnie i mówię: „Jak wszystko wiecie, to po co mnie tutaj ściągacie?” Dzisiaj wiem, że mieli rzeczywiście pełno informacji o mojej szkole, moich planach na studia od ówczesnego nauczyciela wf-u, Filipczuka, który był TW. Mieliśmy też w swoim gronie dwóch TW, potem oni poszli do milicji pracować, czyli też wiedzieli, co my robimy. To był 1966 rok, połowa rządów Gomułki, czas, kiedy bezpieczeństwa brała się za takie niezależne struktury jak np. ZHP. A tu raptem okazało się, że jest w centrum Warszawy 3000 młodzieży, która nie wiadomo co robi: ma świetlice, wyjeżdża na obozy. Bali się, że to jest poza kontrolą. Na tej zasadzie nas rozbili. Cały Muranów. Całą naszą grupę. To był kanał patriotyczny, który ja przeszedłem, łącznie z tymi wszystkimi szczeblami. Pieniądze na działalność dawało TPD, które było ateistyczne, ale co nam to przeszkadzało? Pieniądze na to były, zorganizowaliśmy 4-5 kolonii, kilka zimowisk. I potem nie dostałem się na pedagogikę specjalną – to tak żartobliwie mówiąc – przez Lenina i Stalina nie stałem się studentem UW. W strukturach muranowskich byłem jedynym taki działaczem, który był przygotowywany na studiowanie, a potem propagowanie idei samorządności w naszym stylu i metodzie. Oczywiście wiele moich koleżanek i kolegów pokończyło różne studia, ale tylko ja miałem być pedagogiem społecznym, bo w istocie reszta młodzieży pochodziła ze środowiska robotniczego i dla nich studia nie były najważniejsze. Muranów to była dzielnica, gdzie mieszkali budowniczowie Muranowa, milicjanci, wojskowi: enklawy wojska i milicji. Ponieważ ja ukończyłem ogólniak, jak wszyscy moi bracia, to te studia były dla mnie oczywistą sprawą. Miałem problem z językiem rosyjskim. Uczono mnie tego języka od piątej klasy szkoły podstawowej, czyli do matury przez siedem lat. Wtedy okazało się, że nie znam rosyjskich „bukw”. W szkole szok, bo potrafiłem w 3 i 4 klasie mieć z „ruska” 4 na świadectwach. Jak zdałem maturę z tego języka to już inny kabaret. Co innego egzamin na UW. Oczywiście pisemny oblałem, pomimo, że rzekomo miało mnie wspomagać kilka nowo poznanych dziewczyn, które ja wspierałem na

egzaminach z polskiego. Okazały się z rosyjskiego większe „nogi” ode mnie. Czekał mnie więc egzamin poprawkowy z języka rosyjskiego. Asystentka prof. Woroczeńskiego, która zrobiła doktorat z Muranowa i chciała mieć takiego następcę jak ja powiadomiła mnie, że egzamin poprawkowy z rosyjskiego to będzie zwykła formalność i mogę się już czuć studentem Wydziału Pedagogiki Specjalnej. Na egzaminie przyjęła mnie pani lat około 80, uczesana w kok, jakie noszono przed rewolucją, w białym żabocie, cała bardzo schludnie ubrana, widać było, że to przedstawicielka starej rosyjskiej arystokracji, która na stare lata musiała dorabiać na życie wykładając rosyjski. Po zadaniu mi kilku pytań, na które nie byłem w stanie odpowiedzieć prawidłowo, trochę ubawiona moją ignorancją pani egzaminator w kwestionariuszu egzaminu wstawiła mi ocenę trzy. Byłem więc w tej chwili studentem UW. Widzę tą trójkę i podziwiam w duchu układy ludzi mnie promujących. Nic mi więcej nie potrzeba. Aż tu raptem egzaminatorka pomimo wystawienia już stopnia pyta mnie nagle. „Co wy czytali ostatnio po rusku?”. A mnie odbiło i mówię – „Leninu i Stalinu”. Nauczycielka spojrzała na mnie mniej sympatycznie i powiedziała – „Lenin i Stalin eto nie krasnyj ruskij jazyk, Lermontow i Puszkyn eto krasnyj ruskij jazyk”. Przeszedłem nad tymi naukami do porządku dziennego, bo przecież trójkę widziałem na własne oczy. Po godzinie dostaję telefon od mojej mentorki – „Coś ty narozrabiał?!” Okazało się, że po moim wyjściu, nota trzy została przekreślona i na niej nabazgrano bardzo wyraźnie dwóję.

I tak dzięki niechęci potomkini białogwardzistów nie dostałem się na pedagogikę na UW. Za rok poszedłem zdawać na prawo, ale znowu dzięki moim poglądom, zabrakło mi 2 punktów. Groziło mi wojsko, a całe wtedy pokolenie nie chciało służyć w komunistycznym wojsku. Pomogła mi moja rola, jako ministranta u franciszkanów. Podczas odwiedzin u nas jednego z braci dostałem informację, że na ATK otwierają wydział prawa kanonicznego i mogą mnie przyjąć z zaliczeniem egzaminów na UW. I tak zostałem studentem na ATK. Lepiej trafić nie mogłem. Było dużo filozofii, teologii, dużo wiedzy ogólnej i bardzo wysoki poziom studiów prawniczych. Magisterium robiłem u prof. Stommy, z art. 22 KK, czyli z nieznanomości prawa, co wykorzystywałem podczas procesu KPN, gdzie udawałem, że władze nie znają i nie stosują prawa. Moi współoskarżeni w procesie KPN, czyli Romuald Szeremietiew i L.e-

szek Moczulski też byli absolwentami wydziału prawa, ale w życiu zajmowali się historią. Prawo to była moja domena.

– Czy w czasie studiów angażowałeś się w jakąś działalność polityczną?

– Nie, w żadną, ponieważ po tym przesłuchaniu, gdzie spędziłem w Pałacu Mostowskich 8 godzin, nic nie wskazywało na jakikolwiek kryzys komunizmu. Na ATK założyliśmy AZS – gdzie graliśmy w piłkę i jeździliśmy na obozy. Byłem tam wiceprezesem, nie ubiegałem się o przywództwo. Zresztą w KPN i PPN takich ambicji politycznych też nie miałem. Chciałem jeszcze studiować filozofię na ATK, jako drugi fakultet. Utrzymywałem się z mycia okien w spółdzielni studenckiej. Przy dobrej organizacji można było dużo zarobić. Za prace w „Plastusiu” kupiłem sobie skuter. W końcu wyszło tak, że zacząłem pracować. Wtedy norma była, że po studiach zarabiał się 1500 złotych. Ja rozpuściłem wici w kategoriach zaporowych, że szukam pracy za 2500 złotych i w nienormowanym trybie czasu pracy. I jesienią 1973 roku przychodzi Zbyszek Morski i mówi, że taka praca jest w PAX-ie. Tylko musisz iść na rozmowę. O PAX-ie w ogóle niewiele wiedziałem, poza tym, że PAX nie jest organizacją lubianą w środowiskach akowskich i że Kościół ma zastrzeżenia do Piaseckiego. Jednocześnie PAX był przechowalnią dla ludzi z AK. Zarówno oni, jak i Piasecki przygotowywali się do obalenia komuny. Mój okres pobytu w PAX-ie przypadł od XII 1973 do IV 1978 roku. Piasecki bardzo dużo zrobił, stworzył system polityczny, a przede wszystkim finansowy, bo gdyby on nie utrzymał tych kilkudziesięciu tysięcy ludzi, którzy wyszli z więzień, to przecież oni by z głodu zginęli. To byli nie tylko Wyklęci, to byli ludzie po wyrokach, których on kierował na studia. Później, w tej bazie ekonomicznej, która była jakby koncernem gospodarczym – zatrudniał i utrzymywał. Przez PAX przeszło tak dużo ludzi młodych, bo on nas świadomie tam wychowywał. PAX ma też swojego Prezydenta – to jest Bronisław Komorowski, którego ojciec przyszedł z III Brygadą Łupaszki na Podlasie i potem pracował w Kierunkach. A Bronek pracował po studiach w „Słowie Powszechnym”. Ministrów było z PAX-U masę, Marszałek Sejmu Jan Król wywodzi się z PAX-u, ostatnia Pani Minister MSW też jest po PAX-ie, Pani Piotrowska, która nie ukrywa tego, przeciwnie, chwali

się tym. „Czerwoni” przygotowywali się do obalenia komuny, ale i Piasecki się przygotowywał.

– Jak to się udało zrobić?

– Ja przygotowywałem młodzież. Zrobiliśmy klub polityczno – filozoficzny, bo były na to środki, któremu patronowała prof. Szyszkowska, wtedy doktorantka, obecnie działaczka lewicowa, specjalistka od Kanta i Heine Wrońskiego. Był też prof. Dąbrowski od pozytywnej integracji, zapraszaliśmy aktorów np. Daniela Olbrychskiego. Ja bardzo szybko tę młodzież w województwie warszawskim zintegrowałem. Robiliśmy to, co uważaliśmy za stosowne, czyli wychowanie patriotyczne i chrześcijańskie. Prowadziłem szkolenia polityczne, robiliśmy minimum, to, co było wytyczne, ale trzeci filar PaX-u, czyli wychowanie socjalistyczne „odpuszczaliśmy”. Bardzo szybko udało się zrobić to, co nazywa się znaczeniem, uznaniem, karierą, bo nas było bardzo dużo i byliśmy zorganizowani. Raz w miesiącu były spotkania z Piaseckim, w ramach Centralnego Ośrodka Szkoleniowego, którego przedstawiciele z całej Polski się zjeżdżali. Piasecki bardzo stawiał na młodzież – stąd mówię, że to była jego zasługa. To były normalne szkolenia i na tych szkoleniach zawsze się z Piaseckim kłóciłem, aż raz go pogotowie zabrało, bo potrafiłem się z nim tak spierać.

Romuald Szeremietiew do PAX-u też się dostał na tej zasadzie. Romek z Wrocławia przyjeżdżał. Miał struktury we Wrocławiu i tak zaczęliśmy się kolegować. Na tej kanwie nauczyłem się następnej dziedziny, czyli dobrej organizacji, której podstawy nabyłem na Muranowie i realizowałem w Pax-ie i od tej pory wszyscy uważali, że ja taki dobry organizator jestem. Taka opinia ciągnie się za mną do dziś. Pomimo sukcesów byłem praktycznie wtedy na wylocie z organizacji, bo skonfliktowałem się z moim przewodniczącym od starej struktury, który nie tolerował mojego pojęcia walki młodych i na wiosnę 1975 roku miałem już odejść z PAX-u. I wtedy Gierek zrobił reformę administracyjną 49 województw, a ja na tej zasadzie wyładowałem w Siedlcach. W 1975 roku w maju była walka pokoleń, walka młodych ze starymi. Gierek miał podobnie, jak u nas w PAX-ie, ciśnienie od młodych i wtedy właśnie wypłynął Kwaśniewski, Miller, Oleksy. Gierek tym młodym nie mógł już dać

zając i porobił 49 województw. I na tej zasadzie już będąc na wylocie z PAX-u, dowiaduję się, że mam się zameldować u Piaseckiego i w ciągu jednego dnia wszystko się zmienia wokół mnie. Konflikt się zaczął, kiedy były wybory na szefa PAX-u całego województwa warszawskiego i my, jako młodzi, przeprowadziliśmy swoją kampanię. Wybraliśmy swoich delegatów i my go skasowaliśmy. To tak, jakby w KC podczas wyborów usunąć I sekretarza. A my go usunęliśmy, no i wiadomo było, że ja już stamtąd muszę się ewakuować.

– Za co wtedy odpowiadałeś w PAX-ie?

– Za młodzież w całym województwie warszawskim. Nastąpiłem po takim człowieku, który nazywał się Sławomir Siwek i był potem szefem Radiokomiteu i do dzisiaj jest związany z Fundacją Solidarności i z PiS-em. Ja to zdynamizowałem, zrobiłem ruch w całym kraju. Miałem 27 lat, byłem 2 lata po studiach i raptem świat się wywraca...

– Co dla Ciebie znaczyło to odwołanie z funkcji? Kim dla Ciebie był ten nowy szef?

– Był uznawany przez nas za przedstawiciela starego pokolenia, który miał realizować linię współpracy z komunistami, spór był więc nie tylko pokoleniowy ale i polityczny. Miał zostać wybrany tak, jak sekretarz nominowany przez partię, bo to niby delegat z wyboru. Jego poprzednikiem był wuj Rafała Ziemkiewicza, dziennikarza, Kazimierz Ziemkiewicz, który przyjmował mnie do tej pracy. Aby nie przedłużyć po tym wezwaniu do szefa Pax-u padła propozycja nominacji mnie na szefa całego nowego województwa siedleckiego. Piasecki mi powiedział: „Co do tego waszego zaangażowania socjalistycznego to dajmy sobie z tym spokój, natomiast nie ma wątpliwości co do waszego zaangażowania patriotycznego i katolickiego. I robię was przewodniczącym oddziału w Siedlcach”. Do gabinetu wchodziłem jako człowiek wylatujący, a wyszedłem jako samodzielny pracownik z budżetem i ze wszystkimi atrybutami. Raptem zmienia się wszystko w jeden dzień. Stało przede mną zadanie zorganizowania całej nowej struktury w Siedlcach, byłem pierwszym z licznych tzw. nowych województw, które zorganizowałem w oparciu o moje zaplecze młodzieżowe. Miałem do dyspozycji samochód służbowy, sekretariat, budżet – słowem zostałem PROMINENTEM. Co

to znaczy? Możesz dawać ludziom wszystko, możesz pomagać, ja stworzyłem całą tę organizację błyskawicznie. I dzisiaj oni, ci moi pracownicy, założyli Stowarzyszenie „Judasze”, jak bezpieka zaczęła mnie rozpracowywać i na tej liście jest co najmniej jeden człowiek, który przejdzie do historii, Stanisław Oleksiak, który rok-dwa lata temu był szefem Światowego Związku Żołnierzy AK. I oni właśnie założyli Stowarzyszenie Rozpracowania Operacyjnego „Judasze”. 08.12.1977 – to data rozpoczęcie rozpracowania w ramach tej operacji, czyli było to półtora roku jak trafiłem do Siedlec. Szybko wzbudziliśmy zainteresowanie bezpieki. Mój kryptonim rozpracowania operacyjnego jest „Mecenas”, Leszka Moczulskiego – „Oszust”, Romek jest „Taktyk”, a Wiesiek Wysocki – „Poliglota”. W PAX-ie bardzo szybko dojrzałem, że to, co chce PAX, jest dla nas absolutnie nie do przyjęcia. W myśl tego, że to pokolenie, które ma obalić komunę, nie może iść na jej pasku.

– Od czego zacząłeś swoje działania na nowym odcinku, jaki Ci powierzono?

– Zaczęło się od prostych rzeczy – ponieważ bardzo szybko zrobiłem tam strukturę, to zacząłem robić w tym PAX-ie takie rzeczy, że tam też się to nikomu nie śniło. Bo oni z jednej strony bali się czerwonych, a z drugiej byli blokowani w różnych sprawach, np. na terenie mojego województwa koło Wyszkowa był ośrodek kolonijny i ośrodek szkoleniowy w Halinowie koło Wyszkowa. Władze nie dawały zgody na remont tego ośrodka dla dzieci. To był bardzo ładny ośrodek kolonijny nad Liwcem, położony wśród lasów. Jak się zakolegowałem z szefami tych różnych wojewódzkich struktur, nie ma co ukrywać, że dzięki gorzale i innym bankietom – powiedziałem, że jest kłopot i że trzeba tam coś zrobić, no to oni, dobra, to my przyjdziemy, zobaczymy. I ja zadzwoniłem do szefowej tych wszystkich socjalnych rzeczy, do Marty Englert i pytam: „Marta, zrobisz bankiet? To my Ci załatwimy ten remont”. To już była ruina taka, że nawet sama szefowa nie wierzyła w sukces. I dzwonię do dyrektora administracyjnego i projektanta, który wydawał zgody na prace remontowo-budowlane. Umówiłem się z nimi. Marta zrobiła bankiet. Jedziemy zobaczyć ten obiekt, a to nawet nie ruina, bo tylko podmurówka została. Na to dyrektor: „No co się martwisz? Niech Marta występuje o remont i budujcie od nowa”. To było nie

do pomyslenia, a jednak realnie się wydarzyło. Chcę przez to pokazać, co znaczyło być prominentem w tamtych czasach. Zadzwoiłem do tego głównego projektanta i zaproponowałem mu wczasy nad morzem w Międzywodziu. To był 1975 rok. Byłem już zaprzyjaźniony z dyrektorem transportu, zadzwoniłem do niego, on podstawiał samochód po projektanta. Druga rzecz to już zaczęła się sprawa polityczna, zrobiliśmy taki olbrzymi materiał, wywiad z Prezydentem Siedlec. Zrobiłem, jako dziennikarz „Słowa Powszechnego”, całą szpalnę, zdjęcia – nakład 500 egzemplarzy na Siedlce – to rzadkość wtedy była. Prezydent dumny, duże to wrażenie na nim zrobiło. Prezydent: „Panie Tadeuszu, co Pan chce? Mieszkanie w Siedlcach?” Ja na to: „Ja to nic nie chcę”. Miałem biuro w Siedlcach z lat 60-tych – na górze mieszkał dyrektor Veritasu, nazywał się Grot, który pokłócił się z Marią Michalską i nie chciał wyprowadzić się z tej willi, na dole mieliśmy biuro 50m², więc ja mówię: „Mieszkanie bym chciał dla faceta”. Prezydent do mnie: „A ma Pan pieniądze?”. Ja: „A ile trzeba?”. Prezydent: „500 tysięcy”. Ja: „Mam” nie wiedząc, czy tyle dostanę. Dzwonię do Marii Michalskiej, która była szefową Veritasu. A ona przez 10 lat walczyła z tym Grotą i nie mogła go wyrzucić. I powiedziałem jej o tym mieszkaniu i że trzeba zapłacić. Rok potem przychodzi do mnie jeden z moich współpracowników i mówi: „Tadek jest kamienica Moritza do kupienia. Kamienica przedwojenna, secesyjna, 3-piętrowa”. Dzwonię do Michalskiej: „Mamy kamienicę do kupienia. Na dole oddział zrobimy, mieszkanie dla pracowników, biuro”. Ona: „Dobra. Ile panu potrzeba?”. – „5 milionów”. „OK. Panie Tadeuszu, dla Pana nie ma problemu”. Zacząłem chodzić za tą kamienicą. W Centrali – awantura. Co ten Stański narozrabiał! Z KC przyszedł monit: „W Siedlcach Stański chce kupić kamienicę większą od Komitetu Wojewódzkiego!” Piasecki: „Bardzo proszę, niech Pan tam tak nie rozrabia”. TW Mariusz znakował te pieniądze. 200 tysięcy – to była zaliczka, którą ja miałem wpłacić. Wtedy oni mnie zablokowali. Wówczas miałem pensję w wysokości 3500+2500 dodatku i to były wtedy olbrzymie pieniądze.

– Dlaczego musiałeś odejść z PAX-u?

– Bardzo szybko zorientowałem się, że to, co robi PAX jest dla nas absolutnie nie wystarczające, że oni powinni pracować na rzecz nowej jakości

politycznej. I taką pierwszą próbą było zorganizowanie obozu w Serwach, na które Szeremietiew przywiózł Leszka Moczulskiego i grupę innych tam jeszcze działaczy. W tych Serwach to całą noc opowiadaliśmy kawały. I mogę powiedzieć, który kawał wygrał. Chcesz wiedzieć, jaki kawał wygrał?

– Proszę opowiedz.

– Wygrał kawał o Tadku niejadku. Tadek był straszny niejadek. Mama: może szyneczki, może schabiku? Tadek: nie będę jadł! Tata: może zupki, może kielbaski? Tadek: nie będę jadł! Babcia: Wnuczku, a co byś zjadł? Tadek się zastanawia i mówi: Glizdę. Tata przyniósł glizdę. Babcia: poczekaj zrobię w jajeczku. I zrobiła. A Tadek: nie będę jadł! Niech Tata połowę zje! Tata chcąc nie chcąc wziął połowę, popił szklanką wódki i zjadł. Babcia: No wnusiu, tata zjadł, teraz ty zjedz. Tadek: Nie będę jadł! Dlaczego? Bo tata moją połowę zjadł!

– Dowcipnie. Co było dalej?

– Jak się zaczęło ROPCiO (Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, przyp. KŚ) to Moczulski dostawał ode mnie pomoc materiałową. Na tym obozie w 1976 roku w Serwach Moczulski nie rzucał się w oczy, nie przedstawił żadnej koncepcji. Dysponowałem wtedy samodzielnie pieniędzmi i mogłem zapraszać wybranych ludzi na prelekcję do Siedlec. Płaciłem za to 800 złotych – to była duża suma. Jerzy Łojek, Tadeusz Pióro, szef sztabu generalnego – oni byli takimi prelegentami. Z Jerzym Łojkiem byliśmy zakolegowani, on mieszkał na Nowym Świecie i co miesiąc jeździliśmy do Siedlec. On wtedy wydał książkę „Przyczyny upadku Powstania Listopadowego”. Jak mnie kiedyś Andrzej Anusz zapytał, co by było jakby Moczulski nie napisał „Rewolucji bez rewolucji”, to ja odpowiedziałem, że mielibyśmy „Przyczyny upadku Powstania Listopadowego” Jerzego Łojka i toby była nasza szkoła myślenia politycznego – bo przemyślenia prof. Łojka pasowały do ówczesnej sytuacji. Rozmawialiśmy o historii, on mnie traktował jak młodego, bo miałem 27 lat, ale byłem szefem i miałem potencjał i możliwości z tym związane. Łojek był na indeksie wtedy za swoją książkę i wykładów nawet chyba nie miał, słowem miał ciężko. Z Pióro robiłem sprawy wojskowe.

– Z jakiego środowiska wywodził się generał Pióro?

– Jego podejrzewali, że został wyrzucony na bazie czystek semickich w 1968 roku, bo ujął się za Żydami wtedy. Piasecki go przyjął. Pracował przy „Słowie Powszechnym”, dawał mi analizy wojskowe i materiały np. Rocznik Instytutu Badań Strategicznych z Londynu, gdzie były wszystkie armie z uzbrojeniem. On mi to ściągał z Londynu za 15 funtów, to było wtedy kilkaset złotych, dysponowałem nimi do analiz. Zajmowałem się z nim potencjałem wojskowym Rosji i Polski. Ja tak z nim pracowałem nie dogadując, ale miałem inne spojrzenie i inną wiedzę. I stąd ta moja analiza o nieuchronności rozpadu Związku Radzieckiego. Doszło do tego, że jeździłem po szkoleniach ze zwariowaną skądinąd prelekcją „Czy ZSRR może interweniować w Polsce?” – istny „crazy man”! Ale to wszystko z potrzeby analizy wynikało. Zacząłem w Siedlcach wydawać „Przegląd” redagowany przeze mnie, poprawiany przez moich pracowników „Judasze”, przepisywany po nocach przez moją sekretarkę, Anię Dutkiewicz, liczył 30–40 stron. Wydaliśmy go 3–4 egzemplarze. Moczulski uważał tę analizę za bardzo wartościową. Miałem dostęp do tzw. biuletynu papowskiego. Tam były informacje, których nie było w gazetach, np. ile dzieci rodzi uzbecka kobieta, a ile Rosjanka, ile musi być Rosjan na tzw. zagrożonych kierunkach, problem muzułmański, ile muszą kupić rur do gazociągu i rurociągów – to wszystko tam było, ja to mogłem pisać, dlaczego? Bo nikt się wtedy nie zajmował Rosją. Wszystkim wydawało się, że to jest coś stałego, że nie ma co się Rosją zajmować. A ja byłem pierwszym „zwariowanym” człowiekiem, który uważał, że trzeba tę Rosję przepracować intelektualnie, mieć wiedzę o niej. I stąd np. jak wprowadzali stan wojenny i ci wszyscy z Solidarności się trzęśli, że białe niedźwiedzie czekają, to ja spałem spokojnie, w więzieniu na Rakowieckiej, bo wiedziałem, że oni nie wkroczą, że nie mają potencjału. To jest szkoła właśnie z jednej strony Łojka, żeby wiedzieć, że przywódca to jest człowiek, który wie, jaka jest wizja, jak to się będzie rozwijać, a z drugiej podobna wiedza od generała Pióro, że tak naprawdę to my zostaniemy tylko jeden na jeden z tymi czerwonymi komunistami, którzy już komunistami nie byli, ale aparaczkami i wcześniej czy później my ich załatwimy. Ten mój materiał o Rosji zrobił w kręgach opozycyjnych i korowskich bardzo duże wrażenie, oni byli nawet przekonani, że to Moczulski napisał.

– Pisałeś pod pseudonimem?

– Tak, i używałem przy pisaniu dwóch pseudonimów: pierwszy, którym podpisałem analizę o Rosji to Zdzisław Błoński od mojej rodowej miejscowości i Marek Siedlecki jako kontynuacja więzi z Podlasiem. Myślę, że wasza „Opinia” jest dobrym miejscem, aby po trzydziestu pięciu latach przypomnieć mój materiał, który, jeszcze raz podkreślam, był wtedy nie tylko pierwszy, ale i jedyny. W tym okresie Romek napisał „Historię KPP” jako Natalia Naruszewicz, a Moczułski robił „Rewolucję bez rewolucji”, którą sygnował swoim nazwiskiem. Ja robiłem tę Rosję i robiłem broszurę – ocenę krajowej sytuacji politycznej – co do dzisiaj robię. Robiłem to zaczynając od PZPR –u, po kolei wszystkie struktury jawne i podziemne. I to wszystko jeszcze na pierwszej rewizji mi zabrali. Nie wiedziałem, że tak szybko przyjdą i wyciągnęli mi owoc kilku miesięcy pisania. W moich teczkach z IPN-u też tego nie ma. Moja koncepcja jest taka, że ta nasza część jest gdzieś zamurowana i schowana przez przezornych ubeków. Ale również robiłem „Przeglądy”, których ukazało się 3-4. To trwało kilka miesięcy. Dostawali je ludzie z grupy rewolucyjnej młodych z PAX-u, no i ewentualnie z zewnątrz, jak np. Leszek Moczułski. Po tych 3-4 numerach, jak zacząłem jeździć z tym referatem „Czy ZSRR będzie interweniować?” to prawdopodobnie już było w Kielcach, był jakiś kapuś wśród lokalnych Pax-owców. No i wezwał mnie w kwietniu 1978 roku Reiff i rzucił mi na stół jeden z moich numerów „Przeglądu” i pyta co to jest? A ja myślę, kto mu to dał? Mówię: „Ale o co panu chodzi? Bardzo dobry przegląd, analiza”. Wtedy jego zamurowało, myślał, że będę płakał, kajał się. Wiadomo, że robić biuletyn antyrosyjski i antypartyjny wewnątrz struktury paxowskiej to głupota była albo i nie była. Potem, jak dostałem teczkę dowiedziałem się, kto to przekazał Reiffowi – to był Tadek Swat udający mojego przyjaciela, szefa struktur w Płocku. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, dlatego, że oprócz tej formacyjnej pracy zaczęliśmy przygotowywać coraz więcej ludzi podobnie myślących, co zaczęło budzić podejrzenia w tych starych z PAX-u, jak Reiff. Dziś wiadomo że mój „Przegląd” Reiff dostał od Kani, wtedy szefa bezpieczeństwa, który otrzymał je poprzez TW Tadeusz lub TW Krzyżak, bo takich dwóch pseudonimów używał Tadeusz Swat. Wtedy Reiff nie ujawnił mi, czy wie o wiele groźniejszej dla Pax naszej inicjatywie. Latem 1977 roku w naszej

grupie młodych szefów wojewódzkich dojrzewała myśl o potrzebie znalezienia nowej formuły działania. Tak się złożyło, że staliśmy się z Romkiem Szeremietiewem przywódcami grupy przy zachowaniu klarownego podziału terytorialnego. Romek kierował częścią zachodnią, a ja centrum i wschodem Polski. Pomysł był wspólny – na gruzach Pax-u, czyli po próbie przejęcia organizacji, mieliśmy zbudować partię polityczną oczywiście przeciwną PRL. Jeśli pomysł by się nie udało zrealizować, mieliśmy wyprowadzić nasze struktury wojewódzkie z Pax-u, a sami zrezygnować z pełnionych funkcji. Ideowo było oczywiste, że nasza partia będzie partią chadecką opartą o chrześcijaństwo i o patriotyzm. Podjąłem się przygotowania nowego pierwszego takiego pomysłu w całym układzie komunistycznym. Pierwszy kłopot miałem przy próbie opisu założeń ideowych chadecji. W dostępnych bibliotekach nic nie znalazłem, oprócz zbioru artykułów red. Stefanowicza o włoskiej chadecji. Musiało to wystarczyć. O wiele ważniejsze były prawne aspekty naszej inicjatywy. Otóż wtedy po raz pierwszy musieliśmy się zmierzyć z problemem legalizmu nowej partii. Z naszej analizy prawnej wynikało, że każda nowa partia nie musi mieć zgody żadnej władzy. To było najważniejsze. Legalizm. W późniejszych czasach tezę tę, jako własną, głosił Leszek Moczulski uważając się za jej autora, kreując się na twórcę pomysłu, który rzekomo wykorzystał przy powoływaniu KPN-u. Prawda była inna.

– Czyli jaka?

– W 1977 roku to my przy próbie powołania partii chadeckiej przeprowadziliśmy wariant legalizmu, który zrealizowaliśmy przy powołaniu KPN-u. Dowód na potwierdzenie naszego stwierdzenia jest dowodem materialnym i znajduje się w moich teczkach IPN-u. Lepszego i pewniejszego dowodu nie potrzeba. Otóż pierwsze zebranie organizacyjne odbyło się 27 stycznia w moim mieszkaniu na Stegnach. Wśród obecnych był także Tadeusz Swat który wyposażony przez SB w specjalny mały magnetofon nagrał całe nasze obrady, które następnie zostały spisane i są na karcie nr 113 moich teczek. Jak widać i z kapusiów może być pożytek. Mówię dlatego o tym podczas tego wywiadu dla zachowania prawdy historycznej. Chyba także tutaj jest po raz pierwszy ujawniana idea powołania partii politycznej, która wyprzedzała powstanie

KPN. Dla zachowania czystości historycznej muszę przypomnieć, że o naszej idei lojalnie uprzedziliśmy Leszka Moczulskiego. W rozmowie z Romkiem i ze mną był wyraźnie zaskoczony naszą ideą. Można powiedzieć, że próbował nam wylać na głowy kubel zimnej wody. Po pierwsze stwierdził, że jak można powoływać chadecję w kraju, gdzie 90% populacji jest katolikami. Po drugie nigdy nie dostaniemy poparcia polskiego Episkopatu. Pomimo zastrzeżeń Leszka doprowadziliśmy do pierwszego zebrania. Niestety drugie już się nie odbyło. W kwietniu odbyła się moja rozmowa z Reiffem. Czy wiedział on o naszej inicjatywie politycznej nie wiem do dzisiaj. Było oczywiście, że nie mamy możliwości przejścia Pax-u i że pozostaje nam drugi wariant, czyli rozbitcie organizacji. Telefonicznie umówiliśmy się u Maćka Pstrąga w Poznaniu. Już na dworcu zobaczyliśmy, że jesteśmy inwigilowani i że ubecy robią nam zdjęcia. Nie sądziliśmy, żeby groziło nam aresztowanie, ale trochę emocji było. Potwierdziliśmy, że bez walki się nie poddamy. Niestety okazało się to wielkim niewypałem. Bo gdy ja poszedłem na pierwszy ogień i zgodnie z ustaleniami nie złożyłem rezygnacji, a odwołałem się do swoich wyborców, z którymi byłem zaprzyjaźniony, doznałem pierwszej klęski, którą pamiętam do dziś. Jako młody człowiek nie wziąłem pod uwagę że większość moich członków to ludzie zatrudnieni w Pax-ie, że dla nich poparcie mnie oznaczać będzie utratę pracy. Był kwiecień 1978 roku i odwaga wtedy była szaleństwem. Cóż, ja musiałem to zrobić i podałem się do dymisji – zrezygnowałem z pracy w Pax-ie. Niestety druga klęska spotkała mnie od moich organizacyjnych kolegów, z których nikt nawet nie spróbował iść moim śladem, pomimo wcześniejszych zobowiązań. Można powiedzieć, że zostałem sam ze swoimi problemami. Gwoli prawdy szef Pax-u, Bolesław Piasecki, nie pozwolił mnie skrzywdzić. Moja postawa musiała mu się podobać, bo jeszcze po kilku miesiącach przychodziły do mnie listy z propozycjami pozostania w organizacji z pensją 6000 zł. Byłem konsekwentny – nie po to zrobiłem, to co zrobiłem, aby teraz się sprzedawać. Jak czytam swoje teczki z IPN to jednak jest miłe, że moja jakże krótka działalność w Pax-ie tak była wysoko oceniana, zarówno przez moich szefów, jak i przez SB.

– Rozumiem, że mimo tych wydarzeń nie żałujesz powziętej decyzji i nie uznajesz jej teraz np. za błąd?

– Oczywiście, że nie. W moim życiu skończył się etap pracy, jedynej mojej pracy w PRL-u. Już do końca istnienia PRL nie pracowałem. Za to blisko cztery lata spędziłem w więzieniu. I myślę, że chociaż częściowo odpowiedziałem na twoje podstawowe pytanie zadane na początku wywiadu. Ktoś to musiał zrobić i może dlatego „brudny paluch losu” wskazał – to ten.

Dziękuję bardzo za rozmowę

WYWIAD Z TADEUSZEM STAŃSKIM,
DZIAŁACZEM NIEPODLEGŁOŚCIOWYM,
OPOZYCYJONISTĄ W CZASACH PRL-U, CZ. II,
ROZMAWIAŁA KATARZYNA ŚNIADECKA

– Jak doszło do powstania i założenia KPN-u? Jakie były jej struktury, budowa, założenia?

– W 1975 roku Gierek zrobił reformę administracyjną tworząc 49 województw. Dzięki temu i w Pax-ie trzeba było zagospodarować nowe struktury. Kilku młodych takich, jak ja czy Romek Szeremietiew otrzymało szansę bycia szefami struktur wojewódzkich. Byliśmy intelektualnie i organizacyjnie sprawni: to wyszło przy tym, co robiliśmy, jako jedni z niewielu w wieku dwudziestu, trzydziestu kilku lat mieliśmy samodzielne jednostki terytorialne, za które odpowiadaliśmy. Musieliśmy stworzyć zarówno zespoły ludzkie, jak i pilnować finansów, mieliśmy własne budżety, mieliśmy po prostu doświadczenie, które mało kto wtedy miał. Po intensywnej pracy organizacyjnej w pierwszym okresie w naturalny sposób stanęły przed nami problemy ideowe i polityczne, gdyż idee Pax-u były dla nas niewystarczające. Spotykaliśmy się w kilka osób właściwie tworząc wewnątrz organizacji konspirację pokoleniową. Od kwietnia 1977 roku wydawałem w Siedlcach „Przegląd” przepisywany przez moją sekretarkę na maszynie. W sumie ukazało się cztery numery w nakładzie 30–40 stronicowym. Była to jedna z pierwszych tego typu inicjatyw – bardzo wysoko oceniał ich poziom Leszek Moczulski. Także w tym okresie rozpoczęliśmy prace nad stworzeniem na gruzach Pax-u partii politycznej. Mało kto wie, że istniała taka inicjatywa w styczniu 1978 roku, mamy jako dowód, że to była pierwsza próba przed KPN w postaci nagrania, jakiego dokonał na tajnym magnetofonie jeden z uczestników spotkania u mnie w domu. Był to Tadeusz Swat z Płocka, czyli TW „Tadeusz” i „Krzyżak”. Jak widać i kapusie do czegoś się przydawali i ten dokument wyraźnie pokazuje, dlaczego przy powołaniu KPN-u byliśmy

dobrze przygotowani. Trzeba tu od razu powiedzieć, że gdy o naszej inicjatywie powiedzieliśmy Moczulskiemu „oblał nas zimną wodą” twierdząc ku naszemu zdziwieniu, że nie dostaniemy poparcia ze strony episkopatu i że nie robi się partii chadeckiej w kraju gdzie 90 proc. jest katolikami. W tym okresie, jako jedyny chyba w kraju zajmowałem się problemem Rosji, uważając, że to Rosja jest naszym głównym wrogiem i jest naszym najważniejszym problemem. Wiedza o problemach Rosji, którą w formie artykułu umieściłem w 2 numerze „Drogi”, jako jedyny z całej opozycji, pozwoliła mi spokojnie czekać na upadek rodzimej komuny, co według mnie z powodu braku możliwości czynnego działania ZSRR było kwestią czasu. Jak się okazało, trzeba było 10 lat aby to się sprawdziło. Po tych moich wyjazdach i szkoleniach na temat tego, czy Sowieci są w stanie wkroczyć do Polski, czy nie, w ramach PAX-u, no i już wiadomo było, że zaczęło się obserwowanie nas, czyli całej tej grupy młodych podobnych do mnie, ale może nie tak dynamicznie działających. „Zajmowanie się” Rosją było tylko w Siedlcach, no i jakby przez to, że mieszkalem w Warszawie, to też „centrum” ciążyło do Warszawy. W kwietniu wezwał mnie wiceszef, Reiff i rzucił mi przed nos „Przegląd”, co dla nas było z jednej strony szokiem, bo tego pisma było wydrukowanych 16 albo 24 egzemplarzy, więc ktoś z tych ludzi był kapusiem. Reiff dostał to z Płocka od Stanisława Kani, I sekretarza, szefa bezpieczeństwa. Moje dni w Pax-ie były policzone. No, a jeżeli moje to i też, można powiedzieć, całego zespołu 5–7 przewodniczących oddziałów – z Gorzowa, Konina, Płocka, Łomży. Było wiadomo, że Centrala wie o inicjatywie, wie o aktywności, wie, czym jej to grozi. No i w tej rozmowie z Reiffem już wiadomo było, że jestem na straconej pozycji – po prostu do wyrzucenia. Zwołaliśmy w trybie nagłym całą grupę inicjatywną, która była przy robieniu partii i spotkaliśmy się w Poznaniu, bo część ludzi była z Gorzowa. To był Romek Szeremietiew, Tadeusz Jandziszak – „Pablo”. Ustaliliśmy, że spotkamy się w Poznaniu i po wyjściu z peronu zobaczyłem, że facet stoi z taką małą portmoneką w kształcie podkówki na brzuchu i naciska na nią robiąc zdjęcia. Wtedy ważniejsze od tego, że bezpieczeństwa nas pilnuje było coś innego, co ustaliliśmy w Poznaniu w mieszkaniu Macieja Pstrąga Bieleńskiego, że idziemy na wojnę tzn. każda próba odwołania kogokolwiek z nas powoduje reakcję pozostałych i wszyscy wychodzimy demonstracyjnie i robimy własną organizację. Moje od-

wołanie odbyło się w ten sposób, że już wcześniej w centrali powiedziałem, że ja się absolutnie nie zgadzam na rezygnację, że nie centrala mnie mianowała, ale zostałem wybrany głosami członków i jak chcą to możemy odwołać się do wyborców, czyli członków organizacji wojewódzkiej w Siedlcach, licząc, że pozostali koledzy zrobią to samo. To wszystko działo się w kwietniu, Reiff zwołał zebranie do Siedlec – zarządu, bo to zarząd jest władny w tych etapach wyborczych, no i przejechał się tam po mnie porządnie, bo ja tam byłem jeszcze jako gospodarz. Miałem 30 lat. Zostałem usunięty. W wieku 30 lat to człowiek jeszcze się tak nie przejmuje, tym bardziej, że jest przekonany o słuszności tego, co robi. No i stało się tak, że musiałem oddać to województwo, czyli straciłem apanaże, sekretariat, samochód służbowy, kontrolę, władzę, ale takie było założenie, że idziemy dalej. Ja poniosłem w tych Siedlcach porażkę, mam nauczkę do dnia dzisiejszego, bo ja z wieloma tymi ludźmi byłem autentycznie zaprzyjaźniony. I oni w trakcie tego głosowania byli przeciwko mnie.

– Czyli to był taki pierwszy poważny zawód na ludziach, z którymi się współpracuje?

– Tak i dopiero potem zacząłem sam ich rozgrzeszać. To byli w większości pracownicy INCO albo etatowi pracownicy PAX-u. I tak jak ja mogłem z dnia na dzień odejść, bo uważałem, że trzeba to zrobić, tzn. się postawić, to oni nie byli w stanie tego zrobić. Dzisiaj wiem z moich teczek, że bezpieka zaczęła mnie rozpracowywać w grudniu 1977 roku, gdzie nadano mi kryptonim „Mecenas”, natomiast w tym samym okresie zaczęto też rozpracowywać 3 osoby, które w PAX-ie były znaczące: Stanisław Oleksiak – prezes Światowego Związku Żołnierzy AK; Ryszard Jednorowski, aktualnie jeden z szefów Stowarzyszenia Fundacji; Janusz Sikorski, który został szefem Spółdzielni PAX-owskiej. W Siedlcach istniała szansa, że jako szef mogłem wysyłać ludzi na studia. I ja wysłałem w 1976 roku na studia 4 czy 5 osób, firma płaciła za te studia, za tzw. „sołtysówki” – 3-letnie studia administracji i zarządzania. Złożyłem rezygnację z członkostwa i z funkcji, natomiast ci moi pozostali koledzy, którzy mieli zrobić to samo tego nie zrobili i zostali w PAX-ie. Między innymi został Romek Szeremietiew, jeszcze 1,5 roku zatrudniony w Instytucie Pax-owskim – tym literackim. A ja zacząłem sobie szukać miejsca w życiu.

– Czy traktując to jako porażkę, dziś zrobiłbyś coś inaczej? Czy to był błąd w Twojej ocenie?

– Nie. W wieku 30 lat to po pierwsze człowiek jest po prostu młody, a po drugie, to był normalny błąd, który mógł się przytrafić każdemu, bo łatwiej było objąć problem rosyjski, niż obręb psychologii ludzi. A to prosta sprawa. Dzisiaj bym wiedział, mając po drodze kilka firm i instytucji, którymi kierowałem, jak ludzie reagują. Wtedy nie przewidziałem, jak ludzie zareagują, uważałem, że przyjaźń i więź ideowa są ważniejsze. Nie było na to niestety szans. Władze PAX-u mnie usunęły, natomiast wkroczył Piasecki, który zaczął mnie bronić. Dostałem propozycję zostania w PAX-ie, ale ponieważ była zasada, że odchodzimy z kolegami i robimy własną inicjatywę polityczną to ja konsekwentnie odszedłem, mimo wielu jeszcze prób pozostawienia mnie. Myślę, że Piasecki doceniał mimo wszystko to, co zrobiłem w tych Siedlcach, bo to było na skalę PAX-u duże moje osiągnięcie. W każdym razie ja odszedłem, a moi koledzy zostali, w związku z tym nie miałem zaplecza. Cały czas w orbicie był Leszek Moczulski. Ja Leszka Moczulskiego spotkałem w 1977 roku w czasie mojego obozu w Serwach, który prowadziłem dla młodzieży z Siedlec. Przywiózł go Romuald Szeremietiew. Nie zrobił wrażenia, nie miał referatu ideowego, nie miał referatu prognozującego, nie miał referatu taktycznego. Pływaliśmy po prostu na żaglówce „Omega”. Szeremietiew był w tym czasie w nn (nurcie niepodległościowym), nie ujawniał tego, bo to było zakonspirowane. Wyszło dopiero na procesie (proces I kierownictwa KPN). On był w tym nn od 1973 roku i współpracował ściśle, czyli od momentu wydania przez Moczulskiego książki „Wojna polska” i na tej zasadzie Szeremietiew odnalazł Moczulskiego, zaczęli się spotykać, zrobili nn. Na tej również zasadzie po tym obozie Romek przywiózł do mnie Moczulskiego na Stegny, gdzie wtedy mieszkalem. Zaczął często przyjeżdżać: widać było, że odpoczywa w tym domu, no i graliśmy też w szachy. Wynik był tak „fifty-fifty”. Ja wtedy pomagałem mu załatwiać papier i materiały do druku dla ROPCiO w latach 1977–1978. Jest to w aktach. Jeden z tych TW „Mariusz” pisał, że my popieramy KOR, jemu się myliło, nie wiedział zbytnio, co to jest ROPCiO. Inny TW, których wielu było w tym okresie wewnątrz PAX-u, zatrudniony był jako kierownik administracyjny, który donosił w czasach Tygodnika Powszechnego 1946–47, z piękną kartą

WIN-owską w Krakowie na biskupa Karola Wojtyłę. Potem donosił na mnie jako TW „Pióro”. Znalazłem jego pseudonim i mogę być dumny, że miałem wspólnego kapusia z papieżem! To jest nobilitacja! Moczulski przyjeżdżał coraz częściej na Stegny, bardzo skromny, bardzo dużo palący, z bardzo złym ubiorem, źle ubrany: spodnie odry, koszulka z wypaloną dziurą po papierosie na brzuchu. Zasada była, że zaczęliśmy coraz częściej gadać o polityce, a ja nie jeżdżę do niego, żeby nie przyciągać „ogonów”. I ta więź z Moczulskim zaczęła rosnąć przy tych szachach, polityce, ROPCiO, które było już w dezintegracji. W 1978 roku na wiosnę uaktywnił się Szeremietiew i zrobił konferencję prasową na temat ROPCiO w Warszawie. Ja w międzyczasie zebrałem gremia swoich przyjaciół i zaczęliśmy robić interesy, np. szycie ubrań, takich spodniczek w szkocką kratę.

– No bo przecież trzeba było się też z czegoś utrzymać.

– Żona, co prawda, była w ministerstwie i źle nie zarabiała, ale już, zawsze to głupio. I tak doszło do daty krytycznej. Datą krytyczną w historii Polski, polskiej opozycji i nas wszystkich z formacji niepodległościowej był 17 kwietnia 1979 rok. W tym dniu w Nowej Hucie próbowano wysadzić pomnik Lenina. Później Leszek twierdził, że to ludzie z KPN-u ze Śląska chcieli tego Lenina rozwalić. Tam błąd był polegający na tym, że dwa lonty, które były i dwie spłonki i dwa ładunki nie miały połączonego czynnika wybuchu, czyli spłonki, ale tylko spłonki mieli górnicze, bo to zresztą górnicy byli. Jeden przyznał się, że to on zrobił; w pierwszym rzucie to nogę temu pomnikowi wyrwało i to wybuch spowodował, że ta druga się ostała wyrzucona siłą podmuchu. Ładunek wyleciał, jedną nogę mu tylko wyrwało, właśnie 17.04.1979 roku i oni potem przez kilka dni, bo to Breżniew miał przyjechać do Nowej Huty, sklejali mu tę nogę. Testem dla wszystkich opozycjonistów jest 18.04.1979 roku – pytanie zasadnicze, czy miał ten ktoś rewizję, dlatego, że tak to wściekło „czerwonych”, że on wszystkie informacje, jakie mieli, wykorzystali i zrobili około 200 rewizji w całym kraju, czyli z naszej strony patrząc ujawnili swoje zasoby wiedzy o ludziach. I w ten sposób 18 kwietnia przyszli do mnie. Wtedy oni przyszli do Leszka, u Leszka były już wtedy rewizje, do Romka, do mnie i do ludzi, którzy byli związani z ruchem. I ponieważ my mieliśmy gotową koncepcję partii cha-

deckiej, założenia prawne, ideowe to po 18.04.1979 roku Romek stwierdził, że został przekroczony pewien próg dekonspiracji. ROPCiO stracił już wtedy swoją dynamikę i był już wewnętrznie skłócony także i przez bezpiekę, która tam miała agentów wpływu, no to my z Romkiem ustaliliśmy, że startujemy i poprosiliśmy Leszka na rozmowę. Rozmowa odbyła się u mnie na Stegnach na XII piętrze. Powiedzieliśmy Leszkowi od razu, że my się decydujemy i zakładamy partię polityczną i tu się zaczęła pierwsza zapaś, bo Leszek tego nie chciał. Według niego było za wcześnie na partię polityczną, że raczej powinniśmy włączyć się w ROPCiO i wzmocnić go. My czuliśmy zaś, że ROPCiO jest już tak wielkie i skłócone, że nie jest do obrony, że wejdziemy w konflikty personalne, kłótnie o agenturalność i pieniądze i że będziemy w „bagnie”. I ta zasada, którą ja później sformułowałem to zasada „strzały”, tzn., że w momencie, że jest jakiś duży „smród”, to nie należy wchodzić w to, ale uciekać do przodu, tak, jak właśnie strzała. Rozmowa miała bardzo ostry przebieg, dlatego, że po jakimś czasie, Leszek próbował nas do tego ROPCiO namówić. Mówił, że w ROPCiO ma całą grupę PAX - owców, że to bardzo wysoki poziom intelektualny, bo tak było rzeczywiście - rekomendował, że to jego grupa. Po 20 minutach stwierdziliśmy zgodnie z Romkiem, że jeśli Leszek nie chce, to zrobimy tę partię bez niego. I on zaczął się tu wycofywać. Propozycja nasza była dla niego, żeby to on objął przewodnictwo, dlatego, że 2 dni wcześniej rozważaliśmy też inną alternatywę, bo Moczulski nie był jedyną alternatywą. Drugą alternatywą był Andrzej Czuma, Wojtko Ziemińskiego nie braliśmy wtedy pod uwagę. Ale wtedy zadecydował Romek Szeremietiew, który mówił, że Czuma ma to, co my, czyli dobrą organizację, zdolności organizacyjne, natomiast nam potrzeba ideologa, który będzie prezentował nasze i moje koncepcje. I to zadecydowało, że 3-go maja 1979 roku ofertę złożyliśmy Moczulskiemu. Wykluczaliśmy absolutnie wspieranie ROPCiO, ja nic nie wiedziałem o nn, a naszą koncepcją było sformułowanie, że głównym wrogiem jest Rosja, a kiedy Rosja nie może działać, to bijemy się z naszymi czerwonymi, a z czerwonymi to my sobie damy radę w Polsce. Natomiast, żeby to zacząć to nie możemy założyć ruchu obrony ani jakiejś enigmatycznej organizacji, ale scentralizowaną organizację polityczną, jaką jest tylko partia. Wobec sytuacji, że nie było podziemnych czy jawnych partii opozycyjnych stwierdziliśmy, że ta partia będzie jawna, bo żeśmy już to rozpracowali rok

wcześniej przy zakładaniu partii chadeckiej. Strukturalnie, mentalnie byliśmy przygotowani, a fakt, że bezpieka o nas wie, utwierdziła nas tylko w przekonaniu, że jak spadać to z wysokiego konia. Po 20 minutach Moczulski załamał się i zgodził. Zaproponował nazwę „Obóz Polski Niepodległej”. Ja zaproponowałem „Konfederację”, bo „Obóz” wydawał mi się endecką nazwą, a Polacy zawsze w stanach zagrożenia przeciw konfederacji zawiązywali. Nazwa „Konfederacja Polski Niepodległej” została 3 maja zatwierdzona przez Leszka i Romka, chociaż zakładaliśmy, że nazwą partii będzie wówczas PPN, ale taką partię dopiero jednak w 1985 roku założyliśmy. Romek wtedy stwierdził, że jest to „Polskie Porozumienie Niepodległościowe”, więc odstąpiliśmy od tej nazwy, żeby nie wchodzić w niczyje „buty” i aby nie być posądzonym o prowokację czy podejrzenie o ubeckie inicjatywy. Więc nazwę „Konfederacji” przypisuję sobie na zasadzie trafionego strzału. I od tego momentu zaczęliśmy przygotowywać partię polityczną. Były tej partii 2 wizje: raz – żeby to zrobić na zasadzie skonfederowanych grup politycznych, a ja dążyłem, żeby zrobić partię scentralizowaną. Z natury rzeczy każda partia powinna być scentralizowana, nie chcę powiedzieć typu bolszewickiego, ale to cytowałem często w tamtym okresie, że partia jest po to, żeby osiągnąć władzę i żeby zrealizować cele partii poprzez członków, którzy tam płacą składki i są posłuszni partii, bo to jest ta „definicja leninowska”. Ale nie udało się, dlatego, że z tego całego zespołu, który tworzył konfederację, jakby część była pod wpływem naszym, można powiedzieć, czyli tej formacji i była formuła ludzi od Leszka z Krakowa, gdzie był tzw. „Związek Socjalistów Polskich” Krzysztofa Gąsiorowskiego, jak się okazało później TW. I oni strasznie parli, że jest partia, ale są grupy skonfederowane i Leszek siedł w tym kierunku. Natomiast my założyliśmy naszą grupę podlaską ludową na bazie NSZ związaną ze mną i Zygmuntem Goławskim, żeby pokazać też ruch chadecki. „Pablo” Jandziszak i Romek założyli „Polski Związek Katolicki”. Na Dolnym Śląsku ta grupa była jako kontynuacja tej naszej „chadeckości”. Ja do KPN przystąpiłem jako członek bez żadnej grupy skonfederowanej, bo chciałem być konsekwentny i uważałem, że to powinno być właśnie na zasadzie scentralizowanej. Ale nie udało się. Skład kierownictwa był 3-osobowy tzn. Leszek jako szef, Romek od zadań ideowych, no i ja jako organizator. Latem 1979 roku zorganizowaliśmy obóz nad Zegrzem. Tam uczestnikiem był Apolinary Wilk – TW. W moich

teczkach zachowało się jego sprawozdanie z tego obozu, jako TW „Zenon”. On raportuje, że dwóch ludzi dążyło do powołania partii – Stański i Szeremietiew. Pływaliśmy na „Omedze” sportowej i tam omawialiśmy plany powoływania partii. Przyjeżdżali ludzie z „Ruchu Młodej Polski”, ludzie z Krakowa, do dziś związani z nami. Ludzie, którzy nie zaakceptowali wiarygodności Moczulskiego i wyjechali. Nie skonfederowali się. Dopiero przystąpili do nas do PPN. Do dziś w fundacji wszystko razem robimy. Przewodził tej grupie Marian Banaś. On zawsze wspomina, że wiarygodność, nierealność polityczna, a realność psychologiczna Moczulskiego była na dość niskim poziomie, bo bardzo się zapadał, „błądził w obłokach”. Mało tam było konkretów. Ta grupa krakowska wyjechała. Ale był inny mój kolega, Wiesław Wysocki, obecnie profesor, który też był tam na tym obozie i też do KPN się nie załapał na tej zasadzie. Ten obóz jest o tyle ważny, że potwierdza informację, że dążenie do powołania partii to było działanie Szeremietiewa i Stańskiego. Potem był 1 września, a 1 września, jak było to wszyscy wiedzą. Jest taka ciekawostka, gdzie nie jest nigdzie opisana, dlatego, że na 3 września przewidywaliśmy konferencję prasową. A Moczulski dalej chodził w „odrach”, sandałach i białej bluzeczce z wypaloną dziurą po papierosie. Ale przed powołaniem KPN pewnego dnia przyjechał i powiedział, że rzucił palenie, a palił 2 paczki dziennie „sportów”! Bardzo dużo palił. Mi to imponowało, że jednak potrafi taką decyzję podjąć i rzucił te papierosy. I więcej go z tymi papierosami nie widziałem.

– To prawdziwa siła charakteru.!

– Tak, chapeau bas. Ale ustaliliśmy z moją żoną, Alą, że trzeba go ubrać na tę konferencję prasową. I w piątek poszliśmy do Domów Centrum i wybraliśmy mu garnitur. Alą ustaliła, że będzie mu dobrze w niebieskiej koszuli. W tym garniturze występował jeszcze w Sejmie, taki jasny garnitur.

– Ach, to ten jasny garnitur, pamiętam z któregoś zdjęcia.

– Tak, jasny garnitur, bo był sierpień. Ciepło było wtedy. W tę sobotę miała być msza z okazji 1 września w kościele Św. Krzyża. I to było ustalone przeze mnie jako ostatni punkt rezerwowy. I byliśmy umówieni, że jeszcze kupimy mu buty i że o godzinie 16-tej przyjedziemy jeszcze do tego kościoła. No i mi-

nęła 15, 16 i ja dzwonię i odebrała Elka (Elżbieta Król), pasierbica i mówi: „a u nas jest rewizja” i nas rozłączyli. Część z tych (ważniejszych osób), co przychodzili na Jaracza funkcjonariusze SB wywozili od razu do Pałacu Mostowskich, a część na dworce i wysyłali z powrotem do Wrocławia czy Lublina. Ja poszedłem do kościoła, tam był m.in. Andrzej Szomański, Stefan Melak, który był później szefem mojej struktury warszawskiej. Powiedziałem im, że jest „kocioł” u Leszka i że wszystko idzie dalej zgodnie z planem. Całe moje przygotowania organizacyjne polegały na tym, że ja musiałem uruchomić moje tajne struktury, gdzie ja nie dopuszczałem nikogo, nawet Leszka, a zwłaszcza ludzi, których on przyprowadził z ROPCiO, którzy byli TW, jak dzisiaj się okazało. Moczulski przyprowadził trzech ludzi ze sobą z ROPCiO, TW. Stąd tak dużo jest TW wśród przedstawicieli kierownictwa.

– Właśnie to był duży problem, ale przecież nie tylko KPN-u.

– Z moich obliczeń 30–50% to byli TW: na 50 założycieli 25 było prawdopodobnie TW. Wracając do 1 września 1979 roku wszystko szło zgodnie z planem i nam było potrzebne to, żeby nas zamknęli, bo wysłaliśmy informacje do Londynu – zawiadomienie o powstaniu KPN, a ja, jako organizacyjny poprzez swoje struktury, które jeszcze nigdy nie zostały wykryte przez cały stan wojenny, np. w Mińsku, czy moje grupy po PAX-ie – to oni mieli wydrukowane ulotki i te ulotki rozrzucili w czasie manifestacji. Ja 1 wrześnię pojechałem w garniturze na Jaracza i oczywiście późniejszy minister Ankiewicz (oficer SB, Andrzej Ankiewicz) powiedział: „O! Pan Stański, prosimy”. Zawieźli mnie na Pałac Mostowskich i na rewizję do mojego domu. Tam się przebrałem w ciuchy bardziej pasujące do więzienia. 1 września liczyliśmy na 48 h, ale nie przewidzieliśmy, że oni dadzą nam sankcje. Ze względu na to, co nazwaliśmy legalizmem KPN-u, wiedzieliśmy, że sytuacja jest już po „Helsinkach” (konferencja OBWE w 1975 roku), po ratyfikacji Praw Człowieka i Obywatela, a Gierek kokietuje zachód, potrzebuje kredytów, więc wsadzać ludzi do więzienia, to tak jakoś niezręcznie, a w ogóle, że nie wolno zakładać partii politycznych, to już w ogóle głupota jakaś wychodziła. My wykorzystaliśmy absolutną lukę prawną, absolutną niemożność politycznego działania przez bezpiekę i przez władzę, przy czym bezpieka, jak każda policja jest do realizacji, ale decyzji poli-

tycznych i tych decyzji politycznych ostrych nie spodziewaliśmy się i mieliśmy rację, bo nic nas nie spotkało. Wsadzili nas: Romka i Leszka na noc, a mnie następnego dnia i o 23 w nocy przyszedł „klawisz” i kazał się pakować i wyrzucili mnie z więzienia. W nocy się zaczęło, bo wszyscy, co nie zostali wyrzuceni to wracali na Jaracza. Zrobiliśmy I posiedzenie Rady Politycznej. Statut był już przygotowany. Statut przygotował Leszek, o ile pamiętam. Deklarację również napisał Leszek i deklaracje o przystąpieniu do KPN złożył w nocy Wojtek Szostak z Łodzi, syn pułkownika Szostaka, pięknej postaci z powstania warszawskiego i później z walk z komuną. Leszek zapytał, czy go przyjąć na członka, ja zaproponowałem, żeby przypisać do założycieli, stąd różna liczba założycieli. Poza tym niektórzy zaczęli się wycofywać. Pierwsza wycofała się literatka z Powiśla współpracująca z Moczulskim, pani Chylińska. Byłem przy tej rozmowie, nieprzyjemna była ta rozmowa, bo ona zabroniła używać swojego nazwiska. Niektórzy występowali pod pseudonimami, jak Zygmunt Goławski, Andrzej Szomański, Stefan Kurowski – profesor.

– Jaki był powód tej rezygnacji?

– Naciski bezpieki. Pani Chylińska nie dała się przekonać i jej nazwiska nigdy już nie było. Rozmowa była nieprzyjemna, bo Moczulski też uniósł się, że co ona mu tu mówi o wolności i niepodległości, skoro on był aresztowany i miał połamane żebra w Pałacu Mostowskim. Ja się wtedy pierwszy raz dowiedziałem, że on został aresztowany i taka jego reakcja. Do dziś zastanawiam się, na ile to był z jego strony „teatr”, a na ile to było spontaniczne. Do dziś nie umiem na to odpowiedzieć, a mogło być i to, i to.

– Jakie działania zostały podjęte później?

– Ja zostałem szefem organizacyjnym i szefem obszaru nr I. Zrobiliśmy 4 obszary. Obszar centralny z Warszawą, obszar II – Kraków (Krzysztof Gąsiorowski, TW), III – Wrocław („Pablo” – Tadeusz Jandziszak), IV – Szczecin, Wybrzeże, który prowadził Nowak, TW (jak się później okazało). Zaczęła się normalna działalność – zrobiliśmy, wydrukowaliśmy legitymacje – to był pomysł Leszka kodowanie tych legitymacji. Polegał na tym, że pierwsza liczba była cyfrą obszaru, druga liczba była przypisana ludziom mającym prawo wy-

dawania legitymacji, np. ja miałem w Warszawie w okręgu centralnym nr 1, a później pięć cyfr było dowolnych. „1” znaczyło, że legitymacja jest wydawana przeze mnie i ja musiałem ją weryfikować. Ja przyjmowałem ludzi i wystawiałem legitymacje, taki był pomysł. Na początku było nas bardzo mało. Ta numeracja została wzięta z kodowania książeczek żeglarskich, ale o tym dowiedziałem się dopiero w latach 90-tych. To jest prawdopodobne, bo Moczulski był żeglarzem. Bardzo szybko Nina Milewska przywiozła znaczki z Gdańska. My te znaczki zaczęliśmy nosić między innymi na procesach i za to zaczęli nam robić kolegia. 17 września jadąc ze Stegien na murze ambasady ZSRR był olbrzymi napis:” 17 września pamiętamy!”.Na mnie to zrobiło wrażenie i zaimponowało mi to, to miało miejsce oczywiście blisko ambasady sowieckiej –udany to był „mały sabotaż”. I mówię do Leszka o tym napisie i że my też musimy coś takiego robić: do moich zadań należało zrobienie młodzieżówki. I wtedy Leszek usiadł przy biurku i do napisu KPN dorysował znak kotwicy, jako nawiązanie do PW (Polski Walczącej). To poszło też na znaczki.

– Trzeba przyznać, że to bardzo udany znaczek.

– 16 stycznia była, o ile pamiętam, I-sza rada polityczna, dotyczyła spraw statutowych typu np. jaki kolor. Ja zaproponowałem niebieski, bo reszta kolorów czerwony, czarny, biały były już zajęte. Dlatego w statucie jest kolor niebieski jako kolor organizacyjny. Na 17 września zrobiliśmy I-szą rezolucję dotyczącą deportacji – w związku z wkroczeniem Rosji w dniu 17.09.1939 roku. I-sza rezolucja dotyczy wojny polsko-rosyjskiej. W międzyczasie wydaliśmy broszurę programową i ideową – czyli były legitymacje, członkostwo, były znaczki, był symbol KPN. Ale naboru i parcia na struktury dużego nie było. To nie było takie proste. Ludzie, którzy przychodzili, jak bracia Rosowie, od razu byli namierzani i ja wtedy wprowadziłem taką zasadę, że jak ktoś już wpada to przechodzi do jawnej struktury. Leszek nie dbał o bezpieczeństwo ludzi. Ja natomiast starałem się jak najdłużej trzymać tych ludzi poza bezpieczeństwem w konspiracji. Stąd nie chciałem, żeby przychodzili do biura, bo tu było najłatwiej o „ogon”, dlatego ja pisałem pierwszą instrukcję jako prawnik, o tym, jak się zachowywać w razie kontaktu. Najważniejsza zasada: nie rozmawiać! Bo jak zaczniesz gadać to zaczną cię męczyć: przesłuchanie, 48 h... itd.

– Jakie działania podjęli inni?

– Leszek w tym czasie pisał „Rewolucję bez rewolucji”. Pisał to na przełomie zimy i wiosny. Pisał to na karteczkach, „maczkami”, na moich oczach, jak zawodowy dziennikarz. Ja miałem zakonspirowaną grupę mińską, oni przechowywali kasety z nagraniami z procesu (proces I kierownictwa KPN). Leszek, jak typowy przywódca, nie cenił ludzi - ich bezpieczeństwa, żeby przechodzić do struktur jawnych w razie wykrycia. Nie dbał o to, bo zawsze przenosił zdobycie nowej grupy nad utratą starej. Dla grup młodzieżowych to było bardzo niebezpieczne, bo groziło im za to wyrzucenie ze szkoły. Były dziewczyny, bardzo bojowe – Jarka i Bożena z Liceum Pedagogicznego. Takich ludzi starałem się chronić. Szef młodzieżówki – Leszek Krajewski – wpadł bardzo wcześniej, przez Moczulskiego wpadł, mówi o tym w swojej książce „KPN”. Dał mi nawet 10 egzemplarzy tej książki, ale każdy, kto przychodzi to bierze, no to ma już po prostu pamiątkę o mnie, bo książka jest z dedykacją dla mnie. Czego ich uczyłem? – patriotyzmu ich uczyłem. To ważne jest, żeby pokazać, że to naprawdę myśmy robili, bo to wiesz, żeby teraz nikt nie zarzucił, jak z tymi powstańcami, że to sami bohaterowie. Tych bohaterów było wtedy bardzo mało, nie ma co ukrywać...

– Ale te struktury, rozumiem, w jakiś sposób powiększały się jednak?

– Wolno, ale powiększały się przede wszystkim przez młodzież i tę studencką, i tę maturalną, choć formalnie przed maturą tj. przed 18 rokiem życia nie mogli należeć, ale my żeśmy już nie wchodzili w to, wiesz... Dużo po drodze różnego rodzaju takich „lewych” ludzi się zdarzało, którzy byli przez bezpiekę nasyłani, tu były już takie próby, do celi na 48 h mnie wrzucali, dawali faceta, a on, twierdzi, że ma powielacz. To właśnie Staszak opisuje operacje ze złodziejem, który twierdzi, że ma powielacz, a my mamy w oczach to, co z Czumą zrobili, że za kradzież powielacza idzie się „siedzieć”. Potem ci ludzie spisywali tomy donosów na tej maszynie np. z rocznej działalności. Jeden tylko dostał zgodę od Kiszczaka na napisanie sprawozdania od razu na maszynie, to jedyny taki przypadek. I on napisał 12 tomów codziennych sprawozdań, bo codziennie był na Jaracza, oni byli na tzw. sekretariacie, którym ja kierowałem i to właśnie byli ludzie od Moczulskiego, on przyniósł tych wszystkich ludzi z ROPCiO. Za nim przyszli ludzie, połowa –

$\frac{3}{4}$ tych agentów, dowodów nie ma, mówię o ich teczkach - po prostu łamali tych ludzi. Tych ludzi już obłamano, już byli kierowani, można powiedzieć do Moczulskiego pewnie pod takim hasłem. No bo jak na tym procesie i u niego dookoła mieli rozpracować całe to środowisko? Stąd ta koncepcja, że bezpieka chciała mieć pod kontrolą środowiska niepodległościowców, a nie takich wariatów kilku, jakimi my byliśmy.

Wróćmy jednak do tego, dlaczego Moczulski został wodzem, bo to jest istotne, bo to zostało w historii przemięcone, ale jak to było naprawdę, to nigdy jakby nie poszło. Otóż, zaczęło się to wszystko chyba we wrześniu 1979 roku, gdzie po powołaniu KPN-u bardzo ostry atak poszedł ze strony KOR-u. Wtedy właśnie ukazał się ten słynny materiał „Drogą podłości do niepodległości” Walca (Jan Walc, „Biuletyn Informacyjny KOR” nr 7/33, wrzesień - październik 1979 rok). Oni też zaczęli wtedy formować tezę, że Moczulski jest agentem i obok Moczulskiego zaczęli wymieniać nazwisko Gąsiorowskiego – szefa Krakowa, z tych „socjalistów pieprzonych”, jak myśmy to nazywali z Romkiem i na jednym z sekretariatów zaproponowałem przyjęcie modelu takiego, żeby dobrego imienia Moczulskiego bronić. Gąsiorowski wtedy nie był brany pod uwagę. Po prostu bronić na zasadzie takiej, jak jest u faszystów włoskich, czyli wódz ma zawsze rację: „Il Duce ha sempre ragione”. I to się przyjęło, zaczęliśmy nazywać go „Wodzem” w kręgu sekretariatu i kilku tam osób. Normalnym jest, że zaczęło to wychodzić poza i zostało to bardzo źle przyjęte przez część środowiska, np. Romek miał bardzo duże pretensje do mnie, bo to było w ogóle nie do pomyślenia, żeby kogoś nazywać wodzem. A mi chodziło nie o samo to, że on jest tym wodzem, tylko, że należy go bronić przy tych pomówieniach – bo nikomu do głowy nie przyszło, że on jakkolwiek miał jakąś przeszłość „przechłapaną” i ewentualne kontakty z tym wszystkim. Mnie to do głowy nie przyszło, to było poza moją wyobraźnią. I najgorsze w tym wszystkim, zresztą to do dnia dzisiejszego jakoś trudno zrozumieć, po co człowiek by się dał zamykać na tyle lat w więzieniu? Po co to wszystko robił? Rdzeniem ideowo – organizacyjnym KPN-u było 7–10 osób, z czego 2 było TW z Krakowa niestety i ze Szczecina. Najgorsze to, co ja uważam z tego wszystkiego jest to, że on uwierzył, że jest wodzem i to nie przez zasługi, jakie zrobił, że walczył jak Cezar, Napoleon, czy nawet Hitler...

– Czyli na zasadzie, „jeśli uważacie, że jestem wodzem to znaczy, że ja rzeczywiście nim jestem...”

– ...no to dobrze, to ja tą rolę będę” i to już mu dobrze wychodziło, ale źle mu wyszło w Barczewie (więzienie w Barczewie o surowym rygorze, w którym zostali osadzeni po procesie L. Moczulski, T. Stański i R. Szeremietiew). Ale to już jest ten następny etap. W każdym razie na tym pierwszym etapie w KPN-ie to najważniejsze są dwa wydarzenia polityczne. Pierwszym wydarzeniem na pewno był udział w wyborach do parlamentu – Sejmu w marcu 1980 roku. Wtedy ukazała się broszura Romka Szeremietiewa jako „Natalii Naruszewicz”, „Historia KPP” – i tam w trakcie omawiania historii KPP Romek pisze o zarzutach Stalina w stosunku do KPP, że oni nie wykorzystali sytuacji i w legalnych wyborach nie wystartowali; oni traktowali II Rzeczpospolitą jako państwo wrogie i im do głowy nie przyszło, żeby taką możliwość wykorzystać, jak im to Stalin zarzucał, to był ich błąd i jedna z przyczyn niepowodzeń, że właśnie nie startowali w wyborach w 1922 roku. Legalnej drogi nie wykorzystali, bo im do głowy to nie przyszło, ale jak dziś pamiętam ten fragment historii KPP, jak to w styczniu była Rada Polityczna i ja opracowałem taką koncepcję, że my jako legalna partia polityczna, żeby zaakcentować swój legalizm, swoje istnienie, ale także podmiotowość i znaczenie to powinniśmy wystartować w tych wyborach. Leszkowi Moczulskiemu od razu spodobała się ta koncepcja i powiedział że wystarczy 8-miu, bo osiem osób tworzy koło poselskie, czyli zgłaszamy 8-miu i zaczęliśmy przymierzać tych ludzi. To był mój pomysł, największy polityczny pomysł całego KPN-u.

– Inspiracja z książki... ?

– Tak, z tej książki Szeremietiewa, ale dla mnie jako dla prawnika to wychodziło, jako też dla organizatora, kiedy cały czas starałem się dynamizować i na członków mogliśmy czekać, natomiast cały czas mogliśmy podejmować działania, które by nas konstruowały i tworzyły jako partię polityczną, a jak partia polityczna, to i powinna konsekwencje tego, że jest nazywana partią, ponosić.

– Startować w wyborach na przykład... ?

– ...wszystko robić, startować w wyborach i Leszek wtedy na tej radzie powiedział, że tych 8-miu trzeba wystawić, żeby było „Koło” i tych 8-miu wytypowaliśmy, ale mało tego – zrobiliśmy pierwszy ruch, czyli zaczęliśmy ich rejestrować jako kandydatów i zanim oni się zorientowali to zdaje się, że dwóch, a jeden na pewno w Lublinie zostali zarejestrowani. Potem zostali wykasowani, ale dwóch przeszło, a reszta już miała potem kłopoty, bo już oni (SB) zorientowali się.

– Zorientowali się w tej całej grze?

– Tak, ale im do głowy nie przyszło, że ktoś poza Frontem Jedności Narodu może jeszcze zgłaszać, a dla mnie to było normalne i logiczne, bo jeżeli jesteśmy legalni, jesteśmy partią, to i zgłaszamy kandydatów. Leszek napisał dla nich program. Wiązało się to z pewną sytuacją, bo ten program trzeba było przerzucić na Zachód i ja wymyśliłem, że spróbujemy uruchomić coś, czego oni nie kontrolują. Wymyśliłem, że bezpieka kontroluje telefony, ale nie kontroluje faksów, właściwie nie faksów, tylko dalekopisów. Dalekopis wtedy to był na Poczcie Głównej, ten nasz program był na 8-miu stronach, o ile dobrze pamiętam, no i ja wziąłem właśnie „Anioła”, czyli Staszka Rajskiego i poszliśmy z jednym egzemplarzem na ulicę Nowogrodzką na Poczcie Główną. Poprosiliśmy o wysłanie tego do Kanady, do biura kanadyjskiego, do gazety, do tego człowieka, co potem startował na prezydenta Białorusi (chodzi o Aleksandra Pruszyńskiego: urodził się w 1934 roku z obwodzie grodzieńskim; do 1992 roku mieszkał w Kanadzie; po upadku Związku Radzieckiego podjął starania o odzyskanie rodzinnego majątku na Grodzieńszczyźnie, próbował też zaistnieć w życiu politycznym Białorusi, min. kandydując w wyborach prezydenckich w 1994 roku). Kobieta wzięła to w okienku, ponieważ dalekopisy były w osobnym pomieszczeniu i powiedziała coś takiego, że ma w tym momencie kłopoty z dalekopisem i że mamy przyjść za godzinę, więc poszliśmy na kawę.

– To jest telex czy jeszcze coś innego ?

– Dalekopis to jest telex, tylko, że jego się pisało, a ona musiała przepisywać, to nie było tak, że robiła ksero, bo to już wyższa jakość była.

– To już jest jakby prototyp fax-u ?

– Tak, a dalekopis to ona pisała na maszynie i to przechodziło specjalnymi łączami, kanałem podwodnym prawdopodobnie pod Atlantykiem, co byłoby bardzo dobre. Jak wróciliśmy ze Staszkiem, on to opisuje, że po godzinie to już bezpieka na nas czekała i nas wzięła, zwinęła i zawieźli nas na Malczewskiego: jego do jednej celi, mnie do drugiej i wtedy właśnie był ten śmieszny przypadek, można powiedzieć, gdzie „klawisze”, gliniarze latali po wódkę dla nas. Siedziałem właśnie też z jakimś podstawionym agentem i on się pyta czy wódkę chcę, ja na to: „jak to wódkę? Na dołku? A syf?” Bo to na komendzie straszny syf był już wtedy. „No a chcesz? Masz pieniądze? No mam, tylko w depozycie mam”, a to oni biorą pieniądze za to i przynoszą, mają swoją metę gliniarze i ja mówię, „jak to, zaraz poczekaj, jak masz w depozycie pieniądze to ja zaraz załatwię” i zastukał, ten go wypuścił, poszedł, pogadał, to była już północ, a nas zwinęli gdzieś 7:00-8:00, później zanim nas tam zawieźli, przyjeźli, to nic nie gadali. Zasada była, że nigdy już nie miałem żadnych przesłuchań, oprócz tej, co jest napisane, jak mnie pierwszy raz złapali przy Papieżu, we wspomnieniach to jest zamieszczone. Więcej nie miałem żadnej rozmowy, no i gdzieś po 1:00 „klawisz” otwiera i woła mnie, a w dyżurce 0,5 litra stoi „Bałtyckiej” to ja mówię do „klawisza”: „Pan obudzi tego mojego kolegę”, Staszek wchodzi zaspany i ja się go pytam: „Chcesz się wódki napić ?” A on zaszokowany „tak i nie”... Co mówisz ? Co mówisz ?”. No i wypiliśmy te 0,5 litra, co mnie bawiło, bo to wiesz, ja uważałem, że to my demoralizujemy policję, znaczy tych „klawiszów”, ale zdaje się, że to oni myśleli, że to oni nas zdemoralizują, bo w pewnym momencie mówi: „Mamy trzy dziewczynki może chcecie iść ?”. Taka propozycja, no to już mówię, to za daleko posunięta demoralizacja...

– Ale może rzeczywiście liczyli na jakąś taką waszą głupotę ?

– Głupotę, tak bardzo możliwe, no bo to zrobić zdjęcia albo oskarżenia o gwałt czy coś...

– ...łatwo się skompromitować ...

– No tak, to tak jak z tą maszyną drukarską, ale wtedy trafiliśmy i mogę opowiadać, jak to w dołku piłem gorzałę - to jest prawda historyczna, bo tak

Staszek też to opisuje w swojej książce. To nie poszło, więc przestaliśmy ten program później, ale bardziej ciekawe było OBWE, zjazd wszystkich państw komitetu Obrony Praw Człowieka po Helsinkach, wtedy też Leszek napisał tekst wielostronicowy i to poszło już przez Zbysška Wołyńskiego przez ambasadę amerykańską prawdopodobnie, bo on miał kontakt przez Amerykanów. Wiedzieliśmy, że dotarło i to była druga inicjatywa, a najważniejsze, żeby te wybory zrobić, no i udało się, bo to szum zrobiło. Leszek w czasie procesu, bo ja nie miałem takiej informacji, powiedział dosłownie, że na biurze politycznym stanęła sprawa, że tu KPN zgłosił ośmiu kandydatów i Gierek miał powiedzieć: „Dzisiaj się zgodzimy na ośmiu, a w następnych wyborach będzie 8 tysięcy”. Druga sprawa była związana z Katyniem i w kwietniu już była struktura warszawska, był mianowany Stefan Melak, który nie przychodził na Jaracza, ja się z nim na mieście widywałem i prowadził konspirację, już wtedy robił Komitet Katyński. Wcześniej w grudniu 1979 roku na rocznicę wydarzeń stoczniowych tych z 1970 roku Antek Macierewicz chciał zrobić „zadymę” tu w Warszawie i wtedy oni nas wszystkich wsadzili na sankcje, ja w grudniu 1979 roku dostałem pierwszą sankcję, Moczulski zresztą też. Opisuje tę całą historię Kuroń, który nie wiedział, że ja poszedłem przez Antka siedzieć, ale Kuroń to opisuje, że Macierewicz w ramach walki z Kuroniem i z Michnikiem chciał zrobić manifestację po mszy i zadymę w Warszawie i dlatego oni profilaktycznie nas wszystkich zamknęli i dostałem sankcje po raz pierwszy w grudniu, drugą sankcję i tu już dochodzimy do czasu, kiedy zaczynają się strajki na Wybrzeżu. Pierwsze strajki wybuchły w Świdniku i w Lublinie, a zwłaszcza w Świdniku. Szefową w Lublinie bardzo aktywną była sympatyczna Teresa Korprowska, patriotka, która studiowała na KUL-u. Ona się dowiedziała, przyjechała, bo już połączenia były... w telewizji nic nie było oczywiście na ten temat, ale że Świdnik stawał, że węzeł, kolej itd. i że zaczyna też Lublin. Teresa przywiozła nam pierwszą informację o Świdniku i potem już była ta „rewolucja bez rewolucji”, która narobiła jednak szumu i ustaliliśmy, że Radę Polityczną latem w lipcu robimy w Bydgoszczy u rodziców właśnie tej Tereski. Ja akurat byłem na wczasach koło Bydgoszczy nad Notecią koło Fordonu. Ala, moja żona, pracowała w Ministerstwie Sprawiedliwości i miała te wczasy wszystkie ministerialne, one były przy ośrodkach więziennych, no to jak np. potem sie-

dzieliśmy w Barczewie, to Barczewo miało swój ośrodek w Kikicach, w których też byłem i Ci „klawisze” tam w tym ośrodku oczywiście, bo to tanie wszystko było. Jak wtedy żeśmy zdecydowali, że robimy Radę Polityczną w Bydgoszczy u rodziców Tereski i ja z tego ośrodka znad Brdy, co tam miałem 20 km, przyjechałem i wtedy Leszek zdawał sprawozdanie, to było na początku lipca w Gdańsku i między innymi rozmawiał z Wałęsą. Tak przedstawiał to Moczulski, który tam był prowadzany przez Ruch Młodej Polski i który to (Wałęsa) nie chciał się afiliować do KPN-u i poszedł swoją drogą. Oni doprowadzili do spotkania z Wałęsą, no i według relacji Moczulskiego Wałęsa miał powiedzieć: „No, Panie Leszek, z Panem to tak szybko, porządnie się rozmawia i nie ma kontrowersji, a z tymi KOR-owcami to ja do ładu nie mogę dojść” i zostało dokonane ustalenie, że ja w sierpniu pojadę do Wałęsy i przyjmę go w tajny sposób do KPN-u, bo wtedy był finansowany przez KOR i nie chciał tego tracić. Wtedy mi przekazano po prostu takie ustalenia. Ale sierpień 1980 roku stworzył inną rzeczywistość i nigdy nie poznałem Wałęsy. Można powiedzieć miałem szczęście. To tak dla historii.

Dziękuję za rozmowę

Z PROF. DR. HAB. ROMUALDEM SZEREMIETIEWEM
ROZMAWIA KATARZYNA ŚNIADECKA

Chciałam zapytać o Pana o wydarzenia związane z KPN – sprawa testowania kwestii legalności KPN i związanych z tym zatrzymaniami. Czy Pan przewidywał taki scenariusz?

– Problem związany z podjęciem działalności niepodległościowej polegał tylko na tym, czy rozkład reżimu jest już tak daleko posunięty, że władze PRL nie będą w stanie przy pomocy Służby Bezpieczeństwa zdusić tego działania. Nasza analiza, gdy wypracowaliśmy decyzję budowania niepodległościowej partii politycznej upewniały, że będzie to możliwe. Ponadto trzeba też przypomnieć, że decydując się na taki kierunek działalności wychodziliśmy poza ramy tzw. opozycji demokratycznej; KOR i ROPCiO to były formacje, które deklarowały, że chcą bronić praw człowieka w ramach prawnych reżimu PRL. KPN też deklarował działania zgodne z prawem – twierdziliśmy, że prawo w PRL nie zabrania tworzenia partii politycznych – ale nasze przedsięwzięcia miały sprawić, że PRL-u nie będzie. Nasza działalność miała prowadzić do odebrania komunistom władzy i do zmiany ustroju. Zakładaliśmy, że satelita Moskwy, Polska Rzeczypospolita Ludowa, zostanie zastąpiona przez niepodległą Rzeczypospolitą Polską. To było śmiertelnym zagrożeniem dla reżimu i wiedzieliśmy, że spotkają nas z tego powodu represje. A więc to, że trafimy do więzienia nie budziło mojej wątpliwości. Zasadne było jednak ustalenie, czy komuniści będą w stanie wyeliminować nas i całkowicie zlikwidować naszą działalność. Uznaliśmy, że takich możliwości reżim już nie będzie miał. Na czym opieraliśmy ten wniosek? W tamtym czasie analizując sytuację w Polsce uważaliśmy, że wkrótce ujawni się zasadnicza sprzeczność między tym, czego chcą Polacy, a tym co może im zapewnić PRL. W dorosłe

życie wchodziły miliony Polaków, którzy chcieli zakładać rodziny, potrzebowali mieszkań, mieli różnorodne ambicje życiowe. Było dla nas oczywiste, że rządząca PZPR fatalnie kierująca gospodarką „planową” nie będzie w stanie sprostać oczekiwaniom młodych Polaków. Przewidywaliśmy, że tym samym musi dojść do starcia strupieszalego PRL z dynamicznym młodym pokoleniem. Komuniści też zdawali sobie sprawę z tego zagrożenia, chcieli jakoś sprostać wyzwaniom. Pojawił się plan budowy tzw. drugiej Polski firmowany przez sekretarza PZPR Edwarda Gierka, ale to, jak wiadomo się nie udało.

Nabraliśmy przekonania, że szansą na odzyskanie niepodległości będzie rosnący w siłę demograficzny potencjał społeczeństwa. Przewidywaliśmy, że wystąpi fala społecznego antyreżimowego sprzeciwu i skończy się obaleniem komunistów, a więc odzyskaniem niepodległości przez Polskę. Widzieliśmy też narastający wielowymiarowy kryzys w całym bloku sowieckim. W Związku Radzieckim – trwała agresja sowiecka w Afganistanie i widać było, że Sowietci przegrywają. Było widoczne, że Związek Sowiecki się chwieje i powinien upaść, a był on jedynym gwarantem istnienia PRL.

Nasza decyzja podjęcia walki o niepodległość wynikała z przekonania, że sytuacja społeczna i międzynarodowa będzie nam sprzyjała. Czym innym był jednak odbiór naszego działania w społeczeństwie polskim. Było wielu „realistów” i jeszcze więcej „rozsądnych”, którzy uważali domaganie się niepodległości za fantazjowanie, a nas nazywali „oszołomami”, a nawet czasem prowokatorami, którzy swym działaniem ściągną na Polskę sowiecką interwencję. Twierdzili, że Moskwa nigdy nie zgodzi się na utratę Polski. Ludzie ci nie wyobrażali sobie, że układ jałtański się rozsypie a Polska naprawdę stoi przed ogromną szansą odzyskanie wolności i samostanowienia. My natomiast uważaliśmy, że to się stać musi.

Drugą sprawą były doraźnie występujące uwarunkowania – co można było konkretnie robić i na ile skutecznie. Na ile jeszcze reżim PRL będzie w stanie paraliżować naszą organizacyjną działalność? No i okazało się, że komuniści są w sytuacji kryzysowej, zresztą jak cały „obóz socjalistyczny”. ZSRR musiał zmniejszyć obciążenia zbrojeniowe, jego gospodarka nie podołała wyścigowi zbrojeń z Zachodem. Związek Sowiecki potrzebował dlatego odprężenia, doszło do konferencji bezpieczeństwa i współpracy w Europie. Zachód postawił

wówczas rzecz bardzo ważną dla nas, mianowicie prawa człowieka. Wielka była w tym zasługa zapomnianego dziś prezydenta USA Jimmy Cartera. Wtedy to ratyfikowano po stronie sowieckiej Deklarację Praw Człowieka. Stała się ona częścią wewnętrznego prawa w PRL. Władze komunistyczne musiały deklarację nie tylko ratyfikować, ale też ogłosić w Dzienniku Ustaw, aby dowieść, że ona obowiązuje. Ten numer Dziennika Ustaw w PRL był traktowany niczym jakiś najtajniejszy dokument, nie można go było zdobyć, ale dla nas było wystarczające, że to prawo jest i jego naruszenia będą wywoływały reakcje Zachodu. To bardzo ograniczało możliwości represyjne komunistycznego aparatu przemocy i umożliwiało nam organizowanie Konfederacji. Z tego też skorzystaliśmy.

Ogłosiliśmy powstanie KPN-u, jako partii politycznej działającej jawnie, zgodnie z prawami człowieka, a więc w ramach obowiązującego porządku prawnego. Okazało się, że reżim miał straszny kłopot z tą naszą „legalnością”. Byliśmy oczywiście narażeni na różnego rodzaju represje, zwolnienie z pracy, krótkie zatrzymania, itp., ale to nie sparaliżowało naszej działalności. KPN rozwijała się. Kiedy komuniści postanowili naszą działalność skuteczniej powstrzymać zamykając nas do więzienia, wtedy wybuchła Solidarność – to był ten moment przez nas przewidywany; potencjał demograficzny Polski uderzył w strupieszalą strukturę państwową PRL. Wtedy komuniści uznali, że Solidarność może działać, trudno – zgoda, ale działalności KPN-u postanowili postawić tamę. W PZPR podjęto decyzję, żeby aresztować Leszka Moczulskiego, a następnie pozostałych członków kierownictwa Konfederacji, w tym mnie. Sądzieli, że zamykając nas za kratami wyznaczają barierę, której inni będą się bali przekroczyć. Esbecy mówili w ten sposób działającym w Solidarności: możecie domagać się poprawy warunków socjalnych, działać społecznie, ale nie wolno wam podważać kierowniczej roli partii i podporządkowania Moskwie (sojusz z ZSRR). Nie wolno było domagać się niepodległości bo za to groziło uwięzienie. Przekaz był więc dla wszystkich jasny. A dla mnie – jak wspominałem wyżej – było oczywiste, że trafię do więzienia.

– Głównym argumentem forsowanym przez prokuratora było planowanie podjęcia akcji zbrojnej i wykazanie finansowania działalności KPN z zagranicy, żeby to wyglądało na szeroko zakrojoną akcję.

– To była nieprawdziwe zarzuty. Nie planowaliśmy działań zbrojnych i nie mieliśmy też żadnego finansowania z zagranicy – a bardzo by się ono wtedy przydało. Cały akt oskarżenia, który sprokurowała prokuratura nie miał żadnego oparcia w faktach. Co do pomocy finansowej z Zachodu; w przypadku KPN nie było jej dlatego, że ośrodki na Zachodzie, które wspierały polską działalność niezależną i opozycyjną uważały, iż KPN nie należy pomagać, bowiem nasz cel niepodległość Polski – oznacza konfrontację z ZSRR, czego Zachód nie chciał – nie przypuszczano i nie przewidywano zresztą wtedy, że ZSRR rozleci się. Kto z „sowieologów” i polskich „demokratycznych” opozycjonistów przewidywał, że ZSRR upadnie? W 1986 roku miałem sposobność rozmawiać z amerykańskimi znawcami Sowietów. Mówiłem, że za parę lat ZSRR nie będzie. Uważano, że jestem niepoważny. Twierdzono, że ZSRR zreformuje się – pokładano wielkie nadzieje w Gorbaczowie – i będzie ważnym elementem ładu międzynarodowego. W Internecie można znaleźć nagranie mojej rozmowy przeprowadzonej w 1985 roku z dziennikarzem opozycjonistą Maciejem Szumowskim. To jest materiał pokazujący jak oceniałem sytuację, a jak ją widział Szumowski. Kierowałem wtedy Polską Partię Niepodległościową, widziałem niepodległość jako coś bardzo bliskiego, a Szumowski nie mógł tego przyjąć do wiadomości, mówił „niepodległość, ależ to niemożliwe”. <http://3obieg.pl/szumowski-kontra-szeremietew-w-1985-nadal-aktualne>

– Działając w Polskiej Partii Niepodległościowej braliście pod uwagę działania zbrojne?

– Rzeczywiście nie wykluczaliśmy walki zbrojnej, ale tylko z jednego powodu; po prostu uważaliśmy, że ustawiczne deklarowanie pokojowych metod działania ośmiela reżim, który będąc pewnym, że nie będzie czynnego oporu łatwo nas spacyfikuje. Kiedy strajkujący mówią, że nie będą stawiali oporu to tym samym niejako zapraszają milicję, żeby weszła i strajkujących wyaresztowała. Natomiast, jeśli miliony Polaków wykażą wolę oporu, to wtedy przeciwnik zastanowi się, czy może stosować represje. Nie chodziło przecież

o wywołanie wojny domowej, tylko o to, żeby determinacją wzmocnić szanse zwycięstwa w bezkrwawej konfrontacji z reżimem. Mój punkt widzenia był też inny, niż tzw. konstruktywnej opozycji, co do negocjacji z władzami. Uważałem, że z komunistami nie należy rokować, tylko trzeba im odebrać władzę. Zakładałem nawet, że rozmowy Okrągłego Stołu się załamią, ponieważ strona opozycyjna w końcu zorientuje się, że prowadzą one do zdrady ideałów Solidarności. Niestety, tak się nie stało i mamy dziś spartaczone państwo z licznymi pozostałościami po komunie.

Czy, według Pana wiedzy – ponieważ strona sowiecka też nie wiedziała, jak to się sprawy potoczą – czy strona sowiecka brała pod uwagę porozumienie i współpracę ze stroną niepodległościową? Czy w ogóle taki scenariusz byłby możliwy?

– Nie było takiego scenariusza i nie mogło być. Moskwa od zawsze widziała Polskę albo jako jej podporządkowaną, utrzymywaną siłą w zależności, albo, gdy tej siły zabrakło jako straconą i którą się podporządkuje po odzyskaniu sił. Każda władza rosyjska, zarówno „biała” jak i „czerwona” nigdy nie traktowała Polski jako niezależnego suwerennego państwa partnerskiego Rosji. W PRL rządziła rosyjska agentura, która wykonywała polecenia Moskwy. Rosja nie miała dla Polski innego rozwiązania, jak tylko niewolę. Co pewien czas pojawiają się opinie, że Polacy mogą porozumieć się z Rosjanami. Takie sugestie mogą nawet ujawniać się ze strony rosyjskiej. W takim przypadku będą to elementy gry Kremla obliczone jako wprowadzające w błąd naiwnych po polskiej stronie. W 1921 roku Polska podpisała układ pokojowy z Rosją, ustalono jako ostateczne granice, a przy pierwszej nadarzającej się okazji Moskale złamali wszystkie porozumienie i na Polskę napadli. Więc, albo nie poddamy się Rosji stawiając skuteczny opór, albo skapitulujemy i będziemy niewolnikami Moskali: „tertium non datur” – trzeciej możliwości niestety nie ma.

– Jak Pan ocenia ówczesny podział strony opozycyjnej, może nie jawne zwalczanie się, ale brak wsparcia dla KPN, nawet w sytuacji, kiedy byliście aresztowani?

– Objaśnił to Zbigniew Bujak, gdy był przewodniczącym mazowieckiej Solidarności. Będąc na Górnym Śląsku w czasie spotkania z górnikami w jednej z kopalń padło pytanie dlaczego przywódcy KPN siedzą w więzieniu, a Solidarność nic w tej sprawie nie robi. Wtedy Bujak odpowiedział, że my domagając się niepodległości prowokujemy Breżniewa i możemy wywołać interwencję Rosji, więc będzie lepiej, jeśli na razie posiedzimy. Byliśmy nazywani ekstremą stawiającą prowokacyjne i nierealistyczne postulaty. Niepodległość była takim nierealistycznym postulatem! Według liderów Solidarności nie wolno było tym zakłócać procesu ustępstw komunistów. Uważali, że z władzą można się porozumieć, a tu jacyś szaleńcy mówią, że komunistów trzeba pozbawić władzy. To przecież nie może się udać. Była zresztą koncepcja takiego porozumienia: Solidarność zostawi PZPR „czerwoną czapkę” (MSW, MON i MSZ), a oni oddadzą stronie społecznej gospodarkę. Obie strony zgodnie ją zreformują, poprawi się sytuacja ekonomiczna i będziemy mieli w Polsce socjalizm „z ludzką twarzą”. Po stanie wojennym ktoś powiedział, że pojawił się socjalizm z ludzką twarzą, z twarzą gen. Kiszczaka. Dla opozycji „konstruktywnej” zmiana ustroju była nieprawdopodobna. Szczytem marzeń były łagodniejsze rządy partii komunistycznej, słabsza cenzura, może większa swoboda wypowiedzi, możliwość wyjazdu za granicę.... Odejdzie od „socjalizmu”, kiedy wiadomo, że jest ZSRR, jego dywizje, bezpieka i ponury tow. Breżniew, nie, to wydawało się niemożliwe. Jeżeli więc ktoś stawiał postulat niepodległości Polski to był traktowany w najlepszym wypadku jako wariat. Tak też inni, ci rozsądni opozycjoniści, oceniali KPN.

– Czy jawny charakter działalności był kalkulowany? Czy może to był błąd?

– Chodzi o to, że narażaliśmy się na więzienie? To był skalkulowany koszt. Byłem nawet trochę zdziwiony, że trwało to stosunkowo długo, zanim trafiłem za kraty. Za Gomułki byłbym w kryminale natychmiast po podjęciu działalności, za Bieruta skończyłbym z kulą w głowie. Inaczej niż mój ojciec działałem w latach, gdy komunizm już słabł. Jeżeli więc mam pretensje o to więzienie, to w innym kontekście i tylko do siebie. Mam do siebie pretensje, że posłuchałem wezwania Moczulskiego przekazanego z więzienia, abym przestał się

ukrywać i dał się złapać. Wcześniej z Tadeuszem Stańskim, mieliśmy informacje, że będziemy aresztowani jako następni po Moczulskim. Była to wiadomość pewna, bo uzyskana z wiarygodnego źródła w MSW. Wiedzieliśmy, że mamy być aresztowani po manifestacji 11 listopada 1980 roku. W związku z tym nie było nas na tej manifestacji. Uważaliśmy, że trzeba się zakonspirować. Niestety, Tadeusz dość szybko wpadł, ja miałem szczęście, on nie, został namierzony i aresztowany. Byłem więc na wolności i miałem sam kierować Konfederacją. Nie mogłem schować się w jakiejś dziupli nie wyściubiając nosa. Musiałem z ukrycia kierować organizacją. Musiałem odwiedzać różne rejony kraju, przemieszać się i to robiłem. Miałem, jak się okazało, dobry sposób na takie funkcjonowanie. Opracowałem zasady, których przestrzegałem i to było skuteczne. Przyjąłem, że:

- nie wolno mi odwiedzać osób znanych SB, korzystać z adresów, na których bywałem w trakcie dotychczasowej jawnej działalności. Miałem przygotowanych w Polsce kilka adresów, gdzie teraz się zatrzymywałem, a których przedtem nie odwiedzałem i nie było ich w żadnym moim notesie; w aktach sprawy znajduje się sfotografowany mój notes z adresami, które były pod obserwacją SB.

- nie wolno odwiedzać „niepolitycznych” znajomych, bliskich z rodziny, zwłaszcza żony.

- nie wolno pojawiać się w miejscach będących pod rutynową obserwacją SB, czyli hotele, dworce, miejsca w centrach miast.

- podróżuje się autostopem unikając środków komunikacji państwowej.

To oczywiście utrudniało funkcjonowanie, ale było wystarczającą gwarancją, żeby nie być namierzonym. Przez kilka miesięcy byłem intensywnie poszukiwany, wystawiono za mną list gończy ale ciągle nie byli w stanie mnie złapać. W zaplanowanym już procesie kierownictwa KPN miało zasiąść nas czterech (Moczulski, Stański, Tadeusz Jandziszak i ja), a ponieważ esbecy nie mogli mnie złapać to zdecydowano, że jako czwarty wystąpi ktoś inny. W opinii Moczulskiego to oznaczałoby nasze osłabienie na procesie. Koncepcja była bowiem taka, że występując w sądzie docieramy z programem Konfederacji do społeczeństwa – przez więzienie idziemy do zwycięstwa – tak to formułował Moczulski.

Leszek uważał, że kryzys polityczny i gospodarczy pogłębi się. Pojawi się bezrobocie i poprą nas masy niezadowolonych Polaków. Wtedy podzielałem pogląd Moczulskiego i dlatego posłuchałem jego wezwania. Pokazałem się agentom SB w miejscu publicznym i zostałem aresztowany. Dziś uważam, że to był mój błąd. Powinienem być pozostać w konspiracji i budować siłę organizacyjną KPN. Myślę, że Konfederacja inaczej zachowała by się w stanie wojennym i my pokierowalibyśmy wówczas oporem społeczeństwa. Zza krat nie można było tego zrobić. Dlatego ze Stańskim po wyjściu z więzienia w 1984 roku postanowiliśmy stworzyć nową organizację, Polską Partię Niepodległościową działającą w konspiracji. Przychodzący do PPN nowi ludzie działali w konspiracji. To zakonspirowanie w dużym stopniu się nam udało. Dzisiaj z tego powodu cierpimy, bo w IPN nie ma zbyt wiele esbeckiego materiału na temat PPN. Dlatego chyba pewien historyk napisał, że nasza partia to była małą nieznaczącą organizacją. Wszystko dlatego, że SB nie zdobyła dość informacji na nasz temat. Tymczasem mieliśmy znaczące wpływy wśród anty-wałęsowskich działaczy Solidarności, w środowiskach młodzieży (Federacji Młodzieży Walczącej). W oparciu o te środowiska w razie wybuchu nowego protestu byliśmy w stanie przekształcić strajki w proces odbierania władzy komunistom.

– Takie też były oczekiwania społeczne.

– Taka była możliwość, ale zgromadzeni przy Okrągłym Stole zrobili wszystko, aby do niej nie doszło. Wyobraźnię elit opozycyjnych krępowała świadomość istnienia porządku jałtańskiego, w którym nie było miejsca dla Polski wolnej i niepodległej, miała być tylko Polska Ludowa. Przeceniano też możliwości interwencyjne Rosji i sądzono, że reżim może siłą odwrócić procesy swego upadku. Twierdziłem, że Moskwa nie ma możliwości interwencji zbrojnej. Nie widziałem też sił, które byłyby zdolne bronić PRL i trudno było tym samym wyobrazić sobie ponowny stan wojenny. Wprawdzie ludzie jeszcze się Rosji bali, ale widoczne było, że Gorbaczowowi sypało się wszystko z państwem włącznie. Interwencja sowiecka była nieprawdopodobna. Moim zdaniem komuniści w Polsce nie mieli szans, żeby obronić swoje rządy więc wywoływanie walki zbrojnej też było w tym przypadku zbędne. Niestety, nie słuchano nas.

– A czego zabrakło według Pana?

– Zabrakło nowego masowego protestu społecznego. Opozycja „konstruktywna” tak samo zresztą bała się strajków jak reżim. Proszę zauważyć, jak zachował się Wałęsa i ludzie z nim związani, kiedy w 1988 roku wybuchły strajki na Wybrzeżu. Robili wszystko, żeby je zgasić.

– Był to strach przed stroną komunistyczną?

– Raczej strach przed polskimi „nacionalistami”, jak nas niepodległościowców nazywała opozycja która się nazwała demokratyczną. Jej czołowy publicysta Jan Walc popełnił tekst po powstaniu KPN pod jednoznacznym tytułem: „Drogą podłości do niepodległości”.

Zjawiłem się na Wybrzeżu po wybuchu strajku w 1988 roku, chciałem dostać się do Stoczni Gdańskiej. W strajku uczestniczyli już koledzy z PPN, byli głównie w stoczni remontowej. W Trójmieście mieliśmy naprawdę solidną organizację. Zjawiłem się na plebanii w parafii Św. Brygidy u ks. Jankowskiego. Tam był punkt organizujący przerzuty przyjezdnych spoza Gdańska do stoczni. Stocznia była szczelnie obstawiona przez oddziały milicji i wszechobecną SB. Trudno było tak z marszu dostać się do strajkujących. Okazało się, że tymi przerzutami zajmował się znajdujący się na plebanii zaufany Wałęsy, Adam Michnik. Kiedy usłyszał, że chcę dostać się do strajkujących powiedział: ”Ty do stoczni – żebyś tam namieszał. Nigdy w życiu. Zapomnij o tym.”

Dostałem się do stoczni dzięki pomocy Federacji Młodzieży Walczącej, gdański oddział FMW uważał się za młodzieżówkę PPN. Dotarłem na miejsce skomplikowaną drogą m.in.. kanałem, niczym w Powstaniu Warszawskim, utyłtany jak nieboskie stworzenie. Robotnicy chcieli abym przemówił do strajkujących. Jak zobaczył mnie Wałęsa wskazując na mnie palcem polecił: „Jemu nie dawać mikrofonu”. Stoję więc taki utyłtany, pilnowany przez „gwardzistów” Wałęsy i widzę, że od strony bramy, tej kontrolowanej przez bezpiekę, nadchodzi czyściutki, w jasnym garniturze, mecenas Siła Nowicki – przyznając, że zbieraiałem. Można więc do stoczni wejść jakby nigdy nic, bez kłopotów? No cóż, Siła-Nowicki był zwolennikiem układania się z komunistami. Jego obecność u boku Wałęsy była pożądana. Moja nie.

– Z relacji ks. Maja wiem, że KPN była grupą zwartą solidarną, ale też dość „hałaśliwą” i niepokorną. Zwolniono Was z aresztu, ale warunkiem zwolnienia było przestrzeganie ustalonych reguł?

– Zwolniono nas, uwięzionych członków kierownictwa KPN, w czerwcu 1980 r., jak okazało się na krótko bo na miesiąc. Zostaliśmy ponownie aresztowani pod pretekstem, że nie przestrzegamy jakichś reguł, które nam narzucono. Nie mogliśmy przyjąć, że my domagający się niepodległości Polski będziemy przestrzegali coś, czego sobie zażyczył jakiś bolszewicki stupajka. Czy bylibyśmy wiarygodni jako przywódcy KPN wykonując polecenia komunistów? W więzieniu też byłem zresztą wielokrotnie karany bowiem nie przestrzegałem regulaminu więziennego – byłem niewinny, a trzymano mnie za kratami, nie wyobrażałem sobie, że przyjmę narzucony przemocą status więźnia kryminalisty. W więzieniu podejmowałem walkę i doświadczałem z tego powodu różnych niedogodności.

– Ale udało się dzięki tej więziennej walce wyegzekwować wiele?

– Rzeczywiście wiele wywalczyliśmy – nawet nieformalny, ale faktyczny status więźnia politycznego. Reżim zawsze ustępował przed siłą a można ją było okazać na różne sposoby. Mówiłem naczelnikowi więzienia; „macie przewagę i możecie trzymać mnie za kratami, ale nie oczekujcie, że to uznam. Jestem człowiekiem wolnym, mimo, że jestem tutaj. Poza przemocą nie macie, żadnych argumentów. Nie oczekujcie, że ja się poddam”. Rzecz polegała na tym, że kapitulacja, podporządkowanie się była sposobem na wyjście z więzienia. Tymczasem w opinii więzienia na mój temat, znajdującej się teraz w zasobach IPN, przeczytałem, że nie uznawałem, abym popełnił przestępstwo i nie poddawałem się tzw. resocjalizacji. Napisano tam prawdę.

Opowiem inną historię – dotyczy mojej żony. Została ona w momencie ogłoszenia stanu wojennego zamknięta w więzieniu w Ostrowie Wielkopolskim. Nie była działaczką KPN, nie miała ambicji politycznych, była tylko szeregowym członkiem Solidarności. Powstaje pytanie: dlaczego ją zamknęto? Okazało się, że SB chciała ją zmusić do podpisania lojalki. Powiedzieli, że ją wypuszczą z więzienia, jeżeli zadeklaruje poparcie dla stanu wojennego.

Żona odmówiła. Później powiedziała mi: „Zrozumiałam, że chcą uderzyć w ciebie. Jakbyś się czuł, gdyby przynieśli ci do celi „Trybunę Ludu” z informacją, że twoja żona popiera stan wojenny? Nie mogłam czegoś takiego ci zrobić”. Wypuścili ją po pewnym czasie. Im chodziło zawsze o złamanie przeciwnika. W przypadku mojej żony to się nie udało.

Podkreślam, że prowadziliśmy walkę, ale nie strzelaliśmy, była to bowiem walka cywilna. Prezentowaliśmy postawę odrzucania komunizmu, nie poddawaliśmy się represjom. Potwierdzaliśmy w ten sposób wierność naszym ideałom. Natomiast reżim usiłował wmanewrować nas w sytuację, gdy dla ratowania własnej skóry zapominamy o niepodległości. Na tym polegało nasze zasadnicze starcie z reżimem. I to starcie wygraliśmy!

– Kiedy podjęliście decyzję o odejściu z KPN-u i kiedy wasze drogi z Leszkiem Moczulskim się rozeszły? Czym to było spowodowane?

– Wystąpiła różnica w poglądach co do tego jak mamy działać po wyjściu z więzienia. Moczulski nadal uważał, że wystarczy siedzenie za kratami, a sytuacja będzie nam sprzyjać. Z Tadeuszem Stańskim doszliśmy do wniosku, że to błędne założenie. Uważaliśmy, że taka taktyka spowodowała, że KPN zmarnowała okres legalnej działalności Solidarności. Należało wówczas unikać uwięzienia i budować struktury. Konfederacja miała szansę stać się decydującą siłą w Polsce. Co gorsza, gdy siedzieliśmy w więzieniu na stanowisko przewodniczącego KPN, Moczulski wyznaczył działacza z Krakowa, Krzysztofa Gąsiorowskiego, który okazał się TW. A więc mieliśmy partię dążącą do niepodległości z agentem na czele – marne szanse na zwycięstwo.

– A plotki, że Leszek Moczulski jest agentem...?

Rzeczywiście traktowaliśmy tego typu doniesienia tylko jako plotki. Nie one były powodem naszego rozstania się z Moczulskim. Wspomniałem, że powodem była krytyka jego koncepcji: przez więzienie do niepodległości. No i mieliśmy do Moczulskiego pretensję, że on w stanie wojennym dobrowolnie wrócił za kraty. Historia była następująca: siedzieliśmy w areszcie na Rakowieckiej, gdy Moczulski, tuż przed ogłoszeniem stanu wojennego dostał

przepustkę, żeby odwiedzić żonę, która była w szpitalu w Katowicach. I tam go zastał stan wojenny, w miejscu, gdzie Konfederacja była najsilniejsza, kilka tysięcy członków. Byliśmy przekonani ze Stańskim, że Moczulski zszedł do podziemia i organizuje opór. Jakież było nasze rozczarowanie i wściekłość, że on tego nie zrobił. Dla nas było niezrozumiałe to jego zachowanie. Dodam, że tę lukę w oporze, w którą za sprawą Moczulskiego zostawiła Konfederacja wypełniła dopiero Solidarność Walcząca Kornela Morawieckiego. Było więc ogromne zapotrzebowanie na tego typu działanie, gdyby KPN je podjęła? Do dziś uważam, że gdyby w stanie wojennym było właściwe kierownictwo, to Konfederacja odegrałaby bardzo dużą rolę. Zdecydowałaby jak kończyłby się komunizm i zapewne nie byłoby żadnego Okrągłego Stołu.

– Może jednak Leszek Moczulski miał rację? A czy nie było to też tak, iż to, że byliście w więzieniu, trwał polityczny proces sądowy to mnóstwo młodych ludzi zgłaszało się do KPN, Konfederacja zaczynała być znana i popierana?

– Ale cóż mogli zdziałać ci młodzi Konfederaci po przywództwem Tajnego Współpracownika Gąsiorowskiego? Konfederacja była dużą strukturą organizacyjną, ale nie miała głowy. Głowa była w więzieniu. Dlatego mieliśmy pretensje do Moczulskiego, że obrał niewłaściwy kierunek działania. Za to właśnie jako przywódca KPN ponosił odpowiedzialność. Pamiętam, że tym co przełamało nasze relacje był bunt więźniów w Barczewie. Wraz z Tadeuszem organizowaliśmy tę akcję. Moczulski nie chciał w tym uczestniczyć. Tymczasem współwięźniowie Andrzej Słowik, Jerzy Kropiwnicki już podjęli głodówkę. My ze Stańskim chcieliśmy podjąć akcję czynną, godzącą silnie w więzienny porządek. Moczulski uważał, że nie ma sensu ścierać się ze strażą więzienną, proponował byśmy podjęły głodówkę „rotacyjną”, odmawiali jedzenie raz na parę dni. Powiedziałem wówczas, że możemy siedzieć cicho, jeśli będzie jakiś ważny powód ku temu. Zapytałem Leszka, czy jest w stanie napisać nowy tekst programowy, na kształt „Rewolucji bez rewolucji”, w którym byłby program naszego działania. Teraz po wprowadzeniu stanu wojennego była nowa sytuacja i Konfederacja potrzebowała nowego programu. Powiedziałem wówczas Moczulskiemu, że napisanie nowego programu to rzeczywiście sprawa bardzo

ważna. Możemy więc zrezygnować z akcji czynnej w więzieniu, jeśli on zacznie pisać ten program. Stański natychmiast dodał, że przetrzucimy to co napisze na zewnątrz. Usłyszeliśmy od Leszka, że program napisze. Zaczął pisać, a my z Tadeuszem przepisywaliśmy to maczkiem na bibułkach, zawijaliśmy w folię. Przygotowywaliśmy tak, żeby można było schować, np. głęboko w ustach, no i przekazać w czasie widzeń z rodziną lub adwokatami. Było oczywiste, że jeżeli podejmiemy akcję czynnego oporu, to zostaniemy pozbawieni widzeń i wówczas nie będzie można przekazać nowego programu KPN na zewnątrz. A więc z tego powodu nie mogliśmy uczestniczyć w buncie więźniów politycznych w Barczewie. Moczulski zaczął pisać, my przepisywaliśmy i przekazywaliśmy poza więzienie. Po pewnym czasie zorientowaliśmy się, że tekst pisany przez niego nie jest żadnym programem. Był czymś w rodzaju eseju z odniesieniami do czasów rozbiorowych, króla Stanisława Poniatowskiego, do konfederatów barskich i nie miał nic wspólnego z programem działania dla KPN na nadchodzący czas. Doszliśmy z Tadeuszem do wniosku, że to nie może usprawiedliwiać naszej bezczynności w więzieniu. W związku z tym podjęliśmy planowaną akcję czynną. Poszliśmy na wojnę z władzami więzienia i wbrew pesymistycznym przewidywaniom Moczulskiego wygraliśmy ten bunt. Po wyjściu z więzienia w 1984 roku odbył się kongres KPN, na którym postawiliśmy odejść z Konfederacji. Wtedy ostatecznie nasze drogi rozeszły się jednak nie miało to nic wspólnego z podejrzeniami o agenturalną działalność Moczulskiego.

ROZMOWA MACIEJA SZUMOWSKIEGO
Z ROMUALDEM SZEREMIETIEWEM
Z 1985 ROKU

– Na wstępie naszej rozmowy proszę, aby przedstawił pan swój życiorys, nie tylko polityczny, swoje dojście do opozycji, swoją dotychczasową działalność.

– Sprawa jest typowa. Myślę, że chyba wszyscy opozycjoniści dochodzili do opozycji w podobny sposób. Mam za sobą tak zwane trudne dzieciństwo i trudną młodość, bo wychowywałem się bez ojca, a to zawsze jakoś rzutuje. Mój ojciec był oficerem Wojska Polskiego i w 1945 roku, 2 tygodnie po moim urodzeniu, został przez Rosjan zabrany i słuch o nim zaginął. Ten fakt chyba w jakimś sensie tak mnie zorientował...

Wychowałem się w Legnicy. To jest miasto dość specyficzne. Kto nie wie co to jest PRL, to radzę mu, niech pojedzie do Legnicy, bo tam się traci złudzenia. Chodziłem do szkoły zawodowej, pracowałem w fabryce. Nazywała się imieniem Hanki Sawickiej, a po 1968 roku już tylko Hanki (a huta Waleckiego – już tylko huta, bo – jak wiadomo – Walecki był Horowitz, więc w 1968 roku zmieniano nazwy). Tam zetknąłem się z duszpasterstwem akademickim. Nie byłem wprawdzie studentem, ale uczestniczyłem. Potem było wojsko – 2 lata służby wojskowej. W wojsku zdałem maturę. Poszedłem na studia. Wybierając się na studia, wybierałem się już z pewnym konkretnym zamiarem – to znaczy szukałem takiego kierunku studiów, który pozwoli mi zorientować się w tym, co mnie otacza i – być może – pokaże mi miejsca, w których można tę sytuację zmienić, bo ona mi się bardzo nie podobała. Rok 1968 przeżyłem w Legnicy – były demonstracje, ludzi bito. To, co widziałem, było naprawdę straszne (oberwałem zresztą wtedy pałowanie, ale mniejsza z tym). Ten 1968 rok był jakimś przełomem w moim myśleniu o całej sytuacji.

– A co w Legnicy było w 1968 roku, jeśli tam nie było środowiska studenckiego? Bo utarło się mówić, że to były tylko starcia milicji ze studentami.

– Okazało się właśnie, że nie tylko studentów. Tam przez 2 dni pod rząd były demonstracje i były bijatyki na ulicach, potem przyleciała szkoła milicyjna ze Słupska i przez tydzień pacyfikowano miasto. Zaczęło się od wiecu na Placu Wilsona, z próbą przemarszu. Włączyli się w to robotnicy, bodajże z huty miedzi. Pamiętam, że opowiadał mi ktoś, że cięli kable koncentryczne, żeby bronić się przed milicją. A studentów nie było. Tam było tylko studium nauczycielskie...

– Dominowała młodzież, czy nie?

– Tak, dominowała młodzież. Pamiętam jak dziś widok dziewczyny smar-katej ze sztandarem biało-czerwonym pod ratuszem w Legnicy. Rosjanie się nie pokazywali, mieli rozkaz, żeby nie wylazić na ulice w tym czasie.

– To także nietypowa sprawa, że robotnicy cięli kable, ale nie na studentów, tylko żeby się bronić, bo w innych miastach bywało inaczej.

– Myślę, że w Legnicy sytuacja, w jakiej ludzie tam żyją, mieszkają, jakoś ich ustawia. Bo jak są 2 pochody pierwszomajowe oddzielnie (bo towarzysze radzieccy mają tam własny pochód pierwszomajowy, własną trybunę, a towarzysze, że tak powiem, po polskiej stronie, mają własny) to już najlepiej świadczy, że brak jest kontaktu między tymi społecznościami.

No i zdarza się widzieć czasami klęczącego radzieckiego żołnierza w kościele, w wielkiej tajemnicy i z zagrożeniem, że pojedzie na Syberię.

– Były takie sytuacje?

– Tak. Są i Polacy w wojsku sowieckim...

Zacząłem mówić o studiach. Otóż jako kierunek studiów wybrałem prawo, dlatego że chciałem zobaczyć, co ono jest warte. Przy okazji miałem też zamiar, żeby – można powiedzieć brzydko – uzbroić się na walkę przyszłą. Już byłem taki mądry, ponieważ spotkałem kilku ludzi, którzy mi pomogli przygotować się do studiów. Jednocześnie robiliśmy jakąś robotę polityczną. To było takie

małaństwo – to znaczy samokształcenie. Wtedy zacząłem czytać pierwszy raz Piłsudskiego. To było to dla mnie odkrycie! Od tego czasu uważam się za piłsudczyka.

Po wojsku były studia we Wrocławiu, na Uniwersytecie Bolesława Bieruta. Były to studia akurat po Marcu, a więc wszystko było jeszcze żywe. Poza wiedzą, która wydawała mi się użyteczna, chciałem zdobyć również przygotowanie organizacyjne. Niestety, to co było, to były wszystkie organizacje, jak byśmy dziś powiedzieli, reżimowe. Z drugiej strony – nie chciałem wstępować do partii, a chciałem się pewnych rzeczy nauczyć. Jeżeli człowiek nie potrafi prowadzić samochodu, nie ma prawa jazdy, to jak się go posadzi za kierownicą, to nie pojedzie, raczej ten samochód rozwali. Ja sobie wyobrażałem też, że jeżeli nie będę miał pewnych zdolności natury organizacyjnej, nie będę umiał kierować, organizować roboty, to w sytuacji, kiedy coś trzeba będzie zrobić, nie będę tego potrafił.

– Ale rozumiem, podsumowując ten wątek rozmowy, że z całą jak gdyby konsekwencją szedł pan na studia po to, żeby próbować opozycyjnej pracy?

– Tak. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, jak to będzie wyglądało. Przypominam, że w tym czasie pojawiły się te inicjatywy, które były po Marcu. Był słynny list otwarty do partii Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego. Zastanawiałem się, dlaczego tylko oni mogą coś robić i coś robią? Denerwowało mnie to. Czy nie należy się w to włączyć? A z drugiej strony nie wiedziałem jak.

– Ale do nich nie myślał pan przystąpić?

– Nie, dlatego że istniała różnica ideowa. Żeby nie było wątpliwości – z Adamem Michnikiem i Jackiem Kuroniem, uważamy się za przyjaciół, to znaczy spotykamy się i bardzo dużo ze sobą rozmawiamy, ale istnieje różnica ideowa między nami. Różnica ideowa, która polega na tym, że oni są zwolennikami koncepcji bardziej lewicowych, rozumianych w tych kategoriach socjaldemokratycznych, natomiast ja jestem zwolennikiem kategorii bardziej prawicowych. Nie rozumianych endecko, tylko rozumianych w kategoriach konserwatyzmu, ale nowoczesnego konserwatyzmu. Dla mnie są ważne również pewne symbole, są ważne takie wartości jak rodzina, jak Kościół, jak wia-

ra, no i to wszystko, co się kojarzy ze współczesnym konserwatyzmem. Więc tutaj była różnica.

– Już od początku?

– Tak. Ja się po prostu wychowywałem politycznie pod wpływem tego, co robił Piłsudski i w związku z tym szukałem różnego rodzaju lektur. Umacniałem się w tym przekonaniu, że tędy jest droga. Ale uważam, że ludziom, którzy rozpoczęli wówczas robotę opozycyjną, należy się szacunek. To jest ich ogromna zasługa, że oni to zaczęli, bo na przykład ja nie byłem w stanie, dopiero później do tego dochodziłem.

I teraz kwestia następna. Otóż, jak powiedziałem, szukałem możliwości organizacyjnych i wydawało mi się na przykład, że taką możliwością będzie Stronnictwo Demokratyczne. Byłem przez pewien czas w tym stronnictwie, byłem nawet, powiedziałbym, tak dość wysoko jako aparaczyk, bo byłem sekretarzem komitetu uczelnianego i członkiem plenum komitetu wojewódzkiego SD we Wrocławiu. Rozstaliśmy się po grudniu 1970 roku. Po pierwsze, dlatego że okazało się, że władze SD są całkowicie zależne od PZPR-u, wręcz mi to powiedziano. Zrobiłem organizację SD na wydziale prawa, która była 3 razy większa od organizacji partyjnej i za to dostałem po głowie. Poza tym nie podobało mi się i moim przyjaciółom stanowisko, jakie zajęło SD wobec wydarzeń grudniowych. Myśmy tam ich trochę potarmosili i żeśmy się rozstali. Ale nie uważam tego okresu za zmarnowany, ponieważ nabrałem tych pewnych umiejętności, które są w działalności potrzebne.

– Po prostu gdzieś w pracy społecznej, publicznej, walki nawet, dyskusji, gdzieś trzeba się uczyć.

– Otóż to. A takich miejsc wtedy nie było dużo. Teraz mamy te miejsca, ale zapominamy czasem o tym, że po drodze była Solidarność, był ten wielki społeczny zryw, i otworzyło się wiele środowisk, wiele inicjatyw, wiele możliwości. Wtedy takiej możliwości nie było. Przypomnijmy sobie w jakich warunkach działała oświata niezależna, TKN. Przecież to były najścia! Kilka osób się zbierało i od razu przychodziła kupa ubeków, tarmosili ludzi i tak dalej. A wcześniej było trochę inaczej...

Po rozstaniu z SD zacząłem działać w Zrzeszeniu Studentów Polskich. Było to jeszcze przed tak zwanym zjednoczeniem. To ZSP nie było już tym, czym było wcześniej, ponieważ po 1968 roku wprowadzono w ZSP czynnik polityczny, a przedtem to była organizacja związkowa, studencka. Więc zajmowaliśmy się sprawami takimi bytowymi, kulturą i tak dalej.

– Były możliwości.

– Tak. I tu nie można było odstawiać lipy. Polityka położyła to zrzeszenie, bo dopóki jeden człowiek zajmował się akademikiem, a drugi kulturą – to były konkretne rzeczy. On musiał to robić dobrze. Jeżeli źle robił, to odpadał. Natomiast w momencie, kiedy wpuścili polityków, to oni bili pianę, jak się mówi, fachowo, i byli dobrze oceniani, nie można ich było wyrzucić za nic, bo byli zawsze dobrzy i awansowali. To zaczęło rozkładać zrzeszenie. Więc w tym schyłkowym okresie ZSP byłem sekretarzem uczelnianym, byłem przewodniczącym rady mieszkańców... Różne rzeczy tam robiłem, ale nie w polityce.

– W robocie społecznej, która jest cenna, bo ja się też przyznaję do tego okresu, że był cenny.

– Myślę, że ci, którzy pamiętają mnie z okresu studiów, to wiedzą, jak to wyglądało. Nie chcę opowiadać o tym (mógłby ktoś pomyśleć, że się chwale), ale rzeczywiście coś można było zrobić.

Potem był koniec studiów. Wyleciałem ze stypendium na studiach doktoranckich, miałem być asystentem – już nie mogłem być. Zablockowano mnie, ponieważ postawiono przede mną warunek: albo wstąpię do PZPR-u, albo nie będę na uczelni. No i ja wybrałem, jak wiadomo, ten drugi wariant, to znaczy nie wstąpiłem i wyleciałem z uczelni. Byłem przez jakiś czas bez pracy. No i pojawił się PAX. Byłem w PAX-ie przez dłuższy okres czasu, przez około 4 lata (1974–1978).

Dlaczego PAX? Otóż kiedy mnie rozrabiano, to między innymi postawiono mi zarzut, że jestem katolik. Szukałem instytucji takiej, która by – po pierwsze, spłaciła moje stypendium, które brałem, bo groził mi przymus pracy. Po drugie – szukałem instytucji, w której nie stawiano by mi zarzutu, że jestem katolikiem. A po trzecie – która dawałaby jakieś możliwości samodzielnej roboty.

Pamiętam, że szukałem wtedy w różnego rodzaju instytucjach katolickich. KUL niestety nie mógł mi niczego zaoferować. KIK pod tym względem był najbliższy w sensie wewnętrznym, ale nie miał znowu żadnych możliwości. Potrzebowałem żyć, potrzebowałem z czegoś się utrzymać. A ci mieli pieniądze...

Pamiętam, że kolega, który tam był zorientowany w sprawach PAX-u, mówił, że oni nie mają ludzi. „Przy twoich zdolnościach możesz coś tam zrobić”. Wszedłem w to, przyznaję, z takim zamiarem – jak by to powiedzieć – rewindykacji na narodowej demokracji. Otóż kiedyś, kiedyś, bardzo, bardzo dawno temu powstała Liga Polska, organizacja niepodległościowa, do której wszedł niejaki Roman Dmowski i zrobił z niej Ligę Narodową, coś wręcz odwrotnego od tego, co zamierzał szacowny pułkownik Jeż Miłkowski. Ponieważ Bolek Piasecki uważał się za spadkobiercę Romana Dmowskiego, więc sobie pomyślałem: „A gdyby tak zebrać ludzi i zrobić coś odwrotnego, to znaczy zrobić organizację z endeckiej (endekoidalnej) – niepodległościową? Spróbujmy! Pójdę, zobaczę. Jeżeli są ludzie, z którymi można coś zrobić, to spróbujemy to zrobić”.

No i spróbowaliśmy! Znalazłem kilku przyjaciół (oni zresztą znaleźli się później ze mną w opozycji): Tadek Stański, Tadek Jandziszak, Maciek Pstrąg-Bieleński (który jest za granicą, przeciwko któremu też się toczy postępowanie). Myśmy stworzyli taką grupę w PAX-ie. Zostałem, dzięki reformie administracji, przewodniczącym oddziału wojewódzkiego. Mieliśmy kilkunastoosobową grupę młodych przewodniczących, którzy zaczęli już działać wspólnie. Nawiazaliśmy wtedy kontakty z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela, mieliśmy bezpośredni kontakt z Leszkiem Moczulskim.

Ja się z Leszkiem poznałem w 1972 roku, po książce „Wojna polska 1939”. Ta książka bardzo przypadła mi do gustu. Oczywiście po tych kontaktach poszła Służba Bezpieczeństwa i przed zgonem Bolka Piaseckiego zostaliśmy w PAX-ie rozwaleni. Przykro powiedzieć, główną rolę w tym rozwalaniu odegrał Ryszard Reiff, późniejszy przewodniczący PAX-u, i człowiek, który zrobił znaczne postępy. Nie poznawałem go w okresie Solidarności. Nie wiem, może wtedy grał o stołek przewodniczącego?

– **A może działał na polecenie Piaseckiego?**

– Nie, na polecenie Piaseckiego to niemożliwe, bo już Piasecki był tak cięż-

ko chory, że nie kontaktował. Miałem do wyboru, albo się ugiąć i siedzieć cicho, albo huknąć i spróbować jawnej roboty opozycyjnej. Zresztą безпека nie miała wątpliwości co ja robię. No i zdecydowałem się. Przyjechałem do domu, porozmawiałem z żoną. Muszę powiedzieć, że mieliśmy bardzo dobrą sytuację finansową: mieszkanie, pieniądze, samochód... Żona miała pracę w PAX-ie jako tłumacz (jest filologiem rosyjskim), więc miała taką synekurkę, ja miałem bardzo dobre zarobki. Powiedziałem jej, że powinienem zacząć. Zapytała czy muszę. Powiedziałem, że muszę. „A co będzie?”. Powiedziałem, że stracimy wszystko, potem będziemy mieli ciężko. „Ty się musisz zająć domem, a ja pewnie będę po aresztach i w więzieniach się tłukł”. Jeżeli musisz, no to musisz – zgodziła się na to, bidula. Zresztą zaowocowało to 13. Grudnia, kiedy ją zamknęli dzielni chłopcy generała Kiszczaka.

– A co dzisiaj mówi o tym pańskim wyborze?

– Żona jest moją żoną. Na szczęście mam w rodzinie taką sytuację, że wszyscy rozumieją, że to jest konieczne i celowe. Akceptują w pełni to, co robię, godząc się również na wszystkie dolegliwości, które z tym się wiążą.

No i zaczęło się! Pamiętam, że uczestniczyłem od dłuższego czasu w zebraniach ludzi, którzy później, w przyszłości, powołali KPN. Był oczywiście Leszek [Moczulski], był Tadek [Stański] i jeszcze kilka innych osób. Był Andrzej Czuma, który do KPN-u nie wszedł. Po drodze był ten rozłam w Ruchu [rozłam w ROPCiO miał miejsce w czerwcu 1978 r.]. W samym Ruchu Obrony Praw Człowieka nie byłem, ani nikt z moich kolegów, o których wspominałem, ale wiedzieliśmy o tym, że istnieje zamiar powołania partii politycznej. I pamiętam, że w pewnym momencie, to było właśnie w 1978 roku, powiedziałem – „Czas to zrobić”. Zaczęliśmy to organizować. Przygotowania trwały około roku.

1 września 1979 roku powołaliśmy Konfederację Polski Niepodległej. No i zaczęła się już zabawa taka, jak pan zna. Najpierw drobne szczypanki pod tytułem 48 godzin. Dzięki temu poznawałem różnych ludzi. Kiedyś w takiej brudnej, zapluskwionej celi spotkałem Zbyszka Romaszewskiego. To było nasze pierwsze spotkanie, i nawiązała się bliższa znajomość, która trwa do dzisiaj. Spotykaliśmy się jeszcze w czasie Solidarności, jak na krótko wyszedłem na

wolność. Potem spotykałem się z nim, gdy przychodził na salę sądową, jak trwał nasz proces KPN. A potem spotykałem się z nim na Rakowieckiej, przez przypadek zresztą, jak go złapano w stanie wojennym.

W zasadzie to chyba w największym skrócie wszystko, co można powiedzieć o tym okresie, zanim stałem się opozycjonistą. Zostałem nim z wyboru i chcę zajmować się tą sprawą jak fachowiec. Przygotowywałem się do tego. Sądziłem i sądzę nadal, że istnieje sposobność, że Polska zdoła odzyskać to, co jej się słusznie należy. Myślę, że mogę odegrać w tym procesie jakąś rolę, mogę w czymś ludziom pomóc. Powiem tak, choć to może zabrzmi trochę patetycznie – uważam, że mam wobec społeczeństwa, wobec ludzi, pewien dług do spłacenia. W tym społeczeństwie się wychowałem, pośród tych ludzi, przeszedłem drogę od robotnika fabrycznego, poprzez żołnierza służby czynnej, do studenta, jakiegoś tam aparaczyka, bo to tak można powiedzieć, w tym systemie. Następnie poszedłem do więzienia, do opozycji, za kraty... Po drodze zdobywałem doświadczenie, zdobywałem wiedzę. Sądzę, że mogłem ją zdobywać również dlatego, że ludzie po prostu pracowali. To, że funkcjonował uniwersytet i była biblioteka, to jest zasługa tego społeczeństwa. Niezależnie od tego, co komuniści chcieli z uniwersytetem z biblioteką zrobić, byli profesorowie, którzy chcieli uczyć i są książki, które można przeczytać. Uważałem, że ludzie są oszukiwani, są nabijani w butelkę, ale robotnik nie ma czasu, żeby zastanawiać się nad tym systemem, nad tym, co tu można zmienić, on po prostu wie, że jest krzywdzony. Otóż ja uważałem, że mam dług wobec tych ludzi, że mogę im pomóc. Po to się uczyłem, żeby z tymi ludźmi być razem. Mogłem się spokojnie urządzić jako ten paxowiec i żyć. Doszedłem do wniosku, że muszę to rzucić, przeciąć, że dalej iść nie mogę, bo dalej to czeka mnie skundlenie. W którymś momencie człowiek się musi skundlić, żeby się utrzymać. Otóż powiedziałem nie... Po prostu tak myślę.

– Jest to taka motywacja moralno-duchowa, ale teraz jest pan prawnikiem, próbował pan działalności realnej, społecznej, czy obywatelskiej...

– Tak. Wszystko, co cały czas robiłem, było realne. Szukałem realnych narzędzi.

– Ta szlachetna motywacja moralno-duchowa nie musi być wcale w sprzeczności z jakąś, to może brzydkie słowo, ale kalkulacją tego typu, że my jednak (opozycja), mamy realną szansę przejąć władzę, zmienić ten kraj.

– Oczywiście, że tak.

– Na ile działając w opozycji, myślał pan, że skutki mogą być dość szybkie, że próba przejęcia pewnych sfer wpływów społecznych, czy politycznych, w Polsce jest możliwa, że jest realna, a na ile pan tu się zawiódł?

– Nie, nie zawiódłem się. Gdybym się zawiódł, to bym spakował walizki i wyjechał. Gdybym się zawiódł, to bym przestał działać. Gdybym się zawiódł, to pewnie bym się nie uśmiechał dzisiaj, kiedy słyszę tego typu pytanie. To nie jest tylko wpływ tego, że byłem na mszy na dole w kościele...

– Moje pytanie nie jest takie abstrakcyjne. Chodzi o to, że jest wiele ścieżek, które poszerzają nasze inspiracje społeczne, czy narodowe, przez wiele lat. Natomiast stan wojenny w sferze nągich, fizycznych faktów, przeciął znaczną część tych realnych kroków do przodu. Ja nie mówię o stanie duszy społecznej, tylko mówię o możliwościach.

– W mojej świadomości troszkę to inaczej się układa. Otóż przed pójściem do więzienia było naprawdę bardzo trudno, kiedy przed Sierpniem robiło się robotę opozycyjną, niezależną, to liczyło się ludzi na palcach, jeżeli się człowieka gdzieś znalazło do czegoś, już się było szczęśliwym. Jeżeli to był jeszcze człowiek solidny, taki, który chciał pracować, miał jakieś znaczenie w środowisku, to było cudownie. Ale często robiło się z ludźmi takimi, z którymi dzisiaj na przykład nie chciałbym współpracować. To były również takie sytuacje. Bo pracuje się tym, czym się ma. Otóż po drodze byłem w więzieniu, wyszedłem, i jestem zaskoczony, bardzo mile i przyjemnie, że jest nas tak dużo. Widzi pan, to jest naprawdę bardzo dużo. Bo jest masa tych inicjatyw, wydawnictwa, oni praktycznie już chyba nie mają nadziei, że te wydawnictwa zlikwidują, jakkolwiek robią różne usiłowania. A więc jest prasa niezależna, są wydawnictwa, są ugrupowania różnego rodzaju, jest Solidarność, jako fakt polityczny, co więcej, jest ewenement, bo jest podziemie. My możemy mieć krytyczny stosunek do

tęgo wszystkiego, my możemy to różnie oceniać, ale to jest. To znaczy, że od 1 września 1979 r., kiedy Szeremietiew stał się opozycjonistą, do dnia dzisiejszego, jest naprawdę potężny, ogromny postęp.

– Postęp, jeśli bierzemy, że tak powiem, pod obserwację pole poszerzające się niewątpliwie, pole niezależnego społeczeństwa, choć moglibyśmy dyskutować o tym terminie.

– Oczywiście, tak.

– Natomiast ja o czym innym mówiłem, mianowicie nie wiem, czy pan zna tę dyskusję, w której Walicki zdaje się w „Aneksie” dyskutować z KOR-em...

– Słyszałem, tak.

– Oczywiście tam jest wiele bałamutnych tez, ale jedna z nich jest szalenie sugestywna, mianowicie ona mówi o tym, że po prostu działalność opozycji nie trafiona w odpowiedni moment polityczny, często paraliżuje jak gdyby polską władzę i zmusza ją do usztywniania się. Że istnieje takie sprężenie (tutaj trochę mogę niedokładnie streszczać – z tej pozycji w każdym razie idzie atak), że nasilająca się działalność opozycyjna, taka dość jednoznaczna, czy powiedzmy nawet skrajna, jak gdyby usztywnia to drugie skrzydło, to znaczy polską władzę i zaczyna się spirala represji zacieśniać. Co pan na ten temat? Ja nie mówię, że to jest mój pogląd, ale są takie zarzuty. Bo realnie rzecz biorąc po 13 grudnia oczywiście poszerza się pole działania społecznej myśli niezależnej, to jest oczywiste. Dobrze pan to powiedział, bo to nie dość tego przypominać. Natomiast w sferze zewnętrznej faktów, posunięć władzy, w sensie swobód, które władza sama limituje czy daje, to następuje ich cofnięcie, zaczyna być cofanie.

– Oczywiście.

– No i już wcale nie jest jakąś metaforą porównywanie z okresem stalinizmu. Więc tu jak gdyby z jednej strony poszerza się ta niezależność społeczna, ale z drugiej strony zwęża się jak gdyby zakres swobód, tych

dawanych oficjalnie, tych, którymi zwykły obywatel żyje, nie tylko opozycjonista. Żebyśmy nie utknęli tylko w tym punkcie, że tak powiem, to może zbyt brutalny epitet, ale zawodowego opozycjonisty. W końcu mamy w Polsce ileś tam milionów zwykłych ludzi, którzy myślą tak jak my, tylko że jak gdyby nie mogą, albo nie mają możliwości, muszą żyć w tych strukturach, które są, są narażeni na to prawo wciąż usztywniane, i karne i polityczne. Tak że jak gdyby można jasno powiedzieć, że zakres tych swobód oficjalnych się kurczy. Co pan myśli o tym sprzężeniu?

– Problem jest szerszy i polega on na tym, czy przy pomocy metod policyjnych można zatrzymać proces historyczny, i to jest pierwszy problem. A drugi to jest taki, że ta władza uświadomiła sobie wreszcie czym naprawdę jest. Ona chce oczywiście przetrwać, i żeby przetrwać, to ona wykonuje różnego rodzaju działania, między innymi te, o których pan wspomniał. To znaczy zaostrza, stosuje represje, przykręca śrubę, zawęża zakres swobód i tak dalej, i tak dalej...

– Niszczy oficjalne wydawnictwa...

– Tak. Dlaczego to robi? Robi to z bardzo prostej przyczyny – wie, że poszerzanie swobód spowoduje jedno – usunięcie jej. Mnie tam czasami bawi to, że ludzie uważają, przynajmniej niektórzy, że jeżeli się nie będzie mówić Czerwonym, że to chodzi o niepodległe państwo polskie i o zrzucenie tego jarzma, które nas krępuje, to oni nam na coś pozwolą. Oni na nic nie pozwalają. Oni pozwalają wtedy, kiedy muszą. Pozwalają, wtedy, kiedy społeczeństwo sobie to wywalczy, kiedy da sobie radę. W Sierpniu dało sobie radę, w Grudniu nie dało sobie rady. O ile 13 grudnia to na pewno nie było nasze zwycięstwo, to była nasza przegrana, nasza porażka, to 13 grudnia też nie był ich zwycięstwem. Oni zresztą nie mówią, że to było ich zwycięstwo.

– Nie.

– Nie mówią. Otóż sytuacja jest ciągle nierozstrzygnięta, kto kogo. Sierpień nam wszystkim uzmysłowił, że zaczął się pewien proces historyczny. Ja sądzę, że ten proces historyczny polega na tym, że Polacy dążą do niepodległości, nawet ci, którzy nie mówią tego głośno, ale w podświadomości gdzieś u nich to tkwi. Jest kwestią taktyki, czy się te rzeczy mówi, czy się nie mówi. Uważam,

że trzeba mówić. Ktoś może uważa, że nie trzeba – jego sprawa. Ale to się tak skończy. Ten system, który bankrutuje, w duszach Polaków już zbankrutował, w świadomości ludzkiej już zbankrutował. On się trzyma dzięki temu, że ma w ręku system represyjny, że ma pieniądze, że może jeszcze jakichś ludzi podkupywać, że się ludzie go boją. Ale ludzie się go boją i go nienawidzą. Otóż tego procesu zatrzymać nie można. Można go opóźniać, można go hamować, ale ludzie już łyknęli ten haust wolności. Niech pan popatrzy co się dzieje z młodym pokoleniem. Zdaje się Jacek Fedorowicz powiedział, że przedszkolaki są już nasze. Nigdy jeszcze w oczach Polaków system nie był tak skompromitowany jak jest obecnie. To jest ogromna rzecz. Uważam, że ludzie, którzy podjęli decyzję 13 grudnia, mam na myśli aparat władzy, powinni przeklinać ten dzień i ten pomysł. Bo przy umiejętnej ich polityce, i stosownej taktyce, mogli bardzo dużo wygrać bez stanu wojennego.

– **Podsunę panu przykład. To jest dla mnie komplement, tak że nie wstydzę się powiedzieć. Dość powszechna akceptacja „Gazety Krakowskiej”...**

– Tak, pamiętam to, oczywiście.

– **... była jak gdyby jakąś taką ścieżynką, którą można było pójść.**

– Oczywiście.

To znaczy można się było próbować dogadać. Być może, że potem złe siły w partii by mogły jeszcze raz nas wymanipulować, to niewykluczone, ale szanse były.

– Były, natomiast ich zawiodły nerwy. Chwała im za to, że ich nerwy zawiodły, bo przez to oni się po prostu totalnie skompromitowali. To znaczy od dnia 13 grudnia 1981 noni nie mogą liczyć już na ludzi, którzy by chcieli dla nich coś zrobić z własnej nieprzymuszonej woli, z jakichś głębszych pobudek. Zostali tylko tacy, którzy albo są kompletnie wystraszeni i wiedzą, że się boją, albo kanalie, albo tacy jacyś tam...

– **Z konieczności życiowej.**

– Tak. I to wszystko. Natomiast ideowców...

– **Jeden, może pół procenta.**

– Ładosz może. Więc to jest sytuacja tego typu.

– **Nie, co do tego to ja powiedziałbym, że po tylu rozmowach, któreśmy tu przeprowadzali, to jak gdyby wszyscy się zgadzamy. Tu się trudno spierać. Dobrze, że w pańskiej argumentacji jeszcze raz to padło. Natomiast na ile teraz można znaleźć jakąś przekładnię, jakiś tryb, który by sprawił, że ta powszechna świadomość negacji, odejścia...**

– Stanie się faktem, w sensie politycznym jakimś, społecznym?

– **Tak, zaczniesz się zamieniać w fakty realne, społeczne, polityczne. Stąd też było to moje pytanie o spiralę, że z jednej strony jest bardzo dobrze, ale z drugiej strony jest bardzo źle.**

– Bo zawsze tak jest, zawsze jest bardzo dobrze i bardzo źle, problem po prostu polega na tym, jak te proporcje się układają i jaki skutek ma to, co dobre, na to, co jest bardzo złe. To znaczy na przykład czy przykręcanie represji z ich strony spowoduje wzrost posłuszeństwa społeczeństwa i strach, czy odwrotnie, wściekłość, mnożenie się jakichś inicjatyw, jakichś działań, determinację ludzi.

– **Tak, ale ja myślę, że ten system operuje jeszcze bardziej subtelną skalą terroru, mniej widoczną, i jak gdyby w ostatnim czasie to widać.**

– Tak, tak.

– **Przejsie na krótkotrwałe kary, szukanie u Bratkowskiego nie przede wszystkim człowieka, który mówi co innego, tylko człowieka, który miał jakieś tam dolary. Represjonowanie robotnika, na 3 miesiące wsadzanie go, wypuszczanie, systematyczne krzywdzenie go w pracy w sprawach premii, w sprawach pensji. Jest to szalenie uciążliwe. Ten system znakomicie umie tym manipulować.**

– Niech oni sobie to robią. Otóż powiem tak. Nam do szczęścia są potrzebne 3 elementy. Nam jest potrzebne paliwo, potrzebny jest lont i potrzebny jest do tego ten ogieniek, który po tym lonce do tego paliwa dojdzie i zapłonie ten gniew, który w narodzie jest. Bo tylko z tego można coś konstruktywnego

zrobić, jak to dowiódł Sierpień. Polska dziś jest beczką prochu. Władza swoimi działaniami, zwłaszcza po 13 grudnia, ten proch ładuje. Ten proch jest różny, to jest sytuacja krzywdy, niesprawiedliwości, to jest każda łza, każdy człowiek zamknięty niesłusznie, wyrzucony z pracy, każda niesprawiedliwość, która jest kojarzona z tym systemem, każde łajdactwo. To są te odrobinki prochu, które wpadają do tej beczki. Ta beczka wybuchła w różnych momentach. Raz w 1956 roku zapłonęła, ale nie spłonęła, wypaliła się. Znowu ta władza naładowała prochem, w grudniu 1970 roku wybuchła, też zapłonęła i zgasła. „Pomożecie?” – „Pomożemy”. W Sierpniu wybuchła, zapłonęła, i coś z tego stało się...

– **Przed wszystkim stało się w sferze świadomości.**

– Nie tylko, są rzeczy znacznie ważniejsze, świadomość jest podstawowa.

– **To przejdźmy do tych.**

– Mianowicie od Sierpnia ta beczka ma lont. Co to znaczy? To oznacza, że istnieją grupy, istnieją ludzie, którzy w świadomości społecznej będą wiedzieli co zrobić z sytuacją, kiedy ona wybuchnie. Sierpień, jeżeli był konstruktywny, w przeciwieństwie do Grudnia, to dlatego, że społeczeństwo tak czy inaczej wiedziało, że jest jakaś opozycja. Ludzie w 1970 roku byli bezradni. No bo co? Wyjść na ulice, spalić komitet i co dalej? Nic. Natomiast tu wiedzieli, że jest ktoś, kto myśli, że może być jakiś program, że są jakieś możliwe działania, są jakieś zorganizowane siły. To nieważne, że te siły były słabe i małe, to nieważne, że ci ludzie mogli nie sprostać temu zadaniu, ale w świadomości społecznej to było. KOR istnieje, jakieś ROPCiO, jacyś tam ludzie działają. I to w momencie Sierpnia zaowocowało. Otóż niech pan popatrzy, że w tej chwili istnieje powszechna świadomość, że istnieje TKK, jest Bujak, jest Wałęsa, jest Kuroń, jest Moczulski, jest tam jeszcze ktoś. Myślę, że jest tam gdzieś jeszcze Szeremietiew, bo trzeba też własny ogonek chwalić, jak każda pliszka to robi. Otóż ludzie o tym wiedzą, i to jest ten lont. I teraz co nam potrzeba, nam jest potrzebna oczywiście iskra. Jest naiwnością zawodowych rewolucjonistów, którzy myślą, że można coś takiego wywołać, sprowokować, spowodować. Nie, my nie możemy tego wywołać. Z tej prostej przyczyny, że po pierwsze mecha-

nika procesów społecznych jest ciągle zagadką, najmądrzejszym socjologom się nie udało tego problemu rozwikłać. Bo jak to się dzieje, że było spokojnie a nagle coś wybucha? Albo było podminowane i nic. Nie wiadomo. Otóż tu się coś stanie. Nie jestem pewien, kiedy się stanie, gdzie się stanie, czy to będzie w Katowicach, czy to będzie w Gdańsku, czy to będzie w Warszawie, czy to będzie w Lubinie, czy w Dzierżoniowie – nie wiem. Ale gdzieś się to stanie, ten początek od którego ruszy lawina. I wtedy okaże się, że można. Ludzie wiele razy uważali, że nie można, nie udawało im się, a naraz okazuje się, że można, że możemy, że możemy robić niezależny związek.

Twierdzę, że my w tej chwili mamy wszystkie warunki, aby przewidywać, że nastąpi kolejny wybuch społeczny. Musi on nastąpić, z tej prostej przyczyny, że ta władza nie zdołała rozwiązać żadnego z istotnych problemów, które spowodowały Sierpień 1980. Mało tego, pogłębiła to wszystko, skompromitowała ten system, odrzuciła ludzi, którzy mogli być dla tego systemu pomostem między nią a społeczeństwem. Mało tego, obeszła się z nimi powiedziałbym nawet dość brutalnie, aż jestem zdziwiony, że można coś takiego zrobić. Bo nie dziwię się, że mnie, tak zwanego ekstremistę tak potraktowano. Ale na przykład padło tutaj nazwisko Stefana Bratkowskiego. Przecież to człowiek, który dla nich był idealny. W tym sensie, że był komunikatywny społecznie, inteligentny, bystry. Jest fachowcem, a poza tym jest o przekonaniach socjalistycznych. A więc u diabła – dlaczego to zrobiono? Okazało się, że lepszym specem od socjalizmu jest Urban niż Bratkowski, proszę bardzo, jak ktoś chce się tak bawić, to niech się bawi. Natomiast oni niczego nie rozwiązali. Społeczeństwo czeka, społeczeństwo chce. To prawda, że na co dzień mamy tych ludzi zagonionych, szarych, przestraszonych...

– I co możemy im zaoferować?

– W tej chwili nic

– Jaki program?

– Żaden. Musimy dążyć do niepodległości. Kiedy mnie pytają, w jaki sposób odzyskać niepodległość, to ja mówię, że wszystkie drogi prowadzą do niepodległości. Pod warunkiem, że wiemy, że idziemy do niepodległości, że

po drodze tej niepodległości nie rozmienimy na jakieś rokowania, które spowodują następny 13 grudnia. Bo trzeba pamiętać o bajce towarzysza Stalina o sojusznikach, nie wiem, czy pan pamięta?

– **Nie bardzo.**

– Była taka bajeczka. Towarzysz Stalin powiedział, że partii bolszewickiej są bardzo potrzebni sojusznicy. Przy czym ci sojusznicy to powinny być takie garnczki gliniane, a nasza partia bolszewicka garnek żelazny. My te garnki wszystkie wkładamy do worka, potrząsamy tym workiem. I co mamy? Skorupki i żelazny garnek. Otóż trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że rokowania z bolszewikami, z komunistami, z tą władzą PZPR, z jej strony mają na celu uczynienie z nas glinianego garnka. Glinianym garnkiem zrobiono kiedyś PSL, Stronnictwo Pracy, Caritas. Usiłowano Kościół zrobić glinianym garnkiem – nie udało się. Usiłowano zrobić gliniany garnek z Solidarności. Proszę bardzo, rozmawiajmy, jak to mówił Rakowski. Chcieliśmy robotników, chcieliśmy się z nimi dogadać, a oni nie. Otóż nie udało się zrobić ze związku glinianego garnka. Trzasnęli nim, niby coś się posypało, ale ten garnek jest poobijany ale cały. Okazało się, że on nie jest gliniany, cholera.

Otóż chwilę temu mówiłem, że idziemy do niepodległości. Każda działalność jest formą zdobywania niepodległości. Bo w momencie, kiedy człowiek ma odwagę powiedzieć jakie ma poglądy, to on już jest o jakiś milimetr bliżej tej niepodległości, bo następny, drugi i trzeci będzie to robił. Jeżeli się ukazuje gazетка, czy druk, to też jest element, który nas przybliża do niepodległości, jeżeli jest niezależna demonstracja, jeżeli jest uroczystość, przypomnienie rocznicy. Jeżeli budujemy dużą instytucję społeczną o nazwie związek zawodowy, jeżeli tworzymy partię polityczną, to są wszystko elementy, które w którymś momencie pozwolą nam powiedzieć, Polska już jest niepodległa. Bo mamy własny rząd, mamy własny parlament, mamy tak urządzone nasze państwo, jak sobie tego społeczeństwo życzy. Otóż czy jest program... Właśnie, pytanie o program...

– **Ja już je postawiłem wcześniej, tak że nie powtarzam się.**

– Jakiej odpowiedzi oczekuje zwykle ten, który stawia pytanie? Powinna

być odpowiedź taka: należy zrobić a, b, c i d. To znaczy, jeżeli w dniu powiedzmy tym i tym wyjdzie nas pięciu, to do nich się przyłączy dziesięciu, będzie nas dziesięciu, już wiadomo, następnego dnia jeszcze, i teraz to się wszystko będzie sprawdzać. Otóż takiego programu nie ma. Dlaczego? Dlatego że nie wiemy jak się potoczą wypadki, nie wiemy jaka będzie sytuacja, nie wiemy ilu ludzi będzie zdecydowanych na jakieś działania, i tak dalej, i tak dalej.

– Moczulski w takim momencie powiedział, że wyjdzie 5 milionów robotników na ulice i nikt im nie da rady.

– Może tak będzie, nie wiem. Wiem jedno. Założyłem sobie w mojej koncepcji, że przed nami ciągle stoi szansa, sposobność zwycięstwa. Ja nie chcę być taki pewien, że jest, ja mówię, że jest duża szansa, i że tę szansę zdołamy wykorzystać. Być może przy najbliższej okazji i postaramy się wykorzystać ją dobrze, mamy doświadczenia sierpniowe, grudniowe, to co się działo później, wiemy z kim mamy do czynienia już w tej chwili na pewno. Po cichu powiem – od początku nie miałem złudzeń co do tego, jakkolwiek mam oczywiście pod własnym adresem również pretensje o to moje zachowanie, które było między Sierpniem a Grudniem. Na pewno można było inaczej i coś więcej. No ale trudno, na błędach się ludzie uczą. Ktoś mówił uczta się na uniwersytetach, nie na błędach. Więc tutaj na pewno można było coś więcej zrobić. Ale myślę, że wykorzystamy naszą szansę, mamy doświadczenie, mamy kadrę, mamy ludzi, mamy również struktury, mamy niezależną myśl i mamy ogromne pokłady społecznego zniecierpliwienia, które tak czy inaczej muszą znaleźć swój wyraz.

– Ja to wszystko rozumiem, tylko powiem brutalnie...

– A co teraz?

– Kto na to pozwoli?

– Kto na to pozwoli?

– Ta logika wewnętrzna polskiego społeczeństwa, tych działań, to wszystko ja akceptuję, zgadzam się. Jest wielki potencjał ku temu, jeszcze w tej wizji, że krok po kroku. Nie mam żadnych zastrzeżeń.

– Krok po kroku albo będzie skok.

– Albo jakiś skok, prawda. Tylko pytam się (to według mnie jest mimo wszystko przygważdżające pytanie), co na to blok socjalistyczny, co na to Związek Radziecki?

– O, a to jest pogawędka, że tak powiem, na parę dni, jeżeli byśmy chcieli ten problem jakoś wyraźnie rozstrzygać. Oczywiście, że planujemy nasze zachowania, nasze działania i planuje się politykę...

– Jak gdyby tego nie było.

– Nie, polityka to jest pewne ryzyko. Jak powiedziałem, chcę być w polityce fachowcem. Ale z drugiej strony...

– Muszę być wizjonerem.

– Może wizjonerem to takie za górnolotne. Chciałbym po prostu powiedzieć, że trzeba mieć pewne wewnętrzne przekonanie do tego, co się robi. Założyłem sobie pewną koncepcję. Uważam, że ją będzie można zrealizować. Mogę się pomylić oczywiście, może się nie udać. Po prostu przygotowuję się na sytuację, w której będę mógł tę koncepcję realizować. W tym oczywiście spoglądam z ogromną uwagą na Związek Radziecki, ostoję pokoju i socjalizmu, i tę władzę, która w tym kraju jest. Nie bagatelizuję jej. Wręcz odwrotnie, wydaje mi się, że przeceniam jej możliwości. Twierdzę, że przeciwnika należy raczej przeceniać niż nie doceniać, bo potem mogą być przykre rozczarowania. Otóż ta władza oczywiście ma pewne możliwości manewru, na szczęście manewruje dla siebie ciągle głupio i źle, i ona może jakoś tam przez jakiś czas, to represjami, to strachem, to tym, to tamtym, to owym... Ale przypominam to, co ja powiedziałem przedtem – w którymś momencie gdzieś się zacznie. Po prostu liczę na to. Liczę na to, że oni gdzieś popelniają błąd...

– Liczy pan na to, że po prostu w pewnym momencie Związek Radziecki jak gdyby uzna tę naszą wewnętrzną polską specyfikę, to nasze dążenie i zaakceptuje. Bo innej logiki jak gdyby nie ma. Chyba, że logika taka, że to się rozpadnie, to imperium.

– Można i o tym myśleć, ale nie myślimy o takich wielkich rzeczach. To byłby oczywiście ideał. Jeżeli założyć, że Rosjanie nie idą na rozwiązania typu wojennego, jeżeli idzie o Zachód, że im zależy na jakimś dogadaniu się z Zachodem i jeżeli wybuch, który będzie miał miejsce w Polsce, będzie stosunkowo krótki, i w czasie tego wybuchu uda się społeczeństwu jak najwięcej zdobyć... Na przykład ideałem byłoby, gdyby siły niezależne w Polsce zdobyły władzę. To ja myślę, że wówczas Rosjanie będą mieli do wyboru albo interweniować albo rokować.

– I co pan myśli, że co wybiorą?

– Ja myślę, że wybiorą rokowania.

– Jeszcze ani razu tak nie zdarzyło się w historii stosunków z sojusznikami.

– Bo ani razu jeszcze nie było takiej sytuacji, żeby ktoś opanował powstanie. Ja nie proponuję posługiwania się tu przykładem węgierskim i czeskim. Z bardzo prostej przyczyny. Otóż między Węgrami i Czechami a nami jest taka różnica, że tam na czele tych procesów, które się działy, stała jakaś światlejsza część partii komunistycznej. I w związku z tym wystarczyło zamknąć kierownictwo partii, to znaczy Nagya i innych w Budapeszcie, czy Dubčeka i innych w Pradze, i kończyło się wszystko. Otóż u nas niech zamkną kierownictwo partii, proszę bardzo...

– Ale Jacek Kuroń mówił, oczywiście, że się pomylił, i on mówił to przecież w końcu, że władza jest nasza, że na ulicy, tylko my jej nie bierzemy, bo nie chcemy prowokować. Były takie buńczuczne fragmenty wypowiedzi Jacka Kuronia.

– Jak władzę można brać, to trzeba ją brać.

– Były takie. Okazało się, że po prostu ta władza moralnie jest słaba. Według mnie to i tak był cud polityczny, myśmy byli strasznie daleko z tą Solidarnością, jeśli idzie o zbliżenie się do władzy.

– Proszę pana, to my byliśmy słabi. Tę władzę można było oczywiście wziąć,

tylko nie było nikogo, kto by się na to odważył. I w rezultacie ta władza została w rękach tych facetów z czerwoną czapeczką, zdaje się tak się mówiło, że zostawimy czerwoną czapeczkę. Otóż ja nie radzę zostawiać czerwonej czapeczki, bo dzięki czerwonej czapeczce zawsze się można utrzymać przy władzy.

– Nie sądzi pan, że gdyby doszło do takiego szybkiego przejęcia władzy przez Solidarność, już realnego, to że byłaby po prostu zwykła interwencja?

– Myślę, że nie. To jest wrócenie z fusów. To jest kwestia taka, że operacja przeciwko Polsce to jest sprawa bardzo kosztowna, to nie jest Czechosłowacja. Przypomnijmy, że przeciw Czechosłowacji, która wiadomo było, że się nie będzie bronić, wojska czeskie były...

– Lechu Wałęsa też mówił, że jak czołgi przyjadą, to kwiat się włoży...

– Oczywiście, kwiat i tak dalej. Wiadomo, że kwiaty nie zatrzymują czołgów.

– Inni mówili, że butelki. Tylko że butelki się nie mają tych nowoczesnych czołgów, wie pan.

– Nawet butelki. Ja panu powiem, że być może towarzysze z naprzeciwnika inaczej by się zachowywali, gdyby wiedzieli, że to nie jest tylko gadanie, że rzeczywiście przygotowane są butelki. Nikt tych butelek nie przygotował.

– Ale wie pan, że one się nie mają tych czołgów nowoczesnych?

– Może, nie wiem, to coś innego może się da, na wszystko jest sposób. Wie pan, nie o to chodzi. Chodzi o pewien symbol. To znaczy dużo się co prawda mówiło różnych rzeczy i często głupstw, ale przeciwnik doskonale wiedział, że Solidarność, że opozycja się do czegoś takiego nie pali, nie przygotowuje. Widzi pan, kiedy oni atakowali zakłady 13 grudnia, to oni wiedzieli, że ludzie się nie będą bronić, że będą siedzieć...

– Powiem panu więcej, z tego co ja domniemuję, to spodziewali się większych ofiar.

– Otóż to, oni się spodziewali czegoś znacznie gorszego. Otóż widzi pan...

– **Ale ofiar o wiele większych.**

– Tak.

– **Nie tego, że przegrają, ale o wiele większych ofiar po stronie nas, społeczeństwa.**

– Tak, no i po stronie ich.

– **Z tym się tak bardzo nie liczyli.**

– Ja nie wiem. To jest kwestia tego rodzaju, że nie jesteśmy w stanie powiedzieć, czy Rosjanie by nie interweniowali, czy nie, możemy kalkulować, polityka to jest kalkulacja i przekonanie.

– **Pańska kalkulacja jest taka, że oni by nie weszli, że zostawiliby Polskę dla nas?**

– Sądzę, że trudno byłoby im wejść. Po pierwsze oni są tutaj...

– **Po pierwsze dlaczego.**

– Po drugie to musiałyby być bardzo duża operacja.

– **Wojskowa, techniczna?**

– Wojskowa, techniczna. To znaczy przeciwko Czechom skierowano 800 tysięcy wojska, Czechy, jak wiadomo, są 2 razy mniejsze niż Polska, i jak wiadomo czeska armia z rozładowaną bronią siedziała w koszarach. Otóż stosunek sił był... tam 200 tysięcy chyba jest tych Czechów, a więc 4:1. Żeby być pewnym zwycięstwa trzeba mieć 3:1 (przy założeniu, że nie będzie oporu). Przy założeniu, że jakiś opór w Polsce by był, a gdyby była rzeczywiście determinacja i wola oporu w społeczeństwie polskim, gdyby oni wiedzieli o tym, że są takie przygotowania, że jesteśmy na to gotowi po prostu, to wówczas musieliby zakładać ten stosunek przynajmniej 4:1. Biorąc pod uwagę, że siły Ludowego Wojska Polskiego, podają źródła zachodnie, liczą 300 tysięcy, myślę, że trochę więcej, no to trzeba półtora miliona żołdatów do takiej operacji. To jest duża operacja.

– **Nie znam się na tym, ale jak pan przewiduje, ile to by dni zajęło sojusznikom, żeby opanować wojsko polskie?**

– Jeżeli by tylko jechali, no to około dwóch tygodni.

– **Aż tak długo?**

– Tak. Bo trzeba pamiętać, że nowoczesna armia musi mieć zaopatrzenie, muszą się skoncentrować wojska, poza tym nie można ogołocić z wojsk NRD myślę, przynajmniej tak dokładnie, trzeba przeprowadzić mobilizację, i tak dalej, i tak dalej

– **Ale zdaje pan sobie sprawę, że w tym momencie jesteśmy jakby już w najbardziej delikatnym i najsłabszym punkcie pańskiej argumentacji. Bo to, co pan mówi, opiera się tylko na tym – „Ja myślę, że by nie wkroczyli”. Ale doświadczenia historyczne wskazują, że wkraczali.**

– Wszędzie?

– **Wkraczali.**

– Do Jugosławii nie wkraczali. Do Albanii, do Chin też nie wkroczyli. Bo duże, a Jugosławia była daleko? A Albania, która była taka malutka?

– **Nie, co tam Albania.**

– A w Egipcie też nie interweniowali, jak sobie przypominam

– **Ale czy zgadza się pan, że tutaj jest słaby punkt...**

– Nie, nie zgadzam się.

– **Czyli liczymy na to, że Związek Radziecki po prostu nie kiwnie palcem i pozwoli ukształtować polską władzę?**

– Tak nie powiedziałem.

– **Ja panu powiem, gdyby takie były intencje, to po pierwsze – nie sądzę, żeby Jaruzelski interweniował w sprawie Solidarności, a po drugie – byłoby bardzo blisko tego jakiegoś porozumienia, tej władzy solidarnościowej.**

– Dlaczego interweniował?

– **Interweniowali tylko dlatego, poprzez Jaruzelskiego, bo po co mieli sami.**

– Ależ oczywiście.

– **Doszli do takiego wspólnego opanowania Polski, że nie muszą sami interweniować.**

– Oczywiście, nie muszą sami. Ale pytanie, czy mogliby sami...

– **Dlatego tu jest taki słaby punkt w tym rozumowaniu.**

– On jest równie słaby w pańskim zarzucie. Bo pan nie ma również żadnych argumentów na to, żeby powiedzieć, że oni są w stanie interweniować. Ja nie powiedziałem, że oni nie będą interweniować, ja powiedziałem, że z tego, co przypuszczam, oni nie powinni interweniować, albo że nie będą mieli okazji do interwencji, możliwości interwencji.

– **Ale będą chcieli.**

– Chcieć to oni może by i chcieli, tylko w polityce się robi to, co można, a nie to, co się chce.

– **Jeśli by się znaleźli w takim układzie jakimś międzynarodowym...**

– No właśnie, przecież wiele rzeczy wpływa na tę Rosję. Pamiętajmy, że między 1968 rokiem a 1980 którymś wiele rzeczy się zdarzyło, ta Rosja też się zmienia, jeśli idzie o konfigurację, układ sił i jej możliwości. Raz ona może, raz nie może.

– **Już żeśmy poszli bardzo daleko. Streszczając to, zgodzi się pan, że w pańskim rozumowaniu, które jest bardzo efektowne, które akceptuję, na końcu jest moment tego typu, że po prostu rozstrzygnięcie siłowe, konfrontacja siłowa między społeczeństwem a blokiem – jawna konfrontacja z blokiem.**

– My tego nie unikniemy.

– **Ale zgadza się pan, że u końca rozumowania tego jest to?**

– Tak, Polska będzie wtedy wolna, kiedy odzyska niepodległość, a na pewno odzyskanie niepodległości przez Polskę nie będzie w smak temu blokowi. Otóż jeżeli uznamy, że program niepodległościowy jest nierealny i nie warto o to strzepić jęzora, to ta zabawa w ogóle jest bez sensu. Bo wtedy największe możliwości jakieś tam wynegocjowane, wymanewrowane jakieś wolności, oni panu po sezonie politycznym odbiorą, jak się umocnią, i będzie pan znowu siedział w tym samym. Ich już było tak dużo, proszę, przyjechały czołgi i guzik, nic nie ma.

– **Czyli nasze rozumowanie, czy nasza największa nadzieja opiera się na tej konfrontacji siłowej. Ale z kolei jak popatrzymy na mapę, jak popatrzymy na wypowiedzi na przykład polityków zachodnich, weźmy Brzezińskiego, to nikt rozsądny z Zachodu nie wierzy w siłową wygraną Polski...**

– Mój Boże, a któż w 1914 roku wierzył, że Polska będzie niepodległa? Czytałem taki list chyba z 1913 roku. Píše facet o różnych rzeczach (w Zakopanem się to dzieje)... i pisze jest tu taki facet, komendant Piłsudski, z takimi chłopakami, co wystrugane karabiny mają i bawią się w wojsko, to jest rzecz niepoważna i śmieszna. Oczywiście, wtedy to mogło wyglądać niepoważnie i śmiesznie, kto przypuszczał, że będzie...

– **Nikt nie przypuszczał, że będzie Solidarność.**

– O właśnie, jesteśmy w domu!

– **Muszę rozmówcom czasami pomagać.**

– Na tym polega współdziałanie różnych kierunków i odłamów, które w wolnej Polsce musi zakończyć się w parlamencie jakimś wspólnym głosowaniem nad ważnymi sprawami. Studenci w maju 1968 roku w Paryżu, pisali takie hasła „Bądźcie realistami, żądajcie rzeczy niemożliwych”. Ja myślę, że...

– **Wprawdzie teraz obrośli tłuszczem...**

– Bo zawsze się obrasta tłuszczem.

– Prowadzą te swoje manufaktury.

– Tak, na szczęście oni nie muszą odzyskiwać niepodległości. My nie możemy prowadzić manufaktur, pan gdyby nawet chciał...

– Nie dam rady.

– Nie da rady, nie zrobi pan dziennika, który będą kupowali, ni cholery. Ja żeby nie wiem jak chciał, to prawnikiem w tym interesie nie będę, bo to prawo jest takie, że Jezus Maria, lepiej nie mówić. Więc co ja mogę. Czy ja mógłbym być na przykład prokuratorem? Nie. Czy ja mógłbym być sędzią? Nie. Radcą prawnym, co, oszukiwać innych? Więc nie. Otóż my jesteśmy w innej sytuacji, oczywiście, nami kierują jakieś nadzieje, my przekonaliśmy się na własnej skórze, że rzeczy niemożliwe stają się rzeczami możliwymi. Co to było do ciężkiej cholery, przepraszam, to był sen złoty? Tak jakoś przeleciało i nie ma nic. Nie, są fakty na to. Jeżeli ktoś nie wierzy, niech pojedzie do Gdańska albo do Poznania, popatrz sobie na pomnik. On jest! To stanęło wbrew tej władzy! I popatrzcie jaka ona jest słaba, ona ten pomnik by chętnie zniszczyła, ale nie może, a on stoi. Otóż myślę, że taki pomnik gdański jest w każdym z nas, i tego ta władza już nie może ruszyć. A skoro on jest w każdym z nas, to któregoś dnia w tej Polsce stanie pomnik znacznie większy, którego też nie będzie można ruszyć. Głęboko w to wierzę, ja myślę, że oni nie będą w stanie tego ruszyć. Powiedziałem, polityka to jest kwestia siły. Oni muszą wiedzieć, że my jesteśmy zdeterminowani, że my się ich nie boimy. Oni muszą wiedzieć, że my jesteśmy gotowi na wszystko. Piłsudski powiedział: ludzie by chcieli, żeby niepodległość Polski była możliwa za parę kopiejek, tak jakoś tanio. Wielkich rzeczy, proszę pana, nie kupuje się małą ceną.

– Tak, ale był jednak, powiedzmy sobie szczerze, poza tym, nie negując absolutnie, był układ, gdzie nasi...

– Układ, układ, zawsze jest jakiś układ.

– Układ międzynarodowy, był wspaniały.

– Wspaniały, wspaniały, wspaniały. A gdyby w tym wspaniałym układzie Francuzi się nie zachowali?

– Jeśli na Jałtę teraz popatrzymy, na stosunek zachodu do Jałty. Czy widzi pan nadzieję?

– Widzę nadzieję, oczywiście.

Czy po prostu upchnięcie nas w konieczności geopolitycznej?

– Nie, nie. Myślę, że Zachód też się już zorientował na czym ta zabawa polega. Z tym, że Rosjanie nie dotrzymują układów.

– I tu jesteśmy znowu przy bardziej realnym nurcie rozmowy.

– Otóż to. Nasze zwycięstwo, jeżeli ono nastąpi, ja twierdzę, że ono nastąpi, będzie wtedy, kiedy my, po pierwsze – pozbędziemy się złudzeń co do tego, że można znaleźć jakiś *modus vivendi* z tym interesem, który nas otacza, i że można... pamiętam, były jakieś takie pomysły, że to jakaś taka Finlandia, czy coś tam może być. Niestety, to wszystko jest niemożliwe. Ja powiedziałem, że jestem moralistą, że chcę politykę traktować realnie, otóż kiedy pada słowo realista, to się Polakom na ogół źle kojarzy. Dlatego, że u nas, nie wiem dlaczego, słowo realizm zostało przyczepione do ludzi, którzy nigdy nie byli realistami.

– Do oportunizmu.

– Można uważać oportunizm za metodę na załatwienie czegoś, ale ja mówię o tych tak zwanych realistach sztandarowych, Wielopolski margrabia, czy w innym układzie Roman Dmowski, jako ci realiści. Otóż okazuje się, że ci realiści są realni, kiedy oceniają te wszystkie zewnętrzne uwarunkowania i w swojej polityce starają się tak tę koncepcję konstruować, żeby ona te realia uwzględniała. Sympatyczny i przeuroczy Stefan Kisielewski zdaje się miał taką koncepcję, żeby rozmawiać z Rosjanami za plecami partii komunistycznej. He, he, he...

– Już się spieszą. To już by rozmawiali z Wałęsą.

– A po co? Oni będą gadać wtedy, jak nie będzie komu odbierać telefonów w Warszawie, a dopóki jest komu odbierać, to oni będą rozmawiali z kimś, który słucha telefonu. Otóż ten realizm jest tak realistyczny, że myśli o wszystkich realiach, tylko zapomina o jednym podstawowym – mianowicie o Polakach. Jeżeli chce się prowadzić politykę realistyczną i chce się być realistycznym po-

litykiem w naszym kraju, to trzeba pamiętać kim są Polacy, jakie są ich emocje i nastroje. To w polityce wbrew pozorom jest bardzo realny element. Po co Piłsudski mówił o imponderabiliach? Są to rzeczy takie, których zważyć, zmierzyć nie można, a stoją faceci i „wyciągają zajęczka” wszyscy, „Boże Ojczyznę wróć nam Panie wolną” śpiewają. Jak wolno było, to się okazało, że i Matka Boska się pojawiła na sztandarach, Bóg, Honor, Ojczyzna i krzyż, i orzeł w koronie, i tak dalej, i tak dalej. Otóż można sobie z tego dowcipkować, ale nie można tego lekceważyć. To jest realne. Jeżeli w koncepcji politycznej zapomina się o tym, to się nie jest realistą. Margrabia Wielopolski o tym zapomniał. Zastanawiał się jaki jest układ kamaryli na dworze carskim, co car może, i z którym trzeba wypić ministrem, z którym pogadać, a zapomniał o tym, że jak zrobi brankę, to mu powstanie wybuchnie.

– To co pana łączy z tym nurtem jak gdyby narodowym, jeśli tak pan trzeźwo ocenia na przykład Dmowskiego.

– Z nurtem narodowym? Zależy co pan rozumie przez nurt narodowy?

– Bo w pewnym momencie pan powiedział, że KOR to nie była ta ścieżka, która pana interesowała politycznie. Więc jak by pan się usytuował między tym skrótem, którym w Polsce się posługuje jak wytrychem, obóz narodowy, nacjonalistyczny a KOR...

– Panu chodzi o to, jak by to zrobić, żeby z tej przeszłości takie te...

– Jakież wątki do wzięcia.

– Uważam się za konserwatystę w nowoczesnym rozumieniu tego słowa. Czuję się takim konserwatystą, powiedzmy, jak amerykańscy republikanie, czy brytyjscy konserwatyści. Uważam, że należy iść naprzód, nie zapominając o tym skąd się wyszło i co się ze sobą niesie. Nie jestem zwolennikiem koncepcji endeckiej, dlatego że Roman Dmowski dla mnie, jak powiedziałem, nie był politykiem realistycznym. Niech pan zauważy, że on co pewien czas wygłaszał pewne poglądy i zmieniał je, natomiast cała droga życiowa Romana Dmowskiego jest usiana jego zwolennikami, którzy zostali na jakimś etapie jego poglądów. Była tak zwana stara endecja, potem była młoda endecja, po-

tem była jeszcze młodsza, i tak dalej, i tak dalej. Było takie skrzydło, które poszło w kierunku sanacji i było takie skrzydło, które poszło w kierunku wręcz odwrotnym, i nawet PAX jakoś się z tego wziął po drodze. Nie jestem zwolennikiem koncepcji endeckiej, również i dlatego, że koncepcja endecka, jak wiadomo, w gruncie rzeczy przekreśla to, co było w Polsce naprawdę wielkie. Powiem rzecz straszną dla Narodowych Demokratów, ale rzeczą wielką w naszej przeszłości była wielonarodowa Rzeczpospolita. Otóż koncepcja endecka to przekreśla. Weźmy antysemityzm – jeżeli Dmowski coś takiego w ogóle zacząć poważnie rozpatrywać w kategoriach jakichś koncepcji politycznych, to jest dla mnie paranoja.

– **Oczywiście.**

– Mam w sobie, w swoich żyłach, sporo krwi rosyjskiej. Czy z tego powodu ja mam się czuć gorszym Polakiem? Czy mam prawo odmawiać polskości, czy podejrzewać kogoś o gorszy gatunek polskości dlatego, że ma inną krew w żyłach? Artur Oppman piękny wiersz kiedyś napisał – tam się powtarzał taki motyw, za kroplę niemieckiej krwi w moich żyłach powinienem bardziej stać w bitwach. On czuł dziedzictwo niemieckie a jednocześnie czuł się Polakiem. Ktoś inny może czuć dziedzictwo żydowskie i też czuć się Polakiem. Ktoś inny może czuć dziedzictwo ukraińskie i też może być Polakiem. Ktoś inny może być po prostu Ukraińcem, Żydem, Niemcem i jednocześnie być lojalny wobec Rzeczpospolitej, bo u nas tak było.

– **Było tak.**

– To zostało zniszczone. Przecież to nacjonalizmy po I wojnie światowej (polski nacjonalizm, ukraiński nacjonalizm, litewski) spowodowały, że nie odrodziła się Rzeczpospolita. A gdyby się Rzeczpospolita odrodziła, to nie byłoby tego co mamy, bo byłoby to państwo nie do ugryzienia. Józef Piłsudski – ciągle się na niego powołuję, bo jest to człowiek dla mnie najbliższy ideowo, czuję się z nim najmocniej związany i uważam, że to nie jest tylko sentyment do historycznej postaci, uważam, że to jest koncepcja aktualna i słuszna politycznie – otóż Józef Piłsudski powiedział w pewnym momencie: ja przegrałem swoje życie, bo nie udało mi się stworzyć federacji. Dlatego powiedziałem, że jestem

przeciwny koncepcji endeckiej, bo ona przekreśla to, co było wielkie. My jesteśmy narodem zbyt małym, aby można było na zasadach nacjonalistycznych egzystować. My możemy tylko wtedy być wielkim narodem, jeżeli będziemy otwarci, jeżeli będziemy przyjmować od innych, jeżeli nie będziemy zamknięci w sobie, nie będziemy się bali po prostu. Rzeczpospolita taką była. Chciałbym, jeżeli tutaj już o tym mowa, żeby nam się to ziszcilo. Dlatego dużo rzeczy się stało złych, my wiemy doskonale, że wyrzynaliśmy się nawzajem z Ukraińcami, ale o ile dobrze pamiętamy to, że Ukraińcy piłami tam gdzieś naszych rodaków przycinali, to słabiej już pamiętamy, że w 1921 roku, podpisując układ pokojowy z Rosją radziecką, zdradziliśmy naszego sojusznika ukraińskiego. Zdradziliśmy. Ukraińcy zostali wystawieni do wiatru. Nie było ich wielu, można powiedzieć, ale walczyli po polskiej stronie i wystawiliśmy ich do wiatru. Oczywiście, że można powiedzieć, że żydowska mniejszość w okresie międzywojennym była w swojej masie państwu polskiemu niechętna. Był to potężny problem. Trudno powiedzieć jak on by się rozwiązał. Wiadomo było, że komuniści, partia komunistyczna w głównej mierze czerpała swój aktyw z szeregow ludzi, którzy byli pochodzenia żydowskiego. Wiadomo, że po wojnie w szeregach MBP było bardzo wielu Żydów. Ale z drugiej strony pamiętamy, że w getcie warszawskim wisały dwie flagi: polska i żydowska. I pamiętamy, że wśród obrońców getta byli Żydzi, żołnierze polscy, była Żydowska Organizacja Bojowa, ale był też Żydowski Związek Wojskowy związany z Armią Krajową. I ci ludzie pod flagami Rzeczypospolitej walczyli, pamiętamy o tym. Musimy pamiętać również i o Niemcach. Byli Niemcy, którzy zdradzili, byli piątą kolumną. Miałem taką przykrą sytuację sam, bo ulegałem temu schematowi. Byłem gdzieś w Wielkopolsce w jakimś miasteczku i w pewnym momencie patrzę, że jest grobowiec i jest tam Niemiec pochowany. Coś tam powiedziałem. „Niech pan tak nie mówi”. „Dlaczego?”. „Dlatego, że on w 1939 roku przeciwstawił się Niemcom, powiedział, że jest Polakiem i został rozstrzelany, ten Niemiec”. Czy ja mam o takim człowieku zapomnieć? Otóż mnie te wszystkie sytuacje przecina koncepcja endecka. Dlatego powiedziałem, że nie mogę się na nią zgodzić. Z drugiej strony nie jestem socjalistą, nie mam przekonań lewicowych i dlatego mogę z Jackiem Kuroniem rozmawiać sympatycznie, lubię go, to jest inteligentny człowiek, ma ogromne zasługi, ale jednocześnie nie będę, że tak

powiem, w jego ekipie. Z tej prostej przyczyny, że po prostu to nie jest moja parafia.

– Jakie słabości pan widzi tego nurtu lewicowego, socjalistycznego?

– Podstawowa słabość jest chyba taka, że socjaliści w Polsce dali się komunistom ograbić z socjalizmu. W związku z tym, jak ktoś mówi „socjalizm”, to musi mówić – „Ale to prawdziwy socjalizm”. I już w tym momencie to jest przegrana dla mnie. Bo jeżeli tłumaczę swoje przekonania, że są prawdziwe, bo tamte są nieprawdziwe, to jestem już przegrany. Druga kwestia – sądzę, że współcześnie socjalizm jako pewna koncepcja się nie sprawdza.

– Socjalizm ten na Zachodzie, tak?

– Tak! Tak czy inaczej te koncepcje socjalistyczne powodują pewną degradację w społeczeństwie. Opieka społeczna, to wszystko, to są rzeczy dobre, ale z drugiej strony jeżeli pójdzie się w te kwestie za daleko, to staje się to, co się staje. To znaczy, na przykład, to jest ochrona wałkoni i leniów. Nie ma tego impulsu, żeby człowiek chciał coś zdobywać. Bo są tacy, którzy zadowolają się minimum i wałkonią się po prostu. Te zjawiska wystąpiły w skali masowej na Zachodzie, one u nas nie występują. Dlaczego? Dlatego że u nas ci ludzie są po prostu biedni. Dlatego gdybym powiedział, że w tej chwili trzeba zrobić jakieś tam cięcia socjalne, to bym wyszedł na wariata. Oczywiście, że nie wolno takich rzeczy robić, bo nasze społeczeństwo jest biedne. Ono się musi najpierw wzbogacić, musi dojść do jakiegoś poziomu dobrobytu, a dopiero potem trzeba zastanowić się, jak te kwestie rozwiązać. Droga jest do tego daleka. Dlatego nie czuję się psychicznie zdolny do tego, żeby być w koncepcjach, które Jacek Kuroń reprezentuje, one są po prostu inne. Natomiast chcę ten wątek zakończyć takim małym kalamburem, jeżeli pan pozwoli. Otóż przed laty, pamiętam, zostałem aresztowany na 48 godzin, i wieziono mnie do jakiegoś aresztu na Pradze. Funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, który mnie wiozł powiedział mi: „No, proszę pana, wy tu na nas narzekacie, i tak dalej, ale przecież my będziemy wam potrzebni”. Tu mnie zaskoczył, pytam – „Dlaczego?”. „Bo proszę pana, bo jeżeli wy dojdziecie do władzy, to trzeba będzie Kuronia zamknąć”. „Dlaczego?” „Dlatego, że to jest wasz przeciwnik polityczny”. „Ow-

szem, to jest nasz przeciwnik polityczny, ma inną koncepcję oczywiście, tylko wie pan, do tego policja nie będzie w ogóle potrzebna”. „Dlaczego nie będzie potrzebna?” „Bo widzi pan, w demokratycznych krajach to jest tak, że jest parę partii politycznych i powiedzmy pan Kuroń będzie miał swój program, pan Moczulski swój, my będziemy mieli swój program, jeszcze ktoś inny program, i my te programy przedstawimy społeczeństwu, wyborcy będą wybierać, i jeżeli wybiorą program Jacka Kuronia, to on sformuje rząd, a my będziemy siedzieli na ławach opozycji i głosowali przeciw. A jeżeli my wygramy, to my sformujemy rząd, a Jacek Kuroń będzie siedział na ławach opozycji i głosował przeciw. A do tego nie będzie w ogóle potrzebna policja”. Ten człowiek tego nie zrozumiał. Ale myślę, że czas, żebyśmy to my rozumieli.

– Czym się różni pan od koncepcji Leszka Moczulskiego? Bo słyszeliśmy, że jak gdyby się wasze drogi trochę rozeszły.

– Nie różnię się, jeżeli idzie o przekonanie niepodległościowe. Na pewno nie różnię się jeżeli idzie o koncepcję. Sądzę, że nastąpił czas, aby koncepcje polityczne były bardziej zdefiniowane ideologicznie. Jak powiedziałem, że uważam się za człowieka prawicy, za konserwatystę, myślę, że dość jasno wytłumaczyłem za jaką prawicę się uważam. Usiłuję coś w tym zakresie robić i myślę, że jest czas w tej chwili na to, aby siły polityczne, jeżeli takowe istnieją w Polsce, nawet zarodki tych sił, żeby formułowały takie wyraźne programy, bo być może społeczeństwo będzie mogło do nich w przyszłości sięgnąć, to trzeba robić. Konfederacja Polski Niepodległej w mojej opinii jest zjawiskiem innym, ponieważ tam jak wiadomo założono pewien pluralizm, że tam faktycznie od narodowej demokracji do socjalizmu, mieszczą się wszyscy, którzy są za niepodległością. A więc jest to partia polityczna wielonurtowa. W praktyce okazało się, że nie bardzo nam to wyszło. To znaczy, że te różnice ideologiczne, o których ja mówię, one zaczęły schodzić jakby na dalszy plan, zaczęła zwyciężać jedność organizacyjna. I Konfederacja akcentując w swoim statucie, w swoich dokumentach, tą wielonurtowość, de facto tak jakby w praktyce ją gubiła. Sądzę, że nie bez powodu tak się działo, bo zawsze pewne więzy organizacyjne z czasem zaczynają wytwarzać taką wspólnotę, że zaczyna się również upodobać sposób myślenia i to staje się jakoś jednolite. Myślę, że Konfederacja stoi

w obliczu jakiejś takiej definicji własnej ideologii, poza niepodległościową, bo niepodległościowców to w tej chwili jest wielu, a tu chodzi o skonkretyzowany program. My żeśmy taką koncepcję już wybrali, mówię ja i moi przyjaciele...

– Czyli poza KPN-em?

– Tak, poza KPN-em. Jeżeli nie powiem, co żeśmy wybrali i jak żeśmy to wybrali, to dlatego, że jest to odpowiedź na pytanie, które mi może postawić pan prokurator, a ja nie chcę panu prokuratorowi odpowiadać na pytania, korzystam z możliwości, które przewiduje kodeks postępowania karnego

– Ja nie pytam.

– Oczywiście ta koncepcja nie będzie tajemnicą, ona się tam pojawi. Jak powiedziałem, nie chcę odpowiadać na pytania pana prokuratora przy okazji tego, co robię, jeżeli coś robię. Druga kwestia...

– W każdym razie wasze drogi jakby definitywnie się rozeszły?

– Tak. To znaczy obaj jesteście niepodległościowcami i sądzę, że widziemy się jako sojusznicy na pewno, natomiast mamy odmienne koncepcje jeżeli idzie o formułę pracy organizacyjnej. Powiem tak, że zaniepokoiło mnie również trochę to, że wokół Leszka zaczęła się tworzyć atmosfera wodzowska. Chcę być dobrze zrozumiany, oczywiście, że przywódcy są wszędzie potrzebni i zawsze, tylko boję się sytuacji, w której przywódca staje się wodzem. Bo jak wiadomo z wodzem się nie dyskutuje, wodza się słucha. Otóż Józef Piłsudski też był wodzem, ale pamiętamy, że był wodzem w wygranej wojnie. W polskich warunkach wodzowie, którzy się ogłaszali wcześniej, zwykle kończyło to się smutno. Przypominam karierę Ludwika Mierosławskiego, to był dyktator, któremu nic się nie udało. Otóż Józef Piłsudski odwrotnie, nie ogłaszał się wodzem, ogłaszali go wodzem jego podkomendni. Powiedziałbym nawet, że jemu to tak nie bardzo i pasowało, on tam się bronił z tym, w ostatnim okresie życia był dość zgryźliwy i nieprzyjemny, bo mówił, że wszy go oblażyły. Tak nazywał tych wszystkich, którzy mu kadzili i którzy to jego wodzostwo wynosili pod niebiosą. Niemniej jednak mówię, Józef Piłsudski został wodzem po wygranej wojnie. I ja myślę, że my też będziemy mieli wodzów, że będzie w Polsce

wódz na pewno po wygranej wojnie. Myśmy tej wojny jeszcze nie wygrali i nie wiemy kto tym wodzem będzie. Otóż to mnie troszkę tak, muszę powiedzieć w moich kontaktach z Leszkiem, zaczęło jakoś tak dźwięczeć inaczej.

– To znaczy poszedł pan do opozycji na znak protestu przeciwko totalitaryzmowi, nie dyktaturze, nie chciał pan być pod dyktatorem w opozycji, tak?

– Coś takiego. Widzi pan, istnieje na ogół przekonanie dość powszechne, że dyktatura jest sprawną formą rządów, natomiast demokracja to takie jest rozmemłanie, takie to, takie tamto. Otóż to po pierwsze jest nieprawda, bo istnieją systemy demokratyczne, które są bardzo sprawne. A po drugie – dyktatura może jest i sprawna na krótki okres czasu, ale dyktatura ma to do siebie, że chce mieć podwładnych, a podwładni myślą tylko na rozkaz. Natomiast demokracja mając ludzi wolnych, pozwala im myśleć, i demokracja naprawdę tworzy prawdziwe wartości. I w ciągłości historycznej widać, że to systemy demokratyczne zwyciężają, a nie dyktatorskie. Dyktatury trwają dłużej, krócej, ale zwykle muszą błagać demokrację o pomoc. Przykład sytuacji Związku Radzieckiego, technologii, i tak dalej, i tak dalej. Przypomnijmy sobie sytuację, Polska międzywojenna po dwudziestu latach była w stanie produkować i tworzyć nowoczesną myśl techniczną, nie było tej luki, jeżeli idzie o czołówkę światową. Przypomnijmy, że była telewizja przed wojną w Polsce, w warunkach eksperymentalnych, ale była, przecież to była ogromna nowość. A jakość produkowanych polskich samochodów? To wszystko było bardzo nowoczesne. Natomiast po czterdziestu latach w Polsce Ludowej trzeba było sięgnąć po licencje do krajów demokratycznych. Dlatego mówię, że jestem zwolennikiem silnych, sprawnych rządów, jestem zwolennikiem władzy, która ma kompetencje. Ale jednocześnie uważam, że tylko demokracja jest w stanie tworzyć trwałe wartości. Chciałbym, żeby Polska tworzyła trwałe wartości i w związku z tym tylko demokracja, moim zdaniem, jest rozwiązaniem i skutecznym sposobem na rządzenie Polakami. Polacy ze swojej natury są antydyktatorscy. Piłsudski jeżeli coś w swojej opinii stracił, to wtedy, kiedy czynił takie gesty dyktatorskie. Jego wielkość w tej chwili jest niekwestionowana, ale były okresy, kiedy był krytykowany. Otóż poszedłem do opozycji dlatego że nie godziłem się na

to, żeby dyktatura mną, moimi współrodakami rządziła. I wcale nie sędzę, żeby można było dżumę leczyć cholerą. Nie twierdę, że coś takiego stało się w przypadku Leszka Moczulskiego, twierdę tylko, że zarysowało się w moich oczach pewne niebezpieczeństwo. My byliśmy w więzieniu, razem robiliśmy różne rzeczy, byliśmy bardzo ze sobą zaprzyjaźnieni. Myślę, że to wytrzyma próbę czasu, chciałbym zresztą, żeby tak było. Ale nie przysięgaliśmy sobie dożgonnej miłości, każdy ma własne poglądy, demokracja polega między innymi na tym...

– W każdym razie nie przysięgaliście sobie posłuszeństwa ślepego.

– Tak, oczywiście, na pewno nie.

– Kończąc tą szalenie interesującą rozmowę, to jeszcze takie pytanie – jak pan widzi przyszłość Solidarności, jak ocenia pan realną siłę Solidarności obecnie?

– Solidarność – po pierwsze – istnieje. Po drugie – jestem przekonany, że Solidarność będzie. Przy czym Solidarność będzie jako duży związek. Natomiast, jeżeli to będzie tylko związek, to będzie wielkim nieszczęściem. Dlatego że, jak to ktoś mądry mówił, wszystko jest polityką, ale na szczęście polityka nie jest wszystkim. My musimy mieć świadomość, że bez polityki my naszych problemów nie rozwiążemy. Nie rozwiążemy tego przy pomocy jakichś takich zabiegów związkowych. Żeby zakończyć to, o czym mówimy, to przedstawię może panu mój własny pogląd na to jak klasyfikuję siły polityczne w Polsce, które funkcjonują, i co z tego wynika dla nas.

– Bardzo interesujące, tym bardziej, że wielu ludzi już w tym się troszeczkę gubi.

– Istnieją generalnie 3 koncepcje, i tym koncepcjom podporządkowują się, czy w ramach ich działają różnego rodzaju ugrupowania, mniejsze, większe, zespoły ludzi, czy pojedynczy ludzie. Wszystkie te koncepcje w jakimś sensie chciałyby niepodległości. Przy czym jedna koncepcja (do niej należę), jest wyraźnie niepodległościowa i mówi, że to wszystko zależy od tego, czy odzyskamy niepodległość. W związku z tym trzeba wszystkimi drogami zmierzać

do niepodległości. Niepodległość już teraz. Mówimy o tym, bo to jest nam potrzebne.

Natomiast dwie pozostałe koncepcje mają trochę inny wymiar.

Najważniejsza z nich i bardzo wpływowa, to jest koncepcja, którą bym nazwał tak, to jest koncepcja poszukiwania *modus vivendi* z władzą, albo też lojalnej współpracy niezależnej struktury z władzą. Co przez to rozumiem? Otóż ludzie, którzy mają doświadczenie głównie poprzez swoją współpracę z Kościołem, mam tu na myśli działaczy KIK-u, mam tu na myśli ludzi, którzy tak czy inaczej nazywamy inteligencją katolicką, w tym bardzo wąskim rozumieniu tego słowa, czyli publicyści i tak dalej, otóż oni obserwując sytuację Kościoła w Polsce powojennej wysnuli wniosek, że skoro uchowała się struktura niezależna, jaką jest Kościół, o której wiadomo, że do władzy się nie miesza, bo nie zamierza władzy odbierać, ale jednocześnie ma własne zdanie, to prawdopodobnie istnieje też możliwość, jeżeli taką lojalną współpracę, w dobrze rozumianym tego słowa znaczeniu... Wiadomo, że to jest lojalny partner i że nie oszuka, to co mówi, to robi, bo na tym polega lojalność, a nie na lojalizmie, to znaczy, że trzymam się klamki. Lojalizm polega na tym, że ja mówię kontrpartnerowi: zrobię to i to, jeżeli ty to i to. Więc ludzie ci prawdopodobnie uważają, że można inną instytucję stworzyć, oni uważali, że taką instytucją będzie NSZZ „Solidarność”. Że związek nie miesza się do polityki, nie chce władzy, natomiast walczy o interesy świata pracy, jest niezależną instytucją, kierowaną przez ludzi, którzy są demokratycznie wybrani, ale jednocześnie jest lojalny wobec tej władzy. I ja myślę, że Lech Wałęsa tej koncepcji w jakimś sensie ulegał, może nawet ulega nadal. No i oczywiście skutkiem tego byłyby jakieś rozmowy, to znaczy tamta strona musi zagwarantować, że będzie respektować niezależność, a ta strona z kolei zagwarantuje, że tę niezależności nie wykorzysta w złym kierunku.

Drugi kierunek to jest kierunek, który rozumiem w ten sposób, że można opanowując różnego rodzaju sfery życia społecznego stworzyć taką siłę, że zmusi się władzę do oddania części imperium, części swojego władztwa. I to się wyraziło w koncepcji – zostawimy im czerwoną czapkę, to znaczy MSW, MON i MSZ, a reszta będzie nasza. Gospodarkę, dlatego, dlatego że my tą gospodarką będziemy lepiej zarządzać, w interesie tego państwa i żeby gospo-

darka dobrze funkcjonowała, w interesie społeczeństwa. Dlatego, że jeżeli my będziemy tym zarządzać, to i zachód będzie inaczej reagował, będzie większa swoboda, większa liberalizacja związku, i tak dalej, i tak dalej. A więc trzeba was zmusić do tego, żeście część tej władzy oddali, bo to jest w waszym interesie. Chyba Jacek Kuroń taką koncepcję w jakimś sensie formułował.

No i ta trzecia koncepcja, o której mówiłem, to jest koncepcja niepodległościowa. To znaczy w sytuacji sprzyjającej, przy pomocy masowego wybuchu, przy pomocy zorganizowanego społeczeństwa po prostu odebrać towarzyszom władzę. To oczywiście ta koncepcja jest najtrudniejsza.

– I najbardziej ryzykowna, powiedzmy sobie szczerze.

– Tak. Natomiast te dwie są nierealistyczne. To jest moje stanowisko, ja tak uważam, że one są nierealistyczne. Dlaczego są nierealistyczne? Dlatego że po pierwsze mieliśmy 13 Grudnia i stan wojenny i właściwie mógłbym już nic nie mówić. A po drugie – żyjemy w państwie totalitarnym, wprowadzie ten totalitaryzm dość kuleje, i wprowadzie on jest dość bałaganiarski, ale jest to jednak totalitaryzm. Naturą totalitaryzmu jest to, co mówił towarzysz Stalin o garnkach, naturą totalitaryzmu jest kontrolowanie wszystkiego i panowanie nad wszystkim. Ten totalitaryzm może się chwiać i on coś może wypuścić z pyska, ale on będzie się starał to szybko w pysk pochwycić. I zauważmy, że oni wprowadzie nie opanowali dziś Kościoła, ale oni nadal to czynią, oni się z tym nie pogodzili. Oni musieli się wycofać z odcinka kolektywizacji wsi, ale oni z tego nie zrezygnowali. Oni zgodzili się na stworzenie Solidarności...

– Na krótko.

– Na krótko. Otóż te dwie koncepcje, mam na myśli tę koncepcję lojalnej, nie lojalistycznej, współpracy niezależnych struktur z władzą, i przy pomocy zorganizowanej części społeczeństwa i odebranie części władzy komunistom są – moim zdaniem – de facto winne 13 grudnia. Dlaczego? Dlatego że stworzyły pewną mityczną sytuację. Jakaś część społeczeństwa liczyła na to, że można będzie Solidarność zachować za cenę takich właśnie ustępstw, to znaczy nie mieszania się do polityki, a jakaś część społeczeństwa uwierzyła, że jesteśmy już tak mocni, że możemy od nich żądać, że możemy im więcej zabrać. Natomiast my

byliśmy słabi, zresztą jesteśmy nadal słabi, w tym sensie, że – jak pan powiedział – nasza koncepcja jest ryzykowna. Otóż to, ona jest ryzykowna, sytuacja jest ryzykowna, wszystko co robimy jest ryzykowne. Tylko powstaje pytanie, co w tym wypadku jest bardziej ryzykowne, czy koncepcja niepodległościowa jest ryzykowna, czy koncepcja, zostawiania czerwonej czapeczki?

– **Znacząca koncepcja niepodległościowa ma swoją logikę wewnętrzną. Tylko że wiemy o tym dobrze, że intelektualiści często ulegają tej swojej wewnętrznej, intelektualnej logice, a życie jak gdyby idzie troszeczkę środkiem.**

– Tak, oczywiście, życie idzie środkiem.

– **A jakie są konkretne działania pańskiego programu, które przybliżają rzeczywistości ten cel? Praktycznie już mówiąc, pominąwszy tę ogólną koncepcję, którą tutaj cały czas posługujemy się w rozmowie. Jak w praktyce opór, jaki opór, jaka organizacja, jaka to ścieżka, jak ona ma wyglądać dla człowieka, który nas czyta, zwykłego obywatela?**

– Niestety muszę tego człowieka, który nas będzie słuchał, rozczarować. Nie dlatego, że nie jestem w stanie odpowiedzieć na pańskie pytanie. Po prostu korzystam z artykułu 175 kodeksu postępowania karnego. Niestety jesteśmy w warunkach, jak by to powiedzieć, jesteśmy na wolnym terytorium, ale funkcjonujemy nie w takich warunkach, kiedy można wszystko mówić.

– **Rozumiem, ale wróć raz jeszcze do tego, że po prostu niepodległość jest wspianym hasłem oczywiście i działa na każdego z Polaków. Tylko że w obecnej sytuacji politycznej świata...**

– Jest to nierealne...

– **Czy ekonomicznej, w układzie sił między Wschodem a Zachodem, ten moment jest po prostu, tak jak powiedziałem zawieszony, jak gdyby w przestrzeni i w czasie. Każdy sobie pięknie z Polaków umie tę niepodległość wyobrazić...**

– Nie widzieli a wierzyli...

– Ale jak ją osadzić w konkretnym czasie, w przestrzeni, to pańska koncepcja jest również pod tym względem trochę nierealistyczna jak te dwie.

– Nie, nie powiedziałem, że one są nierealistyczne. Źle mnie pan zrozumiał. One są inne i uważam, że one są w swoich założeniach nieskuteczne. A czy one są nierealistyczne? 13 grudnia dowiódł, że one są nierealistyczne, 13 grudnia nie dowiódł, że moja koncepcja jest nierealistyczna.

– No wie pan, gdybyśmy tak prosto zmierzali do niepodległości i gdyby takie możliwości były, mówi pan, że każdy Polak jej chce...

– Chce, pan pewnie też?

– Ależ oczywiście.

– To dobrze, bo już się przestraszyłem...

– Każdy jej chce, wie pan. To jeśliby taka sprzyjająca sytuacja, o której nawet mówimy, że jest cudem politycznym, czasy Solidarności z jednej strony, gdzie pokojowo można było brać tę władzę i tę niepodległość a z drugiej strony był 13 grudnia gdzie tutaj pan stawia wyraźnie na pewną konfrontację, gdzie właściwie to społeczeństwo, które tak chce tej niepodległości, mogło jak gdyby, mówił pan nawet o tym, że mogło stawić opór, mogło podjąć walkę i jakoś nie podjęło. Więc ja odwracam pańską sytuację, że jednak i okres Solidarności i 13 grudnia są przeciwko pańskiej koncepcji, bo nikt jej nie wziął.

– Nikt jej nie wziął, oczywiście.

– Była blisko, nikt nawet 13 Grudnia nie stawiał tego oporu, o którym się rozmawia na przykład z Leszkiem Moczulskim, który mówił, że w pewnym momencie nastąpi taki opór, taka konfrontacja, że po prostu będziemy mieć niepodległość. Ale jak to osiągniemy, to... Całe szczęście, że ma pan tę możliwość, że nie można ujawniać szczegółów, ale w sensie zawartości myślowej, to również wydaje się przeciętnemu myślącemu Polakowi bardzo bliska ta idea niepodległości, ale szalenie jakaś odległa, zawieszona

gdzieś nie wiadomo gdzie, w przestrzeni i w czasie. Czy w tym pokoleniu, czy w tamtym, czy w następnym.

– Widzi pan, ja nie zdołam pana przekonać o tym, że coś jest realne dopóty, dopóki to nie zaistnieje, więc to jest pierwsze założenie. Po drugie – niepodległość mogła zaistnieć, twierdzą, nie zaistniała, ponieważ było szereg przyczyn, które to spowodowały...

– Ponieważ była zła koncepcja Solidarności, Kościoła, tych klubów katolickich?

– Między innymi.

– A jakby była trochę lepsza, to byśmy wtedy odzyskali niepodległość?

– Niewykluczone

– Jak? Doszlibyśmy do tego?

– Myślę, że to są zbyt drobiazgowo rzeczy, wbrew pozorom. Sądzę, że... nie schodźmy do tego, bo my się w tych drobiazgach, w szczegółach, zgubimy i okaże się potem, że nie wiadomo o co chodzi, wracajmy raczej do generalnych spraw.

– Ale jeśli mogę panu przerwać, jeśli mogę jeszcze chwileczkę.

– Może pan przerwać.

– Jeśli nie było realne stworzenie zwykłego związku zawodowego, który się wyklarował, że nie jest partią polityczną, tylko związku zawodowego, wydawało się, że to już, już jest możliwe. Jeśli nawet to było nierealne, to jak pan uważa, że mogło być realne odzyskanie niepodległości?

– Jakżeż nierealne, kiedy to było realne, bo ten związek egzystował, istniał, co znaczy nierealne?

– Nierealne w kontekście 13 grudnia.

– Dlaczego?

– Dlatego, że 13 grudzień rozwałił te porozumienia.

– 13 grudnia wcale nie rozwałił Solidarności. Chodziło panu o to, że przewodniczącym Solidarności wysuwano fotele spod tyłków, a to rzeczywiście. Władek Frasyniuk zamiast siedzieć na wygodnym fotelu jako przewodniczący, siedział ze mną w Barczewie, a to racja. Ale przez to Władek Frasyniuk nie przestał być przewodniczącym Solidarności.

– Dobra, ale mówmy poważnie. Jeśli nie było możliwe zachowanie Solidarności jako oficjalnie akceptowanej struktury przez blok socjalistyczny, związki zawodowe w ogóle okazały się... niezależne związki zawodowe okazały się w ogóle faktem społecznym nietolerowanym przez ten system, przez tę część świata, do której my przynależymy. Jak by mi pan mógł, bo przecież mamy tutaj dokładne fakty, te 16 miesięcy dość dobrze znamy, jak by pan wskazał, jak można było odzyskać w czasie tych szesnastu miesięcy niepodległość? Jeśli to nie było akceptowane przez blok socjalistyczny, jak by była niepodległość w ogóle polityczna, niezależność społeczna, akceptowana przez tą część świata, przez ten blok, w którym my żyjemy.

– Dlaczego pan się zastanawia jak by to było akceptowane?

– W sposób oczywisty, bo mówię panu, że nie była Solidarność zaakceptowana jako związek...

– Ale istniała

– Więc jak by pan chciał, żeby była zaakceptowana niepełna jej zależność i suwerenność...

– Wszystko zależy od tego, proszę pana...

– Operujemy w konkretnych faktach, w szesnastu miesiącach, i niech mi pan pokaże ruchy, które sprawiłyby, że odzyskalibyśmy niepodległość...

– Już panu mówię

– ... wtedy będę usatysfakcjonowany.

– Nie będzie pan nigdy usatysfakcjonowany, dlatego że my się różnimy, jeżeli chodzi o nasz sposób widzenia tego, co być może.

– Sposób widzenia, to może panu się wydawać, że wcale nie jest taki różny mój wewnętrzny od pana, natomiast ja bardziej liczę się z rzeczywistością.

– Pan chce być bardziej realistą.

– No nie, bo w pewnym momencie pan powiedział bardzo mądrze, że koncepcje to nie tak wiele znowu znaczą, bo ta iskra, o której pan w pewnym momencie mówił, to nie zależy od tego, czy trzech, czy pięciu intelektualistów wymyśli zwartą, wewnętrznie logiczną koncepcję. To jest niekontrolowane, to jest nie do wymyślenia, to jest po prostu kwestia reakcji społecznej, ogromnego mechanizmu społecznego. Ale tu, przy niepodległości, upiera się pan tylko przy koncepcji, a już jak gdyby nie myśli pan o realnych możliwościach.

– Widzi pan, bo ja myślę o kilku rzeczach, o których nie można zapominać. Wprawdzie powiedziałem to, co pan mówi, to jest prawda. Ale co będzie z tego wybuchu, i czy to będzie konstruktywne, czy to zwycięży, to bardzo wiele zależy od tego, jak ten lont się zachowa i jaka koncepcja będzie organizowała działanie Polaków. Otóż założmy, powstanie znowu Solidarność, jako fakt, w tym sensie, że Władek Frasyniuk wróci na swój fotel, daj mu panie Boże, bo ja tego chłopca lubię, i inni tam, Zbyszek Bujak będzie znowu w Mazowszu urzędował, założmy, że to się stanie. I powiedzmy będzie koncepcja numer jeden, lojalnej współpracy z władzą niezależnej struktury. I usiądą znowu chłopcy do rozmów. Gwarantuje mi pan, że ten związek przetrwa?

– Nie.

– Nie. No to będzie powiedzmy ta następna koncepcja, to zrobmy tę następną koncepcję. Powiedzmy, że będzie ta siła zorganizowana na tyle, że władze powiedzą zgoda, to my zatrzymujemy sobie Służbę Bezpieczeństwa,

Milicję Obywatelską, Ministerstwo Obrony Narodowej, a wy bierzcie się za gospodarkę, róbcie to. Dostaniemy kredyty, licencje napłyną, coś tam nam pomogą, i tak dalej, fajnie będzie. Sądzi pan, że to przetrwa?

– **Nie, bo 13 grudnia, jak pan powiedział, pokazał, że...**

– A więc jeżeli będzie siła zorganizowana, to trzeba zabrać im wszystko, taka jest prawda. Albo się to nam uda, albo nie.

– **Wie pan, jak brzmi pytanie?**

– Zaraz, zaraz, daj mi pan skończyć. „Jak?”. Proszę pana, „Jak?”, to zobaczy się w praniu. Bo pan by chciał, żebym powiedział teraz „Jak?”. Teraz panu nie odpowiem.

– **Nie, nie, nie chodzi o szczegóły.**

– Nawet o ogóły. Proszę pana, Jerzy Łojek, który zajmuje się historią, napisał kiedyś taką fajną rzecz, mianowicie, że dla niego nie jest fenomenem 200 lat walki Polski o niepodległość. Dla niego jest fenomenem, że my 200 lat byliśmy w niewoli. Tak duży naród, z taką kulturą, z taką tradycją, z tysiącletnim państwem, 200 lat nie był w stanie wyrwać się z tego kotła. Dlaczego? Otóż dlatego, że obok koncepcji niepodległościowej, za którą się brało zawsze niewielu, bardzo wielu chciało się dogadywać, albo sądziło, że można będzie jakoś tam wymanewrować tego przeciwnika. I efekt był tego taki, że politykę polską robili chłopcy podchorążowie, którzy biegli, krzyczeli do broni, a towarzystwo zamykało okiennice i zastanawiało się, żeby przypadkiem nie skrócić łba Konstantemu, bo z carem nie będzie się można dogadać. Albo było paru szczeniaków, którzy z karabinkami starymi wchodziło do Kielc, a towarzystwo zamykało okiennice, bo co ci gówniarze nasi, przyjdą Ruscy i zrobią porządek, przecież to potęga. I widzi pan, sytuacja analogiczna, podobna, chociaż inna. Na czym polega mój optymizm i z czego on się bierze? Otóż bierze się on z tego, że w przeciwieństwie do '14 roku, do 1863, '30, a nawet chyba i okupacji, obecnie mamy znacznie więcej zwolenników i ludzi zdecydowanych, którzy chcieliby ten program niepodległościowy robić. I nie ma realnej drogi w tej chwili na odzyskanie niepodległości. Gdybym miał 5 dywizji pancernych, to

może bym panu powiedział – „Mam realny program, jutro moje czołgi ruszają na Warszawę, tu zablokujemy wyjście Rosjanom z Legnicy, żeby nie mogli się ruszyć, na Bugu się zarwie mosty”. To jest realny program. Ale nic takiego nie mam.

Wewnętrzne przekonanie.

– Wewnętrzne przekonanie i tych na dole, którzy śpiewają „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie”. Ci ludzie nie śpiewają „Wróć nam samorządy” i „Podnieś nam pensję”. Zacząłem mówić o realizmie i na tym realizmie skończyć. Otóż panie Macieju, pan i bardzo wielu ludzi w naszym kraju, którzy kształtują opinię publiczną, którzy są od tego, żeby wyrażać jakoś opinię, intelektualści, artyści, i tak dalej, wy wszyscy macie to w sobie, wyście dużo zrozumieli, ale jeszcze nie wszystko...

– Kiedy pan źle mnie traktuje. Te moje kontry, które wynikają... to nie są moje poglądy...

– A to fe. To nieładnie, to trzeba własne poglądy tutaj prezentować.

– Ale bardzo blisko jest moich poglądów, ale ja mam jako dziennikarz obowiązek reprezentować, wie pan, również opinie powszechne.

– Dobrze, dobrze, nie bądź pan taki społeczny. Co to znaczy powszechne opinie?

– Ale oczywiste, że nikt po prostu nie pójdzie, tak jak pan w pewnym momencie powiedział... nie ma takich tendencji.

– Być może trzeba będzie pójść i będziemy szli, być może spotkam pana.

– Być może.

– Nie daj Boże.

– Oczywiście.

– Ale po pierwsze – radzę panu, niech pan będzie sobą, będzie pan ciekawszym dziennikarzem. Po drugie tu naprawdę się dużo zmieniło. Ja panu opo-

wiem jeszcze jedną anegdotkę z mojego życia, dobrze? Otóż przed wielu laty byłem w Londynie, raz mi się zdarzyło, wyjechałem, udało mi się. I spotkałem tam Juliusza Mieroszewskiego. Nie muszę panu mówić, kto to był. Wiadomo, że to człowiek, który był kością ideową „Kultury” paryskiej. Z tym Mieroszewskim spędziłem 2 dni na rozmowach. Byłem wtedy studentem, skończyłem właśnie studia, miałem pewne doświadczenie, bo byłem po wojsku, nie byłem szczeniakiem. Przywiozłem mu takiego małego orzełka z koroną, w Krakowie sprzedawano po złotówce studentom, i to jemu przywiozłem w prezencie. On jest Krakus, on się rozczulił strasznie. A potem po latach przeczytałem jego artykuł taki, poświęcony tej mojej wizycie, wszystko tam wskazywało na to, że to chodziło o mnie. I pisze tak, że był zdziwiony, bo odwiedził go młody człowiek z kraju, który posługiwał się językiem, mówił o rzeczach, które są zrozumiałe tylko dla jego pokolenia. Bo pisze, gdyby nie te długie włosy, ja wtedy miałem taką długą plerzę, to ten człowiek mógłby siedzieć razem ze mną na UJ-ocie w 1924 czy w którymś roku. I zastanowiłem się, pisze, czy można być epigonem w wieku dwudziestu paru lat. Ten młody człowiek dowiedział, że można. Bo przecież ta Polska, pisze, jest już inna, tę Polskę, podoba się to nam, czy nie, przeorał socjalizm, i w związku z tym ten orzełek, który on przywiózł, to są już rzeczy, które już przeszły, minęły. Ja mu mówiłem o tym, że Piłsudski, że niepodległość, że to, że tamto wśród młodzieży. „To minęło” – mówi. Dlatego polska szansa to są rewizjoniści. Nam się to może nie podobać, ale to społeczeństwo zrozumie wtedy tylko program opozycji, jeżeli ta opozycja będzie się posługiwała pojęciami z zakresu socjalizmu. Rozumie pan? Naszą szansą są rewizjoniści. Dlatego Jacek Kuroń i jego koncepcja, przy całej mojej sympatii dla tego chłopaka, miała zawsze bardzo dobrą prasę na Zachodzie, ponieważ tam mu wierzono, że to społeczeństwo tak, za przeproszeniem, ten socjalizm przeorał, że tutaj mają szansę tylko rewizjoniści. A taki facet, przepraszam za wyrażenie, nacjonalista polski, co to i orzeł w koronie i Matka Boska, i w ogóle, no to on nie ma szans, to jest epigon, mocium panie. Otóż pan Mieroszewski, który od 1939 roku nie był w Polsce, wiedział lepiej ode mnie jaka jest polska młodzież i jaka jest Polska. A ja twierdzę, że wiem lepiej, i mam na to rozliczne dowody. Ja powiedziałem w sądzie, jeżeli pan jest socjalistą, to będzie panu przykro, ale bardzo przepraszam, niech i tak będzie. Otóż ja powiedziałem

w sądzie, że czerwony sztandar nie jest symbolem polskiego świata pracy, dlatego że polski świat pracy wyszedł i na swoich sztandarach umieścił Matkę Boską Częstochowską i orzełka w koronie, i woli kolor biało-czerwony.

– Nie, wie pan, jakbyśmy się przekonywali co do rzeczy oczywistych. Ja się zgadzam, że po 13 grudnia nastąpił absolutny renesans tego typu pojęć, jak niepodległość, symboliki i tak dalej, tutaj nie mamy co się przekonywać, ja tu nie jestem przeciw. Tylko moje zastrzeżenia, czy moje drażnienie, czy prowokowanie pana, jest moim obowiązkiem.

– Trzeba, oczywiście, że tak.

– Po pierwsze – to jest moim obowiązkiem. A po drugie – zawsze jest tutaj mój zupełnie prywatny niepokój. Po prostu ja wciąż zadaję to pytanie – „jak?”. I nie to pytanie, które mogłoby być kwalifikowane do jakiegoś tam artykułu karnego, jak pan stanie przed prokuratorem. Ale uważam, że nie ma takiej recepty czy takiej tajemnicy konspiracyjnej, tak wspaniale opracowanej, której pan nie może ujawnić, a która mogłaby być receptą na odzyskanie niepodległości.

– Pan oczekuje ode mnie, że mam... albo mam, albo powiem panu, że mam kamień filozoficzny.

– Nie, po prostu wątpię.

– Oczywiście, że nie mam. Wszyscy jesteśmy ludźmi bardzo niedoskonałymi i każdy próbuje.

– I to, co bym powiedział, żeby jak gdyby skończyć, że tak powiem, we właściwym tonie, w takim, o jaki chodzi, tę rozmowę, to jest taka sprawa, o której pan mówił zresztą. To jest kwestia zmierzania różnymi drogami, uczenia się kultury politycznej na tyle, żeby różnymi drogami iść do jednego celu. Umiejętność dyskusji, uczenia się demokracji w takiej dyskusji jak nasza.

– Ależ oczywiście.

– **Uczenie się, uczenie się kultury politycznej, demokracji, formułowania swoich poglądów...**

– Wie pan, ja bym sobie życzył, żeby doszło do sytuacji, żeby ludzie sobie skakali do oczu a potem mogli sobie dalej rozmawiać normalnie i spokojnie.

– **A potem wielowątkowo, że tak pracować na tę niepodległość, według mnie bardzo symboliczną, wspaniałą, ale symboliczną...**

– A według mnie realną, dostępną, i to w bliskim czasie.

– **Ale co nie znaczy, że tu jest taka zasadnicza różnica między nami.**

Nie, różnica nie.

– **Bo sądzę, że ci, którzy budują samorządy, w jakiś sposób pracują na ewentualną wizję tej niepodległości. Ci, co uczą demokracji, też na tę niepodległość, czy bliższą, czy dalszą, pracują. I tacy dwaj jak my, którzy rozmawiają, a nawet się kłócą, też na tę niepodległość pracują. Kwestia jest tylko, żeby te programy nie były sprzeczne, żeby sobie nawzajem nie przeszkadzały**

– Tak, to prawda.

– **I to jest zadanie, sądzę, dla polskiej opozycji, dla polskich intelektualistów. Nikt nie ma, nikt nie może powiedzieć „Mam w kieszeni receptę: odzyskamy niepodległość, czy zrobimy socjalizm według Kuronia, czy zrobimy samorządność”. Nikt tego nie ma. Próbuje. Ale wydaje mi się, że ten proces dyskusowania, rozmawiania, uczenia się demokracji, kultury, samorządności nawet, o której pan powiedział, że nie jest pierwszym celem, to wszystko, według mnie, dość optymistycznie wygląda, bo nie jest ze sobą sprzeczne.**

– Tak, oczywiście.

– **Uważam, że na totalitarny system musi być wielość dróg drażnienia tego systemu.**

– Oczywiście, to jest nasza siła.

– **To jest nasza siła i sądzę, że tutaj absolutnie pod tym względem jesteśmy zgodni.**

– Niestety, jesteśmy zgodni pod tym względem.

– **I ten element tej rozmowy również pracuje na tę niepodległość, dla pana bardzo bliską, dla mnie trochę symboliczną, trochę dalszą, ale tu nie ma wbrew pozorom zasadniczej różnicy.**

– Oczywiście. W każdym bądź razie na pierwszym, że tak powiem, takim zlocie niepodległościowców, już w wolnej Polsce, zostanie pan zaproszenie, ale będzie pan w ostatnich rządach...

– **W ostatnich, ale w loży prasowej?**

– No właśnie zobaczymy. Zobaczymy, czy pan poprzestanie na tym, żeby być dziennikarzem, czy też będzie pan miał jakieś inne działania. Bo niewątpliwie jakaś partia socjalistyczna pewnie powstanie, tego się nie uniknie.

– **Nie wiem, mnie żadna partia już nie podnieca. Tak jak nie podnieca mnie jakaś zbyt jednoznaczna, zwarta ideologia. Dlatego że według mnie jednak kryzys ideologii jest wyraźny. Dlatego wtłaczanie się w jakąś wyraźną koncepcję ideologiczną opozycji – uważam, że to nie jest aż taka najsensowniejsza metoda.**

– Pan jest w dobrej sytuacji, bo pan może na ten luksus sobie pozwolić. Pan mówi tak: „Jak się chłopcom uda, to będzie dobrze, bo będę dziennikarzem niezależnym i tam będę coś robił. Jak się nie uda, to będę nagrywał w Mistrzejowicach dopóki będzie można i robił coś tam jeszcze”. A, widzi pan, ja mam taką sytuację, że albo wygram, albo...

– **Przegram.**

– Otóż mówię, że ja wygram.

– **Ale nawet jakby pan przegrał, będziemy pana szanowali, jako przyszli dziennikarze niezależnej prasy, i będzie pan nie w ostatnim rządzie.**

– Nie wiadomo, tak się mówi, a potem zobaczymy.

– Ale jeszcze na koniec, poważnie co do roli dziennikarza. Uważam, że dziennikarz nie powinien występować, nawet w takiej rozmowie... Pan być może sobie przez moment myśli, że dziennikarz to jest facet z jakiejś innej partii, z jakiegoś innego stronnictwa. Moje pojęcie dziennikarstwa, zresztą które realizowałem nawet w tamtej gazecie, polega na tym, że dziennikarz powinien unikać wtłoczenia się w jakiś jeden określony system ideologiczny, bo wtedy staje się przeciwnikiem politycznym pana.

– Tak, ma pan rację.

– W tym momencie traci podstawową swoją umiejętność moralną i warsztatową, a mianowicie obiektywizm. Dlatego też jestem za tym, że prawdziwe dziennikarstwo, dziennikarstwo przyszłości, o czym zresztą nawet papież Jan Paweł II często się wypowiada do środków masowego przekazu, polega na tym, że dziennikarz się powinien starać, o ile to możliwe oczywiście we współczesnym świecie, uwalniać od przynależności do jednej koncepcji ideologicznej. Powinność dziennikarska jest powinnością bardziej może moralną niż polityczną.

– Powinien pan jeszcze nad tym popracować, bo to jednak zdaje się tak trochę jeszcze nie bardzo wychodzi.

– Bardzo dobrze, żeby pan zrozumiał z jakiej pozycji były zadawane te sceptyczne pytania. Nie z pozycji politycznego obozu jakiegoś przeciwnika, tylko z pozycji dziennikarza, rozmawiającego z człowiekiem, którego to człowieka trzeba sprowokować, którego trzeba zahaczyć o słabe punkty jego rozumowania...

– Nie ma takich.

– Dziękuję bardzo

ROZMOWA Z MARIANEM BANASIEM,
BYŁYM SZEFEK KRAJOWEJ ADMINISTRACJI SKARBOWEJ
I MINISTREM FINANSÓW, PREZESEM
NAJWYŻSZEJ IZBY KONTROLI, O OPOZYCJI LAT 70 I 80

ZAWSZE BYŁEM PO WŁAŚCIWEJ STRONIE

– Akcja na Rzecz Niepodległości, którą współtworzył Pan w latach 70 jest jednym z najstarszych ale i najmniej znanych ugrupowań niepodległościowych. Dlaczego tak się dzieje?

– Tak się złożyło, ponieważ Akcja na Rzecz Niepodległości powstała w środowisku studenckim, bez pieniędzy i przełożenia na media, wówczas to ostatnie oznaczało dostęp do Radia Wolna Europa. Wtedy, w latach 70 gdy powstawała Akcja – żadna organizacja opozycyjna nie wyróżniała się liczebnością. Działo się w niewielkich grupach, jak my w krakowskim kręgu studenckim. Zaś dostęp do RWE czy Głosu Ameryki miały głównie środowiska KOR, sprecyzowałbym nawet, że KOR bez Macierewicza, który wprowadził Komitet Obrony Robotników zakładał, ale później został już zdominowany przez grupę, którą symbolizowali Jacek Kuroń i Adam Michnik, zdecydowani bardziej naprawiać socjalizm, niż z nim walczyć.

– Na początku jednak Pana środowisko z KOR współpracowało, nie czyniąc tych rozróżnień?

– Tak działo się do momentu, kiedy w trakcie spotkania na Floriańskiej u Bogusława Sonika nie zadałem zasadniczego pytania Adamowi Michnikowi, który był wtedy prelegentem.

– Jak brzmiało to pytanie?

– Chciałem wiedzieć, jak sobie wyobraża odzyskanie niepodległości przez

Polskę. Odpowiedź, jaką uzyskałem, zmroziła mnie. Michnik ocenił bowiem, że nie mamy szans na niepodległość. I w tej sytuacji lepiej skupić się na naprawianiu socjalizmu oraz poszerzaniu marginesu suwerenności, co wtedy nazywano finlandyzacją. Nie tylko dla mnie odpowiedź Michnika okazała się wielkim rozczarowaniem. Podobnie myśleli Piotr Boroń i Włodzimierz Stecikiewicz, którzy ze mną studiowali prawo na UJ, Janusz Pierzchała z polonistyki UJ, Jerzy Giza, który studiował na WSP historię i Janusz Rzońca. Stanowiliśmy już wtedy zwarte środowisko, chociaż oczywiście naszą działalność na rzecz niepodległości dopiero z czasem sformalizowaliśmy.

– Sam Pan już podkreślał, że w latach 70 opozycja nie stanowiła jeszcze ruchu masowego. Jak więc stało się możliwe, że wtedy środowisko, o którym rozmawiamy, już było gotowe do podejmowania politycznych wyborów?

– Spotykałem ludzi podobnie myślących, odkąd w 1974 roku przyszedłem na studia. Oczywiście udawało się to dlatego, że świadomie ich szukałem. Dla mnie to niepodległość była najważniejsza.

– Skąd brała się taka hierarchia u dziewiętnastolatka?

– Z tradycji rodzinnej przede wszystkim. Ojciec miał skończoną tylko szkołę podstawową, ale wiele wiedział i opowiadał mi o rozbiorze Polski po 17 września 1939 r. oraz o Katyniu. Dziadek, którego nie było mi niestety dane poznać, bo zmarł przed moim urodzeniem, wrócił z frontu wojny bolszewickiej z wielką paką książek, wśród których byli Mickiewicz, Krasiński i Trylogia Sienkiewicza. Wcześniej służył w armii austriackiej, chłonał świat, wszystko, co się w nim dzieje i zmienia i taką otwartą postawę mojemu ojcu przekazał. A ten z kolei mnie. Wiem, że jeśli nie każdy opozycjonista, to co drugi mówi o wpływie rodziny na własne przekonania, ale u mnie naprawdę okazał się on istotny. Ojciec był chłopem, czytany i obeznany z historią. Duże znaczenie dla formowania się moich przekonań miało również życie religijne. I bezpośrednie kontakty z ludźmi. W ósmej klasie podstawówki za pośrednictwem siostry poznałem Adama Macedońskiego. Podrzucał mi książki, które pozwalały wyrabiać sobie własne zdanie. Zdobytą dzięki nim wiedzę zarząłem w szkole innych.

– Wtedy dla wielu marzeniem nawet bardziej realnym było uciec z Polski niż ją naprawiać?

– Rzeczywiście miałem kolegów, którzy sami od dawna byli do tego zdecydowani i mnie również namawiali. Ktoś miał rodzinę w USA, rysowała się możliwość, że do niej dołączy, to – jak pan zauważa – oczywiście wtedy marzenie. Odpowiadałem, że lepiej Polskę naprawiać, pozostając na miejscu. Sam jednak uciekinierom pomogłem, dostarczyłem im mapkę, jakiej nie kupi się w kiosku, zdobytą za sprawą znajomego z Wojsk Ochrony Pogranicza. Od tej sprawy zaczęło się zresztą zainteresowanie służby bezpieczeństwa moją osobą. Wzmogły je jeszcze moje kontakty ze środowiskami, skupionymi wokół Kościoła. Jeździłem wtedy na dni skupienia do Pallotynów. W gronie ludzi, którzy tam się pojawiali, wymienialiśmy zarówno poglądy jak książki. Wiem, że SB wtedy interesowała się, czy zostanę księdzem. Nie miałem takiego zamiaru, bo do tego potrzeba było powołania. Mnie zaś wtedy interesowało wiele spraw.

– Nie tylko książki i religia?

– Poważnie rozważałem, żeby zostać pilotem wojskowym, co łączyło się zarówno z moimi ówczesnymi zainteresowaniami, bo magia lotnictwa przemawiała do wyobraźni, jak przekonania – uważałem bowiem wojsko za środowisko, w którym będę miał możliwość prowadzenia działalności patriotycznej. Od szesnastego roku życia latałem na szybowcach. Zrobiłem też kurs spadochronowy. W Dęblinie przeszedłem już nawet badania. Orzekli, że nadaję się do sterowania helikopterem. Do samolotu nie, z powodu wahań ciśnienia, choć ocenili, że z czasem te ostatnie ustąpią. Wtedy zresztą jeden z kolegów życzliwie mnie ostrzegał: uciekaj, bo jak poznają twoje przekonania, poświęcą samolot razem z tobą... Splot tych wszystkich okoliczności sprawił, że w 1974 r. zdałem na prawo na Uniwersytet Jagielloński. I w Krakowie zacząłem szukać ludzi, którzy myślą podobnie, jak ja...

– To trudny czas dla działalności opozycyjnej. Jeśli szukać momentów, kiedy władza komunistyczna, zwykle mocno izolowana w społeczeństwie miała najwyższe poparcie, to pewnie dostrzec można dwa: lata 1956–57 za sprawą demokratyzacji i poszerzenia marginesu swobody w kontaktach

z ZSRR oraz właśnie ten rok 1974, za sprawą dobrobytu gierkowskiego, który był pewnie sztuczny ale już rozwój motoryzacji w Polsce czy sukcesy piłkarzy to był konkret. Względne sukcesy władzy nie tworzyły raczej przyjaznego klimatu do przeciwstawiania się jej? Poza tym pamiętamy, że w sensie struktur opozycja w kraju wtedy nie istnieje...

– Trudno było, to oczywiste. Wszystko to prawda, Edward Gierek nie tylko odsunął od władzy po 14 latach Władysława Gomułkę, ale sprawił, że rzeczywiście ludziom zaczęło się poprawiać, chociaż głównie za zachodnie kredyty. Równocześnie rozbudował ZOMO i SB, przecież sam doszedł do władzy za sprawą protestów społecznych na Wybrzeżu i wiedział, jakie mają znaczenie, nasilił też walkę z Kościołem, całkiem wbrew stereotypowi, że mu ustępował. Ludziom dał zarobić, nawet wyjechać za granicę, bo inaczej niż za Gomułki zaczęto wydawać paszporty. Władza chciała teraz ukierunkować rządzonych na konsumpcję.

– A wyście chcieli stworzyć dla tego alternatywę?

– Dla mnie autorytetem był wtedy Prymas Wyszyński i Kardynał Wojtyła w Krakowie. Od pierwszego roku szukałem ludzi, którzy w podobny sposób odbierali ówczesną sytuację. Poznałem Boronia, Rzońcę, Steckiewicza i innych, zdecydowanych nie tylko na wymianę poglądów, co nie wystarczało, skoro i tak przeważały te wspólne – ale na działanie. Oczywiście trochę czasu musiało upłynąć, zanim Marian Apostoł przetłumaczył na francuski i przekazał za granicę naszą deklarację o podjęciu działań na rzecz niepodległości Polski. Nawiązywaliśmy kolejne kontakty, głównie Steckiewicz działał w grupie piłsudczyków. Dla mnie szczególnie ważna okazała się akcja przerzucania prasy katolickiej przez granicę do Czechosłowacji. Kontakt nawiązaliśmy w tym wypadku przez Tadeusza Szymę z „Tygodnika Powszechnego”. Kanałami dyplomatycznymi prasa z Watykanu trafiała do Polski. Jeśli chodzi o tę po czesku i słowacku – tu dopiero pojawiał się problem co z nią robić dalej. Poradziliśmy sobie, to była moja akcja. Grupa z Zakopanego wybitnie się do tego przyczyniła.

– Parę lat wcześniej próbę przerzucania paryskiej „Kultury” na drugą stronę podjęli opozycjoniści z generacji Marca’68 zwani od tego Tatarnikami, ale skończyło się to na sali sądowej. Okazaliście się najlepszymi wykonawcami tej akcji, bo wśród Was wielu było Górali? Sam Pan pochodzi z Piekelnika...

– W nasze działania zaangażowała się pochodząca z Zębu koło Zakopanego Zofia Stoch, znana już później bardziej pod nazwiskiem Bobik.

– ...jeśli jednak chodzi o to pierwsze nazwisko...

– Zbieżność nie jest przypadkowa, to ciotka naszego trzykrotnego mistrza olimpijskiego, miała wpływ na jego wychowanie. Kamil Stoch pochodzi z zasłużonej rodziny, sam też jest człowiekiem skromnym i z charakterem, pokazuje to jego publiczne przyznawanie się do wiary. Zarówno Zofia jak Bronisław Bobik okazali się ważnymi postaciami naszego środowiska. Przy ognisku czytaliśmy razem bibułę. Potem przyjeżdżali tam Tadeusz Stański, Romuald Szeremietiew i Leszek Moczulski. Wszystko rozgrywało się jeszcze przed przyjazdem Ojca Świętego do Polski, kiedy takie spotkania nie były powszechne. Drugie środowisko ukształtowało się w Nowym Sączu – działał tam obecny właściciel Jamy Michalika w Krakowie Stan Jerzy Kuliś. Grupa wywodząca się stamtąd skontaktowała mnie z PAX-em, z takimi ludźmi tej oficjalnie przecież działającej organizacji, których poglądy nie różniły się od naszych. W ich mieszkaniach odbywały się wykłady, później robiliśmy tam „Redutę”, dobre i ważne pismo i kalendarze historyczne z wizerunkami bohaterów narodowych, m.in. z Józefem Piłsudskim.

– Z czasem jednak klucz terytorialny dla opozycji przestaje być równie ważny jak kształtujące się formacje ideowe. Jak rozumiem, na początek środowisko Akcji na Rzecz Niepodległości współpracuje ze wszystkimi, o których wie, że walczą z komunizmem. Później nadchodzi czas wyboru?

– Janusz Pierzchała miał kontakt z Aleksandrem Hallem, jego środowiskiem, z którego wyłonił się Ruch Młodej Polski. Z kolei Apostoł – z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela, jeździł do Andrzeja Czumy. A ja wraz z Józefem Śreniowskim z KOR opracowałem księgę bezprawia. Niech

pan jednak nie myśli, że zajmowaliśmy się wtedy teoretycznymi kwestiami czy abstrakcjami. Nie po to wybrałem prawo na UJ. Podejmowaliśmy konkretne interwencje. W Żywcu opisaliśmy przypadek śmiertelnego pobicia na kominie milicji. Człowiek, który budował tam kościół, został zamordowany. Charakter i rozległość obrażeń – był dosłownie cały posiniaczony – wskazywały niezbicie na to, że nie mógł ich odnieść za sprawą współwzięniów w celi.

– W jakim sensie inna tragiczna śmierć: studenta UJ Stanisława Pyjasa w maju 1977 r. – okazała się punktem zwrotnym i spoiwem dla środowisk opozycji krakowskiej?

– Włączyliśmy się jako Akcja na Rzecz Niepodległości w organizację marszu protestu i pamięci po zabójstwie Stanisława Pyjasa przez władze. Śmierć zaangażowanego w działania opozycyjne chłopaka stała się impulsem do powołania Studenckiego Komitetu Solidarności w Krakowie. Zostałem sygnatariuszem jego deklaracji założycielskiej, podpisanej w Luboniu. Działał tam wtedy Józef Ruszar, Wojciech Oracz z Pińczowa, Ewa Kulik... Oczywiście Bogusław Sonik, Bronisław Wildstein, aktywne były Liliana Batko i Róża Woźniakowska, która często przychodziła do kościoła na Salwator, stanowiącego ważne dla nas miejsce. W tym kręgu pozostawał również Lesław Maleszka, który chciał się bardzo ze mną zaprzyjaźnić, gdy mieszkalem w Żaczku, akademiku zaraz przy historycznych Oleandrach.

– Ale Pan go trzymał na dystans?

– Instynkt pewnie mi odpowiedział, żeby znanemu mu nie ufać, chociaż był bystry i miał dobre pióro, ale oczywiście o jego stałej i szkodliwej współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa dowiedziałem się dopiero po latach. Wolałem jednak już wtedy ludzi takich jak Andrzej Mietkowski, którym można było wierzyć bez zastrzeżeń, kontaktowałem się z nim choćby przy okazji szkoleń drukarskich.

– Zapewne nie tylko za sprawą Maleszki Służba Bezpieczeństwa wiedziała, co robicie. Jak przeciwdziałaliście temu, żeby poznała wszystkie szczegóły, co pozwoliłoby na likwidację Waszej działalności?

– Znajdowaliśmy swoje sposoby, również niekonwencjonalne, których nie znajdzie pan redaktor w ówczesnym poradniku „Obywatel i służba bezpieczeństwa”. Za ich sprawą akademik Żaczek, w którym sam mieszkałem i gdzie prowadzona była regularna działalność opozycyjna stał się oczywiście strefą nie tyle wolną od Służby Bezpieczeństwa – w ówczesnych warunkach nie było to w żadnej mierze realne – co taką, do której bezpieczeństwa nie mogła wejść niepostrzeżenie.

– Jak to było możliwe?

– Kierownik z akademika Żaczek był człowiekiem przyzwoitym, a poza tym potrafił też rozwiązywać związane z pracą problemy. Wiedział, że ćwiczę karate i mam w tej dyscyplinie sportu walki osiągnięcia. Karate uprawiałem od 1975 roku, ćwoczyłem m.in. z Andrzejem Drewniakiem i to w wersji full contact, nie interesowały mnie imitacje. W Żaczku miałem sekcję, przychodziło 10-15 osób. Zdobyłem dan i czarny pas. Dlatego kierownik zaproponował mi, żebym został szefem służby porządkowej w akademiku. Gospodarze gmachu mieli bowiem problem z grupą pijaczków, organizujących głośne czasem całonocne imprezy i zwyczajnie terroryzującą innych. Wiedział doskonale, że do tej służby zaangażuję innych karateków, skoro tak dobrze znałem to środowisko. Przystałem na tę propozycję pod warunkiem, że dostanę w Żaczku „jedynekę”. Nie muszę chyba tłumaczyć, jak bardzo ułatwił mi dalszą działalność opozycyjną jednoosobowy pokój. Słowa też dotrzymałem. Wystarczyła jedna interwencja, może dwie, a skarciliśmy i spacyfikowaliśmy pijaczków i awanturników. Nikt nie bał się już wyjść w nocy na korytarz, bo problem bezpieczeństwa mieszkańców Żaczka został rozwiązany. Skoro za nie odpowiadaliśmy, to mieliśmy wpływ na to, kto do akademika wejdzie. Odtąd każdy, to przyszedł z zewnątrz musiał pokazać dokument, dowód albo legitymację.

– Esbecy też?

– Skończyło się to, że wchodzili do akademika jak chcieli. Teraz pojawiał się jeden albo dwóch, nagabywani o dowód zamiast go pokazać odpowiadali, że oni do kierownika. Na to ja albo ktoś inny z naszej załogi: – Kierownik zaraz zejdzie. I na górę, że niby go trzeba zawołać, w ten sposób przekazywało się

od razu informację o niebezpieczeństwie. Od tego momentu, kiedy przejąłem służbę porządkową, nie wszedł do akademika nikt, kto nie został wylegitymowany – albo przynajmniej zidentyfikowany w sposób opisany przeze mnie w poprzednim zdaniu.

– W latach 70. władza to nie tylko aparat przymusu. PZPR ma 3 mln członków, działają również socjalistyczne organizacje młodzieżowe. Aktywne były wobec Was?

– Tak, ale nie były samodzielne. Jerzy Jaskiernia w Żączku nie mieszkał, ale przychodził na prelekcje. Nie była to propaganda dokładnie taka jak w gazetach. Tłumaczył raczej niby pragmatycznie, że nie ma się co przeciwstawiać, bo Związku Radzieckiego nikt nie pokona. Szybko zorientowaliśmy się też, że SB identyfikuje ludzi działających w opozycji inwigilując tych uczestników spotkań, którzy wypowiadali się krytycznie w ich trakcie. Wydrukowałem więc w Żączku ulotkę, przestrzegającą, że tak się dzieje: żeby na takie spotkania nie chodzić i głosu nie zabierać, bo tylko się esbekom ułatwi robotę. Wtedy, zaraz po tej mojej akcji ulotkowej skończyły się wykłady Jaskierni. Oczywiście reagowanie na działania władzy stanowiło mniejszą część tego, co wtedy robiło nasze środowisko, większym rezonansem cieszyły się własne akcje. Nie brakowało w nich pomysłowości. W Krakowie pojawił się wtedy Joe, ze Stanów Zjednoczonych, Polak z ojca i matki, który śpiewał religijne piosenki. Znaleźliśmy sposób, żeby jego talent wykorzystać. Z jego udziałem odbyła się msza na Kopcu Kościuszki. Odprawił ją ks. Ciesielczyk z parafii na Salwatorze. Przebraliśmy się wtedy za kosynierów. W rocznicę powstania kościuszkowskiego przyszło ze 200 osób, szliśmy ulicą z kosami.

– Nie znano wtedy jeszcze pojęcia rekonstrukcji historycznej, które modne stało się dopiero w nowej Polsce.

– Ale my sięgaliśmy do historii, literatury patriotycznej i religii, one nas inspirowały, wspólnie nadawaliśmy nowy sens przeżywanym lekturom. Wystawiliśmy „Betlejem polskie” Lucjana Rydla z profesjonalnymi aktorami, korzystając z gościny Kościoła. Z czasem księdza Bryłę zastraszyli nachodzący go niemal bez przerwy esbecy, ale do tego momentu zdążyliśmy zagrać kil-

kadzieśiąt spektakli, oglądał je nieprzebrany tłum. Przy okazji 11 listopada a także rocznic urodzin i śmierci Marszałka spotykaliśmy się przy Krypcie Piłsudskiego na Wawelu. Pielęgnowaliśmy kontakty z jego towarzyszami broni, w tym z generałem Mieczysławem Borutą-Spiechowiczem. Niezwykła charyzmatyczna postać, miałem szczęście i zaszczyt, że go zdążyłem poznać, tak to po latach oceniam. W naszym kręgu pozostawał, z czego byliśmy niezmiernie dumni przedwojenny major Józef Herzog. Dla nas to były wielkie postaci, od nich uczyliśmy się historii i patriotyzmu. Herzog po wojnie miał ciężkie życie, był czas, że szykanowany żeby przeżyć... przenosił węgiel na plecach, na tym jego praca polegała. Zabiegaliśmy o kontakty z różnymi środowiskami. Wraz z Józefem Baranem wydawaliśmy „Placówkę” dla chłopów, dla mnie to pismo miało – nie ukrywam – szczególne znaczenie, bo odnosiłem wrażenie, że spłacam dług środowisku, z którego się wywodzę. Podobnie odczuwałem sprawę Katynia – skoro dowiedziałem się prawdy, bo znaleźli się ludzie odważni, żeby mi ją przekazać, to z kolei moją rzeczą pozostaje powielenie jej dalej. Świetna okazja się nadarzyła. Wraz z Adamem Macedońskim jeszcze w 1978 r. założyliśmy Instytut Katyński i wydrukowaliśmy raport o Katyniu, przygotowany swego czasu dla Kongresu Stanów Zjednoczonych. Adam najpierw był z tym w KOR-ze, ale oni odmówili. A my wydrukowaliśmy 3,5 tysiąca egzemplarzy, na sitodruku, przy ul. Józefińskiej u Zofii i Zenka Łuczyńskich, trwało to 2-3 dni, z nocami włącznie. Efekt stanowił konkretny już powód do dumy, na długo przed Solidarnością.

– Wybór Karola Wojtyły na Papieża miał ogromne znaczenie dla wszystkich Polaków, zwłaszcza jego pierwsza pielgrzymka do Ojczyzny w czerwcu 1979 r, ale dla krakowskiej opozycji jak rozumiem szczególnie?

– Postanowiliśmy rzeczywiście, że Ojca Świętego warto powitać w niezwykle sposób. To był mój pomysł i moja akcja, żeby wypuścić balony z orłem w koronie – wtedy symbolizującej niepodległość w opozycji do pozbawionego jej oficjalnego godła PRL – i znakiem Polski Walczącej. Rozpytywałem, jak to zrobić najlepiej. Dowiadywałem się o to po treningu karate od studentów Politechniki, którzy byli w tej kwestii na naszym tle fachowcami, oczywiście nie mówiąc im dokładnie o co chodzi, po co mi ta wiedza potrzebna. Poin-

struowali szczegółowo, czym te balony napęścić. Ktoś z nas miał wujka na lotnisku Balice, stamtąd pozyskaliśmy balony meteorologiczne. I w ten sposób wszystkie szczegóły akcji zaczęły się zazębiać. Dostaliśmy 50 wejściówek. Znaleźliśmy się na miejscu, przez pewien czas, żeby zyskać większą swobodę ruchów, udawałem fotoreportera. Wreszcie po słowach ojca Leona, zakonnika z Tyńca: „teraz przywitamy Ojca Świętego” balony wzbily się w powietrze. Ta niezwykła scena została utrwalona w filmie Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego. Widać, jak balony symbolicznie lecą na wschód. Akcję przygotowaliśmy jak najstaranniej, moja żona wraz z małżonką Jacka Bartyzela szyły dla tych balonów oprzyrządowanie. Dla wszystkich był to czas nadziei i radości, ale dla nas pierwsza pielgrzymka Papieża do Ojczyzny oznaczała wytężoną pracę i wzmożone ryzyko. Naturalnie do jednej nawet tak spektakularnej akcji się nie ograniczyliśmy, staraliśmy się pokazać wszędzie, gdzie tylko to możliwe. Na Błoniach i na Skałce byliśmy z patriotycznym transparentem i chorągwią. Wracaliśmy we trzech ze Skałki nie najprostszą drogą – ówczesną ulicą Manifestu Lipcowego, której potem przywrócono nazwę Piłsudskiego – tylko boczną ulicą Smoleńsk, żeby uniknąć zatrzymania, bo transparent i chorągwie wciąż mieliśmy ze sobą. Gdzieś na rogu ulicy Retoryka zorientowaliśmy się, że jesteśmy obserwowani. Szło za nami z dziewięciu esbeków. Nagle przyspieszyli. Zaczęli się z nami szarpać. Trzymam drzewce naszej flagi z orłem w koronie, a esbek chwytając za nie z drugiej strony, próbuje mi je wyrwać. Dopadli też Bogusia Warywodę i Mariana Apostoła. Boguś zaczął krzyczeć: „Ludzie, ratujcie, esbecy”, więc napastnicy na chwilę się stropili. Wytrzymałem parę szarpnięć, aż wreszcie to drzewce znienacka puściłem – aż wydzierający mi je esbek upadł, uderzając głową o chodnik. Powaliłem wtedy pozostałych i rzuciliśmy się do ucieczki. Przydało się moje obeznanie ze sztuką karate. Ćwiczyłem przez kilka lat, w wersji zakładającej pełny kontakt. Wyrwawszy się esbekom, dotarliśmy jakoś do Żaczka. Dopiero na miejscu okazało się, że Apostoł został poważnie poszkodowany, jeden z esbeków uderzył go czymś w nerkę, na piętro akademika już praktycznie musiałem go wnieść, bo był bardzo obolały, prawie nie mógł się ruszać. Aktywni w czasie wizyty Papieża, zareagowaliśmy również na radziecką inwazję na Afganistan w grudniu 1979 r. Za naszą sprawą o jednej porze w Katowicach, Krakowie i Nowym Sączu pojawiły się na murach nama-

lowane farbą napisy, zapewniające o poparciu dla narodu afgańskiego. Skoordinowanie tego znowu było moją osobistą akcją.

– **Mieliście też poczucie humoru. Na przedwiośniu 1980 r. komuniści organizowali wybory do Sejmu, ostatnie takie przed Sierpniem. Za sprawą Waszych pomysłów ludzie mogli się pośmiać, że kandydatów FJN popierają idioci... Front Jedności Narodu to była fasadowa koalicja PZPR ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym i Stronnictwem Demokratycznym, potem po stanie wojennym PRON ją zastąpił. Waszą dowcipną akcję przywołują m.in. Lewandowski i Gawlikowski w książce o krakowskiej opozycji.**

– Rzeczywiście władza umieściła wielki propagandowy napis, że kandydatów Frontu Jedności Narodu popierają patrioci. Zmieniliśmy więc jedno słowo. Przez dwie godziny jeździłem tam i z powrotem tramwajem, podziwiając, jak mieszkańcy mogą zobaczyć, że idioci popierają władzę. Poprawiało to nastroje, które wtedy nie były zbyt dobre, choćby z powodu powszechnych braków na rynku.

– **A jak układały się Wasze relacje z rodzącymi się instytucjami opozycyjnymi?**

– Wspominałem, że od KOR się odsunęliśmy, gdy zraziło mnie podejście Michnika do sprawy niepodległości jako nieosiągalnej, o którą nie warto walczyć. Bliższy stał się nam Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Z góry wiedzieliśmy, że powstanie KPN, pierwsza partia niepodległościowa. Na przełomie 1978\79 deklarowałem, że do niej wstąpimy, wspólne plany zakładały, że będziemy tworzyć strukturę małopolską.

– **Dlaczego do tego nie doszło?**

– Na spotkaniu nad Zalewem Zegrzyńskim Leszek Moczulski zapewnił nas, że wstępnie dogadał się z Aleksandrem Hallem w sprawie przyłączenia się do KPN Ruchu Młodej Polski. Potem dowiedziałem się, że rozmowy miały zupełnie inny przebieg, przyniosły inny efekt, niż nam wtedy przedstawił. RMP Halla zdecydował jednym głosem, żeby do Konfederacji nie

wchodzić. Pomyślałem wtedy, że jeśli Moczuski w takiej sprawie świadomie wprowadził nas w błąd, to ten fakt źle rokuje dalszej współpracy. Przecież wtedy miałem 24 lata, koledzy jeśli byli starsi, to niewiele. Poculiśmy oburzenie, że w ten sposób traktuje się młodych chłopaków, licząc równocześnie na ich idealizm. Ta sprawa zdecydowała o wyborze przez nas osobnej drogi. Wtedy powiedziałem zresztą Adamowi Macedońskiemu, że jestem gotów na współpracę z Tadeuszem Stańskim i Romualdem Szeremietiewem, ale z Moczulskim już nie, bo się zawiedliśmy. Z czasem okazało się, że struktury KPN, gdy w czasach stanu wojennego liderzy ponownie znaleźli się w więzieniach próbował przejąć Krzysztof Gąsiorowski, człowiek SB.

– **Narobił szkód?**

– Jego wartość jako agenta ograniczało uzależnienie od alkoholu, więc straty nie okazały się zbyt wielkie.

– **Efektom braku formalnego akcesu do KPN stało się dotrwanie przez Akcję na Rzecz Niepodległości jako samodzielnej grupy aż do czasów NSZZ „Solidarność”.**

– Zaczęły się strajki latem 1980 r, a my ze zdwojoną energią zajęliśmy się upowszechnieniem informacji o nich. Gdy tylko powstała Solidarność, w Małopolsce znaleźliśmy się w jej głównym nurcie. Sonik zarekomendował mnie u Mieczysława Gila, zostałem więc pierwszym etatowym pracownikiem Komitetu Założycielskiego małopolskiej Solidarności. Gil przyjął też Boronia i Steckiewicz, ja później Pierzchałę.

– **Borón to pełnił rolę dość niezwykłą, bo został przewodniczącym związku zawodowego... pracowników związku zawodowego, najmłodszego czytelnika może to rozśmieszyć, albo nawet nie zrozumie po co, ale w pierwszej Solidarności na wszystkich szczeblach obowiązywały demokracja i system przedstawicielski, więc związek związkowców też musiał powstać. A jaka była Pana rola w Regionie Małopolska NSZZ Solidarność?**

– Po rozmowie z Gilem w 1980 r. zostałem zatrudniony w komisji interwencji. Dostawaliśmy sygnały, że działacze PZPR wspierani przez SB próbują

pospiesznie organizować w zakładach pracy komisje związkowe, łamiąc przy tym obowiązujące w Solidarności procedury. Chodziło im o to, żeby zbudować własne struktury w związku, który w myśl statutu i przesłania nazwy miał być przecież niezależny i samorządny. Jeździłem tam, gdzie tak się działo, doprowadzałem do demokratycznych wyborów w zakładach pracy. Przy okazji jednej z takich misji poznałem kombatanta Henryka Stachowskiego, który wtedy pracował w domu handlowym Jubilat i przyszedł z alarmem, że komuniści próbują tam przejąć komisję zakładową. To on później po latach przekazał mi kamienicę w podzięcie za opiekę. Zacząłem też wtedy robić nieetatową aplikację sądową. Wielką satysfakcję sprawiły nam w okresie karnawału legalnej pierwszej Solidarności masowe obchody patriotycznych rocznic. Pamiętaliśmy przecież, że gdy je w Krakowie inicjowaliśmy, na plac Matejki przychodziło na początek z 50 osób, z czego i tak wypadało się cieszyć. Naszą rolą okazało się przełamanie bariery strachu, lata 1980-81 pokazały, jak bardzo się to udało.

– Ale pierwsza Solidarność nie przetrwała. Czy się Pan tego spodziewał?

– Ponieważ pracowałem w komisji interwencji, wiedziałem więcej, różne sygnały docierały do nas. Najpoważniejszy z nich przekazał oficer, z drugiej strony. Zaproponował spotkanie, z oczywistych względów pojechaliśmy na nie we dwóch z Andrzejem Dańko, do niego do domu. Powiadomił nas, że wojsko przygotowuje coś w rodzaju stanu wojennego. Poszedłem z tym do władz regionu, w miejsce Gila był już wtedy Sikora, który ostrzeżenie całkiem zlekceważył, choć prezentowało się wiarygodnie. Wyciągnęliśmy z tego jednak wnioski, na własną rękę przenieśliśmy i ukryliśmy sprzęt poligraficzny, dzięki temu drukarnia przetrwała uderzenie z 13 grudnia 1981 r.

– Jaki okazał się ten dzień dla Pana osobiście?

– Najgorszy z możliwych. Żona z powodu stresu poroniła. Odwiozłem ją do szpitala do Brzeska. Tam ktoś przekazał mi sygnał, że mnie poszukują. Piełgniarki gdzieś mnie ukryły. Rano opuściłem szpital wraz z grupą robotników, udającą się gdzieś dalej do pracy. Po drodze mijałem Hutę. Podjęliśmy pierwsze działania, drukowanie ulotek protestacyjnych. Nie trwały jednak długo. Zostałem aresztowany 17 września, zorientowałem się, że ktoś mnie wyspał.

Wszystko wziąłem na siebie, oznajmiałem w trakcie przesłuchań, że zbierałem sam informacje, żeby ratować kolegów. Prokurator zażądał dla mnie 12 lat więzienia, w lutym 1982 roku sąd wojskowy skazał mnie na cztery lata. Wiedzieli, kim jestem, znali moją przeszłość, skoro już po ogłoszeniu wyroku jeden z esbeków podsumował: – Masz za tego balona.

– Miał Pan spore towarzystwo, bo za kratami znalazła się większość liderów Solidarności i KPN.

– Na Montelupich siedziałem z Gilem i Krzysztofem Bzdylem. Z Krakowa jednak wywieziono mnie do Raciborza. Wielkanoc właśnie była, więc śpiewaliśmy tam pieśni patriotyczne i religijne, co uznano za formę protestu. Naczelnik mnie wezwał, pyta: – Śpiewałeś? Potwierdziłem. Zauważyłem, że w święta to nasza powinność. W trakcie wymiany zdań z naczelnikiem pozwoliłem sobie na uwagę, że jeśli my ich będziemy sądzić, to zgodnie z prawem. Ale za to, że podobnie postąpią nasi następcy – ręczyć nie mogę.

– Jaka była reakcja naczelnika więzienia?

– Zaskakująca. Dał mi dodatkowo więcej widzeń. Inteligentniejsi z nich już wtedy wiedzieli, że polityka stanu wojennego nie potrwa wiecznie. A my zaczęliśmy walczyć o status więźnia politycznego. Z Raciborza przeniesiono mnie do Strzelec Opolskich. Blindy na oknach, słońca w celach nie ma, ciemno nawet w czerwcu – wyglądało to ponuro. W sierpniu w kraju planowano manifestacje, a ja dostałem gryps od kolegi, osadzonego w kabarynie: – Marian, zrób coś, szczury chodzą, nie da się wytrzymać. Zrobiliśmy więc głódówkę. W 12 osób na początek. Naszą determinację wzmogło to, gdy z przemyconego, ukrytego w chlebie radia dowiedzieliśmy się, że Ojciec Święty ujął się za uwięzionymi. Nasz strajk trwał 20 dni, żądaliśmy więcej widzeń i wywiezienia nas ze Strzelec Opolskich. Dopięliśmy swego. Kolejnym moim zakładem karnym okazało się Kłodzko. Warunki tam były zupełnie inne, z okien celi widziałem bloki. Stało się to dla mnie okazją do niezwykłego przeżycia, potwierdzającego sens wybranej drogi. Śpiewaliśmy w celach „Jeszcze Polska nie zginęła”. I przez okna, pewnie jeśli dobrze pamiętam to był 11 listopada, zobaczyliśmy świece, wystawione na parapetach mieszkań w blokach. Usłyszeliśmy też, że miejscowi razem z nami śpiewają hymn. Tak jakby na dwa gło-

sy, chociaż głosów było tak wiele, niesamowite zdarzenie. Krzepiące tym bardziej, że z wolności nie docierały wcale pocieszające wieści. Wiedziałem, że żona jest bardzo chora. Adwokat nakłonił mnie, żebym starał się o przerwę w odbywaniu kary, motywowaną stanem jej zdrowia. W ten sposób wyszedłem z więzienia po roku, przed Świętami. Jakiś czas spędziłem jeszcze w szpitalu. W czerwcu 1983 r. resztę kary skrócono mi na podstawie regulacji amnestyjnych. Władza, zanim pod presją oporu społecznego zmuszona była we wrześniu 1986 r. zwolnić wszystkich więźniów politycznych, wcześniej też takie częściowe amnestie ogłaszała.

– Czy nakłaniano Pana do wyjazdu za granicę?

– Stałem się przedmiotem takich zabiegów, proponowała mi władza wyjazd w jedną stronę, ale odpowiadałem jednoznacznie: Tu jest mój kraj. Zresztą później w 1985 r. dostałem już paszport z możliwością powrotu, chodziło bowiem o to, żeby wysłać za mną agenta, który śledziłby moje kontakty. Pracowałem w Niemczech i we Francji i oczywiście odbywałem rozmaite spotkania z emigrantami, na tyle profesjonalnie, że pomysł służb wiele świeżej wiedzy im chyba nie przyniósł. Z Marianem Apostołem byłem wtedy w Strasburgu, od grupy Amico dostaliśmy sprzęt dla kraju, nie muszę dodawać, jak bardzo się przydał.

– A wcześniej co zastał Pan na wolności? To była niewątpliwie faza kryzysu w opozycji?

– Wiele osób wyjechało, z ponad 5 tys. skazanych paszporty emigracyjne przyjęło ponad 3 tys. Starałem się jednak jak najszybciej w tym wszystkim odnaleźć, powrócić do działań opozycyjnych, już w podziemnej Solidarności. Współpracowałem z Ryszardem Majdzikiem. Wydawałem pismo „Homo homini”. Zwykle ja pisałem, a Majdzik kolportował. Wiele uwagi poświęcaliśmy poradom prawnym, jak się zachowywać w sytuacji represji i nacisków, miałem już wtedy doświadczenie ze współpracy ze Zbigniewem i Zofią Romaszewskimi, z ich dawnym biurem interwencji. Potem wraz z przyjaciółmi wspieraliśmy Komitet Obrony Więzionych za Przekonania. W każdy czwartek w parafii w Mistrzejowicach miałem dyżur przy poradach prawnych, tam poznałem ks. Jerzego Popiełuszkę i ks. Chojnackie-

go, współpracowałem z Jackiem Smagowiczem. Ciężko było wtedy, nie ma co ukrywać. Nikt nie chciał przyjąć do pracy opozycjonisty, który niedawno wyszedł z krat, więc zatrudniłem się u księdza Podziornego przy budowie kościoła na Osiedlu Kalinowym. Gdy z więzienia wyszli Tadeusz Stański i Romuald Szeremietiew i zdecydowali się pójść własną drogą, a nie dalej z Leszkiem Moczulskim, przede mną również otworzyły się nowe możliwości. 22 stycznia 1985 r. utworzyliśmy PPN. Polska Partia Niepodległościowa działała jeszcze nawet trochę w nowej Polsce, w końcu weszliśmy do Ruchu dla Rzeczypospolitej Jana Olszewskiego.

– Sukcesu nie odniosła, wśród tylu innych ugrupowań.

– Nie było to możliwe z powodu zмовy Okrągłego Stołu, porozumienia lewackiej części Solidarności z komunistami, zawartego nad głowami ludzi, którzy przez lata się poświęcali a nikt ich w najważniejszej chwili nawet o zdanie nie zapytał. Na pomysł kontraktu wyborczego „35 do 65 proc” zareagowałem negatywnie, wskazałem, że Solidarność nie powinna stać się kwiatkiem do kożucha. Współpracowałem wtedy z Solidarnością Walczącą, najbliżej z Piotrem Chlebowiczem, także młodymi ludźmi, najświeższymi rocznikami opozycji z Federacji Młodzieży Walczącej, działał w niej wtedy m.in. Bogdan Rymanowski – i doskonale od nich samych wiedziałem, co myślą. Oczywiście ta opcja nie zwyciężyła. Mam jednak poczucie, że zawsze byłem po właściwej stronie. W odpowiednim miejscu. Gdy inni szukali posad, bo ustrój ewoluował, ja wyjechałem do pracy za granicę. Udało mi się przez półtora roku stanąć wreszcie na nogi i dzięki naprawdę ciężkiej robocie zgromadzić pewne środki, z czego teraz czyni mi się zarzut. Po powrocie prowadziłem własną firmę. Handel antenami, miałem własny zakład. Doradzałem jednak też rządowi Jana Olszewskiego, z którym wiązałem wielkie nadzieje. Nie porzuciłem więc zaangażowania publicznego. W latach 2005-7 odpowiadałem za służby skarbowe, zaś po drugim wyborczym zwycięstwie PiS w 2015 r. ponownie zająłem się odkrywaniem luk w funkcjonowaniu administracji skarbowej i celnej. Po latach rozluźniania wszystkich reguł i traktowania przestępstw podatkowych jak wykroczeń była to wielka zmiana z korzyścią dla budżetu państwa. Lobby biznesowe i partykularnie myśląca część środowiska

celników mocno się temu przeciwstawiały. Reforma, którą przeprowadziłem przyniosła dodatkowe 100 mld zł dla budżetu. Bez tych środków nie byłyby możliwe wypłaty 500plus ani trzynastej emerytury.

– Czy nie czuje się Pan rozczarowany czy pokrzywdzony, gdy porównuje Pan nastawienie uczestników polskiego życia publicznego, w tym partii rządzącej do Pana, człowieka z takim życiorysem i do Stanisława Piotrowicza, prokuratora stanu wojennego?

– Nie chcę oceniać pana Piotrowicza, nie znam jego przeszłości. Był wtedy w zupełnie innym regionie, niż ja. A ja opowiedziałem się od początku po tej stronie, której do dzisiaj jestem wierny. I pozostanę do samego końca. Pamiętam poczucie wspólnoty, które objawiło się nam w trakcie spotkania z Ojcem Świętym na Skałce, poczuliśmy się wtedy ważnym ogniwem w łańcuchu pokoleń. Mieliliśmy szczęście spotykać się i z naszym Papieżem i z żyjącymi jeszcze legionistami, prowadzić naszą aktywność w symbolicznych czy powiedzmy po prostu – świętych dla Polaków miejscach, jak Wawel, Skałka, Oleandry, w Krakowie również Jama Michalika ma swoją tradycję nie tylko z artystami związaną, bo zaglądali tam Józef Piłsudski i Walery Sławek... Wiem, o co pan pyta. O Piotrowiczu niech się wypowiedzą ci, którzy wtedy mieli z nim do czynienia. Wspominałem już, że nie żałuję swoich życiowych wyborów. Czasem, jak wtedy w więzieniu w Kłodzku w stanie wojennym, gdy śpiewaliśmy „Jeszcze Polska nie zginęła” i z okien celi widzieliśmy, jak mieszkańcy pobliskiego osiedla zapalają świece w oknach i śpiewają ten hymn razem z nami, w niezwykłych czy wzruszających okolicznościach przekonywałem się o ich słuszności.

„NIE CIERPIĘ FANATYZMU” –
ROZMOWA Z MARIĄ MOCZULSKĄ

– Obecnie historycy coraz bardziej dostrzegają rolę kobiet w opozycji, bo przecież rola kobiet, mimo że trochę w cieniu, była bardzo istotna. Czy według Pani, Służba Bezpieczeństwa też „doceniała” rolę kobiet?

– To nie zależy i nie jest związane z płcią, a raczej z indywidualnością. Były kobiety, które się w sposób znaczący angażowały w działania swoich mężów, bo na ogół tak było, że to były małżeństwa, *vide* Gajka i Jacek Kuroniowie, Romaszewscy, Moczulscy. Natomiast były panie, które nie życzyły sobie wręcz tej działalności swoich mężów. Były to panie, które spowodowały, że prędzej czy później oni musieli się wycofać. Poparcie kobiety w tamtym czasie było absolutnie konieczne. Nie ze względu na działanie samej kobiety, które było ważne, ale ze względu na to, że człowiek, który się angażował w działalność potrzebował, aby wiedzieć, że jego żona i rodzina stoją za nim murem, niezależnie od tego, czym się ryzyko działania dla niego skończy. A mogło się skończyć różnie. Znamy wypadki, kiedy kończyło się bardzo źle, ale tam, gdzie kobieta stała za swoim mężem, czy za swoim chłopakiem, tam on był oczywiście dwa razy silniejszy. Mój mąż nie musiał nigdy martwić się z czego będziemy żyli. Nie martwił się, czy ma jeszcze żonę, dom czy swoje zaplecze, to jest istotna rzecz, która wzmacnia determinację, wzmacnia działanie i widzimy to do dzisiejszego dnia, że takie pary współdziałające ze sobą stanowią o wiele większą siłę, niż każdy z nich pojedynczo. Myślę, że jest grono kobiet opozycji, które się znacząco w naszej historii zapisały.

– Czy SB kiedykolwiek nękało Panią lub szantażowało? Czy funkcjonariusze dali Pani odczuć, na ile jest Pani przez swoje wpływy i działania dla systemu niebezpieczna?

– Oczywiście, że tak. Nękało, starało się obrzydzić życie, męża i wszystko inne. Szantaż polegał przede wszystkim na tym, że bałam się o córkę Elżbietkę, bo była to młoda dziewczyna. Natomiast mnie nie bili, żadnych tego typu fizycznych dolegliwości nigdy nie miałam, ale oczywiście uniemożliwiali normalne życie. Uniemożliwiali mi pracę, co jest podstawową rzeczą. Zniszczyli u podstaw moją karierę naukową, ale myślę, że nie były to tak strasznie dolegliwe doznania, żeby tego nie można było znieść.

Jestem Warszawianką. Mieszkłam na ul. Szpitalnej 12 – dziś nie ma tego domu, ani tych domów i do dzisiejszego dnia pamiętam, jak matka żegnała swojego syna, który szedł do poczty powstańczej. Wtedy matki żegnały swoje dzieci, które szły walczyć i wiedziały o tym, że będą walczyć niemalże gołymi rękami z uzbrojonym po zęby, okrutnym i bezwzględnym wrogiem. Taką wielką ofiarę gotowe były ponieść bez szemrania. To, co my mogłyśmy ofiarować, było cieniem tamtej daniny dla Polski.

– W jakich okolicznościach poznała Pani Leszka Moczulskiego?

– Jako studentka przychodziłam robić zastrzyki jego psom i wtedy go poznałam. Jak byliśmy wolni to się pobraliśmy.

– Pani pobierała nauki w Warszawie? Jakie to były studia?

– Ja jestem Warszawianką od wielu pokoleń. Groby mojej rodziny są z dawien dawna na Cmentarzu Bródnowskim. Najpierw studiowałam na Politechnice – elektronikę, ale przerwałam studia i poszłam na weterynarię. Wtedy poznałam Leszka Moczulskiego.

– A jak Pani poznała Leszka Moczulskiego to była Pani zaangażowana w jakąś działalność polityczną, społeczną?

– Wtedy nie. On działał, ja nie. Ja chciałam przebudowy warunków na moim wydziale i razem z kolegami wstąpiłam do PZPR. Byłam wtedy pod koniec V roku, już po praktykach dyplomowych. Mieliśmy postulaty, żeby na

uczelnie przyjmowano z konkursu świadectw, a nie według znajomości i innych kryteriów politycznych. Drugi postulat dotyczył transparentnych zasad obsadzania stypendiów za granicą. To były nasze główne dążenia. Dużo udało nam się zrobić. W przeciągu roku opanowaliśmy na tyle nasz wydział, że postanowiono rozwiązać młodzieżową podstawową organizację partyjną na wydziale.

Wyrzucili mnie z partii. Nie rozbiłam co prawda PZPR-u, ale parę razy PZPR próbował rozbić mnie. Nie wyszło im to na dobre.

Skończyłam studia i wszyscy się rozpierzchli.

– A jak Pani pamięta początek opozycyjnej działalności politycznej, jaki to był moment?

– To mąż mnie wciągnął. To było niezależne ode mnie, bo tam, gdzie on był, tam przyjeżdżali ludzie, tam były spotkania, nocowali u nas, tworzyła się swoista centrala. I tak to się rozwijało. Jak Ojciec Święty przyjechał po raz pierwszy do Polski, to u nas w mieszkaniu koczowało 30 osób. Każdy musiał się umyć, zjeść, przespać. Ja się z nimi wszystkimi żyłam osobiście. Opozycja dziś, to brzmi, jakby to były legiony. A naprawdę my wszyscy w Polsce znaliśmy się, bo była nas garstka. Kapeenowcy i korowcy – to były dwa główne skrzydła opozycji. My byliśmy piłsudczycy, oni lewica laicka, co wcale nie oznaczało, że oni byli areligijni. Tak jedni, jak i drudzy mieli znakomite stosunki z przedstawicielami Kościoła.

– Co Pani pamięta z aresztowania męża 23 września 1980 r.? Czy to było zaskoczeniem dla Pani?

– Nie. O tym, że w tym dniu zostanie aresztowany, to było niewiadome, ale to, że będzie siedział, to było wiadome, bo ciągle w naszym mieszkaniu odbywały się dziesiątki rewizji całodziennych, dziesiątki zatrzymań na 48 godzin, które się przedłużały, niektóre nawet do 2 tygodni. SB robiła to w ten sposób, że przewożono ich z komendy na komendę i zaczynało się od nowa – 48 godzin. Zaskoczenia nie było. Kiedy w 1980 r. mój mąż zachorował na zapalenie płuc w zimie, bo ma taki zwyczaj, to powiedziałam, że nie będę go leczyć, tylko zawołam lekarza z przychodni, o ile nie rzuci palenia papierosów. Ponieważ

pałił odpalając jednego papierosa od drugiego do 5 paczek dziennie, a jak już kończyło się 5 paczek, to przerzucał się na fajkę, a jak już gasła, to powracał do papierosów i wszystko w domu śmierdziało dymem, było żółte, przesiąknięte nikotyną a on był chudy jak szczapa, skóra typowa dla palacza. Kiedy zachorowałam powiedziałam mu: – „Kochany, jak pójdziesz siedzieć, bo mówisz o tym bez przerwy, to co zrobisz w więzieniu? Oddasz, ojca, matkę, żarcie, wszystko za papierosa, a na widzenie nie przyniosę, bo nie wolno po prostu! Więc, jeśli chcesz być twardy w więzieniu, jak jesteś w rzeczywistości, to musisz rzucić palenie”.

A że był tak ciężko chory przyszło mu to w pierwszym momencie lekko, potem było ciężko, bo to był głęboki nałóg nikotynowy, jadł cukierki toffi cały dzień, w samochodzie stała torba, aż dziw, że nie dostał cukrzycy. To było w 1979 r., kiedy Ojciec Święty przyjechał do Polski. Ja rzuciłam palenie po nim, jak Ojciec Święty był na Błoniach.

– Ale nie paliła Pani tak dużo, jak mąż?

– Nie. Ja paliłam paczkę dziennie. Pracowałam w Instytucie Gruźlicy, gdzie ludzie umierali na raka płuc lub krtani. To rodzaj umierania świadomego do ostatniego dnia, kiedy chory się dusi. Nic mnie to nie nauczyło. Trzeba się uczyć na własnej skórze, a nie cudzej.

Ale kiedy Ojciec Święty poprosił nas... To było zupełnie niezwykle! Staliśmy się zupełnie innymi ludźmi, zupełnie inaczej zmotywowanymi, nawet niż jesteśmy dzisiaj. Powiedział mianowicie, że wie o tym, że pragniemy walczyć o dobro Polski, o dobro ojczyzny i że trzeba tę walkę zaczynać od siebie. Prosił, aby rzucić mocne alkohole – w Polsce piło się wtedy spirytus i wódkę – i papierosy. „Jeżeli to zrobicie – mówił – to będzie pierwszy wasz krok, pierwszy czyn dla ojczyzny”. I wie pani, że zostawiłam na tych Błoniach w Krakowie paczkę papierosów i nigdy już więcej nie zapaliłam. To było dla mnie tak bardzo przemawiające, bo On wszedł z konkretem w naszą wspólną walkę, bo to była wspólna z Nim walka.

Przemyciliśmy tam na Błonia dwa wielkie balony meteorologiczne wypełnione lekkim gazem, a do tych balonów, kiedy Ojciec Święty wjeżdżał na Błonia był przyczepiony na 2 prześcieradłach namalowany orzeł w koronie (wtedy

orzeł w koronie był w ogóle poza obiegiem). I jak Ojciec Święty wjeżdżał na Błonia, to te balony zostały wypuszczone. Jeszcze ksiądz prowadzący celebrę mówi: „Macie takie piękne balony, puśćcie je dla Ojca Świętego!”. Pomyśleliśmy wtedy, że jednak Bóg czuwa nad wariatami. W tym momencie balony zaczęły się unosić, a Ojciec Święty aż ręce wyciągnął, jak zobaczył z daleka tego wielkiego orla w koronie. To był wzruszający widok.

– A pamięta Pani okoliczności tego aresztowania męża w 1980 r.?

– Nie, bo to się odbyło poza domem. Zgarnęli go poza mieszkaniem i przyjechali już bez niego. Poza tym nie wiadomo było, czy to na 48 godzin, czy na 3 miesiące. Wyobrażałam sobie, że w najgorszym wypadku na 3 miesiące. I nagle straszliwa nagonka prasowa, bo to był po Porozumieniach Gdańskich pierwszy opozycjonista, który poszedł siedzieć. „Konfederacja politycznej prowokacji” – tak pisali tacy panowie od propagandy. Nagle stwierdziłam, że lista moich przyjaciół i znajomych, częściowo i rodziny, strasznie się skróciła. Ale byłam na tyle zawziętym i dorosłym człowiekiem, że postanowiłam, że ci, którzy wtedy zniknęli, to już na tę moją listę nie wrócą. Nie wrócili do dzisiaj. Bardzo dużo osób wtedy bało się po prostu. Mieliśmy opinię ogromnie radykalnych.

Może i tak było, może byliśmy radykalni? Dlaczego? – Dlatego, że mój mąż twierdził i uczył nas wszystkich tego, że nie wolno w polityce oszukiwać mocniejszego przeciwnika. Mówił, że jeśli będziemy prowokować ZSRR fałszywymi opowiadaniem, to oni dla swojego międzynarodowego prestiżu będą musieli w nas uderzyć. My mamy mówić od razu, jaki jest nasz cel, bo być może oni tak ułożą te sprawy, że my będziemy mogli od razu ten cel najważniejszy osiągnąć. Twierdził, że ZSRR jest zbyt zdeintegrowany, za słaby wewnętrznie, żeby uderzyć na Polskę zbrojnie, tak jak na Węgry w 1956 r. czy na Czechosłowację w 1968 r. Natomiast być może da nam kawałek przestrzeni do działania. Wszystko to się sprawdziło.

Ja i Leszek wiedzieliśmy, że będzie siedział. To było wliczone w koszty, tylko nie było wiadomo jak długo i jak dotkliwie. Siedział długo.

Początkowo chciano mu zrobić proces kapturowy, ale nie dopuściliśmy do tego. Wszyscy wiedzieli, że Moczulski i czołówka KPN-u siedzi w więzieniu.

A nie było łatwo tę wiadomość rozprzestrzenić, bo było szaleństwo Solidarności, która nie chciała konkurencji.

– Czy działania w Komitecie Obrony Więzionych za Przekonania były potrzebne i jak Pani ocenia swoje zaangażowanie w tę działalność?

– Zorganizowanie KOWzaP-ów było przede wszystkim konieczne. Oczywiście, znalazły się strasznie „mądre” osoby, które na naradach dyskutowały nad tym, że tak, oczywiście, trzeba będzie ostrożnie zacząć bronić tych uwięzionych, np. robiąc konkurs na plakat w obronie więźniów, podzielić obronę na etapy, rok pierwszy, kolejny i... zamknąć sprawę, bo będzie już po wyroku.

No więc ja byłam wobec nich bardzo niegrzeczna, niemiła. Powiedziałam im, że mogą sobie swój plakat... A to były nazwiska! Znane i eksponowane do dnia dzisiejszego... Jedyna rzecz, którą udało mi się zrobić, to pozwolono mi powiedzieć kilka słów, miałam tam może 2 minuty, na jeździe „Solidarności” Mazowska w Teatrze Wielkim czy Sali Kongresowej (już nie pamiętam). Powiedziałam, że będę starała się uchronić i uratować mojego męża przed sądem kapturowym i złapałam tam pierwsze kontakty. Jak nawiązałam kontakty z zakładami pracy, to mogli mi „posypać sól na ogon”, jak się mówiło kiedyś, bo ja już sobie poradziłam. Jeździłam wtedy po całej Polsce, od świtu do nocy i spotykałam się z ludźmi.

„Solidarność” mi nie pomagała. „Solidarność” była zajęta organizowaniem związku. Bardzo słusznie!

– Czy „Solidarność” mogła liczyć na lepszą pozycję w rozmowach z władzami za cenę „nieupominania się” o uwięzionych?

– Nie jestem o tym przekonana. Zawsze mówiłam, że nie będziemy chować się ani za portki Wałęsy, ani sutannę Ojca Świętego, to nieuczciwie walczyć zza cudzych pleców. My mieliśmy odwagę mówić, jakie są nasze cele, marzenia, pragnienia i o co walczymy. Nie musieliśmy mieć do tego ani osłony Kościoła, który byśmy narażali, bo my sami jesteśmy katolikami, ani Solidarności, która była jeszcze za młoda, jeszcze ząbkowała. Myśleliśmy jak się ukształtuje, to wtedy będzie nam mogła pomóc. Koniec. Takie było moje zdanie. I to było słuszne. Chowanie się za czyjś autorytet, za czyjeś zasługi jest nieuczciwie. Każ-

dy powinien ponosić odpowiedzialność za swoje czyny. Nie da się żyć na cudze konto. Po prostu.

Ja już nie pracowałam w Instytucie, musiałam na prowincję uciekać, ale dzięki temu miałam większą swobodę. W tych wielkich zakładach pracy, gdzie jeździłam, najbardziej zapadł mi w serce Śląsk. Śląsk wspominam bardzo ciepło. Tam były spotkania z górnikami, ogromne sale, ogromna ilość ludzi, oni świetnie rozumieli, co ja mówię, byłam taką „ciotką rewolucji” w najgorszym znaczeniu. To, co mówiłam było bardzo populistyczne, nie byłam przygotowana do tego ani politycznie, ani naukowo, jako historyk czy politolog. Ale nie było źle!

W KOWzaP-ach pod koniec było do 100 tysięcy ludzi. Zaangażowani byli do tego stopnia, że chcieli wyrzucać podstawowe organizacje partyjne ze swych lokali w zakładach pracy, mówiąc, że jeśli nie dostaną pokoju na działalność KOWzaP-u, to partia też żadnego lokum nie będzie miała. Dużo ludzi było w KOWzaP-ach w Radomiu, Białymstoku. Był to trudny czas nienormalnej pracy, bo to była praca propagandzisty, ale były widoczne efekty.

W tym czasie toczył się już proces Konfederacji Polski Niepodległej, sala była pełna. Trzeba było mieć przepustkę. Przepustki wydawał znany dziś sędzia Kryże. Ja wtedy do Warszawy jedynie wpadałam, ale nie mieszkalam w Warszawie. Klucz do mojego mieszkania mieli górnicy i nie wiem, kto jeszcze, podawali sobie jedni drugim, to był wtedy darmowy hotelik. Tempo życia było takie, że się nie liczyło dni, godzin, to nie było ważne.

Jedną z trudności był brak benzyny. Dla osoby, która jeździła samochodem, problemem nie był brak jedzenia, ale brak benzyny właśnie. Chłopaki na stacjach benzynowych tak mnie już znali i byli tacy fajni, że jak podjeżdżałam dużym fiatem, miałam zamontowany drugi bak od żuka w bagażniku, który niebezpiecznie obciążał samochód, ale nie miało to dla mnie większego znaczenia, panowie ze stacji lali do tego drugiego baku. Jak oczekujący klienci się niecierpliwi, to oni mówili – „Chwilę, mam dziewczynę...”.

– Chciałam zapytać o najciekawsze, najsilniejsze wspomnienia związane z procesem 1981–1982?

– Ja z samego procesu mam mało wspomnień, ponieważ w tym czasie cały czas pracowałam. Wpadałam na proces, wieszałam się mężowi na szyi, o ile

mogłam do niego dojść i jechałam dalej. Byłam w trasie. Gdybym siedziała sobie na procesie, to byłoby to bardzo niekorzystne.

Walczyłam o dwie sprawy: żeby proces Leszka i jego kolegów był jawny oraz by oni odpowiadali z wolnej stopy, co też osiągnęłam. Tylko mnie oszukano, bo w momencie kiedy prowadziłam głodówkę w Katowicach i wyłączałam w szpitalu, to go ponownie aresztowali, jak ode mnie jechał z odwiedzin. Ale ta dwutygodniowa przerwa też była ważna, bo on się wtedy odbudował fizycznie i psychicznie.

Nie walczyłam tylko o mojego męża – ale o wszystkich więzionych za przekonania, bez rozróżniania ich przynależności partyjnej czy politycznej. Przyjechał do mnie trzeci z braci Kowalczyków – Narcyz. Powiedział, że nikt nic w ich sprawie nie robi.

– „Czy ja mogę dołączyć?”.

– „Może pan ze mną jechać, proszę bardzo”.

Ale wizerunkowo nie było to korzystne, żeby ze mną on z ojcem jeździli. Płacząca kobieta, której zabrano męża, wygląda inaczej niż ekipa i to w męskiej obsadzie. Ja dołączyłam i bardzo uczciwie do końca walczyłam o sprawę Kowalczyków z pozytywnym efektem zresztą. Moim zadaniem było przedstawić sprawę Kowalczyków w prawdziwym świetle, bo oni byli traktowani jak terroryści, a skazani zostali jako polityczni. Za zwykłe zburzenie budynku można było dostać 8 lat maksymalnie, natomiast ich chciano załatwić: jeden dostał karę śmierci, drugi – dożywocie. Później to zostało zmienione, na skutek interwencji Kościoła zostali wypuszczeni.

Uważam, że postąpiłam słusznie, bo gdybym tylko i wyłącznie walczyła o ludzi z KPN-u, którzy siedzieli w więzieniu, to moja motywacja i odczucia moralne byłyby o wiele niższe. Tymczasem, gdy przywódcy KPN poszli na wolną stopę, ja dalej głodowałam, ponieważ siedzieli Kowalczykowie. To dało mi siłę na następne lata – wtedy, gdy mój mąż przebywał w więzieniu. Przetrwiałam to bez uszczerbku na psychice. A trzeba wiedzieć, że osoby bliskie więźniowi też są w więzieniu...

– A więc to walka dała Pani siłę?!

– O tak, oczywiście. Uświadomiła mi, kim jestem, ile człowieczeństwa jest w człowieku i jak dalece trzeba o to dbać. To było bardzo ważne doświadczenie.

– Jak Pani wspomina lata uwięzienia męża? Jak wyglądała codzienność po procesie? Czy opresje trwały dalej?

– Tak. Ale wie pani, kiedyś nazywano mnie „wańką-wstańką”. Ja mam taką naturę, że jak się otrząsnę, to wstaję i idę dalej. Mam wewnętrzną pogodę ducha, takie specyficzne poczucie humoru w stosunku do rzeczywistości. Poza tym mam cudowną córkę, mąż też ją uwielbia, która stanowiła dla mnie wartość pierwszą.

Jak wygląda życie osoby, która ma bliskiego w więzieniu? Od widzenia do widzenia, od spotkania z adwokatem do spotkania z adwokatem, od paczki do paczki... Ja przeczesiałam szlak, Leszek siedział jako pierwszy.

Po 13 Grudnia uczyłam dziewczyny, jak konstruować paczkę. Paczka mogła się składać z opakowania i zawartości maksymalnie do 3 kg na miesiąc, czyli 10 dekagramów na dzień. Paczka mogła zawierać owoce krajowe, wyroby piekarnicze, cukier i inne tego typu. Nie wolno ani papierosów, ani czekolady, ani żadnych im podobnych. Opakowanie musiało być takie, żeby można było sprawdzić ich zawartość – nie szkło czy metal...

Otóż śliwki suszone, te amerykańskie, są świetnym magazynem na czekoladę, bo do każdej śliwki można wsadzić co najmniej pół kostki czekolady. Można było podać wędlinę czy mięso – to ja dawałam salami. Chodziło o dostarczenie białka. Polędwicę i smalec pakowaliśmy w plastikowe pudełka, które składały się głównie z pokrojonej szynki zalanej gorącym smalcem. Poza tym zupy w proszku. Ja podawałam purée z grochu, zupy, które dostawali w więzieniu to były takie „berbeluchy”, więc dodawali do nich ten groch – to było pożywniejsze. Chodziło o to, żeby przetrwali w jak najlepszej kondycji fizycznej. To, że Leszek przetrwa dobrze psychicznie, to ja dobrze wiedziałam...

– Proszę powiedzieć, jaka była rola kobiet w tym procesie po tej drugiej stronie krat? Czy była jakaś współpraca między paniami? Jakie wypracowane zostały praktyki oporu kobiet, jakie przybrały formy?

– Przed stanem wojennym adwokaci załatwili, że można im było przynieść posiłek, więc mieli solidne posiłki w trakcie procesu w sądzie cywilnym. Ludzie z Polski przywozili mięso, kilka pań gotowało, smażyło, pichciło obiady, bo oskarżeni byli od rana do wieczora na sali sądowej i nie otrzymywali jedzenia w więzieniu. Te panie współpracowały ze sobą, ja jestem trudna w kontaktach i niemiła, ale one ze sobą dobrze współpracowały i panowie mieli dobrą opiekę cały czas. Była tam Janina Moczulska – matka Leszka – żołnierz Armii Krajowej, szalenie twarda i mocna kobieta. Ona się nimi opiekowała.

W stanie wojennym Leszek i koledzy z Rady Politycznej zostali postawieni przed sądem wojskowym, został sprowadzony sędzia Marcha ze Szczecina, bo uznano, że dotychczasowy Aleksandrow jest zbyt łagodny, a tu trzeba szybko i już. Wtedy już nie pozwolono na dokarmianie oskarżonych w sądzie.

Wyrok na KPN został wydany w dniu, w którym zostało ogłoszone zdelegalizowanie Solidarności (8 października 1982 r.). Moim zdaniem chodziło o to, żeby milicja, wojsko pojechało do Katowic, Gdańska czy Krakowa, gdzie się spodziewano strajków, a tutaj tej „bandzie” z KPN mieli zamiar zaproponować broń, żeby zrobili grupę i próbowali odbić swoich przywódców. Była taka prowokacja SB... Dwa razy w tym czasie proponowano mi broń: raz po aresztowaniu a drugi raz, jak miał zapaść wyrok.

W stanie wojennym podrzucono mi też przez prowokatora mikrofilmy, które rzekomo zostały przerzucone z zagranicy. Materiały te bez żadnych osłonek sugerowały podjęcie zorganizowanej walki zbrojnej. Ale sobie poradziłam, żeby ich nie znaleźli. Po te materiały, które przyniosła do mnie podstawiona osoba, SB przyszła nazajutrz rano. Ja byłam w pracy i jak wróciłam, to już byłam „pod opieką”, pani funkcjonariusz, która przeprowadziła kontrolę osobistą. Materiały te schowałam poprzedniego dnia wieczorem w mojej sypialni. Poprosiłam więc, że pójde do sypialni i się przebiorę, bo przecież jestem prosto z pracy. Pozwolili. Weszłam, drzwi zamknęłam, włożyłam na siebie podomkę, biustonosz i te trefne slajdy wepchałam pod biustonosz. Wyszłam i pytam – Czy jeszcze chce pani coś sprawdzić? „Nie, nie – to wystarczy” – odpowiedziała pani funkcjonariusz.

– Co było na mikrofilmach?

– Plany zorganizowania akcji zbrojnych. Gorący materiał. Jak się okazało ten materiał w jakiś sposób wypłynął na procesie KPN – przekazał go „jakiś uczciwy znalazca” do ambasady polskiej w Szwecji, no bo tutaj się nie udało. Ale sprawa została już spalona.

– Proszę powiedzieć, czy miała Pani stosowne wsparcie, pomoc od obrońców, adwokatów?

– Tak. Mieliśmy wspaniałych adwokatów – naszą „stajnię” firmował adwokat de Virion – wspaniały prawnik, pierwszy po odzyskaniu niepodległości ambasador polski w Londynie. Był jego przyjaciel Edward Wende, potem był śp. Jerzy Woźniak, który był członkiem KPN – wspaniały chłopak. Piotr Andrzejewski, który został senatorem PiS-u, oddany i odważny człowiek. Leszek Piotrowski z Katowic, Krzysztof Piesiewicz – czołówka palestry, Siła-Nowicki...

Prezes Izby Adwokackiej – Dubois bronił *pro bono*, było 10 adwokatów, naprawdę byli wspaniały. Wiadomo, że byli podsłuchiwani w rozmowach ze swoimi oskarżonymi, starali się przemycić im trochę jedzenia, czy jakieś wiadomości z domu czy spoza domu. Nie brali od nas pieniędzy, tylko zespoły adwokackie brały podstawowe kwoty.

Klawisz, który mnie lubił, przyjmował moje paczki dla Leszka, które ważyły 4,5 kg. Jak już mąż wychodził z więzienia, to mnie zapytał:

– Czy pani wie, pani Moczulska, dlaczego ja zawsze panią tak faworyzowałem?

– Zastanawiałam się? – odpowiedziałam. – Ze względu na wiek ani wpływ mojej przekonywującej urody – chyba nie.

– Bo ja panią znam. Poznałem panią, jak pani prowadziła manifestację 100 tysięcy ludzi 11 listopada w 1980 r. przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Pani szła na czele tej manifestacji w takim białym krótkim futerku z wiązanką białych czerwonych kwiatów i takiej pięknej czapce z takim wielkim tutaj klejnotem. Wyglądała pani, jak królowa. I wie pani co, ja panią potem ochraniałem, bo wiedziałem, że ubecy chcą dać pani łomot. Wtedy panią zapamiętałem i kiedy panią zobaczyłem teraz, to pomyślałem: „O jest ta mała”.

A był to bardzo ostry funkcjonariusz, mówili na niego „Hitlerek”. Ludzie nie są płascy, są wielowymiarowi i nieraz można odkryć takie oblicze człowieka, którego nawet nie podejrzewamy...

– Jak oceniałaby Pani działania żon, matek, siostr aresztowanych i uwięzionych w tym procesie? Czy to było współdziałanie i solidarność, czy raczej działania na własną rękę? Czy były jakieś ustalone działania, których się trzymałyście?

– Brak współdziałania.

– Co by Pani powiedziała dziś tym wszystkim Pani krytykom, utrzymującym, że Pani zbyt mocno ingerowała w sprawę kierownictwa KPN?

– A kto miał to robić, jak nie ja? Dostawałam dyrektywy od męża, Leszek w dalszym ciągu był szefem, nie było zastępców i następców w KPN. Mąż był szefem. Po prostu. Kobieta nie jest, w środowisku tak twardych ludzi jak w Konfederacji, obdarzona takim autorytetem, jaki był potrzebny przy kierowaniu, wydawaniu dyspozycji organizacyjnych. I dlatego później Krzysztof Król, który był bardzo młodym, ale mężczyzną, przekazywał strukturom polecenia Przewodniczącego. Krzysztof przekazywał i działał. A że ktoś krytykował i krytykuje?... Roboty było i jest tyle, że każdy coś może zrobić.

Leszka aresztowano, ja drukuję na cudzych maszynach ulotki o uwolnienie mojego męża i tych, których z nim wzięto. A tu nagle oświadcza mi jeden z tzw. przywódców, czyli kolegów mojego męża mu podległych, że będę sądzona. Mówi mi:

– Staniesz przed sądem partyjnym za to, co robisz, bo zamiast wydawać teksty i ulotki na temat KPN-u, ty drukujesz o więźniach politycznych, odwracasz uwagę od sprawy.

Ja mu odpowiedziałam

– Dla mnie sprawa to jest mój mąż, a chciałabym ten sąd partyjny zobaczyć!.

Do dzisiaj się nie pojawił. Każdy powinien działać, jak tylko potrafi w danym momencie zagrożenia. Mnie nie interesowało, co oni robią. Ponieważ nie robili tego, co ja robiłam, więc nie wchodziliśmy sobie w drogę.

Później żony nie pozwoliły im działać. Powiedziały, że jeszcze jedno aresztowanie i won! Dlatego oni założyli tajną organizację z pensjami! Mój mąż też miał pensję – moją. Ja miałam 3 posady – w Instytucie, w ośrodku przeciwegruźliczym na Czarnochy i wywiady prowadziłam z dziedziny bakteriologii dla pomaturalnej szkoły pielęgniarstwa. Wszystkie moje pieniądze były w KPN, ale dla mnie to było normalne...

I o czym my tu rozmawiamy, o tym, że ja nie tak formułowałam ulotki? No dobrze, też sobie to wyrzucam...

– Chodziło o inne zarzuty, raczej takie, że np. pan Szeremietiew uważał, że zastępowała Pani jego rolę.

– Nie chcę rozmawiać na ten temat. Niech mi to pani daruje. Nie będę wdawała się w szczegóły. Bo jest tych szczegółów za dużo.

– Z perspektywy czasu, czy uważa Pani, że warto było przejść przez te czasy podziemne i walki?

– Oczywiście!

– Czy miała Pani w tamtym czasie poczucie strachu lub beznadziei? Czy raczej przeważały nadzieja i wiara w to, że wysiłki przyniosą kiedyś oczekiwane owoce?

– Beznadziei – nigdy! Byłam związana z Leszkiem, nie mogłabym czuć beznadziei. To jest człowiek, który był i jest wizjonerem politycznym. Potrafił wszystko przewidzieć, ustawić w czasie i przestrzeni. Wspaniały jako historyk, mimo wszystkich jego wad. Wspaniały jako mąż, jako partner, bo dawał mi zawsze poczucie tego, że mam koło siebie człowieka niepowtarzalnego.

Miałam jeden cel, szukając męża. Celem było spotkanie człowieka, który będzie inteligentny, o większej wiedzy niż ja i mój ojciec (mój ojciec był prawnikiem i to na bardzo wysokim poziomie intelektualnym). Chciałam mieć męża, który będzie mnie przewyższał pod tym względem, ale jakoś tak się zawsze okazywało, że ta inteligencja to jest tylko taka jakaś konsumpcyjna. Dopiero Leszek spełnia te wymagania, a ja mam poczucie, że mam jedyny egzemplarz takiego człowieka. To bardzo dużo.

– A czy widzi Pani obecnie, że dziedzictwo KPN rezonuje w kolejnych pokoleniach?

– Młode pokolenie zostało zdeprawowane przez polityków. Ci młodzi ludzie noszący znaki Polski Walczącej, to nie są ludzie źli. Są tylko wypaczeni i nienauczeni tego, czym jest Polska. Byłam zawsze bardzo dumna, że jestem Polką, tak jak jestem dumna, że jestem Warszawianką. Dopiero, jak przekraczam granicę wracając do Polski, to czuję, że jestem cała. Mnie wszędzie za granicą brakuje Polski, Polaków, Warszawy. Ci młodzi ludzie nie zdają sobie sprawy, bo nie mieli szansy na to, żeby zrozumieć, jak wielką rzeczą jest nasza wspólnota narodowa. To nie jest wspólnota Polaków białych, żółtych, zielonych czy niebieskich. Nie! To jest Polska tych wszystkich, którzy utożsamiają się z dobrem tej części świata.

My po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. stworzyliśmy najlepsze rozwiązania demokratyczne w Europie. O takich rozwiązaniach Niemcy, Francuzi, Anglicy mogli tylko marzyć: prawa wyborcze dla kobiet, silna rola związków zawodowych, prawa strajkowe, prawa człowieka itd. To wszystko zostało w pierwszych dwóch latach po odzyskaniu niepodległości zbudowane przez Polaków, którzy wcześniej mogli tylko i wyłącznie marzyć o niepodległości, o własnym państwie. Odzyskaliśmy niepodległość i nagle okazało się, jak pełne są głowy i szuflady pomysłów i rozwiązań.

A dzisiaj co? Nawet nie winię tych głupich szczeniaków... Tylko jest mi przykro. Dla mnie to jest świętokradztwo, jak widzę – wchodzi łysol do supermarketu, ma kurtkę džinsową, nadruk AK, tutaj orzeł. Cały jest wielkim partyzantem. A ja nigdy nie ośmieliłam się założyć opaski akowskiej będąc na tyłu rozmaitych uroczystościach, mimo że moja cała rodzina była w Armii Krajowej...

– Dzisiejsza Polska nie jest Polską Pani marzeń?

– Polska jest Polską. Jest w Polsce ogromna ilość wspaniałych ludzi. Przede wszystkim ideowych, ale nie w sposób fanatyczny.

Nie cierpię fanatyzmu wszelkiego typu – to jest ograniczenie, to nie jest pójście w głąb, to jest zawężenie swoich możliwości, nie tylko swoich, ale naszego kraju.

Czerwiec 2018 r.

Z KSIĘDZEM PRAŁATEM JÓZEFEM MAJEM ROZMAWIA KATARZYNA ŚNIADECKA

– Co ksiądz pamięta z aktywności w tamtych latach by uwolnić z aresztu czterech aresztowanych Konfederatów?

– Współpracowałem w tym czasie blisko z Księdzem Arcybiskupem Bronisławem Dąbrowskim, ówczesnym sekretarzem Konferencji Episkopatu Polski. W ramach tej współpracy byłem jakby łącznikiem, po prostu takim człowiekiem, który dla potrzeb Sekretariatu Episkopatu kontaktował się z różnymi osobami, tak z rządu, jaki i z opozycji. To był ważny wymiar mojego także osobistego zaangażowania w sprawy publiczne. Właśnie w takim charakterze uczestniczyłem w staraniach o uwolnienie „tych czterech”. Miałem z tym немало kłopotów, bowiem Ci moi podopieczni byli po prostu nieposłuszni władzy ludowej. Dali mi na przykład słowo, że jak ja ich wyciągnę z tego więzienia to na ściśle określony czas zaprzestaną publicznej działalności politycznej. Taki bowiem był warunek ich uwolnienia ze strony Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a zaakceptowany przez Księdza Arcybiskupa. Gdzie tam! Nie wytrzymałi, a mnie to wiele kosztowało u Pudysza, który był pułkownikiem w MSW, a do którego chodziłem regularnie z ramienia Sekretariatu Episkopatu, a w tym czasie także i Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i Ich Rodzinom. Niejednokrotnie wypominał mi, że jestem niewiarygodny. Wiedziałem, że mówi to raczej taktycznie, ale nie było przyjemne tego słuchać pod swoim adresem, słów o całkowitym braku wiarygodności.

Formalnie – środowiskowo kontaktowałem się w sprawach KPN-u z panem Romualdem Szeremietiewem. Praktycznie kontakt bezpośredni i roboczy był przez osobę ks. Donata Manterysa, rektora kaplicy przy Królikarni. Pan Szeremietiew przyjaźnił się bowiem z księdzem Donatem Manterysiem, u któ-

rego w Królikarni była skrzynka kontaktowa. W sprawach KPN-u tam właśnie było miejsce naszych ważniejszych spotkań i wymiany informacji. W sprawach krótkich i zwięzłych odwiedzały mnie w mieszkaniu umówione osoby, choć nieraz truchlałem, bo niemało w tych kontaktach było żywiołowości i spontaniczności. Ksiądz Donat był moim dobrym kolegą z czasów seminarium, którego darzyłem zaufaniem, a to w sytuacji konspiracji ma zasadnicze znaczenie. Ponieważ trudno było kontaktować się ze wszystkimi zainteresowanymi KPN-owcami, poza wszystkim niosłoby to groźbę szybkiej i pełnej dekonspiracji, kontakty robocze musiały odbywać się w określonym ładzie. Tak więc ja zawsze miałem kontakt z nimi przez ks. Manterysa, a on zawsze przez pana Szeremietiewa, z którym nota bene serdecznie się przyjaźnili.

Ten wysiłek organizacyjny był pracą autentycznie konspiracyjną, czego obecnie wielu ludzi nie rozumie. Jak to bywa z tajną robotą, był to trudny i czasochłonny wysiłek. Towarzyszyło temu i napięcie nerwowe, i pewien wymiar ryzyka, bo często trudno było przewidzieć bieg wydarzeń i skutki podejmowanych działań oraz niebezpieczeństwa, na jakie można się w tym konkretnym działaniu natknąć. Osobiście uważam, że dzięki osiągniętej precyzji organizacyjnej, mieliśmy z księdzem Donatem to szczęście, że nie mieliśmy żadnej wpadki. Chciałbym podkreślić, że w zasadzie, jeśli idzie o KPN, nie kontaktowałem się ani z panem Leszkiem Moczulskim, ani z panem Tadeuszem Stańskim (choć oni oczywiście wszystko wiedzieli). Z ostrożności konspiracyjnej miałem czasami realny kontakt tylko z panem Szeremietiewem. To, co było ustalone z Szeremietiewem było wiążące tak między nami, jak i dla całej grupy przywódców KPN-u.

– Do kogo należała inicjatywa tych kontaktów?

– Generalnie inicjatywa tych kontaktów była naturalnym wynikiem mojej współpracy z Księdzem Arcybiskupem Dąbrowskim, który używał mnie do kontaktu z grupami opozycyjnymi. Inicjatywa konkretnych spotkań, wynikała najczęściej z potrzeb sytuacyjnych, wychodziła z obu stron w zależności od charakteru spraw. Jednym ze skutków takiej współpracy z Sekretariatem Episkopatu była dość duża rozpoznawalność mojej osoby w różnych środowiskach opozycyjnych. Z powodu ostrożności proceduralnych ks. Arcybiskup Dąbrow-

ski tylko w sytuacji wyraźnej konieczności przyjmował grupy opozycyjne w siedzibie Sekretariatu. Z tych powodów kontakty robocze z opozycją były prowadzone przez współpracujących z Sekretariatem Księży, a ja miałem kontakt głównie ze środowiskami młodzieżowymi, wcześniej przedsolidarnościowymi, a później solidarnościowymi lub około solidarnościowymi na uczelniach. Ale też z robotnikami Ursusa, czy Huty Warszawa oraz z grupami związanymi z Wojciechem Ziemińskim, środowiskiem niepodległościowym i chadeckim. I tak wówczas funkcjonowałem. Chcę jednak podkreślić, że najczęściej kontakty te wynikały z potrzeby interwencji u władz na rzecz poszczególnych środowisk. Tak na przykład na rzecz KPN-u było ponad 20 – jeśli dobrze pamiętam – interwencji ze strony Sekretariatu Episkopatu i kilka ze strony Komitetu Prymasowskiego.

Z MSW miałem kontakt nieustanny – już nie pamiętam nazwisk funkcjonariuszy poza nazwiskiem pułkownika Pudysza, choć rozmówców miałem kilku. Ze struktur Służby Bezpieczeństwa też pamiętam jedynie jednego człowieka, który bezpośrednio się ze mną kontaktował, był moim „opiekunem” i nie wiem czy prawdziwie, czy nieprawdziwie nazywał się Majewski. Pamiętam go dobrze. Pamiętam też dobrze, pułkownika Pudysza. Był to bardzo surowy ale rzeczowy człowiek. Do dziś mi się wydaje, że choć zachowywał wobec mnie daleki dystans, to z jakiegoś powodu chronił mnie i osłaniał. Był mi życzliwy, choć nigdy tego nie okazał, ja to jednak czułem: milczącą akceptację mojej postawy z jego strony. Takie coś odczuwałem, ale czy było to prawdziwie? Nie wiem.

Oczywiście nie brakowało czasami wprost szalonych moich kontaktów osobistych z ludźmi opozycji, a z Szeremietiewem na przykład miałem kontakt także w więzieniu. W formie pisemnej w imieniu wszystkich trzech przyrzekł, że podporządkują się warunkom zwolnienia wynegocjowanym przez ks. Arcybiskupa Dąbrowskiego ze stroną rządową. Nie dotrzymali słowa, za co oczywiście ja odpokutowałem tak od strony Księdza Arcybiskupa i księdza Orszulika, jak i Pudysza. Byłem też skrzynką kontaktową, krótki czas, ale byłem dla tego środowiska w razie koniecznej potrzeby. Stało się to na okoliczność, już nie pamiętam, choroby czy dłuższego wyjazdu ks. Manterysa. Nie wiem nawet z kim miałem wtedy kontakt. Znałem tylko hasło „Królikarnia”. Jak mi powiedzieli hasło to działałem, jak miałem wątpliwości nawet co do formy przekazu – nie

działałem. Pojawiali się różni ludzie, ale nie wiem kto. Jednego rozpoznawałem – to był Krzysztof Król. Rozpoznałem go jednak dopiero wtedy, gdy stał się zięciem Leszka Moczulskiego. Pamiętam, że go polubiłem.

– Na ile ksiądz był wolny w tych kontaktach?

– Byłem wolny ale i posłuszny Kościołowi. Trzymałem się wskazań i instrukcji Księdza Arcybiskupa, które otrzymywałem prawie na każde spotkanie, a generalnie znałem też dyspozycję zasadniczą daną przez Prymasa Polski Sekretariatowi Episkopatu na tą historyczną okoliczność. Sługa Boży Stefan Kardynał Wyszyński umarł w maju 1981 roku. Praktycznie od grudnia 1980 roku nie funkcjonował już w pełni w życiu publicznym. Od połowy lutego 1981 roku był praktycznie ze względu na pogarszający się stan zdrowia z niego wyłączony. Trzeba jednak zdecydowanie podkreślić, że dyspozycje, jakie poczynił przed śmiercią były realizowane. Również dyspozycja dana Arcybiskupowi Dąbrowskiemu w 1979 roku, dwa lata przed śmiercią, była dyspozycją wiernie przez Sekretarza Episkopatu realizowaną.

Dyspozycja była jednoznaczna: „Kościół nie może bezpośrednio angażować się w działalność struktur opozycyjnych polskiej opozycji antykomunistycznej, ale należy działać wobec nich z życzliwą obecnością”. Ośmielę się powiedzieć, że w mojej opinii dyspozycja powyższa była wskazaniem godnym kapłana, męża stanu i patrioty polskiego, jakim bez wątpienia był Kardynał Wyszyński. To właśnie na podstawie tej dyspozycji zacząłem pełniej i pewniej funkcjonować, jako współpracownik Księdza Arcybiskupa Dąbrowskiego. Początkowo, czyli w latach 1974–1975 nie wiedzieliśmy, na czym ta współpraca ma polegać i dopiero z biegiem czasu wypracowaliśmy jej formy. Moją rolą było otwieranie się na środowiska opozycyjne, ale tak, by nie narażać Kościoła na zarzut współdziałania i formalnej współpracy z opozycją. Polska Rzeczpospolita Ludowa była państwem uznanym w całym świecie, respektowane musiały więc być przez Kościół nawet budzące sprzeciw struktury tego państwa. Kościół, jako instytucja musiał się poruszać w ramach praw regulujących stosunki państwo – kościół w układzie międzynarodowym. Z tych, a także z powodów taktycznych przyjętych przez Kościół w Polsce nie mógł zająć stanowiska formalnej współpracy z opozycją, ale życzliwą obecność mógł realizować. Szybko stał się

nawet mediatorem wobec stron ówczesnego konfliktu społecznego w naszej Ojczyźnie.

– Jaka była argumentacja wobec władz PRL?

– Oczywiście, jakich argumentów używali dla realizacji tej zasady w rozmowach z władzami księży: ksiądz Biskup Władysław Miziołek, ksiądz Biskup Jerzy Dąbrowski, ksiądz Alojzy Orszulik, ksiądz Bronisław Dembowski czy ks. Wiesław Niewęgłowski, tego nie wiem. Sam na różne sposoby starałem się używać jednego argumentu: „Nie znam powodów, dla których władza państwowa uczestniczy w tak intensywnym procesie wyobcowywania się z życia Narodu, może jest to zgodne z dyspozycjami międzynarodówki, Kościół jednak, mimo trudnych wyzwań, jakie niesie obecna sytuacja chce być integralną częścią Narodu, nie chce się dać z niego wyobcować”.

Przy realizacji tej generalnej argumentacji, argumenty szczegółowe były bardzo różne, zależne od problemów konkretnych środowisk. Jeśli idzie o młodzież, która była karana np. za udział w demonstracjach, za rozklejanie plakatów, rozrzucanie ulotek itp. szczęśliwie, jeśli była karana grzywnami, wtedy wystarczyło zgromadzić środki, aby spłacić te grzywny. Kiedy powstał „Prymasowski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom” było nam bez porównania łatwiej sprostac temu problemowi, bo na ten cel były przeznaczone pieniądze komitetu. Środki, których gromadzeniem ja już się nie zajmowałem. Zupełnie inny rodzaj kłopotów, jaki mieliśmy ze studentami i uczniami, był wtedy gdy, np. za uczestnictwo w demonstracjach karani byli relegowaniem ze szkół i uczelni. To właśnie na taką okoliczność usłyszałem z ust pułkownika Pudysza „Oni robią co chcą i ksiądz robi co chce”. Przyznałem mu, że zachowania młodzieży mają wymiar nieco anarchizujący, ale też prosiłem o zrozumienie, że jest rzeczą istotną, by surowość w karaniu miała wymiar wychowawczy, a relegowanie ze szkół czy uczelni od razu przypominało młodzieży metody carskie o których głośno mówią. Spontanicznych i bardzo emocjonalnych zachowań młodzieży nie przezwycięży się policyjnymi metodami, raczej drogami dialogu, a tu go brak na każdym kroku. I Kościół, i państwo nie stworzy sobie innego społeczeństwa, musi prowadzić takie, jakie jest.

Jeśli idzie o ludzi pokroju Stańskiego, Moczulskiego, Szeremietiewa to trzeba

było używać argumentów politycznych, niestety wchodzić na tematy par excellence polityczne. Szło też o zachowanie przez Kościół spójnej wewnętrznie taktyki wobec różnych środowisk opozycyjnych. Ale żeby było jasne, myśmy wypracowali w grupie ks. Arcybiskupa Dąbrowskiego taką postawę, taki standard postępowania, że nie pytaliśmy ludzi z opozycji, jakiej są narodowości, jakiego wyznania, jakie mają konotacje środowiskowe. Jacy byli, z takimi utrzymywaliśmy relacje, nie stawiając warunków. To nie była dla nas łatwa sytuacja. Wracając jednak do KPN-u. Na pytanie Pudysza, jaka jest przyczyna ciągłego zainteresowania Kościoła, KPN-em, odpowiedziałem, że intensywność interwencji Sekretariatu Episkopatu jest wprost zależna od intensywności działań danej organizacji, a Konfederacja przejawia bardzo żywą obecność w życiu publicznym. Kiedy naciskał, by Sekretariat okazał brak zainteresowania KPN-em broniłem dotychczasowej strategii Sekretariatu argumentując, że środowiska niepodległościowe mają bardzo żywy odbiór społeczny, że stworzyłyby to kłopot dla Kościoła w opinii publicznej, bo ludzie szybko zauważą taki brak zainteresowania. Zwracałem też uwagę na bardzo istotny wymiar obecności grup niepodległościowych w polskim życiu publicznym, wynikającym stąd, że ludzie szukają alternatywnej formacji patriotycznej, a dla władz państwowych rozwój myśli niepodległościowej może okazać się potrzebny tak w wymiarze własnym, polskim, jak i szerszym, międzynarodowym, bo i w Związku Radzieckim szuka się dróg reinterpretacji pojęcia niepodległości odziedziczonych po Leninie i Stalinie.

Innej zupełnie argumentacji trzeba było użyć w sprawie Ursusa. Ta zaś była trudną sprawą. Ursus zajął stanowisko bardzo zdecydowanie przeciwne Lechowi Wałęsie i stronie rządowej, uważając, że powinna powstać jedna „Solidarność” dla całego kraju, a nie wiele autonomicznych „Solidarności” regionalnych. Wałęsa tego nie chciał, rząd tego nie chciał, ale jednej „Solidarności” chciał Śląsk. Mało kto wie, ile dobrego dla tej sprawy uczynił śląski kapelan „Solidarności”, ksiądz Bernard Czarnecki. Znalazł on zrozumienie u Janusza Krzyżewskiego, który był doradcą „Solidarności” na Śląsku i wypracował formalne stanowiska Regionu Śląskiego na ten temat. Ursus „murem” stanął za tą sprawą i za Śląskiem. To, że jest jedna „Solidarność” było autentycznym zwycięstwem ludzi, a nie władz „Solidarności”. To była trudna sprawa, były ofiary, ludzie tracili życie w jej obronie. Potrzeba licznych i szybkich inter-

wencji w tych okolicznościach świadczy, jak zacięta była walka o jedną „Solidarność” w Polsce i jak bardzo trudna. Powodem trudności dla mojej misji była złożoność tej sprawy. Tak wewnątrz „Solidarności” były bardzo rozbieżne stanowiska, jak też w rządzie i w Kościele. W związku z powyższym ksiądz arcybiskup początkowo nie chciał zajmować stanowiska, zostawił mi swobodę w rozmowie z Pudyszem na ten temat, później poparł ideę jednolitego związku „Solidarności”. Ja zaś w rozmowach (bodaj trzech) z pułkownikiem interwenując w obronie już poszkodowanych ludzi z Ursusa, dążąc usilnie do ustaleń prewencyjnych używałem argumentacji nieopłacalności wywoływania napięcia społecznego w całym kraju jedynie z powodów wewnętrznych „Solidarności”. Podkreślałem, że po reakcjach różnych przedstawicieli władz widać, że w środowisku rządzących nie wypracowano jeszcze decyzji czy lepiej jest mieć do czynienia z jedną „Solidarnością”, czy z nieobliczalnym ruchem zawodowym wielopodmiotowym. Argumentowałem tak przeciw potrzebie wzrostu działań represyjnych wobec ludzi „Ursusa”.

Zupełnie specyficzną była sprawa „Solidarności Rolników Indywidualnych”. Największe „zdrady” w tej organizacji szły od jej władzy centralnej. W związku z tym w rozmowach z władzą państwową człowiek był niepewny niczego, zostawiony tylko własnej intuicji i rozumieniu dziejącego się w Polsce procesu społeczno-politycznego. Przewaga mojego rozmówcy była w takiej sytuacji wyraźnie odczuwalna. To było trudne doświadczenie. Miałem kontakty z rodziną Bartoszcze, to mi dawało pewną orientację, jednak nie na tyle, by uwolnić mnie od dominującego poczucia samotności w rozmowach z Pudyszem na temat rolników. Taka sytuacja wymuszała w sposób oczywisty bardzo zindywidualizowaną argumentację i odnoszenie się do wartości ogólnoludzkich. Szło tu najczęściej o zwolnienie z aresztów, dlatego dominowały w rozmowach argumenty „ad personam”. Muszę przyznać, że miałem tu drobne sukcesy, ale myślę, że to dzięki temu, iż nigdy w rozmowach z Pudyszem nie wchodziłem na grunt „praw człowieka”, bo wiedziałem, że tego nie znosił. Tak więc argumentacja szczegółowa wobec strony rządzącej wynikała nie tyle z imponderabiliów, ile z charakteru konkretnej sprawy, jaka była do załatwienia, okoliczności w jakich funkcjonowali lub znajdowali się ludzie z opozycji oraz charakteru grupy, organizacji, do jakiej należeli.

– Jak na tle tych grup wypada, w ocenie księdza, grupa niepodległościowców?

– Na tle innych grup grupa niepodległościowców była chyba najbardziej zwartą grupą. Mówię to oczywiście w odniesieniu do omawianego okresu. Wiem dobrze, na jakie tematy kłócili się ze sobą, ale na zewnątrz byli razem, co mi się bardzo podobało. Nie słyszałem też, by w sytuacji konfrontacji, aresztowań wzajemnie się przed władzami oskarżali, co było dla mnie ważnym znakiem. Podobało mi się też to, że bliżsi koledzy zatrzymanych którzy zostali na wolności nie dawali mi spokoju, „przypominali”, przynaglali, choć próbowałem im tłumaczyć, że czas rozmowy z władzami na temat ich kolegów zupełnie ode mnie nie zależy, zależy od MSW i Sekretariatu Episkopatu.

Ta ich natarczywość – choć mnie czasami denerwowała – w istocie mi się bardzo podobała. Imponowała mi się też w KPN-ie dbałość o świeżość myśli politycznej, było to de facto świadectwo o pracy intelektualnej na temat tego, co polskie, a to znaczyło też, że ruch ten potrafił wybronić się przez natłokiem spraw bieżących, nie chorował na „bieżączkę”, jak to zjawisko żartobliwie nazywaliśmy w Komitecie. Nie mam naturalnie wystarczającej wiedzy co do oceny informacji, że w 1981 roku w Moskwie brano pod uwagę scenariusz takich zmian w strukturach władzy w Polsce, by ludzie z KPN-u znaleźli się w środowisku władzy. Takie myśli chodziły wśród ludzi. Nie wykluczam, że władze komunistyczne mogły brać w rachubę taką grę polityczną z KPN-em. W 1982 roku, a więc podczas stanu wojennego, rozmawiałem z mocno zdenerwowanym na mnie (w czasie objazdu pielgrzymek) wysokiej rangi urzędnikiem Służby Bezpieczeństwa. Wiele przykrych słów od niego wtedy usłyszałem, ale też i ważną informację: od 1971 roku aż do stanu wojennego nie było jasnej klarownej koncepcji, (czytaj w Moskwie) co zrobić w Polsce. Mogły więc być różne scenariusze, wśród nich i taki, by dopuścić ruchy niepodległościowe do środowiska władzy. Ale to może być tylko moja i nie tylko moja nadinterpretacja. W każdym razie później do władzy dopuszczono środowiska okrągłostołowe, a nie niepodległościowców.

– Jak wyglądały te rozmowy z Ubecją?

– To zależało od osoby rozmówcy i od przedmiotu rozmowy. Jednej zasady

przestrzegałem zawsze. Staralem się, by były to rozmowy oficjalne, nigdy prywatne. Unikałem jak tylko mogłem, rozmów poufnych. Nie było to łatwe, bowiem przez tyle lat takiej posługi oswoilem się jakby z ich obecnością w moim życiu, stała się ona jakby naturalną częścią mojego życia. Trzeba się było pilnować. Nieoczekiwanie pomagała mi w tym trudna strona tych spotkań, nie mówiąc o tym, że każde z osobna wymagało dużego wysiłku intelektualnego i psychicznego. Mówię tu przede wszystkim o spotkaniach z Pudyszem, który był zawsze bardzo rzeczowy i zwięzły. Moje rozmowy z nim na pewno zawsze były poprawne od strony merytorycznej, choć wnioski z opisywanej podobnie sytuacji wyciągaliśmy najczęściej różne. To oraz zaskakujące mnie najczęściej jego pytania było powodem stresu po każdorazowym spotkaniu.

Zupełnie innej natury były rozmowy z Majewskim (nie wiem czy tak się naprawdę nazywał, czy to był jego pseudonim), który był mim „opiekunem” ze strony SB. To on właśnie w rozmowach ciągle wekslował na prywatne, przyjacielskie tony. Myślę, że miałem z nim lżej niż inni księża, bo był przecież doskonale zorientowany co do mojej sytuacji w Sekretariacie Episkopatu i oficjalnej relacji z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, a czego nie omieszkalem raz po raz mimochodem w rozmowie przypominać. Powiedziałem mu też oficjalnie, że na drugi dzień po jego pierwszej rozmowie ze mną poinformowałem o tym księdza Arcybiskupa Dąbrowskiego, który poinstruował mnie o sposobie postępowania w stworzonej przez niego sytuacji i tej instrukcji w kontaktach z nim będę się trzymał.

Zupełnie inna była „przypadkowa rozmowa z „Konradem”, pewno to było jego pseudo. To on właśnie przyłapał studentów przed św. Anną na rozprowadzaniu „bibuły” KPN-owskiej, a ci mu powiedzieli, że otrzymali ją ode mnie. W dwu kolejnych rozmowach oczekiwał ode mnie informacji, o których nie miałem żadnego pojęcia, np. skąd KPN bierze pieniądze na swoją działalność lub którzy biskupi popierają KPN. Innej natury było pytanie, skąd wzięłem „propagandę KPN-owską”. Oczywiście nie mogłem powiedzieć prawdy, że z drukarni, która nam drukowała „Młodzież Katolicką”, mi ją dostarczono, więc skłamałem mówiąc, że to do św. Anny przyniesiono mi oryginał „na moje potrzeby” i tu z niego odbilem na ksero 10 egzemplarzy. Mogłem tak powiedzieć, bo na szczęście zarekwirował tylko resztówkę, 5 czy 6 sztuk, więc tylko

modliłem się gorąco, by nie chciał oglądać tej kserokopiarki, na jakiej odbiłem bibułę, bo oczywiście takowej nie mieliśmy w Rektoracie. Wypytywał mnie, kto zapłacił kosztą powielania, odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nie wziąłem od nikogo ani grosza za tę usługę.

– Jaki był powód, księdza zdaniem, braku poparcia KPN ze strony innych struktur opozycji?

– Do dnia dzisiejszego tego nie wiem. Dlaczego „Solidarność”, środowiska narodowe, także środowiska chadeckie miały spory dystans do KPN naprawdę nie wiem. KPN chodził własnymi drogami. Był bardzo dynamiczny, może bano się dominacji z jego strony w środowiskach opozycyjnych. Dlaczego zaistniały tego typu relacje międzyśrodowiskowe w opozycji tego nie wiem, ale myśmy traktowali w Sekretariacie Episkopatu KPN życzliwie. Miałem kontakt z różnymi środowiskami dla potrzeb Sekretariatu i siłą rzeczy, jak się człowiek spotykał – rozmawiał. Czasami odnosiłem wrażenie, że wobec KPN-u w tych środowiskach istniało poczucie zagrażającej konkurencji. Nie umiem już dzisiaj odpowiedzieć precyzyjnie. Ze strony Sekretariatu Episkopatu nie dzieliliśmy ludzi opozycji, nie uważaliśmy, żeby ktoś nas upoważniał do ocen różnicujących lub wartościujących poszczególne środowiska. Dla nas istotny był konkretny człowiek będący w potrzebie. Wychodziliśmy życzliwie naprzeciw każdej grupie która zwracała się o pomoc, w tym z prawdziwą satysfakcją do KPN-u.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

ROZMOWA Z KS. JERZYM BŁASZCZAKIEM

Portret Papieża na bramie Stoczni był z Domu Księży Pallotynów i Kościoła św. Elżbiety.



– Kiedy Ksiądz znalazł się po raz pierwszy w Gdańsku na posłudze duszpasterkiej?

– W Gdańsku byłem dwukrotnie. Po raz pierwszy znalazłem się tam w 1972 r., dwa lata po Grudniu. Współpracowałem wówczas z ks. Pałygą i ks. Papkałą. Pierwszy z nich za punkt honoru wziął sobie organizowanie spotkań również z ludźmi niewierzącymi, a w ogóle z różnymi środowiskami, niezmiernie barwnymi i twórczymi: z ludźmi teatru, w tym trójmiejskimi aktorami, z harcerzami z kręgów oficjalnie przez władze nie uznawanych, z nauczycielami. Do doświadczeń międzywo-

jennego jeszcze ruchu harcerskiego nawiązywał Zodiak. Tworzyli go dorośli ludzie, skupieni wokół prof. Wiesława Jasińskiego z Politechniki Gdańskiej, dla których dawne harcerskie ideały pozostawały bliskie.

– Czego dotyczyły dyskusje, które toczyliście?

– Działo się to krótko po Soborze Watykańskim II, więc moją rolą pozostawało zaznajomienie wiernych ale również osób nastawionych sceptycznie z dokumentami soborowymi i przede wszystkim duchem tego wielkiego, historycznego dzieła. Spotykaliśmy się raz w miesiącu, po domach prywatnych, w Gdyni, Orunii czy Oliwie. Organizowałem wyjazdy na Dni Skupienia do klasztoru w Żarnowcu, gdzie panowała znakomita i niepowtarzalna atmosfera. Narto-rekolekcje były z kolei autorskim naszym pomysłem, tak nazwaliśmy wyjazdy do Doliny Pięciu Stawów. Do obiadu rzeczywiście jeździło się na nartach. Po obiedzie dyskutowało o najważniejszych sprawach. Studiowaliśmy zarówno Pismo Święte jak dekrety soborowe. Rozmawialiśmy, Msza św. Polowa, Droga Krzyżowa.

– Czy wspomnienia Grudnia 1970 r. były żywe w środowisku, które ksiądz w Gdańsku zastał?

– Pogrzeby jak Panowie wiecie odbywały się nocą, więc wspomnienia o Grudniu pozostawały... szeptane. Paradoks sprawił, że nasz kościół św. Elżbiety był usytuowany niemal przy Komitecie Wojewódzkim PZPR, dosłownie o dwa kroki. Ks. Tadeusz Korbecki wtedy niedawno wyszedł z wojska, bo to był czas, kiedy kleryków władza powoływała do tej służby – więc odrzucał milicyjne petardy i granaty z gazem, ratował poszkodowanych, sam został poważnie poraniony, ponieważ go zbili i skatowali, ślady tego zdarzenia nosił na ciele aż do śmierci. Prawdziwy męczennik. Słusznie Panowie o te wspomnienia pytają. W mojej ocenie tamte wydarzenia i wspomnienia o Grudniu połączyły te 40-50 osób, wśród których wtedy przyszło mi działać, co znakomicie wspominam, w zwartą grupę.

– Nie idealizuje Ksiądz?

– Oczywiście, że nie, w każdej grupie niestety zdarzali się też donosiciele, wkrótce okazało się, że w opracowanym przez SB dokumencie poświęcono mi 20 stron materiałów jako jednemu z księży, uznanych wtedy za najbardziej niebezpiecznych dla ustroju. Jednak na trzy lata przyszło mi wtedy wyjechać z Gdańska, zostałem Mistrzem Pallotyńskiego Nowicjatu w Ząbkowicach, powróciłem w 1978 roku.



– To już była zupełnie inna sytuacja?

– Oczywiście, że wiele się zmieniło. Wróciłem w sierpniu 1978 r. do Gdańska, a w październiku kardynał Karol Wojtyła wybrany został na Stolicę Piotrową. Gazetki wydawane przez KOR krążyły już u dominikanów. Wcześniej już miałem rekolekcje u ks. Jastaka w Gdyni. Starszy ode mnie o kilka lat powierzył mi rekolekcje wielkopostne, a że akurat były wybory do rad narodowych, odpowiednika samorządu w PRL jeśli tak powiedzieć można, bo kandydatów wskazywała władza, powie-

działem o tym, kto raz odda pokłon, że czyni to już na zawsze, jak powiadał Chrystus. Staralem się wtedy o paszport do Rzymu. Nie dostałem go. Zarzut poznałem: mieszam się do polityki. Ubek w trakcie rozmowy o paszporcie ten właśnie zarzut mi postawił.

– Co Ksiądz odpowiedział?

– Wiedziałem, o które kazanie chodzi, wskazałem, że odnosiłem się do tego, co zawiera Ewangelia. I usłyszałem: – Gdyby ksiądz był politykiem i coś nam obiecał. Ale i tak ksiądz tego nie dotrzyma... W ten sposób moja podróż do Rzymu jeszcze w 1974 r. okazała się wyjazdem niedoszłym. Okoliczności odmowy wpłynęły za to na moją definicję polityki.



– Jak to Ksiądz rozumie?

– Esbek trzymał długopis. Świecili lampą w oczy. Wystarczyło wziąć ten długopis z jego ręki, podpisać: kwituję odbiór paszportu. Wtedy mieliby mój podpis. Wiedziałem, że tego nie wolno mi zrobić. Odpowiedziałem w ten sposób: zarzuca mi pan, że się mieszam do polityki, a sam mi pan proponuje, żebym was oszukał. Dlatego na moją ocenę i definicję polityki tamta rozmowa trwale wpłynęła. Chociaż później pojmowałem oczywiście politykę jako troska o dobro wspólne, działalność na rzecz niego, jak ujmuje to społeczna nauka Kościoła w ślad za Arystotelesem.

– Zbliżamy się do Sierpnia 1980 w Księdza opowiadaniu...

– 14 sierpnia 1980 r. wracam z Gdyni. Jadę i widzę chorągiewki na samochodach. A także na bramach zakładów. Kościół Św. Elżbiety ten nasz znajdował się od Stoczni Gdańskiej niedaleko, blisko również dworca kolejowego, a o sąsiedztwie z komitetem wojewódzkim PZPR już wspominałem. Klóciłem się nawet wcześniej z sekretarzem KW Tadeuszem Fiszbachem o dzielący nas plac zastawiony ich samochodami, pomiędzy którymi zmierzający do kościoła wierni musieli się jakoś przeciskać, co nie było łatwe. Po prostu ludzie przejść nie mogli. Ale gdy przyszedł Sierpień, pojawiły się inne, poważniejsze problemy. Słowa Solidarność jeszcze wtedy się nie słyszało, pojawiło się natomiast 21 postulatów strajkowych. Gdy 17 sierpnia przyjechał pociąg, do nas na plebanię zastukało dwóch panów: Tadeusza Mazowieckiego już wcześniej znałem, towarzyszył mu mężczyzna z brodą, był nim Bronisław Geremek. Spytałem, czy nie poczęstowałbym ich herbatą. Oczywiście nie tylko ją dostali, ale coś do jedzenia. Około dwunastej w nocy spytałem, czy nie zaprowadziłbym ich do Stoczni Gdańskiej.

– Jak Ksiądz zareagował?

– Nałożyłem sutannę i ruszyliśmy. Powiedziałem, że może być tak, że myślisz się nie przesłiznie. Zaprowadziłem ich do Stoczni, w szpalerze suk milicyjnych. Nikt nas nie zatrzymywał. Noc wtedy obaj panowie, Mazowiecki i Geremek, spędzili rzeczywiście na styropianie.

– Utrzymaliście kontakt?

– Potem co noc przychodzili Mazowiecki z Geremekiem spać u św. Elżbiety. Blisko dworca, dogodna lokalizacja. Zresztą czuli się tam dobrze. Trochę z nimi rozmawiałem, na ile pozwalało ich zmęczenie i zaabsorbowanie.

– Co mówili, jaki był stan ich świadomości i wiedzy o sytuacji?

– Czekali na przyjazd delegacji z Warszawy z wicepremierem Mieczysławem Jagielskim na czele. Gdański sekretarz Tadeusz Fiszbach sprawiał wrażenie, że chroni stoczniovców. Wtedy byłem nawet przekonany o jego kaszubskim pochodzeniu, potem okazało się, że wywodzi się spod Sokala, należącego do Polski przed wojną, teraz położonego po drugiej stronie granicy, już na

Ukrainie. Nastroje nie były wtedy jednoznaczne, grożono przecież rzezią, jakąś nocą św. Bartłomieja czy długich noży, a wspomnienia Grudnia 1970 r. wciąż pozostawały żywe.

– Z Lechem Wałęsą wtedy Ksiądz się zetknął?

– Wałęsa siedział wówczas w Stocznii. Powtarzał się co wieczór podobny mechanizm, że przychodzili Geremek z Mazowieckim, utyskiwali, że Wałęsa ma jakiś dziwny pomysł i przy nim się upiera, zaś już następnego dnia byli tym jego projektem zachwyceni po prostu, uznawali go za własny, tak to przebiegało. Wiem, że w wielu sprawach im się sprzeciwiał.

– Jak było z portretem Papieża na bramie Stocznii?

– W Gdańsku przy wejściu do pallotyńskiego Domu miałem portret Papieża. Gdy przyszli ze Stocznii i poprosili, nie mogłem im go nie dać. Chyba to Panów nie dziwi. Przyszli, zabrali portret do Stocznii, na bramę. Oczywiście potem już go nie odzyskałem, żartuję trochę, bo to przecież nie najważniejsze.

– Ks. Józef Tischner był wtedy u Papieża, w Castel Gandolfo. Razem oglądali we włoskiej telewizji relacje z Polski. I nagle włoska tv pokazuje portret Jana Pawła II na bramie Stocznii. Papież jakby aż się skulił, zaniemówił, poczuł chwilę wielkiej odpowiedzialności. A ks. Tischner widząc to dodał, że ten portret na bramie może stać się symbolem, który powstrzyma rozwiązanie siłowe.

– Przyczynił się do tego również ks. Henryk Jankowski, odprawił mszę w Stocznii, tam był mój współbrat ks. Jerzy Romanowicz, odbyła się spowiedź.

– To ta okładka anglojęzycznego magazynu „Time” z klęczącymi robotnikami w kombinezonach stoczniowych, portret na bramie też tam jest widoczny.

– Wiele rzeczy zmieniło się błyskawicznie. Na sam koniec sierpnia 1980 r. miałem jechać na koronację obrazu w Hodyszewie na Podlasiu. Tylko jak, skoro w całym Trójmieście paliwo pozostało niedostępne. Pojechałem jednak na stację benzynową.

– Negocjować?

– Pokazano mi dwóch panów w fiacie. Siedzieli z boku. Powiedziałem, o co chodzi. I zaraz benzyna się znalazła, zatankowaliśmy pod korek i do kanistrów. Wkrótce po mnie przyjechała milicja. Ale oni nic nie wskórali. Odjechali z niczym. Rozumiecie Panowie: to jest Polska 1980 roku, na dziewięć lat przed upadkiem komunizmu, a ludzie przyszłej Solidarności rządzą już nawet na stacji benzynowej, decydują, komu paliwa nalać.

– I wtedy podpisano porozumienia.

– Dowiedziałem się o nich w Hodyszewie. Kazanie wygłosiłem tam o solidarności. O tym, co słowo to znaczy. Soli Deo, samemu Bogu, to była dewiza ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Prymas miał ją w herbie. Sam Bóg jest darem dla człowieka, to z niej wynika. I tak pojmuję słowo solidarność, że ja sam mam być darem dla drugiego człowieka. Papież tłumaczył właśnie w Gdańsku słowa św. Pawła: jeden drugiego brzemiona noście.

– A wtedy w Gdańsku w sierpniu...

– ...zardzewiały tory tramwajowe, bo strajkowała komunikacja miejska, na ulicach nie było pijanych bo nie sprzedawano alkoholu, więc torowiska zarastały trawą. Do końca u św. Elżbiety byli panowie Mazowiecki z Geremkiem. Po porozumieniach odprawiłem mszę dziękczynną, w której obaj wzięli udział, był też Andrzej Wielowieyski, Zbigniew Romaszewski. Zaczął się karnawał Solidarności. We wrześniu 1980 r. Klub Inteligencji Katolickiej zorganizował pielgrzymkę do



Rzymu i tym razem już kłopotów z paszportem nie miałem. Dostałem nawet te przydziałowe 10 dolarów na drobne wydatki. A w trakcie pobytu we Włoszech dowiedziałem się o powstaniu związku zawodowego Solidarność.

– W trakcie spotkania w Gdańsku 17 września Lech Wałęsa zdecydował się na powołanie ogólnopolskiego związku, co wcale nie było oczywiste, wielu doradców sarkano?

– Wałęsa miał swój instynkt, słusznie wtedy rozstrzygnął, chociaż jak wiadomo, miał też swoje uwikłania, zapewne później sprawy potoczyłyby się lepiej, gdyby się z nich w odpowiednim czasie wytłumaczył. 17 września w Gdańsku był m.in. Jan Olszewski, a Wałęsa zdecydował się na jeden związek, całkiem słusznie. Z mecenasem Olszewskim zetknąłem się później, w 1984 r. w trakcie posługi w Lublinie, dokąd Olszewski przyjechał, żeby bronić dwóch studentów. Pamiętam jednego z nich, Piotr Szczudłowski nawoływał, żeby zamiast wziąć udział w pochodzie pierwszomajowym iść w tym czasie do kościoła. Wraz z drugim oskarżonym studentem dostali wtedy za to po 4 lata, ale że bronili ich Olszewski i mec. Przeciszewska, to dzięki temu za kratami spędzili krótszy czas, każdy po roku. Szczudłowski to mój parafianin, więc czułem się w obowiązku być na rozprawie. Długo nie chcieli mnie wpuścić. W końcu jednak wszedłem. Wiem, że już w 1992 r. mec. Olszewski spodziewał się innego stanowiska od Wałęsy w sprawie zarzutów z dawnych lat, a ówczesny prezydent wydał wtedy w odstępie kilku godzin dwa bardzo różniące się od siebie oświadczenia.

– Wraca Ksiądz z Rzymu, z tej pielgrzymki KIK. I okazuje się, że karował Solidarność to jednak ciężka praca?

– My Gdańszczanie mieliśmy wtedy poczucie, że w pewnej mierze u nas jest stolica Polski. Pamiętam świetnie strajk tuż przed stanem wojennym. W listopadzie 1981 r. okupację urzędu wojewódzkiego podjęły trzy grypy zawodowe: lekarze, aktorzy i nauczyciele. Władza chciała się z nimi dogadać, ale z każdym z osobna. Poproszono mnie o odprawienie mszy tam na miejscu, na strajku. Poszedłem wraz ze współpracującym ze mną księdzem Stefanem Połóncem. Strajkiem dowodził Bogdan Lis. Doradziłem jego uczestnikom spowiedź. Do mszy wziąłem temat z Ewangelii, jak dziesięć dni i nocy uczniowie trwali na jednomyślniej modlitwie razem z Matką Jezusa, aż wreszcie przyszło zesłanie Ducha Św. Wkrótce, w trzy godziny po tym, jak odprawianie mszy zakończyłem, władza podpisała porozumienie ze wszystkimi protestującymi

grupami łącznie: nauczycielami, aktorami i lekarzami. Było to 10 listopada Święto Matki Bożej Ostrobramskiej.

– Ale zaraz i tak wprowadzono stan wojenny.

– 13 grudnia byliśmy w Kościele Mariackim na mszy świętej i spotkaniu solidarnościowym u ks. Bogdanowicza, tam pojawił się nagle Aleksander Hall z Ruchu Młodej Polski, powiadomił, że ucieka, później długo się ukrywał. Jednak o wprowadzeniu stanu wojennego dowiedziałem się wcześniej, gdy o północy zamilkło radio, nadające mszę dla tych, co na morzu. Nie wszyscy pamiętają, że na mocy porozumień sierpniowych nie tylko w Warszawie u św. Krzyża wprowadzono niedzielą mszę radiową ale też w Gdańsku u św. Elżbiety dwie Msze Święte z soboty na niedzielę i w niedzielę. Pracowaliśmy nad nią u św. Elżbiety. Ale w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. nadajniki zamilkły. Zdążyłem tylko powiedzieć: czarne chmury zgromadziły się nad Polską. I odmówić „Pod Twoją obronę...”.

– Co działo się dalej?

– Za chwilę do nas do św. Elżbiety wpadła cała chmara: Mazowiecki, Gerek, Wielowieyski, Bujak i Janas. Do tej pory Bujak nie oddał wypożyczonych dla niego z teatru wąsów. Tamci poszli, został Zbigniew Bujak jedni potem wpadli inni nie, ale sam Bujak przez pierwszy tydzień dowodził rodzącą się konspiracją ze św. Elżbiety. Krócej był z nami Zbigniew Janas. Za to Zbigniew Bujak mieszkał u św. Elżbiety w pokoiku, przychodził na wspólne posiłki, a pani Maria ucharakteryzowała go. I zaprowadziła Bujaka na dworzec. Pojechał lokomotywą.

– Czy poszedł Ksiądz do Stoczni w tamtym czasie?

– Jak czołgi przyjechały pod stocznię, to znowu założyłem sutannę i poszedłem. Potrzebowałem chwili, żeby się zorientować, kto to jest. Usłyszałem, że czołgści mówią po polsku. Nie po rosyjsku. To byli Polacy. Nam się to wcale nie wydawało z góry oczywiste. Przyszły wtedy pod Stocznnię kobiety z Gdańska. Mówię więc do nich: przynieście tym w czołgach chleb, herbatę i jedzenie. Rzeczywiście tak zrobiły. A w lufy czołgów powkładały im kwiaty. Oni z tymi



kwiatami w lufach czołgowych działek odjechali. Później już pojawiło się ZOMO. Mnóstwo działających co po cywilnemu. Spisywali prawie codziennie, co w kościele mówiłem. Miałem poczucie, że jestem inwigilowany, żadnych złudzeń. Pewne-

go dnia ksiądz Tadeusz Słonka przekazał w ogłoszeniach trzy niezwykle ważne wiadomości równocześnie: że Lech Wałęsa został zwolniony, zmarł Leonid Breżniew a Ojciec Święty przyjedzie do Polski w 1983 roku. Ale droga do tego była długa. 16 grudnia 1981 roku na placu przed św. Elżbietą zastrzelono Antoniego Browarczyka. Miał 20 lat. Na pogrzeb czekał dwa tygodnie. Doskonale pamiętam, jak mówiłem kazanie o tym, że każdy ma prawo do pochówku, przywoływałem dramat Antygony. Gdy odmawialiśmy wtedy „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...” pamiętam... taką chwilę wahania czy zacięcia, ale przecież modlitwę „Ojcze nasz” do końca dopowiedzieliśmy.

– Kiedy zetknął się Ksiądz z Jerzym Popiełuszką?

– Spotkałem go, gdy przyjechał do Gdańska, a zaprosił go ks. Jankowski. Zamówił ks. Jankowski mszę u św. Elżbiety, bo miał proces z politycznymi zarzutami. Pamiętam temat kazania: uderz w pasterza, a rozproszą się owce. Po mszy wierni poszli wraz z ks. Jankowskim do sądu. Pozostało więc sędziom rozprawę odroczyć. To był już 1983 rok. Ks. Jerzy zginął rok później. Bardzo ciężko o tym mówić, ale jego ofiara, męczeństwo i śmierć posłużyły jakoś działaniom Wałęsy, Geremka czy Mazowieckiego, bo to wtedy nastąpiło odrodzenie Solidarności. Śmierć ks. Jerzego Popiełuszki przesądziła o zwycięstwie Solidarności jak śmierć ks. Ignacego Skorupki w Bitwie Warszawskiej roku 1920. A ja mam jeszcze jedno wspomnienie: wtedy, kiedy już zostałem przeniesiony do Lublina, co nastąpiło w 1984 roku, w drodze na pogrzeb ks. Jerzego Popiełuszki zatrzymała mnie milicja, że za szybko jadę. Tłumacząc, że

na pogrzeb się spieszę. I co słyszę od nich? „Zabije się ksiądz i znowu będzie na nas”. W Lublinie jednak głównym moim zadaniem było zbudowanie kościoła. Ubocy przychodzili na plebanię, wiecznie o coś wypytywali, pokazywałem cegły, które trzeba przenieść. Jest takie powiedzenie, że budowniczemu kościoła połowa jego grzechów będzie odpuszczona. Ale tylko połowa. Wreszcie powstał taki kościół, który liczy 20 sal katechetycznych.

– **A komunizm upadł, wojska radzieckie się wycofały...**

– W czerwcu 1989 r. znów się bardzo kibicowało Wałęsie. Pewnie miał wrażenie, że wtedy komunistów przechytrzył. A potem przypomniało mi się takie powiedzenie: jaka jest różnica między cudem a naturalnym zjawiskiem. Rzecz naturalna, to jeśli z nieba zstąpią Aniołowie i przegonią radzieckie wojska. A cud wtedy, kiedy Rosjanie sami wyjdą i wyszli.

*Żyjemy w czasie cudu,
jednego w 1920 roku, drugiego 1980 roku.*

POKAZAŁEM LEGITYMACJĘ PRASOWĄ I TYLE.

ROZMOWA Z JERZYM SURDYKOWSKIM, DZIENNIKARZEM NIEZALEŻNYM

– W Sierpniu 1980 r. pojechał Pan Redaktor do Stoczni Gdańskiej. Z obserwacji i rozmów powstały Pana słynne „Notatki gdańskie”. Ale też był Pan chyba jedynym dziennikarzem, który mógł o sobie powiedzieć, że wcześniej w stoczni pracował?

– Pracowałem rzeczywiście w stoczni w Gdyni, nosiła wtedy imię Komuny Paryskiej, przez niecałe 2 lata. Zatrudniłem się w „Głosie Stoczniowca”. Nie-daleko stamtąd miałem do sali BHP. Schodziłem Stoczną Gdańską wzdłuż i wszerz w latach 1967-69.

– To akurat czas kiedy pracę w stoczni zaczyna młody, przybyły z kujawskiego interioru robotnik. Nazywa się Lech Wałęsa?

– Lech Wałęsa zaczął pracę w stoczni przed Marcem 1968 r.

– Czy ta data miała dla niego znaczenie?

– Akurat w Marcu 1968 r. stocznia była obstawiona przez ZOMO. Robotnicy burzyli się z powodu nabrzmiałych problemów płacowych. Chodziło po prostu o wyzysk. W ten sposób to odczuwali, zresztą słusznie.

– W tamtych wydarzeniach wtedy jeszcze roli Wałęsa nie odegrał?

– To był młody wiejski chłopak, nowy w wielkim mieście. Przyrodni brat Stanisław ściągnął go wtedy do stoczni, do pracy.

– **Czas Lecha Wałęsy nadszedł w roku 1970.**

– Objawił po raz pierwszy swoje przywódcze zdolności. Widział, że strzelają do ludzi na ulicach i jak ich biją. Zaraz Panowie powiecie, że podpisał wtedy współpracę.

– **Bo podpisał...**

– Widzę to w ten sposób, że esbecy podeszli młodego, naiwnego chłopaka. Wtedy w jego środowisku nie było jednoznacznych reguł ani zasad, jak się zachować, mogło korcić rozumowanie typu: podpisz, to wypuszczą. Wałęsa nie wiedział, czy wyjdzie.

– W filmie Andrzeja Wajdy według scenariusza Janusza Głowackiego jest ta scena, jak Wałęsa odwiedza żonę w szpitalu, mówi: podpisałem to wypuścili. A ona, chociaż jeszcze słaba bardzo, krzyczy: Rany Boskie, coś ty podpisał?

– Potrafił porzucić te uwikłania, to nie ulega wątpliwości.

– **W 1976 r. już był od nich wolny?**

– Wszystko na to wskazuje, że tak. Już w ten sposób traktowała go zresztą ta druga strona. Gdyby Wałęsa później potrafił przyznać się, powiedzieć: wszyscy byliśmy uwikłani. Ja potrafiłem to odrzucić. Wy też. I razem założyliśmy Solidarność.

– **Nawet w 1992 r. zaznaczyła się ta różnica, 4 czerwca pierwsze jego oświadczenie zasadniczo różniło się od drugiego?**

– Wtedy był już prezydentem, prowadził wielką politykę, ale rzeczywiście obie deklaracje bardzo się różnią. W pierwszej Lech Wałęsa mówi o złożeniu podpisu, w drugiej już tylko o niesprawiedliwych atakach na siebie. Warto przypomnieć, co deklarował parę lat wcześniej i jeszcze w czasach, kiedy komuniści rządili. Nawet w „Drodze nadziei”, swojej autobiografii, która wyszła pod koniec lat 80 Wałęsa o tym wspomina.

– To było wielkie przypomnienie postaci Wałęsy dla Zachodu, w parę lat po Pokojowym Noblu. Przyleciałem wtedy na Orly pod Paryżem i od razu skierowałem się do kiosku z książkami. Poprosiłem o książkę Wałęsy, po polsku nazwisko wymawiając, bo jak inaczej... Sprzedawca, pewnie student jak ja, co w wakacje tam sobie dorabiał, ręce rozłożył, że nie rozumie. Wtedy ja mówię: „Un chemin d’espoir”, czyli „Droga nadziei”. A on „Ah, Wałęsa” – z akcentem na ostatniej sylabie, bo wtedy to już bestseller był, nawet pierwsze miejsce na listach francuskich mediów...

– Rzeczywiście książka cieszyła się powodzeniem w świecie. Nad „Drogą nadziei” w wyjściowej polskiej wersji pracowali Adam Kinaszewski i Andrzej Drzycimski. W Krakowie poznałem ich pierwotną wersję, przygotowaną dla wydawnictwa „Libertas”, które miało ją opublikować. Wałęsa nadmienia tam, że coś podpisał.

– Ale tak się nie ukazało?

– Bo przyjechał do Krakowa Bronisław Geremek i ocenzurował. Wtedy zniknął ten istotny fragment. Wiedziano, że to stąpanie po cienkim lodzie. Wiadomo, że nie przywiązywałem wtedy do tej kwestii takiej wagi jak dziś, z perspektywy wielu lat. Wyciekło jednak to, że zmiany dokonano. W końcu autobiografię wydał „Znak”, bez tego fragmentu.

– Pierwsze wydanie drugoobiegowe zrobił jednak Rytm, gdzie działał agent SB Marian Kotarski.

– Nie znam wszystkich szczegółów, natomiast pamiętam honorarium, jakie za swój trud zainkasowali Kinaszewski z Drzycimskim, jak spisali autobiografię Wałęsy. Każdy z nich dostał po 1500 dolarów. I to wtedy były wielkie pieniądze.

– Wałęsa zaczynał w stoczni kiedy Pan tam pracował, zna Pan ówczesne klimaty, jak Pan widzi jego początki?

– Lech Wałęsa został w 1970 r. wybrany do komitetu strajkowego, musiał więc cieszyć się mirom wśród kolegów. A skoro długo tam nie pracował, to znaczy, że szybko na to sobie zasłużył. Zdarzają się historie takich samorodnych

przywódców. Musiał być uznany za człowieka, który się nie boi. Pamiętamy przecież, w jakich warunkach i sytuacji powoływano komitet strajkowy. Gdy nastał Edward Gierek, kiedy do stoczniovców przyjechał, Wałęsa krzyczał do niego wraz z innymi: Pomożemy.

– **Bo poprzedni sekretarze dyktowali robotnikom odpowiedzi, a Gierek zapytał: Pomożecie?**

– To zawrócenie w głowie, ale Wałęsa był młodym chłopakiem, a starsi wyjadacze też dali się nabrać. Wałęsa uważał, że może będzie lepiej.

– **To także ten okres, kiedy ma kontakty ze służbami.**

– Z własnego doświadczenia wiem, jakich forteli, żeby człowieka podejść one używały. W latach 1971–71 zwiedzieli się, że moja żona bardzo chce, abyśmy wyjechali za granicę. Miałem propozycję z Polskiej Agencji Prasowej, do Pragi. Nie Zachód, ale zawsze jednak coś ciekawego. Kolega miał mnie jeszcze podrzucić, bo trzeba coś załatwić, żeby się udało. W samochodzie powiedział mi, że raptem o jeden podpis chodzi, a wieść chciał mnie na Rakowiecką. Wysiadłem z jego samochodu na światłach na rogu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej. Do tej Pragi w końcu nie pojechałem, żona żałowała.

– **Za to pojechał Pan do Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 r. podczas strajku?**

– Wszedłem bez żadnych problemów przez bramę. Pokazałem legitymację prasową i tyle. Pierwszym znajomym, którego napotkałem na terenie stoczni, był Lech Bądkowski. „Dobrze, że jesteś” – powiedział, jak mnie tylko zobaczył. „Będziesz pisał dla nas”. W Biuletynie Solidarności. Można nawet uznać, że drugi raz w życiu Lech Bądkowski zachęcił mnie do pisania...

– **A pierwszy raz kiedy to było?**

– W latach 60 późniejszy członek Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego Wybrzeża wywarł wpływ na moje życie. Przeczytał moje debiutanckie opowiadania. Powiedział mi: musisz pisać. Posłuchałem.

– **Biuletyn strajkowy stoczni przygotowywał Konrad Bieliński?**

– Tak, ale Bądkowski wywierał ogromny wpływ na to, co się tam ukazuje, na całą ówczesną atmosferę. Zresztą ta zmieniała się bardzo szybko, również z bardzo odmiennej perspektywy krakowskiej. Także w środowiskach partyjnych. W tamtym czasie byłem wraz z kolegą autorem skierowanego do władz partyjnych memoriału, napisanego językiem podobnym, jakim się wtedy posługiwała opozycja. Przestrzegał przed wizją nadciągającego kryzysu. Gdy z Gdańska pojechałem do Krakowa, wszyscy mnie obścapi, wypytawali, co w stoczni, bez różnicy, partyjni czy nie... Wtedy Podstawowa Organizacja Partyjna przy krakowskim oddziale Związku Literatów, zrzeszająca m.in. Władysława Machejka i Tadeusza Hołuję jeszcze przed podpisaniem porozumień gdańskich uchwaliła rezolucję popierającą strajkujących i ich postulaty. To psuje trochę pewien jednoznaczny całkiem czarno-biały obraz, gdzie z jednej strony mamy Kościół i Solidarność a z drugiej PZPR, wojsko i milicję.

– **Zaraz zaczął się przecież ruch odnowy w samej PZPR, milion jej członków zapisało się do Solidarności równocześnie, działały struktury poziome, koordynował je Zbigniew Iwanów z organizacji partyjnej toruńskiego Towioru, który potem w stanie wojennym wyjechał za granicę...**

– Całe to partyjne środowisko odnowicielskie w latach 1980-81 było już słabe, bo partia została wcześniej wyczyszczona z ludzi światłych, mądrych i odważnych. Ośrodkami odnowy pozostawały krakowski klub Kuźnica i Toruń. Przed IX zjazdem, wiadomo, że z tego właśnie powodu odwlekany – spacyfikowano struktury poziome w PZPR. Pamiętam jak wróciłem z Warszawy. Napisałem tekst do „Życia Literackiego”. Sam jego naczelny Machejek mówił: dobrze im przywaliłeś. Ale musimy to do Warszawy posłać...

– **Z jakim efektem?**

– Jak przyszło, to w jednej trzeciej skreślone. W dodatku do środka artykułu cenzor powpisywał fragmenty, pełne obywatelskiej troski. Nie zgadzałem się na publikację w takiej postaci. Pojechałem z tym do „Gazety Krakowskiej”, to wtedy była najbardziej odnowicielska z przechodzących przez cenzurę gazet. Wybrali mnie do władz SDP.

– To był czas Stefana Bratkowskiego w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich.

– Bratkowski był wtedy prezesem, wiceprezesem Maciek Szumowski od nas z Krakowa.

– Jednak nie tylko za jego sprawą Kraków wtedy zaznacza mocno swoją obecność?

– Gdy w Krakowie zaczął się organizować Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, kręciło się przy nim paru dziennikarzy. Wtedy dostałem propozycję od Mietka Gila, chociaż przewodniczącym był wtedy jeszcze Andrzej Zawada...

– ...dość efemeryczna postać, krótko kierował Regionem Małopolska NSZZ „S”.

– W każdym razie kiedy jeszcze przewodniczył nominalnie Zawada, to nie on, tylko Gil zaproponował mi, żeby wydawać niecenzurowany biuletyn. W redakcji byłem ja a także Maciej Kozłowski. Nazwaliśmy pismo: „Wiadomości Krakowskie”. Z nami był jeszcze Leszek Maleszka, który nagminnie blokował informacje i przeszkadzał, wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, dlaczego tak postępuje. Wreszcie jednak daliśmy spokój sobie nawzajem. Został sam i wydawał „Gońca Małopolskiego”.

– Czy spodziewał się Pan stanu wojennego?

– Oczywiście, że tak, zwykle ludzie to przeczuwali, pytali co najwyżej o termin. Kilka dni przed 13 grudnia 1981 r. byłem w Warszawie w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. Przyszła wtedy do mnie koleżanka, po radę. Mąż w Kanadzie, ona ma jechać do niego, więc co powinna zrobić. Przecież szykuje się rozwiązanie siłowe. Jechać od razu czy za jakiś czas? Przyznam, że fatalnie jej wtedy doradziłem. Uznałem, że użycie siły nastąpi ale po ciężkiej zimie, gdy ludzie będą tak zmęczeni trudnościami życia codziennego, niedoborami, że szybciej je zaakceptują. Efekt wiadomy: gdy wprowadzono stan wojenny, ona znajdowała się w kraju, a on w Kanadzie. Żle na tym wyszli, w końcu ten jej mąż został tam włóczęgą.

– Czy rozmawiał Pan przed 13 grudnia o sytuacji w partii, z kolegami stamtąd?

– Rozmawiałem z Hieronimem Kubiakiem, który wprost mi wtedy powiedział: będzie rozwiązanie siłowe. Mnie z partii zaczęli wyrzucać przed stanem wojennym, chociaż formalnie dokonczyli zaraz po jego wprowadzeniu, za całokształt, nie za jedną konkretną sprawę. W stanie wojennym sugerowali mi, żebym napisał odwołanie do komisji kontroli partyjnej. A ja wtedy pisałem, ale do drugiego obiegu. Przy czym „Notatki gdańskie” złożyłem w Wydawnictwie Literackim na dwa tygodnie przed stanem wojennym. Później już po jego wprowadzeniu spotkałem dyrektora wydawnictwa, ale tylko ręce rozłożył. Maszynopis „Notatek gdańskich” dałem Andrzejowi Paczkowskiemu w stanie wojennym, on go przekazał Ukraincowi Labie, który później został profesorem w Berkeley, ale wtedy mu się jeszcze o tym nie śniło. U tego Laby SB zrobiła wówczas rewizję, ale Laba zdążył oddać maszynopis Paczkowskiemu, zanim go zwinęli. W głębokich latach 60 Paczkowski przezywany wtedy owieczką był moim instruktorem wysokogórskich wspinaczek. Spadłem ze Starego Zawratu, a ściślej osunąłem się, bo inaczej byśmy nie rozmawiali, mogę więc powiedzieć, że zawdzięczam mu, że od tego czasu lekko utykam. Dalszy los „Notatek gdańskich” był taki, że spotkałem się przy kawie z Krzysztofem Bobińskim, wtedy pracującym dla mediów zagranicznych. Dostarczył „Notatki gdańskie” Smolarowi.

– A jak Pan przeżył pierwsze dni stanu wojennego?

– Dwa dni przed wprowadzeniem stanu wojennego przez władze złamałem obojczyk, przed Kościołem Mariackim, bardzo było wtedy ślisko, a bliscy powtarzali później, że to ręka boska. W ten sposób uległem autointernowaniu, jeśli można tak powiedzieć... Zresztą w Warszawie wtedy mówiono: u was w Krakowie to stanik wojenny... Rzeczywiście internowań było niewiele, jeśli porównać z innymi miastami. Współpraca moja z drugim obiegiem zaczęła się od Andrzeja Sabatowskiego. Znałem go z „Życia Literackiego”. Został stamtąd wyrzucony. Zaproponował mi pisanie do „Tymczasem”, na razie pod pseudonimem. Potem już w Warszawie miałem kontakt z „Vacatem” przez Wojciecha Giełżyńskiego. U nas zaś pisywałem do „Biuletynu Małopolskiego”. Dzwonił

do mnie jego redaktor, który po zmianie ustroju został szefem delegatury NIK w Krakowie i przedstawiał się: mówi Jan. To był dla mnie sygnał, że trzeba coś napisać. Prosta ta konspiracja.

– **Jak wyglądała kwestia represji?**

– Jak mnie wsadzili z ulicy, zabierali na przesłuchanie, w Warszawie czy Krakowie wszystko jedno, sprawa była prosta: odmawiam zeznań. Zawsze się tego trzymałem. Marek Nowakowski za publikowanie pod nazwiskiem w drugim obiegu i za granicą miał sankcję, mnie też straszyl.

– **Co Pan po latach o sobie przeczytał w Instytucie Pamięci Narodowej?**

– Zaświadczenie, że jestem pokrzywdzony, dostałem bez trudu. Wiem, że inni przeżyli szok. Ryszard Terlecki, który teraz jest zarówno wicemarszałkiem Sejmu jak przewodniczącym Klubu Parlamentarnego PiS znalazł obszerne dane własnego ojca – Olgierda Terleckiego z „Życia Literackiego”. Ponieważ wszystko to ogłosił publicznie, Maria de Hernandez-Paluch porównała go, również publicznie, do Pawlika Morozowa.

– **...bo to był patron radzieckich pionierów, który w czasie kolektywizacji doniósł na własnego ojca jako wroga ludu.**

– Dokładnie takiego porównania użyła. Ryszarda Terleckiego doskonale znałem z lat 80, razem u ks. Jancarza pracowaliśmy tworząc Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy, podziemną uczelnię Solidarności. Prowadziłem wykłady z ekonomii i doktryn politycznych, Terlecki z historii.

– **Spytamy więc o środowisko „Arki”, bo stamtąd do niego blisko?**

– W „Arce” opublikowałem jeden tekst o procesie toruńskim w 1985 r. Kontakt miałem przez Tadeusza Nyczka. Nie przepadałem za to za Janem Polkowskim, bo pozostawał bardzo dogmatyczny. Za to jeśli mowa o Nowej Hucie, to właśnie w IPN stwierdziłem, że były tam dwie teczki, po których zostały tylko sygnatury. Formalnie je zniszczono. Dotyczyły rozpracowania pisma „Hutnik”. Tak się składa, że byłem jego filarem. Mieliśmy drugi nakład po „Tygodniku Mazowsze”. Prowadził to Marchewczyk, prosty chłopak, który lubił wódkę i baby,

ale ubecy mimo to zupełnie daremnie kombinowali, jak go podejść. Kiedyś z Marią de Hernandez-Paluch poszedłem do niej do domu. A tu z sąsiedniego pokoju wychodzi facet w slipach. I od razu do niej: – Po co tego komucha przyprowadziłaś? W ten sposób się poznaliśmy z Marchewczykiem, ale dobrze go wspominam. Ukrywał się u niej. Współpracowałem z „Hutnikiem” od 1983 r. wyjąwszy 1985 r. i 1988 kiedy wyjeżdżałem za granicę. Na koniec napisałem w ostatnim numerze: „Przekujmy powielacze na lemiesz”. Był już rok 1989. Przed wyborami Szumowski prowadził dział informacji a ja byłem naczelnym pisma Solidarności. Wydaliśmy cztery numery, tytuł brzmiał po prostu „Głos Wyborczy Solidarności”. Raz do nas wtedy nawet Adam Michnik przyjechał, a zachowywał się jak papież.

– **Ale dużo wcześniej rola Krakowa w opozycji wzrosła, już nie wypominano Wam, że tam był co najwyżej stanik wojenny?**

– Pod koniec poprzedniego ustroju Kraków stał się trudnym dla władzy terenem. Odkomenderowano tam nawet gen. Grubę, wcześniej komendanta wojewódzkiego w Katowicach w czasie, gdy zdobywano Kopalnię Wujek. Po to, żeby zrobić porządek. W kotle w drukarni w 1987 r. w 1987 r. wpadł Marchewczyk. Wtedy Gruba osobiście się tam pofatygował. I do Marchewczyka: – A kuku. Napisałem wtedy w „Hutniku”: „A kuku, gen. Gruba, my jesteśmy”, bo już chwalił się sukcesami, ile nielegalnych pism zlikwidował. Nakład rozrzucałmy również pod siedzibą SB i MO na Mogilskiej. Miałem później wielką satysfakcję. Gruba chodził na mecze piłkarzy Wisły Kraków, to był klub milicyjny. Przyszedł kiedyś na kolejny mecz Wisły, zasiadł w sektorze dla bonzów, a tu całe trybuny skandują: – A kuku. Oczywiście rola Krakowa w wydarzeniach 1988 roku okazała się nie do porównania z tą z pierwszych tygodni stanu wojennego. Mogliśmy mieć powód do dumy.

– **A „Tygodnik Powszechny”, jak jego rolę Pan ocenia?**

– W stanie wojennym stał się azylem dla wyrzuconych dziennikarzy. Spotykałem się tam zawsze z serdecznością starej gwardii, którą tworzyli Jerzy Turowicz, Maciej Kozłowski, Józefa Hennełowa i Mieczysław Pszon, wielka postać. „Tygodnik..” miał taką politykę, że wyrzuconych byłych partyjnych hołubił,

ale... nie przyjmował do zespołu. Wszyscy wiedzieli, że miało to utrudniać pracę bezpiece, żeby jej nie było łatwo wsadzić do nich agenta. Poprzymywali za to młodych, związanych z prasą podziemną, dla których często jej redagowanie stanowiło główne zajęcie, ale oficjalnie też gdzieś pracować musieli. Oczywiście potem ci młodzi postanowili kopnąć starych i pojawił się problem. W ogóle po zmianie ustroju ciężko przyszło pewnej legendzie sprostać. Poparcie Tadeusza Mazowieckiego przeciwko Lechowi Wałęsie najpierw w „wojnie na górze” następnie zaś w wyborach prezydenckich jesienią 1990 r. nie było decyzją rozsądną. Naród Wałęsy pragnął, kochał go miłością czystą. Ale nie z tych względów doszło do mojego rozstania z ich środowiskiem. Przestałem być w „Tygodniku Powszechnym”, kiedy w Nowym Jorku w polonijnym wydawnictwie opublikowałem książkę „Duch Rzeczypospolitej” o polskiej tradycji demokratycznej. Znakomity historyk prof. Wandycz napisał jej recenzję. Odpowiedź z „Tygodnika...” brzmiała jednak: bzdetów nie recenzujemy. To wtedy przestałem tam być.

– Kraków kojarzy się z „Tygodnikiem” ale i Janem Rokitą. Miał być premierem z Krakowa...

– Mądry człowiek, ale ego nie mieściło się w pokoju. Miałem z nim kontakt, gdy zostałem konsulem w Nowym Jorku, a on był szefem Urzędu rady Ministrów. Wtedy mówiono: w urmie jak w tiurmie, bo Rokita miał zwyczaj przesiadywania w gabinecie do późna w nocy a inni musieli wraz z nim...

– Jak Pan wspomina niedawno zmarłego Andrzeja Walickiego?

– Doceniam głębię jego myśli ale wiele jego poglądów nawet wyrażanych w ostatnich wywiadach domaga się polemiki. Twierdził przecież, że po co Polacy tak przez lata rozrabiali, skoro Jaruzelski doprowadziłby i tak do wolnej Polski. Nie sposób było się z tym zgodzić. Zresztą Jaruzelskiemu nie przypisuję formatu męża stanu, bo trudno o to.

– Dlaczego?

– Józef Piłsudski poszedł do Magdeburga. Do twierdzy jako więzień, chociaż stawiał wcześniej na państwa centralne. Doświadczenie uwięzienia zatarło ten efekt. Jaruzelski tego nie potrafił...

– **Żeby dać się zamknąć w dobrej sprawie, tak?**

– Nie tylko o to chodzi, raczej o pewne horyzonty działania. Pamiętam z kolei jak Jarosław Kaczyński bardzo się bał w latach 70, że jego brata Lecha zamkną, co akurat nie miało miejsca. Bratowa Danusia pracowała na WSP w Sopocie jako asystentka. Zajmowała się prawem pracy, adiunktem w tamtej katedrze był Lech. Przychodził do nich do domu, brat obiad gotował, bo oni razem pisali prace naukowe. Kiedyś gdy do nich przyjechałem, Danusia rzuciła pomysł: idziemy na bal prokuratury. Jak się okazało, do kasyna milicyjnego. Wiadomo, co na to odpowiedziałem: przecież to bal tajniaków. A ona na to: nic się nie bój, Lechu będzie...

– **Czyli Lech Kaczyński miał już wtedy pewien mir? Żeby zostać w tym wypadku przyzwoitką wystarczający?**

– Wszyscy wiedzieli, że Lech doradza Wolnym Związkom Zawodowym Wybrzeża. Przez to nie awansował. Gdyby go Jarosław nie namówił na kandydowanie na prezydenta, na początek w Warszawie, byłby dziś szanowanym naukowcem. Dodajmy, że o lekko socjalistycznych przekonaniach.

– **W czasach antykomunistycznej opozycji Jan Olszewski również o sobie mówił: jestem socjalistą.**

– PPS-iaków poznałem z najlepszej strony, to był Feliks Gross z Nowego Jorku, Filipowicz.

– **Adam Ciołkosz przekazywał pieniądze emigracyjnej PPS na opozycję demokratyczną.**

– Co więcej, pierwsze pieniądze na wykup uwięzionych w 1976 r, na zapłatę grzywn, pochodziły od PPS. Jan Józef Lipski chodził wtedy z chlebakiem. Wątek PPS pojawił się w moim życiorysie w latach 80 w okolicznościach można powiedzieć dość banalnych. W doborowym gronie opozycyjnych dziennikarzy umówiliśmy się, żeby napić się wódki. Wyładowaliśmy u Pikulickiego. Jak się okazało, tam był kocioł. Ubecy stali w drzwiach. Wpadł wtedy również Mietek Gil. Jeden Maciek Szumowski zorientował się i nie wszedł. Ubecja zaś jak się okazało, miała pomysł, żeśmy się zebrali po to, żeby utworzyć PPS.

– **Wkrótce Polska Partia Socjalistyczna w kraju rzeczywiście powstała?**

– Utworzono ją na spotkaniu, które odbyło się w ogródkach działkowych. Rekomendowano mnie do rady PPS. Później niestety Piotr Ikonowicz zaczął zarzucać Janowi Józefowi Lipskiemu, że jest agentem. Zaczęły się gorsze klimaty.

– **Przez jakiś czas były nawet trzy PPS-y: PPS Lipskiego, PPS-Rewolucja Demokratyczna Ikonowicza oraz PPS-TKK Grzegorza Ilki?**

– Rzeczywiście utknęło to wszystko w licznych rozłamach, w których trudno było się już zorientować i rozmyśle...

– **A KPN jak pan wspomina?**

– Starych KPN-owców bardzo cenię, szanuję ich geopolityczną wizję i wagę, to nie była banalna myśl polityczna, wszystko co pisał Leszek Moczulski. KPN w Krakowie był silny, Moczulski stąd kandydował. Jednak wtedy właśnie pojawił się problem, bo KPN nawet posłów zaczął brać z ulicy. Lubię Krzysztofa Króla, ale on z kolei z czasem uwierzył w drugi komitet obywatelski przy Lechu Wałęsie, już w nowych czasach, a ja tej wiary nie podzielałam.

– **Bo to nie czasy „my, naród”?**

– W najlepszym dla Wałęsie czasie jego przemówienie w Kongresie tłumaczył Jacek Kalabiński. Poznałem go, gdy pojechałem za własne pieniądze w podróż dookoła świata. Mieszkalem wtedy przez dwa tygodnie u Kalabińskich na Brooklynie. Niestety, gdy Jacek Kalabiński ciężko zachorował, „Gazeta Wyborcza” nieładnie się z nim obeszła, a był jej wieloletnim korespondentem.

– **Pan w nowej Polsce ma za sobą doświadczenie dyplomatyczne. Czy oprócz reprezentowania kraju rozwiązywał Pan kwestie trudne?**

– Akurat zaczęła się sprawa Demianjuka. Pojawiło się w druku to nieszczęsne „polish concentration camp”, fatalne określenie. Siedziałem w konsulacie polskim i pracowałem nad listem do „New York Timesa”. I nagle przychodzi Roman Kent, polski Żyd, szef zgromadzenia osób, ocalałych z Holocaustu. Dowiedział się ode mnie, co robię, i od razu rzucił: idziemy do Abe’a Faxman-

na. On wtedy był szefem Anti-Defamation League. Napisał list, że wprawdzie w Polsce istniał antysemityzm, ale obozy nie były polskie, tylko niemieckie, nazistowskie.

– Jaki był skutek?

– Przez parę lat wspomniane określenie w ogóle nie pojawiało się w druku. Nie używano nazwy polskie obozy koncentracyjne. Jednym listem to osiągnął. Po paru latach przyjechał do Stanów Aleksander Kwaśniewski jako prezydent. Spotkaliśmy się wtedy z Abe Faxmannem w hotelu. Powiedział wtedy: – Panie prezydencie, Polska i Liga Antydefamacyjna to dwie najwspanialsze sprawy na świecie. Wcześniej jeszcze miałem w USA pasjonujące spotkania. W 1985 r. siedzieliśmy z Maciejem Iłowieckim w Głosie Ameryki. Aż tu nagle wchodzi Henryk Grynberg. I mówi: – Mój ojciec był pachciarzem u dziedzica Iłowieckiego.... Ta dusza polskiego Żyda... To były niepowtarzalne spotkania. Przed odlotem z Okęcia ubek wezwał mnie na rozmowę, odczytał mi listę wszystkich pseudonimów, którymi podpisywałem artykuły w drugim obiegu. Nic nie wskórał, bo powiedziałem, że niczego nie podpiszę. W końcu rzucił mi paszport. Po latach wyjechałem na placówkę i gdy Tadeusz Mazowiecki jako premier przebywał w Nowym Jorku sam go wiozłem samochodem, więc musiałem spełnić wymogi Secret Service, o co niełatwo, bo kierowcą zawodowym nigdy nie byłem.

– Przez tyle lat towarzyszył Pan swoim piórem Solidarności i szerzej opozycji antyustrojowej. Warto było, jak z perspektywy lat Pan to ocenia?

– Moja Solidarność to nie obecny związek zawodowy wspierający PiS. Dla mnie to lata 1980-81. Anna Walentynowicz w trakcie zbiórki w Stoczni Gdańskiej pierwsza wpłaciła ofiarę. Wcześniej była przodowniczką pracy, kandydatką do PZPR, zrozumiała jednak, że inni chcą ją wykorzystać, wyzwoliła się z tych uwikłań. Dla mnie solidarność to jedno z najważniejszych pojęć filozoficznych. Inna nazwa chrześcijańskiej miłości – to solidarność wobec innego człowieka. Dziękujemy więc Bogu, żeśmy wtedy potrafili być solidarni przez 16 miesięcy. To i tak długo.

DR ANDRZEJ ANUSZ
ŁUKASZ PERZYNA

ROZMOWA Z ANTONIM PIEKAŁKIEWICZEM,
BYŁYM DZIAŁACZEM KONFEDERACJI POLSKI
NIEPODLEGŁEJ, ORGANIZATOREM MARSZÓW
SZLAKIEM PIERWSZEJ KADROWEJ



– Pana rodzina ma niezwykle tradycje patriotyczne. Zacznijmy więc od pokrewieństwa z Janem Piekałkiewiczem, Delegatem Rządu na Kraj, zamordowanym przez Niemców?

– Mój dziadek Florian z Janem Piekałkiewiczem byli braćmi stryjecznymi. Tradycja w rodzinie zawsze przeplatała się ze współczesnymi zaangażowaniami. Już jako małe dziecko poznałem i przez całe życie żywo odczuwałem historię Jana Piekałkiewicza. Opowiadała mi o nim często jedna z moich ciotek, mieszkająca na Saskiej Kępie. To u niej w trakcie jednego ze spotkań, na które mnie zabrano, poznałem Leszka Moczulskiego, kiedy jeszcze byłem dzieckiem, pod

koniec lat 50. Ciotka była wtedy z Kunowskim, dawnym kapitanem Armii Krajowej. W jej domu akowcy pozostawali stałymi gośćmi. Z kolei babcia, matka mojej mamy i matka Jana Pietrzaka były rodzonymi siostrami. Oczywiście Pietrzak nie był w tamtych czasach Panem Jankiem, tylko jeszcze dzieckiem. Ojca nie pamiętam. Wiedziałem, że nie skapitulował ani przed Niemcami ani Rosjanami już po II wojnie światowej. Rzutowało to w oczywisty sposób na stosunek rządzących do moich najbliższych. Gdy matka mnie rodziła, zawieźli ją do szpitala gruźliczego. Ale przeżyliśmy oboje. Nie wiedziałem nigdy dokładnie, co dzieje się z ojcem, domyślałem się, że mógł zmienić nazwisko, uciec za granicę, obawiałem się, że mogli go zastrzelić. Wiem tylko, że jeszcze w latach 50. matka jeździła w jakimś celu do Szczecina, na Ziemie Odzyskane. Tam pewnie się z ojcem mogła spotykać, ale to nie pewność, lecz domiemanie.

– Korzenie miał Pan warszawskie, ale jednak czas Pana działalności w opozycji antykomunistycznej kojarzy się już z Krakowem?

– Najpierw jednak znalazłem się we Wrocławiu, moja siostra urodziła się w 1954 r, co stanowiło oczywisty dowód, że rodzice wcześniej... musieli się ze sobą widywać, ale gdzie i kiedy, tego się już nie dowiedziałem. Czasy pozostawały ciężkie dla takich rodzin jak nasza. Wyrzucono nas na zbity pysk z Wrocławia. Zameldowaliśmy się więc w Łosicach pod Siedlcami. Szanowaną tam powszechnie rodzinę Piekałkiewiczów tworzyli... prawnicy i młynarze, niektórzy żyli też z ziemi. Brat mojego ojca, Henryk Piekałkiewicz, po wojnie kupił młyn. Przy nim była jednopiętrowa kamienica. Chodziłem tam na Podlasiu do podstawówki i średniej szkoły. Mama aż do śmierci w 1967 r. została w Łosicach. Zaś siostra mieszkała później w Konstancinie i Piasecznie. Natomiast ja ruszyłem w świat. Wylądowałem w Chorzowie. Pracowałem w komunikacji miejskiej. Jako kontroler, inspektor ruchu dbałem o punktualność tramwajów i likwidację skutków wypadków. Właśnie w Chorzowie w latach 1977–79 współpracowałem z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Zajmowałem się kolportażem.

WSPÓŁPRACOWAŁEM Z KAZIMIERZEM ŚWITONIEM

– Pana zajęcia zawodowe wiązały się z pewną ruchliwością i możliwością uzasadnienia obecności w każdym miejscu, co miało znaczenie dla działalności, którą pan podjął?

– Tam w Chorzowie nawiązałem kontakt z Kazimierzem Świtoniem. Poznaliśmy się przez motorniczego z Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego w Katowicach Jurka. Współpracował z ROPCiO i ze Świtoniem, któremu już wtedy marzyły się wolne związki zawodowe. Rzeczywiście z racji pracy zawodowej miałem szofera i żadnych kłopotów z wytłumaczeniem się, dlaczego jestem w danym punkcie miasta. Rozkłady jazdy komunikacji miejskiej miałem w głowie. Do nadzorowania miałem duży rejon od Bytomia po Załęże. Stawałem na rondzie, często tym przy Spodku, obserwowałem ruch. Biegałem w mundurku komunikacji, w czapce z otokiem, inaczej wtedy na mnie patrzyli: a miałem przy sobie ulotki. Wtedy nie było kamer, żeby zarejestrowały, co robię poza wykonywaniem zawodowych obowiązków. Spotkania z ludźmi, przekazywanie bibuły, nie nastroczały problemów. Pracując w komunikacji miałem żywy kontakt z mnóstwem ludzi. Gdy coś się zepsuło, tramwaje stanęły, na skargę przychodzili do mnie. Moja praca miała znaczenie dla nich, jeśli na Stadionie Śląskim odbywał się mecz, to na pętli musiało być zabezpieczonych 20-30 składów tramwajowych, żeby wszystkich potem rozwiązać. Milicja też zawsze się wokół koncentrowała, w niewielkim promieniu kilkadziesiąt bud.

– Śląsk to był jeden z najtrudniejszych terenów do opozycyjnej działalności? Jak sobie z tym radził Świton?

– Kaziu był rzeczowy, chociaż zwłaszcza później po latach czasem za dużo gadał. Świton to barwna postać. Wtedy miał warsztat naprawy telewizorów. Ale nie wiem, czy chociaż jeden w nim naprawił. Całą energię poświęcał opozycyjnym działaniom. Za jego sprawą powstały na Śląsku Wolne Związki Zawodowe, mówił mi o nich w 1978 r. Zaś z ROPCiO docierały materiały, przeznaczone do kolportażu. Tak się wtedy wszystko toczyło.

- Pierwszą wpadkę na pewno Pan doskonale pamięta?
- Komuna bała się Wolnych Związków Zawodowych. Jurek...

– ...ten motorniczy, za którego sprawą poznał Pan Świtonia?

– Tak, o nim właśnie mówię – w każdym razie Jurek opowiadał, że bezpieka go brała, przyjeżdżała po niego do domu. Cały czas mieli go na oku. Z czasem dał spokój, zaprzestaliśmy kontaktu. Powiedział, że tym wszystkim nie będzie się już zajmował. Zastanawiałem się, kto nas zakapował. Dowiedziałem się wreszcie, że kapusiem okazał się ktoś, komu Jurek regularnie wręczał ulotki. Ten człowiek doniósł na Jurka do esbeka, który pracował na drugim etacie w zajezdni WPK, też w nadzorze ruchu.

– Czuło się presję?

– Świton był inwigilowany. Mną również niektórzy bardzo się interesowali. Wydedukowałem, że albo coś wiedzą, albo bardzo... chcą się dowiedzieć. Nagle ktoś stawia na stole pół litra a później z głupia frant pyta: – Z Jurkiem się widziałeś? Oczywiście wybór Papieża wiele zmienił. W trakcie czerwcowej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski byłem jeszcze w Chorzowie. Jedni mówili o oparciu w Bogu, drudzy, że wizyta Papieża wzmocni opozycję.

– Nie odczuwam u Pana entuzjazmu dla ówczesnych postaw społeczeństwa?

– Powoli się to zmieniało. Na Śląsku co czwarty robotnik był w ORMO. Ormowcy dostawali pełen ubiór, buty porządne pod kolana, a na zimę kożuch i czapę jak ruska papacha. Widać ich było wieczorami, chodzili wszędzie. Teren nasyceny był ludźmi władzy w tym kapusiami, bo stanowił matecznik wywoźącego się z Zagłębia Edwarda Gierka, który wtedy był pierwszym sekretarzem zaś komitetem wojewódzkim PZPR kierował Zdzisław Grudzień. Starali się więc panować nad wszystkim zwłaszcza w wielkich zakładach: kopalniach i hutach. Śląsk był oczkiem w głowie Gierka. Gdy wprowadzono kartki na cukier, tu dawano racje podwójne. Dziewczyna pracowała w mięsny i tam niczego nie brakowało pomimo niedoborów w innych częściach kraju. Ciężarówki, przyjeżdżające tu po węgiel, przy okazji zabierały stąd kiełbasę, przy-

jezdni kupowali nawet po 50 kg. Piwa też nigdy nie zabrakło na Śląsku. Kwitły meliny. A pod meliną stał radiowóz albo patrol ORMÓ. Kto wychodził, to go zaraz przeszukiwali. Jeśli zaopatrzył się w większą ilość trunków, cieszył się, kiedy mu chociaż jedną flaszkę zostawili, zamiast wszystko zabrać.

– **Z czasem presja stała się coraz trudniejsza do zniesienia?**

– Rzeczywiście dostrzegałem, że chodzą za mną i wiedzą coraz więcej. Partyjni zachowywali się inaczej od esbeków, ale też przychodzili i podpytywali. Zwykle nie byli ideowi. W zajezdni zakładowym sekretarzem partii był Jasio Ruszczyk. Urodziła mu się dwójka dzieci, a na mieszkanie czekał. Gdy tylko się do partii zapisał, dostał zaraz przydział na trzy pokoje. Akurat on nie szkodził, można było z nim pogadać. Czułem jednak jak jakiś pierścień wokół się zaciska.

W KRAKOWIE PRZEDSTAWIAŁEM SIĘ, ŻE JESTEM Z KPN

– **Wylądował Pan wtedy w Krakowie?**

– Przeniosłem się tam akurat wtedy, jak powstała Konfederacja Polski Niepodległej. Kontakt ze Świtoniem podtrzymywałem, teraz on bywał u mnie w Krakowie albo ja u niego w Katowicach. Zaś jak czytałem ulotki KPN a wcześniej ROPCiO, to przecież wiedziałem, że Moczulski to ten facet, którego pamiętałem, bo bywał u ciotki, wtedy jako młody dziennikarz. U ciotki siedzieli zwykle w większym gronie w długim pokoiku i o polityce rozmawiali. Teraz w Krakowie pracowałem na dwie zmiany jako motorniczy. W przerwie był ping-pong w świetlicy, niedziele wolne. Jednocześnie działałem otwarcie jako KPN. Najpierw zetknąłem się z Palczewskim. Przez niego poznałem zaczątek krakowskiej KPN. Ulotki do teczki, tak się ta działalność zaczynała. Przekonałem parę osób. Dołączył Krzysztof Bzdyl. Bardzo obrotny okazał się Sławek Kotarski, teraz mieszkający w Giżycku. Nigdy nie pytał, skąd bibuła przychodzi. Pracując jako motorniczy miałem znakomite możliwości jej rozpowszechniania. Zacząłem się pokazywać na mszach patriotycznych.

– A służba bezpieczeństwa jak się wobec Was zachowywała?

– W Krakowie ubecka do mieszkań nie wchodziła, szybko spostrzegłem, że mają inną niż na Śląsku taktykę. Zaczepiali niby po koleżeńsku: – Jestem kolegą Felka, pogadajmy. Czasem któryś rozmowę zaczynał, że zaopatrzenie słabe. A ja na to: – Bo wszystko do Moskwy idzie. Pamiętam pierwsze krakowskie zatrzymanie. Wyszedłem z pracy w sobotę, nie na spotkanie opozycyjne, na wódkę się wybierałem z kolegami. Zastąpili mi drogę: – Dzień dobry, panie Tolku. Odpowiedziałem: – Myśmy się nie umawiali. Przy bliższym kontakcie broń wyczułem. Ostrzegłem więc: – Koleś, nie umiesz się z tym obchodzić. Musiał to już być początek 1980 r, bo zawieźli mnie wtedy na Mogiłską 109, nowy potężny budynek dopiero co sobie zbudowali. Tam kawka i zaczęła się rozmowa. „- Zna pan Kazika i Franka – mówili. – Ale Józefa pan nie zna, a to on pana podp... u kierownika. Pan to mógłby współpracować i awansować. Przecież w Katowicach pan pracował jako inspektor”. Rozstaliśmy się jak koledzy. Ostrzej zaczęło się później. W wyborach w 1980 r. KPN próbowała zgłosić własnych kandydatów, których oczywiście utracono. Bezpiekę pobudzało to do bardziej zwałowych działań. Dla mnie ważne było to, żeby nie dać się nakryć z ulotkami.

– Aż zaczęła się Solidarność?

– Jestem przyjacielem Solidarności i od początku w nią wierzę. Jednak wielkich złudzeń nawet wtedy nie miałem. Działo to, co określam mianem reguły pustej michy. Nie było co do ust włożyć. Ani w co się ubrać. W ogóle nie było niczego, jak potem w wolnej już Polsce mówił jeden kandydat. Rzutowało to na nastroje. Kwestia niepodległości interesowała wtedy niewielką grupę ludzi.

– Jak dużą konkretnie?

– Tylko KPN podnosiła sprawę niepodległości. Jak zapisałem się do Solidarności, to robiłem spotkania na temat KPN. Otworzyły się oczywiście możliwości działania. Nawet uzyskania pomieszczenia na działalność KPN. Na spotkania przychodziło 150-200 osób, siedzieli na parapetach. A ja opowiadałem im, że od 1945 r. ZSRR wszystko stąd bierze, nie ma w Polsce wolności, mówiłem o Katyniu, jak wymordowano polskich oficerów. KPN wydawała legity-

macje, tworzyła środowisko. W samym Krakowie aktywnie działało kilkunastu ludzi. W szerszym gronie wymienialiśmy się wydawnictwami drugiego obiegu i publikacjami emigracyjnymi, czytałem wszystko, co mi do rąk trafiło, wydane w Paryżu czy Londynie. Ludzie to chłonęli.

– Czy czuł się Pan jakby mądrzejszy od innych, skoro działał Pan już parę lat wcześniej?

– Nie o żadne poczucie wyższości chodziło. Wiedziałem już sporo, więc nie poddawałem się hurraoptymizmowi. Zdarzało się, że od idiotów mi wymyślano, kiedy ostrzegałem, że to się może źle skończyć.

– Jak wyglądała relacja między KPN a Solidarnością?

– W późniejszym czasie Jacek Smagowicz był w KPN ale tego nie eksponował. W związku na ostatnich stanowiskach znajdowały się osoby wywodzące się z Konfederacji bądź z nią powiązane.

– Jak z perspektywy czasu ocenia Pan krakowską KPN?

– Tam był najsilniejszy w kraju ośrodek Konfederacji, promieniujący bez przesady na całą Polskę. Nawet w Szczecinie przeprowadzałem jakieś akcje. Wiadomo, że okres Solidarności stał się czasem masowego zapisywania się do KPN. Tyle, że wielu tych kapeenowców nikt nie znał. I nie poznał. Podobnie działo się na Śląsku. Mówiłem, ilu ludzi wcześniej było tam w ORMO. Tak ten świat wyglądał.

– W Krakowie działa też wtedy Komitet Obrony Więzionych za Przekonania, w praktyce to marka, pod którą KPN funkcjonuje, czemu trudno się dziwić, skoro Leszek Moczulski przesiedział za kratami niemal całą odnowę, a ściślej na krótko go wypuszczono po wstawiennictwie prymasa Stefana Wyszyńskiego?

– Komitet Obrony Więzionych za Przekonania dynamicznie działał. 11 listopada 1981 r. występowałem jako KPN pod pomnikiem Mickiewicza. Ja i Krzysztof Bzdyl. Potem ubecy recenzowali, że to były ostre przemówienia. Wyszliśmy wtedy pochodem z Wawelu, parę tysięcy ludzi. Z Wawelu Grodzką

do Rynku. Zawsze jak szła kolumna, lokowałem się po prawej stronie, to kwestia pola widzenia. Zakładałem wtedy na taką okazję podbitą dżinsową kurtkę, bardzo charakterystyczną. Ktoś na każdej demonstracji ją widział i potem myślał, że to jakiś esbek w niej chodzi. Pomylił się. Zaś kurtka przydała się później na zadymach już w stanie wojennym, bo była gruba, solidna, nawet razy pałek tłumiła, chociaż bez przesady, całkiem nie chroniła przed nimi. Wtedy byłem wysportowany, biegałem. Pamiętam ucieczkę po sprawie Zawisłaka. Z sądu poszliśmy na przystanek przy rondzie. Dwa fiaty nagle podjechały i jeden ma-luch. Wymknąłem się, a Ryszard Majdzik i Agata Michałek zostali wtedy za-trzymani.

– A kontakty KPN z NZS jak wyglądały?

– Wojciech Pęgiel działał wtedy w NZS i KPN równocześnie, doskonale się znaliśmy i współpracowaliśmy. Szefem NZS na Uniwersytecie Jagiellońskim był wtedy Jan Rokita.

– Wtedy pojawiła się też inicjatywa marszu szlakiem Pierwszej Kadrowej?

– Organizowały go w 1981 r. dwa regiony Solidarności: Małopolski i Świętokrzyski. Msza w kościele i próba odtworzenia marszu I Kompanii. Pętałem się trochę wokół, większą rolę odegrał Wojciech Pęgiel, który jak już mówiłem działał też w NZS. Zachowałem sceptycyzm bo inni z grona organizatorów mi się nie podobali. Zaś w 1982 r. nie poszedłem z prozaicznego powodu: bo się ukrywałem.

– Występował Pan oficjalnie jako KPN, już Pan o tym wspominał. Jak to w szczegółach wyglądało?

– Poszedłem, gdy ludzie w MPK nie mieli co jeść, do dyrektora, że coś z tym zrobić: – Dyrektorze, potrzebuję jakiś samochód. – Tak, będzie. Pojechałem ciężarówką dwu i półtonową do zakładów mięsnych. I tam przy bramie: – Otwierać, KPN! I od razu do szefa masarni. Żeby dał mięso: dla 200 pracowników zajezdni potrzeba 200 kilo. Kierownik masarni przez chwilę nawet milicją postraszył. A ja do niego: – Niech pan dzwoni. W końcu dali, co trzeba. Na hasło KPN, tak można powiedzieć. Inni chodzili, błagali, niczego przy tym

nie uzyskując. Wtedy w Krakowie po ulicy chodziłem z wielką plakieta „KPN” przytroczoną.

– **Jakie plany miał Pan na 13 grudnia 1981?**

– Mieliśmy okupować ośrodek telewizyjny. Jako KPN. Ale też wcześniej zorientowałem się, że władza ma plany wobec nas. I nie tylko. Tydzień przed stanem wojennym wpada sekretarz komitetu zakładowego: na 12 grudnia zapraszamy o godz. 18, chcemy pogadać o problemach MPK Kraków. Jakbym tam poszedł w tym terminie, zapewne rozmowy by się przeciągnęły i wolny bym raczej stamtąd nie wyszedł.

W STANIE WOJENNYM ZDARZAŁO SIĘ UCIEKAĆ PO BALKONACH

– **A tak się Pan ukrywał...**

– Zamiast na zebranie, poszedłem spać gdzie indziej, niż mieszkam. Resztę zaproszonych pozwijali. I do Załęża do ośrodka. Widać, że miałem dobrego nosa, skoro mi to zaproszenie od początku śmierdziało. W domu walili do drzwi, ale przecież mnie tam nie było.

– **Co Pan robi dalej?**

– Chowam się u innej koleżanki, ściagam tam maszynę do pisania. Na początek wystarczyło. Potem doszło białko...

– **...powielacz**

– ...i parę ryz papieru. Klepię na tej maszynie ulotkę, sygnowaną KPN, treści z nikim nie uzgadniam, bo przecież wystarczy oknem wyjrzyć, żeby wiedzieć, co napisać. I nie muszę zgadywać, co o tym myślą koledzy, z którymi nie ma kontaktu. Ja to po prostu wiem. Podpisuję kolejne ulotki jako Grad. Maciej Gawlikowski i Mirosław Lewandowski wspominają jak ukrywałem się u tej Władysławy, dzielnej kobiety. Próbuje łąpać kontakty, innych szukać. Skądś się wtedy nawinął Ryszard Bocian. Nawijał, jak on zawsze. Wcześniej też był w Komitecie Więzionych za Przekonania. Na Akademii Medycznej pracował jako wykładowca, ale od polityki. Nie zwinęli go. Znajdowałem miejsca,

punkty kontaktowe. Niestety inni z kolei szukali nas, działał Edward Koch pseudonim Biały. Tacy jak on niewiele jednak złego narobili, staliśmy się dużo bardziej ostrożni, doświadczenie sprzed Sierpnia też pomagało. Jeszcze ważniejszy okazał się dla mnie udział w strajku w Hucie, siłą złamanym przez ZOMO. Jak się zaczął strajk, przenieśliśmy się ze swojej zajezdni do Huty, wtedy wciąż noszącej imię Lenina, byłem tam członkiem Komitetu Strajkowego w proteście przeciw temu, co władza zrobiła 13 grudnia 1981 r. Tam był Edward Nowak, obaj Ciesielscy, Mieczysław Gil. Jak rozbito strajk, wyszliśmy stamtąd grupą 8-10 osób, jakoś się rozśrodkowaliśmy po swojemu. Edward Nowak po paru miesiącach ukrywania się poszedł do domu, pewnie chciał zajrzeć na chwilę, myślał, że mu się uda, ale go zwinęli. Wcześniej z Edziem żeśmy tramwajem jechali, z lekko zmienioną na potrzeby chwili powierzchownością. Aż tu jakiś facet drze się na cały tramwaj: – Patrzcie, to Edek z tym drugim z MPK... Strasznie ucieszony, że rozpoznał. Tak Edek się ukrywał. Zaraz daliśmy nogę oczywiście. Na szczęście pod Hutą, gdzie akurat zaczynała się zmiana, a kończyła poprzednia, z tysiąc ludzi wtedy wysiadało z tramwajów i autobusów, inni się do nich pakowali. Nietrudno przyszło się w takim tłumie zgubić.

– KPN krakowską udało się odbudować ale jako siatkę konspiracyjną?

– Wiadomo, że czas chodzenia z plaketką konfederacką po Rynku minął. Wiedzieliśmy, że trwa wyłapywanie ludzi, czy coś robili, czy nie, wystarczyło, że już byli znani bezpiece. Nie było nazwisk tylko. Przez rok się ukrywałem. Do listopada 1982 r. Było kilkanaście miejsc. Po parę tygodni albo na jeden dzień. Czasem pocziwa kobieta, co zgodziła się mnie przyjąć, zaraz zapraszała sąsiadkę i pokazywała, że to jest właśnie ten pan, któremu pomaga, więc szybko stamtąd odszedłem zanim się rozniosło. Z jednego mieszkania uciekałem z siódmego piętra, kiedy już do drzwi walili.

– W jaki sposób?

– Linkę miałem ze sobą. Poćwiczyłem przedtem trochę. Czasu miało się wtedy dużo na takie treningi. I po balkonach uciekłem w tej decydującej chwili. Jak linka miała 20 metrów długości, starczało na trzy piętra z zachowaniem zasad bezpieczeństwa. A potem dalej. Nie dorwali mnie. Zjechałem sobie. Ob-

szedłem blok. Na dole go nie obstawili, pewnie nie przypuszczali, że ktokolwiek może się na coś podobnego poważyć. Zwinąłem spokojnie linkę, patrzyłem ile fiatów 125 wokół, w ilu po mnie przyjechali w domu mnie nie zastając... Bezpieka krakowska wtedy przeważnie tych fiatów używała. Na taką ucieczkę przez okno i dalej potrzebowiałem trzech minut góra czterech. Wywalanie drzwi też trochę trwa, wcześniej jeszcze musieli dzwonić, dobijać się. Wystarczyło. I już z góry byłem na zimowo ubrany, to znaczy katanę na siebie narzucałem i już. Spałem wtedy w spodniach, nie w piżamie, na wszelki wypadek.

KĄŻDY DZIEŃ NA WOLNOŚCI TO DLA MNIE PLUS, DLA NICH MINUS

– Warto było?

– Uważałem, że każdy dzień na wolności to dla mnie plus a dla nich minus. Sam fakt ukrywania się był ważny, to że pomimo ich licznych starań mnie nie dostali. Czasem pokazywałem się na pętli autobusowej. Tam, gdzie dojeżdżało 5-6 linii. Wyciągałem białą-czerwoną flagę z napisem „Konfederacja Polski Niepodległej”. Ludzie widzieli. Zwiąłem i znikąłem. Kwatery miałem u starszych pań. Bez nich żaden opór nie mógłby istnieć. Kiedyś znowu uciekałem oknem, ale już tylko z pierwszego piętra. W trakcie akcji zaś różne sytuacje się zdarzały. Kolportuję kiedyś ulotki. Na Rynku w Krakowie zimno. Opatulony po uszy. A tu stoi radiowóz MO. Podchodzę, oni szybko uchylają a ja do nich: panowie, to nie moja sprawa, ale tam za rogiem ktoś ulotki rozdaje. Zaraz tam ruszyli, ale zanim to nastąpiło, sam im na dach paczkę ulotek zarzuciłem, tak przygotowanych, że się zaraz rozsypywały. I tak mi załoga radiowozu pomogła nielegalne materiały rozpowszechniać. Na co dzień, bo tamto było jakby od święta, wykorzystywaliśmy ten sam patent, żeby ulotki z autobusów i tramwajów pofrunęły. Coś się zwykle inscenizowało. Dwóch wsiada do tramwaju, niby pijani, przepychają się i głośno wyzywają. Cały tramwaj gapi się na nich, bo tyle ludzie w stanie wojennym mieli rozrywki. A trzeci z tej załogi w tym samym czasie robi swoje z ulotkami. Sam je drukowałem, sito na kwaterze zawsze było. Później produkowałem również dla Solidarności Walczącej.

– Co się zdarzyło w listopadzie 1982 r.? Bo znając Pana trochę podejrzewamy, że sam się Pan nie ujawnił?

– Zostałem internowany. Brzmi to nieco zabawnie, skoro do końca roku a w praktyce do Świąt wszystkie internowania uchylono, powypuszczano ludzi, co cały rok siedzieli. A wobec mnie to orzeczono akurat na sam koniec. Zatrzymano mnie przed 11 listopada. Wiozą na Mogiłską, tam 10 piętro. I ubek Wróbel, popycha do otwartego okna, ostrzega: zaraz wypadniesz. My cię możemy wypchnąć przez to okno. Złapałem go za kłapy. Mocno przycisnąłem do okna. – Tylko, że ty przede mną – teraz ja z kolei go przestrzegłem. Esbek Wróbel z Wieliczki to była specyficzna postać. Pokątnie handlował świniami. Jechał do chłopca i służbowym fiatem od niego woził mięso. Potem żaden inny funkcjonariusz nie chciał z nim tym samochodem na żadne rozpoznanie jechać, bo strasznie tam śmierdziało. Panów pewnie bardziej interesuje, co się stało, że się na tej Mogiłskiej znalazłem. Zatrzymali mnie w Nowej Hucie w mieszkaniu. Osiemnastoletnia córka gospodarza podeszła do drzwi otworzyć jak zaczęli walić, uciec nie było jak. Wiedzieli, po co wchodzą, nawet do którego pokoju, chociaż w mieszkaniu był jeszcze gospodarz, żona i syn nie licząc córki, o której już mówiłem, że drzwi otwierała. TW Biały mnie sprzedał, już o nim wspominałem. Znalazłem się w celi dwuosobowej, w której siedziało wtedy dwadzieścia osób. Andrzej Fischer też tam był. Widać odbyła się spora operacja zatrzymań, jak to przed 11 listopada. Potem Wróbel po tym naszym wspólnym doświadczeniu przy oknie inaczej się zachowywał, bardziej poprawnie. Pochwalił mi się na wstępie, że wie wszystko. – To niech pan opowie – zaraz mu zaproponowałem. Dostałem decyzję o internowaniu. Zawieźli mnie do Kielc. Nie wiem, po co. Przywieźli z powrotem. Znowu na dołku siedziałem.

– Po co im były te korowody?

– Później się dowiedziałem z esbeckich papierów, kiedy już się stały dostępne dla pokrzywdzonych, że ktoś pobierał mój dowód osobisty, pokwitował, że to zrobił.

– **Do czego był im potrzebny?**

– Dowiedziałem się o tym później. W 1983 r. przyjechał facet z Łodzi. Otwieram drzwi. Mówi, że chce się widzieć z Tolkiem Piekalkiewiczem. Powiedziałem, że to ja. – Nie, ty nie jesteś Piekalkiewicz – odrzekł na to. I szybko odszedł. To nie był esbek. Myślał, że ja esbekiem jestem.

– **Bo całkiem innego Antoniego Piekalkiewicza wcześniej poznał?**

– Z moim dowodem działały się różne rzeczy też w samym Krakowie. Nagle jakaś baba mówi, że przyszedł do niej Piekalkiewicz i spytał, czy może odebrać ulotki. Na szczęście mu powiedziała, że nie ma. Bo to na pewno nie byłem ja.

– **Sporą operacją SB okazała się próba przejęcia KPN, związana z nazwiskiem Krzysztofa Gąsiorowskiego? Esbecy sugerowali się tym, że gdy wielu przywódców siedzi w więzieniu, taka gra może się udać?**

– Dowiedziałem się o tej historii z podpaleniem mu drzwi. Wyszedłem już wtedy, a ponieważ znałem go od 1979/80 roku, udałem się do niego. Spalenizna, jakaś kobieta płacze. Jednak już wtedy Palczewski radził mi, żeby raczej „uważać na Gąsiora”. Ufałem więc jemu, a nie Gąsiorowskiemu. Nic złego się nie stało. Gąsior już łapał, że ja wiem. Znał całą krakowską KPN.

– **Palczewski to twardy działacz. Czy znał Pan z tamtych czasów Mariana Banasia?**

– Znałem go, był bardzo wstrzemięźliwy, oficjalnie nigdy nie zabierał głosu jako KPN, chociaż oczywiście działał w nurcie niepodległościowym jeszcze przed Sierpniem i miał spore zasługi. Nie bał się. Wysportowany, ćwiczył sporty walki. W tym sensie mi bliski, bo z kolei ja świetnie biegałem, kiedy pięciu czy nawet ośmiu esbeków mnie goniło, nie mieli szans.

– **Nie zawsze jednak to były tylko gonytwy?**

– Poza wspomnianym już incydentem z Wróblem, kiedy innego wyjścia nie było, skoro śmiercią mi groził, wyrzuceniem z okna – starałem się nawet w kontaktach z esbekami zachować pozory uprzejmości. Inaczej zachowywał się Ryszard Majdzik. Potrafił wymyślać im od ostatnich, więc go lali. Kiedyś,

gdy z kolei Ryszard Bocian zrobił wykład funkcjonariuszom MO, gdy nas razem zamknęli, o wyższości kapitalizmu nad socjalizmem, milicjanci oblali nas obu wodą ze szlauchu. Nie ukrywam, że wtedy byłem na niego wściekły: wszystko mokre, spodnie, kurtka, buty, a korzyść z całej sytuacji żadna. I tak przecież nie przekonał, chociaż na swojej uczelni wykładał nauki polityczne.

– To jak rozumiemy już było krótkie zatrzymanie. A jak przedstawiała się sytuacja w 1982 r. Wychodzi Pan i co dalej?

– Rok 1982 to ciekawa zabawa. Mieszkam wtedy u Sławka Kotarskiego. Któregoś dnia znowu mnie zwiijają. Zabierają w kajdankach. Na Montelupich. A stamtąd wiozą do Kielc. Po czym z powrotem do Krakowa. Jeszcze następnego dnia zajeżdżamy do Łodzi. Sadzają tam w pakamerze. Widać, że to oględziny, ktoś kogo ja nie widzę się we mnie wpatruje, czuję to po latach działalności. Zawożą do Krakowa i wypuszczają.

– A praca?

– Z pracy zostałem zwolniony dyscyplinarnie. Do krakowskiego Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego wróciłem dopiero w 1989 r. Innej pracy nie miałem.

– A kartki na mięso? Stempel w dowodzie? I z czego pan żył?

– Bez kartek na mięso musiałem sobie poradzić. Wiele osób znalazło się w podobnej sytuacji. Potem zarabiałem na znaczkach, wydawnictwach, walczyliśmy przecież również o wolny rynek, przeciwieństwo absurdałnej socjalistycznej gospodarki, wykazywaliśmy się przedsiębiorczością, żeby przeżyć. Poza tym ludzie sobie pomagali. A rzeczywiste umiejętności były w cenie. O dowód panowie pytacie... Sporo już mówiłem o tym, co się z nim działo. Jednak stempla o stałej pracy tam nie było. Za to w 1983 r. wystąpiłem o paszport. Ponieważ wciąż pozostawałem zameldowany w Chorzowie, zgłosiłem się tam. Po paszport szło się wtedy na milicję. Wchodzę, dostrzegam tłum stojących pokornie smutnych ludzi. I na cały głos pytam: – To w Polsce Ludowej po paszport się w kolejce stoi? Zaraz podszedł do mnie dyżurny. Zaprowadził do pokoju. – Paszport będzie za pół roku. A ja na to, że potrzebuję za tydzień. Do

Australii się wybieram, mięsem z kangurów będę handlował. Po jakimś czasie, raczej parę tygodni, a nie pół roku upłynęło od tej rozmowy, paszport rzeczywiście dostałem. Ale nie wyjechałem nigdzie?

– **To po co Pan się o paszport starał?**

– Legalizacja taka. Jeździłem z tym paszportem po Polsce. Przy legitymowaniu okazywałem ten dokument. Po jakimś czasie mi go zabrali, a ściślej, nie oddali po prostu tylko schowali do kieszeni.

– **Prowadził Pan życie zawodowego opozycjonisty?**

– Innego wyjścia nie było. Dla ścisłości: krótko pracowałem w przedszkolu jako kucharz. Żyłem z druku: znaczki, książki, kalendarze. Rynek niezależnych publikacji już się tworzył. Jak 2 tys znaczków na zamówienie wydrukowałem to pięćset było moich.

– **Istniały zasady BHP, których w tej pracy trzeba było przestrzegać?**

– Przez te lata tam, gdzie drukowałem, nigdy nie mieszkalem. To musiały być osobne lokale. Szukałem miejsc, które trudno obserwować. Dlatego nie było wpadek. Drukowałem dla KPN, SW, dla Konfraterni Robotniczej Jacka Smagowicza. Wiele z tamtych naszych przedsięwzięć również z perspektywy czasu da się ocenić wyłącznie jako ciekawe. Wojciech Pęgiel założył Wydawnictwo. Wydaliśmy „Kronikę życia Józefa Piłsudskiego” Jędrzejewicza, „Walkę zbrojną Polaków” Lipińskiego, „Osiemnąstą decydującą” d’Aubernona. A także śpiewniki, w sam raz na marsz. Jeździłem z bibułą od Szczecina do Przemyśla.

– **Również do Warszawy. Poznał Pan ks. Jerzego Popiełuszkę?**

– W 1983 r. poznałem ks. Jerzego. Przyjeżdżałem na jego msze. Miał pokój na górze nad wejściem. Ktoś mnie do niego wprowadził. Byłem też u niego w mieszkaniu prywatnym. Zwróciłem uwagę, że jest delikatny. Dla mnie był takim właśnie subtelnym chłopcem. Znałem się wtedy już z ks. Alfredem Chojnackim. Obaj kapłani ujmowali się za ludźmi, ale mocno się od siebie różnili sposobem bycia. Jerzy Popiełuszko jeśli można tak to określić był bardziej bogoojczyźniany. O sercu i duszy mówił. Chojnacki występował ostrzej.

O tym, że ks. Popiełuszko zaginął, dowiedziałem się w Mistrzejowicach. Od razu z Maciejem Gawlikowskim pojechaliśmy do Warszawy. Niestety potwierdziły się najgorsze przewidywania.

– Jeździł Pan także cały czas na Śląsk, gdzie przedtem Pan działał?

– W grudniu 1983 r. pojechałem do Katowic na rocznicę masakry górników w kopalni Wujek. Na pewno był wtedy ze mną Jacek Smagowicz. W parku wokół kopalni była też Ewa Tomaszewska i Anna Walentynowicz. Z Anką zetknąłem się wcześniej w czasach legalnej Solidarności, ale zakupmłowaliśmy się dopiero wtedy, na tych nielegalnych obchodach. Z pięciu ubeków robiło nam wtedy zdjęcia. Wszystkim zresztą uczestnikom. Smagowicz ze swoimi ludźmi robił wtedy patriotyczny teatr. Jechaliśmy więc razem w większym gronie, żeby go obejrzeć, do Bytomia. W tramwaju obok nas stał facet z teczką i zawiniętą kanapką, starał się wyglądać na robociarza. Aż nagle usłyszeliśmy od niego ryk: – R-22, gdzie jesteś? Nie możemy cię znaleźć, zgłoś się do cholery... Taką mieliśmy asystę, że nad własną techniką nie panowali, odzywała się, kiedy nie trzeba. Pamiętam, że Anka Walentynowicz jeszcze w czasach legalnej Solidarności powtarzała, że Lech Wałęsa to kapuś. Za to Borsuk, czyli Bogdan Borusewicz zawsze go bronił. Uważam, że to Borsuk naprawdę wylansował Wałęsę. Za to jego środowisko starało się Annę Walentynowicz jeśli nie całkiem utracić to lekceważyć: że co ona tam wie, jak siedziała na suwnicy. Pamiętam głódówkę w Biezanowie z udziałem Anny Walentynowicz. Dlaczego tam właśnie się odbyła? Bo ks. Chojnacki wyraził zgodę. Inni księża aż tak się nie kwapili. Głódówka miała związek z okrutnym napadem na ks. Tadeusza Zaleskiego, którego przypalano papierosami. Odbywała się w intencji jego zdrowia oraz uwolnienia wszystkich więźniów politycznych. Głódówka miała rotacyjny charakter, z czasem dołączyłem ja i Wojciech Pęgiel. Po paru tygodniach jak skończyłem głodowanie, zjadłem dwie łyżki kaszy mannej i... byłem najedzony. Nie żartuję. To był rok 1985, jeszcze przed amnestią Czesława Kiszczaka. Ks. Chojnacki zawsze był porządnym człowiekiem, przy tym jakby strach pozostawał mu obcy, tak się zachowywał. Potem wysłano go do odległej parafii do Juszczyzna. Spotykała się tam KPN. Wstawiono tam sprzęt drukarski, na którym pracowała beskidzka grupa.

– O amnestii już Pan wspomniał. W 1986 r. wychodzi z więzienia Leszek Moczulski. A KPN trwa?

– Przedtem jeździłem do Warszawy na drugi proces KPN. Po wyjściu Moczulskiego robimy już otwarcie, co się tylko da. Nie mówimy tylko z oczywistych względów co ani gdzie drukujemy. Jeszcze w 1987 r. pałają nas wszystkich pod Wawelem. Spotykamy się po kościołach. W tym samym 1987 r. w trakcie papieskiej pielgrzymki bez przeszkód dojechałem do Warszawy. Jednak do Tarnowa z ulotkami już nie dotarliśmy. Zwinęli nas po drodze. A ściślej, to nawet przed nią – bo na Płaszowie. Dostrzegliśmy, że gdy ludzie zaczynają w coś wierzyć, wiele musi się zmienić. Pod Pomnik Grunwaldzki w 1988 r. szliśmy Plantami, bo Grodzka i Rynek zostały zablokowane. Ale doszliśmy. Wtedy już raczej nie skazywali, co najwyżej kolegia nam robili. Jeszcze w 1989 r. gdy zwróciłem się o paszport, dowiedziałem się, że go dostanę, jeśli zaległę kolegium zapłacę. Jednak i tak tej kwoty im nie uiściłem. Paszport zaś dostałem, gdy przyszedł rok 1989.

– Wcześniej jednak był 1988 rok. Pacyfikacja Huty. Dlaczego władza podjęła interwencję siłową, gdy pracowała komisja Episkopatu? Ale ściślej, gdy jej członkowie wyszli z Huty?

– Podchodziłem wtedy z dystansem do środowiska „Tygodnika Powszechnego”. Podejrzewałem również, że już wtedy Mieczysław Gil i otaczający go eksperci mieli ciche konszachty z Kiszczakiem za plecami innych. Po doświadczeniu 1981 roku przebieg wydarzeń nie mógł stanowić zaskoczenia. W maju 1988 r. bywałem w Hucie, słuchałem, co kto mówi. Każdy głosił swoje teorie. Nie było takiej determinacji, jaką zapamiętałem z grudnia 1981 r, chociaż tamten strajk również okazał się przegrany. Teraz Andrzej Szewczuwaniec, który na początku protest prowadził, okazał się jednodniową gwiazdą. Wiadomo, że gdy złamano Hutę, strajk zaczął Uniwersytet Warszawski.

– Potem była druga fala. Sierpień 1988 r.

– Jeszcze dobrze się nie zaczęło, jak przyjechali do mnie chłopcy ze Śląska: – Panie Tolku, niech Pan przyjedzie nam pomóc na Morcinku. To była najnowocześniejsza kopalnia, znaczące, że się ruszyli. I KPN tam była nasilniejsza.

Spotykaliśmy się w Jastrzębiu w kościele u ks. Czarneckiego. Na miejscu był Tadeusz Jedynak. Przyjechał z Gdańska Bogdan Lis w imieniu Wałęsy. Zaś ja siedziałem i drukowałem. Podawałem też informacje dla rozgłośni zagranicznych. Wtedy został po raz pierwszy uruchomiony fundusz Romaszewskich, żeby władzy nie udało się ludzi szantażować, że zostaną głodem więci. Kto stracił, miał zapłacone z funduszu strajkowego. Jeśli ucierpiały rodziny strajkujących, należy się rekompensata. Ale to jaśniejsza strona medalu. Bo żeby się prędzej ta druga fala skończyła, po spotkaniu z Kiszczakiem Wałęsa jeździł do śląskich kopalń, osobiście strajki gasił. W jednej z nich to działacze KPN taczki dla niego przygotowali. Wtedy działał już Andrzej Andrzejczak i Alojzy Pietrzyk, wspomagał ich Adam Słomka. Oficjalnie strajki zostały zawieszone a nie zamknięte. Wałęsa naprawdę się w Jastrzębiu obawiał, że go na tych taczkach wywiozą.

– W 1989 r. jak była już o tym mowa, wraca Pan do pracy. Jak reaguje Pan na ówczesne wydarzenia?

– Znalazłem niedawno plakat z tamtego czasu, z wizerunkiem flaszki i hasłem: „Nie daj się nabić w butelkę przy Okrągłym Stole”. Gdy przed 4 czerwca różni ważni ze mną rozmawiali i namawiali, powtarzałem im: daliście się w butelkę nabić.

– W KPN, której przy Okrągłym Stole nie było, a w czerwcowych wyborach nie zdobyła mandatów, Pan nadal działa?

– Uważałem, że kandydowanie Leszka Moczulskiego na prezydenta w 1990 r. miało sens, jeśli niosło za sobą chociaż cień szansy, żeby zablokować Wałęsę, którego już wtedy uważałem za kapusia. W pierwszych wolnych wyborach w 1991 r. też wspierałem różnych kandydatów z KPN, udany okazał się wtedy pomysł zablokowania list z Polskim Związkiem Zachodnim, Sojuszem Kobiet Przeciw Trudnościom Życia, Zielonymi. Konfederacja zdobyła wtedy 50 mandatów. Stanowiło to sygnał, że wciąż jesteśmy potrzebni. Z KPN wystąpiłem na zjeździe w 1992 r, który odbywał się Pod Kopułą przy warszawskim placu Trzech Krzyży. Moczulski kategorycznie wykluczył możliwość poparcia rządu Jana Olszewskiego. Zupełnie się z tym nie zgadzałem. Istniała przecież szansa poszerze-

nia koalicji nie tylko o KPN ale PSL i nawet Kongres Liberalno-Demokratyczny. W tym momencie drogi moje i Moczulskiego ostatecznie się rozeszły.

MARSZ PAMIĘCI I SZTAFETA POKOLEŃ

– Wątek Marszu ku czci Pierwszej Kompanii Kadrowej stale powraca w tej rozmowie. Jak rozumiemy, to nieuniknione, bo to sztandarowe przedsięwzięcie krakowskiej KPN? Niepowtarzalna okazja, żeby się policzyć, skoro najpierw szło kilkadziesiąt osób a po latach nieprzebrany tłum?

– Całą trasę kadrówki przechodziłem od 1986 r. Zawsze przy okazji tych marszów od 1987 r. począwszy byłem drugą osobą, nie wysuwałem się przed szereg, zajmowałem się konkretnymi sprawami, organizacją i logistyką, tym, żeby po drodze było co jeść i gdzie spać albo ile kotłów potrzeba do gotowania stawy. Najpierw mieli się tym zająć Gawlikowski i Dobrowolski, stało się jednak na mnie. Trasę wcześniej znałem, pracowałem przecież tyle lat w komunikacji i innym imponowałem, że rozkłady mogę przytaczać z pamięci. Na to jak zachowują się milicja i bezpieczeństwa nie mieliśmy wpływu, imprezy ze sporym rozmachem nie da się przecież z zachowaniem zasad tajności przeprowadzić. Poza tym zależało nam, żeby garnęli się ludzie młodzi. A oni o tym, że marsz rusza skądś musieli się dowiedzieć. Zatrzymań przy tej okazji nie dawało się uniknąć, to inna sfera, niż druk niezależnych publikacji. Zdarzały się różne sytuacje. Kuria dała konserwy rumuńskie, które ktoś tam przyniósł, niestety miały wytłoczoną datę 1972. Zjedliśmy jednak ja i Wojciech Pęgiel, wcale się nie zatruliśmy. Tak przy ówczesnych niedoborach uznaliśmy, że nie zaszkodzą. Gdyby uczestnicy się o tym dowiedzieli... Ale przecież nic im nie było. Na moje pierwsze kadrówki przychodziło z 50-60 osób, z czego ze 40 było z KPN, z całej Polski. Dbaliśmy jednak o to, że idziemy jako piśsudczycy, a nie żadna siła polityczna. Ludzie związani z ideą Marszałka, tak się wtedy określaliśmy. Dlatego trochę się zdystansuję od zawartej w pytaniu oceny, że to impreza KPN. Oczywiście wszyscy wiedzieli, kto ją organizuje. Nie pozwalaliśmy też sobie w kaszę dmuchać. W Kielcach w 1988 r. obstąpili nas esbecy, cała chmara. A my na to niby do siebie nawzajem: – Panowie, solimy. Będziemy sypać. I zaraz ręce do kieszeni. Tamci odeszli, bo kto chce dostać solą po oczach.

Przez całą trasę przemarszu jakaś asysta nam towarzyszyła. Zdarzało się, że jak w wiejskim giesie kupowaliśy fiaskę, to esbecy za nami stawali w kolejce. Wiadomo, że brali to samo, tyle, że zwykle więcej.

– Jak reagowali ludzie po drodze?

– Raczej chłodno, dominowało zmęczenie, nie wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Ale pamiętajcie Panowie, że Legionistów też z wielką rezerwą przyjmowano w Kongresówce w sierpniu 1914 r. Witali ich wtedy zamknięte okiennice. Stąd się w I Brygadzie wzięły słowa: „nie chcemy my od was uznania”. W latach 80 także zastraszanie przynosiło pewien efekt, więc ktoś raz udzielił nam noclegu ale po roku już nie chciał, czasem nawet księży to dotyczyło. Co rok sypialiśmy po drodze u ogrodnika. Za którymś razem mówi jednak: nie mogę was przyjąć. Wskazał nam jednak opuszczoną szopę, to chyba była stodoła, w której dało się schronić i pomieścić. W 1986 r. śpimy w Jędrzejowie, w klasztorze. Właśnie gotuje się zupa. A ja wokół dostrzegam ubeków z Krakowa. Głośno mówię: – Chcą nas otruć. Bo rzeczywiście wcześniej bardzo podejrzane niestrawności się nam zdarzały. Zawołałem Wieska Gęsickiego i jeszcze paru chłopaków. Stanęliśmy wszyscy w postawie bojowej. Tamci odstąpili. Uciekając, wpadli w bagno aż po pas, bo terenu jak się okazuje za dobrze nie znali. Wiesław Gęsicki zaczął w latach 80. studia na Akademii Papieskiej w Krakowie i pozostawał ważną dla marszu postacią, mobilizował środowisko, zawsze miał mnóstwo energii, sprowadzał na Kadrówkę ludzi z Warszawy. Coraz więcej o tym wszystkim ludzie wiedzą. Maciej Gawlikowski nakręcił o marszach film. W 1989 r. gdy pojawiły się wojsko i milicja, z dumą przedstawiałem się znów jak w 1981 r.: – Jestem z KPN. Wcześniej jednak gdy staliśmy, w tym samym roku 1989, w dniu wyjścia Kadrówki przy pomniku w Michałowicach, zobaczyliśmy wyładowany milicjantami auto-kar. W dodatku mieli dziwne jakieś futerały.

– Podejrzewaliście prowokację, bo czas był wciąż gorący?

– Okazało się jednak, że to po prostu milicyjna orkiestra. Jechali na jakieś ich własne uroczystości. Ale jeden kolega pomimo błota w rowie, w którym przyszło mu się po drodze wytaplać, uciekł już, niby za potrzebą.

– Marsz, kiedyś organizowany w warunkach nielegalnych, dobrze się ma również w wolnej Polsce?

– Jeśli pyta mnie ktoś o sens marszu, po co go organizujemy, bez trudu znajduję odpowiedź. Nie chodzi tylko o proste upamiętnienie. W tym celu wystarczy znicze zapalić. Legiony to była przyszłość Polski, bo nie tylko dały Polsce premierów i marszałków, służyli też w nich artyści, lekarze i prawnicy, więc spodziewaliśmy się, że na marszu Kadrówki spotykają się przyszłe elity. Potwierdza to udział w nim Sławomira Skrzypka, KPN-owca, który później został prezesem Narodowego Banku Polskiego. Zginął w katastrofie smoleńskiej. Andrzej Duda też raz na marsz zabłądził, chociaż jeśli dobrze pamiętam, całą trasę nie przeszedł. Teraz często spotykamy na marszu generałów i prezydentów miast.

– Szlakiem Kadrówki wędrowało też młode pokolenie, kogo Pan zapamiętał z tego grona?

– Jana Józefa Kasprzyka poznałem nieco wcześniej, niż dostrzegłem go na marszu, bo w 1993 r. kiedy jako osiemnastolatek na zjeździe Związku Piłsudczyków taki szczupły chłopaczek wyskoczył na mównicę i z przejęciem opowiadał, jaka może być Polska za dziesięć lat. To był znak, że najmłodszej generacji nie interesują wyłącznie przyszłe wysokie pensje, to, żeby jeść i pić. Cenne to się okazało zwłaszcza wtedy, gdy odczuwaliśmy, że liczni ludzie władzy nie liczą się ze słabszymi, więc można było się cieszyć, że młodzi zapowiadają się lepiej, właśnie jak Kasprzyk. Zapamiętałem go z marszu w 1994 r. Schodziliśmy się wtedy na Małym Rynku, tam był punkt zborny. Wiedziałem, że pasjonuje się historią, wywarł na mnie świetne wrażenie, ale nie spodziewałem się jeszcze, że po wielu latach obejmie funkcję ministra i szefa Urzędu ds. Kombatan-tów i Osób Represjonowanych. Z czasem Kasprzyk został prezesem Związku Piłsudczyków i komendantem marszu kadrówki. Zaś ja dalej zajmowałem się logistyką. Zostaliśmy w takim duecie aż do 2014. Świetnie się z nim pracowało, taka sztafeta pokoleń to znakomita sprawa i symbolicznie i w codziennej współpracy bardzo mi to odpowiadało.

DR ANDRZEJ ANUSZ

W POLSKIM LONDYNIE 1988 ROKU

Z KRZYSZTOFEM TURKOWSKIM¹ ROZMAWIA ANDRZEJ ANUSZ

– Jak znalazłeś się w Londynie w 1988 roku? W jaki sposób zdobyłeś zaufanie działaczy emigracyjnych? Czy miałeś jakieś rekomendacje?

– Zaufanie przyszło w miarę szybko i okazało się znaczne. Wynikało z wielu rozmów, które ze mną prowadzono. Pojawiłem się tam trochę jako ciekawostka. Stale współpracował ze środowiskiem uchodźstwa politycznego

¹ **Turkowski Krzysztof**, ur. 17 V 1954 we Wrocławiu. Absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, kierunek historia (1977)

1973–1975 w SZSP

We IX 1975 współorganizator strajku studentów polskich na budowie w Kari-Manc-Stadt (obecnie Chemnitz) w NRD. W X po powrocie do kraju zatrzymany i przesłuchiwany pod zarzutem kolportażu wydawnictw niezależnych.

1977–1980 pracownik Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu.

1976–1980 współpracownik KOR/KSS KOR. NOW-ej; 1978–1980 działacz SKS we Wrocławiu; 1979–1980 Klubu Samoobrony Społecznej we Wrocławiu. 1976–1980 kolporter niezależnych wydawnictw, m.in. „Biuletynu informacyjnego”, „Robotnika”, „Biuletynu Dolnośląskiego” oraz książek. 1979–1980 współpracownik redakcji niezależnego „Biuletynu Dolnośląskiego”, 1979–1981 redaktor i autor w niezależnym piśmie „Tematy”. 1976–1980 wielokrotnie zatrzymywany, poddawany rozmowom ostrzegawczym, rewizje mieszkania.

21–31 VI 1980 uczestnik strajku w Zajezdni nr VII MPK we Wrocławiu, członek MKS we Wrocławiu, przewodniczący grupy wspomagającej MKS, redaktor „Komunikatów Strajkowych MKS we Wrocławiu”. Od IX 1980 w „S”, członek Komitetu Założycielskiego, IX 1980–VI 1981 wiceprzewodniczący Prezydium MKZ we Wrocławiu, III–VI 1981 także rzecznik prasowy. IX–XI redaktor „Solidarności Dolnośląskiej”, 1980–1981 autor; II–III 1981 redaktor niezależnego „Serwisu Informacyjnego MKZ Wrocław”. VI 1981 delegat na I WZD Regionu Dolny Śląsk, członek ZR; członek Komisji Zjazdowej, IX/X delegat na I KZD.

13 XII 1981 współorganizator strajku w Zajezdni nr VII MPK. na strajku Politechniki Wrocławskiej. V–VIII 1982 redaktor podziemnego pisma „Z Dnia na Dzień”. 1983–1985 archiwista w Spółdzielni Inwalidów Usług Specjalistycznych we Wrocławiu. 1983–1989 współorganizator spotkań opozycji i wykładowca w ramach Duszpasterstw Akademickich: Wawrzyny, Dominikanie, ojców Kapucynów na Sudeckiej, Duszpasterstw Ludzi Pracy: we Wrocławiu na Al. Pracy, Franciszkanów na Karłowicach, a także w Bielawie, Dzierżoniowie, Legnicy, Jeleniej Górze, Głogowie, Nowej Soli, w Głubczycach, Strzelinie. Ząbkowicach. Łądku Zdroju. Współorganizator obozów dla młodzieży szkolnej i akademickiej. W latach 1983–1988 stały wykładowca w czasie sierpniowych pielgrzymek na Jasną Górę. Wykładowca Tygodni Kultury Chrześcijańskiej. 30 X 1984–1987 członek Komitetu Obrony Praw Człowieka we Wrocławiu. 1983–1987 kilkakrotnie zatrzymywany i przesłuchiwany, rewizje mieszkania. VIII 1988–IV 1989 pobyt w Austrii i Niemczech.



Krzysztof Turkowski przed siedzibą Prezydenta RP na uchodźstwie w Londynie.

Ryszard Czarnecki, który był dziennikarzem w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza”, tam pracował i łatwo tam się ze względu na związki biograficzne usadowił.

Zaś ja zjawiłem się – jak już wspomniałem – w charakterze takiej ciekawostki. Niewyobrażalna miłość emigracji londyńskiej do kraju łączyła się przecież z żywym zainteresowaniem, co się tam dzieje.

– Nie byłeś jednak pierwszy, który z kraju do nich przyjechał...

– Oczywiście, przede mną pojawił się tam Kornel Morawiecki, różni inni działacze.

– Czy był wśród nich również Moczulski?

W V 1989 wyjechał za granicę (W. Brytania). 18 XII 1989–1991 członek Wrocławskiego KO „S”; 1990–1994 radny Rady Miasta Wrocławia z listy WKO „S”, wiceprezydent. 1995–1998 prezes PAI FILM, od 1997 doradca prezesa Polsat, członek Rady Nadzorczej RSTV, od 2003 prezes spółki Antena 1. 2004–2006 członek zarządu TV Puls. 2006–2008 Przewodniczący Rady Nadzorczej PAP. 2008–2012 Przewodniczący Rady Nadzorczej TV Lubin. Członek Prezydium Dolnośląskiej Federacji Kultury we Wrocławiu, przewodniczący Stowarzyszenia na Rzecz Rozwoju Wrocławia, wiceprzewodniczący Stowarzyszenia Nadawców Radiowych i Telewizyjnych, Stowarzyszenia Autorów Radiowych i Telewizyjnych. 2011–2015 w Radzie Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej.

Autor licznych publikacji w prasie solidarnościowej, podziemnej i emigracyjnej, cyklu rozmów z liderami emigracji londyńskiej, twórcą audycji historycznych i politycznych w Radiu Wolna Europa, PR, Radiu Kolor i Radiu Wrocław.

W 1985 laureat Fundacji Polcul. W 1986 odznaczony Nagrodą Solidarności Dolnego Śląska.

Odnaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski przez Prezydenta Kaczorowskiego / Rząd RP na Uchodźstwie w Londynie (1989).

W 2007 odznaczony Krzyżem Oficerów Orderu Odrodzenia Polski przez prezydenta Kaczyńskiego.

10 X – 23 XII 1975 rozpracowywany przez Wydz. III KW MO we Wrocławiu w ramach SOS krypt Danka, 24 II 1978 – 24 VIII 1984 przez Wydz. III KW MO we Wrocławiu w ramach SOS/SOR krypt 54; 7 XI 1984–10 VII 1989 przez Wydz. V-I WUSW we Wrocławiu w ramach KE/SOR krypt. Mikołaj.

– Leszek Moczulski również. Jedni działacze z kraju byli entuzjastyczni, inni raczej powściągliwi. Mnie w POSK przy jakiejś okazji poznała pani Teresa Lechnicka-Affeltowicz, która pozostawała czołową postacią Skarbu Narodowego i jednocześnie wiceprzewodniczącą Rady. Była od zawsze działaczką i to w kolejnym pokoleniu. Wywodziła się z zasłużonej rodziny, jej ojciec i dziadek to senatorowie Drugiej Rzeczypospolitej i działacze ZET-u. Sama działała w dość niezależnej grupie, którą tworzyło młodsze pokolenie. Rocznik dwudziesty czwarty, oficer Powstania Warszawskiego i konspiracji, z dobrej rodziny ziemiańskiej, więc jeśli można tak to ująć miała dar rozprowadzania innych. To ona poznała mnie z Lidią Ciołkoszową, z którą się przyjaźniła. Bardzo też była blisko z małżeństwem pani Darki i Tadeusza Żenczykowskich. Dlatego moja akceptacja za jej sprawą przebiegła tak szybko. Nawet już teraz nie pamiętam, jak to się stało, że zaprosił mnie pan Edward Raczyński. Minister, prezydent, ambasador, ogromna liczba tytułów – a myśmy się dość często spotykali. A potem poszło jeszcze szybciej, bo prowadziłem długie rozmowy z jednej strony z panem Stefanem Soboniewskim, szefem najważniejszej organizacji „przywojskowej”, jeśli tak się można wyrazić oraz z drugiej strony szefem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, organizacji powojkowej i politycznej w jednym – panem Zygmuntem Szadkowskim, kolejną bardzo istotną osobą. Przy okazji pojawiali się wszyscy inni od pana Szolca z jednej strony, poprzez pana Zygmunta



Krzysztof Turkowski w rozmowie z Teresą Lechnicka-Affeltowicz

Szkopiaka po redaktorów z Wolnej Europy, którzy po przejściu na emeryturę osiedlili się w Londynie. A potem wszyscy inni, którzy znali się na sposobach rozmawiania i pozyskiwania wiedzy, ze Zbigniewem Błażyńskim na czele.

– Jak rozumiem, występowałeś trochę w podwójnej roli. Jako wybitny działacz opozycji demokratycznej, tej jeszcze przedsolidarnościowej a potem oczywiście Solidarności również po stanie wojennym, ale też jako osoba mająca *background* historyka, jako profesjonalny historyk znający warsztat...

– To prawda, dzięki temu łatwiej było rozmawiać.

– Fajną miałeś sytuację, bo oni też na pewno chcieli się dowiedzieć, co słyszać w opozycji, w kraju?

– Słuchali mnie wyjątkowo uważnie. Zaś ja znałem ich wewnętrzny język, pojęcia, którymi się posługiwali nie były mi obce, bo zanim pojawiłem się w Londynie, przez 20 lat zajmowałem się bardzo poważnie historią Drugiej Rzeczypospolitej, więc w sposób naturalny potrafiłem się poruszać w ich świecie.

– Wiedziałeś, o co ich pytać, jak rozmawiać.

– Przeprowadzenie wywiadów, rozmów to temat, który oczywiście pojawił się nieco później. Najpierw zdarzały się wielogodzinne kolacje czy lunche, podczas których rozmawialiśmy. Miałem bardzo pozytywny stosunek do wychodźstwa, byłem zwolennikiem legalizmu, te spotkania okazywały się dla mnie ciekawe i inspirujące.

– Legalizm to ważny element?

– Trzeba o tym pamiętać, że legalizm tam panował, w polskim Londynie. Dla mnie oczywiście wielkim przeżyciem stała się pierwsza wizyta na Zamku, jak to się mówiło, czy na 43 Eaton Place, gdzie znajdowała się siedziba prezydenta na wychodźstwie. Zamek znajdował się w dobrej dzielnicy, a w Londynie ten podział pozostaje niezmiennie istotny. Jednak nawet, gdy odwiedzałem te osoby w domach, pozostawały dla mnie depozytariuszami legalizmu władz, bo dla mnie akceptacja władzy, funkcjonującej na podstawie PRL-owskiej konstytucji była niemożliwa, skoro jej rządy wynikały wyłącznie z użycia siły, nie z demokratycznego mandatu.

– **Jednak w tamtym czasie w polskiej opozycji taka postawa...**

– ...nie była typowa.

– **Wtedy jej zwolennicy pozostawali w mniejszości nawet w szeroko pojętym ruchu „S”. Nieliczne środowiska: KPN, później „Solidarność Walcząca” definiowały to równie jasno, jak ty. W tak zwanym głównym nurcie opozycji oczywiście szanowano rząd na emigracji, ale traktowano go jako ciekawostkę, bez prawnych, legalistycznych wniosków?**

– Wynikało to po pierwsze z ogromnej niewiedzy. Nie było świadomości, co wynika z konstytucji kwietniowej, której przecież Polakom nikt nie narzucał, jak tej z 1952 r., rozszerzonej jeszcze ćwierć wieku później o zapis dotyczący sojuszu z ZSRR. Brakowało wiedzy historycznej, białe plamy dopiero wypełniano. Propaganda komunistyczna przez długie lata nie była oczywiście skuteczna, ale obśmiewanie przez nią emigracji londyńskiej pozostawiło pewien ślad w świadomości Polaków. Środowiska opozycyjnej lewicy głosiły opinię, że oczywiście Giedroyc jest pozytywną postacią, ale ten Londyn... Jakby się lekceważyło ten niewyobrażalny dorobek emigracji polskiej, największej od czasu tej Wielkiej po powstaniu listopadowym. Zresztą oni często to porównywali. Do niechętnego obrazu emigracji przyczyniły się też polityczne walki wewnętrzne, wieloletni konflikt między Augustem Zaleskim a jego oponentami bardzo zaszkodził wizerunkowi, stworzył problem. Nawet 30 lat temu brakowało wśród polskich historyków świadomości stanu posiadania emigracji politycznej, dorobku kulturalnego wychodźstwa. Zaczął w Kontakcie robić filmy Mirosław Chojecki, co trochę ten obraz zmieniło, podobnie jak docierająca do kraju literatura. Ale ja miałem taką przyjemność, że na początku lat 70., dzięki mojemu promotorowi profesorowi Henrykowi Zielińskiemu, dostałem chyba pierwszą promesę na korzystanie z dzieł bezdebitowych, więc zanurzyłem się na parę lat we wszystkim, co tylko można było znaleźć w Ossolineum...

– **Czy to ten sam profesor Zieliński, który napisał Historię II RP, jedną z lepszych?**

– Tak, mówimy o tej samej osobie. Napisał też Historię Polski. Notabene profesor Henryk Zieliński to siostrzeniec księdza Bolesława Domańskiego,

przed wojną szefa Związku Polaków w Niemczech. A jego siostrzenica była bardzo ważnym łącznikiem Solidarności po stanie wojennym, teraz jest profesorem. To siostra Andrzeja Szostka, księdza-rektora KUL i ostatniego doktora Wojtyły.

– Jesteś więc szczęściarzem, że trafiłeś na takiego promotora jak prof. Zieliński i szansę tę wykorzystałeś?

– Gdy tylko profesor załatwił mi tę zgodę, od razu zanurzyłem się w tym drukowanym świecie. Wszystko to osobno przynosili mi do czytelnicy, bo tylko na miejscu mogłem się w te publikacje wgłębiać, na wynoszenie do domu zezwolenia uzyskać by się nie dało. I tak połykałem przedwojenne „Wiadomości Literackie”, a że się interesowałem Skamandrytami, starałem się wszystko na ten temat czytać, to potem się zanurzyłem w to, co robił w „Wiadomościach” Mieczysław Grydzewski, który kontynuował to w Londynie. Potem się w tym zaczytywałem, pracując w latach 70. w rękopisach i w Ossolineum, bo już wiedziałem, gdzie jest jaka biblioteka i kto jakie pisma wydawał. Dlatego po latach to było spotkanie niezwykle, gdy u pani Lidii Ciołkoszowej zasiedliśmy sobie i poznałem panią Władę Majewską, żonę – mówili wtedy – naszego wielkiego emigracyjnego twórcy Mariana Hemara. Pokazywano mi wszystko to, co było dla mnie najbardziej wzruszające, mogłem tego wreszcie dotknąć. Pamiętam te wszystkie niezwykle wymiary: Polska Macierz Szkolna i żołnierze, ćwiczący się do walki o niepodległość, oficerowie... Jak się wchodziło do prezydenta Sabbata, to było przeżycie... Pierwszą damą, żoną Sabbata była Anna, córka generała Nikodema Sulika, dawnego dowódcy 5. Dywizji Kresowej, który był również ojcem Bolesława Sulika, dokumentalisty, autora *In Solidarity*, a po powrocie do Polski przewodniczącego Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji...

– Tak, te związki niesamowite...

– Z innego świata, ale dla mnie to było dość czytelne i łatwiej mi się było poruszać, bo znałem parę rodzin znaczących w najnowszej historii Polski.

– Czy środowisko emigracyjne było w jakimś stopniu podzielone?

– To oczywiście.



Krzysztof Turkowski i Paweł Chmiel w rozmowie z Tadeuszem Żenczykowskim

– Czy odczułeś tę różnicę, że rząd, zamek, legaliści, grupa generała Andersa, jednym słowem historyczne spory?

– Nie, tego już nie było.

– Czy czułeś, że ktoś się do Ciebie odnosi z rezerwą, ktoś inny bardziej bezpośrednio?

– Najlepsze były moje kontakty ze środowiskiem politycznej emigracji wojskowej czyli poandersowskiej i nie tylko poandersowskiej, bo istniał stereotyp, że to tylko żołnierze generała Andersa, ale ci londyńczycy byli bardzo różni. Przecież z jednej strony był Edward Raczyński, a z drugiej akowskie środowiska z Tadeuszem Żenczykowskim. Tu było bliżej pani Lidii Ciołkoszowej i pani Teresie Affeltowicz, bardzo ważnej w ich środowisku. A przecież był tam i Kazimierz Sabbat i ludzie, związani z Redutą, z takim działaczem ludowym jeszcze przedwojennym – nazywał się Kazimierski, to był mocno schorowany pan. I to była ta tradycja. Pojawiały się w rozmowach nazwiska ludzi, których nie-stety nie spotkałem, bo odeszli, konsul Trembecki, starzy piłsudczycy związani z grupą Wendy, Wragi, to byli ci z Dwójki przedwojennej. Oczywiście podziały były, nie tylko w Londynie, bardzo duża grupa osadników, która przyszła z Andersem, rozeszła się po całej Wielkiej Brytanii... Istotną strukturą było oczywiście Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, bardzo ważny był Skarb –

konkretna rzecz. Wojna się skończyła w czterdziestym piątym roku a oni zbierali pieniądze na Polskę w latach osiemdziesiątych. Proszę sobie wyobrazić, jak ja im opowiadałem, że u nas w siódmym roku po stanie wojennym są płacone składki na Solidarność.

– **Tak, to był wspólny punkt.**

– Takich wspólnych znaczeń było wiele. Do naszych wydawnictw podchodzili z wielkim szacunkiem.

– **Ale różniłeś się też w opiniach z emigrantami?**

– Reprezentowałem wtedy pogląd, który dzisiaj oceniam już jako naiwny, że liczą się ruchy społeczne. Na co oni, starsi państwo o znanych nazwiskach kategorycznie mi odpowiadali: nie, muszą być partie, jak ma być wolna Polska.

– **Nasze myślenie było inne: Solidarność była tym ruchem, który miał zniszczyć komunizm, a potem...**

– A potem... w roku osiemdziesiątym dziewiątym dalej byliśmy niewyrobeni. Dla pani Lidii Ciołkoszowej ważny był jej ukochany PPS. I była ostatnia



Krzysztof Turkowski w rozmowie z Lidią Ciołkoszową

walka Jana Józefa Lipskiego i paru innych ludzi, którzy tę ideę zniszczyli piłsudczykom. Przypominam sobie natomiast, że środowisko piłsudczykowskie Londynu z dystansem podchodziło do KPN. Nie chcieli tego herbu przekazać. Nie mieli zaufania. Ale poznałem też kręgi, w których KPN traktowano z sympatią. Do nich docierały przede wszystkim gazety, dyskusje, ciekawili ich autorzy. Zbigniew Błazyński chciał się ode mnie czegoś dowiedzieć o Dawidzie Warszawskim. Ich wiedza była różna, ale działało tam paru doświadczonych dziennikarzy. Żenczykowski, który budował Wolną Europę, to ciągle niedoceniana postać.

– **U kresu swojego długiego życia otrzymał jednak order Orła Białego.**

– Ale nie doceniona tutaj w kraju. Tacy jak on, budując Wolną Europę, nie stworzyli tylko centrum zbierania informacji. Wolna Europa z Nowakiem-Jeziorańskim i nie tylko utrzymywała bardzo wielu wybitnych przedstawicieli polskiego życia intelektualnego. Tu w kraju.

– **Władysław Bartoszewski od lat 70 żył z felietonów i materiałów dla nich, a to postać sztandarowa, rzecz dotyczy też wielu innych.**

– Oczywiście, sam w 1988 roku dostałem 500 marek czy dolarów już nie pamiętam...

– **Ale w obu wypadkach przeliczniki były kosmiczne.**

– Za jedną audycję to ja miałem grubo ponad rok życia. Moja rodzina: ja i żona z dzieckiem, mogliśmy wszyscy spokojnie funkcjonować. Jak dostawałem Polcul, też 500 dolarów na rok stypendium, to porównanie z tymi pensjami w Polsce wypadało jednoznacznie.

– **O tym się nie pamięta, o roli tych instytucji, jak Polcul czy RWE, które w różny sposób pozyskiwały te środki...**

– Wolna Europa jak wiadomo była dotowana przez National Endowment for Democracy, ale też było wielu Polaków, którzy zbierali środki na opozycję w kraju.

– **Składali się, były też składki.**

– Ale był na przykład – prowadziła go pani Teresa Affeltowicz – fundusz dla żołnierzy Sił Zbrojnych na Zachodzie, którzy mieszkali w Polsce i dostawali zasiłki do miesiąca.

– **Bardzo ciekawe, nie wiedziałem o tym.**

– Tak, ona miała ich kartoteki. Oczywiście dostawali, tylko mówiła: no ciężko mi nieraz jest, bo ja żołnierz, również oficer Armii Krajowej wysyłam głównie na Śląsk, a oni wcześniej byli w wermachcie, korpusie Rommla...

– **To już niesamowite paradoksy polskiej historii.**

– Ale należało się, walczyli. Wobec Ślązaków na froncie obowiązywała zasada: przechodzicie i jesteście w polskim wojsku. I oczywiście oni walczyli pod Monte Cassino i w Bolonii. A potem te 15 funtów to dalej było bardzo dużo. Emigranci ze swoich skromnych pieniędzy dawali, zbierano. Bo to Skarb Narodowy – zwróć uwagę na ciągłe osadzenie w polskiej tradycji historycznej.

Parokrotnie słyszałem od nich: my jesteśmy mała emigracja, bo Wielka Emigracja to była za Czartoryskiego, takie porównanie. Ale przecież... co to takiego Skarb Państwa?

– **Czuli tę ciągłość, tak?**

– Oczywiście. I jakie instytucje budowali. Pan Stachiewicz mi opowiadał o Wydziale Architektury na Uniwersytecie w Liverpoolu, w którym Polacy studiowali.

Krzysztof Turkowski w rozmowie z synem gen. Stachiewicza w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Londynie



– Czy tam nie skończył czasem studiów Jaraczewski?

– Tak, to są takie historie, które gubimy. Z kolei Instytut Piłsudskiego w Londynie był bez porównania skromniejszy niż w Nowym Jorku. Tam były córki, oczywiście pułkownik Ignacy Matuszewski i major Henryk Floyar-Rajchman. Z kolei w Londynie imponujące było to, co robiła Reduta czy ci starsi pułkownicy, polska szkoła sowietologiczna, stworzona przez elity władzy Drugiej Rzeczypospolitej. Jednak różne środowiska pozostawały pokłócone. Dobrze nie poznałem tylko endeków, bo zawsze była mi bliższa tradycja legionowo-peowiacka. Z relacji tylko dowiedziałem się, że Tadeusz Bielecki to była duża głowa, tak o nim mówiono, był jeszcze Darkas, już trochę młodsze pokolenie. Prawie już nie było ludowców, o Kazimierskim już wspominałem.

– Skoro o nich mowa, czy w londyńskich rozmowach pojawiały się jakieś oceny Stanisława Mikołajczyka?

– W dobrym towarzystwie nie o wszystkim się mówi.

– No właśnie...

– Myślę, że to trochę pointuje jego specyficzne zachowanie. Poza tym tamci jak mówiono załapali się na Amerykę, poza Stanisławem Mikołajczykiem również Stefan Korboński... Natomiast problemem ośrodka londyńskiego okazał się konflikt prezydenta z liderami stronnictw, wynikał z uporu Zaleskiego, a przynajmniej od niego się zaczął, to sprawy wielokrotnie już opisywane. Oprócz sporów politycznych istniały jednak rzeczy trwałe: coś takiego jak Polska Macierz Szkolna, ośrodek w Fawley Court, który z tych składeczek oni zbudowali. Naprawdę dzięki składkom takie obiekty wznosili.

– Gdy byłem w Anglii, odwiedziłem słynną szkołę zakonną pod Londynem...

– Działo parę takich szkół...

– ...a tam znalazłem nawet małe muzeum, a oprócz nauki uczniowie również rzeźbili.

– Z Twojego opisu rozpoznaję, to musiało być u marianów w Fawley Co-

urt. Inne ważne dla Polaków miejsca to knajpa lotników, gdzie się nasi bohaterowie wojenni spotykali, pomnik w Amersham, nasze cmentarze.

– Wyliczmy, z kim udało Ci się spotkać.

– Generała Klemensa Rudnickiego spotkałem już w końcu jego życia niestety, rozmawiałem z generałem Stanisławem Maczkiem. Do pana Edwarda Raczyńskiego byłem zapraszany na śniadania i długie rozmowy, towarzyszyła mu pani Aniela Mieczysławska, która się nim opiekowała i pod koniec została jego żoną. Bardzo ciekawy był dla mnie dom państwa Żencyzkowskich, Tadeusza i pani Darki. Podobnie jak po drugiej stronie Tamizy dom pani Lidii Ciołkoszowej i całe jej otoczenie. Oczywiście Zamek, na którym mieszkał prezydent Kazimierz Sabbat, który był następcą Ostrowskiego i Raczyńskiego. Poznałem prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego i jego dom. Ważną postacią był profesor Edward Szczepanik, pracownik FAO, agendy ONZ do spraw żywienia i rolnictwa.

– Szef rządu.

– Tak, był premierem rządu londyńskiego w latach 1986–1990. Innym moim rozmówcą był Ludwik Łubieński, który zawsze pojawiał się w ważnych momentach historii drugiej wojny światowej. Ważny dla zorganizowanych struktur kombatanckich był pan Zygmunt Szadkowski. Cennym interlokutorem był pan Zbigniew Błazyński. Zaciekał mnie pan Stachiewicz i oczywiście jego przyjaciółki panie Wanda i Jadwiga Piłsudskie. Mnóstwo interesujących ludzi pojawiało się w domu pani Teresy Affeltowicz a także w Leamington Spa u pana Szolca czy w domu profesora Zygmunta Szkopiaka, który jako minister rządu londyńskiego zajmował się sprawami zagranicznymi. Półtora miesiąca spędziłem u pani Zofii Szogonowej, wdowie po staroście białostockim i ostatniej łączniczki generała Okulickiego.

– „Niedźwiadka”...

– To osoba, która rozwoziła ostatni rozkaz – rozwiązania Armii Krajowej. Legendą jeśli chodzi o dziennikarstwo polskie na wychodźstwie pozostał Tadeusz Nowakowski. Moimi rozmówcami byli też panowie Czyżewscy, dawni pra-



Krzysztof Turkowski z wizytą w domu Państwa Żenczykowskich

cownicy Wolnej Europy, którzy potem redagowali „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, a także redakcja „Tygodnia Polskiego”.

– Jak udało Ci się dotrzeć do tak imponującej listy rozmówców?

– Oni mnie w pewnym momencie przekazywali sobie, to cała tajemnica. Po pewnym czasie wpadłem na pomysł, żeby ponagrywać z nimi rozmowy. Byłem przekonany, że warto, bo inaczej wiele ważnych spraw umknie naszej uwadze, zwyczajnie odejdzie wraz z nimi. Gdybym wtedy dysponował dzisiajszą wiedzą, zapewne zrobiłbym to staranniej. Nie posłuchałem Ryśka Czarnackiego, który radził, żeby rozmowy przeprowadzać z użyciem techniki wideo.

– Czy spotykałeś się w Anglii z przedstawicielami innych narodów ujarzmionych przez ZSRR?

– Różne takie spotkania się odbyły. Z Władimirem Bukowskim, rosyjskim dysydem, autorem „I powraca wiatr” oraz broszury „Pacyfiści kontra pokój” przemawiałem na ogromnym wiecu. Spotkałem się z panią Sławą Stećko, liderką emigracji ukraińskiej bardzo propolską, której mąż był wcześniej drugą osobą po Stefanie Banderze. Takie to emigracyjne paradoksy.

– Czy miałeś kontakty z późniejszą polską emigracją, środowiskami ANEKSU i BBC?

– Z marcowej grupy... Raz spotkaliśmy się z Eugeniuszem Smolarem, u niego w domu, ale to była krótka rozmowa. Natomiast intensywne kontakty utrzymywałem z osobami, które tak jak ja przyjechały z kraju. Jedną z nich był historyk Andrzej Friszke, z którym znaliśmy się od 1976 roku. Bardzo był lubiany przez panią Lidię Ciołkoszową i Teresę Affeltowicz. Sam wprowadziłem w to środowisko, w przekonaniu, że może być dla niego ciekawy Lothara Herbst, mojego bliskiego przyjaciela. Wcześniej on mnie ciągał po Niemczech, teraz ja go ściągnąłem do Londynu. Lothar Herbst, gdy wręczyli mu Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski po prostu się popłakał. Wzruszył się: – Ja, syn żołnierza wermachtu, który zginął pod Stalingradem, dostałem takie polskie odznaczenie.

– Znowu niesamowita historia... A jak układały się relacje polskiego Londynu z polskim Paryżem?

– Oba środowiska żyły osobno. Wiadomo, że Jerzy Giedroyc doskonale znał rodzinę Raczyńskich, bo przecież współpracował z ambasadorem w Bu-



Wręczenie Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski Lotharowi Herbstowi w siedzibie rządu emigracyjnego w Londynie

kareszcie czyli bratem ministra i prezydenta Edwarda Raczyńskiego, ale szczególnej zażyłości nie było. Po 13 grudnia to Paryż był najważniejszy dla nas, bo tam znalazł się Mirek Chojecki.

– W Anglii jednak też działały środowiska typowo solidarnościowe jak Solidarity with Solidarity Tadeusza Jarzembowskiego-Jarskiego, bo tak pod podwójnym nazwiskiem występował?

– Pamiętam Solidarity with Solidarity, ale stara emigracja podchodziła dość powściągliwie do Jarskiego. Oczywiście znałem przedstawiciela Solidarności Walczącej Tadeusza Warszawę. Bo przedstawicielem środowiska CDN była Teresa Lechnicka-Affeltowicz, oficer AK... Oczywiście cały czas trwały dyskusje, bo Żenczykowski i Affeltowicz i jeszcze kilka osób byli raczej powściągliwi wobec wielu ruchów. O Janku Chodakowskim trudno właściwie powiedzieć, że to emigrant, skoro urodził się w Kuala Lumpur. Młodszy ode mnie, został ważnym wydawcą, twórcą Polonia Book Fund i rzeczywiście zrobił bardzo dużo. Wtedy pewna generacja się kończyła, młodszy ludzie wchodzili „Tygodnia” i do „Dziennika Żołnierza”.

– Działało również wydawnictwo Orbis.

– Ktoś z tego katolickiego wydawnictwa, niestety już nie pamiętam, jak się nazywał, zaprosił mnie na spotkanie. Strasznie ciężko pracowali, ale ich dzieło życia się kończyło, bo dzieci nie czytały po polsku, nie chciały, wołały korzystać z języka angielskiego i to był dodatkowy problem. Bo oni żyli bez żadnego wsparcia. Obowiązywał taki dekalog: nie chodzimy do ambasady, stajemy na głowie, żeby zostać na paszportach nansenowskich, uchodźczych... Przy okazji tego spotkania pojawiła się u mnie taka refleksja, że bardzo wielu ludzi skorzystało z naszej walki po 13 grudnia 1981 r, żeby wyjechać za granicę i różne były ich losy. A tamci, niezłomni z Londynu, byli tam, bo chcieli wolnej Polski...

– Jak Londyńczycy odnosili się do przywództwa Solidarności, do głównego nurtu opozycji skupionego wokół Lecha Wałęsy?

– W czasie mojego pobytu w Londynie przyjechał tam Wałęsa z kilkuosobową delegacją.

– Pamiętam, że był z nim Bronisław Geremek.

– Ja go nie widziałem, ale był Władek Frasyniuk, pozostający wtedy numerem 2. Byliśmy blisko związani i oczywiście się spotykaliśmy. Tam się człowiek przy okazji nauczył, jakie są gatunki win, z których roczników i jaką whisky pić, że naprawdę jeżeli wodę, to tylko szkocką źródlaną. Wałęsa wzbudził pewną nieufność. Gdy tylko zaczęły się pamiętne rozmowy w Magdalence, poprzedzające Okrągły Stół – ta niesłychana nieufność się pojawiła. Niektórzy w Londynie byli całkiem nieprzejednani, ale znaczna część raczej podkreślała, że trzeba uważać, bo to są gracze – duzi gracze. Trzeba pamiętać o tym, że Polacy z Londynu byli ludźmi, którzy mieli ogromne doświadczenie i potrafili analizować rzeczywistość, również tę krajową. Dla mnie pozostawali jedyną ocalałą elitą Polski, której reszta została wymordowana albo zgłajchszaltowana.

– Tę elitę cechowała pewna ciągłość myśli i analizy tego, co działo się na Zachodzie i w Rosji. W jaki sposób to odczułeś w trakcie swojego pobytu?

– To nawet w języku się objawiało. Siedzimy na jakimś spotkaniu i nagle Lothar Herbst, którego tam ściągnąłem, mówi do mnie: – Krzysiek, słuchaj... Pytam więc, czego mam słuchać. A on na to: – Słuchaj. Bo ja prawie ślepy jestem, ale słuch mam dobry. Słuchaj tego języka polskiego, jakim oni się posługują, bo więcej się z nim już nigdzie nie spotkamy.

– Miał rację?

– Tak, to była piękna polszczyzna „Wiadomości Literackich”, „Pana Tadeusza” i Mariana Hemara. Jak już dowcip – to Hemarowski, a nie jak często w kraju bywało prymitywny. U nas Kabaret Starszych Panów reprezentował tę lepszą tradycję. Emigracja ją zachowała. Kilkadziesiąt lat miłości i tęsknoty wyznaczało jej postawę wobec kraju. Obowiązywała przy tym reguła, żeby do gmachu ambasady nawet się nie zbliżać. To wciąż ten sam budynek, w którym urzędował Raczyński, ale nie zbliżano się tam, z ambasadą wiązała się też tradycja Kiszcza.

– Właśnie, czterdziesty szósty rok i Kiszcza...

– To była inna już spuścizna: szpiegostwo, inwigilacja, napuszczanie jed-

nych polskich emigrantów na innych. Dzisiaj to nie ma już żadnego znaczenia. Miałem to szczęście, Andrzeju, naprawdę miałem szczęście, że zetknąłem się z ludźmi z zupełnie innego świata.

– I to w momencie pewnego historycznego przejścia, bo pamiętamy, że tam w Londynie pewne pokolenie niestety odchodziło już w sposób naturalny, a w Polsce z kolei następowała pewna historyczna zmiana, wracaliśmy do wolności i niepodległości, akurat w tym momencie Ty patrzyłeś z bliska na świat londyński.

– Pamiętam jak zrobiliśmy spotkanie z chłopakami z kraju na Zamku, bo legalizm pozostawał ważny, przyjechał Władek. Przyszli wszyscy, więc siedzieli Raczyński z panią Mieczysławską, dokładnie nie pamiętam, czy uczestniczyły siostry Piłsudskie, ale mogły wtedy być. I Sabbat, dobra głowa, wszyscy się pojawili. Zawiozła nas tam Ania, córka pani Teresy, urodzona w Stratford, ale mówiąca po polsku tak jak my, tylko ładniej, posługująca się jakby czystsza polszczyzną. Władek w latach 1988–1989 był już żywą legendą. Znałem go doskonale i pozostawałem osobą wspomagającą to spotkanie, więc mniej tro-



Krzysztof Turkowski w rozmowie z Edwardem Raczyńskim i Anielą Mieczysławską

chę niż inni uległem nastrojowi. A oni siedzieli zasluchani. Pili, jedli i wstuchiwali się jednocześnie w te opowieści. Niektórzy nawet byli zazdrośni, kto z kraju u kogo się pojawi i z kim się spotka. Ktoś z uczestników spotkania rzucił, że jest specjalistą od wyprowadzania fabryk z kryzysu, przez lata jeździł w tym celu po Ameryce Południowej. A Władek na to: – A tam jest cały kraj do roboty. Takie odbywały się spotkania...

– Jak rozumiem tym, którego Frasyniuk zachęcał do podjęcia nowego wyzwania był Jeffrey Sachs, wcześniej doradca w Boliwii i u prezydenta Carlosa Menema w Argentynie. Istniało środowisko London School of Economics, które wywarło później spory wpływ na przemiany gospodarki w Polsce. Wywodził się z niego Stanisław Gomułka, doradzający wcześniej Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu, a potem Leszkowi Balcerowiczowi przy jego planie. Po latach został jeszcze zastępcą Rostowskiego.

– Nie pamiętam Jacka Rostowskiego, wiem, że oni, środowisko London School of Economics, spotykali się w POSK-u w takim młodzieżowym klubie. A trzeba pamiętać, że wtedy też miałem trzydzieści parę lat, poszedłem z nimi na wędrowkę po górach. W tym środowisku działał Stanisław Berkiet, który był wiceszefem Citibanku i jednocześnie liderem harcerstwa.

– Mówiło się nawet, że na emigracji działa grupa harcerska.

– To byli Sabbat i Kaczorowski. Złośliwi oczywiście ironizowali, że ci harcerze po 65 lat mają, a ciągle kolana odsłaniają. Jednak to byli ludzie wcześniej niższego szczebla, ale działający przy Andersie, przy Komorowskim, przy Pełczyńskim, przy Arciszewskim, i to oni przechowali Drugą Rzeczpospolitą. Niebawem nastąpiło przekazanie insygniów, zdarzenie niedoceniane, ale Wałęsa niestety nie czuł, jakie to ma znaczenie. To był powrót Drugiej Rzeczypospolitej. Wiele ważnych instytucji jednak na emigracji zostało również wówczas, gdy komunizm w Polsce już upadł: oczywiście ogromny Instytut Generała Sikorskiego, Studium Polski Podziemnej, Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny, Instytut Józefa Piłsudskiego i oczywiście ogromne Stowarzyszenie Kombatantów Polskich, Polska Macierz Szkolna, której walki o polskość ko-

lejších pokoleń dzieci emigrantów wciąż się nie docenia, harcerstwo – to były kontynuacje organizacji najbardziej patriotycznych. Wolnej Polsce i Polakom znakomicie służyły skromne sobotnie szkółki...

– Czy w okresie zmiany w Polsce pojawiła się w Londynie taka tendencja, że sprzedadzą mieszkania, wrócą do kraju, żeby pomóc?

– Młody mógł pomóc, stary już nie, raczej tak to odczuwano. Wyczerpanie fizyczne, doświadczenia wojenne się do tego przyczyniały. Biologia okazywała się często nieubłagana, więc wbrew własnym marzeniom sprzed lat wracali, ale w urnach. Oczywiście bywało inaczej, pamiętam delegację z insygniami, pewnie wielu jej uczestników miało poczucie dumy i satysfakcji.

– Czy po zmianie tak diametralnej emigranci z Londynu czuli się przedstawicielami wolnej Polski za granicą?

– Nawet nie, mówili raczej: wypełniliśmy zadanie. Udało się, doczekaliśmy. Po latach Polacy w Dortmundzie bardziej żyli sukcesami Borussi, kiedy tam grali Robert Lewandowski i Jakub Błaszczykowski, niż przywiązaniem do tej tradycji, o której teraz rozmawiamy. Ale gdy jest wolny świat, wolna Europa – okazało się, że nie ma takiej potrzeby.

– Znaleźli się jednak tacy, którzy dbali o uhonorowanie Polaków z Anglii?

– Wielką rolę odegrał nowy konsul, pan Janusz Kochanowski, który zginął potem w Smoleńsku. Ambasadorem został mecenas Tadeusz de Virion, nastąpiła wymiana. Ci starzy przyznawali, że podszedł do emigracji z ogromnym szacunkiem. Docenili to ci, którzy mieli przez kilkadziesiąt lat nansenowski paszport uchodźczy i teraz naprawdę dostali paszport z orłem w koronie.

– Poza ludźmi, wielkimi postaciami znanymi z historii, jakie zdarzenia wywarły na tobie największe wrażenie?

– Struktura istniejąca, którą tam zastałem, chociaż wiadomo, że bywało przedmiotem żartów to, że rząd nie uznawany ma ministra spraw zagranicz-

nych, chociaż przez jakiś czas Watykan czy niektóre kraje latynoskie to przedstawicielstwo jeszcze uznawały. Nawet jeśli część emigracji zachowała do tego dystans, było dla niej oczywiste, że mamy w sprawach polskich występować. Ciągłość robiła wrażenie, ten Zamek, gdzie Wendorf był cały czas dokąd mógł przy Augustie Zaleskim. POSK zbudowali z tych swoich skromnych składek, gdzie była biblioteka bardzo dla Polaków ważna, pan Jagodziński, niezmiernie istotna postać. Działały Instytut Piłsudskiego i PUNO – Polski Uniwersytet Na Obczyźnie. Mam wrażenie, że to jedyna emigracja polityczna po drugiej wojnie światowej, która wytworzyła takie struktury. Nie mieli podobnych Litwini, Estończycy, Łotysze ani Ukraińcy.

– Jak wyglądały ich relacje z naszą emigracją niepodległościową?

– Oczywiście były dwa poziomy: jeden to kontakty dziennikarskie w Wolnej Europie, drugi to bezpośrednie spotkania. O istnieniu takiego bloku antykomunistycznego narodów Europy Środkowo-Wschodniej przekonałem się, gdy przemawiałem w ogromnej hali do paru tysięcy ludzi w towarzystwie rosyjskiego emigranta Władimira Bukowskiego, ukraińskiej liderki Sławy Stečko i parlamentarzystów ukraińskich z parlamentu brytyjskiego. Trochę już o tym spotkaniu Ci opowiadałem. Byłem tam jako jedyny Polak. Dla mnie stanowiło to ogromne przeżycie. I jeszcze po spotkaniu poszliśmy na piwo z Władimirem Bukowskim, który dla nas był wtedy absolutnie symboliczną postacią.

– Czy w trakcie spotkań z Polakami miałeś poczucie pewnej ciągłości i łączności pokoleń? Znajdowaliście wspólny język, odkrywaliście go?

– Absolutnie tak, bo wyobraż sobie, że mnie w dzieciństwie ojciec zmuszał do czytania „Zajaca” Adolfa Dygasińskiego. Dzisiaj nikt nie wie, że coś takiego jest w polskiej literaturze. A moi londyńscy rozmówcy też to w dzieciństwie czytali. Okazało się, że mieliśmy podobne lektury, co stanowiło dla mnie jedno z najbardziej zaskakujących londyńskich odkryć. W kinie zawsze lepiej czułem się na filmie przedwojennym niż współczesnym. Dzięki zainteresowaniu Drugą Rzeczpospolitą rozróżniałem poszczególne kabarety. Rozmowę z panią Władą Majewską z pewnością to ułatwiało.

– Przedwojenna Warszawa w jakimś sensie przeżyła i była obecna w tym emigracyjnym Londynie?

– Emigranci nie idealizowali oczywiście bez miary tamtego utraconego świata. Pani Lidia Ciołkoszowa opowiadała o swoich doświadczeniach harcerskich, nadmieniała, że ponieważ była żydowską harcerką, musiała osobno iść, gdy odbywał się marsz – słuchanie tego nie było miłe, nawet jeśli się o takich faktach wiedziało z lektur. Ciekawe, nawet pasjonujące było utrzymanie domu polskiego o takiej niepodległościowej tradycji pomimo podobnych przeżyć. A dla mnie kultowa była Warszawa drugiej wojny światowej, wiedzę o niej uosabiał Tadeusz Żenczykowski. Potem tam się pojawił z kraju Władysław Bartoszewski, odświeżały się przyjaźnie, anegdoty, wspomnienia.

– Czy coś Cię zaskoczyło w funkcjonowaniu polskiego Londynu?

– Pomimo obśmiewania polskiego wychodźstwa przez propagandę, jego samotności i trudnej sytuacji, gdy brytyjskie władze uznały, że partnera znajdują w rządzącym kraju, mniejsza o to, że komunista – objawił się na emigracji pewien profesjonalizm, którego w kraju wciąż brakuje. Środowisko miało tak zwany kontakt w Home Office, czyli nazwijmy to bezpiecznie szeroko rozumianej, wtedy, gdy trzeba było przyspieszyć wydanie komuś paszportu, ale i w sprawach poważniejszych, związanych – powiedziałbym ogólnie – z bezpieczeństwem NATO. Dzięki temu Błażyński, Soboniewski czy Żenczykowski uczestniczyli w różnych istotnych dla wspólnoty wolnego świata wydarzeniach. Natomiast niemile zaskoczyła mnie niesłychana pauperyzacja wielu ludzi z polskiej emigracji, to był dramat.

– Czy to było odczuwalne, rzucało się w oczy?

– Widać to było, zwłaszcza, że minęły lata. Pierwszy okres też był bardzo przykry, poniżający dla nich. Na przykład słynna srebrna polska brygada, chyba w Hotelu Dorchester, od majora wzwyż – to byli specjaliści od szorowania sreber. Niektórzy mieli głowy do interesów, jak pani Szagonowa, która zawsze kredyty załatwiała, miała dużo domów, w nich wszystkie meble osiemnastowieczne. Mąż pani Affeltowicz założył fabrykę radiotechniczną,

w której sporo emigrantów dostało pracę. Również Sabbat robił biznes, miał bodajże fabrykę kolder. Niektórzy pracowali w instytucjach, w których traktowani byli trochę z przymrużeniem oka. Inni po początkowych upokorzeniach ujawnili swoje talenty w branżach, niemających związku z tym, czym się przed wojną zajmowali. Generał Rudnicki po dwóch latach pobytu dostał propozycję pracy w stajniach jako specjalista od kawalerii w stopniu generała. Zawsze miał zdolności malarskie, znał się na sztuce, więc pojechał do Szwecji, gdzie kupował stare obrazy, których miejscowi nie doceniali. A potem – jak opowiadał – wprowadził je na rynek brytyjski w ten sposób, że pokazał je w dobrym dniu na Wimbledonie niedaleko kortów tenisowych i znalazły wzięcie. Porządnie na nich zarobił.

– Czy emigranci starali się nawzajem sobie pomagać, czy różnie z tym bywało?

– Jak w Polsce, jak w Polsce...

– Rozumiem.

– Elitą byli „wolnoeuropejczycy”, inaczej niż BBC, bo oni mieli dobre emerytury, amerykańskie, więc mieszkali ładnie, a przy tym w dobrych lokalizacjach i pozostawiali przedmiotem zazdrości. Rzeczą istotną pozostawała na emigracji dbałość o to, żeby dzieci się uczyły. Rodzice jak mogli inwestowali w to, żeby angielski kolejnego pokolenia był bogaty i poprawny. Skromniejsze polskie domy widziałem w środkowej Anglii. Wśród elity słyszało się czasem uwagi, no zobacz, mieszkają w tej Anglii trzydzieści lat, a jak idziesz u nich do toalety, to tam papieru nie ma, tylko gazety pocięte, ach ci z Polesia, to z Polesia.

– No tak...(śmiech)

– A z drugiej strony było Ognisko na Exhibition Road, to takie zresztą bardzo polskie, że w dzielnicy muzeów, Instytut Sikorskiego, w Ognisku przecież był kiedyś stolik generała Andersa, kabaret Hemara, spektakle teatralne. To oczywiście historia, ale podczas mojego pobytu zdążyłem być na wieczorze 11 listopada, królowała tam szefowa ZASP Irena Delmar, zwana przez wszystkich



Krzysztof Turkowski w rozmowie z córką Marszałka Wandą Piłsudską w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Londynie

Delmarką, świetnie się prezentowała, ale ciągle nie mogła uwierzyć, że to już nie te czasy. Wiele takich osób spotkałem. Niektórzy mieli znacznie gorzej. Nie wszyscy musieli myć naczynia, ale nie każdy czuł się elitą. Zwłaszcza, że spadali z wysoka, to oczywisty problem emigrantów. Wiele znalazło się dzielnych osób, młodsza córka Marszałka studiowała architekturę w Liverpoolu, inni medycynę, ekonomię... W nauce świetnie poradził sobie Szczepanik i Szkopiak, który był chemikiem, inżynierem metalurgiem.

– **A życie codzienne emigrantów, co zwracało uwagę?**

– Pyszne pierogi, to oczywiste. Ale też polski chleb, kupowany u Ukraińców.

– **Spytam oczywiście o Kościół, zawsze postrzegany jako ostoja emigracji, jaka była jego rola?**

– Istotna niezmiernie przy wszelkich uroczystościach, co rozumiałe. Kościół stał się też miejscem kształcenia polskiej młodzieży. Nie wiem, jak by

to bez niego wyglądało, skoro dzieci emigrantów kończyły szkołę w Anglii, a potem przecież trzeba było z czegoś żyć. Polska edukacja dla większości mogła więc stanowić tylko uzupełnienie. Pamiętam ze swojego pobytu różne wydawnictwa dla dzieci, zawarte w nich wierszyki. Nie tylko „Kto ty jesteś”, ale również bajeczki uwzględniające emigranckie realia.

– **Jak Polacy z emigracji patrzyli na Jana Pawła II?**

– No jak nie kochać.

– **Oczywiście, ale mam na myśli to, z jakiej perspektywy odnosili się do polskiego Papieża?**

– Jak Styka do Matki Boskiej, na kolanach. Doceniali, jak niezwykle rolę odgrywał, jak wpłynął na poczucie godności Polaków na całym świecie i ich wspólnotę.

– **Czy w Londynie czuło się oddech służb PRL, a ściślej, czy emigracyjni politycy liczyli się z tym, że są inwigilowani?**

– Absolutnie, trzeba pamiętać, że w czołówce emigracyjnych struktur znajdowali się ludzie, którzy wiedzieli, jak tajne służby działają. Zawsze z tyłu głowy mieli, że ambasada to centrum szpiegostwa, zgodnie z prawdą zresztą. Skrajnie nieufny był dyrektor Jagodziński.

– **Jak postrzegałeś w trakcie pobytu relacje między polityką emigracji a tą brytyjską?**

– Chwaliłem przedtem już polskie instytucje, że tyle ich powstało, zwykle ze składek – ale był feler w tym, że nie udało się polskiemu środowisku wprowadzić parlamentarzystów do brytyjskiej Izby Gmin, a Ukraińcy to potrafili, mieli w parlamencie nad Tamizą dwóch czy trzech swoich. Gdy ja byłem w Wielkiej Brytanii, politykę miejscową ukształtowała aktywność pani Margaret Thatcher, nawet młode pokolenie niczym nie przypominało roczników lewicujących w 68 roku. Przeciwnikom komunizmu z Polski i emigracji było pewnie łatwiej niż przed laty.

– A jak kształtowała się pozycja Polaków z Londynu wobec innych ośrodków polskiego wychodźstwa? Jak rozumiem kombatanzi z kraju, w którym rezyduje rząd emigracyjny czuli swoją szczególną rolę?

– Najważniejsze było Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Niemczech, w Ameryce, we Francji, w Kanadzie i w Argentynie. Byłem na zjeździe kombatantów. Mieliliśmy tam specjalne zaproszenie z Władkiem Frasyniukiem, to było nasze kolejne spotkanie. Mówiliśmy w POSK-u do wielkiej sali. Zbierano tam pieniądze na pomoc Komitetom Obywatelskim. Kombatanci bardzo byli nami zaciekawieni, zwłaszcza że ten facet był żywą legendą. I co również ciekawe – mówiliśmy dość podobnie. Środowisko tam się podzieliło dopiero wówczas, gdy przyjechał i spotkał się z nim premier Tadeusz Mazowiecki, mam nawet zdjęcia. Wiadomo, jakiego wtedy mieliśmy ministra spraw wewnętrznych. Z perspektywy czasu łatwiej wszystko analizować, wtedy dla wielu było ważne, że premier jednak jest nasz, Mazowiecki wywodzi się z opozycji. O PAX-ie też oczywiście mówiono, ale w sposób powściągliwy. Jak się zastanawiam, dlaczego



Krzysztof Turkowski i Lothar Herbst przy Whitehall w Londynie

mnie i Władka Frasyniuka tak dobrze kombatanCI przyjmowali, łączę to z faktem, że myśmy byli młodzi, nie zdążyliśmy się pobrudzić w PRL, dlatego mogli nas inaczej czytać. Starsi londyńczycy byli niezwykle powściągliwi, jeśli chodzi o falę emigracji z 1968 i kilku następnych lat. Uważali, że jej przedstawiciele bardzo ich atakują i obśmiewają. Pokolenie '68 nie cieszyło się szacunkiem w polskim Londynie. Lepiej przyjmowano osoby z kraju. Dla nich byłem dziwadłem, Don Kichotem w zbroi krążącym po ulicach Londynu, podobnie ze wzruszeniem przyjmowano Tolka Juzwenkę czy Lothara Herbsta.

– Mówiliśmy o tym, jak pokolenie pamiętające wojnę odchodzi. Szczątki wielu z nich sprowadzono do Polski...

– Pani Affeltowicz kazała, żeby ją tu przywieźli.

– Szczepanik jest w Suwałkach.

– Jeśli jednak zaczynamy rozmawiać o pośmiertnych losach, upamiętnieniach – to nie mogę ukrywać, że dziwi mnie, że choćby na Gocławiu wszyscy prawie mają swoje ulice, a Warszawa do tej pory nie dorobiła się ulicy Tadeusza Żenczykowskiego.

– Może po tym wywiadzie w „Opinii” coś się zmieni, do Rady Miasta warto się zwracać o upamiętnienie działaczy emigracyjnych, po to jest komisja do spraw nazw. Zwłaszcza, że Żenczykowski – można powiedzieć – bardzo jest warszawski jako postać historyczna.

Warszawski aż do bólu. Całe pokolenie słuchało jego audycji historycznych. Gdy ruszył drugi obieg, poznało go jako autora „Samotnego boju Warszawy”.

– Order Orła Białego Żenczykowski dostał już od wolnej Polski.

– A w II Rzeczypospolitej był najmłodszym posłem.

– Zaś w Powstaniu Warszawskim szefem całej propagandy, to w ogóle niesamowita postać.

– Dlatego ulica w Warszawie mu się należy.

– Rozmawiamy o czasach Twojego pobytu w Londynie, kiedy komunizm w kraju osłabł a potem upadał. Jak z dzisiejszej perspektywy oceniasz działania tamtej polskiej emigracji?

– Konieczne, niezbędne.

– Czy to znaczy, że im dłuższa perspektywa, w sensie analizy historycznej i politologicznej, tym znaczenie emigracji powinno rosnąć?

– Widzę to w ten sposób, że ważne było utrzymanie niezależności i godności tu w kraju, ale również podtrzymanie jej tam, na emigracji. Dostrzegam teraz, już w obecnych czasach przywracanie jej szacunku. Oczywiście jeśli porównać z Wielką Emigracją po Powstaniu Listopadowym – to wychodzący powojenni stworzyli mniej instytucji. Za to w wielkim stopniu zaangażowali się w cudze konflikty, nasi wybitni żołnierze służyli w różnych obozach przez następne lata, zwykle niewiele na tym zyskując. Pamiętam jednak poczucie, a raczej pewność, że kiedy cała Polska pójdzie niemalże cała pod tę czerwoną wodę, to my przeniesiemy wartości, na nasze dzieci...

– Czyli „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy”, tak?

– Raczej przechowywanie honoru, godności, polskiej tradycji, także instytucji po czterdziestym piątym, to ostatnie zwłaszcza stało się trudne, gdy Watykan w pięćdziesiątym ósmym roku cofnął uznanie. To była emigracja struktur. Trochę się nie pamięta, ile było wydawnictw.

– Tego wciąż się nie docenia? Zapomina się, że Jerzy Giedroyc nie działał samotnie?

– Przecież Giedroyc nie stworzył Macierzy Szkolnej. To oni wpłacali często pieniądze na Giedroycia. Nie stworzył też Skarbu Narodowego, chociaż zapewne wpłacał tam własne środki. Jedno środowisko z kraju kształtowało dominujący obraz emigracji. Oczywiście Giedroyc był bardzo ważny, „Kultura”, Maisons-Laffitte, „Zeszyty Historyczne”, ale nie był to jedyny ośrodek, tego typu myślenie to bzdura.

– Na Wyspach były też osoby z emigracji późniejszej, Leszek Kołakowski w Oxfordzie...

– O nieufności starszych emigrantów wobec pokolenia '68 trochę już opowiadałem. Nie wiązała się może tak bardzo z Kołakowskim, ważną postacią, mocniej z takimi osobami jak Włodzimierz Brus, ich żonami – wiesz, o kim mówię – życiorysami takimi, jak Zygmunta Baumana. Poza tym profesorska emigracja raczej nie szanowała reszty wychodźstwa, trochę pogardała emigrantami, którzy to dostrzegali. Poza tym, naprawdę nie chcę nikogo obrazić, ale oni się identyfikowali bardziej z generałem Świerczewskim niż z Andersem. Nawet jeśli z emigracji wpłacali pieniądze na podziemną Solidarność...

– A Krzysztof Pomian? Jakie miał znaczenie dla emigracji?

– Duże nazwisko, nawet wielkie nazwisko paryskie. Ale w intelektualnym świecie. Pisał z wielką aprobatą o fenomenie Solidarności, ale związany był



Uroczystość wręczenia Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski Krzysztofowi Turkowskiemu w siedzibie rządu emigracyjnego w Londynie. Odznaczenie wręczył prof. Edward Szczepanik, premier rządu emigracyjnego.

raczej ze środowiskiem zachodnich intelektualistów pokolenia '68, wedle naszych kategorii lewicującym. Podobnie zresztą jak Jan Karski. Cały ten krąg charakteryzowało przekonanie, że Rzeczpospolita umarła po 17 września 1939 r. wraz z wyjściem rządu za granicę. Ewentualnie jeszcze ich bohaterem był Stanisław Mikołajczyk, a dla Polaków z Londynu – na pewno nie. To był wielki dramat tych ludzi: zakończyli wojnę bohaterską i ciężką, walcząc w niej najdłużej i nie wpuścili ich na defiladę.

– Kult polskich lotników też stanowił ważny motyw życia emigracji?

– Lotnicy mieli w Escorcie swoją restaurację. Polacy w Anglii zachowali ogromny szacunek dla nich. Dlatego, że była to formacja zbrojna doskonale przez Anglików kojarzona. A emigrantów cechowała wielka wrażliwość na dobre imię Polski, łączona z przekonaniem, że trzeba o Polsce jak najczęściej mówić i bronić jej za każdym razem, gdy inni źle ją przedstawiają. Z Londynu zapamiętałem wielkie główkowanie nad propozycjami różnych grup dla Polski. Pozostawali pewni, że przechowali ten pierścień czy złoty róg.

– Ale mieli poczucie, że chcą go oddać w godne ręce, tak?

– Namawiali delikatnie, żeby w Londynie zostać, rodzinę ściągnąć... Zależało im na kontynuacji ich dzieła. Minęło tyle lat, ale wciąż uważam, że emigracja nie została ani doceniona jak należy, ani do końca naukowo zbadana. Wiążę spore nadzieje z Muzeum Piłsudskiego, także z Instytutem Piłsudskiego, z zachowaniem i pomnożeniem przezeń dorobku zarówno z Nowego Jorku, jak Londynu, z obu miejsc. Wszystko to, o czym rozmawiamy, zasługuje na wielką debatę historyków.

WYZWANIE I SPŁATA DŁUGU WDZIĘCZNOŚCI

Z JANEM JÓZEFEM KASPRZYKIEM, MINISTREM – SZEFEM
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH
ROZMAWIAJĄ ANDRZEJ ANUSZ I ŁUKASZ PERZYNA

– W chwili, gdy obejmował Pan Urząd ds. Kombatantów, cała sfera związana z tą tematyką kojarzyła się raczej z zaniedbaniami czy zaniechaniami. Jeśli rzecz ująć najkrócej, zwyczajny Polak, niezależnie od przynależności do któregoś z elektoratów, spostrzegał, że zwycięzcy zimnej wojny – bo tak można nazwać weteranów opozycji antykomunistycznej – mają standard życia zwykle niższy niż jej przegrani: służący poprzedniemu ustrojowi. W jakim stopniu brał Pan pod uwagę konieczność przełamania tej opinii, gdy podjął Pan wyzwanie?

– Uważałem to wyzwanie za spłatę długu wdzięczności. I traktowałem bardzo osobiście, bo jako syn żołnierza Armii Krajowej i więźnia niemieckich obozów koncentracyjnych Gross-Rosen i Buchenwald-Dora, od najmłodszych lat wychowywany byłem w poczuciu wdzięczności wobec pokoleń, które potrafiły poświęcić wszystko dla wolności wspólnoty jaką jest naród i państwo. Dzięki mojemu śp. Ojcu i jego znajomym, a później jako działacz organizacji strzeleckich i piłsudczykowskich, poznałem bardzo dobrze środowisko kombatantów wojennych. Ogromną rolę dla kształtowania moich postaw życiowych odegrali poznani przeze mnie w latach 90-tych gen. Antoni Heda „Szary”, legendarny dowódca partyzancki z lat wojennych i powojennych, płk Zbigniew Brym, dowódca Żelaznej Reduty w Powstaniu Warszawskim i dr Zbigniew Motyczynski, oficer Kedywu, który wciągnął mnie do Związku Piłsudczyków, a potem wyznaczył swym następcą na stanowisku prezesa tej organizacji. Znałem też dość dobrze środowisko dawnych działaczy opozycji antykomunistycznej, a to



za sprawą moich wieloletnich przyjaciół Antoniego Piekalkiewicza i Wojciecha Pęgiela, działaczy KPN z Krakowa i Edwarda Mizikowskiego, tragicznie zmarłego w 2017 r. działacza MRKS i Solidarności Walczącej. Gdy w 2015 r. parlament przyjął ustawę o działaczach opozycji antykomunistycznej i osobach represjonowanych w PRL z powodów politycznych, z jednej strony cieszyłem się, że wreszcie ta grupa stała się podopiecznymi Urzędu, tak jak kombataneci wojenni, z drugiej – czuło się ogromny wstyd, że III Rzeczypospolita, dopiero po ćwierćwieczu zajęła się bohaterami Solidarności, KPN i innych formacji, którym Polska zawdzięcza wolność.

– Również tymi, którym się w życiu nie powiedało?

– Przede wszystkim nimi, bo życie nie ułożyło im się dlatego, że np. wyrzucano ich z pracy, kiedy mniej aktywni koledzy uzyskiwali premie i talony. A oni sami swoje siły i czas poświęcili działaniom opozycyjnym. Gdy przychodziłem do pracy w Urzędzie w 2015 r., zwycięzcy zimnej wojny, jak słusznie ich panowie określają, bo oni mają do tego tytułu pełne prawo, w nagrodę otrzymywali legitymację i znaczek. Kiedy znajdowali się w naprawdę trudnej





sytuacji bytowej, o co wobec nadszarpniętego z powodu rozmaitych represji zdrowia nietrudno – starać się mogli o czterysta złotych miesięcznie, o co na każdy kolejny rok zmuszeni byli wnioskować ponownie. Oczywiście mogli się też ubiegać o jakieś dodatkowe wsparcie, ale na to wszystko składały się żmudne procedury.

– Mitręga biurokratyczna, jaką niepodległe państwo polskie fundowało tym, którzy je wywalczyli? I wtedy doszedł Pan do wniosku, że tak daleko być nie może?

– Jedną z pierwszych rzeczy, co do których byłem przekonany i zdeterminowany, aby ją zmienić, gdy obejmowałem urząd, najpierw jako pełniący obowiązki a potem szef UdsKiOR, była konieczność zrównania w uprawnieniach działaczy opozycji antykomunistycznej z kombatanami czasu wojny. Bo choć po 1956 r. nie walczyli już z bronią w ręku, to walczyli przecież o to samo – o Niepodległość.

Prace nad nowelizacją ustawy trwały półtora roku. Nie z powodu czyjejkolwiek złej woli, tylko dlatego, że sejmowe młyny nie miały szybko. Zanim



znalazłem się w Urzędzie, nie ukrywam – zupełnie inaczej sobie procedury legislacyjne wyobrażałem. Wreszcie jednak dopieiliśmy swego. Dla nas to była honorowa sprawa. Spłata długu wdzięczności, który wszyscy wobec bohaterów zaciągnęliśmy. Duża nowelizacja ustawy, z 2017 r. dała dawnym uczestnikom oporu antykomunistycznego prawa takie, jakimi cieszą się kombatan ci czasu wojny. Comiesięczne świadczenia, bez względu na posiadane dochody, prawo do pierwszeństwa przy obsłudze medycznej, zniżki komunikacyjne, możliwość korzystania z pomocy doraźnej i okresowej, dofinansowanie pobytów w sanatoriach itp.

NIKT Z NAS NIE WIEDZIAŁ, ILU BĘDZIE KOMBATANTÓW

– Zapewne początkowy kłopot wiązał się z oceną liczby opozycjonistów? Zawsze mówiło się przecież o 10 milionach członków Solidarności?

– Okazało się to mitem. Ustawa wyklucza zresztą z grona beneficjentów działaczy NSZZ „Solidarność” z czasów „karnawału” lat 1980–81, którzy po prostu należeli do legalnego związku zawodowego, ale już po 13 grudnia 1981

r. i po delegalizacji podziemnej działalności nie podjęli. Status działacza opozycji antykomunistycznej może otrzymać ten, kto przez co najmniej rok prowadził działalność niepodległościową, a za tę aktywność mógł być narażony na wszelkiego rodzaju represje ze strony aparatu bezpieczeństwa państwa komunistycznego. I oczywiście osoby, które dotknęły represje w postaci aresztowań, zatrzymań, internowania, pobicia, utraty pracy. Gdy w 2015 r. przyjmowano ustawę, z rozmaitych badań opinii publicznej wynikało, że działacze antykomunistycznych będzie nawet 300 tysięcy, ale przy dokładniejszej weryfikacji żadną miarą tej liczby nie dało się obronić. Pomocą w urealnieniu danych wykazał się Instytut Pamięci Narodowych, szacujący liczbę kombatanatów antykomunistycznych na 50–60 tys. Jednak najbliżsi prawdy okazali się autorzy Encyklopedii Solidarności, szacujący, że było ich raczej 20–30 tys. Pamiętać też należy, że osoba ubiegająca się o uprawnienia musi najpierw przejść procedurę lustracyjną. Podczas mojej ośmioletniej bytności w urzędzie status uzyskało 17,5 tys. osób. W tej chwili żyje 15 tys. z nich.



– Czy pojawiły się jakieś napięcia między starszymi kombatantami wojennymi a nowymi antykomunistycznymi?

– Nie. I ogromna w tym zasługa nestora kombatantów, Żołnierza Armii Krajowej i kanclerza Kapituły Orderu Orła Białego sędziego Bogusława Nizieńskiego, który zgodził się przewodniczyć powołanej przeze mnie Radzie do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Jego życiorys dobrze pokazywał, że wielokrotnie ci, którzy w czasie wojny walczyli z bronią w ręku, w latach 80-tych – tak jak on – włączyli się w wielki ruch Solidarności. Wiem natomiast z relacji urzędników, że gdy po raz pierwszy jeden z moich poprzedników śp. Janusz Krupski podjął inicjatywę włączenia działaczy opozycji antykomunistycznej do grona podopiecznych Urzędu, spotkało się to z oporem części środowisk kombatanckich. Wyróżniał się w tym ówczesny prezes Związku Kombatantów RP i byłych Więźniów Politycznych gen. Wacław Szklarski. Trudno mu się zresztą dziwić, bo sam był jednym z najbardziej zatwardziałych komunistów i jednym z architektów stanu wojennego. Na szczęście, ja już nie musiałem przekonywać kombatantów, że grono podopiecznych Urzędu powiększy się o tych, którzy w sposób bezoreźny kontynuowali ich walkę o wolność. Przy







wprowadzaniu dodatkowych rozwiązań służących opozycjonistom ogromnego wsparcia udzielił Kornel Morawiecki, który zgodził się przewodniczyć powołanej przeze mnie Radzie do Spraw Działaczy Opozycji Antykomunistycznej i Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych. W dużej mierze dzięki jego determinacji i pomocy, ale także dzięki osobistemu zaangażowaniu w ten temat prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego, przeforsowaliśmy świadczenie wyrównawcze, dotyczące emerytur.

UBEK NIE MOŻE DOSTAWAĆ WIĘCEJ NIŻ TEN, KOMU SZKODZIŁ

– **Jak najkrócej określić zasadę tych zmian?**

– Przyjęliśmy założenie, że ubek nie może zarabiać więcej niż ten, kto był jego ofiarą. Dezubekizacja obniżyła temu pierwszemu świadczenia do najwyżej 2 tys. zł miesięcznie. Jeśli natomiast o prześladowanych chodzi, to wielu z nich pobierało świadczenia w granicach 1,5 tys. zł. Zasady naliczania długo okazywały się dla nich niekorzystne. Trzeba więc było to zmienić. Dlatego w 2020 r. na rocznicę Sierpnia przeprowadziliśmy nowelizację ustawy. Na jej mocy działacz



opozycji nie może mieć emerytury mniejszej niż dwukrotność najniższej emerytury. Dziś daje to kwotę 3040 zł. Sucho to może brzmieć, jak wszelka mowa liczb, ale dla wielu ludzi oznacza świadomość uhonorowania a także rozwiązanie wielu życiowych problemów. Kolejna nowelizacja dotyczyła naliczania na nowo okresów składkowych. Kto tracił pracę, ze względu na zaangażowanie opozycyjne, może ubiegać się o to, żeby emeryturę obliczono mu na nowo. Dodatkowo kwota należnego comiesięcznego świadczenia, bez względu na posiadane dochody wynosiła początkowo 400 złotych i ulegała corocznym waloryzacji. Dzięki naszym staraniom w lipcu 2023 r. nastąpiła znacząca zmiana. Comiesięczne świadczenie wynosić będzie 1580 zł. i będzie co roku rewaloryzowane. To wszystko oznacza, że działacz opozycji antykomunistycznej i osoba represjonowana w PRL będzie miała łącznie minimum 4 600 zł. dochodu. Nasze cztery duże nowelizacje ustawy o działaczach opozycji antykomunistycznej spełniły wymogi likwidowania niesprawiedliwości, jakie pozostawiono niestety również w pierwszym ćwierćwieczu III Rzeczypospolitej. Staraliśmy się sprostać wyzwaniu, o jakie spytaliście panowie na początku naszej rozmowy.



NASI PODOPIECZNI TO OSTATNI ŻYJĄCY ŚWIADKOWIE HISTORII

– W jaki sposób nowe funkcje Pana urzędu, bo ze słów Pana Ministra wynika, że obejmują one zakres szerszy niż za czasów poprzedników, wpisują się w politykę historyczną państwa? Czy może nawet starają się na nowo ją zdefiniować?

– Podstawowym zadaniem UdsKiOR pozostaje zapewnienie godnych warunków życia naszym podopiecznym. Rozszerzeniem tych zadań pozostaje sfera upamiętnień, gdzie działania podejmujemy w porozumieniu z Instytutem Pamięci Narodowej, MON i Ministerstwem Kultury. Nawiązujemy w ten sposób również do tradycji Janusza Krupskiego, którego praca jako szefa UdsKiOR pozostaje dla nas drogowskazem i wzorem. Na pewno są to zadania niesprzeczne. Nasi podopieczni pozostają przecież ostatnimi żyjącymi świadkami historii. Niezmiernie ważne, żeby ich niepowtarzalne doświadczenie zaistniało również w dialogu między pokoleniami. Osobiste przeżycia pozostają najbardziej wiarygodnym świadectwem. Jeśli przed młodymi ludźmi

stają uczestnicy zdarzeń, które tym nowym rocznikom wydają się czasem na pół legendarne, to taki przekaz nie znajduje konkurencji. Nawet najnowocześniejsze techniki czy multimedia nie zastąpią walorów podobnego bezpośredniego spotkania.

– Czy młodzi nadal się przeszłością interesują? Na początku obecnego stulecia obserwowaliśmy wzmożone zainteresowanie rekonstrukcjami historycznymi. Jak je podtrzymać w dobie portali społecznościowych?

– Granty dla organizacji pozarządowych na organizowanie widowisk i rekonstrukcji historycznych, konkursów, przedsięwzięć multimedialnych, wydawnictw to z punktu widzenia interesów Polski najlepiej wydane pieniądze. Byłem nie tylko świadkiem ale i uczestnikiem rekonstrukcyjnego boomu, który panowie wspominacie. Miałem zaszczyt współpracować przy odtwarzaniu wydarzeń roku 1918 czy Bitwy Warszawskiej z sierpnia 1920 r. ze znakomitym aktorem Januszem Zakrzeńskim. Nikt nie ożywił postaci Józefa Piłsudskiego równie barwnie i przekonująco jak on. Warto o historii mówić młodym





ludziom w tych miejscach, gdzie ona się wydarzyła. Bo to pozostanie z pewnością w ich pamięci. A dodatkowym walorem jest stworzenie możliwości, aby spotkali się w tych miejscach z ostatnimi świadkami historii. Ja miałem to szczęście, że przed laty poznałem ostatnich legionistów, powstańców wielkopolskich i żołnierzy wojny z bolszewicką Rosją. Takich chwil nie zapomina się. Wyciskają piętno na całe życie. Kombatanci pozostają najlepszymi narratorami historii, bo w Polsce od zawsze szanuje się tego, kto narażał własne życie. Nie ma lepszego sposobu kształtowania świadomości obywateli niż ożywianie w podobny sposób zdarzeń sprzed lat. Budowanie z nich „eventu” całkiem współczesnego. Rekonstrukcja historyczna Bitwy Warszawskiej pobudza patriotyzm, co oczywiste, wpisuje się we współczesne konteksty, los napadniętej Ukrainy i nasze własne obawy. Zaś gdy przedmiotem odtworzenia staje się Powstanie Warszawskie – mamy do czynienia z niezwykle spotkaniem pokoleń. Ostatni już żyjący uczestnicy warszawskiej insurekcji obserwują jak młodzi w wieku ich wnuków, czasem prawnuków – odgrywają ich dawne role. Z przyjemnością i wzruszeniem, na pewno obopólnym.



KOMBATANCI SĄ NAJLEPSZYMI AMBASADORAMI

– Niby wszyscy ludzie dobrej woli w wolnym świecie wiedzą, po której stronie walczyli Polacy w II wojnie światowej, ale szczegółów już warto przypominać. Na ile skuteczna okazuje się polityka historyczna skierowana, jeśli można tak powiedzieć, na eksport?

– Zasada, że staramy się być wszędzie tam, gdzie walczył żołnierz polski, odnosi się w oczywisty sposób też do zagranicznych pól bitew. Obchody na Monte Cassino stanowią znakomity i udany przykład. Na Monte Cassino dwukrotnie był z nami prezydent Andrzej Duda. I raz prezydent Włoch Sergio Mattarella. A warto dodać, że nie wszystko tam odbywa się oficjalnie i z „zadaniem”. Na przykład włoscy mieszkańcy Casino z sympatią a nawet rozrzewnieniem słuchali i obserwowali, jak polski chór wojskowy na rynku miasteczka śpiewał pieśni w ich języku. Wiele upamiętniających wydarzeń organizowaliśmy na szlaku bojowym dywizji gen. Stanisława Maczka, od Francji po holenderską Bredę, także z pomysłową wystawą w Królewskim Muzeum Armii w Brukseli.



Kombatanci okazują się najlepszymi ambasadorami polskich spraw. Gdy znalazłem się w Izraelu w zaszczytnym towarzystwie ostatnich żyjących Sprawiedliwych Wśród Narodów i razem odwiedzaliśmy m.in. Instytut Yad Vashem – nikt w naszej obecności nie próbował lansować interpretacji fałszujących historię. Kombatanci to soft power. Nasza miękka siła. Także i pod tym względem możemy z nich być dumni.

– A jak ich rolę najprecyzyjniej określić?

– Trzeba przypomnieć Europie, ile Polsce zawdzięcza. Nikt za nas tego nie zrobi. Zależy nam przecież na tym, aby rola Polski nie była pomniejszana, czy fałszowana. To Polacy wyzwali Europę i niesli wolność ciemionym narodom. Nie wszyscy zostali docenieni jak należy, a blokady pojawiały się nie tylko ze strony cudzoziemców. Podam przykład: w Holiszowie w Czechach na sam koniec wojny miało miejsce niezwykle i szerzej nieznane wydarzenie. Brygada Świętokrzyska Narodowych Sił Zbrojnych wyzwoliła 5 maja 1945 r. obóz kobiecy, wśród których wiele było Żydówek. Niemieccy oprawcy obalali już nawet baraki benzyną z zamiarem podpalenia. A żołnierze Brygady

Świętokrzyskiej ocalili zgromadzone tam kobiety przed eksterminacją. Weszli za druty i uratowali więźniarki. W 2016 r. udało się nam się zorganizować w miejscu dawnego obozu po raz pierwszy duże uroczystości. Wcześniej była tam tylko tablica po czesku, bo – co ciekawe – tylko mieszkańcy tej miejscowości pamiętali o heroicznym czynie naszych żołnierzy z NSZ. Do 2016 r. nikt z naszych dyplomatów w Czechach nie interesował się tym miejscem, bo... „NSZ do faszyści”. Gdy podjęliśmy się zadania organizacji tam dużych uroczystości z udziałem Wojska Polskiego, zdumiewała mnie mocno postawa polskiej placówki w Pradze, która tak dużemu upamiętnieniu sprzeciwiała się jak mogła. Dopiero interwencja wiceministra spraw zagranicznych Jana Dziędziczaka zrobiła swoje.

– Wspomniał Pan, że wolny świat ma Polsce wiele do zawdzięczenia. Paradoksalnie można powiedzieć, że ten dawny dług z czasów II wojny światowej ale i Solidarności jeszcze się zwiększył, za sprawą pomocy wojennym uchodźcom z Ukrainy, udzielanej im solidarnie przez całe polskie społeczeństwo. Nie o Zachód jednak warto to spytać, lecz o Wschód. Czy to obecne braterstwo przyczyni się do umocnienia prawdziwej narracji choćby dotyczącej rzezi wołyńskiej i innych drastycznych wydarzeń?

– Nie tylko Ukrainy problem dotyczy. Białoruś oczywiście z racji takich a nie innych władz nie staje się łatwym partnerem, ale gdy parę lat temu relacje Mińska z Moskwą się skomplikowały, nam udało się wykorzystać tę okazję i wyremontować tamtejsze upamiętnienia roku 1920, przywracając je do stanu z międzywojnia. W kontaktach z Litwą nastąpiła znacząca zmiana. Jeszcze kilka lat temu byłoby niemożliwe, aby wspólnie czcić pamięć Józefa Piłsudskiego. A tymczasem z okazji obchodów rocznicy urodzin Józefa Piłsudskiego na Roszie odegrano po raz pierwszy od 1939 r. „Pierwszą Brygadę”, a na grobach poległych żołnierzy polskich z 1920 r. na Antokolu wartę zaciągnęli wspólnie żołnierze polscy i litewscy. Podobnie było podczas obchodów 75 rocznicy Operacji Ostra Brama. Z Ukrainą, a konkretnie z udziałem samorządowców ukraińskich, dopóki sytuacji nie skomplikowała szalejąca pandemia, a potem wojna, udawało się co roku organizować obchody rocznicy rzezi Huty Pieńickiej. Co do Wołynia, jasno stawiam sprawę. Jeśli naród i państwo chcą się



znaleźć w europejskim obszarze instytucji politycznych i kulturalnych, musi przyjąć zasadę, że umarłych należy pochować pod znakiem oddającym to, kim za życia byli. Nie ma od tego wyjątków. O tym też mówią rodziny ofiar. Trzeba stanąć w prawdzie. Obchody wołyńskiej tragicznej rocznicy, 11 lipca, z roku na rok przebiegają coraz lepiej. Każda ofiara ma prawo do pochówku i upamiętnienia, te słowa zresztą wypowiedział niedawno w moim gabinecie, właśnie tu, gdzie rozmawiamy, ambasador Ukrainy.

– A lepsze wspólne doświadczenia, choćby te sprzed stu lat, z pewnością warto o nich pamiętać?

– Pandemia niestety udaremniła upamiętnienie 100 rocznicy wyparcia bolszewików z Kijowa w 1920 roku na taką skalę, na jaką zwycięstwo to zasługiwało. Ale i tak udało się zorganizować wspólne polsko-ukraińskie obchody w Warszawie i Kijowie. Polacy byli na grobach żołnierzy Petlury, spoczywających w Warszawie i Łańcucie, Ukraińcy na grobach żołnierzy polskich spoczywających na cmentarzu w Kijowie.

– Kombatanci rozsiani są po całym świecie. Polski Londyn to legenda, ale znamy więcej skupisk patriotycznej emigracji. W jakim stopniu jesteście w stanie do nich dotrzeć?

– Każdy kombatant objęty jest opieką Urzędu, bez względu na to, czy żyje w kraju czy za granicą. Działamy tu w oparciu o nasze placówki konsularne i attachaty wojskowe. Staramy się docierać również do młodych Polaków mieszkających na obczyźnie, aby przypomnieć im o korzeniach. Niedawno zorganizowaliśmy w polskich szkołach sobotnich w Wielkiej Brytanii, imienia Dywizjonu 303 w Londynie i generała Alfonsa Maćkowiaka w Oksfordzie duże spotkania z udziałem kombatantów. Mam nadzieję, że pomogło to wszczepić najmłodszym w takim niepowtarzalnym międzypokoleniowym dialogu wartości patriotyczne. To również nasza misja i rola. Podobnie jak zawsze smutny, ale konieczny obowiązek dopomożenia najbliższym w sprowadzeniu szczątków zmarłych za granicą kombatantów do ojczyzny jeśli sobie tego życzyli, bądź jeśli sami o tym nie zadysponowali w testamencie, ale pragnie tego najbliższa rodzina.

– Prezydentów londyńskich również to dotyczy?

– W Świątyni Opatrzności Bożej powstała krypta prezydentów na uchodźstwie, gdzie w listopadzie 2022 spoczęły ich doczesne szczątki. Stało się to dobrą okazją do przypomnienia misji, jaką przez pół wieku pełnili strażnicy legalnej Konstytucji kwietniowej z 1935 r. Podobnie po królewsku zegnaliśmy ostatnią Prezydentową II Rzeczypospolitej Karolinę Kaczorowską. Te pogrzeby to nie tylko wypełnienie woli zmarłych i ich rodzin. To także czytelne pokazanie, że chcemy odwoływać się do tradycji II RP, tej z okresu międzywojennego i tej, która przetrwała w „Polskim Londynie”.

– Powstanie Warszawskie to nasz największy dramat XX wieku. Jak Pan ocenia zmiany w polskiej świadomości, które go dotyczą, również w czas kolejnej rocznicy, jaką właśnie obchodzimy?

– Decyzja Lecha Kaczyńskiego o utworzeniu Muzeum Powstania Warszawskiego okazała się w III RP przełomowa w myśleniu zarówno o Powstaniu, jak

i w realizacji nowoczesnej polityki historycznej – polityki pamięci. Wcześniej dwa razy wybory prezydenckie w kraju wygrywał Aleksander Kwaśniewski z hasłem „Wybermy przyszłość”. Hasło nie oznaczało może zupełnego zapomnienia o przeszłości, ale przechodzenia nad nią do porządku dziennego – już tak. Dla mnie bliższe pozostaje przesłanie Jana Pawła II, który powtarzał, że naród musi mieć korzenie, czyli przeszłość, drzewo co z nich wyrasta, czyli teraźniejszość oraz liście i owoce, które są przyszłością. W poemacie „Myśląc Ojczyznę” Karol Wojtyła wskazywał, że aby wyrazić siebie, trzeba się zakorzenieć. Muzeum Powstania wypełniło to przesłanie papieskie. Ponadto pokazało, że o historii najbardziej przekonująco opowiada się z użyciem nowoczesnych środków wyrazu. Dlatego traktuję rok 2004 r. jako przełomowy w sposobie myślenia i uprawiania polityki pamięci, także w obszarze muzealnym. Przełomowe było wtedy także potraktowanie weteranów Powstania. Uczyniono z nich postaci najważniejsze. I tak już jest zawsze. Wcześniej, jak wiemy, różnie to bywało. Pamiętam oficjalne obchody 50-lecia w 1994 r.: wydzielone starannie miejsca w sektorze dla VIP-ów zarezerwowane dla oficjeli, a powstańcy stłoczeni za barierkami. Miałem zaszczyt w 2003 r. zostać członkiem pierwszego zespołu pełnomocnika Prezydenta Warszawy do spraw tworzenia Muzeum Powstania Warszawskiego, powołanego przez Lecha Kaczyńskiego. Moją rolą było między innymi włączenie w tę inicjatywę kombatantów. Ze szczególną przyjemnością wspominam ówczesne kontakty z pułkownikiem Zbigniewem Brymem, dowódcą Żelaznej Reduty. Byłem też wtedy koordynatorem projektów, które miały wciągnąć w to przedsięwzięcie młodych ludzi. Wymyśliliśmy konkurs na napisanie przez nich... pamiętnika z Powstania Warszawskiego. Wśród jurorów konkursu, w którym wzięła udział młodzież z całej Warszawy był m.in. śp. Tomasz Merta. Wśród innych tematów było np. wykonanie komiksu o Powstaniu. Znaczące, że kombatanci nie uznawali tych inicjatyw za obrazoburcze, a podobało im się, że o ich walce młodzież opowiada się za pośrednictwem współczesnych środków wyrazu. Podobne formy zainteresowania historią stosowaliśmy przez lata w Związku Piłsudczyków, np. w roku 2000 ogłosiliśmy ogólnopolski konkurs literacki na napisanie podręcznika historii z założeniem, że to bolszewicy a nie Polacy wygrali w 1920 r. pod Warszawą...



Efekty były niezwykle, inwencja młodych ludzi zadziwiająca, a znajomość dziejów naprawdę spora.

– **Historia alternatywna?**

– Młodzież rozumiała tę grę i po swoim ją podjęła, podobne zamierzenia uczą myślenia historycznego, chociaż zwykle na seminariach przestrzega się przed spekulowaniem, „co by było gdyby”, bo historia to „res gestae”, czyny dokonane tworzą dzieje...

– **Często podkreśla Pan znaczenie rodzinnej tradycji dla swojego światopoglądu. Jakie segmenty się na to składały?**

– Byłem późnym dzieckiem. Jako syn żołnierza Armii Krajowej i więźnia obozów niemieckich Gross-Rosen i Buchenwald-Dora dorastałem w atmosferze, w której od rodziców i ich znajomych otrzymywało się informacje, których inni musieli dopiero sami szukać. Jedno z pierwszych dziecięcych jeszcze wspomnień dotyczy odsłonięcia w kościele Wszystkich Świętych tablicy ku czci

więźniów Gross-Rosen, na którym byłem z rodzicami. I coroczne odwiedziny Powązek w „Godzinę W”. Tych pierwszych z połowy lat 70-tych oczywiście nie pamiętam, bo byłem przywieziony na nie w wózekku dzieciennym. Od strony taty tradycje sięgały piłsudczykowskiej lewicy niepodległościowej. Dziadek był bojowcem Polskiej Partii Socjalistycznej w Świętokrzyskiem. Z kolei ze strony mamy, dziadek walczył w kampanii wrześniowej i potem został internowany na Węgrzech, a dwóch wujków było w Narodowych Siłach Zbrojnych, w Brygadzie Świętokrzyskiej. Jeden zginął w walce z Niemcami w styczniu 1945 r. Dlatego nawet moje doświadczenie rodzinne nie pozwala mi wierzyć w propagandę komunistyczną o współpracy NSZ z Niemcami. Drugi wujek przeszedł cały szlak bojowy z Brygadą Świętokrzyską, aż po amerykańską służbę wartowniczą po zakończeniu wojny i emigrację w Kanadzie. To wszystko mnie „zakorzeniło”, jeśli mogę użyć zacytowanego wcześniej papieskiego określenia.

KOMENDANT MARSZU PIERWSZEJ KADROWEJ

– Jak zaczęła się Pana przygoda z Marszem Pierwszej Kadrowej?

– Jako jedenastolatek w 1986 r. byłem wraz z rodziną na wakacjach w Kielcach i stałem się tam świadkiem niezwykłego zdarzenia. Podczas mszy w katedrze spostrzegłem, że do środka wchodzi mężczyźni w historycznych maciejówkach. Organista zagrał „Pierwszą Brygadę”, a mnie już wtedy nikt nie musiał tłumaczyć, co to za melodia. A gdy wyszliśmy, wokół katedry zobaczyłem suki milicyjne. Rodzice wytłumaczyli mi szczegóły: że to rocznica wejścia I Kompanii Kadrowej do Kielc. Potem już sam witałem „kadrówkę” w Kielcach. Jednego z organizatorów marszu, Wieśka Gęsickiego, poznałem pod warszawskim pomnikiem „Gloria Victis” na początku lat 90-tych. Zachęcił mnie do wzięcia udziału w Marszu. Pojechałem do Krakowa i w 1993 r. przeszedłem całą trasę, wiedząc, że to już będzie zawsze część mojego życia. I tak też się stało. Nie ma sierpnia bez Kadrówki! W roku 1998 jako 23-latek zostałem wybrany komendantem marszu w roku następnym. Pamiętam pytanie dziennikarki jednej ze stacji telewizyjnych, która zagadnęła mnie, czy przypadkiem nie jestem za młody. A ja przypomniałem sobie, co zresztą jej powiedziałem, że jestem dokładnie w wieku dowódcy I Kadrowej z 1914 r.



– Tadeusza Kasprzyckiego. Bo wtedy o wolność walczyli właśnie ludzie w tym wieku i młodszy. I potem przez piętnaście lat byłem rokrocznie wybierany na komendanta Marszu. Marsz to fascynujące wydarzenie, jego niepowtarzalność oddaje dobrze film Macieja Gawlikowskiego „Marsze Niepodległości”. To było piętnaście lat społecznej pracy, aby pozyskać dla Marszu fundusze i uczynić, co udało się z sukcesem, żeby stał się wydarzeniem o randze państwowej, tak jak było to przed wojną. Klimat – jakbyśmy teraz powiedzieli – rekonstrukcji historycznej zawsze mi odpowiadał.

– Skąd się to wzięło?

– Rekonstrukcje historyczne to forma teatru, w dobrym tego słowa znaczeniu. A teatr był też miejscem, które kształtowało mnie od najmłodszych lat. Gdy miałem dziesięć lat i byłem uczniem szkoły muzycznej, zostałem wybrany przez Kazimierza Dejmka do drobnej roli dziecięcej w „Żywocie Józefa” Mikołaja Reya. Rzecz wystawiana była w Teatrze Polskim, gdzie grali wtedy najlepsi z najlepszych, a jednocześnie zaangażowani w bojkot komunistycznej telewizji mistrzowie sceny: Mieczysław Voit, Andrzej Szczepkowski, Jan Englert,

Gustaw Holoubek, Andrzej Łapicki. Niezwykłe miejsce, w którym miałem przyjemność spędzać prawie każdy wieczór przez kilka lat, grając dziecięce role w „Kordianie” w reżyserii Jana Englerta, w „Adwokacie i różach”, „Fantazym”. Stamtąd wyłowił mnie Ignacy Gogolewski. Wystawił w 1988 r. w Teatrze Rozmaitości przedwojenną „Gałązkę rozmarynu” Zygmunta Nowakowskiego. Zabawną, ale i wzruszającą opowieść o plutonie legionowym, maszerującym z Oleandrów przez Kielce, Łowczówek aż nad Nidę. Prawdziwy żar panował, gdy ze sceny dało się słyszeć „Pierwszą Brygadę”. Ludzie stawali na baczność. A na widowni wywieszano transparenty Solidarności. Żar był tak wielki, że Teatr Rozmaitości w grudniu 1988 r. spłonął. Powtarzano powszechnie, że nie był to przypadek. Premiera „Gałązki” miała miejsce w czerwcu 1988 r...

– **...pomiędzy jedną falą strajków a drugą.**

– To był niezwykle czas. Grałem w „Gałązce” rolę wiejskiego dzieciaka, którego wypoczywający nad Nidą legionści uczą patriotycznych pieśni, żeby nimi przywitać Komendanta. A nauka ta idzie dość opornie. Wyśpiewywałem: „Warczą karabiny i dzwonią pałasze” dziesiątki razy, „gromiony” przez nauczyciela. Aż wreszcie wyśpiewałem elegancko, gdy na pozycje legionowe przyjechał Komendant, którego w spektaklu grał Jerzy Molga, świetnie znany z filmowej roli generała Sikorskiego w „Katastrofie gibraltarskiej”. Graliśmy „Gałązkę rozmarynu” kilkaset razy również w Teatrze na Wyspie w Łazienkach i po pożarze Teatru Rozmaitości na deskach Teatru Buffo. Siłą spektaklu była strona muzyczna – pieśni legionowe, które po raz pierwszy od półwiecza mogły wybrzmiewać oficjalnie. Oprawę muzyczną spektaklu przygotował Waldemar Kazanecki, autor słynnego walca z „Nocy i dni” Jerzego Antczaka według Marii Dąbrowskiej, filmu, który otarł się o Oscara, chociaż go nie dostał... Wracając jednak do zasadniczego naszego tematu rozmowy. Sceniczne otrząskanie, nawet w dziecięcym tylko wieku, przydało mi się na pewno po latach, gdy szukać trzeba było pomysłów na uatrakcyjnienie Marszu. Wiadomo, że Marsz zrodzony w międzywojniu, odrodził się w 1981 roku, potem im bardziej milicja przeszkadzała wraz z bezpieczeńką, tym chętniej uczestniczyli w nim działacze KPN i Solidarności. Jednak po zmianie ustroju szeregi uczestników topniały. I tak nowych formatów trzeba było szukać.

– **Jakie one były?**

– Przypomniałem sobie, jaki pomysł przedstawiono Józefowi Piłsudskiemu, gdy miał się odbyć pierwszy marsz w 1924 r. Nie drętwe defilady, tylko pogodny, ale i pełen sportowej rywalizacji przemarsz na historycznej trasie. I to bardzo się Marszałkowi spodobało. Do tamtej przedwojennej formuły odwołaliśmy się w 1999 r. Starałem się też, żeby Marsz stał się wydarzeniem nie tylko dla jego uczestników, ale i mieszkańców miast, przez które przechodzi. W Słownikach mówiłem miejscowym, że w sierpniu 1914 r. ich miasteczko stało się na kilka godzin i dni pierwszą stolicą odradzającej się Polski – i byli bardzo przejęci z tego powodu. Podobnie czyniłem w Miechowie, Jędrzejowie, Chęcinach. I to przynosiło efekty. Marszowi zaczęły towarzyszyć festyny, pikniki, koncerty... W historii Kadrówki społeczności lokalne zaczęły odnajdywać swoją historię. Historię „małych ojczyzn” bez której nie ma historii „wielkiej Ojczyzny”. Żadna przecież sztuka przejść tak, żeby tylko kurz się podniósł i nic po sobie nie pozostawić. Lepiej doprowadzić do tego, żeby Marsz stał się również świętem lokalnym. O to się staraliśmy i to się udało. A jeżeli chodzi o uczestników Marszu spod znaku organizacji strzeleckich – uczyliśmy ich odpowiedzialności za siebie i innych, działania w grupie. W tym sensie Marsz stawał się szkołą życia, a wielu młodych uczestników Marszu sprawdziło się później podejmując służbę w Policji, w wojsku, w Straży Granicznej...

PODZIWIAM LUDZI KPN ZA TO, CZEGO DOKONUJĄ

– **W Marszu szli zawsze KPN–owcy. Uznawali go za swój.**

– I słusznie, bo to w dużej mierze oni tworzyli społeczność marszową w najtrudniejszym dla Kadrówki okresie, jakim były lata 80-te po wprowadzeniu stanu wojennego. Na Kadrówce poznałem wielu z nich – Wojciecha Pęgiela, sześciokrotnego komendanta Marszu, wspaniałego człowieka z „ułańską fantazją”, z którym do końca jego życia łączyła mnie przyjaźń. Na Marszu poznałem wypróbowanych po dziś dzień przyjaciół: Antoniego Piekalkiewicza, Andrzeja Fischera. Powiem wprost, że choć nie byłem członkiem KPN, to środowisko i formowało mnie i było mi najbliższe ideowo. Niestety, moja sympatia dla tej formacji stopniała, gdy Leszek Moczulski uczestniczył w odwołaniu rządu Jana



Olszewskiego. A to wydarzenie bardzo głęboko przeżyłem. Portretowe zdjęcie Lecha Wałęsy, które wcześniej w moim domu wisiało na ścianie, trafiło wtedy właśnie, po 4 czerwca 1992 r. do szuflady. I już tam zostało. Jednak w głębi serca oczywiście sympatia pozostała.

– Dzisiaj KPN-owcy nie mają już własnej partii. Jak pan ocenia ich zaangażowanie w życie publiczne?

– Podziwiam ich dokonania. Angażują się w wiele udanych i cennych patriotycznych przedsięwzięć. Chodzi mi o pismo „Opinia”, świetnie redagowane przez Andrzeja Anusza i kontynuujące wielką tradycję drugoobiegowego tytułu z lat 70-tych, a także o Instytut Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoi-Owsianego, o zaangażowanie w wiele piłsudczykowski inicjatyw. Bardzo przeżyłem niedawne odejście Bohdana Urbankowskiego, myśliciela i poety, z którym spotkania i rozmowy były też dla mnie formacyjne i niezwykle ubogacające, a także śmierć Krzysztofa Lancmana, którego aktywność na polu czuwania nad narodową pamięcią historyczną była imponująca.

– Jakie widzi Pan perspektywy dla urzędu? Panu pewnie nie wypada tego mówić, ale przecież ludzie wiedzą, że przez ostatnie lata został podniesiony na wyższy poziom, połączył zadania, o których wielu Pana poprzednikom się nie śniło. Co dalej?

– Ostatnie lata to był przede wszystkim ustanawianie godnych warunków życia dla działaczy dawnej opozycji antykomunistycznej. Ale były też inne sukcesy. Po latach starań uprawnienia kombatanckie zyskali żołnierze–górnicy, czyli ludzie pochodzący ze środowisk uznawanych przez komunistów za klasowo wrogie i odbywający służbę w stalinowskich czasach w krańcowo trudnych niewolniczych wręcz warunkach. Udało się przyznać uprawnienia tym, którzy po upadku Powstania Warszawskiego trafili do obozu przejściowego w Pruszkowie. Udało się wypłacić odszkodowania Sybirakom za lata zesłania na nieludzkiej ziemi, co oczywiście nie rekompensuje potworności, jakich tam zaznali, ale starali się o to od lat i stało się dopiero trzy lata temu. Zwiększyliśmy środki – o dodatkowe 850 zł ekwiwalentu – na rzecz inwalidów wojennych. Znacząco zmieniły się też środki, które możemy przyznawać podopiecznym

w formie pomocy okresowej, czy jednorazowej. Gdy przychodziłem do Urzędu budżet na ten cel wynosił rocznie zaledwie 8 mln zł. Teraz jest to 135 mln zł, co z pewnością świadczy o znaczącej progresji. Chcielibyśmy jeszcze wprowadzić bezpłatne leki dla naszych podopiecznych, możliwość dwukrotnego w ciągu roku pobytu w sanatorium, a także jednorazową choćby pomoc dla wdów i wdowców po kombatantach z dawnej opozycji antykomunistycznej, bo pod tym względem nie zostali zrównani w uprawnieniach z kombatantami wojennymi. Ku rozwadze na przyszłość, warto zarekomendować problem, czy kierowanie i koordynowanie polityki historycznej, tak aby była skuteczna, nie powinno zostać skupiona w jednym miejscu, w jednej instytucji. Być może w przyszłości warto to rozważyć. Na razie hierarchia spraw, którymi się zajmujemy, pozostaje znana. Na pewno podstawowymi zadaniami urzędu pozostaną: opieka nad świadkami historii, organizacja pomocy, pamięć o przeszłości, upowszechnianie zainteresowania nią wśród młodzieży.